

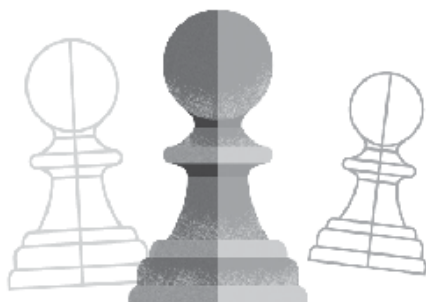


**emilios
solomou**

**nienawiść
to połowa
zemsty**



**emilios
solomou**



**nienawiść
to połowa
zemsty**

Z języka greckiego przełożyły:
Γwa T. SZYLFR
i Beata ŻÓŁKIEWICZ-SIAKANTARIS



Wrocław 2018

Charisowi

Rozdziały oznaczone literą „E” przedstawiają zdarzenia prawdziwe. Ze zrozumiałych względów zmieniono daty oraz nazwy miejscowości.

1/A1

Dwie głowy były oparte na meblu obok telewizora Samsung LCD. Pochylone nieznacznie w lewo, z wyrazem błogości na twarzach. Skóra blada. Usta rozciągnięte niby w uśmiechu. Oczy zamknięte. Włosy sterczące, potargane – za nie chwyciła ręka zabójcy, by podnieść głowy wysoko niczym trofea, a potem umieścić je w widocznym miejscu. Krew gęsta, czarna, sącząca się ostatnimi kroplami z poszarpanych żył tworzyła niewielkie oka na obu krańcach drewnianego blatu. Błękitny dywan wchłonał, co ściekło. Ciemna plama zastygała, schła. Jedna z głów miała na czole ślad po kuli.

Bezgłowe ciała mężczyzn leżały na podłodze. W klatkę piersiową strzelano prawie z przyłożenia – raz do pierwszej z ofiar, trzy razy do drugiej. Gdy odcinano głowy, ofiary były martwe. Tam, gdzie szczyrzyły się otwory przetrniętych szyj, krew rozlewała się aż po ścianę, wnikała w szpary drewnianego parkietu. Koszule oraz spodnie denatów zabarwiły się na czerwono od strug bryzgających spod ostrza, które gwałtownie i niedbale cięło mięśnie, nerwy i kości. Nóż uderzał z dużą siłą najpierw w dźwigacz i obrotnik, dwa szczytowe kręgi łączące czaszkę z kręgosłupem, oraz w nerwy rdzeniowe. Potem przesunął się ku przodowi i trafiając raz za razem, byle jak i byle gdzie, rozcinał płaty tarczycy, krtań, lewą i prawą tętnicę, nerw poprzeczny szyi, wewnętrzną i zewnętrzną żyłę szyjną, nerw potyliczny.

Ciała znajdowały się w odległości paru metrów od siebie, jedno zwrócone ku Akropolowi, drugie ku Pendeli¹. Pomiędzy nie, w pustkę, upadł brelok z hotelowymi kluczami. W kącie leżał telefon komórkowy iPhone 5, a na fotelu opodal czarna teczka Moleskine Folio Professional wypchana dokumentami. Krew ochlapała białą ścianę, obrazy, kanapę, stół, dwie skórzane teczki Samsonite i papiery na biurku. W szklankach stojących przy pustej butelce perriera była wcześniej woda mineralna o smaku cytrynowym – teraz przez szklane ścianki przezierał płyn o różowawym odcieniu. Wytworny salon hotelowego apartamentu na jedenastym piętrze przypominał rzeźnię. Od trupów bił zapach śmierci, zapach strachu, brzęczący w gęstej ciszy jak mucha nad zgniłym mięsem.

Na stole stała taca z owocami – banany, kiwi, gruszki – butelką czerwonego wina i pasteli². Przyćmione światło lamp w rogach salonu wzmagało aurę niesamowitości. Telewizor był włączony. Na ekranie

pokrytym zaschniętymi, nieregularnymi czerwonymi pręgami korespondent stacji NET w Stanach Zjednoczonych relacjonował ostatnie doniesienia na temat ataku terrorystycznego podczas maratonu w Bostonie. Otwierały się kolejne okienka z zaproszonymi do programu komentatorami. Potem pokazano obrazki z Manolady³ – uprawa truskawek, szklarnie, strzały, krew na drodze, ktoś coś mówi. Nie słyhać. Ustawiono opcję „bez głosu”.

Zasłony falowały w podmuchach popołudniowego wiatru wdzierającego się do wnętrza przez uchylone, przesuwne drzwi balkonu. Naprzeciw, w oddali, widniał Akropol. Z dołu, od alej Michalakopulosa⁴ i Króla Konstantyna, dochodził słaby szum samochodów. W łazience na podłodze leżał biały zakrwawiony ręcznik. Nad umywalką, przed lustrem, w szklance ze znakiem firmowym hotelu znajdowała się szczotka do zębów, a obok pasta Colgate Max White, przyrządy do golenia, klasyczny Shulton Old Spice w białej butelce z 1940. Kolekcjonerskiej.

Szkarłatna smuga ciągnęła się do sypialni, gdzie na dywanie leżało jeszcze jedno ciało. Rzucone niedbale, lekko obrócone na bok. Twarzą do góry. Szeroko otwarte oczy patrzyły na śmierć. Strzał w czoło. Krew już stężała i zasklepiła otwór po kuli. Także ku sypialni prowadziły krwawe ślady stóp na parkiecie i wykładzinie. Urywały się przed wielkim lustrem. Do szklanej powierzchni przylepiony był arkusz papieru formatu A4. Sporządzona na komputerze notatka brzmiała:

Zasada pierwsza:

Aste dua u!

*Stać! Co strach wielki siało
w sercach podróżników.*

21 kwietnia 2013

PS Klefci zrobili swoje w górach i zeszli do miast.

Jorgakisa dzieło!

¹ Pendeli, Pentelejkon – góra leżąca częściowo w obrębie Wielkich Aten. Z kamieniołomów na jej północnym stoku pochodzi słynny biały marmur pentelicki, z którego zbudowano przetrwały do dziś kompleks świątyni na Akropolu. U stóp góry leży miejscowość Pendeli z XVI-wiecznym monasterem Zaśnięcia Bogurodzicy. Przypisy, jeśli nie zaznaczono inaczej, pochodzą od tłumaczek.

² Pasteli – batoniki ze sprasowanych ziaren i orzechów słodzonych miodem, na przykład sezamki.

[3](#) Manolada – zagłębie truskawkowe Grecji na północno-zachodnim Peloponezie, opodal Patras. Mowa o strzałach oddanych przez właścicieli upraw do tłumu paruset imigrantów, głównie z Bangladeszu i Pakistanu, pracujących w nieludzkich warunkach, którzy domagali się zaległych wynagrodzeń.

[4](#) Patrz: Słowniczek nazw – Ateny.

2/D1

W Atenach dzisiaj, 23 dnia miesiąca kwietnia roku 1870, wezwany do stawienia się przed nami niżej wymieniony, przesłuchany został, jak następuje:

Pytanie: Nazwisko i tak dalej?

Odpowiedź: Periklís Lioris, ze wsi Wilia w Megaridzie⁵, dawniej rolnik z zawodu, wyznania prawosławnego.

Pyt.: Od kiedy trudnisz się zbójctwem?

Odp.: Od 1856. Po powstaniu w Tesalii przystałem do bandy Kalambalikisa. Tam poznałem Takosa Arwanitakisa. Potem, po zabójstwie Kalambalikisa, poszłem za nim.

Pyt.: W jakim celu podejmujecie zbójcecki żywot?

Odp.: Aby się wzbogacić.

Pyt.: Gdzie przebywaliście przed przybyciem do Attyki?

Odp.: W Liwadii.

Pyt.: I co tam robiliście?

Odp.: Mieliśmy tam kryjówkę. Posłaliśmy po zapasy i przynieśli nam proch, tsaruchy⁶, lukumia, czterdzieści okad mąki, mięso, wino, gomółki sera i inne podarki.

Pyt.: Kto przyniósł?

Odp.: Nie wiem. Takos wiedział.

Pyt.: Dlaczego opuściliście to miejsce?

Odp.: Zdradzili nas. Żandarmi nas wytropili, trza było uciekać.

Pyt.: I z Liwadii dokąd się udaliście?

Odp.: Poszliśmy do Teb, a potem napadli na nas w Ritsonie, i jeszcze raz w Chimadiá. Tam nas ukryli pasterze, znajomi Takosa. Później poszliśmy do Megaridy. Tam zoczyliśmy pościgi, tośmy ruszyli do Pendeli i skryli się w Stamacie. Potem w Maratonie pięć dni kryli my się nad jakimś strumieniem. Raz nawet pościg przeszedł obok, ale nas nie obaczyli. Tam, w Maratonie, nazajutrz zasłyszeliśmy o lordach.

Pyt.: Po schwytaniu lordów poszedłeś z Christosem Arwanitakisem do Kifisji? Co możesz nam o tym powiedzieć?

Odp.: Christos chciał się tam spotkać z lady. Dostał od niej list i pierścień. On wysłał jej nóż wysadzany kamieniami i komboloi ze srebrnych paciorków. Napisał do niej, że bardzo chce się spotkać,

porozmawiać. Obiecał to onemu Vynerowi. Rzekł o tym Takosowi. Tamten ani chciał słyszeć. „Czyś oszalał?”, mówił. „Tam wszędzie żandarmi ukryci będą. Jak pijawki przywrą do ciebie. Złapią cię”. Christos na to, że obiecał dzieciakowi spotkać się z jego matką, że go nie złapią, że jak mają lordów, to tamci się boją, by przypadkiem nie poszło co nie tak. Takos był przeciwny, gotował się ze złości, jął wrzeszczeć. „Cała okolica zajęta przez nich, w kajdanki cię zakują, nie będę mógł lordów zarznąć, twoją głowę wezmą, a mnie zmuszą, bym ich puścił wolno”.

Christos uparty był jak osioł. I w końcu dał się przekonać Takos, coby tamten zrobił jak umyślił, niech się jeno strzeże, niech wyruszy przed świtem i w wielkiej tajemnicy, bo miejsce nie jest bezpieczne. Takos posłał wieść swoim szpiegom, pasterzom, by wsparcie dali Christosowi w razie potrzeby. Mnie zabrał Christos ze sobą, do pomocy. A w ślad za nami ruszył Chormowas, ubezpieczać z daleka. Takos nie chciał puścić Christosa samego. Uzbroiliśmy się po zęby i tak zabezpieczeni ruszyliśmy przed świtem.

Na miejscu byliśmy wcześniej niżli lady. Ukryliśmy się w leśnym gąszczu niedaleko mostu, za skałą. Opodal stał pasterz specjalnie posłany, człowiek Takosa.

Nasamprzód widać było w dali kurz, potem dosłyszeli my powóz. Stanął na moście i czekał. A potem lady wysiadła z jakimś człowiekiem odzianym po zachodniemu i jęła rozglądać się wkoło. Odziana była w długą, czarną suknię, którą trzymała ręką, coby jej po ziemi nie włóczyć. W głębi powozu obaczyliśmy jeszcze jakiś cień, ale kto zacz, nijak było dostrzec. Pomyśleli my, że to ukryci żandarmi, tośmy nie wyszli. Wtenczas zbliżył się do nich pasterz. Zapytali go – ten odziany po zachodniemu – czy widział gdzie Christosa Arwanitakisa. A on odrzekł: „Arwanitakis nie przychodzi, kiedy go czekają. Sam cię znajdzie, jak zechce”. Tamten rzekł to lady w jej języku. Wtenczas znów otworzyły się drzwi powozu i wysiadła z niego młoda pani. Podobna całkiem do dzieciaka, do Vynera, i do lady. Jak nic, jej córka. Spojrzałem na Arwanitakisa, stał zatumaniony. Zaślepiło go. Wzroku od niej nie odrywał. Od tej młodej, nie starej.

Wtenczas wsiedli wszyscy do powozu i pojechali do wioski. W kafenijach⁷ pod platanem, tego dowiedzieli my się później, lady rozpytywała wieśniaków o Arwanitakisów. Miała pełną sakiewkę. Wyjęła grosiwo i postawiła im flaszkę rakí. Ale nie dowiedziała się niczego. Takos miał tam

pewnych ludzi. Już wcześniej im zapowiedział, coby język za zębami trzymali.

Siedzieli my w gąszczu jeszcze dwie godziny. Takos czekał nas w domu u naczelnika. Jakeśmy wracali, Christos nie odezwał się słowem. Inny człowiek był z niego, jak wrócił do Oroposu. Od tamtej chwili marzył tylko, aby ją obaczyć. Nawet gdy dzieciaka zabijał, to o niej myślał. Znałem to jego spojrzenie. Widziałem je już ongiś w Gardiki.

Wieczorem obaczyłem ich, jak gorzałkę pili i gadali, co mieli we zwyczaju, gdy jedni na czaty szli, a inni spać. Ja niespokojny byłem, tom i nie spał. Takos mówił, że ma ją zapomnieć. Straszyl go rozmaicie. Oczy mu błyszczały wściekle. Chciał, by mu Christos parol dał, a tamten nic – nie chciał obiecać. Z dymem puści sprawę, teraz, gdy taka okazja się trafiła, srożył się Takos. Potem wstali rozgniewani i rozeszli się. „Drogo zapłacimy za te niesnaski, masz robić, co mówię”, rzekł jeszcze Takos. „Nie jestem twoją własnością”, odkrzyknął Christos. Rano ja też mu rzekłem, że nie robi dobrze. Zerknął ino wściekły i poszedł sobie. [...]

[5](#) Eparchía Megaridas (Mégara) – dawna prowincja w granicach obecnego nomosu (województwa) Attyki, część obszaru Attyki Zachodniej, z centralną siedzibą w historycznej Megarze.

[6](#) Tsaruchy (gr. *tsaruchia*) – lekkie obuwie greckich wieśniaków i pasterzy z charakterystycznym pomponem na czubkach butów.

[7](#) Kafenijo – tradycyjny grecki lokal, w którym przesiadują głównie mężczyźni, przy kawie i lokalnych trunkach, spędzając czas na dyskusjach lub grze w karty, tryktraka czy szachy.

3/D2

Dzisiaj przyszły wieści z Aten. Matka dzieciaka przysłała mi pierścień z dyjamentami i napisała: „Zatrzymaj go, ale odeślij mi syna”. Ja też wysłałem jej podarek i odpowiedziałem: „Nie martw się, Pani, syn ma się dobrze i przesyła swój list. Zrób i ty, co możesz, żeby to skończyć jak najszybciej. Dziękuję za podarek. Przyjdę obaczyć się z Tobą”.

*Moje pozdrowienia
Christos Arwanitakis*

4/A2

Nienawiść bez wątpienia nie tylko warunkuje wojnę, ale jest samą jej istotą.

Kornilios Kastoriadis

Oto, dlaczego to zrobiłem.

Nie żebym obudził się pewnego ranka i nagle ich znienawidził. Nienawiść wzbierała we mnie powoli, zatruwała mi duszę po kropelce, długie lata, od dzieciństwa. Od czasu... Nigdy nie przestanie mi brzmieć w uszach tamten suchy trzask i jeszcze nieraz zerwę się ze snu przerażony. Trach! Byłem przecież dzieckiem, do diabła, małym dzieckiem, nie miałem nawet dziesięciu lat. Trach! Przekłęta chwila. Tak, nienawiść wzbierała we mnie każdego dnia, ilekroć widziałem ich w telewizji, ilekroć słuchałem wiadomości. Te ich markowe garnitury, ta wytworność, te złote spinki u mankietów, kosztowne teczki. Gotowało się we mnie. Ich znienawidzony obraz tkwił mi w mózgu, cokolwiek robiłem, uporczywy, coraz bardziej natrętny.

Głodujące dzieci, samobójcy, bezdomni, których liczba rośnie w postępie geometrycznym. Półtora miliona bezrobotnych, dwa miliony osiemset tysięcy Greków żyjących poniżej progu ubóstwa, setki tysięcy opuszczających kraj, głównie młodych, w poszukiwaniu szczęścia gdzie indziej. Z powodu niedoli tych ludzi brzydzą się tamtymi i ich nienawidzę.

Nienawidzę ich, bo zniszczyli moje szczęśliwe dzieciństwo, a teraz niweczą moje marzenia.

Nienawidzę ich za to, co reprezentują, kogo reprezentują. Bankierów, cwaniaków uchylających się od płacenia podatków, maklerów giełdowych, skorumpowanych polityków, wielkich szefów Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Europejskiego Banku Centralnego, trojki⁸. Zbójców nad zbójcami. Wszyscy oni z jednego gniazda żmij się wywodzą. I stamtąd atakują – kogo popadnie. Skutki ich nie obchodzą.

Mamy tu dwie rzeczywistości, dwa rodzaje ludzi, żyjących jedni obok drugich, dobrze to wiem. Biedotę i bogaczy.

Czytam o samobójstwach, zbieram zapiski, wycinki z gazet. W jednej teczce samobójstwa, w drugiej przestępstwa i morderstwa.

Próbuję zrozumieć ludzi, którzy z rozpaczyc kładą kres swojemu życiu. Wyobrażam ich sobie, stawiam się na ich miejscu, wnिकam w ich mózgi, staram się myśleć tak jak oni. Cierpienie, desperacja, krew i śmierć. Czytam

o przestępstwach i morderstwach. Chcę pojąć te tragedie, zanurzyć się w ludzkiej niedoli. Chcę znienawidzić najsilniej jak się da, do granic możliwości, tych drani, którzy doprowadzili kraj do takiego stanu. „Polityka to systemowe zarządzanie nienawiścią”. Chcę nienawidzić, jak jeszcze nigdy.

Tak, nienawidzę ich. Nienawidzę po tysiącuroć. Nienawiść to połowa zemsty. Druga połowa...

8 Trojka – grupa złożona z przedstawicieli Komisji Europejskiej, Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Europejskiego Banku Centralnego uczestniczących w procesie reformowania zadłużonych krajów strefy euro.

5/B1

W dni powszednie Romanós Sergidis całą duszą oddaje się uniwersytetowi i studentom. W soboty i niedziele odpoczywa. Ogląda filmy gangsterskie, najchętniej stare, czarno-białe. Amerykańskie. I czyta klasyczne kryminały, głównie Georges'a Simenona. *Człowieczek z Archangielska*, *Paryski ekspres*, *Narzeczona pana Hire*, *Zniknięcie pana Monde* – te podobają mu się najbardziej.

Śpi do późnego ranka. A potem maraton filmów, książek i muzyki – z krótkimi przerwami na drobne zajęcia oraz zaspokojenie podstawowych potrzeb. Po południu półgodzinna gimnastyka. Rowerek i bieżnia treningowa z widokiem na Hymet i lasy Kiesariani przy dźwiękach muzyki klasycznej. Barok: Bach, Vivaldi, Scarlatti. Każdej niedzieli w południe odwiedza dom rodzinny i starych rodziców. Zwyczaj zapoczątkowany po studiach w Szkocji stał się niepodważalną regułą. Ich dom – lokal w starej kamienicy – znajduje się ledwie dziesięć minut taksówką od jego mieszkania w dzielnicy Zografu.

Zawsze przychodzi z czymś słodkim i obowiązkową butelką wina. Oraz z gazetą pod pachą. Zawsze koło dwunastej. Jakąś godzinę czyta gazetę, siedzi bez słowa w wygodnym fotelu i przekłada strony. Matka przygląda mu się bacznie, gdy szurając pantoflami, przechodzi raz po raz przez salon. Grymasy, powzdychiwania, szelest papieru. Ojciec siedzi naprzeciwko, milczy, pali, przegląda przerzucone wcześniej pobieżnie szpalty.

Potem matka daje sygnał: „Gotowe!”. Podchodzą do stojącego w rogu ciężkiego drewnianego stołu, dzieła ojca sprzed lat. Czas na wymianę nowin. Matka o Andonisie, bracie Romanosa mieszkającym w Anglii, „w tym roku też nas nie odwiedzi w wakacje, jadą podobno z żoną do Francji”, o chorobach i drożyznie. Ojciec o dawnych kolegach budowlańcach, na przykład o Tripolitisie, którego spotkał przypadkiem na ulicy, o piwie, które wypili razem w kafenijo, o domach, które wznosili razem tu, nieopodal, „kiepska konstrukcja, tanie materiały, zawała się przy pierwszym trzęsieniu ziemi”. On o wyjeździe do Włoch na konferencję w przyszłym tygodniu, „Zbójectwo w Grecji i we Włoszech w XIX wieku – podobieństwa i różnice”, więc niech go na darmo nie szukają.

Później znowu siadają obaj, ojciec i syn, w fotelach przy szklanej ścianie balkonu. Na starym gramofonie piosenki Kazandzidisa. *Bezlitosne życie... Od młodych lat...* Palą, sączą resztki wina, zawsze czerwonego, ze szczepu *arikarás*. Cyteryjskiego. Ze szczepu, który mieszkańcy Kuklutzás, wioski

leżacej na obrzeżach Smyrny, kitiryjczycy z pochodzenia, przywieźli na rodzinną wyspę jeszcze przed katastrofą małoazjatycką⁹. Z kuchni dochodzi odgłos wody lejącej się do zlewu, pobrzękiwanie garnków, talerzy układanych jeden na drugim na suszarce. Romanós patrzy z piątego piętra na nowe bloki, skamieniałe olbrzymy zasnuwane rzadką mgłą, te, które zawałały się przy pierwszym trzęsieniu ziemi, na duże balkony, zaciągnięte zasłony, na czerwoną dachówkę skromnych uchodźczych domostw. Dostrzega czarne punkciki, stado szpaków lotem strzały przecinających niebo, by pospiesznie zniknąć między drzewami parku, skryć się przed deszczem. Później patrzy na deszcz, cienkie strużki zacinające ukosem, na krople podskakujące na parapecie z atlasowym brzękiem. W dole, na ulicach, szumią strugi wody spływającej z rynien i dookolnych wzgórz, liżą rynsztoki, znikają na zakrętach i w kanałach ściekowych.

Dziadek Romanosa znalazł się w Atenach jako dwunastolatek, z matką i siostrą. Wypędzeni ogniem i mieczem z Kuklutzás. Biedni jak myszy kościelne. Ojca stracili. *Amelé taburú*¹⁰. Nigdy więcej go nie widzieli. Dziadek, Romanós senior, żył i umarł w jednym z pobliskich domów, ubogim, maciupieńkim. Tam też urodził się ojciec Romanosa. „Niech ich Bóg pokarze tych oszustów, polityków. To ich robota. Interesom możliwym tylko służyć umieją. Zatrzaszczyli się kiedy o maluczkich? Ba... W ogień ich rzucili, niech się spalą, niech cierpią”, mawia często. Pamięta okryte złą sławą słowa księcia Andrzeja, syna króla Jerzego I¹¹, z grudnia 1921 roku, skierowane do Metaksasa¹²: „Warto oddać Smyrnę Kemalowi, niechby wyróżnął całą tę hołotę”. Tak, często powtarza tę wypowiedź, słowo w słowo, wypowiedź człowieka uczonego, wykształconego, wbił ją sobie w pamięć, i kręci głową z goryczą.

Ojciec spędził życie na placach budowy. Praca mozolna, zwyczajna, ale uczciwa, no i zawsze dniówkę płacili. Zawsze. Dzięki temu mógł wykształcić synów. Romanosa i jego brata. „Bądź rzetelny i uczciwy. Rzetelny i uczciwy, godny zaufania”, powtarzał starszemu synowi. „Żebyś nikogo w życiu nie skrzywdził”. Taka jest jego spuścizna. Pieniądzy, majątku nie zdobył. Nie miał wykształcenia, lecz o katastrofie czytał. Różne rzeczy. Chciał się dowiedzieć o życiu ojca i dziada, o słynnych różowych winogronach, o szczepie *erp-kará* – *arikará* – o winie z Kuklutzás. O swoich korzeniach. O utraconym raj. I wreszcie zrozumieć. Jak to się stało, jak mogło dojść do takiej tragedii? Kto za nią odpowiada?

Kto i co kryje się za oficjalną wersją historii? Rozumując najprościej, wyrobił sobie własny pogląd. I jakimś dziwnym sposobem zamiłowanie tego prostego człowieka do historycznych dociekań przeniosło się na syna. Romanós Sergidis został historykiem, żeby badać przeszłość, odpowiadać na zadane pytania i stawiać pytania do udzielonych już odpowiedzi. Żeby sięgając w głąb czasu, nadać perspektywę własnemu, jakże krótkiemu, doczesnemu życiu.

Parę miesięcy po przejściu ojca na emeryturę Sergidis dostał zaproszenie na konferencję w Smyrnie. Chciał zabrać ze sobą rodziców. Bilety i pobyt w hotelu – w prezencie. Od niego. Matka nie chciała, ojciec pojechał. Odnaleźli rodzinną wioskę, dziś zwaną Altindağ, pytali o dom Sergidisów trochę po angielsku, trochę po turecku, trochę na migi. Nikt nie wiedział. Ojciec wiele słyszał od Romanosa seniora, drugie tyle wyczytał, ale tu, w Kuklutzás, niestety, niczego nie znalazł. Ani kościołów, ani destylarni, ani olejarni, ani ogromnych upraw słynnej winorośli. Tylko kamienny budynek szkoły z 1921 roku na głównym placu. Spacerowali, weszli do zrujnowanego kościoła, oglądali stare domy, pęknięcia na ścianach, kamienie, dachówki, zbutwiałe drewniane okiennice, pewnie wszystko greckie, usiedli na kawę przy placu. Tyle. Tylko tyle. W milczeniu wracali taksówką do Smyrny. Przez następne dwa dni ojciec był w kiepskim nastroju. Nie wychodził z hotelu. Zamknął się w sobie. Nawet na nabrzeże nie chciał pójść, tam, gdzie zginęło tylu ludzi. Nie, nie chciał. Nie dawał rady. „Bestie... bestie...”, powtarzał. Romanós wiedział, o kim ojciec mówi. „Niech ich Bóg pokarze...”.

Tak zwykle spędzają niedziele. Siedząc w fotelach, paląc, pijąc wino, przeplatając długie chwile milczenia komentarzami o bieżących wydarzeniach – o trojce, nowych środkach zaradczych, obniżkach emerytur, podatkowych haraczach. Potem dołącza do nich matka. Rozsiada się na kanapie. W grubych kościanych okularach, z przyborami do szycia. Nici, napastrzek, igły, szpulki... Zaceruje skarpetkę, naprawi koszulę, obrzuci dół starej spódnicy zapomnianej od lat w szafie, obszyje serwetki, obrus. Sergidis patrzy na długie, krzywe palce, gdy uwijają się sprawnie, mimo zaawansowanego wieku, i nadają kształt chaosowi, porządkują nitki, łączą początek z końcem. Milczy i ona czas jakiś, wszyscy troje słuchają, jak zegar na drewnianym meblu w rogu tyka, kołysząc ich do snu. Ojciec ziewa, zamyka oczy, pochyla głowę.

Sergidis dobrze zna tę matczyną ciszę. Wie, jak walczy ze sobą, nim rozpocznie rozmowę. Nim znajdzie słowa. Nim je ułoży w stosownej kolejności. Ciągłe ta sama śpiewka. Ona się zamartwia. Chciałaby go widzieć na ślubnym kobiercu. Powinien mieć rodzinę, żonę, dzieci. A dla niej wnuki. „Bo od tamtego pewnie się nie doczeka, nieudacznika jednego, i tej jego angielskiej żony, tej... tej... Tyle ryb w morzu, tę musiał wyłowić?”.

Sergidis senior otwiera oczy. „Dajże spokój, przesadzasz, sympatyczna jest. Skoro synowi się podoba, tobie nic do tego”, strofuje żonę. A ona dalej swoje. „Tej... tej...”.

„Lata lecą, chłopcze. Musisz się zdecydować. Znajdź sobie dobrą dziewczynę z naszych stron”, sprowadza rozmowę na to, co ją trapi. Co jej nie daje spokoju. Z początku Sergidis się denerwował. Ucinał rozmowę, nie będzie słuchał wskazówek dotyczących spraw osobistych. Zrobi, co zechce, z własnym życiem. Ojciec brał jego stronę. „Daj mu spokój. Dobrze chłopak mówi. Czemu pchasz nos gdzie nie trzeba?”.

Żał mu jej. Wie, że się dręczy, więc jej żałuje. Widzi wilgotniejące oczy matki i przykro mu, że się do niej odnosi szorstko. W końcu, niech tam, niech robi, co do niej należy. Ona tymczasem zawsze znajdzie sposób, by wrócić do tego samego, choćby i okrężną drogą. „Jorgos z szóstego piętra, syn pani Lukii, ma już drugiego synka. W środę mu żona urodziła. Pewnie Luká dadzą chłopcu na chrzcie, po babci”, powiada między jednym a drugim nakłuciem tkaniny igłą.

Sergidis przyjmuje te słowa z uśmiechem – zaczynają go bawić – z humorem, z cynizmem. „Wczoraj rano nie miałem zajęć, więc poszedłem na nabożeństwo. Na św. Andrzeja. Przed nami sporo świąt. Jutro wieczernia, nieszpory. Też pójdę. Blisko mam, po sąsiedzku”, mówi najpoważniej jak umie.

Matka spogląda na niego podejrzliwie. Nie rozumie, do czego syn pije. „Ty? Do kościoła? Co cię napadło? Chory jesteś? Do niedawna obok przejść było ci za wiele...”.

On ciągnie dalej: „A w okresie wielkanocnym pojedę na parę dni na górę Atos. Zajrzę do tamtejszego archiwum, poszukam kilku rzeczy do mojej książki”. Jeden z hersztów zbójceckich skrył się swego czasu na górze Atos, w „republice mnichów”, i tam zmarł samotnie w późnej starości, zapomniany. Organy ścigania szukały go gdzie się dało, na darmo, ślad po nim zaginął. Prawda wyszła na jaw, gdy od lat nie żył.

Matka upiera się przy swoim. „Musisz się wreszcie zdecydować, chłopcze”, powiada. I mocuje się z igłą i nitką, i szyje... dary dla przyszłej panny młodej.

On milknie, ona zerka na niego spod oka. Wtenczas on strzela z grubej rury. „Wiesz, mamó... Zastanawiam się nad tym od dłuższego czasu. Wstąpię do klasztoru. Rzucę uniwersytet...”. Zemsta.

Ona wytrzeszcza oczy, otwiera usta. Powaga znika z twarzy syna, Romanós wybucha śmiechem, a matczyne serce wraca na swoje miejsce. Starsza pani unosi ręce, żegna się, dwa, trzy razy. Kocha ją, kocha matkę, ma do niej słabość. Tak, widzi, że się zadręcza, ale co ma zrobić? Wystarczy postanowić? Takie to proste?

Był naturalnie w różnych związkach przez te wszystkie lata. Przelotnych. I paru poważniejszych, które trwały dłużej, lecz przepadły w rutynie codzienności. Płomień zgasł w gmatwaniu uczuć, słów, wahań i wątpliwości.

Ale w ostatnich miesiącach nastąpiła zmiana. I chyba po raz pierwszy stanął przed dręczącym dylematem. Czy powinien wreszcie przekroczyć granicę kawalerskiego życia i znaleźć się po drugiej stronie? Spotyka się z pewną młodą kobietą. Ten związek go zadowala. Gdy są z sobą, niczego mu nie brakuje, czuje się spełniony, mógłby nawet powiedzieć, że jest szczęśliwy. Chce wierzyć, że i ona ma podobne odczucia. Ale czy łatwo zerwać z rzeczywistością, którą tak dobrze zna i w której tkwił tak długo? Nie wie.

[9](#) Katastrofa małaazjatycka – klęska Grecji w wojnie z Turcją w latach 1919–1922, wywołanej Wielką Ideą połączenia w jeden organizm państwowy ziem zamieszkiwanych przez Greków, a będących ówczesnie pod administracją turecką. W wyniku przegranej Grecję ogarnął kryzys polityczny i gospodarczy. Rozejm przewidywał między innymi wymianę ludności. Z Turcji wysiedlono około półtora miliona Greków, z Grecji zaś paręset tysięcy Turków.

[10](#) *Amelé taburú* – bataliony pracy istniejące w Azji Mniejszej w czasie pierwszej wojny światowej i katastrofy małaazjatyckiej. Do przymusowej pracy w skrajnie trudnych warunkach kierowano mężczyzn w wieku 15–48 lat, głównie Greków i Ormian. Była to jedna z metod czystek etnicznych stosowana przez młodoturków Kemala Atatürka. W batalionach pracy straciły życie setki tysięcy Greków (przyp. autora).

[11](#) Jerzy I (1845–1913) – król Greków w latach 1863–1913, z dynastii Glücksburgów.

[12](#) Joanis Metaksás (1871–1941) – polityk prawicowy, generał, w latach 1936–1941 premier, sprawował władzę dyktatorską.

6/C1

Apostolu siedzi u szczytu stołu. Naprzeciw żona Anna, po prawej i lewej synowie. Rzadko się to zdarza. Zwykle go nie ma. Teraz też dopiero wrócił z pracy. Jest niedziela. W trybie pilnym wezwano wszystkich na służbę, odwołano urlopy. Nawet nie zdążył się przebrać. Siedzi w mundurze, na naramienniku złota gwiazdka i znicz. Po zabójstwie przedstawiciele trojki tuż przed południem całą policję postawiono na nogi. Wizja lokalna na miejscu zbrodni w hotelu, zebranie za zebraniem do późnego popołudnia. Dopiero pod wieczór rozdzielono zadania, powołano odpowiedzialnych. Gdy sprawy zostały uporządkowane i gdy nadano im właściwy tok, gdy każdy zajął się swoją działką, ci „bez teki” dostali wolne – na razie.

Apostolu uśmiecha się. Usiłuje się uśmiechać. Synowie wypytują o poczwórne morderstwo. Oglądali wiadomości w telewizji, słyszeli syreny aut policyjnych i ambulansów niepokojących przez długie godziny centrum miasta i pobliskie dzielnice. Pandemonium. Apostolu nie odpowiada, nigdy nie odpowiada, nigdy nie rozmawia o sprawach służbowych w domu – gdy zdarzy się, że jest w domu. Taka jego powinność.

„Wiem tyle co wy”, mówi. Zawsze ta sama odpowiedź. Zawsze to samo kłamstwo. Chłopcy nie są głupi, kiwają głowami, wydymają usta niezadowoleni. Kłamstwo nieszkodliwe. A pozwala uniknąć niezręcznych sytuacji. Później zmienia temat. Zawsze tak robi, zmienia temat, wykręca się, miga.

A więc znowu Andros, Ammólochos. Tęsknota. Natrętne myśli. Kocha i wyspę, i rodzinną wioskę. Próbuje wpoić tę miłość dzieciom. W następnym miesiącu spędzą tam tydzień, Wielkanoc, u babci i dziadka.

– Znowu do tych starych domów nas zaciągniesz, do Wieży Janulisa, albo do źródła Jonakisa, albo do kapliczki Czterdziestu Męczenników. Znowu będziemy latać po pustkowiach i robić zdjęcia – narzeka młodszy.

Apostolu się uśmiecha. Obiecuje, że tym razem pokaże im miejsca, których jeszcze nie widzieli, jaskinię w Aladinu, Wieżę Bistisa, wodospady. Niesamowite wodospady. Próbuje ich czymś pozyskać. Pozwoli im robić zdjęcia swoją leicą. Mogą pojechać na plażę Zorkos, ustawić aparat na trójnogu, obserwować i fotografować pięćsetką ptaki, mewy, sokoły, a nawet rybołowy, jak szczęście dopisze.

– Nie chcecie? Zresztą... Zastanówcie się... Będą też furtalia, babcine omlety.

– To tylko... nic więcej – powiada starszy, uczeń drugiej klasy liceum.

– Nie tylko. A wielkanocne petardy? Ognie bengalskie? Prawdziwa wojna...

– Przestańcie marudzić – strofuje ich mama. – Od trzech lat nie byliśmy razem na Andros. I to z waszego powodu. Chociaż taniej byłoby... Zresztą babcia i dziadek mają prawo was zobaczyć od czasu do czasu. Nie możemy im tego odmawiać. Są już przecież starszymi ludźmi...

Pochylają się nad talerzami naburmuszeni, zajadają. Pieczony kurczak z ziemniakami. Coś mruczą, coś do siebie szepczą, wreszcie milkną. Widelce stukają niezręcznie o talerze. Słyszą plusk wody nalewanej z karafki do szklanek.

– Byłam w biurze podróży. Kupiłam bilety – mówi Anna. – Zdrożały od poprzedniego tygodnia. W sumie o sześćdziesiąt euro. Zwykle naciąganie ludzi.

Apostolu kręci głową. Żuje, przełyka. Ociera usta serwetką. Rozumie.

– Muszą wreszcie znaleźć jakiś sposób, żeby ukrócić te spekulacje – komentuje.

Potem pyta dzieci o szkołę, chwytą okazję, skoro ma chłopców przed sobą, jak im idzie, czy starszy nadal droczy się z nauczycielem historii?

– Nie znoszę go – odpowiada syn – nie wiem, co z tego wyniknie na koniec roku. Ale on ciągle ma coś przeciw Bizancjum. Gdyby mógł, nawet obecny kryzys zrzuciłby na Bizantyńczyków – skarży się i zaczyna przedrzeźniać profesora, zmieniając barwę głosu i wymachując komicznie rękoma. – „Wykorzystywali prostych ludzi, całe narody, sąsiednie kraje, byli bezwzględni i bogobojni do obrzydzenia” – i ciągnie dalej, niezmiennym już głosem, z pełną buzią. – A co najgorsze... To nie było żadne imperium greckie, tylko wielonarodowa mozaika, która musiała się rozpaść prędzej czy później.

Teraz Apostolu powstrzymuje śmiech. Bo wydaje mu się to śmieszne. Syn jest czupurny. Całkiem niepodobny do niego. On idzie przez życie z pochyloną głową. Tak było w szkole, na uniwersytecie, w szkole policyjnej i teraz, w czasie służby. Zawsze. Cieszy się z syna, który jest energiczny, wymagający. Podoba mu się taka postawa. Plus, który przyda się chłopakowi w tej dżungli.

– Wczoraj, wyobraźcie sobie, mówił nam, że Bizantyńczycy przyjmowali komunię świętą z dodatkiem farby zdrapanej z ikon albo rozdrobnionych kości świętych. Pewnie z komunistami trzyma. Albo jeszcze gorzej –

z Syriza¹³. W kółko się teraz takie głupoty słyszy, a to o Azji Mniejszej, a to o starożytnej grece... Nie wytrzymałem. Powiedziałem mu, że nie wiem, czy to, co mówi, jest prawdą, ale myślę, że coś takiego mogło się zdarzyć raz albo dwa, że to odosobnione przypadki. Nie powinien uogólniać. Bo nie takie było Bizancjum.

Apostolu wciąż się uśmiecha. Anna spogląda na niego surowo i wtrąca:

– No, pochwal go, powiedz, że dobrze robi. Niech się stawia. I bądź z niego dumny! Aż nam wreszcie do Złotego Świtu¹⁴ przystanie. W szkole się nie politykuje, rozumiesz, Jani? – kończy, zwracając się do syna.

Potem karci młodszego, który zapomniał o talerzu, tylko się gapi:

– A ty jedz!

Apostolu uznaje, że żona ma rację. Nie powinno tak być. Mówi do syna:

– Jednym uchem wpuszczaj, drugim wypuszczaj. Nie powinieneś wdawać się z nim w przepychanki, to w końcu twój nauczyciel. Cokolwiek mówi, trzeba go szanować. A kiedy...

Dzwoni komórka. Anna unosi głowę, spogląda na męża z żalem. Wie. Intuicja. Apostolu odwzajemnia spojrzenie. On także wie. Widzi numer. Odkłada widelec na talerz, serwetkę na stół. Wstaje, idzie do sypialni. A gdy wraca po dwóch minutach, rzuca „przykro mi”, widząc posępną minę żony. Musi natychmiast wyjść. Wzywają go. Sam Komendant Główny. Zostawia jedzenie w połowie, wychodzi.

Był już kiedyś w gabinecie Komendanta Głównego. Z innymi nowo awansowanymi policjantami. Krótkie zapoznanie, uścisk dłoni, rady. Był jednym z wielu. Teraz jest sam naprzeciw niego. I jego zastępcy. Czuje się mały, bardzo mały przy złotych naszywkach, diamentowych gwiazdkach, szabli skrzyżowanej z pałąką, zniczach lśniących na epoletach. Generałowie i on, młodszy inspektor.

Tak, czuje się nieswojo. Jak pierwszego dnia w szkole, w podstawówce. Dziwne, że do tamtych lat pobiegły jego myśli. Zagubił się w czasie. Wciąż pamięta tamto szczególne zdenerwowanie, będzie je pamiętał do końca życia. Szedł drogą w górę, szybkim krokiem, z tornistrem na plecach. Zasapany. Bał się. Nie chciał się spóźnić. Często widywał przez płot nauczyciela stojącego na szkolnym dziedzińcu z różgą w ręce. Wiedział. Dzieci mu opowiadały, pokazywały poranione ręce. Nie, nie chciał się spóźnić. „Różgą nas uczy”, mówiły dzieci. Wyobrażał sobie tę scenę. Książka w jednej dłoni, witka w drugiej. Tak go kształcić będą.

I proszę, stoi przed komendantem. Jak uczeń. Stres. Pot. Serce wali. Komendant jest trochę po sześćdziesiątce, w dobrej kondycji, szpakowaty, lekko łysiejący. Głos ma niski, ochrypliwy. Patrzy na podwładnego przez chwilę, patrzy mu prosto w oczy. Jakby ze zdumieniem, z wahaniem. Trzyma w palcach pióro, złoty parker, puka nim nerwowo o blat biurka.

– A więc, Apostolu, moi współpracownicy mówią o panu w wyjątkowo pochlebnych słowach... – zaczyna i cichnie.

Znowu popatruje z ukosa, w zamyśleniu. Jakby powątpiewał, teraz gdy ma go przed sobą, czy wszystko, co o nim słyszał, to faktycznie prawda. Czy rzeczywiście jest taki sprawny?

– Przejrzałem pańską teczkę. I... przeczytawszy zawartość, utwierdziłem się w przekonaniu... Po studiach kontynuował pan naukę w Stanach Zjednoczonych w zakresie wykrywania masowych przestępstw pospolitych... Ale do rzeczy. Naczelnik wydziału zabójstw, w stopniu inspektora, właśnie złożył rezygnację. Mam ją tutaj – powiada szorstkim głosem i unosi w górę kartkę papieru. – Będę z panem szczerzy. Powierzyłem mu w południe sprawę poczwórnego zabójstwa w hotelu. I uprzedziłem go... Albo szybko wyjaśni tę sprawę, albo polecą głowy – jego zwłaszcza. Premier jest bardzo zaniepokojony. Wezwał mnie po południu w trybie nadzwyczajnym. Naciskają go. I Europejczycy, i Amerykanie. Chcą sprawców. Gdy wróciłem, naczelnik wydziału zabójstw przedstawił mi jakieś wysane z palca przeszkody. Powody osobiste, zdrowotne, nie ma znaczenia. Ugiął się pod ciężarem odpowiedzialności. Natychmiast zażądałem, by złożył rezygnację. Dla policji greckiej ta sprawa jest sprawą honoru. A także kwestią najwyższej wagi dla bezpieczeństwa kraju. Rozmawiam z panem otwarcie. I proszę o szczerą z pańskiej strony. Chcę, żeby pan podjął się tego zadania. Jeśli odpowiedź będzie pozytywna, wyjdzie pan z tego gabinetu jako naczelnik wydziału zabójstw w stopniu inspektora. Pozostanie nam jedynie podpis ministra dotyczący awansu. Rozumie się, że jeśli się panu nie uda, przepadniemy obaj. Obu nas poślą do diabła. Udźwignie pan taki ciężar? Podejmie się pan? Oczekuję odpowiedzi teraz, zaraz.

Apostolu jest zaskoczony niespodziewaną propozycją komendanta. Błyskawicznie rozważa, jaki ma wybór. Zastanawia się parę sekund. Nie może zwlekać. Czas start! Musi zareagować. Szybko. Jak wtedy... Był zwykłym policjantem. Pamięta. Wtargnęli z kolegą do mieszkania w Kipseli. Broń gotowa do strzału. Mieli informację o narkotykach.

On ruszył w stronę kuchni, kolega do sypialni. Wtedy padł strzał. Usłyszał „Aaa!”, przeciągłe, pełne bólu „Aaa!” kolegi. A potem głuchy odgłos upadającego ciała. Zawrócił do korytarza, zobaczył złoczyńcę z pistoletem w ręce – po pierwszym szykował się do drugiego strzału, by dobić leżącego policjanta, który broczył krwią i wytrzeszczonymi oczyma patrzył w twarz śmierci. Apostolu błyskawicznie podjął decyzję, nie zawahał się; dwukrotnie nacisnął spust, napastnik padł martwy. Potem wezwał karetkę. Kolega uszedł z życiem, cudem mu się udało. Kula w ramieniu. Lekka rana. Apostolu dostał pierwszy awans.

No cóż, myśli, wyzwanie, z przodu przepaść, z tyłu topiel. Co robić? Przywykł do wyzwań. Od lat stawiał pracę ponad wszystko, ponad siebie samego, ponad rodzinę. Dlatego szedł naprzód, dlatego awansował i dotarł do tego punktu. Nie bez ofiar. Bo ta postawa miała swoją cenę. Ale teraz nadarza się znakomita okazja, by wspiąć się na najwyższe szczeble hierarchii. I to szybko. Nie jest przesadnie ambitny. Niemniej całe życie czekał na tę chwilę. I oto przyszła. Wcześniej niż przewidywał. Szansa. Albo da sobie radę, albo się stoczy w otchłań i pociągnie za sobą rodzinę, jej przyszłość. Wielkie ryzyko.

Ale też... Czy może odmówić? Czy może zawieść zaufanie komendanta, zlekceważyć jego wolę i iść dalej jak gdyby nigdy nic? Czy może sprzeniewierzyć się służbie, którą pełnił rzetelnie, bez ustępstw i kompromisów przez wszystkie minione lata? Nie, nie może. Nie może tych lat zaprzepaścić. Odpowiedź brzmi: „nie może”. A odpowiedź dla komendanta musi brzmieć: „tak”. Suche „tak” wydobywa się z głębi trzewi, podchodzi do krtani, rozlega się niespodziewanie, jakby wypowiedziane przez kogoś innego, obcego. Bo to nie jego głos. Nie jego. Apostolu unosi głowę, patrzy na przełożonego wzrokiem jasnym i pewnym.

– Dołożę starań, panie komendancie! Zrobię, co w ludzkiej mocy, żeby pana nie zawieść.

[13](#) Syriza – lewicowa, umiarkowana eurosceptyczna partia polityczna. W 2015 r. zwyciężyła w wyborach parlamentarnych.

[14](#) Złoty Świt – skrajnie prawicowa, uznawana za neonazistowską partia polityczna w Grecji.

7/A3

Ojciec przychodził do domu niespokojny, roztargniony. Wracał z pracy ponury. Siadał z nami na werandzie na chwilę, żeby się tylko pokazać, powiedzieć „dobry wieczór”. Nie czuł się dobrze. Był zagubiony, pogrążony w swoim świecie. Mówiliśmy do niego, a on wpatrywał się, nieobecny, w pustkę, w miejskie światła, w gwiazdy na wysokim niebie.

A potem wstawał i odchodził. Zdawało się, że plecy mu ciężą, garbił się, ręce zwisały po bokach, jakieś brzemie niewidoczne, nie do udźwignięcia, przyginało go do ziemi. Zamykał się w swoim pokoju. Mama się zamartwiała, nie rozumiała. Widziałem to w jej smutnej twarzy. W jej pięknych niebieskich oczach, które traciły blask, mgliły się nagle gotowe trysnąć łzami. Tak, widziałem łzę drżącą w kąciku oka. Słyszała, jak późno w nocy przewraca się obok niej na łóżku. Jak wzdycha. A potem wychodzi na balkon, stąpając na palcach, żeby jej nie obudzić. Ze wzrokiem wbitym w odległy punkt na wschodzie, poza okupowaną częścią Nikozji, poza górami Pendadaktilos, palił papierosa za papierosem. Rano mama znajdowała popielniczkę pełną. Po brzegi. Popiół i niedopałki zgniecione, pogięte, ubite. Rothmans Royal. Co go gryzło, nie powiedział jej nigdy. Nie chciał. Wolał borykać się sam. Z pracą, ze stresem, z nowym sklepem, który zamierzał otworzyć? Może. Ale mama czuła, że nie o to chodziło. Ojciec nigdy się tak nie zachowywał. Teraz otwierała się między nimi przepaść. Mroczna, nad którą nie przerzucisz mostu. Wiedział, że nie jest wiarygodny, kiedy podaje byle usprawiedliwienie. Żeby się wykręcić. Prawdy dowiedzieliśmy się później. Gdy o tamtej szarej godzinie odszedł na zawsze.

Ojciec nie miał łatwego życia. Opuszczał rodzinną wieś, zwaną Święty Epiktet, na północy Cypru w popłochu, uciekając przed piekłem wojny. O porze, gdy najeźdźcy zbliżali się do pierwszych domów, wśród zgiełku i zamieszania, w chwili, gdy samoloty zniżały lot, gotowe zrzucić napalm, rzygać ogniem, siać śmierć, w dniu Proroka Eliasza¹⁵. Mokry od potu, śmiertelnie przerażony, biegł, żeby się ocalić. „Uciekaj w góry, dogonimy cię”, powiedzieli rodzice. Chcieli jeszcze zabrać parę rzeczy z kufra, wygrzebać ukryte w nim marne grosze. Siostra była na obozie w górach Tróodos. Daleko, nic jej nie groziło. Trzymał w rękach owinięte w skrawek starego prześcieradła pistolet i jatagan prapradziadka Drakosa. Ojciec wcisnął mu je do ręki w ostatniej chwili. „Pilnuj tego!”. Odprowadził go

do drzwi, klepnął w plecy. „Leć!”. Pobiegł. Ścisnął zawiniątko i biegł, biegł za ludźmi uciekającymi w panice. Miał ledwie dziesięć lat. Mijał samochody stojące w płomieniach, zwęglone zwłoki. Zapach spalonego ludzkiego ciała. Skamieniałe korpusy. Ramiona wzniesione wysoko, wyciągane do nieba. Wyraz grozy na zniekształconych twarzach. Boże mój, Boże! Potworność. Odwrócił głowę. Przyspieszył, byle uciec, oddychał z trudem. Popatrywał za siebie, lecz bliskich nie widział. Samotnie pokonał grzbiety Pendadaktilosu, zszedł na drugą stronę, dotarł do Nikozji. Znalazł schronienie w budynku szkoły podstawowej. Ścisk, ludzie upchani jak sardynki. Spał na podłodze, stał w kolejce po porcję strawy, zawsze trzymając w dłoniach cenne zawiniątko. Uważał, żeby go nie zgubić, żeby mu go ktoś nie wyrwał. Żeby nie przerwać nici łączącej go z korzeniami, z własnymi dziejami. Po paru dniach usłyszał w radiu komunikat Czerwonego Krzyża. Swoje nazwisko, nazwę wioski, którą utracił, którą musiał opuścić. Szukali go bliscy. Zdołali uciec, zanim bestia zacisnęła kleszcze, w ostatniej minucie. Znowu byli razem. Rzucił się matce w objęcia. Przytulony do matczynej piersi słyszał głuchy odgłos serca, które na powrót zaczęło bić, jej łzy kapały mu na policzki. A już myśleli, że nigdy więcej go nie zobaczą, że zginął w płomieniach. Mimo otaczającej ich śmierci, mimo wygnania i niedoli, tam, w obozie dla uchodźców, choć nie u siebie, znowu byli szczęśliwi. Ale nic już nie było takie jak dawniej. Nastął kres beztroskiego życia, kres dziecięcej naiwności, kres rajskiego szczęścia. Niewidzialna ręka, uzbrojona w ostrze, uderzyła na oślep i podcięła korzenie marzeń.

Długie miesiące mieszkali w namiocie, całe lata – w osiedlach dla wygnańców. Beton. Płyta wiórowa. Blacha falista. Mój dziadek zmarł w pokoiku wąskim jak cela więzienna. Nowotwór. Nieutulona tęsknota. W ostatnich chwilach, gdy śmierć brała zamach kosą, wydało mu się, że znów jest we własnym cytrynowym gaju. O zmierzchu. Że trzyma w ręce łopatę, że podlewa ogród. Czuł zapach wilgotnej ziemi i kwiatów cytryny. I usta ściągnięte bólem rozluźniły się. A przed ostatnim tchnieniem ułożyły się do nikłego uśmiechu. Tak umarł mój dziadek, uśmiechnięty. Babcia odeszła w ślad za nim po paru latach. Zdążyli jeszcze wydać za mąż siostrę mojego ojca. Po tygodniu młoda para wyjechała do Australii. Emigranci. Nakryli dwa, trzy stoły dla gości. Ubogi, ubożuchny weselny poczęstunek. Poczęstunek na pożegnanie. Babcia co rusz odchodziła na bok, pogrążona w smutku. Wilgotniały jej oczy. Taka radość... Nigdy

więcej nie zobaczyli swojego domu, starego dostatniego domu z wielkim balkonem, nad brzegiem morza. Ani cytrynowego gaju dziadka. Ani tego.

Ojciec osierociał w ostatniej klasie liceum. Siostra chciała go zabrać do Australii. Przysłała zaproszenie, bilety. Nalegała. Nie chciał, uparł się, nie chciał emigrować. Parę lat mieszkał z ciotką. Zarzucił marzenia o studiach. Choć bardzo pragnął się uczyć, trudności były nie do pokonania. Chciał zostać geologiem, botanikiem, entomologiem, kimś takim. Kupił książki i czytał. Geomorfologia Cypru, endemiczne owady i rośliny. Fauna. Nie, nie mógł studiować. W dwudziestym roku życia, zaraz po służbie wojskowej, zaczął pracować. Najpierw za marną dniówkę. Ale z czasem zaoszczędził trochę grosza, zaciągnął pożyczkę i otworzył pierwszy sklep. „Jorgos Sokardís. Artykuły wędkarskie”. Miał bzika na punkcie łowienia ryb. Od dziecka. Sprzęt własnej roboty: żyłka przyczepiona do trzciny ściętej przy pobliskim strumyku, haczyk z zakrzywionego gwoźdźca. Po szkole rzucał tornister i pędził wędkować. Wysiadywał między skałami, na plażach, przy ustronnych zatoczkach w pobliżu wsi. Dwa kroki od morza – tam czuł się u siebie. Pasję zamienił w zawód. Sklepek dobrze się rozwijał, długi zostały spłacone. Poszedł więc dalej. Wielki sklep – sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Potem następny. Wkrótce Jorgos Sokardís, uchodźca, biedaczyna, który dotarł na nieokupowane tereny w jednych portkach i jednej koszuli, stał się wyłącznym importerem znanych artykułów wędkarskich. Firmy europejskie. Amerykańskie. Japońskie. Zaopatrywał sklepy w Nikozji, a potem i w innych miastach. W ciągu dziesięciu lat zbudował małe imperium. Za sprawą szczęścia i uporu. Entuzjazmu i wytrwałości.

Lubiłem buszować po sklepie, oglądać żyłki, ciężarki, kolorowe spławiki, haczyki, kołowrotki, wędziska. Sprzęt na każdy gust. I na każdą kieszeń. Zachodziłem tam popołudniami. Słuchałem opowieści wędkarzy, którzy przychodzili na zakupy. Przesadzali czy nie, mówili prawdę czy fantazjowali, wszystkie ich słowa przypominały mi baśnie z tysiąca i jednej nocy. Ojciec posuwał się w opowieściach jeszcze dalej. Znał nieskończenie wiele nieprawdopodobnych historyjek o łowieniu ryb. Zwykle szokujących. Opowiadał je w mojej obecności, mama go karciła. „Przy dziecku?”. Był znakomitym bazarzem. Myślę, że jak każdy wędkarz. Czytał wszystko, co się wiązało z wędkowaniem, co dotyczyło ryb i ich zachowania, aż wreszcie powstała w domu bogata specjalistyczna biblioteka.

Budował relacje z klientami. Był im wierny, a oni byli wierni jemu. Wymieniali się informacjami. Z niektórymi łowił ryby w soboty i niedziele. Na wędkę z brzegu albo na otwartym morzu, sieciami lub ciągnąc przynętę za płynącą łodzią. Doskonalił technikę poprzez lekturę, praktykę i eksperymenty. Był bardzo dobrym, znakomitym wędkarzem. Ryb nigdy nam nie brakowało.

Własnym staraniem i pasją zbudował także nasz dom. Górujący na jednym ze wzgórz Nikozji. Jego mały pałac. Prosty fronton, kamień, balkon przypominający dawny dom na wsi. Takim go chciał mieć, takie wskazówki dał architektowi. Troszczył się o szczegóły, codziennie doglądał majstrów. Pragnął patrzeć wieczorami na rozproszone w dole miejskie światła, na grzbiety przeciwległego Pendadaktilosu i marzyć. Za górami, u ich stóp, nad morzem, była jego wioska. Zamykał oczy i wyobrażał sobie, że znowu tam jest.

Sam zaprojektował ogród, sam kopał ziemię, sadił rośliny, podlewał je i zraszał, przycinał gałęzie. Letnimi popołudniami i wieczorami siadywaliśmy pod drewnianym daszkiem altany, którą sam zbudował. Wokół niej zasadził krzewy róż czerwonych, różowych, białych. W dole miasto, na wprost Pendadaktilos – ponury wieczorem, zraniony flagą okupanta, olśniewający w blasku słońca.

Potem nastał złoty okres giełdy. Najlepszy przyjaciel ojca, kolega z liceum, prowadził biuro maklerskie. Radził mu, jak inwestować. Ojciec nie mówił o tym mamie. Nikt o niczym nie wiedział. Tajemnica. Zainwestował niewielki kapitał. Tak się zaczęło. I jak to zwykle bywa, apetyt rósł w miarę jedzenia. Rosło też ryzyko. Przyjaciel namawiał, żeby inwestował więcej. Jeszcze więcej. Obiecywał, zaklinał się, że za dwa lata najdalej ojciec pomnoży kapitał do niewiarygodnych rozmiarów. „Jak ikra jesiotra, przyjacielu, czarny kawior!”, mówił, chichocząc. Używał języka, który ojciec rozumiał najlepiej. Spłaci dom, kupi lokale na sklepy, koniec z wynajmowaniem, zabezpieczy nas do końca życia, a ja będę mógł studiować na najlepszych zagranicznych uczelniach. Niespełnione marzenia ojca miały zrealizować się w moim życiu.

Notowania szły w górę, cały czas w górę. Ojciec brał pożyczki i inwestował. Wracał do domu w euforycznym nastroju. Przez dwa lata zarobił tyle, ile nie zarobił uczciwą pracą, własną krwawicą, przez piętnaście lat. Jesiotr. Czarny kawior. Zaczeka do końca roku, 1999, taką sobie wytyczył granicę, do brzasku nowego tysiąclecia, potem upłynni zyski

i spłaci długi. Dopiero wtedy ogłosi nam wielką nowinę. Żeby ją uczcić, kupił bilety na wyprawę do Ameryki. Niespodzianka! Nowy Jork, Floryda, Miami, Teksas, Arizona i Wielki Kanion, Kalifornia, Los Angeles i San Francisco, Waszyngton.

I wtedy przyszło załamanie. Błyskawiczne. Wartość akcji spadała na łeb na szyję. Nikt nie kupował. Ojciec stracił wszystkie pieniądze. A wraz z nimi stabilność. To, co budował z takim trudem, runęło w jednej chwili. Wiedział, że jest bankrutem. Długi miał ogromne. Garbił się z każdym dniem coraz bardziej, kurczył, ugiął. Na początku siadywał jeszcze z nami w ogrodzie, nie za długo, z przyzwyczajenia. Pograżony w milczeniu. Czasem tylko szeptał coś bladymi ustami, jakby tracił głos. To zwarte, potężne ciało nie było już moim ojcem. Było cieniem. Powietrzem. Nie widział światła miasta w dole, lecz chaos, niewyobrażalną pustkę, czeluść, która go pochłaniała. Potem człapał do swojego pokoju i zamykał się na długie godziny, samotny. W nocy wstawał z łóżka, tkwił na balkonie, palił aż do świtu.

Zmowa bankierów, maklerów i polityków wywołała katastrofę. W ciągu jednego roku połowa cypryjskich gospodarstw domowych zainwestowała na giełdzie łączną kwotę dwóch miliardów euro. Maklerzy ludzi wykorzystywali, bankierzy udzielali im pożyczek, politycy ich zachęcali, garstka cwaniaków zarobiła krocie kosztem rzeszy naiwnych i prostodusznych. Dwa miliardy euro trafiły w ręce grupy o najwyższych dochodach. Z wielką łatwością. Nikt nie poszedł za kratki, nikt nie został ukarany.

I pewnego wieczoru usłyszeliśmy: Trach! Przekłęty suchy odgłos, krótki i przenikliwy, przeszył powietrze, dotarł do naszych uszu. Trach!

Najpierw nie wiedzieliśmy, co się stało. Myśleliśmy, że coś spadło. Coś ciężkiego, dużego. Że się rozbiło. Mama poszła zobaczyć. Otworzyła drzwi pokoju, krzyknęła. Na jej twarzy zobaczyłem przerażenie. Oczy szeroko rozwarte, rozszalałe morze, mięśnie napięte, skóra biała jak płótno. Zajrzałem jej przez ramię, gdy wycofywała się przerażona. Zobaczyłem go, zobaczyłem ojca. Zgięty wpół, torsem leżał na biurku. Dokumenty, kolekcja drewnianych fajek, wszystko we krwi. Po ekranie komputera spływała jeszcze purpurowa strużka. W prawej skroni widniała dziura. Tamtędy weszła kula. Wyszła lewą skronią i utkwiała w ścianie. Na meblach, biurku, na podłodze krew, włosy, cząstki mózgu.

[15](#) 20 lipca 1974 r. Turcja dokonała inwazji na Cypr. Północna część wyspy, ponad 36 procent całego jej terytorium, okupowana jest przez Turcję do dziś.

8/A4

Jakby porwała mnie jakaś fala i rzuciła daleko w morze. Byłem na ulicy Stadionu, przed witryną księgarni Ianosa, oglądałem nowo wydane tytuły. Literatura piękna, historia, eseje. Słyszałem ich. Najpierw niewyraźnie, głuchy szmer, nieokreślony. Pomruk tłumu, niby szum oceanu. Widziałem, jak się zbliżają. Pomyślałem, że zaszyję się w księgarni i tam przeczekał nawałnicę. Lecz moją uwagę przykuła ich niesamowita zaciekłość. Patrzyłem jak zahipnotyzowany. Znalazłem się między nimi niechcący, nie wiedząc kiedy. Oszołomiony, porwany przez wir, niezdolny uciec. Ci na przedzie posuwali się wolno, ci z tyłu – napierali. Krzyki. Hasła. Liderzy z megafonami. Nakładające się głosy, słowa. Muzyka. Pieśni bojowe. Widziałem usta, które otwierały się i zamykały, żyły nabrzmiałe pod chmurnym niebem gotowym spłynąć deszczem. Czerwień. Czerwień. Czerwona ludzka rzeka. Szturmówki, flagi, bluzy. Czerwone. Wszystko czerwone. Transparenty z hasłami o trojce, Unii Europejskiej, sprzedajnych politykach. Szał. Jeden wielki ryk, jazgot szeptów, słów, głosów, krzyków. Tłum parł jak stado, skowyczał, warczał, szczeakał. Czułem, że upadnę, że stoczę się w lej wiru, że będę się kręcił i obracał, aż mnie pochłonie czarna dziura. Zamęt. Oszołomienie. Traciłem kontakt z rzeczywistością. To tylko czułem – oszołomienie.

Kątem oka widziałem ludzi w kapturach, kominiarkach, po prawej i lewej, gdzie tłum rzedł. Z plecakami. Przypominali dziwaczne stwory, co wychynęły znienacka z głębi ziemi na światło dnia. A potem rozległ się brzęk tłuczonych szyb, odgłos spadającego szkła. Czuło się dym, smród palonego plastiku. Płomienie buchnęły ze sklepów. Linia marszu się załamała. Ludzie biegle, pędzili przed siebie. Młodzi w czerwonych bluzach ścigali flagi, drzewcami i plastikowymi rurkami okładali zakapturzonych. Rzuciły się na nich także oddziały specjalne policji MAT. Chwilowe przymierze, fałszywa przyjaźń. Zepchnięto ich, robiąc miejsce strażakom. A ci, za pomocą pomp i agregatów, wodą i pianą tłumili ogień.

Dalej, przy Syntagmie – przy placu Konstytucji – jak na wojskowy rozkaz „Stój!” tłum znieruchomiał. Przed policyjnymi barierkami. MAT-owcy stali w zwartych szeregach, w pełnym uzbrojeniu, z tarczami. Metalowe zapory. Opodał, przy Królowej Zofii, policyjne wozy na chodniku. Pojazdy z armatkami wodnymi. W siedzibie Parlamentu, Starym Pałacu Królewskim, wisieli w oknach urzędnicy, może posłowie, i zadekowani tam, wysoko, próżnowali, obserwując tłum wypełniający ulice Filhellenów,

Hermesa, Uniwersytecką, Królowej Zofii. Ludzie ciągnęli pod Parlament wszystkimi drogami. Efemeryczne strumienie, które pniąc się i szumiąc groźnie, niosą pnie i spróchniałe kłody. Tłum rósł i gęstniał. Zaczęło siąpić. Wilgoć. Zimno. Para oddechów kłębiła się i niknęła w mżawce.

Zasunąłem zamek zielonej wojskowej kurtki. Wydobyłem kaptur i nasunąłem go na głowę. Patrzyłem na fronton pałacu. Neoklasycyzm. Monachium. Historia sztuki, drugi semestr. Przypomniałem sobie o pożyczce Ludwika I Wittelsbacha – znowu pożyczka – o „grzecznościowej ofercie” dla Grecji z zasobnego bawarskiego skarbcza na budowę pałacu dla Ottona, żeby królewski synalek miał godne siedlisko, jakiś dach nad głową. Sto tysięcy złotych funtów ten pałac kosztował. Biedne państwo greckie takimi środkami nie dysponowało. Dla Bawarczyków – drobiazg. Ale w roku 1843, przy pierwszej nadarzającej się okazji, zażądano zwrotu, a państwo greckie zobowiązało się pożyczkę spłacić. No i naturalnie, po detronizacji Ottona i zjednoczeniu Niemiec, Bismarck tak długo straszył i groził, aż zwrot uzyskał. Gdzieżby odpuścił... Czyż nie za czasów Ottona, w roku 1836, niejaki Reichenbach, Christoph, bawarski oficer, objął kierownictwo Mennicy Królewskiej i bił pierwsze drachmy? A teraz, czy nie inny Reichenbach, Horst dla odmiany, także Niemiec, szef Task Force, specjalnego zespołu zadaniowego do spraw Grecji w Komisji Europejskiej, czy nie on teraz trzęsie Grecją? Wokół tego wszystkiego błądziłem myślami. Dopiero gdy stojący obok podstarzały emeryt zaczął wydzierać się na całe gardło, wróciłem do rzeczywistości.

Tłum wył. Co odważniejsi z czołówki wyzywali się na policjantach. Jedni im wymyślali, inni rzucali jajkami, jeszcze inni pomidorami, niektórzy pluli na MAT-owców z pierwszego szeregu. Potem zaczęto napierać. Z wściekłością odciągano bariery, ludzie chcieli się przedrzeć pod Parlament. Policjanci tupnęli buciorami, chwycili rytm jak wioślarze, jak konie w galopie, i ruszyli naprzód. Pojawiły się pierwsze rany na głowach, poszły w ruch gazy łzawiące. A później pierwsze koktajle Mołotowa. I znowu ci w kapturach i kominiarkach. Kawałki marmuru i kamienie przecinały powietrze, trafiając w policjantów.

Nabój z gazem łzawiącym potoczył się pod moje nogi. Błyskawicznie spowił mnie kolorowy dym. Poczuję go w płucach. Oczy zaczęły szczypać. Nie mogłem oddychać. Dusilem się. Kaszlałem. Tłum się rozpiezchł. Klęczałem na asfalcie. Zakryłem oczy dłońmi. Pozostawały szeroko otwarte mimo bólu, mimo panicznych prób zaczerpnięcia odrobiny

czystego powietrza, złapania oddechu. Bolały. Piekły. Łzawiły. Kiedy jakoś doszedłem do siebie, spostrzegłem, że jestem w oku cyklonu. MAT-owcy z jednej strony, zakapturzeni z drugiej – atakowali po dwóch, trzech, miotali ogniem. Dostrzegłem policjanta zmierzającego groźnie w moją stronę. Uniósł pałkę, gotów uderzyć. Ale wycofał się przed atakiem zakapturzonych. „Uciekaj!”, usłyszałem. Rzuciłem się biegiem za czarnymi postaciami, które znów zmuszono do odwrotu i które niknęły w pobliskich zaułkach. Uciekałem wraz z nimi. Hermesa, Ateny, kluczenie wąskimi uliczkami, Atinaidy, Skuzesa, plac św. Ireny, Eola, Byssy, Eurypidesa, Menandra. Na Tsaldarisa natknęliśmy się na radiowóz MAT-u. „Tędy! Dawaj!”, rzucił jakiś młodzik. Miał może ze dwadzieścia lat. Nie więcej. Odślonił twarz. Był w podkoszulku z długim rękawem i białej bluzie. Wrzucił do śmietnika plecak i kominiarkę. „Czemu to wyrzucasz?”, spytałem. Argiris – tak miał na imię, jak się później dowiedziałem – spojrzał na mnie zdumiony. „No przecież...”. Wtedy zrozumiał. Nie byłem swój. Zrozumiał, gdy się odśloniłem, gdy zrzuciłem kaptur kurtki. Przypadkiem znalazłem się na ich drodze. „Kurde, wziąłem cię za...”. Zaklął. Spojrzał na wóz policyjny stojący czterdzieści metrów dalej. Potem znowu na mnie. Zatrzepotał rżęsami. „Wtyczka jesteś? Glina?”, spytał wściekły. „Ani wtyczka, ani glina. Nienawidzę ich tak samo jak ty, człowieku. I ich, i ich szefostwa”. Uspokoił się, złagodniał. Przyglądał mi się jeszcze chwilę. Myślał. „Jak masz na imię?”. Powiedziałem. I dodałem, nie wiem po co, tak jakoś wyszło, że studiuje na wydziale filozoficznym. „Dobra, chodź”, powiedział. Zaufał mi. Z niewiadomego powodu. Może zobaczył we mnie nowego towarzysza, skoro na własnej skórze poczułem brutalność policji. Może połączyła nas wspólna nienawiść. Może we dwóch mieliśmy większe szanse się przedrzeć. Nie wiem...

Nie chciałem się plątać z anarchistami. Nigdy nie czułem do nich sympatii. Ale obraz policjanta zbliżającego się z uniesioną pałką, radiowóz przy Tsaldarisa... Nie miałem wyboru. Poszedłem za nim. Szybko przecięliśmy aleję i zniknęliśmy w ulicy Platei. Potem Metaksurgijo. Fabviera. Akominatosa. Plac Watis. Ulica Meyera. Acharnejska, Marny, Sturnarisa. Eksarchia. Całe kółko. Prawie godzina piechotą, żeby nie wpaść na gliniarzy i blokady. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa.

Wreszcie wleźliśmy do jakiejś półpiwnicy, nory, jamy, przy Pulcherii, u stóp wzgórza Strefi. Czekало tam paru innych. Gdy otworzył drzwi, studiowali pożółkłe broszury. Odłożyli je. Czarni, wszyscy na czarno.

Mroczni. Glany, spodnie, bluzy, kurtki. Czarne. Długie włosy zebrane gumkami recepturkami, łupież. „Spóźniłeś się i...”, zaczęli mówić do Argirisa, ale zdumieli się na mój widok. Podnieśli się z miejsc. Uspokoili ich. „W porządku. Przyjaciel!”. Weszli do maleńkiej kuchni. Zamknęli drzwi. Słyszałem, jak się kłócą. Zrozumiałem coś niecoś, że kilku złapali i zabrali na komendę. Potem wrócili i siedli naprzeciw mnie. Zajęli pozycje bojowe. Dwaj na krzesłach, dwaj na podłodze. Ściągnięte brwi. Ukradkowe, podejrzliwe spojrzenia. Chwila ciszy, zakłopotanie. Śmierdziało niemytymi ciałami, brudnymi skarpetkami i wilgocią. Gołe ściany. Płytki na podłodze z tłustymi plamami. Stół. Także zaplamiony. Łóżka musiały stać gdzie indziej. Widziałem zamknięte drzwi. Pewnie tam. Komuna. Znowu złapali broszury. Dimitrios Paparigópulos. *Myśli pewnego zbójcy*. Pierwszy anarchistyczny tekst napisany w Grecji. Dziś manifest krążący po stronach internetowych anarchistycznej ideologii.

Czym jest społeczeństwo? Zwałowiskiem podłości i knowań, zlepkiem zawiści i nienawiści, wylęgarnią wszelkiego zła. Prawo stworzono dla ucisku biednych, tych bez protektorów, tych maluczkich. Słabego prawo chroni rzadko, ale i słabi mają w tym społeczeństwie swoją siłę...

Takie i tym podobne fragmenty, dyrdymały, czytali na głos. Zapalili skręta z haszem i podawali go z rąk do rąk, w kóleczo, za porządkiem, kopcili czasem w milczeniu, zamyśleni, z pustym wzrokiem wbitym w ścianę, czasem rzucając jakieś słowo, frazę, jak zaklęcie, bez składu i ładu, bez sensu, wyrazy naładowane nienawiścią, samą nienawiścią. Gliny... Gliny... Co zdanie to „gliny”. Zęby zgrzytały, z oczu szły iskry. Społeczeństwo, partie, instytucje, komuniści, ci ze Złotego Świt, ich szefowie. Idiotyzmy. Nie wiedziałem, że są ludzie, którzy mogą pałać nienawiścią aż tak bezdenną, tak ślepią. Pojąłem to tamtego dnia. Spotkałem się z nimi jeszcze parę razy w ich norze. Chodziliśmy na piwo w Eksarchii. Czuję, wiedziałem, że mnie wystawiają na próbę. Sondowali mnie. Krzywe spojrzenia, miny, półsłówka, poszeptywania. Nie, nie byłem swój. Jeszcze nie byłem. Ale powoli, gdy tak sobie siedzieliśmy i pili, zaczęli się otwierać. Partyzantka miejska, jak dokuczyć glinom, wolność dla bojowników, którzy gniją w więzieniach. I ulotki, wszędzie ulotki. Przyklejane do murów. Cały czas takie banialuki wygadywali. Konspiracja. Zabawa w chowanego. W podchody. W złodziei i policjantów. Hasła malowane czarną farbą. Dni okupacji.

Ja też ich sondowałem. Kto wieczerza z diabłem, długą łyżkę mieć musi. Chciałem nasycić się ich nienawiścią, ich obłędem, zajadłością wobec glińiarzy i ich mocodawców. Nienawiść! Nienawiść rodzi nienawiść, gwałt rodzi gwałt. I któregoś dnia wprost im to powiedziałem. Na chłodno. „Czemu by nie załatwić tych z trojki? Oszustów w garniturach i krawatach, którzy się tu panoszą, kraj nam niszczą. Nie wystarczą pociski Mołotowa ani rzucanie kamieniami w policjantów. Takie rzeczy to i dzieciaki potrafią!”.

Patrzyli na mnie zdumieni. Odchyłili się w krzesłach. Skrzyżowali spojrzenia. Zastygli. Argirisa ogarnął histeryczny śmiech. Zараźliwy. Uchachali się wszyscy. Myśleli, że żartuję. Nie żartowałem. W tamtych dniach rozmyślałem nad możliwością... Rodził mi się w głowie pewien plan... Spotkałem się z nimi jeszcze jeden raz. „Czemu by nie załatwić tych z trojki?”, spytałem. Mówiłem poważnie. Widać to było po mojej twarzy. Po nabrzmiałych żyłach, nabrzmiałych nienawiścią. Po spojrzeniu, w którym żarzyła się złość. Nie żartowałem. Zrozumieli. Tak, to właśnie miałem na myśli.

Wtedy padła najbardziej nieoczekiwana odpowiedź. Czegoś takiego się nie spodziewałem. Nie, nie spodziewałem się. „Trojka nam pasuje”, powiedzieli. Bezrobocie, bieda, głód, samobójstwa, przestępstwa, ból, frustracja, protesty, to pierwsze objawy dezorganizacji społeczeństwa. Tyle lat czekali na taką okazję. „A jak ci się zdaje, dlaczego zyskujemy ostatnio coraz więcej zwolenników? Ruch anarchistyczny rośnie w siłę. Olbrzymieje”.

Tak mi powiedzieli. Więcej nie poszedłem na wzgórze Strefi. Partyzantka miejska. Bzdura! Szajs! Dziecinada, i tyle.

9/B2

Sergidis idzie na randkę. Jak zawsze świetnie ubrany, zadowolony z siebie. Beżowa marynarka Gucciego, spodnie Levi'sa, krój klasyczny. Czarna koszula, eleganckie, skórkowe buty. Wszystko przywiezione z zagranicznych podróży. Seminaria, konferencje, wykłady w obcych krajach.

Wysiadł z taksówki na początku Hermesa. Chce się trochę przejść. Skręca w Katedralną. Długi, pewny krok. Miarowy. Oddech, krok. Oddech, krok. To mu pomaga myśleć. Jest w dobrym nastroju, widać to po chodzie, po wyglądzie, po lekkim uśmiechu, który ostatnio stale gości na jego twarzy. Ma ochotę zagwizdać piosenkę. Jednak rezygnuje. Przygląda się ludziom. Ktoś go pozdrawia. Odpowiada skinieniem głowy. Nie zna człowieka, pewnie student z uniwerku.

Myśli, cały czas myśli. Idzie i myśli. Musi podjąć decyzję. Mija rok od pierwszego spotkania z Kateriną. Przystaje pod witryną sklepu jubilerskiego. Ogląda. Powinien wreszcie, w tych dniach, coś postanowić. Od tygodnia nie przestaje się zastanawiać, a decyzji nie ma. Wzdycha. Co robić? Patrzy na pierścionki, wisiorki. Znowu na pierścionki. Złoto. Platyna. Srebro. Rzuca okiem na zegarek. Guess Chronograph GC. Urodzinowy prezent od Kateriny. Trzeba iść. Bo się spóźni. Na rogu Hypatii wyrasta przed nim żebrak. Zaplamione ubranie, bezzębne usta, wyciągnięta dłoń. Omija go. Robi dwa kroki... wraca. Może nagłe wyrzuty sumienia, może psychiczna euforia, może go motywuje szczerą, acz spóźnioną miłość do drugiego człowieka. Szuka w kieszeni. Znajduje zapomniane monety, kładzie je żebrakowi na dłoni.

Katerina jest wyjątkową osobą. Wspanialszej przez te wszystkie lata nie spotkał. Ładna, inteligentna, czuła, wrażliwa, rozsądna. Czego chcieć więcej? Kocha go. Widzi to, czuje. Tak, w najbliższych dniach trzeba tę sprawę załatwić.

Nie miała udanego życia. Była młodziutka, gdy poznała męża. Na uczelni. W Salonikach. Niejakiego... Takisa Karanikolasa. Dziewczynek jeszcze. Pierwsza miłość. Kolega z roku. Kawał drania. Naobiecował jej, naopowiadał bajek. Księżę na białym koniu, gruszki na wierzbie... Fanfaron i bajerant. Kuglarz do kwadratu, do niemożliwości. No i dała się nabrać, była zachwycona, zawrócił jej w głowie. Łobuz pierwszej wody. Regularnie ją zdradzał. Jeszcze przed ślubem. A ona nic, niczego nie pojmowała. Młoda, niedoświadczona. Co mogła wiedzieć o niewierności,

o zdradzie? Dopiero, gdy się pobrali, gdy zaszła w ciążę, gdy trochę odchowala dziecko, przekonała się, jaka jest prawda. Przyłapała go na gorącym uczynku. Z koleżanką z pracy. Dziewczyną zaraz po szkole pomaturalnej. Dla sekretarek. Nawet dwudziestu lat nie miała. Siusiumajtką. Podśluchiwała ich przez przypadek, gdy podniosła słuchawkę telefonu w kuchni. Świat okrył się mrokiem. Umawiali się na randkę w kafeterii na Pangrati. Powiedział, że wychodzi z kolegami. Ona na to, że pójdzie z dzieckiem do matki. Pocałował ją słodko. „Jesteś moją parą...”, zanucił do ucha. Poczwała na wargach jego ślinę. Zamknęła oczy, odwróciła głowę. Brzydziła się. Zostawiła dziecko u babci i pojechała dalej. Znalazła kafeterię i czekała opodal w samochodzie. Popołudnie. Przyjechali jego autem. Weszli do środka. Co za męczarnia... Każda sekunda była udręką. Uczepiła się kierownicy blada jak płótno, jak trup. Wyszli po godzinie, może półtorej. Zapadał zmrok, światło dnia gasło. Obejmowali się, całowali długo, namiętnie. Na jej oczach. Pochyliła się. Zrobiła im zdjęcie komórką, ręce jej drżały. Odjechali. Pojechała za nimi. Zatrzymali się w pobliskiej Ilisji. Weszli do kamienicy. Sprawdziła nazwiska przy domofonie, ale nic to nie dało.

Położyła dziecko spać wcześniej. Usiadła na łóżku. Rozplakała się. Szlochała długo, nieprzerwanie, strumień łez, dusza w kawałkach. Świat się zawalił. Gorycz, ból, gniew. Wszystko naraz. Tyle czasu żyła w kłamstwie. Gdy wrócił, walizki były spakowane. Buty, ubrania, wrzucone byle jak, czyste pomieszane z brudnymi, przybory do golenia, szczotka do zębów, komputer. „Już jestem, skarbie”, zawołał od drzwi, niczego nie podejrzewając, hipokryta. Zobaczył ją. Stojącą między walizkami w salonie. Z opuchniętymi oczyma. Najpierw zbladł. Cień przemknął mu po twarzy. A potem zaczął udawać głupiego, odgrywać przedstawienie. „To nie tak, jak myślisz, jesteś w błędzie”. Pokazała mu z daleka fotografię. Twardy dowód. Postawiła ultimatum. „Masz godzinę!”.

Podniósł głos, podniósł rękę. „A ośmiel się tylko! Ośmiel się!”, powiedziała wyzywająco. Opuścił rękę. Pokonany. „Godzinę!”, powtórzyła. Przyznał się do wszystkiego. Niby skruszony. Niech mu da szansę. Przypadkowy związek, nic poważnego. Pierwszy i ostatni. Prosił o przebaczenie. Ona jest jego życiem, ona i dziecko. Zamknęła się w sypialni, przekręciła klucz. Wzięła komórkę. Wysłuchiwała wszystkiego jeszcze raz. Od początku. Nagrała rozmowę. Miała go w garści. Miała dowody.

Ale Takis nie wyszedł. Spał na kanapie. Słyszała, jak chrapie. Łobuz! Rano znów zażądała, by wziął walizki i się wyniósł. Bo jak nie, to pójdzie za nim do pracy i ośmieszy go przy wszystkich. Nie uwierzył. Nerwy, przejdzie jej, myślał. Póki nie zobaczył, jak wchodzi do firmy i szuka go wzrokiem. Zmartwił. Wiedział, że szefowie szukają pretekstu do zwolnień. Podbiegł, chwycił ją za łokieć, odciągnął na bok. „Zwariowałaś?”. „Nie dotykaj mnie!”, krzyknęła ze złością, wyrwała się. Zrozumiał, że nie żartuje. Nie, nie żartowała. Obiecał, że w południe zabierze rzeczy. Tak zrobił. Wierząc, że to tymczasowe ustępstwo, krótka przerwa. Burza minie, ucichnie. Ale po południu Katerina wymieniła zamki. Dwa lata później dostali rozwód. Ostatecznie za obopólną zgodą. Uzgodnili wysokość alimentów, z dzieckiem będzie się widywał w weekendy.

Tak, stale ją oszukiwał. Teraz dopiero to pojęła. Tamtego wieczoru, gdy ich nakryła, wszystko ułożyło się w logiczną całość, zaskoczyło. Usprawiedliwienia. Późne powroty do domu. Praca zlecona dodatkowo w biurze. Wyczerpana bateria w komórce. Samochód się popsuł, więc musiał jechać do warsztatu.

Katerina wszystko Sergidisowi opowiedziała. Od początku do końca. Z własnej woli. Nie chciała żadnych cieni na ich związku. Powinna mu powiedzieć, była mu to winna. Tak, Katerina jest wspaniałą osobą. Błogosławił los, że ich drogi się spotkały. Rok w związku to niemało. Ale i niedużo. Jednak dobrze się już znali. Poznał też jej syna, Petrosa. Był u nich kilkakrotnie na kolacji. Wychodzili razem, we trójkę. Restauracja, kino, wycieczki. Sympatia była obustronna. Kibicowali tej samej drużynie. Panatinajkos. Obiecał Petrosowi, że któregoś niedzieli zabierze go na mecz. W aleję Aleksandry, jak otworzą stadion po remoncie. Przyniesie mu szalik. To się dla dziecka liczyło. Mały dobrze się z nim dogadywał. Więc czemu nie? Czemu nie? Rozważał perspektywy, możliwości, gotowość do...

O tym wszystkim myśli po drodze, nim dotrze do Tezejonu¹⁶. Ona już czeka w restauracji. Zajęła miejsce przy oknie z widokiem na uliczkę, naprzeciw – Stoa Attalosa. Na zewnątrz zapada zmierzch, w środku zapala się światło, po chwili lekko przygasa. On pochyla się, całuje ją w usta. Głaszcze po ramieniu.

- Pięknie dzisiaj wyglądasz – mówi.
- A ty bardzo... bardzo trendy – odpowiada rozpromieniona.
- Podchodzi kelner, zamawiają makaron włoski.
- Jest wino *arika*? – pyta Sergidis.

– Nie – uśmiecha się kelner.

Nie zna takiego wina, pierwsze słyszy.

– Nie szkodzi. Proszę przynieść najlepsze, jakie macie.

Kelner oddala się, ona bierze go za rękę. Są szczęśliwi.

[16](#) Tezejon – maleńka, malownicza dzielnica u stóp Akropolu. Wzięła nazwę od świątyni (Hefajstosa) uznawanej początkowo za świątynię Tezeusza.

10/C2

Świta. Apostolu jeszcze pracuje. Ma przed sobą teczkę sprawy. Neonówka u sufitu co chwila przygasa, mruga. Powinno się ją wymienić. Inspektor trze oczy. W prawej ręce ściska filiżankę z kawą, produktem kiepskiej jakości wypluwany przez automat na korytarzu. Lura. Aż gębę wykrzywia. Spogląda za okno tęsknie, ze smutkiem. Na zewnątrz wstaje dzień. Brzask nieskazitelny, czysty, promienieje wysoko nad miastem, wychodzi z zaświatów i z rozmachem ogarnia Ziemię. Chciałby... Chciałby być teraz gdzieś w szczerym polu ze swoją leicą. Ze swoją ukochaną! Usiadłby na kamieniu pod drzewem. Czekaliby na wschód słońca, na delikatne odcienie fioletu, żółci, błękitu, uwieczniłby dzieło boskie w chwili, gdy zajmuje się ogniem i na nowo odzyskuje postać, kształt, barwy. Kolejne stworzenie świata. I on by przy tym był. Chciałby... Wiele by chciał.

W jego biurze i w korytarzach Komendy Głównej Policji Regionu Attyki panuje całkowity spokój. Pewnie jest tu zupełnie sam. Zapomniany. W świecie, który nagle wycofał się w niebyt. Ta cisza, ta samotność...

Dwukrotnie przeczytał wszystkie materiały dochodzeniowe. Jeszcze raz ogląda fotografie zwłok. Dwa bezgłowe ciała w pewnej odległości jedno od drugiego. Trzecie w innym pomieszczeniu. Czwarte – na schodach. Głowy obok telewizora. Jedna z prawej, druga z lewej strony. Wszędzie krew. Rzeź. Znowu trze oczy.

Zastanawia się, czy dobrze zrobił. Czy dobrze zrobił, przyjmując propozycję komendanta? Propozycja to była? Czy rozkaz? Dano mu możliwość wyboru? Miał ten luksus? Już nie pamięta. Wydarzenia sprzed paru godzin rozplynęły się we mgle niepamięci, zagubiły gdzieś między zaskoczeniem a zdumieniem. Rozważa czekające go trudności. Sprawa nie jest prosta. Awans, stanowisko naczelnika wydziału zabójstw imponuje mu i go zaszczycą, ale Apostolu zdaje sobie sprawę, że droga będzie najeżona kolcami. A on jest bosy. Cóż, rzucił się na głęboką wodę, musi płynąć.

Czuje ból, który przeszywa czaszkę, a potem rozlewa się po całej głowie. Powieki same opadają, mrugają jak jarzeniówka u sufitu. Jest śpiący, ziewa, czuje niemoc w ciele. Potrzeba mu odpoczynku, snu. Musi iść do domu, przespać się ze dwie godziny, wziąć prysznic, dojść do siebie.

Kolejny raz pociera oczy. Przypomina sobie studenckie lata na wydziale prawa, a potem w akademii policyjnej. Piękny sen. Przysięga, zobowiązanie do służenia prawu i porządkowi, sprawiedliwości i obywatelom. Jak we

śnie widzi siebie samego wyprężonego, z uniesioną ręką, i kolegów stojących w szeregach przed komendantem, ministrem porządku publicznego. Usta zamykają się i otwierają. Jest dumny i wzruszony, podekscytowany słowami przysięgi, służbą, trudną misją. Wierzy w każde słowo i czuje, jak każde z tych słów wzbiera w jego piersi, zyskuje moc, wydobywa się z krtani z pewnością i przekonaniem. Donośnie. „Do ostatniej kropli krwi...”. Głowa pochyla się, opada. Na pół śpi, na pół czuwa, w stanie odrętwienia, letargu, zawieszenia, wśród światła i cieni, wśród zarysów i niewyraźnych kształtów, które pojawiają się i znikają, wśród szeptów. Głowa mu ciąży, zmęczone powieki zamykają się i otwierają. Zrywa się z miejsca. Wydycha głośno powietrze. Chyba zasnął. Ale to terażniejszość jest senną zmorą, to, co przed nim. Wielkie wyzwanie. Pokaż, co potrafisz.

A jego życie? Gdzie jest jego życie i z czego się składa? Rodzina, Anna? W ubiegłym miesiącu Anna straciła pracę. Dwadzieścia lat była sekretarką w dużej kancelarii prawniczej. Spodziewali się tego. Każdego tygodnia, każdego dnia. Dzieci mają potrzeby, są wydatki. Zwłaszcza koszty prywatnych lekcji urosły niebotycznie. Starszy, w drugiej klasie liceum, rozpoczął już przygotowania do matury. Apostolu wzdycha. I ta przeklęta pożyczka, którą zaciągnął parę miesięcy przed kryzysem, po poprzednim awansie, na aparat fotograficzny. Leica S2-P z pełnym wyposażeniem, ze wszystkimi obiektywami, 37,50 megapikseli. Dwadzieścia pięć tysięcy euro! Kosztowne, nieopłacalne hobby, czysty egoizm, widzimi się. Ale skąd miał, u diabła, wiedzieć, że tak się sprawy potoczą? Wzdycha znowu. Głupota. Ale też wielka pasja, wielka namiętność jego życia. Awans zrównoważy przynajmniej w jakimś stopniu straty, obniżkę płac, brak dochodów Anny.

Musiał się zgodzić. Powinien był się zgodzić z wielu powodów. Poza tym służba, powinność. Żeby tylko znalazł jakieś rozwiązanie tej sprawy. Wtedy odetchnie. Bo inaczej... Nie chce nawet myśleć. Nie chce. Bo inaczej spadnie na dno, zrujnuje sobie życie. Albo może... Może zajdzie wysoko i odmieni na dobre swój los.

11/E1

Teczka: „Samobójstwa”, wycinek nr 26

Spółecznością Kastorii wstrząsnęła wiadomość o samobójstwie zastępcy burmistrza odpowiedzialnego za finanse miasta.

Kastoriá, czerwiec 2013 roku

Zastępca burmistrza przez dwa lata próbował uporządkować finanse miasta. Był człowiekiem odpowiedzialnym i nieco... romantycznym. Wierzył, że można i trzeba zmienić istniejący stan rzeczy. I że metodą małych kroków można takich zmian dokonać w każdej lokalnej społeczności, jeśli dla ludzi zajmujących wysokie stanowiska priorytetem będzie poświęcenie oraz uczciwa praca dla dobra obywateli. Mylił się jednak.

Ci, którzy pociągali za niewidzialne sznurki i sięgali do miejskiej kasy, byli nadal aktywni, choć za kulisami. Po licznych i surowych kontrolach wiceburmistrz zorientował się, że w kasie brakuje miliona trzystu tysięcy euro. Podał ten fakt do wiadomości publicznej. Sprawa trafiła do sądu. Wiceburmistrz miał czystą kartę, czyste sumienie. Wypełnił obowiązek. Mieszkańcy miasta to docenili. Widząc go na ulicy, ściskali mu dłoń i dodawali odwagi: „Tak trzymać!”. Burmistrz brał jego stronę, był mu sojusznikiem zdecydowanym oczyścić stajnię Augiasza.

Ale siły ukryte w mroku zwierzały szyki i osaczały go zewsząd jak drapieżcy; wzięto go na języki, zaczęto rozgłaszać rozmaite rzeczy. Zastępca burmistrza próbował odpierać plotki i oskarżenia. Udowadniał, że nie jest wielbłądem. Stopniowo odarli go z czci i reputacji. Agitacja robiła swoje. „Jeśli kłamiecie, niech kłamstwo będzie wielkie. Z wielkiego kłamstwa przynajmniej częśćka zostanie uznana za prawdę”.

Miał wsparcie w żonie i dzieciach. Niemniej było źle. Mieszkańcy, którzy jeszcze niedawno podawali mu rękę, przechodzili teraz na drugą stronę chodnika, patrzyli na niego wilkiem. Łatwowierni, niewolni od zawiści karmionej własnymi niepowodzeniami, poczuciem zagrożenia, kłopotami finansowymi, bezrobociem i brakiem zaufania do władz – obrócili się przeciw niemu. Ustały przyjazne „dzień dobry” i „dobry wieczór”, ustały telefony z wyrazami poparcia.

Zastępca burmistrza zrezygnował ze stanowiska. Ogłaszając swoją decyzję, mówił o psychicznym i fizycznym wyczerpaniu. Ale nawet

rezygnację wykorzystano przeciw niemu. Oszczyrcy nadal go gnębili. „Rezygnacja świadczy o winie”. Osaczyły go sępy. Wiceburmistrz był już słaby, bezradny. Nie podołał walce z przeciwnikami. Czuł, że tonie, że zapada się w grzęzawisku. Wiedział, że stracił cześć i dobre imię na zawsze. Że został napiętnowany. Pewnego dnia zastał córkę płaczącą. Uciekła, chciała się schować, otrzeć oczy. Zrozumiał.

Nie mógł tego znieść. I chociaż miłość i wsparcie rodziny były dla niego błogosławieństwem, sytuacja przerosła jego siły. Przestał się uśmiechać. Siedział w swoim pokoju i rozmyślał, wciąż rozmyślał. Nie wychodził z domu. Żona prosiła, żeby poszli na spacer, zaczerpnęli świeżego powietrza. Żeby się przeszli nad jezioro. Nie miał ochoty, nie miał nastroju, nie zniósłby złośliwych spojrzeń. Zamknął się w sobie.

I pewnego dnia, gdy został w domu sam, podwiesił stryczek u belki w dachu. Usiadł na krześle i patrzył wzrokiem chłodnym, pustym. Nie potrafił żyć z tym piętnem. Za chwilę nałoży pętlę na szyję. Za chwilę jego ciało zawiśnie w powietrzu. Za chwilę... W tym kraju nigdy nic się nie zmieni... Nigdy...

Przystawił krzesło, wszedł. Poczł dreszcz, gdy szorstki sznur dotknął skóry. Kopnął krzesło. Tak go znalazły żona i córka.

Śledztwo oraz proces sądowy potwierdziły, że wiceburmistrz nie miał nic wspólnego ze sprzeniewierzeniem miliona trzystu tysięcy euro. W bankach niczego nie znaleziono ani na jego nazwisko, ani na tajnych rachunkach. Ktoś inny położył rękę na tych pieniądzech.

12/A5

Czy wierzę w traf, przypadek, zbieg okoliczności? Nie wiem. W traf może tak, w los – nie. O losie decydują nasze czyny. Przypadków i zbiegów okoliczności wszędzie pełno, natykamy się na nie w każdej chwili, czatują na nas, podstawiają nogę, żebyśmy się potknęli. Przy pierwszej okazji.

To ona podeszła i mnie zagadnęła. Siedziałem na ławce w Ogrodzie Narodowym. Czytałem. Właśnie kupiłem *Śmierć Artemia Cruz* w śródmiejskiej księgarni. Porwała mnie ta lektura. Wciągnęła bez reszty. Była już wiosna. Na drzewach zgiełk szczebiotów, krakania, trzepot skrzydeł w listowiu, między gałęziami. Skryci bałamutnicy.

Usłyszałem kroki, wyrósł przede mną szary cień. Zdumiałem się. Uniosłem głowę i patrzyłem na nią z zaciekawiony. Była zjawiskowa. Jak ze snu. Była Galateą, a ja Pigmalionem, mitycznym królem Cypru. Afrodyta wysłuchiwała mojej modlitwy. Dziewczyna uśmiechnęła się. Ja także. Twarz promienna, świeża. Białe, bielutkie zęby, idealne do reklamy. Ciemne, krótkie włosy. Ładna, delikatne rysy. Czarna aksamitna sukienka ciasno opinała jej ciało po kolana. Tak, była pociągająca, bardzo pociągająca. Przedstawiła się. Trzymała złożoną gazetę. Ogłoszenia. Okazje. Pamięta mnie, powiedziała, z audytorium na wydziale filozoficznym. Ostatni rząd, na samej górze. „Tak”. Pierwszy rok. *Polityka/cy, zbójectwo i terroryzm*. „Pamiętasz?”. Romanós Sergidis. Dzień, kiedy miotał gromy, wkrótce po wielkich manifestacjach w 2010 roku, w czasie których zginęli pracownicy banku Marfin. „Tak, pamiętam”. Jej twarz nic mi nie mówiła, nie pamiętałem jej. Nie można zapamiętać wszystkich z wypełnionej po brzegi wielkiej sali.

Przeprosiła, że mi przerywa przyjemność obcowania z literaturą. Jeśli przeszkadza, to...

– Ależ nie, wcale – zapewniłem ją, wsunąłem zakładkę między strony, zamknąłem książkę.

– Fuentes?

Patrzyła na okładkę.

– Tak – odpowiedziałem.

– Widziałam z nim wywiad w telewizji ostatnio. W programie... Jak to szło...? *Objaśniacze naszych czasów*? Coś takiego. Zrobił na mnie wrażenie. Miał osobowość. Ludzie rozpoznawali go na ulicy, pozdrawiali, wielbili. Szkoda, że umarł. Musiał być wspaniałym pisarzem.

– Rzeczywiście – przyznałem, wciąż zaskoczony nieoczekiwanym spotkaniem.

Zaczelismy gadać. O wydziale filozoficznym, o Sergidisie, książkach, literaturze. I proszę, miłość już stała u progu. W taki oto sposób wtargnęła w moje życie Rubini.

Zaproponowałem, żebyśmy poszli do kafeterii opodal, w Ogrodzie, dwa kroki. Stawiam kawę, coś orzeźwiającego. Jeśli ma czas. Miała czas, zgodziła się. Schowałem książkę do torby. Siedliśmy naprzeciw siebie. Nie była z Aten. Pochodziła z daleka. Z prowincji, z Arty. Powiedziała, że ma jeszcze do zaliczenia parę przedmiotów. Trudna rada. Musi jednocześnie pracować, żeby związać koniec z końcem. Do tego czynsz za wynajem. Małe mieszkanie. Na Pangrati. Co rano jedzie autobusem i wysiada przy Ogrodzie, żeby być bliżej śródmieścia. Tam spędza czas, z gazetą w ręce, na szukaniu pracy. Od miesięcy nie ma roboty. Latem pracowała w Arcie jako pokojówka w hotelu. Roześmiała się. Zalśniły białe zęby. Czarujący uśmiech. Łatwa praca, uznała. Gdyby mogła pracować w hotelu gdzieś tutaj, byłoby... Bardzo potrzebowała pieniędzy. Rodzice nie mogli już jej pomagać. Ojciec był księgowym u dilerka samochodowego. W ostatnich latach sprzedaż aut dramatycznie spadła. Na łeb na szyję. Firma zbankrutowała. Odprawy ojciec nie dostał. Co można zwojować z małą zapomogą dla bezrobotnych? Na szczęście matka pracuje. W piekarni. Zarabia grosze. Głodowa pensja, upokarzająca. Haracze podatkowe rzuciły ich na kolana. Ale co zrobić? Jakoś ciągnąć. Walczą o przetrwanie kłami i pazurami. A zresztą...

Dałem się jej wygadać. Słuchałem oniemiały. Jej usta, uśmiech, miny. Jej spojrzenie. Wpadłem na szalony pomysł. Czemu nie? Niebiosa mi ją zesłały. Tak wtedy myślałem. Była tym, czego szukałem tyle czasu. Niespodziewany szczęśliwy traf. Pokojówka w ich hotelu! Boże jedyny! Mój plan ożył na nowo. Mogłem snuć nadzieje. Bo gdyby tak...

– O czym myślisz? – spytała.

– Co?

– O czym myślisz? Odpłynąłeś... – powtórzyła.

Uśmiechnąłem się. To, o czym myślałem, to, co mi nagle przyszło do głowy, było z piekła rodem.

– O niczym – odpowiedziałem.

O niczym.

Obserwowałem, jak się bawi słomką. Pochłonięta mieszanym kostek lodu w oranżadzie. Spostrzegłem, że zerka na mnie jakoś dziwnie. Jakby badała wyraz mojej twarzy, moje spojrzenia, myśli.

– Ach! – krzyknęła nagle. – Coś mnie ugryzło...

Pochyliła się lekko. Ja też. Bezwiednie. Powieliłem jej ruch, jakby był zaraźliwy niczym ziewanie. Zadarła sukienkę ponad kolana. Patrzyłem na jej nogi. Przywarłem do nich spojrzeniem. Pocierała łydkę dłonią.

– Komar... – wymruczała.

I wtedy... Obnażające się przede mną jasne ciało... Gładkie, jędrne. Delikatne. Goleń naprężona, wyzywająca. Naga siedząca kobieta, która gra na aulosie, Tron Ludovisi! Tak, to ją przypominała. Fletnistkę. Noga założona na nogę. Kostka. Alabastrowa skóra... Archeologia klasyczna, pierwszy semestr. Ramię. Dłoń. Dotyk. Zaczerwienienie. Niczym pąs na policzku. Na sekundę zamknąłem oczy, ale... wyobraźnia galopowała jak szalona. Prawie czułem fakturę jej skóry. Krew płynącą w jej żyłach. Czułem bez mała, jakby, sam nie wiem, jakby jej ciepła krew wrzała we mnie. Żądza płynąca od łydek Rubini parła gwałtownie, przenikała całe moje ciało, buzowała w żyłach, we wszystkich arteriach, nabrzmiąłych, pulsujących.

Kiedy uniosła głowę i spojrzała na mnie, zawstydziłem się, zarumieniłem. Podglądacz przyłapany na gorącym uczynku. Znowu się uśmiechnęła. Nieśmiało.

– Idziemy – powiedziała. – Muszę przejrzeć ogłoszenia.

Wskazała gazetę, którą trzymała w ręce.

Nie zamierzałem stracić okazji. Poprosiłem o numer telefonu, dałem jej swój. Następnego dnia zadzwoniłem, spotkaliśmy się w tym samym miejscu. Na naszej ławce. Podobała mi się, była ponętna, urzekająca. Nie przestawałem o niej myśleć. Wszystko w niej wydawało się idealne. Czego więcej trzeba? Zastanawiałem się, zadreślałem. A jeśli ma faceta? Wtedy klops. Kto nie ryzykuje, ten nie zyskuje. Niech będzie, co ma być. Spróbowałem ją pocałować – na naszej ławce. Za wcześnie? Nie sprzeciwiła się. Jakby na to czekała. Widać też tego chciała.

Spędziłem u niej noc. W mroku jasna skóra Rubini lśniła. Przypominała robaczki świętojańskie, które widzieliśmy z rodzicami w lesie pewnej letniej nocy. „Niektóre samice wabią samca, by go zjeść”. Gdy mnie dotknęła, drgnąłem jak rażony prądem. Oboje byliśmy nienasyчени. Spragnieni siebie, owładnięci żądzą. Kochaliśmy się. Skończyliśmy

zdyszani, w szale westchnień i jęków. Dwa ciała wyłaniające się z głębi ziemi, z kamienia i marmuru, jeszcze nieobrobione, rzeźby Michała Anioła, które się budzą z letargu, ożywają i wzlatują, wirując, ku górze, aż do nieba, do spełnienia doskonałego, wolne od śmiertelności. Tak się czuliśmy. Zasypialiśmy na krótko, ona z pluszowym misiem w objęciach. Przedziwne. W tym wieku? Nastawialiśmy budzik i z nowymi siłami zaczynaliśmy od początku. Jeszcze raz i jeszcze raz, coraz dłużej, z coraz większym zachwytem, coraz lubieżniej. Tak, pamiętam tamtą noc, każdy szczegół, każdy dźwięk, wszystko, czego doznawałem wzrokiem, słuchem, dotykiem, węchem, smakiem. I jeszcze tamto odczucie – nieokreślone, tajemnicze... Mogłem zapomnieć? Rano byliśmy wykończeni.

Fakt. Szybko poszło. Ale kto by się przejmował. Chcieliśmy to wszystko przeżyć. Jak najintensywniej, jakbyśmy mieli nie doczekać jutra. Następnego dnia nie poszedłem na uczelnię. „Od dzisiaj będę z tobą szukał pracy”, powiedziałem i zamknąłem jej usta pocałunkiem. Ten jasny uśmiech... Białe zęby. Jak z reklamy. Zupełnie straciłem dla niej rozum.

Każdego ranka siadaliśmy na naszej ławeczce, w ogrodzie królowej Amalii, zwanym dziś Ogrodem Narodowym, zaopatrzeni w dwa plastikowe kubki oraz termos z kawą, żeby zwalczyć senność. I naturalnie w gazetę z ogłoszeniami. „Wezmę, cokolwiek się nadarzy. Nie jest mi dany luksus wybierania”, powiedziała. „Słowo daję, cokolwiek”. Pomyślałem, że przejmę inicjatywę, że w tajemnicy przed nią zadzwonię do hotelu i zapytam. „Cokolwiek” mają. To wielki hotel. Z licznym personelem. Niemożliwe, żeby kogoś nie potrzebowali. Gdyby szukali mężczyzny, pójdę sam. Niech i tak będzie.

Rubini rozłożyła gazetę. Siorbałem gorącą kawę i obserwowałem, jak czyta ogłoszenia. Jedno po drugim. Jak coś zakreśla czerwonym długopisem, przewraca strony. Od czasu do czasu zerknęła na mnie. I znów uśmiech. I przelotny pocałunek pełen wiosny. Czereśnie w moich ustach. Zakochałem się? W ciągu dwóch dni? Nie wiem. Ale to, co czułem, było bliskie szczęścia.

I wtedy zdarzył się cud. Anons. Jak na zamówienie. Jakby dla nas skrojony. Na trzeciej stronie. Obwiedziony ramką, wyraźny, napisany grubą czcionką.

Hotel poszukuje pokojówki z doświadczeniem

...
Elastyczne godziny pracy.

Zadowolające wynagrodzenie.

Aż krzyknęła. „Jest!”. Natychmiast chwyciła za telefon, wybrała numer. Czekala chwilę. Potem zaczęła mówić. Połączyli ją z wewnętrznym. Szef personelu. Krótka rozmowa. „Tak... Tak... Pracowałam... w Arcie. Dobrze. Będę o jedenastej... Dziękuję”. Umówiła się na jedenastą.

13/A6

Trzy lata borykała się matka, szukając jakiegoś rozwiązania. Próbowwała utrzymać sklep w centrum. Prowadziła go sześć miesięcy, może rok. Dłużej nie wytrzymała, sprawy same się potoczyły. Tak, coś się nie układało, nie kleiło. Wszedł syndyk. Małe imperium, które mój ojciec zbudował z niczego, zbankrutowało, rozpadło się. Całkowicie.

Zostały długi. Wierzyciele naciskali. Żądali pieniędzy. Musieliśmy sprzedać dom rodzinny matki w Prokopi. A potem nasz dom w Nikozji, Dom na Wzgórzu. Tak go nazywaliśmy. Na wzór *Domku na prerii*. Zostaliśmy wykorzeni. Niczym uchodźcy. Tym razem nowi właściciele naszych włości nie przybyli statkami i samolotami, nie kierowali w naszą stronę broni. Mieli na sobie garnitury i krawaty. Pełna kultura. Trzymali w rękach teczki wypełnione skoroszytami i dokumentami, mieli podpisy i postanowienia sądowe. Kiedy opuszczaliśmy na zawsze Dom na Wzgórzu, mama odwróciła się, by popatrzeć na niego ostatni raz. Siedziała w samochodzie, w starym volkswagenie golfie, trzymała kierownicę, ale nie ruszała z miejsca. Łkała cicho. A potem wybuchnęła głośnym płaczem. Przytuliłem się do jej piersi. Ogarnęła mnie ramionami. Wreszcie jakoś doszła do siebie. Wytarła palcem oczy. „Damy radę”, powiedziała. „Razem damy radę”. I przekręciła kluczyk w stacyjce. Samochód zacharczał, wydał suchy, przeciągły jęk i ruszył naprzód. Odjechaliśmy. Nigdy więcej nie wróciliśmy w to miejsce.

W ten sposób spłaciliśmy ostatnie długi. Wstydlive jak grzechy. Spłaceni zostali też pracownicy, którzy stracili pracę. Zaległe pensje, odprawy. Znaczną kwotę matka złożyła w banku Laikí, późniejszym Marfin-Laikí. Przeprowadziliśmy się do trzypokojowego mieszkania na drugim piętrze, na przedmieściach Nikozji. Zabraliśmy ze sobą pamiątki po Drakosie, pistolet i jatagan. Mama wrzuciła je na pawlacz. Żeby małe dziecko nie bawiło się bronią. Bo co? Zbójcą byłem? Podjęła pracę biurową w agencji ubezpieczeniowej. Kiepskie pieniądze, ledwo wiązaliśmy koniec z końcem, ale jakoś dawaliśmy radę. Pracowałem i ja – w wakacje. Rozdawanie ulotek na ulicach, pomoc w supermarketach, kelnerowanie w kafeteriach. W najtrudniejszych chwilach wyciągaliśmy pieniądze z Laikí. Znajomi i przyjaciele ojca, krewni odwrócili się do nas plecami. Wszyscy. W gruncie rzeczy nie spodziewaliśmy się po nich zbyt wiele. Każdy zajmował się swoimi sprawami, nie starczało im czasu dla nas, może i oni dźwigali swój krzyż.

Tak mijają lata, skończyłem szkołę, dostałem się na studia. No i studiuje. Na ostatnim roku. Lepiej, gorzej, ale dotrwałem. Aż w grudniu ubiegłego roku, na dzień przed Bożym Narodzeniem, mama straciła pracę. Firma zwalniała pracowników. Liczba zleceń drastycznie zmalała. Tak powiedzieli.

Co gorsza, w marcu wprowadzili w naszym banku cięcia, *haircut*. Decyzja Brukseli. *Eurogroup*. Rach-ciach i nasze pieniądze zostały zamrożone. Do czasu likwidacji banku nie możemy ruszyć własnych pieniędzy! Czekać tatka latka. Przejedli nasze pieniądze, dranie! Wspólnie je przejedliśmy¹⁷? Po co im wojny, po co broń? *Money talks!*

Mama zadzwoniła do mnie do Aten wczesnym rankiem. Płakała. Prawie nie mogła mówić. Przypomniał mi się dzień, kiedy straciliśmy ojca, dzień, kiedy opuściliśmy nasz dom. „To już koniec, synku”, powiedziała. „Dobili nas”. Przypomniały mi się masowe mordy dokonywane przez nazistów, zbiorowe egzekucje jeńców na Cyprze w 1974 – jak ich dobijali, jak pakowali ostatnią kulę w leżące już ciała, byle nikt nie przeżył! Nie miała pieniędzy na moje studia. Koniec. Muszę się wyprowadzić z kawalerki. Będzie próbowała pożyczyć trochę grosza, żebym dotrwał do lata. „Szczęście, że to ostatni rok. Skończysz i w lipcu wrócisz na Cypr”, powiedziała. „Szczęście”. Ani słówka o magisterce. Wiedziała, jak bardzo chciałem dalej studiować historię. Ale nie czas o tym mówić. Nie byłbym w porządku wobec niej. Jak dalibyśmy radę? Najpierw pozbawili mnie ojca, szczęścia, potem domu, a teraz marzeń. Ci sami krętacze, ci sami dranie. Zawsze ci sami. Jedna klika. Bankierzy, politycy, maklerzy giełdowi i ich zagraniczni bossowie. Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Unia Europejska, centra wielkiej finansjery, wielonarodowe. Zbójcy nad zbójcami. Nienawiść! Moja nienawiść potężniała. Nie przestawałem myśleć o zemście.

¹⁷ Nawiązanie do wypowiedzi wicepremiera Teodorosa Pangalosa w parlamencie greckim z 21 września 2010 r.: „Naród pyta, kto przejadł nasze pieniądze? Wspólnie je przejedliśmy”.

14/B3

Codziennie życie wypełniała Sergidisowi uczelnia. Przygotowywanie zajęć, wykłady, poprawianie prac, obowiązki administracyjne, szperanie po archiwach, publikacje, nadzorowanie magistrantów... Gdzieś między tym wszystkim upychał sprawy osobiste. Ale nie było źle. Był zadowolony.

Studenci go uwielbiali. Sala wykładowa zawsze pełna. Uczelniany gwiazdor, za każdym razem nowy spektakl. Trudno się nudzić. Z kolegami z uniwersytetu miał niewiele wspólnego. Rzadkie kontakty, tylko w ramach relacji zawodowych. On unikał ich, a oni jego.

Niemniej był ktoś, kogo bezgranicznie podziwiał: jego akademicki mentor, sławny archeolog Jorgos Dukarelis, postać o wielkim autorytecie. Naukowiec cieszący się szacunkiem nie tylko społeczności uniwersyteckiej, ale i zwykłych ludzi. Kiedy Sergidis rozpoczął pracę, życie Dukarelisa naznaczyła osobista tragedia. W szczytowym punkcie swojej kariery zawodowej, tuż po odkryciu prehistorycznego szkieletu młodej kobiety na wyspie Kufonisi – odkryciu, które znacząco przyczyniło się do postępu badań nad cywilizacją cykladzką – stracił w dramatycznych okolicznościach żonę. Straszliwy mord popełniony przez szaleńca. Sergidis nie utrzymywał wtedy z Dukarelisem żadnych kontaktów. Czytał o nim w gazetach, śledził wywiady na temat ważnego znaleziska, ale nie znał go osobiście. Zawodowa solidarność, poczucie obowiązku czy może głębokie ludzkie współczucie kazały mu pójść na pogrzeb i złożyć kondolencje. W kościele zobaczył człowieka kompletnie rozbitego. Spuszczony wzrok, zaczerwienione oczy, posiwiałe włosy, nieogolona twarz, czarny garnitur. Mimo to Dukarelis był wyprostowany, pełen godności. Obok, skulona w objęciach nieznannej Sergidisowi kobiety, pewnie krewnej, siedziała córka, studentka historii w Salonikach. Wycierała łzy chusteczką, co pewien czas wymykał się jej głośny szloch.

Sergidis rozglądał się po zgromadzonym tłumie. Dostrzegł wielu kolegów z uczelni. Czekał cierpliwie w kolejce, a gdy wreszcie podszedł bliżej, silne wrażenie zrobiła na nim blada, prawie sina, przedwcześnie postarzała twarz Dukarelisa, jego lodowata dłoń. Popatrzył mu w oczy. „Najszczerze wyrazy współczucia, panie profesorze”, wybąkał. Tamten podziękował i, o dziwo, okazało się, że zna jego nazwisko. Niewiarygodne. Nigdy nie zamienili słowa, ich drogi nigdy się nie spotkały. Raz czy dwa widział go zmierzającego do auli, wchodzącego powoli po schodach. Tyle tylko.

Tymczasem Dukarelis go znał, znał jego nazwisko! A gdy wrócił na uczelnię po urlopie, nadarzyła się okazja spotkania i rozmowy.

Sergidis odnosił się do niego z najwyższym szacunkiem jako do człowieka wielkiej uczciwości. Dukarelis po wielekroć odrzucał skromnie propozycje startu w wyborach parlamentarnych składane mu przez partie polityczne. Za ostatniego rządu, w czasie niedawnych przegrupowań, wymieniano jego nazwisko jako kandydata na ministra kultury. Może dał pomysłodawcom ostateczny odpór, może oni sami się wycofali, w każdym razie profesor pozostał wierny nauce i swoim zasadom. Miał naturalnie przyjaciół wśród polityków, lecz jak mawiał, kto się kładzie z psami, wstaje z psami. Nie zamierzał nurzać się w brudach polityki, w partyjnym bloku – tak nazywał to siedlisko zepsucia. Nawet teraz, choć zbliża się „koniec służby”, wciąż jest niespokojnym duchem. Mimo obciążenia pracą na uczelni, ma w planie nowe wykopaliska, pisze książki, zabiega o stworzenie nowoczesnego i nowatorskiego muzeum sztuki cykladzkiej na Kufonisi, w którym znalazłyby swoje miejsce między innymi szczątki prehistorycznej kobiety, szkielet Kasjopei. „Chcę dokonać żywota na wykopaliskach. Między pozótkłymi kośćmi i darami grzebalnymi”, mawiał z uśmiechem. Żartował? Naprawdę tak myślał? Kto go wie.

Tak, Dukarelis go znał. Słyszał o nim w czasie letnich praktyk, gdy wśród pogaduszek pod rozgwieżdżonym niebem, nad brzegiem morza, studenci opowiadali o Sergidisie z zachwytem. O jego popularności, o fascynujących wykładach, niewyczerpanej energii, wypełnionym do ostatniego miejsca audytorium. Ktoś mu go kiedyś pokazał palcem: „To jest Sergidis, panie profesorze, ten, o którym mówiłem”. Dukarelis odwrócił się i go zobaczył. Proste, lecz stylowe, eleganckie ubranie, gładko uczesane, lekko rzednące włosy. Tak, Sergidis był dużą indywidualnością.

Pewnego razu, gdy specjalna komisja senacka miała zdecydować, czy dać Sergidisowi awans, czy skazać go na akademicką stagnację, Dukarelis uparł się, walnął pięścią w stół i postawił na swoim. Żeby się nie ośmielili pozbawić charyzmatycznego nauczyciela prawa do kariery! Dodał nawet, że byłoby to sprzeczne z interesem uczelni. W ten sposób jego licząca się opinia, jego autorytet, przeważyły na korzyść Sergidisa. Plany szefa instytutu historii, może wynikające z zawiści, może z chęci przeforsowania awansu dla swojego protegowanego, zostały zamrożone. Przynajmniej na pewien czas.

Sergidis nie wiedział wówczas, że awans zawdzięcza Dukarelisowi. Dukarelis o niczym mu nie powiedział, także wtedy, gdy po pogrzebie zaczęła nawiązywać się między nimi relacja wzajemnego szacunku i przyjaźni. Rzecz wyjaśniła się dopiero parę lat później za sprawą jednego z kolegów, który uczestniczył w tamtym znaczącym dla przyszłości Sergidisa zebraniu. Nie, nic nie wiedział. I otrzymawszy decyzję, pospieszył jak idiota do gabinetu kierownika instytutu, żeby z wdzięcznością uścisnąć mu rękę i podziękować serdecznie za jego osobisty, jak wierzył, wkład w tę decyzję. Tamten popatrzył na niego zdumiony, wręcz zgłupiał, „Gratulacje, panie kolego”, powiedział chłodno, bąknął coś jeszcze pod nosem, schylił głowę, sięgnął po słuchawkę i zaczął wybierać numer, znak, że Sergidis ma wyjść i dać mu święty spokój.

Sergidis winien był wdzięczność Dukarelisowi. Uważał go za swojego mistrza, chociaż pracowali w różnych instytutach i mieli różne przedmioty zainteresowań: archeologia prehistoryczna w przypadku jednego, historia współczesnej Grecji – drugiego. Powoli zawiązywała się między nimi bliska zażyłość, tworząca fundament dla szczerzej, autentycznej przyjaźni. Sergidis często zachodził do gabinetu Dukarelisa na drugim piętrze, żeby poradzić się w sprawach dotyczących życia akademickiego, rozmaitych trudności, kłód rzuconych mu pod nogi przez kolegów z uczelni, ale też propozycji pracy dydaktycznej za granicą, a czasem związków dziewiętnastowiecznej archeologii z jego własnymi badawczymi zainteresowaniami. Rozmawiali również o sprawach osobistych. Siedzieli w fotelach, noga założona na nogę, dyskutowali i palili – Dukarelis fajkę ze starannie dobranym tytoniem Barley Kentucky, Sergidis lekkie papierosy. Dukarelis zwierzał mu się ze swoich trosk o Isminę, córkę, o jej naukową karierę, którą właśnie rozpoczynała w Brukseli, a wcześniej o jej związek, który tymczasem zakończył się niespodziewanie, raniąc ją głęboko. Sergidis opowiadał o bracie mieszkającym w Anglii i o ojcu. O matce i jej staraniach, by go ożenić, „do ołtarza zaprowadzić”, na co Dukarelis odpowiadał ze śmiechem: „Matka ma rację. Starym kawalerem chcesz zostać?”.

Dziś także zapukał do jego drzwi. Poczuł znajomy zapach tytoniu, którym nasiąkły przedmioty, meble i ściany gabinetu. Wanilia, wiśnie? Może jedno i drugie.

- Masz chwilę, Jorgo?
- Wejdz, siadaj – usłyszał w odpowiedzi.

Wśród unoszących się wysoko obłoków dymu Sergidis opowiedział mu o spotkaniu z kierownikiem instytutu, który wezwał go na dywanik. Życzliwi koledzy donieśli, że powiesił w czasie wykładu na tablicy fotografie ofiar wielkiej manifestacji z piątego maja oraz zdjęcia „sprzedajnych polityków”. „Nie politykujemy i nie agitujemy w salach wykładowych, panie Sergidis, nawet jeśli... nawet jeśli gardzimy polityką i politykami. Poza tym, kto to słyszał, żeby wykład akademicki nosił tytuł *Polityka/cy, zbrojstwo i terroryzm!* Co pan sobie wyobraża, panie Sergidis?”.

Dukarelis dmuchnął dymem i roześmiał się głośno.

– Aż tak...?

– I co, twoim zdaniem, powinienem zrobić?

– Ty? Nic. Nie przejmować się. Od dzisiaj ich znasz? Nie jesteś tu przecież nowy. Przejdź nad tym do porządku dziennego. Nie zwracaj na niego uwagi. A w następnym semestrze zmień na wszelki wypadek tytuł wykładu, żeby pan kierownik się uspokoił. Daj na przykład: *Politycy, zbrojcy i tym podobni złodzieje*. – Znowu wybuchnął śmiechem. – A teraz poważnie. Zmień tytuł, ale treść wykładu zostaw taką samą.

Jego twarz okrył gęsty biały dym.

Sergidis uśmiechnął się.

– Tak zrobię – powiedział i zgasiwszy papierosa w popielniczce, podniósł się z miejsca. Westchnął. – Tak zrobię.

15/A7

Polityka/cy, zbrojstwo i terroryzm. Taki był tytuł wykładu z historii, który wybrałem w drugim, letnim, semestrze. Jak hasło wzięte z czerwonej manifestacji albo jak napis czarną farbą na miejskim murze. „Jestem heretyckim historykiem. Nie chodzę utartymi szlakami”, powiedział Romanós Sergidis, profesor historii. Takie były jego pierwsze słowa. Tak zaczął pierwszy wykład, ledwie położył teczkę na katedrze. I zwracając się do pełnej sali, ciągnął: „Dlatego politycy mnie nienawidzą. I zbrojcy. A, zapomniałem! I historycy...”.

Każde jego zdanie wywoływało chichot w audytorium. Opowiadali mi o tym koledzy ze starszych lat, Cypryjczycy. „Koniecznie wybierz ten wykład. Będziesz się dobrze bawił”. Mieli rację. Dobrze się bawiłem, kapitalnie. Lecz te wykłady nie miały być tylko rozrywką. O, nie. Nie wybrałem ich tylko dlatego.

Sergidis był charyzmatycznym nauczycielem i mówcą, ale potrafił też – i robił to z wielkim zamiłowaniem – wyłuskać zagadnienia wykraczające poza nurt oficjalnej historii, kwestie stosunkowo marginalne, heretyckie, jak je nazywał, odważne, balansujące między faktami a przypuszczeniami, niepotwierdzone, lecz logiczne. Kiedy więc przeczytałem w programie studiów spis zagadnień składających się na ten wykład, a zwłaszcza rzeź w Dílesi, podjąłem decyzję.

To właśnie Sergidis otworzył mi oczy. Śmiem nawet twierdzić, że gdyby uniwersytety miały więcej podobnych profesorów, społeczeństwo greckie byłoby całkiem inne. Tak, ten człowiek dał mi klucz do zrozumienia tego, co się wokół mnie działo. Do uporządkowania wiadomości wrzucanych do mózgu bezładnie, niepowiązanych ze sobą i trudnych do pojęcia. Drążąc przeszłość, lepiej rozumiałem teraźniejszość. I w tym sensie nie był on zwyczajnym nauczycielem, lecz kimś, kogo potrzebuje każdy uczeń – przewodnikiem po życiu.

Każdy jego wykład oznaczał prawdziwą przygodę. Wykorzystywał niewyczerpane w swej różnorodności, i często nieoczekiwane, środki – także dowcip i teatr. Zaskakiwał nas, podawał dziwaczne, niesamowite, wręcz nieprawdopodobne i szokujące fakty, których celem było z jednej strony wesprzeć jego teorie, a z drugiej rozbudzić nasze zainteresowanie, sprowokować nas. Tak, za katedrą Sergidis był aktorem na scenie, odtwórcą głównej roli, pierwszym nazwiskiem, znakomitym w komedii, jeszcze lepszym w tragedii. I zawsze wiarygodnym.

Często powtarzał, że wszystkie bolączki piętrzące się przed nami w obecnych czasach wiążą się nierozdzielnie z błędami strukturalnymi i organizacyjnymi z okresu odzyskiwania niepodległości i tworzenia się nowego państwa. „Ten kraj zawsze miał i wciąż ma problemy. Bo taki stan rzeczy dogadza najzamożniejszym rodom, ludziom na stanowiskach, rodzimym oraz zagranicznym politykom i finansistom, finansistom zwłaszcza. Wielkie mocarstwa¹⁸, które w myśl protokołu londyńskiego z 1830 roku były gwarantami integralności i suwerenności Grecji oraz jej ustroju, monarchii konstytucyjnej, użyły swoich uprawnień jako pretekstu do ingerowania w wewnętrzne sprawy kraju”, zwykł mawiać. Każdy wykład kończył tym samym zdaniem: „Nie zapominajcie, że zbójcy opuścili góry i zeszli do miast”, parafrazując słowa zbójckiego herszta Jagulasa. Ilekroć go słuchałem, tylekroć miałem odczucie, skryte przekonanie, że popycha nas, podskórnie, podświadomie, do oporu, do społecznej rebelii przeciw ustalonemu porządkowi, przeciw wszystkim, którzy od dawna grabią i niszczą nasz kraj.

Punktem wyjścia jego wykładów były patologie początków państwa greckiego, które przyczyniły się do powstania i umocnienia zbójstwa: zaciekle prześladowanie resztek nieregularnych oddziałów dawnych bojowników o wyzwolenie – najpierw przez regenta Armansperga, a później przez króla Ottona; rządy ludzi o niskim morale, a w ich następstwie relacje klientelistyczne; żądza władzy interesownych kodzabaszów, starszych wsi za Turków, którzy potrzebowali zbójceckich hord do szantażowania przeciwników i do utrzymania swojej pozycji w wyborczych zmaganiach. Była też Wielka Idea zjednoczenia w jednym państwie wszystkich Greków, także tych żyjących pod panowaniem tureckim; była niepodległościowa polityka greckich rządów, które korzystały z usług zbójców z przygranicznych terenów greckich okupowanych przez Turcję. Swoją rolę odegrały też: tradycja kleftów¹⁹ i armatolów²⁰, najazdy na rolników oraz hodowców zwierząt w celu poboru podatków, a także stosowana wobec nich samowola władz lokalnych i specjalnych oddziałów zbrojnych, niewydolność mechanizmów represyjnych, częste amnestie, bezkarność zbójców oraz ich wcielanie do oddziałów ochrony porządku publicznego.

Opowiadał nam o wielkich bandach i ich sławnych przywódcach, o Dawelisie²¹, o Kalambalikisie, Spanosie, o Arwanitakisach, o ich

działalności na terenach przygranicznych, a nawet w Attyce, o ich „wyczynach”, o braniu jeńców i okupach, o haraczach, jakie nakładali na mieszkańców wsi, o tym, jak byli ścigani przez oddziały żandarmerii, o powiązaniach zbójców z ruchami powstańczymi na terenach jeszcze niewyzwolonych i o udzielanych im amnestiach, o siatkach ich współpracowników, o ludziach, którzy przyjmowali w darze lub przechowywali rzeczy pochodzące z rabunku, o tselingatach²² i pasterzach, o zawieraniu braterstwa krwi, o tworzeniu hord, o zbójceckich strojach, uzbrojeniu, obyczajach, kodeksie honorowym i kodeksie zachowania, o sojuszach i kumoterstwie ze sprzyjającymi im politykami. Zwłaszcza na tych ostatnich nie zostawiał suchej nitki.

Sergidis obstawał przy niektórych faktach, żeby podeprzeć swoje poglądy na temat współdziałania zbójców z politykami. Należały do nich: udział band zbójceckich w krwawych bratobójczych walkach w Atenach w czerwcu 1863 roku pomiędzy „górami” a „równiną”²³, czyli w tak zwanych wypadkach czerwcowych; zdarzające się na prowincji porwania ludzi polityki; rzeź w Dílesi. Uzasadniając swoje tezy, odwoływał się do niezliczonych źródeł: oryginalnych dokumentów archiwalnych, protokołów z posiedzeń Izby Lordów i Izby Gmin w Anglii, protokołów Parlamentu Grecji, materiałów z Centralnego Archiwum Państwowego, Archiwum Historycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, do zeznań pojmanych zbójców, raportów dowódców oddziałów, które ich ściagały, do sprawozdań sędziów i miejscowych notabli kierowanych do władz centralnych, do świadectw osób przetrzymywanych jako jeńcy, do dziennika lorda Muncastera *Ransom and Murder in Greece*, książki *The Dilessi Murders* Romilly’ego Jenkinsa, doniesień i artykułów ówczesnych brytyjskich oraz greckich gazet, które niejednokrotnie porównywał ze współczesnymi publikacjami o politykach kombinatorach, o łapówkarstwie, wzajemnych przysługach, niejasnych powiązaniach oraz z oświadczeniami premiera czy oświadczeniami przywódcy największej partii opozycyjnej, które, jak powiadał, rozszyfrowywał, by odnaleźć prawdziwą treść – tak jak w międzywojniu czynił to Bertold Brecht z tekstami propagandowymi i językiem władzy w demagogicznych przemówieniach Goebbelsa i Hitlera. Sergidis często odwoływał się do dawnych podań ludowych, do broszury *Myśli pewnego zbójcy albo potępienie społeczeństwa* Dimitriosa Paparigopulosa, do wiersza *Syn kata, wiersz historyczny* Aleksandrosa

Katakuzinosa, do tekstu *Droga* Andreasa Embirikosa oraz *Przekleństwo narodowe* Georgiosa Paraschosa, do pieśni zbójeckich i do powieści, takich jak *Tanos Wlekas* Pawłosa Kaligasa, *Król gór* Edmonda Abouta, *Życie żołnierskie w Grecji* nieznanego autora, *Zbójcy u bram Aten* M. Karagatsisa oraz *Szalony pustelnik* Lambrosa Enialisa.

Wszystko to prowadziło do podsumowania: „Myślicie, że zbójectwo znikło w XIX wieku? Jeśli wydaje się wam, że nastał jego kres, jesteście w błędzie”. Pauza. Czekał, patrząc na nas. Kilka sekund ciszy. Stał przy katedrze, nieruchomy. Jak skamielina. Żrenice jego oczu przesuwają się powoli w prawo i w lewo, omiatając obecnych w audytorium. A potem głęboki oddech i na powrót ożywał. „Istnieje także dziś i potwierdza słowa zbójeckiego herszta z okresu międzywojnia, Jagulasa: »Kiedyś zbójcy opuszczą góry i zejdą do miast«. Zbójcy nadal dobrze się mają, tacy jak Chadzistawros Edmonda Abouta czy Tasos Pawłosa Kaligasa. Zobaczcie, do czego doprowadzili kraj. Potrzebowali na to dwustu lat. Zawsze tacy sami, wilki w owczej skórze. Każda partia to arcyherszt i jego zastępcy, pierwsze zuchy, jego krewniacy i kumotrzy, bracia krwi, jego tselingaty, jego poplecznicy i paserzy. Okupy, łapówki, lewe pieniądze. No, czasami budują kościoły, jak każdy szanujący się zbójca w czasach zbójcokracji – albo żeby zamydlić oczy ludowi, albo i rzeczywiście dla zbawienia własnej duszy. Zbójcy potrzebni są, i to bardzo, obcym interesom politycznym i ekonomicznym, wszystkim tym, którzy nas nieustannie straszą i w zasadzie sprawują kontrolę nad naszym krajem. Prokrustesowie, Pitokamtesowie, Skironowie naszych czasów. Pewna część łupu, może nawet większa część dóbr pochodzących z grabieży, trafia do nich. Niech to do was dotrze. Dzisiejsza polityka to machina zakamuflowanego zbójectwa. »Wspólnie je przejedliśmy?«”.

[18](#) Francja, Wielka Brytania, Rosja.

[19](#) Klefci – dosłownie „złodzieje”, żyjący z rozboju. Ruch kleftów, szczególnie aktywnych w latach greckiego powstania narodowowyzwoleńczego (1821–1829), w świadomości ludu utożsamiany był z ruchem oporu przeciwko Turkom.

[20](#) Armatol – „zbrojny”; w czasach osmańskich chrześcijanin mający przywilej noszenia broni dla zapewnienia bezpieczeństwa w okolicy; pierwotnie powoływany przez władze tureckie do zwalczania kleftów (z którymi często wchodził w przymierze). Za: Małgorzata Borowska, „Arcydzieła Literatury Nowogreckiej”, tom IX, str. 527.

[21](#) Christos Dawelis – (Christos Natsios, ok.1832–1856), słynny kleft działający głównie na terenie Attyki i Beocji. Opiewany w ludowych pieśniach. O jego wyczynach krążyło wiele historii, nie zawsze prawdziwych.

[22](#) Tselingato – zorganizowane gospodarstwo hodowlane i produkcyjne, rodzaj spółdzielni, zakładane przez mieszkańców rejonów górskich. Rozpowszechnione szczególnie wśród Karakaczanów, odgrywały istotną rolę społeczną. Na czele tselingato stawała rodzina najsilniejsza finansowo, posiadająca największe stada. Zarządca, tselingas, odpowiadał za wszystkie stada i reprezentował na zewnątrz interesy całego gospodarstwa.

[23](#) Frakcje polityczne, które ścierały się w czasie wojny domowej w Grecji po zdetronizowaniu króla Ottona w wyniku puczu wojskowego w 1862 r., zgrupowały się w dwóch wielkich „koalicjach”, zwanych, podług wzoru przejętego od ugrupowań rewolucji francuskiej, „górami” („góralami”) i „równiną”.

16/A8

Przyszędł późnym popołudniem, po pracy. Było lato. Zastał nas w altanie. Róże roztaczały upajający zapach. Mama siedziała w fotelu i czytała. Toni Morrison, *Pieśń Salomonowa*. Ja bawiłem się grą elektroniczną. Game Boy. Z oddali, od szosy, doszedł nas przeciągły, rozgniewany klakson i zgrzyt hamulców.

– Znowu te wymysły czytasz? – próbował jej dokuczyć.

Tak nazywał powieści, literaturę piękną – wymysły, pustosłowie.

Nie pierwszy raz pokpiwał sobie z beletrystyki, nie pierwszy raz usiłował podroczyć się z mamą. Zwykle uśmiechała się tylko, choć wyglądała na urażoną. I tyle. Nie ciągnęła rozmowy. Dla niego beletrystyka była stekiem bzdur, które mąciły ludziom w głowach. Literaturą dobrą dla nawiedzonych i próżniaków. Pisarz był w jego odczuciu szarlatanem,macherem od słów, naciągaczem. Szamanem szepczącym osobliwe wyrazy, magiczne zaklęcia, niepojęte pacierze, żeby nabrać naiwnych. Dla ojca prawdziwymi książkami były jego książki: rzetelne publikacje na temat geologii, botaniki, entomologii. Takie właśnie, naukowe.

Matka nic nie odpowiedziała. Ale tym razem, ku naszemu zdumieniu, ostentacyjnie zamknęła książkę – bach! – wstała i poszła sobie. Znieruchomiał, zamilkł. Spojrzał na mnie z poczuciem winy, zakłopotany wyciągnął rękę i pogłaskał mnie po głowie. Milczał, brakowało mu słów. Widziałem, że jest mu przykro. Westchnął. Po chwili poszedł do domu, do matki. Nie wiem, co sobie powiedzieli. Ale wieczorem przy stole byli pojednani.

Tak, ojciec nie považał literatury pięknej. Ale od tamtej pory swoje poglądy zachowywał dla siebie.

17/C3

Spędził pół dnia w hotelu. Na miejscu zbrodni. Poprosił dyrektora o rejestr gości. Wysłał swoich ludzi, żeby się przeszli po pokojach i popytali. Czy ktoś nie widział, nie słyszał czegoś podejrzanego? Kazał przetrząsnąć okolicę. Dowiedział się, że wczorajszego wieczoru służby miejskie nie zabierały śmieci. Niech pogrzebią, jak menele, w pojemnikach na odpady. Pierwszą rzeczą, którą zazwyczaj próbuje zrobić morderca, jest pozbycie się dowodów winy. Sam poszedł do apartamentu na jedenastym piętrze. Z samego rana. Zanim stosowna ekipa weźmie się do roboty i sprzątnie pomieszczenia. Zwłoki zostały już naturalnie przeniesione do prosektorium. Badania sądowo-lekarskie. Ale ślady przerażającej zbrodni nadal były wszędzie. Zastygłe krople i zaschnięte plamy krwi, strzępy ludzkich tkanek na parkiecie, na meblu pod telewizorem. Służby kryminalistyczne całą noc zabezpieczały ślady. Laboratoria policyjne miały nocny dyżur.

Towarzyszył mu dyrektor hotelu, który zwrócił uwagę na fakt, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa sprawcy pokonali na piechotę przynajmniej kilka pięter. Od siódmej kondygnacji poczynając, tylko ofiary miały klucz do windy. Apostolu zażyczył sobie wejść schodami od parteru na samą górę.

– Żartuje pan, naturalnie, panie inspektorze... – powiedział dyrektor.

– Bynajmniej – odparł Apostolu.

Musiał przejść tym samym szlakiem, jaki przemierzył morderca – a może mordercy? Służby kryminalistyczne już to rzecz jasna zrobiły, ale nigdy nic nie wiadomo. Poza tym powinien był wyrobić sobie własny pogląd, stworzyć w swoim umyśle własny, pełny obraz, uzupełnić luki między przecinkami, kropkami i znakami zapytania. Wspięli się na jedenaste piętro. Dyrektor ostatecznie poszedł wraz z nim, ale na końcówce złapał go kaszel nie do opanowania. Przycisnął rękę do piersi. Było mu słabo. Zgiął się we dwoje, przykląkł na chwilę. Ledwie łapiąc oddech, wymruczał coś o lekarzu, o teście wysiłkowym, coś takiego. A potem wybuchnął śmiechem. Teraz, na stare lata, pokonywać dwieście pięćdziesiąt schodków? Co go napadło? „Za dużo pan ode mnie wymaga, panie inspektorze”. Między dziesiątym a jedenastym piętrem dostrzegli krew zabitego policjanta z ochrony. Plastikowa podłoga nadal była zaplamiona. Ciemną, czarną krwią.

Apostolu przeszedł wszystkimi korytarzami, obejrzał parter i wejście dla personelu, szukając śladów, dowodów, klucza do zagadki. Miał się nad

czym zastanawiać. Badania sądowo-lekarskie nie wykazały nic ponad to, o czym wiedział, nic ponad rzeczy oczywiste. Same bezużyteczne szczegóły. Coś było nie tak, coś się w tej historii nie kleiło. Stwierdzono ślady prochu na ubraniach ofiar, znak, że strzelano prawie z przyłożenia. Technicy zdjęli szarym proszkiem magnetycznym odciski palców ze ścian, drzwi, z umywalki i luster. Wszystkie należały do ofiar lub pracowników hotelu, którym po przesłuchaniu nie można było niczego zarzucić. Śladów linii papilarnych sprawcy nie znaleziono nigdzie. Przebadana krew również była krwią ofiar, a nie sprawców. Brak śladów walki. Żadna z hotelowych kamer nie zarejestrowała nikogo podejrzanego. Dziwna rzecz, elektroniczny system monitorowania nie działał – zablokował się akurat wtedy, gdy zgodnie z diagnozą lekarzy sądowych, mordercy naciskali na spust i ostrze rozcinało zwłoki. Chyba duch jakiś wszedł do hotelu, a potem z niego wyszedł, zjawa jakaś.

Jedyną pomocną informacją było zeznanie ochroniarza przy wejściu. Opisał on mężczyznę, który w pośpiechu opuszczał hotel. Miał około czterdziestu lat, metr siedemdziesiąt pięć, może metr osiemdziesiąt wzrostu. Wydawał się podenerwowany. Wkrótce potem wszczęto alarm. W czasie przesłuchania ochroniarz powiedział, że nie jest pewien, co mężczyzna miał na sobie, jego ubranie nie zapadło mu w pamięć, ale chyba była to tweedowa beżowa marynarka i sztruksowe spodnie. Rysy twarzy natomiast zapamiętał, owszem, zapamiętał. Twarz raczej pełna, lekko pucołowate policzki, głowa ogolona na łyso, szarozielone oczy, wydatne usta, duży nos.

Analiza balistyczna wykazała, że użyto pistoletu Glock 17, popularnej broni wykorzystywanej w przeszłości przez greckie organizacje terrorystyczne. Okazało się, że tego samego pistoletu użyto przed dwoma laty w pospolitym napadzie rabunkowym w Katerini na północy Grecji. Napastnik strzelił wówczas w sufit pewnej piekarni, żeby zastraszyć pracownika, od którego żądał wydania pieniędzy z kasy. Zabrał sto euro i uciekł. Sprawa została zamknięta, sprawcy nie odnaleziono, policja nie zajmuje się bzdurami. I proszę, sprawa tamtego rozboju znowu wypływa na powierzchnię. Pilnym rozkazem Komendy Głównej – skierowanym do policji w Katerini – Apostolu zażądał wznowienia śledztwa. Oddelegował także, dla pewności, komisarza Ektorudisa, żeby ponownie przyjrzał się sprawie. Ale, prawdę powiedziawszy, czy coś z tego wyniknie?

Na zebraniu zwołanym w południe w sali odpraw dla omówienia sytuacji w obecności zastępcy Komendanta Głównego, niektórzy utrzymywali, że za morderstwem mogą stać elementy skrajnie prawicowe. Że wskazuje na to notatka znaleziona na miejscu zbrodni z datą 21 kwietnia 2013: „Ewidentna aluzja do »zbawiennego roku«²⁴”. Członkowie środowisk skrajnej prawicy kierowali w przeszłości groźby pod adresem trojki, którą nazywali „siłą okupacyjną”. Wybór daty z pewnością nie był przypadkowy.

Jeden z inspektorów łączył *aste dua u* z przestępcami pochodzenia albańskiego, trzeba więc, jak powiedział, zbadać i tę okoliczność. A „Jorgakisa dzieło”? Czy były premier, Georgios Papandreu, nie otrzymał w ostatnim czasie jakichś pogroźek? Może to on uważany jest za winnego obecnej sytuacji. Bo jemu właśnie wielu ludzi przypisuje zaakceptowanie warunków unijnego programu naprawczego dla Grecji oraz wprowadzenie kraju do Międzynarodowego Funduszu Walutowego. To jego dzieło.

Apostolu nie wiedział, w co wierzyć. Za zbrodnią zawsze kryje się wiele czynników. Wszystkie one muszą być przedmiotem śledztwa, żadna ewentualność nie mogła zostać wykluczona. Może faktycznie działały tu elementy skrajnie prawicowe, może jakaś organizacja terrorystyczna. Wszystko możliwe.

Czynności dochodzeniowe prowadzono na wielu frontach: wśród pracowników hotelu, w świecie przestępczym, w środowiskach marginesu społecznego, w kręgach przeciwników władzy, grup skrajnie prawicowych i skrajnie lewicowych. Istny labirynt, a Apostolu ma znaleźć wyjście.

Informacja, która pojawiła się w godzinach popołudniowych, dodała skrzydeł śledczym. System elektroniczny, monitorujący wejścia i wyjścia pracowników hotelu, zarejestrował nazwisko boya hotelowego, którego zwolniono z pracy przed kilkoma miesiącami. Niejakiego Sewastopulosa. Ale Apostolu wiedział, że sprawca nie mógłby się aż tak afiszować. Pracownik, który odbija kartę, a zatem ujawnia swoje dane, nie popełnia zbrodni. Gdy przyprowadzono podejrzanego na komendę, inspektorowi wystarczyło zobaczyć go z daleka, by nie pofatygować się nawet na przesłuchanie. Człeczyna wąły, anemiczny, mikrej postury, trząśł się, gdy go prowadzono na złożenie zeznań, rozglądał się wytrzeszczonymi oczyma wokoło, przestraszony. Nie, to na pewno nie on. Policjanci przepytali ludzi z jego bliskiego otoczenia. Niczego nie znaleźli. Zwolnili go.

Apostolu zaangażował specjalistów od informatyki, żeby przeszukali internetowe bazy danych pod kątem wzmianek i wiadomości – wysyłanych czasami tu i tam – z pogrózkami wobec przedstawicieli trojki. Tych „poważnych” i tych „na żarty”. Zwerbował specjalistów od telekomunikacji. Niczego nie znaleźli. Kompletnie nic, zero.

Z całego informacyjnego chłamu został mu tylko portret pamięciowy ewentualnego sprawcy i raczej nikłe prawdopodobieństwo, że pojawi się jakaś nowinka dotycząca rozboju w Katerini. Co do innych wątków – gęsty mrok.

Apostolu naprawdę był w kropce. Sprawa wydawała się beznadziejna. Stracił resztki rezonu, gdy odwiedził go zastępca komendanta i polecił przekazywać niezwłocznie każdą nową informację także Narodowej Służbie Wywiadu. „Rozkaz z góry”, dodał, nie wyjaśniając owego „z góry”. Niebawem odwiedził go także sam szef służb wywiadowczych.

[24](#) Ironiczne nawiązanie do dyktatury czarnych pułkowników zapoczątkowanej 21 kwietnia 1967 r.

18/D3

[...]

Pyt.: Co wiesz o pastuchu Kostasie Seliamisie?

Odp.: W Oroposie przynosił nam bochny chleba, sery i tusze mięsa. Takos posyłał go często z bilecikami.

Pyt.: Co masz nam do powiedzenia o wizycie Christosa Arwanitakisa w Atenach przed rzezią?

Odp.: Dwa dni po Kifisji znowu zaczęło go nosić. Do Aten chciał iść tym razem. Wioska gore, baba włosy trefi. Mówił, że chce się spotkać z kimś dobrze obeznanym, co miał wpływy, jaśniepanisko, szycha jakaś, niejedno mógł załatwić, ich człowiek. Coby wyjaśnić sprawę lordów. I takie tam wybiegi. A prawda była taka, że ogłupiał za tą lady, co ją obaczył wtenczas w Wariés w Kifisji. Zapoznać się z nią chciał. Takos nie dał się nabrać. Bo to ślepy był? Abo głupi? Znów do oczu sobie skoczyli, wadzili się. „Nie”, rzekł mu, „nie pójdziesz znowu”. Rozpaczał. „Łeb ci urzną jak jakiemu wołu, co go na zupę z flaków szlachtują”, wyrzekął. Ale tamten zerwał się w niedzielę przed świtem i do pasa przytroczył sakiewkę pełną grosiwa. Takos frasował się i nie spał. Mieczem powstrzymać go nie mógł. Brat przecie, ta sama krew. Nie, tego by nie zrobił. Za to siadł i list napisał, aby go Christos jednemu kumowi dał w Atenach. Kto zacz, tegom nie wiedział. I poradził mu, by mnie znowu ze sobą zabrał, byśmy razem szli, bo miejsce było niebezpieczne. Ino że on już ufania do mnie nie miał, bo żem wyrzekł wtenczas Takosowi wszystko, i o tej obcej, o lady, że mu się spodobała i że się zakochał. Jednego wieczora, to nawet ostrza dobył i mi do szyi przyłożył, by się mnie pozbyć. „Zadżgam cię, kapusiu!”, powiedział. Ale stanął przed nim Takos, to opuścił rękę. Drakosa wziął ze sobą do towarzystwa. Patrzaliśmy za nimi, jak się oddalali.

A potem Takos rozkaz wydał i po cichu szpiega za nimi posłał, Seliamisa, pewnego człowieka, coby miał oczy i uszy otwarte, bo wiedział, że żołdaki czatują wszędzie i było niebezpieczeństwo, że go w jakiej zasadzce załatwią.

Co tam robili, dowiedziałem się z grubsza później, od Drakosa, jak wrócili. Przed Atenami, w zagrodzie jednego pasterza, Tambaleksisa, ogolili się, przystrzygli i przebrali w zachodnie ubrania. I tak, w zachodnim odzieniu, weszli do Aten i stanęli w jakimś hotelu w środku miasta. Dwa dni wałęsali się po ulicach. Christos oddał się zbytkom i luksusom, takim tam głupotom. Szukał okazji, by się pokazać, choć mu Takos przykazał, aby się w cieniu trzymał.

Smętny, przesiadywał w kafenijo przed hotelem lady i czekał, kiedy wyjdzie. Zobaczyć ją chciał. Kupę pieniędzy wydał. Klejnot jej kupił. Siedzieli tak obaj z Drakosem, cały dzień zbijali baki i pili gorzałkę. Przepuścił wszystko, co miał w sakiewce i próżnował. A my, zaszyci w kryjówkach, lordów żeśmy doglądali, mieliśmy się na baczości przed żandarmerią i wojakami i czekaliśmy na odpowiedź rządu.

Nie wiem, czy Christos spotkał lady. Drakos miał nakazane trzymać wszystko w tajemnicy, niczego nie wyjawiać. Tyle wiem, tyle rzekłem. Wiem ino, że Takos siedział jak na rozżarzonych węglach i wściekał się na rozrzutność i na zachowanie brata. Wielkie zwaśnienie było między nimi. Takos wiedział o wszystkim, co Christos w Atenach wyprawiał. Dostawał przecie wieści od swoich pomagierów i zauszników. [...]

19/D4

Słyszeli uderzenia młotów. Żelazem o skałę. I w blasku słońca ujrzeli na zboczu Likabetu robotników z połyskującymi narzędziami. Przyspieszyli, chcąc ich uniknąć. Im mniej spotkań na drodze, tym lepiej. Dotarli w końcu do Katsikádika²⁵, okryci kurzem i wyczerpani wędrówką. Popytali, wskazano im zagrodę Tambaleksisa, pasterza z Lidoriki. Swoją człowieka, pobratymiec Takosa. Zastali go odpoczywającego w chacie. Powiedzieli, że są od Takosa, niech da im gościnę. Wprowadził ich do środka i poczęstował zsiadłym mlekiem dla ochłody. Tam się dogadali. Wyślą parobka z cebrzykiem mleka, niby to na sprzedaż w mieście. Christos podał parobkowi rozmiary i przykazał wrócić z dwiema zmianami europejskich ubrań i butów. I najważniejsze, niech się dowie o hotel lady. Wcisnął mu w garść trochę monet. „Jedna dla ciebie”, powiedział, mrugając porozumiewawczo. Tamten stał chwilę, patrzył zdziwiony, aż w końcu zrozumiał i uśmiechnął się szeroko, rad z nieoczekiwanego trafu.

Christos Arwanitakis i Drakos odpoczęli, ogolili się, przyszygłi długie włosy, żeby nie przypominać dzikusów, gdy wejdą do cywilizowanego świata. Ich wygląd zupełnie się zmienił. Patrzyli jeden na drugiego i nabijali się z siebie nawzajem. „Wyglądasz, jakbyś się do zdjęcia szykował w mieście”, powiedział Drakos do Christosa. Ten zaś rzucił żartem, że mało brakuje, by Drakosa wzięto w Atenach za lorda. Późnym popołudniem wyruszyli w towarzystwie Tambaleksisa. Człek był z niego małowówny, do gadki nieskory. Może i bał się. Na Przedmieściu, w Neápoli, rozglądali się po cichej, sielskiej okolicy z niskimi domami o dachach wykończonych ceramicznymi ozdobami, spozierali ku zielonym podwórzom z pnącą winoroślą i akacjami. Widzieli teraz z wysoka rozciągające się u ich stóp miasto. Szli szybko i buty zaczęły ich uwierać, bo nienawykli byli do twardej skóry, w górach całe życie nosili tsaruchy. Minęli Deksamení i szli dalej przez winnice. Pasterze pozdrawiali Tambaleksisa, przystawali i z zaciekawieniem odprowadzali ich wzrokiem. Pobrękiwanie pasterskich dzwonek długo jeszcze niosło się za nimi.

Ujrzawszy monastyr Świętych Mocy Niebiańskich²⁶, Drakos przypomniał sobie stare dzieje, ożywił się i zaczął opowiadać o wyczynach bandy pod arcyhersztem Kiriakosem Malisowasem, protegowanym tak zwanego Szuby, Wulgarisa²⁷, w czerwcu 1863 roku. Jerzy wybrany został w marcu na króla Greków, po tym, jak osiemnastu innych europejskich

kandydatów błękitnej krwi odmówiło wstąpienia na tron Grecji. Jego ojciec, król Danii, Greków nie považał. „Nędznikami” ich zwał, „narodem zbójców”. Wcześniej przez kraj przetoczyła się fala zbrodni i przemocy. W lutym Wulgaris usiłował dokonać przewrotu i zdobyć władzę. Próbowano porwać córkę dyrektora Banku Narodowego Georgiosa Stawru. Zgromadzenie narodowe przegłosowało szczodłą podwyżkę dla trzystu siedemnastu posłów, ale też cięcia w wynagrodzeniach urzędników państwowych oraz opodatkowanie dla hodowców zwierząt. „Synekurzyści” rozwścieczyli opinię publiczną. „Won, chciwce! Won! Won, wyzyskiwacze!”, wołali ludzie. Niektórym politykom nieźle się dostało. Tak, zbójcy obwarowali się razem z Kiriakosem – Drakos, Takos Arwanitakis i jeszcze innych siedemdziesięciu – w celach mnichów. A na zewnątrz parada żandarmerii, którzy przyszli ich aresztować. Ale i oni byli ludźmi Szuby, wśród zbójców zaś byli w większości dezertery z żandarmerii i wojska, koledzy jednym słowem. Porozumieli się, połączyli siły przeciwko rządowi. I aresztowali, jako zakładników, ministrów Kumundurosa²⁸ i Kalifronasa²⁹.

Drakos rozpalał się coraz bardziej w swoim entuzjazmie. I kiedy minęli winne sady przy ulicy Sekierisa i weszli na Drogę Maratońską³⁰, siłą zaciągnął ich przed pałac królewski, żeby opowiedzieć o tamtych wydarzeniach. Na placu Konstytucji starli się, mówił, „górze” rządu z „równiną” Wulgarisa, która próbowała zająć pałac. Od kuli jakiegoś zbójcy padł syn Konstandinosa Kanarisa³¹, Aristidis. Ale mało im było. W czasie pogrzebu „równina” ostrzelała jeszcze trumnę. Taką mieli w sobie nienawiść. Tak, Drakos i teraz ma przed oczami nacierających i broniących się, słyszy huk armat, strzały, krzyki, zawodzenia rannych. Lament. Przeżywa na nowo ferwor walki. Wzdycha. Był wtedy taki młody, krew miał gorącą.

Christos patrzył na pałac, przyglądał się ewzonom, którzy pałacowi strzegli, rezydencjom Janopulosa i Pallisa naprzeciwko i pałacykowi Dimitriju z Francuską Szkołą Archeologiczną. Tam, kilka lat wcześniej, w roku 1861, student Aristidis Dosios próbował zabić królową Amalię³². Dwa lata później wyszedł z więzienia, gdy w czasie wypadków czerwcowych otwarto Medresę³³ i wypuszczono na wolność ptaszki wszelkiej maści. „A to »Hotel Angielski«³⁴”, powiedział Tambaleksis, wskazując ręką

budynek. „Stamtąd lordowie i ich świta wyruszyli powozami do Maratonu”. Wzrok Christosa Arwanitakisa znieruchomiał, pomroczniał. Drakos zrozumiał. „Chodź”, szepnął. „Przyjdziemy tu później”. Poszli w stronę ulicy Hermesa i jej europejskich sklepów. Rozglądali się na prawo i na lewo. Sklepy z odzieżą, obuwiem, różnymi sprzętami. Szwalnie, kuźnie, *tsaruchádika*³⁵. Na stopach czuli już rany od twardych butów. Ale co było robić? Szli dalej. Christos stracił humor. Wymijali wieśniaków w fustanelach, którzy ścigali do miasta z jego obrzeży, przechodniów ubranych na zachodnią modłę, kobiety ponętne niczym bajadery, w europejskich sukniach i kapeluszach, istne sylfidy. Minęli sklep papierniczy Pallisa, księgarnię Karla Wilberga, sklep z upominkami Rudolfa Mayfartha, z nazwą firmy na szyldzie wiszącym wysoko nad wejściem, sklep jubilerski Pomonisa. I wtenczas twarz Christosa pojaśniała, tajemniczo się rozpogodziła. Wrócił utracony nastrój. Sprawiał wrażenie rozmarzonego, pochłoniętego własnymi myślami. Coś mu nagle zaświtało w głowie.

Za Kapnikareą³⁶ skręcili w prawo, w ulicę Eola. Tam zwolnili Tambaleksisa. Arwanitakis dał mu suty napiwek. „Bywajcie! Obaczymy się w zagrodzie za waszym powrotem”, powiedział pasterz. Kontynuowali wędrówkę. Rozochocony Drakos snuł dalej swą opowieść. Dwudziestego czerwca walki nasiliły się na ulicy Stadionu, w alei przed uniwersytetem, i tu, niżej, przy kościele św. Ireny, kawałek dalej „przy armatach”, i na Omonii³⁷ – placu Zgody. Plac zgody – plac nienawiści. Walka była zacięta. Tylko tam padło ze stu zabitych. A było piekielnie gorąco tamtego dnia, straszliwa spiekota...

Z placu św. Ireny większość powozów już odjechała. Jedna czy dwie arby tkwiły jeszcze nieruchomo na rogu. Pustkowie. Minęli cukiernię Pawlidisa³⁸, dostrzegli hotel. „Jest i nasz hotel”, powiedział Drakos. Christos wyteżył wzrok. Hotel „Pod Koroną”. Plac Ludwika³⁹. Opodał Bank Narodowy. Drakos nagle wybuchnął śmiechem. Przystanęli. „Żebyś ty wiedział, co tu się działo... Heca nie z tej ziemi... Mało brakowało, a nieźle byśmy się obłowili. Zajęliśmy hotel, rezydencję Simosa i inne domy. Obwarowaliśmy się tam, gotowi bić »góre«”, mówił podniecony, wskazując okoliczne budynki. „Naprzeciwno, w Banku Narodowym, Georgios Stawru, dyrektor, też człowiek Szuby, wprowadził do środka oddział żandarmerii, z naszych. I gdyśmy rozważali, jak w tym zamieszaniu

wtargnąć do banku, zagrabić co się da, wszelkie grosiwo, wszystkie dutki, drachmy... całe złoto... i zniknąć... wyskakuje znienacka ten przekłety Koroneos⁴⁰, minister, ze swoimi ludźmi. Bitwa rozgorzała na dobre. Wtedy wdały się w sprawę mocarstwa, Anglia, Francja i Rosja, i położyły kres zabijaniu. Więcej jak dwustu ludzi wtedy poległo. Wszędzie zabici, trupy na ulicach. Przez dwa dni ukrywał nas w swoim domu Stawru, a potem ludzie Szuby pomogli nam uciec. Mieliśmy, widzisz, i podówczas swoich wpływowych ludzi w mieście. Szuba był wtedy silny. Co mu, uważasz, mogli zrobić? Od tamtej pory pięć razy był premierem! Ale okazję straciliśmy. Wielki rabunek nam się nie udał. Jedynie hotel „Pod Koroną” zdołali przyboczni Kiriakosa, chwaty, ograbić, i sąsiednie domy. Kiriakos się tym dręczył. Wielki chciał być... Pierwszy wśród zbójców, żeby pisali o nim pieśni. Ale nie był”.

Arwanitakis słuchał oniemiały. W istocie, słyszał coś niecoś od Takosa. Ale tych wszystkich szczegółów nie znał. Tak, liczba zabitych sięgnęła wówczas prawie dwustu. W jakiejś gazecie napisano: „Przerażający był stan rzeczy po zakończeniu tej masakry. Zwłoki ludzkie i końskie truchła leżały rozrzucone w wielu miejscach Aten, w kałużach krwi, roztaczając smród, głównie z powodu nieznośnego upału. Na placu Ludwika, przed Bankiem Narodowym, tworzyły się potworne strugi ludzkiej krwi, zalewając i śladami przechodniów na czerwono barwiąc teren o dużym promieniu. Wszystkie budynki podziurawione były kulami większego i mniejszego kalibru... Ojczyzna dzisiaj jest w żałobie, okrywa się kirem”.

Tymczasem zrobiło się ciemno. W latarniach zapłonął gaz. Światło załamywało się w wieczornej wilgoci, tworząc nad lampami pierścienie bladożółtawej poświaty. Widzieli, jak ścielące się przed nimi ich własne cienie, podobne wstęgom, smukleją, wydłużają się, rosą, jakby byli szczudlarzami kroczącymi skrajem drogi. Ruszyli, żeby znaleźć się wreszcie w hotelu. I wtedy wyrosło przed nimi dwóch kutsawakisów⁴¹. Marynarka nałożona na jedno tylko ramię, drugi rękaw zwisa luźno, plecy zgarbione, głowa pochylona. Przystanęli, przypatrując się dziwnie przybyszom. Miejscowi cwaniacy, ulica należała do nich. Czekali, mierząc obcych aroganckim spojrzeniem, aż usuną się z drogi. Tak musi się zachować każdy, kto staje przed kutsawakisem. Christos się wściekł. „Diabelskie nasienie”, mruknął. I już ręką do pasa sięgał. „Oszalałeś?”, wyszeptał Drakos, chcąc go powstrzymać. Wskazał na żandarma, który stał

na rogu i ich obserwował. Powinni unikać awantur, bo się jeszcze w co wplączę i ich przyskrzynię. Odpuścili, zrobili zakapiorom miejsce, a ci, podkręciwszy węża, uśmiechnęli się z zadowoleniem. Ich oddechy cuchnęły gorzałką. Odeszli, zataczając się. Oczy przymrużone.

„Kanalie!”, syknął Arwanitakis. Poirytowani weszli do hotelu. Poprosili o podwójny pokój. Podali fałszywe nazwiska. Papadópulos zamiast Arwanitakisa, Agrafiotis zamiast Drakosa. Zamówili dwie porcje jada, a potem wykończeni powlekli się do pokoju. Zzuli obuwie i obrzmiałe stopy zanurzyli w miednicy z wodą. Kiedy poczuli ulgę, położyli się do łóżek.

Arwanitakis oka nie zmrużył. Z jednej strony dręczyła go myśl o lady, z drugiej miękkie łóżko. Idąc za nawykiem z gór i lasów, porzucił materac, „do diabła z tym parszywym łóżkiem!”, krzyknął i zsunął się wprost na twardą podłogę. Wstał skoro świt. Lewą nogą. I jął uporczywie nalegać, żeby od samego rana zajęli pozycję przed „Hotelem Angielskim”. Chciał ją zobaczyć. Niecierpliwiał się.

Mocno się namęczył Drakos, by mu przywrócić rozsądek. „To arystokratka, czego innego nauczona, nie wstaje z kurami. Chodź, napijmy się najpierw kawy na Agorze, szerzej otworzą nam się oczy, a potem, bracie, i tam pójdziemy”. W końcu Christos usłuchał. Ale chciał, by późnym popołudniem, nim wrócą wieczorem do hotelu, Drakos zaprowadził go jeszcze do Psiri⁴². Przypomniał sobie wiersz, słowa Vynera. I ciekaw był domu Terezy Makri⁴³. A jeśli szczęście dopisze, to i ją samą chętnie by zobaczył. Jak też teraz, na stare lata, wygląda owa piękność? Może była to nawet metafizyczna rozterka. Czas, ślad jego upływu na urodzie, piętno przemijania, granice istnienia. A później, wieczorem, trochę się powłóczę, pójdą na dziewczynki. Tu niedaleko jest taki „dom”, polecił mu go Seliamis, szpieg Takosa. Zabawią się. Potrzebował tego. Już od tak dawna...

Przeszli ulicą Eola w kierunku Akropolu i doszli do placu Agory. Miasto tymczasem na dobre się rozbudziło. I tam, na placu, usiedli w kafenijo. Zdjęli na chwilę buty, roztarli obolałe stopy. Siedzieli i gapili się na przechodniów. Uliczni sprzedawcy zachwalali salep⁴⁴, obwarzanki, amulety, zioła. Ich głosy przeplatały się z gwarem wewnątrz okolicznych lokali, sklepików z żywnością, garkuchni szykujących się do nowego dnia i z biciem w kowadła w pobliskich kuźniach. Szarlatani, naciągacze,

wszelkiej maści cwaniacy, znachorzy – nikogo nie brakło w tej mieszaninie. Całe szalbierstwo Aten w pełnej krasie. Istna rewia. Ściągająca uwagę, hałaśliwa, efekciarska. Kto im przeszkodzi w prezentowaniu własnej głupoty? Maltańscy tragarze dźwigali na plecach meble, worki, toboły. Tak, patrzyli na tę ludzką ciżbę i słuchali jej nawoływań, bluźnierstw, przekleństw, patrzyli na ulicznych wyrywaczy zębów, domorosłych felczerów, balwierzy demonstrujących pijawki do puszczenia krwi, golibrodów, sprzedawców pachnideł. A oto, niespodzianie, przyszła kolej na małych uliczników. Widzieli ich wcześniej snujących się to tu, to tam, bez celu, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie. Teraz nadszedł czas, by i oni weszli na scenę. Ni stąd, ni zowąd wszczęli harmider i zaczęli wyśpiewywać *Wujcia Janisa od dzbanów*⁴⁵. Zbójcy obejrzeli się wtedy i zobaczyli, jak Dzbankarz z osiołkiem objuczonym glinianymi amforami i dzbanami nadchodzi od ulicy Hyperejdesa, rozpoczynając swój codzienny szlak. *Wujciu Janisie z dzbanami... i dzbankami twymi... szczęścia, zdrowia ci życzymy...*, wyśpiewywały rozweselone łobuziaki, krocząc w ślad za Dzbankarzem. Niebawem jednak zaniechały wujcia Janisa na rzecz bezdomnego psa, który na swoje nieszczęście stanął im na drodze. Uwolnił się od nich Dzbankarz, pies napytał sobie biedy. Unosił właśnie w górę pysk, żeby obwąchać ludzi i domy wokoło. Lecz mali ulicznicy brutalnie popsuli mu szyki. Obrzucili go kamieniami, obili znalezionym opodal kijem. Zrazu cicho zawarczał, potem zaskowytał z bólu, aż wreszcie zaczął wściekle ujadać. Ale co miał zrobić? Rzucił się do ucieczki. Miałby zadzierać z tą zgrają?

Przyglądali się temu wszystkiemu w milczeniu. Christos Arwanitakis siedział jak na rozżarzonych węglach. Wszystko mu się w myślach mieszało. Lady, lordowie, Takos... A potem rozległo się bicie dzwonów na poranną liturgię Wielkiego Poniedziałku. Przypomnił sobie Paschę w Archani, we Ftiotidzie, przed trzema laty. Dzieci, które podawała do chrztu ich banda, i kumoterstwo z mieszkańcami wioski. Przypomnił sobie Paschę w Maratosie i kościół Świętych Archaniołów. W głowie miał mętlik. I coś w nim pękło. Znow powróciła myśl o lady. I wtedy właśnie, żeby ową natrętną myśl pokonać, pociągnął łyk kawy, nawiązał rozmowę.

– Jak się tu znalazłeś, Drako? Tak daleko od ojczystej ziemi? Przecie to chyba świat drogi?

Drakos uniósł głowę i spojrzał na niego. Przez chwilę milczał zadumany. Wzrok miał zagubiony, nieobecny, błędził gdzieś myślami. Westchnął głęboko, a potem język mu się rozwiązał i zaczął opowiadać swoją historię. Jak to w 1854 zabił na swojej wyspie Turka, który miał na oku jego ojcowiznę, więc musiał uciekać, żeby ocalić głowę. Jak to wtedy akurat wybuchło powstanie w Tesalii i skorzystał z okazji. Zaciągnął się na statek wraz z innymi ziomkami, którzy ruszali w owym czasie w te strony, żeby walczyć, i dotarł do Pireusu. Zanim trafił na front, pożył trochę jak włóczęga w Atenach, poznał miasto. Powstanie upadło, a on został w Grecji. Dokąd miał się udać? Z powrotem na Cypr? Tam byłby zgubiony. Turcy tylko czekali, żeby go ukatrupić. I tak poszedł na rozbój z bandą herszta Kalambalikisa, starego druha Dawelisa. Tam poznał Takosa. I nie rozstali się od tamtego czasu, nawet wówczas, gdy bandę rozbili żandarmi.

– I co? Nie ckniesz się za ojczyznę?

Drakos znów milczał chwilę. Spochmurniał. Głos mu się łamał.

– A jak myślisz? Moja wioska leży na północy wyspy, w porośniętej bujną zielenią dolinie, blisko morza, nieopodal Kierinii, jeśli słyszałeś o niej. To raj.

– Zostawiłeś tam bliskich?

– Starych rodziców. Nie wiem, czy żyją jeszcze... – odrzekł i zamknął się w sobie, pogrążył w milczeniu.

Obrócił się bokiem i patrzył na Akropol, w górę, na błękitne niebo i biały obłok, który wędrował powoli, samotnie. Tak, chciałby powrócić kiedyś w rodzinne strony. Pragnął tego bez reszty, całym sercem i całą duszą.

– I pomyśleć tylko, że nigdy wcześniej mi o tym nie mówiłeś – wyrwał go z marzeń Arwanitakis.

Drakos pokiwał głową.

– Nie frasuj się... Tam, w górze, jest niewidzialny sędzia, który rozdziela ból między nas wszystkich – westchnął.

Teraz przyszła na niego kolej, by się oderwać od przygnębiających myśli.

– Tu niedaleko jest Medresa. Zajdziemy zobaczyć? – zaproponował. – Stamtąd wyszedł wtedy Kiriakos, z rozkazu Szuby. Tu niedaleko!

Christos nie chciał. Odmówił. Kategorycznie. Co innego miał w głowie. Tamtą cudzoziemkę, lady. Poszli w kierunku placu Konstytucji.

– W tej Medresie zamknęli kiedyś Bibisisa. A na platanie, który tam posadził, lata później wieszali zbójców. – Drakos nie dawał za wygraną.

– Nie o każde drzewo można się oprzeć, powiadają – zażartował Arwanitakis. I rozległ się jego donośny śmiech. Tak, tu wielu zbójców przepadło bez śladu.

Na ulicy Parlamentu utknęli w tłumie wśród nieopisanego zgiełku. Zajęty był cały chodnik. Sprzedawcy warzyw, blacharze... „Rzeźnik, u którego wystawione na zewnątrz haki zagrażają oczom przechodniów, gdy nie dyndają na nich świeżo zarżnięte jagnięta, zawieszane w dół głowami, które okrywa zdarta z nich, spływająca krwią skóra, wywrócona na opak i ścieląca się aż do ziemi. Inne jagnięta obdzierane są ze skóry we wnętrzu rzeźni lub z żalosnym beczeniem czekają na swoją kolej. Na ziemi walają się jelita i trzewia, przy nich krążą oswojone wrony i trzy ohydne rzeźnickie psy, z rodzaju buldogów, nurzają czarne nosy w kałużach krwi”, jak to z wdziękiem przedstawił pewien pisarz z epoki.

Na ulicy Hermesa Arwanitakis przystanął, wahał się przez moment, po czym wszedł do zakładu fotograficznego Ksenofona Watisa, zaskakując Drakosa, który posłusznie podążył za nim.

– Czym mogę panom służyć? – poderwał się z krzesła fotograf, zacierając ręce.

– Zdjęcie chcę, żebyś mi zrobił – powiedział Christos.

Drakos stał zdumiony. Fotograf poprowadził Arwanitakisa w głąb zakładu. Ustawił go na tle sztucznej sielankowej scenerii i sfotografował w kilku pozach. Christos stanął i czekał na zdjęcie. Chciał je już, natychmiast. Watis roześmiał się i powiedział, żeby przyszedł jutro, „inaczej się nie da, fotografia wymaga czasu, jak chleb w piecu”, wyjaśnił. „To nie kasztany, które raz-dwa zawinę, a ty weźmiesz i pójdiesz. *Instantané* będą gotowe jutro koło południa”. Arwanitakis, który nie wiedział, co znaczy owo „ens..., ensta...”, mniejsza o to, przyobiegał przyjść nazajutrz. Bez dwóch zdań.

[25](#) Katsikádika – część dzisiejszej luksusowej dzielnicy w centrum Aten, Kolonaki, od placu Deksameni w górę zboczy Likabetu, w XIX w. zamieszkała była jedynie przez pasterzy i ich kozie stada, stąd taka ówczesna nazwa tej okolicy (od gr. *katsika* – koza).

[26](#) Monastyr Świętych Mocy Niebiańskich (Archaniołów) – Moni Agijon Asomaton (Taksiarchón). Popularnie zwany Moni Petraki, od nazwiska XVII-wiecznego sponsora restauracji bizantyńskiej świątyni klasztoru, pochodzącej prawdopodobnie z końca X w.

[27](#) Dimitrios Wúlgaris (1802–1877) – grecki polityk, ośmiokrotnie wybierany na urząd premiera, znany był pod przydomkiem „Dzubés”, z powodu swego zamiłowania do charakterystycznego długiego, wierzchniego okrycia wschodniego pochodzenia – w rodzaju szuby.

[28](#) Aléksandros Kumunduros (1815–1883) – jeden z najważniejszych polityków greckich XIX w., dziesięciokrotny premier Grecji. Do jego osiągnięć politycznych zaliczyć należy m.in. wprowadzenie regulacji prawnej podatków oraz w 1871 r., po rzezi w Dílesi, środków prawnych ograniczających zbójstwo.

[29](#) Dimitrios Kalifronás (1800–1897) – bojownik powstania greckiego 1821 r., burmistrz Aten w latach 1837 i 1840–1841, zasłużony polityk. W czasie, o którym tutaj mowa, sprawował urząd ministra edukacji publicznej i spraw kościelnych.

[30](#) Droga Maratońska – obecnie aleja Królowej Zofii.

[31](#) Konstandinos Kanaris (1793–1877) – bohater walk o niepodległość Grecji, wsławiony heroicznymi akcjami na branderach. Admirał, dowódca floty, minister, pięciokrotny premier Grecji.

[32](#) Amalia Oldenburg (1818–1875) – księżniczka Oldenburga, w latach 1836–1862 królowa Grecji jako żona króla Ottona I Wittelsbacha.

[33](#) Medresa, muzułmańska szkoła teologiczna, istniała w Atenach od 1721 r. Za panowania Ottona i Jerzego I Medresa była więzieniem.

[34](#) Hotel Angielski – historyczny hotel Tis Anglías, w którym zatrzymywali się najznamienitsi goście greckiej stolicy. Zburzony w 1960 r. Dzisiaj w tym miejscu funkcjonuje fast food sieci McDonald's.

[35](#) *Tsaruchádika* – warsztaty szewskie, w których wyrabiano tsaruchy.

[36](#) Kapnikarea – kościół Wprowadzenia do Świątyni Przenajświętszej Bogurodzicy. Jedna z najstarszych bizantyńskich świątyń w Atenach i Grecji. Bazylika pochodząca z połowy XI w.

[37](#) Wcześniej plac Ottona. Nazwa Omonia, w języku greckim „zgoda”, nadana została w 1862 r. po zdetronizowaniu króla Ottona. Wcześniej plac był świadkiem ostrych starć pomiędzy zwolennikami Ottona i jego przeciwnikami; zwalczające się frakcje symbolicznie zawarły tam zgodę. Podczas wypadków czerwcowych 1863 r. na placu Zgody powtórnie miały miejsce krwawe potyczki.

[38](#) Właściciel tego historycznego lokalu, Spiridon Pawlidis, był pierwszym w Grecji producentem czekolady; Czekolada Deserowa Pawlidisa nadal jest w Grecji bardzo popularna.

[39](#) Plac Ludwika – nazwany tak na cześć króla Bawarii, Ludwika I Wittelsbacha, ojca pierwszego króla Grecji, Ottona I. W tamtym czasie miejsce to zwano również „przy armatach”, ponieważ przy placu Ludwika usytuowane były koszary artylerii królewskiej, z wystawionymi pod wiatą armatami. Plac zmieniał nazwę wielokrotnie. Obecnie nazywa się Etnikís Antistáseos (Narodowego Ruchu Oporu), w powszechnym użyciu jest jednak jego poprzednia nazwa – plac Kotziasa (od nazwiska Konstandinosa Kotziasa, burmistrza Aten w latach 1934–1951).

[40](#) Panos Koroneos (1809–1899) – polityk i wojskowy. W 1863 r. wybrany przez Zgromadzenie Narodowe na urząd ministra wojskowości. Wydarzenia czerwcowe, o których tutaj mowa, doprowadziły do zmiany rządu, tym samym przerwały jego ministerialną kadencję. Urząd ministra wojskowości objął ponownie na krótko w 1864 r. w rządzie K. Kanarisa.

[41](#) Kutsawakis – postać charakterystyczna dla Aten drugiej połowy XIX w., uliczny cwaniak, wyróżniający się charakterystycznym wąsem, stylem ubioru i mowy oraz zadziornym sposobem bycia.

[42](#) Psirí – niewielka dzielnica w historycznym centrum Aten, rozciągająca się na północny zachód od placu Monastiraki. Jedna z najstarszych dzielnic miasta.

[43](#) Tereza Makrí (1797–1875) – ateńska muza lorda Byrona, którą poznał, gdy miała 13 lat. Niezwykłej urody najstarsza córka konsula Anglii w Atenach, Prokopisa Makrisa. Byron wynajmował pokoje w domu jej owdowiałej matki. Płomienne platoniczne uczucie do młodzianki Terezy zaowocowało poświęconym jej poematem *The Maid of Athens* (Córka Aten).

[44](#) Salep – gęsty napój o właściwościach wzmacniających i rozgrzewających, przyrządzany ze sproszkowanych bulw storczyka męskiego, znany w kuchni tureckiej i bałkańskiej.

[45](#) Barba (wujcio) Janis Kanatás – autentyczna, barwna i charakterystyczna postać. W tygodniu sprzedawca dzbanów i naczyń glinianych na wodę, krążący po Atenach wraz ze swoim osiołkiem. W niedziele elegancki mieszczanin, spacerujący po centrum Aten, bywalec wytwornych kawiarni, ulubieniec płci pięknej. Bohater popularnej piosenki ludowej *Barba Jani Kanatá*. Po 20 latach obecności w Atenach zniknął nagle pewnego dnia, ok. 1880 r. Nie jest znane jego prawdziwe nazwisko ani miejsce pochodzenia.

20/E2

Teczka „Samobójstwa”, wycinek nr 22

Spółeczność Leonidio zszokowana tragicznym wydarzeniem przy placu...

Leonidio, 1 marca 2013 roku

Dom przy placu jest zamknięty. Zamknięte drzwi, zamknięte okna. Tylko żaluzje lekko podniesione dla odrobiny światła. Siedzi przy jej łóżku w półmroku. Od trzech dni. Trzyma ją za rękę, kościstą, pokrytą starczymi plamami, i do niej przemawia. Ona leży. Słucha w milczeniu. Ale wydaje się, że lekko kiwa głową, tak, kiwa głową. Widzi jej cień, zarys sylwetki pod prześcieradłem.

Wspomina, jak w dzieciństwie wychodził do szkoły. Tornister, krótkie spodnie, sandały. Wyfruwał z jej objęć jak ptaszyna, w południe wracał, żeby znowu skryć się u jej piersi. Jej ramiona, dwa ogromne skrzydła.

„Pamiętasz, mamó, jak sobie złamałem rękę? Tak mnie bolało, tak płakałem... A ty, na ławeczce w szpitalu, głaskałaś mnie, całowałaś obolały nadgarstek i mówiłaś »Cicho, ciii... Zaraz przyjdzie doktor, już słyszę jego kroki. Ciii...«. Albo... jak mnie trzymałaś za rękę, twoja dłoń była taka ciepła, i prowadziłaś do sklepu, żeby mi kupić czekoladę mleczną ION. Drżałem z niecierpliwości, oblizywałem wargi, czułem jej smak, zanim jeszcze weszliśmy do sklepu. Aż mnie ścisnęło w żołądku... Naprawdę pamiętasz? Uśmiechałaś się i świat się do mnie uśmiechał”.

Cały czas siedzi przy niej, całe dni, nie biorąc do ust ani kęsa. Dotrzymuje jej towarzystwa, żeby się nie czuła samotna. I przypomina jej wszystko. Radości i smutki. Czasem się uśmiecha, jego twarz jaśnieje, czasem znów zapada się w otchłań, pochmurnieje, łzy płyną z oczu, pozwala im ciec, spadać na zdrewniałą, lodowatą rękę matki.

Tak spędzi przy niej trzy dni. Czwartego zrobi pętlę i umocuje ją u sufitu.

Sąsiedzi od dawna ich nie widzieli. Dopiero fetor bijący od mieszkania wzbudził podejrzenia. Zawiadomili policję. Wyważyli drzwi. Ciało staruszki znaleziono w stanie zaawansowanego rozkładu, okryte całunem prześcieradła. Syn wisiał pod sufitem, z głową przekrzywioną na bok. Sąsiedzi mówili, że ta dwójka nie miała środków do życia. Wielokrotnie wspierali ich, na ile mogli. Syn niedomagał, „No, wiecie... psychicznie”. Gdy matka umarła, nie wytrzymał.

21/A9

Nocami majaczyłem. Budziłem się przerażony, mokry od potu. W ustach suchość, słony smak. Wściekle słony. Nieznośne pragnienie. Mama przychodziła, żeby mnie uspokoić. „Już dobrze, już dobrze...”, szeptała mi do ucha i tuliła mnie w ramionach. „To tylko zły sen. Ale już się skończył, kochanie. Już się skończył”. Niby że otwierałem drzwi do jego pokoju. I on tam był. Oparty na krześle patrzył mi prosto w oczy z uśmiechem. Dziura ziejąca w prawej skroni. Roztrzaskana czaszka.

Rzeczywiście, niejedną raz stałem niezdecydowany w korytarzu. Nasłuchiwałem ciszy zza drzwi. Wiecznego bezruchu. Wyobrażałem sobie, że on tam jest. Chciałem, żeby był. Żeby siedział w obracanym fotelu. I robił rachunki. Pisał. Czytał. *Nowoczesne techniki wędkarskie. Zwyczaje żywieniowe ryb. Zachowanie ryb. Ryby i wędkarstwo w wodach słodkich.* Znalazłem kiedyś te książki w bibliotece, poprzedzielane podpórkami z brązu. Czytałem tytuły. I niewyraźne zapiski ołówkiem na marginesach.

Tak, długi czas wydawało mi się, że on tam jest. Czasami dotykałem klamki, głaskałem ją. Ale nie śmiałem jej nacisnąć. Nie wiem, czy to był strach, lęki z sennych koszmarów, przerażenie, które odczułem, widząc go martwego, tamten straszliwy widok krwi i cząstek mózgu na biurku. Nie wiem, może to był opór przed zaakceptowaniem rzeczywistości. Może usiłowałem podtrzymać iluzję obecności ojca. Iluzję, że on nadal żyje, oddycha, prowadzi tajemne życie za drewnianymi drzwiami. Że jest z nami, w tym samym domu, w domu, który zbudował z pasji i marzeń.

Ale pewnego popołudnia, wiele miesięcy po jego samobójstwie, gdy mama była w pracy, wreszcie te drzwi otworzyłem. Krok. Dwa kroki. Patrzyłem w półmrok. Biblioteka. Obrazy na ścianach. Marynistyka, rzecz jasna. Statki, sztormy, porty. W rogu stojący wieszak na ubrania ze słomkowym kapeluszem na czubku. I obrotowy stojak z drewna orzechowego, ciemnobrązowy, a w nim kosztowne wędkę. Castingowe, teleskopowe, spławikowe, bolonki, angielskie. Pistolet i jatagan Drakosa na etażerce, kilka butelek whisky, Jack Daniel's Tennessee, Glenfiddich, Macallan. Parę szklanek z grubego kryształowego szkła na srebrnej tacy z rytą dekoracją. Pokrytych kurzem.

Nie, nie było go. Ojciec nie siedział na krześle, pochylony do przodu, z torsem na biurku. Nie było kolekcji drewnianych rzeźbionych fajek, dokumentów i piór uwalanych krwią ani cząstek mózgu, które rozprysły się i ochlapały podłogę i ściany. Nie było. Zostało tylko kilka dziwaczych

kamieni obmytych z krwi, skamielin i minerałów, które przywoził czasami z wędkarskich wypraw nad morze, nad rzeki, jeziora, tamy wodne. Chromit, piryt, oliwin, kawałki lawy, bazalt, piroksenit. Pozostałe przedmioty zostały pewnie wyrzucone albo schowane do pudeł. Ciekawe, co się stało z biletami do Ameryki, które znaleźliśmy w kieszeni zakrwawionej marynarki. Trafiły do śmieci? Podróż, która się nie odbyła, marzenie przerwane w połowie.

Usiadłem przy biurku i wydawało mi się, że patrzę na jego świat – przedmioty, bibliotekę, wędziska, broń Drakosa – jego oczami. Przypomniałem sobie krótką, ręcznie pisaną notatkę, którą położyłem na biurku, zanim nacisnął spust: „Kocham Was. Wybaczcie mi”. Wyobrażałem sobie, w jaki sposób trzymał pióro, wyobrażałem sobie drżenie dłoni, gdy cienki nosek stalówki sunął po białym papierze, a czarny atrament przybierał kształt liter, zyskiwał głos, zamieniał się w przesłanie. Sylabizowałem słowa: Ko-cham-was. Wy-bacz-cie-mi. Zapiisałem słowa na kartce i je wymawiałem. „Kocham Was. Wybaczcie mi”. Moja łza. Burza w jego duszy. Ostatnie obrazy, które zabrał ze sobą, gdy przyłożył pistolet do skroni i nacisnął spust, gdy metalowa kulka wydobywała się z cylindra, biegła przez lufę, wbijała się w czaszkę, gdy głowa gwałtownie odskoczyła w tył, byłem pewien, całkowicie pewien, że te obrazy przedstawiały mnie i mamę.

I na swój sposób byłem też pewien, że on tam jest. W tym pokoju. Gdzieś między czterema ścianami. W którymś kącie, ukryty w cieniu. Czułem jego obecność. Nasłuchiwałem jego niewyczuwalnego oddechu. Przysiągłbym, że poczułem delikatne muśnięcie na skórze. Jakby pieszczotę. I rękę, która mnie dotyka, klepie po plecach. Jak kiedyś, gdy popychał mnie lekko przed rozpoczęciem wędkowania. „Idziemy, synu!”. A potem coś zatrzeszczało, może mebel, może belka w dachu. Zerwałem się zaskoczony. To on? Zastygłem z przerażenia. Nie, nie. To pewnie mury kurczyły się i rozkurczały od zmian temperatury.

„Idziemy, synu!”, wydało mi się, że znowu go słyszę, obejrzałem się przez ramię. „Idziemy, synu!”. Nie było go. Mój wzrok zatrzymał się na białej ścianie. Nie, nie było go.

W moich uszach, w mojej pamięci, rozległ się znowu tamten przeszywający dźwięk. Trach! Znowu słyszałem: Trach! W tamtej chwili moje życie, nasze życie, zmieniło się na zawsze. Dźwięk odbił się od ściany

i uderzył w drugą, przeciwległą. Z wielką siłą. Trach! Przeklęty trzask. Głos śmierci. Przeszywający chłodem. Jak żelazo, jak mroźna zimowa noc.

Niemniej tamto popołudnie, gdy po tak długim czasie odważyłem się otworzyć drzwi i wejść do pokoju ojca, wpłynęło oczyszczająco na moje lęki. Koszmarne sny przestały mnie dręczyć. A poczucie, że ojciec nadal jest w domu, z nami, że może mnie dotknąć i do mnie przemówić, pogodziło mnie w pewien sposób z jego śmiercią, której tak długo nie chciałem zaakceptować.

22/B4

Już z samego rana telefon Sergidisa dzwonił aż trzy razy. Najpierw Katerina. Przeczytała jego artykuł w dzienniku „Elefterotipija”, jest znakomity, a przy okazji... bardzo go kocha. Następny był Dukarelis. Wychwalał go, podziwiał cięty język, śmiałość, z jaką wygarnął wszystko bez ogródek, rzucając światło na wydarzenia i mentalność z dawnych lat, które doprowadziły kraj do ponurej terażniejszości. „Spodziewaj się burzy, przyjacielu. Wsadziłeś kij w mrowisko”, ostrzegł go.

A potem naczelnik wydziału zabójstw Christos Apostolu. Powiedział, że przeczytał tekst i prosi o spotkanie. Nieco później pojawił się w gabinecie Sergidisa na uniwersytecie. Był uprzejmy i delikatny. Rzecz nieczęsta u policjanta. „A zatem, przesłuchanie, panie inspektorze”. Tamten tłumaczył się i usprawiedliwiał. Ależ skąd, żadne przesłuchanie, chciał tylko porozmawiać. To jedynie, nic więcej. Inspektor był pod wrażeniem artykułu. Powiedział, że „interpretacja” Sergidisa wnosi nowe elementy do śledztwa, w którym, jeśli sprawy mają się tak, jak je opisał w gazecie, może nastąpić znaczący zwrot. Chciał się czegoś dowiedzieć o rzezi w Dílesi. Spytał kto, jego zdaniem – skoro Sergidis odważył się rozszyfrować pozostawioną informację – mógł być sprawcą poczwórnego morderstwa.

Sergidis westchnął.

– Podejrzałem, że zada mi pan to pytanie. Niestety, nie jestem jasnowidzem, więc nie wiem. Ale jeśli miałbym się odnieść do pańskiego pytania, kierując się logiką, jeśli miałbym szukać jakiegoś punktu wyjścia, to powiedziałbym, że sprawcą jest ktoś, kto studiuje historię albo jest pasjonatem fenomenu zbójstwa w dziejach. Może ktoś z mojego środowiska, a może amator. No i musi być jakiś motyw. Nie sądzi pan? Rzecz w tym, że szukacie igły w stogu siana. Nieszczęść wokoło jest tak wiele... To ktoś zrozpaczony, pozbawiony nadziei, zirytowany obecną sytuacją. Niewiele trzeba, żeby popaść w psychozę. Nie jestem, rzecz jasna, psychologiem. Ale proszę pomyśleć: głód, bezrobocie, samobójstwa, ogromne podatki, przestępstwa. Wie pan, to wystarczy.

– Racja. Ale czy sądzi pan, że to mógł być terrorysta? Albo że... kryje się za tym któryś z polityków? Bo wspomina pan o ewentualnych powiązaniach terroryzmu z polityką i...

– Wyraziłem przekonanie do pewnego stopnia hipotetyczne. W artykule chciałem po prostu wskazać na odwieczne zło, które nęka nasz kraj. A tym

złem są za każdym razem politycy oraz ci, którym politycy się opowiadają i którym się podporządkowują, reprezentanci obcych interesów.

Apostolu dostrzegł w Sergidisie tego samego walecznego ducha, który przenikał jego tekst, tę samą ostrość oceny. Widział to w jego oczach i słyszał w słowach. Dzięki temu człowiekowi mogą jedynie coś zyskać. Przed wyjściem poprosił Sergidisa o zreferowanie – jeśli to możliwe dziś lub jutro, kiedy mu będzie wygodnie – całemu zespołowi śledczych, w obecności zastępcy komendanta, wydarzeń w Dílesi, ze wszystkimi szczegółami. Nigdy nic nie wiadomo... Sergidis obiecał, że zgromadzi dostępne mu materiały i spotkają się jutro, owszem, czemu nie, w Komendzie Głównej Policji przy alei Aleksandry. Sergidis polubił inspektora. Odda mu więc tę przysługę.

Następnego dnia rano spakował teczkę, wsiadł do taksówki i pojechał do gmachu komendy. Wartownik podniósł rękę, zagroził mu drogę. Spytał obcesowo, czego sobie życzy. Sergidis powiedział, że jest umówiony z inspektorem Apostolu. Tamten poprosił o dowód osobisty. Chciał sprawdzić zawartość teczki. Sergidis nie lubił grubiaństwa. Zażądał powiadomienia Apostolu i otwarcia teczki w jego obecności. „Tajne!”, dodał ironicznie. Wartownik nie miał wyboru, skontaktował się z Apostolem. „Wpuścić!”, usłyszał. Urażony podał Sergidisowi przepustkę do zawieszenia na szyi i poinstruował, jak trafić do gabinetu inspektora.

Apostolu wstał, podszedł do drzwi, by przywitać gościa, uściskał mu dłoń. „Proszę siadać”, powiedział, po czym przedstawił mu dwóch oficerów, którzy, niczym sześćskrzydłe serafiny po bokach Pana, zajmowali krzesła po prawej i lewej stronie inspektora. „Komisarze Eftimiju i Ektorudis”. Uściski dłoni. W rogu, jak za karę na oślej ławce, siedzieli kolejni trzej czy czterej: podkomisarze, aspiranci i inni statysci. „Dzień dobry”, Sergidis skinął głową. Apostolu zaproponował, że zamówi kawę. Sergidis poprosił o wodę. Rozejrzał się po gabinecie, flaga Grecji, emblemat Policji Greckiej, szafy, fotografie w ramach na ścianie. Apostolu miał włosy gładko zaczesane na bok, przyklejone do czaszki. Ciemne, lekko siwiejące. Rumiany, raczej niski, dobrze zbudowany. Sergidis odniósł to samo wrażenie, co poprzednio: Apostolu to bardzo uprzejmy człowiek, może nawet zbyt uprzejmy jak na policjanta.

– Przyniosłem wszystko, co miałem, panie inspektorze.

– Znakomicie. Niech pan nam da jeszcze dwie minuty, powiadomimy tylko zastępcę komendanta, nadinspektora Nikolaosa Korkodzelosa, że już

pan do nas dotarł. Eftimijou, pójdzie pan mu powiedzieć?

Tamten skinął głową i wyszedł.

Przedziwne! Sergidis znał to nazwisko. Korkódzelos. Coś takiego! Dawny herszt zbójców tutaj, w mateczniku policji! Czas płata figle. Faktem jest, że tamten Korkódzelos stał się później, w XIX wieku, prześladowcą zbójceckich band. Czyżby przodek? Chciało mu się śmiać. Powstrzymał się jednak.

Zaległa niezręczna cisza; czekali na Korkodzelosa. Wśród chłodu surowej dyscypliny, służbowych rewolwerów, fotografii osób poszukiwanych na tablicy – z profilu i en face, dokumentów z oficjalnymi stemplami policji na biurku, Apostolu podjął próbę przełamania lodów i zaprezentowania się jako człowiek przyjazny.

– Z jakich stron pan pochodzi, panie Sergidis? Nazwisko wskazuje na Pont. Wie pan, dziadkowie mojej żony byli Pontyjczykami.

– Pierwotnie z Argirópolis. Ale z końcem XIX wieku moja rodzina przeniosła się na obrzeża Smyrny, do Kukludzás. Uprawiali winną latorośl. A pan skąd pochodzi?

– Z Andros. Ammólochos. Był pan tam kiedyś?

– Na Andros tak. Piękna wyspa. W Ammólochos – nie. Nie miałem okazji.

Komisarz Ektorudis gapił się na nich ze swojego miejsca. Na jego twarzy gościł nieuchwytny uśmieszek, nieco głupkowaty. Nudna gadka, sztywna. Musi jej słuchać?

– A ty byłeś? – zwrócił się nagle Apostolu do Ektorudisa.

– Nie, ja także nie byłem – odparł tamten spłoszony.

Zastygł, skulił się na krześle, naburmuszył.

– Wobec tego nie byli panowie w najpiękniejszej części Andros. O tu, za mną, ją widać – powiedział, po czym wstał i pokazał Sergidisowi fotografie na ścianie.

Stare budynki, tradycyjna architektura, jeden z dawnych zamożnych domów w kształcie wieży, przyroda, przyroda zachwycająca. Niebotyczne platan, kwitnące kwiaty, wodospady.

– Sam pan robił te zdjęcia? Cudowne. Ma pan talent.

– Jeśli starcza czasu... Teraz nie starcza. Od miesięcy nie...

Otworzyły się drzwi. Zastępca komendanta wkroczył energicznie. Surowy, chmurny, nieuśmiechnięty. Gbur. Za nim świta, paru wyższych oficerów, na końcu Eftimiju. Zgromadzeni poderwali się jak na sprężynach na widok

przełożonego, który bez powitania i bez pytania zaanektował biurko Apostolu, ten zaś potulnie przysiadł na składanym, metalowym krześle. Zastępca komendanta nie wykonał żadnego gestu, żeby wymienić z Sergidisem uścisk dłoni. Skinął tylko głową na powitanie, znudzony, nabzdyczony, urażony bez mała. „A więc...”, warknął przyzwalająco. Miał bliznę na policzku, pionowe cięcie. Kto wie, gdzie i jak się jej dorobił... Może na służbie. Odznaka bojowa.

Sergidis wyłożył zawartość teczki na stół. Całą godzinę objaśniał wydarzenia związane z rzezią w Dílesi. Gadał jak najęty. Słuchali w skupieniu, zafascynowani. Przekonali się, jak porywającym jest mówcą. Opowiadał o Arwanitakisach. O wyprawie cudzoziemskich podróżników, których historia nazwała lordami, o żandarmach, którzy im towarzyszyli, o pojmaniu ich w Pikiermi i dziesięciodniowej wędrówce po okolicach Pendeli, przez Sikámino i Oropós, o negocjacjach z pułkownikiem Teagienisem, o petycji z żądaniem okupu i amnestii. A potem o Fredericku Vynerze i jego matce, lady Mary de Vyner, o roli brytyjskiego ambasadora Edwarda Erskine'a i obszarnika Franka Noela, którzy pośredniczyli w negocjacjach, o groźbach obcych mocarstw i obraźliwych publikacjach w prasie europejskiej.

– Zupełnie jak dzisiaj! – zaśmiał się. – W tym kraju nic się nie zmienia mimo upływu lat. Jesteśmy skazani na życie w tym samym piekle, na popełnianie tych samych błędów, na te same cierpienia i na zniewagi zawstydzające jak grzechy.

Po tym wtrąceniu i komentarzu ciągnął dalej o mordzie popełnionym na lordach, o ucieczce Takosa, procesie sądowym, ścięciu pojmanych zbójców, o związkach polityków ze zbójectwem. Wszystko, wszystko im opowiedział, podkreślając zdumiewające podobieństwa czy zbieżności między tym, co było wtedy, a tym, co jest obecnie.

Puścił w obieg książki, kserokopie publikacji z gazet z tamtej epoki oraz rozprawek na temat omawianego wydarzenia, fotografie odciętych głów rozbójników, którzy zginęli w Dílesi oraz żandarmów prezentujących te głowy jak trofea, fotografie żandarmów z ujętymi zbójcami i kolejnych głów – na Polu Aresa, zaraz po ścięciu porywaczy skazanych na śmierć wyrokiem sądu.

– Te głowy chyba jeszcze nawet istnieją – powiedział.

Zdumieli się. Zaciekawili. Gdzie?

– W ateńskim Muzeum Kryminologicznym jest sporo głów zbójców, więc może między nimi...

A potem dodał, że na jednej z twarzy widać radosny uśmiech. Czy to nie dziwne? I przeczytał im fragment opowiadania Papadiamandisa *Wielkanoc Janisa*. Tyle czasu minęło, a ono wciąż aktualne. Uśmiechnęli się. Pokazał im także zdjęcia tłumu, który zgromadził się, żeby śledzić publiczną egzekucję, zdjęcia trumien sekretarza ambasady brytyjskiej Herberta i adwokata Lloyda okrytych brytyjską flagą i niesionych przez brytyjskich marynarzy, zdjęcia konduktu żałobnego ciągnącego od kościoła anglikańskiego przy ulicy Filhellenów na cmentarz protestancki, z królem Jerzym na czele, premierem, ministrami i ambasadorami obcych mocarstw. Ponadto pokazał im zrobione niedawno własne fotografie miejsc, przez które szli zbójcy z jeńcami, oraz zrujnowanych już domów, w których się zatrzymywali. Na koniec wręczył im dwie kasety DVD z filmami dokumentalnymi o rzezi w Dílesi wyprodukowanymi przez telewizję publiczną: *Pierwsza strona* Frediego Germanosa oraz *Wehikuł czasu* Christosa Wasilopulosa.

– Kasety są dla panów. Proszę je zatrzymać – powiedział. – Ale jeśli chodzi o zdjęcia i książki, poproszę o zwrot.

Gdy Sergidis zakończył swój monolog, zastępca komendanta wstał.

– Znakomicie, panie Sergidis, dziękuję panu. Inspektorze Apostolu, za godzinę zebranie w moim gabinecie.

Gdy wychodził, wszyscy znowu zerwali się z miejsc, wyciągnęci jak struny. Tym razem zdawał się uprzejmiejszy. Ale zanim przekroczył próg, odwrócił się i spojrzał na Sergidisa.

– Rzeczywiście, pańska opowieść robi wrażenie. Zgromadził pan sporo materiału na temat rzezi w Dílesi. W jakim celu?

Jego oczy dziwnie zabłysły, w głosie czaiła się ironia, ledwie słyszalny dźwięk niby kpiarski śmiech dobył się z jego krtani. Blizna rozciągnęła się osobiwie, jakby była z gumy.

– To moja praca, panie komendancie. Jestem historykiem. Zajęcia, które prowadzę na uniwersytecie, dotyczą tego okresu. Wiek dziewiętnasty to moja specjalizacja – odparł Sergidis z urazą. Widać ją było w jego postawie, słyhać w głosie. – Czas na mnie. Za godzinę mam wykład.

Gdy zostali sami, Apostolu poczuł się w obowiązku przeprosić za zachowanie przełożonego.

– Bywa obcesowy, ale to uczciwy i prawy człowiek – wyjaśnił.

Sergidis pokiwał głową. Zostawił inspektorowi wszystkie materiały dotyczące Dílesi, powtarzając, że prosi o zwrot fotografii i książek. Pozostałe dokumenty to kopie, podobnie jak DVD.

– Proszę je zatrzymać, jeśli się przydadzą – powiedział do Apostolu, a ten obiecał, że odeśle materiały na uniwersytet za parę dni.

Apostolu odprowadził gościa do windy. Jadąc na parter, Sergidis zastanawiał się, co mogło oznaczać zachowanie zastępcy komendanta, co się kryło za jego spojrzeniem, za jego słowami, także tymi, których nie wypowiedział, które celowo przemilczał, i pomyślał rozbawiony, że takich wicekomendantów nigdy nie braknie. Tak jak nie brakowało ich w dziewiętnastym wieku. Każdy herszt miał wiceherszta, swojego pierwszego zucha. Czemu się dziwisz? Niech żyje Grecja! Prawie roześmiał się na tę myśl, przechodząc obok strażnika, który spojrzał na niego zdziwiony.

Wyszędłszy, odwrócił jeszcze głowę. Na marmurze fasady odbijało się mocne światło słońca. Skrzywił się. Zamknął oczy. Gmach Komendy Głównej policji attyckiej był potężny, zwarty, pozbawiony wdzięku. Wydawał się nieprzyjazny, wręcz wrogi. Sergidis poczuł w ustach cierpki smak, poczuł ucisk w sercu. Stracił dobry nastrój. Nie był pewien, czy postąpił słusznie, wdając się w tę historię, czy postąpił słusznie, okazując gotowość do przedstawienia im szczegółów wydarzeń w Dílesi. Co on ma wspólnego z policją? W końcu sami mogli szukać rozwiązania. Czy to nie ich powinność?

23/C4

Oczy same się zamykają od niewyspania i ze zmęczenia, powieki opadają. Apostolu zмага się z brakiem nadziei, stoi oko w oko z sytuacją bez wyjścia. Nic się nie układa, wszystko idzie na opak. Nadeszła chwila, w której szuka na rozszalałym morzu kawałka drewna, złamanego masztu, byle się czegoś uczepić. Chwila, w której z rozrzewnieniem wspomina fotograficzne wyprawy w pobliże nadmorskich skał, gdzie fale z łomotem biją o brzeg, albo włości po górskich zboczach, po wąwozach. Ot, miraż tego, co niemożliwe, nieosiągalne, może reakcja na zmartwienia, na udrękę. Fotografowanie jest jego pasją od lat studenckich. Od czasów, gdy obejrzał wystawę Kostasa Balafasa. Front albański w czasie drugiej wojny światowej, partyzantka, okupacja niemiecka. Mnisi we mgle nad urwiskiem podniebnego monasteru, przeprawy partyzantów w kopnym śniegu, ciężką zimą, twarze wychudzone, zrozpaczone, trudne życie w skalistych, niedostępnych górach Epiru. Inna Grecja, minioną. Czerń i biel. Cienie. Pejzaże i ludzie unieruchomieni na zawsze na kawałku papieru. Sztuka Balafasa, jej mroczna siła, nadspodziewanie go urzekła. Następnego lata pracował w restauracji na Andros, a jesienią, po powrocie do Aten, za zarobione grosze kupił pierwszy aparat fotograficzny. Zenit TTL z 1975 roku. Prosty, skromniutki. Wkrótce potem zaczął chodzić na zajęcia dla początkujących do Greckiego Stowarzyszenia Fotograficznego. Tam się ostatecznie dogadali z Anną. Stara historia, prahistoria. Zaprenumerował fachowe czasopisma, odwiedzał wystawy. Od tamtej pory aparat fotograficzny jest przedłużeniem jego ręki. Opanowała go mania, która z biegiem lat zamiast słabnąć i mijać, stawała się coraz silniejsza i nieodparta. Co jakiś czas uczestniczył w wycieczkach organizowanych przez stowarzyszenie, a potem fotograficzne wyprawy weszły mu w krew.

Niejeden raz dostosowywał rodzinne wakacje do potrzeb swojej pasji. Cel podróży wybierał zgodnie z fotograficznymi zainteresowaniami. Sztuka fotografowania podobała się także Annie, przynajmniej na początku. Umiała obchodzić się z aparatem i sama, trzeba przyznać, robiła dobre zdjęcia. Lekcje w stowarzyszeniu przyniosły efekty. Później jednak zafascynowało ją malarstwo. Często jeździli więc razem w odludne zakątki – on z aparatem, ona ze sztalugami, blejtrmem, pędzlami i farbami. W ten sposób godzili jej upodobania z jego zamiłowaniem. Ale gdy na świat przyszły dzieci, wspólne wyprawy stały się rzadsze, Anna nieczęsto mu towarzyszyła.

Fotografika go urzekała. Czuł się szczęśliwy na pustkowiach, sam ze swoim aparatem, wolny. Zwłaszcza wtedy, gdy mógł na zawsze zatrzymać w kadrze nieskończenie mały ułamek chwili. Tak, urzekał go ten konkretny moment. Absolutny spokój, wstrzymany oddech, stabilna ręka, wzrok na celowniku, gdy naciska spust migawki i słyszy jak przysłona otwiera się i zamyka, a potem wydech, z głębi piersi, niczym ostatnie tchnienie zniewalające całą wieczność. Ceremoniał jak ze sztuki zen. Dyscyplina, cierpliwość, wewnętrzny spokój, myśl lekka podobna liściom drzew szemrzącym w omal niewyczuwalnym powiewie wiatru. Za każdym razem, choćby tysięcznym, zawsze ten sam, niepowtarzalny dreszcz podniecenia, dziecinny entuzjazm. Za każdym razem. Często dochodził do wniosku, że jego pasja i jego praca mają wiele wspólnego, bardzo wiele. Aparat fotograficzny i służbowy rewolwer. Pewna ręka, celowanie, wstrzymanie oddechu, trzask migawki, naciśnięcie spustu, prędkość naboju, prędkość światła. Rewolwer uśmierca, aparat fotograficzny unieśmiertelnia. Zjeździł całą Grecję swoim mitsubishi pajero pinin, pojemność 1,8 l, napęd na cztery koła, rok 2002: Epir, Macedonię, Trację, Peloponez, wyspy – całą. Przez wszystkie te lata zebrał pokaźny zbiór fotografii, który z wielką starannością podzielił tematycznie: pejzaże, drzewa, ptaki, skały, chmury. Czarno-białe. Kolorowe. Potrafił siedzieć godzinami, porządkować je i oglądać, wywołując z pamięci każdą uwiecznioną na nich chwilę. Negatywy umieszczał w tekturowych pudełkach z etykietami. Przeznaczone do powiększenia odkładał na bok.

I pewnego dnia szczęście się do niego uśmiechnęło. Do jego biura trafił właściciel galerii, który chciał złożyć zawiadomienie o zniewadze w miejscu publicznym, której dopuścił się jego konkurent. Zobaczył oprawione w ramki fotografie. Zrobiły na nim wrażenie. Patrzył na nie oniemiały. „Jak się panu udaje robić tak oniryczne zdjęcia?“, spytał. Bo kiedy na nie patrzył, wydawało mu się, że śni. W sposób niewytłumaczalny, niesamowity, czuł, że pogrąża się w fantastycznej scenerii, że pejzaż wchłania go niby istotę pozbawioną materialnego wymiaru, że jak duch unosi się między skałami, drzewami, obłokami. Tak, był pod dużym wrażeniem, nie mógł się nadziwić. Sztuka tego rodzaju, wrażliwość tego rodzaju, jakże mogła zaistnieć i przetrwać wśród policjantów, oszustów, przestępców, morderców, między zbrodnią i karą. Wielka zagadka.

Fotografie Apostolu cechowały się indywidualnym, specyficznym stylem, inspirowanym japońską szkołą Kanō. Malarze należący do tej szkoły znajdowali mecenasów w szogunach: mieszkali na ich dworach, malowali w ich zamkach. Nastrojowe pejzaże zatopione w chmurach, we mgle, drzewa wiszące nad przepaścią, uchwycone, rzec by, w ostatniej chwili, gdy jeszcze trzymają się stromej skały. Powykrzywiane pnie zajmujące cały obraz.

Apostolu wyjaśnił, że żona kupuje książki o sztuce różnych części świata. Sama maluje amatorsko. No i zachwycił się, gdy zajrzał do albumu ze sztuką japońską. Kupił kolejne książki, dużo czytał. Oglądał albumy, szukał w internecie... A jak mu się udaje stworzyć tak szczególny nastrój? – chciał wiedzieć właściciel galerii. Wykorzystuje specjalne filtry, odpowiedział. Żółty do tła, szary do wody i mgły. Dzięki nim zdjęcie zyskuje specyficzną, płynną perspektywę, czas się cofa i rozmywa, jak w snach. Właściciel galerii nie krył entuzjazmu. Zaproponował wystawę. Czemu nie?

Apostolu wziął to za żart. Zlekceważył sprawę. Gdzieżby tam... Ale po paru dniach właściciel galerii zatelefonował. Mówił poważnie. Nalegał, przyszedł do niego do domu i obejrzał kolekcję. W listopadzie odbył się wernisaż. Przygotowano broszurę z analizą krytyczną prac Apostolu napisaną przez kuratora wystawy. Prezentacja odniosła sukces. Przyszli znajomi i przyjaciele. I wielu kolegów z policji. Pojawiły się przychylnie recenzje w gazetach i czasopismach. Niektóre wręcz entuzjastyczne. Wiele zdjęć sprzedano za dobrą cenę. Niewiarygodne. Do tej pory fotografia była jego prywatną sprawą, zamkniętą w czterech ścianach domu i biura. Teraz wychodził z nią na zewnątrz. Był temu rad. Mógł dzielić się swoją pasją z innymi fotografami, którzy przychodzili obejrzeć jego prace. Prezes Greckiego Stowarzyszenia Fotograficznego poprosił, żeby mu przesłał podanie o członkowstwo. Tak też zrobił.

Gdy przed paru laty wziął do ręki aparat marki Leica, poczuł się innym człowiekiem. Spełniło się marzenie jego życia. Całą noc nie spał. Leica stała się jego kochanką. Nie spał, bo chciał ją dotykać, głaskać przyciski i obiektywy – cały zestaw obiektywów, zaprojektowany ze smakiem korpus, według powszechnej opinii najlepszy produkt na rynku. Zachowywał się jak dziecko na widok pierwszego własnego roweru. Ten sam entuzjazm, to samo podniecenie. Czytał załączoną instrukcję obsługi. A tydzień później wziął urlop i przez dziesięć dni jeździł swoim pajero i robił zdjęcia. Już dawno zaznaczył na mapie interesujące zjawiska

geologiczne i ciekawe miejsca innej, tajemniczej Grecji. Od lat pragnął odbyć tę podróż. Bliźniacze meteorytowe jeziora Zerelia w Almirós; „smocze jeziora” w Epirze; Nimfópetres – „skamieniały orszak weselny” – pomiędzy jeziorami Koronia i Wolwi; wsie „czarnych” Greków, muzułmanów pochodzenia afrykańskiego, w Tracji; „smocze domy” na Eubei; piramidy w Argos. Przemierzył cały kraj, zmęczył się, był skonany. Ale opłacało się.

Gdy wrócił i zobaczył wywołane odbitki, stwierdził z entuzjazmem, że efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania. Zdjęcia były wyjątkowo dobre i w innym niż dotychczas stylu. Niesamowite i tajemnicze, rzeczywiście ukazywały inną, nieznaną Grecję. Zapragnął odbyć kolejne podróże, stworzyć obszerny album z obrazami rzadko spotykanych zjawisk geologicznych – i nie tylko – na greckiej ziemi. Pewien ustosunkowany przyjaciel polecił go wydawnictwu specjalizującemu się w publikacjach z dziedziny sztuki. Dyrektor był zachwycony. W ciągu miesiąca podpisali umowę. Wydawca dał Apostolu dwanaście miesięcy na zgromadzenie materiału zawierającego wszystkie te przedziwne zjawiska. Zasugerował też inne miejsca, które mógłby uwzględnić, na przykład wieś „krasnoludków” na Rodos, wysepkę Spinalonga u wybrzeży Krety czy skamieniały las na Lesbos. Wydawca pokrywał koszty podróży. Apostolu nabral werwy, zaczął nawet planować kolejny specjalistyczny album, poświęcony greckim wulkanom. Nísiros, Santoryn, Milos, Métana, dziesiątki mniej znanych wulkanów na Eubei i Skiros, w regionie Ewros, w Edessie i gdzie indziej, w całym kraju. To jest dopiero życie, takiego życia pragnął. Zawsze w drodze, w ruchu, z aparatem fotograficznym w ręce. Jednak parę miesięcy później wydawca wycofał się z obietnicy. Zerwał umowę z powodu kryzysu ekonomicznego, który ogarnął Grecję. Wydawnictwo nie sprostałoby ogromnym kosztom luksusowej publikacji, a banki przestały udzielać podobnym przedsięwzięciom finansowego wsparcia. Wkrótce potem wydawnictwo zbankrutowało i przestało istnieć.

Mimo to leica otworzyła przed Apostolu nowe możliwości. Jego fotografie gościły często na łamach czasopism, krążyły w internecie, stały się rozpoznawalne. Pamięta, jak pewnego dnia, przybrawszy bardzo poważną minę, stanął przed Anną, która zmywała naczynia w kuchni, i udając winnego, ze wzrokiem utkwionym w podłogę, powiedział: „Anno, nie mogę dłużej udawać... Mam kochankę. Niemkę”. Anna zmartwiała,

szklanka wypadła jej z rąk i rozbiła się na drobne kawałki. „Ma na imię Lejka”, dodał i wybuchnął śmiechem. Potem uściskał Annę i ją pocałował.

Tak, wszystko to wracało, kłębiło się w głowie inspektora, w kółko i w kółko, gdy męczył się nad rozwiązaniem zagadki, przerzucał papiery ze sprawozdaniami, przesłuchaniami, zeznaniami. A czas naglił. Do diabła, miał ochotę wsiąść do samochodu i uciec z leicą. Bardziej niż kiedykolwiek dotychczas. Ale cóż, wiedział, że to niemożliwe. Oto jedna z małych – a może wielkich? – tragedii, klęsk jego codzienności. Czuł się osaczony. Morderstwo i trupy, sprawcy, którzy nadal są na wolności, presja i groźby innych państw, politycy, którzy naciskają jego przełożonych, a ci naciskają niżej, oto codzienne koszmary inspektora. Trzeba coś z tym wreszcie zrobić.

Często się zdarza, że pogrążony w tej sprawie ciałem i duchem, przygwożdżony do biurka, zwyczajnie przestaje myśleć. I marzy. W uszach rozbrzmiewa znajomy metaliczny dźwięk migawki. Czuje, jak wiatr pieści mu policzki, wyobraża sobie, że wstrzymuje oddech i ustawia cel. Zamyka w kadrze wieczność.

24/D5

Wyobrażam ich sobie w Atenach, jak siedzą beczynn timer na placu Konstytucji, w kafenijo Wschodu⁴⁶. Tam, gdzie teraz znajduje się Ministerstwo Finansów, na miejscu dawnej rezydencji Koromilasa⁴⁷, w której mieściła się też drukarnia i księgarnia. Jakbym patrzył na XIX-wieczną fotografię. Szare europejskie ubrania nie pasują do nich, muszą czuć się niezręcznie.

Siedzieli na drewnianych krzesłach. Zwróceni w stronę „Hotelu Angielskiego”. Jakby utrwalił ich w tej pozycji niewidoczny obiektyw. Zamówili nargile i lukumi. Dwóch młodych dandysów grało w szachy, a towarzystwo obok skupiło się nad dominem. Słońce stało już wysoko. Było gorąco. Gapili się na bywalców kafenijo, spoglądali po sobie nieco zbici z tropu, nie czuli się tu swojsko. W uszach dźwięczały im jeszcze strzały oddane w Maratonie i wezwanie: „Stać!”. Wciąż widzieli przerażone twarze zakładników, ich ściągnięte rysy, wytrzeszczone oczy. A teraz tutaj... Jakby jakiś tajfun wyrwał ich nagle z korzeniami i cisnął w sam środek hałaśliwego miasta, między paradnie odzianych mieszkańców stolicy, między damy w aksamitnych sukniach i w kapeluszach.

Niektórzy czytali gazety i, przerywając lekturę, głośno komentowali sytuację polityczną. Rozmawiali o uchodźcach z Krety, którzy na mocy umowy z sultanem wciąż jeszcze powracali na swoją wyspę⁴⁸. Rozmawiali o Egzarchacie Bułgarskim, o Macedonii, o pansławizmie, o zamiarach Rosji. Rozmowa szybko zeszła na aktualny temat, uprowadzenie lordów przez bandę Arwanitakisów. Christos Arwanitakis i Drakos, delektując się nargilami, czujnie nastawili ucha. Tak poznali nowiny z ostatnich dwóch dni. O pertraktacjach, o odrzuceniu żądania zbójców odnośnie do amnestii, o ofercie Anglików, że przekażą zbójcom okup i przerzucą ich, bez uszczerbku, na Malte. O propozycji króla, premiera, a nawet arcybiskupa, że sami zajmą miejsce lordów jako zakładnicy; rozpaczliwa próba poluzowania stryczka, który cudzoziemcy nakładali na szyję Grecji. Klienci kafenijo odczytywali wybrane fragmenty z gazet. Oświadczenia Zaimisa⁴⁹, Kumundurosa, Wulgarisa i Deligeorgisa⁵⁰. Opozycja jednomyślnie atakowała obóz rządzący. Publikowano artykuły krytykujące „nieudolne i pobieżne, celowe lub wynikające z niemocy, posunięcia rządu, który nie

potrafi obronić kraju, obywateli, ofiar”. Sugerowano też powiązania rządu ze zbójcami. Nieco dalej rozweselone towarzystwo stroiło sobie żarty. Jakaś kobieta zaśmiewała się w głos, kokietując paru mężczyzn. Całe kafenijo zwróciło się w jej stronę. „Swoboda obyczajów”. Przed lokalem przejeżdżały powozy, landa i wiktorie, przewożąc ludzi z jednego miejsca w drugie.

– A więc to tak! – wyszeptał Arwanitakis, a Drakos pokiwał głową w zamyśleniu. Zapadli w długie milczenie.

Christos ze zmarszczonymi brwiami obserwował okna, balkony, imponujące marmurowe wejście do hotelu naprzeciwko, portiera w fantazyjnej liberii, wchodzących i wychodzących gości hotelowych. Z czoła ściekał mu pot.

– Dobrze się czujesz? Nie naszła cię jaka gorączka? – zapytał Drakos.

Christos pokręcił przecząco głową, dobrze się czuje, to przez ten upał. Marynarkę miał na sobie wełnianą. Gotował się w niej. Rozpiął się pod szyją, żeby trochę odetchnąć, w górnej kieszeni wyczuł list Takosa, o którym już zdążył zapomnieć. Palcami sięgnął do piersi, pomacał. Był tam. I nim trzeba się będzie zająć.

Drakos dumiał: „Niecna rzecz, kobieta. Żeby ci jakaś obca tak w głowie zawróciła? Do czego to podobne? Ogień...⁵¹ Jak to szło? Do licha... *belasiniversin*...⁵² tośmy se biedy napytali”. Ale czy nie miał własnych zmartwień? Co mu tam będzie teraz gadał. Nie jego sprawa.

Tak, Christos wciąż miał w głowie Henriette Vynera. Znowu przywołał w myślach obraz jej twarzy, tam, na moście w Kifisji. Podobna aniołowi, taka mu się wydała z miedzianozłocistymi włosami i niebieskimi oczami. I im częściej jej obraz jawił mu się jak w sennym marzeniu, tym bardziej się rozklejał i tym mocniej pragnął ją znowu zobaczyć. Choćby z daleka. Jej podobieństwo do brata, do młodego Vynera, było wyraźne. Mieli te same szlachetne rysy twarzy, tak różne od dzikich gąb, które go otaczały na co dzień. Zamknął na chwilę oczy. I ujrzał ją. Ujrzał Henriette w białej sukni, obok siebie. Trzymał ją pod ramię i był dumny jak paw. On też wystrojony, garnitur, kapelusz. Głowę uniósł wysoko, do ust miał przyklejony uśmiech. I gdy tak o tym myślał, wśród wyelegantowanych ateńczyków i wygód osławionego miasta, serce łagodniało mu z wolna i ulegało przemianie. Tak, chciałby tu mieszkać, między ludźmi, dlaczegóż by nie, chciałby już uciec od swego niewdzięcznego życia. I może... może... Miał dość, od tylu lat

ścigany, tułaczki po pustkowiach, dziki zwierz między dzikimi zwierzętami, miał dość zabijania. Miał dość przeszłości, dość terażniejszości, innej przyszłości pragnął. Czego innego oczekiwał, rozbój nie był życiem, o jakim marzył. Nie był.

Zerwał się z miejsca.

– Chodźmy! – rzekł.

– Niby dokąd? – zdziwił się Drakos.

– Pójdę do hotelu, spotkam się z nią, porozmawiam. Teraz. No, wstawajże!

Drakos zaniemówił. Rozpalił go gniew. Zaciśnął pięści.

– Głupiś? Nie pozwolę ci – odparł.

Zęby zaciśnięte. Iskry w oczach.

– Pójdę! – upierał się tamten.

– Siadaj! Bo się weźmiem za bary, tu, na oczach ludzi!

Przypomniał sobie słowa Takosa wypowiedziane w zaufaniu: „Miej baczenie”, i radę, by powściągał zapędy Christosa, na honor niech to przyobieca, żeby nie zaprzepaścić sprawy. Tak, Drakos był wściekły. I Christos usiadł. Wyglądał na zbitego z tropu. Ale gdy doszedł do siebie i uspokoił się obaj, oznajmił:

– Dobrze, w takim razie pchnę do niej przesyłkę.

– Jaką przesyłkę? – spytał Drakos niepewnie, wciąż rozpalony gniewem, napięty.

– Chodź ze mną i nie pytaj.

Zapłacili kelnerowi i weszli w ulicę Hermesa. Co i rusz dochodziły ich ostrzegawcze dzwonki fiaków, żeby dali drogę. Tumany kurzu wzbijały się pod niebo. Zeszli na bok. Stukot końskich kopyt na bruku wciąż niósł się za nimi. Weszli do sklepu jubilerskiego Pomonisa. Zdumiony Drakos obserwował Christosa Arwanitakisa przeglądającego kasetę z pierścionkami i drogocennymi kamieniami, a następnie podającego jubilerowi garść pieniędzy. Wybrał misterny srebrny pierścionek z niewielkim brylantem w koronie. Zaręczynowy! Drakos znów próbował go powstrzymać, coś szepnąć mu do ucha. Lecz Christos uniósł dłoń, powściągnął jego zapędy, tym razem nie było gadania. I co miał Drakos robić? Czy mógł coś zrobić? Koniec końców, Christosowe to były pieniądze. Niech je trwoni, jak mu się podoba.

W sklepie u Mayfartha kupili jedwabne chusteczki i parę skórzanych rękawiczek. A potem, na placu św. Ireny, bukiet kwiatów, dwadzieścia

czerwonych róż. Christos wyteżył się i w swej naiwnej prostocie napisał bilecik, czyniąc niezdarny użytek z umiejętności, jakie posiadał. Drakos zastanawiał się, czy lady zna grecki. „Toć jej to przecie ktoś przeczyta, człeku!”, rzekł Christos. Był w rozterce, jak ma się do niej zwrócić: „pani” czy „wielmożna pani”. Żeby tak był tu Tomás, pisarz Takosa! „Pani”, zadecydował. „Jótro z rana czekam cię w cókierni Pawlidisa. Godzina 9”. Nie był pewien, jak się pisze „będę” i „na pewno”. Wahał się. W końcu napisał, jak mu do głowy przyszło. „Bende tam napewno. Z wielkim zahwytem, Ch.A.” Schował bilecik do koperty. Następnie pakiecik oraz kopertę z biletem dał Drakosowi i polecił dostarczyć wszystko do „Hotelu Angielskiego”. Niech je tam zostawi dla lady. To co miał Drakos robić? Poszedł.

Wrócili do kafenijo. Znowu zamówili nargile. I retsinę tym razem. Christos, zwrócony nieodmiennie w stronę hotelu, gdzie mieszkała lady, wślepiał się w drzwi wejściowe ze smętkiem wymalowanym na twarzy. Drakos, wyraźnie w złym nastroju, wciąż jeszcze nachmurzony, odwrócił wzrok ku sąsiedniemu stolikowi. I... pobladł jak kreda. Georgios Krokidas! Czarny mundur, białe guziki, służbowa czapka. On to był. Tak, on! Oficer żandarmerii. Pił kawę. Miał ironiczne, wyniosłe spojrzenie. Wysoko uniósł łokieć i gładził dłonią wąsa. Przypatrywał się im, jakby coś sobie przypominał... Drakos go znał. Widział go kiedyś z ukrycia, zza krzewu mirtowego, niedaleko granicy, w Tesalii. Świtało. Rozdzielili się z towarzyszami, chcąc wyprowadzić w pole niewielki oddział ścigających ich żandarmów. Przeszli tuż obok niego. Wstrzymał oddech. Aromat mirtu. Rosa skapująca z liści. Krokidas siedział na koniu. Zimny, twardy wzrok. Nagle usłyszał głos jakiegoś wieśniaka: „Tędy musieli pójść, kapitanie Krokidas”. Drakos obserwował Krokidasą ze swego ukrycia w mirtowym gąszczu. Tymczasem kapitan jakby wyczuwał jego obecność. Ściągnął wodze i zmuszając konia do obrotu wokół własnej osi, lustrował uważnie zarośla i drzewa. To samo wyniosłe spojrzenie. I nos zadarty wysoko, jak u psa, który węszy zwierzynę. Drakos był gotowy na wszystko, strzeli, jak będzie trzeba, tanio skóry nie odda. Ścisnął w rękę pistolet. Ale Krokidas spał konia ostrogami, „Hajda! ...”, zawołał, i ruszyli. Drakos odetchnął z ulgą. Zachował w pamięci gębę Krokidasą. Czyż mógł ją zapomnieć?

Co teraz? Czy możliwe, by go znał ów Krokidas? Skąd niby i dlaczego? Chyba że... Tak czy siak, trzeba się mieć na baczności. Na piersi, pod koszulą, czuł na skórze chłodny dotyk broni. Nigdy nic nie wiadomo.

Rozejrzał się w prawo, w lewo. W którą stronę trza by się rzucić do ucieczki, dokąd bieć... Czy aby nie rozstawił na czatach i innych pagoniarzy gdzie w pobliżu?

Christos nie zauważył niepokoju Drakosa. Palił wodną fajkę i popijał retsinę ze wzrokiem utkwionym w hotelu. W pewnej chwili Drakos usłyszał głębokie westchnienie Christosa, spojrzął ku niemu. Pochylił się, by szepnąć mu na ucho o Krokidasie, ale zanim zdążył cokolwiek wyjaśnić, Krokidas się ulotnił. Jak kamfora. Drakos rozejrzał się wkoło, ani śladu.

Pojawił się natomiast jakiś dziwny drągał i siadł przy sąsiednim stoliku, napierając krzesłem na ich przestrzeń. Drakos odsunął się, podenerwowany. Nieznajomy był nachalny. Ułożył nogi wygodnie, wyciągnął je w ich stronę. Arwanitakis spojrzął nań koso, znów gotowy do kłótni. Niewiele mu było trzeba. Krewki był. A i nerwy napięte miał jak postronki. I wtedy usłyszał szept tamtego:

– Uspokój się! Takos mnie przysyła.

Christos odłożył nargile. Oczy mu zabłyśły.

– Co jest? – spytał.

– Podał mi wiadomość przez pasierba Tambaleksisa. O dwunastej koniecznie masz iść do Ministerstwa Wojskowości, przyjmie cię kum, jego dostojność. Oddaj mu list. Żandarmowi przy wejściu podasz fałszywe nazwisko, żeby cię wprowadził do biura. „Papadópułos” powiedz, tak jak podałeś w hotelu. A potem wracajcie jak najszybciej. Jesteście w niebezpieczeństwie. Wywęszyli was.

– A gdzie to ministerstwo? – zapytał Drakos.

Nieznajomy wskazał dyskretnie budynek, a potem wstał i odszedł, wymijając osłupiałego kelnera, który pojawił się właśnie, by przyjąć zamówienie.

Gdy minęła godzina, podnieśli się z miejsc i udali we wskazanym kierunku. Drakos przypomniał sobie, że w czasie wypadków czerwcowych mieścił się w tymże samym budynku Królewski Skład Apteczny. I znowu zaczął: „Tuśmy się skryli z Kiriakosem. Ścigała nas żandarmeria. Jak wybuchła strzelanina i zbiegli się nasi, tośmy wyskoczyli na zewnątrz i dali im w kość. Żebyś widział Takosa!”, Drakos uśmiechał się. „Chwat. Wyszedł wprost na nich i zaczął wołać: »Nuże, walcie!... nuże, walcie!«. Kule się go nie imaly. Stał na drodze i strzelał do nich z pistoletu. Żebyś ty go widział!”.

Ale Christos nie słuchał. Myśłami był gdzie indziej. „Ja pójdę spotkać się z kumem. Ty zostań na zewnątrz i pilnuj”, polecił. „Papadópulos”, powiedział do żandarma. „Twój szef na mnie czeka”.

Tamten zlustrował go od góry do dołu. Jakby mu coś nie pasowało. Rzucił okiem do swoich notatek. „Tak, czeka. Jest rozkaz. Proszę za mną”.

Poprowadził go na pierwsze piętro, zastukał do drzwi, skłonił się zamasyście. Jakiś głos szorstki, wojskowy, rozkazał zaczekać pięć minut. Żandarm wskazał Christosowi krzesło i wrócił do swoich zajęć. Wojskowi i żandarmi kręcili się tam i z powrotem z papierami w rękach. Christos czuł się nieswojo. Znalazł się w gnieździe swoich prześladowców. I ci wszyscy dokoła... Jeśliby go pojмали... Wiedział, co go czeka. Szafot. Przypomniał sobie, jak go ścigali w Maratosie, wybałuszone oczy tamtego żandarma, zanim do niego strzelił, zanim położył go trupem tuż pod krzewem chruściny. Pot zrosił mu czoło, gorąco go rozpierało. Czego on tu właściwie szuka? A może... Może to zasadzka? Opuszkami palców dotknął listu Takosa w kieszeni marynarki.

Wtenczas zauważył w korytarzu żandarma, oficera, który przystanął i go obserwował. Rękę uniósł do pasa, jakby miał zamiar wyciągnąć pistolet. Odwrócił się i kogoś przywołał. Christos poczuł się usidlony jak dziki zwierz w potrzasku. Zerwał się. Krzesło upadło z hukiem. Rzucił się ku pierwszym drzwiom, otworzył je. Miał szczęście, pokój był pusty. Z tyłu słyszał ciężkie kroki. Ktoś biegł. Gonił go? „Poczekaj...”, wołał. Christos dopadł okna i nie zastanawiając się wiele, wyskoczył na ulicę. Gwizdnął na Drakosa stojącego na chodniku naprzeciw, by biegł jego śladem. Nim zniknęli w bocznych uliczkach, Drakos obejrzał się. Widział, jak Krokidas wychyla się z okna i patrzy na nich z daleka.

Lady Christos nie zobaczył. Nie dowiedział się też, co stało się z podarunkiem, który jej posłał. Zamierzał być zostać jeszcze dzień, żeby się z nią spotkać. Wśród wielu rzeczy, które chciał jej powiedzieć własnymi ustami, byłoby i to, że nie powinna się martwić, że jutro, pojutrze on osobiście wynajmie powóz na placu św. Ireny, pojedzie do Oroposu i przywiezie jej brata całego i zdrowego, więc niech się nie martwi. Ale co sobie człowiek umyśli, zwykle diabli biorą. Przepadła lady. Przepadła fotografia Watisa. Przepadła Córka Aten. Przepadł „dom” z dziewczynkami.

Wspięli się w górę Likabetu, mijając Deksameni. W zagrodzie Tambaleksisa, w Katsikádika, znów nałożyli fustanele, fermele⁵³

i tsaruchy, wzięli broń, europejskie ubrania zawinęli w tobołek. Christos pomyślał, że wróci, nie zrezygnuje tak łatwo. Wróci. Poczekali, aż się ściemni, i ruszyli do Oroposu.

Czytam i wyobrażam ich sobie, jak odchodzą, uciekają. Składam notatki. Wciąż o nich myślę. Obaj byli moimi przodkami. Christos Arwanitakis. Drakos. Zbójcy, przywódcy zbójców. Życie pełne zmagañ. Zewsząd przeganiani. Jak to się dzieje, że ze statysty stajesz się nagle pierwszoplanowym aktorem na scenie historii? Ściągają cię wszystkie wielkie mocarstwa! Jakie niewidoczne mechanizmy działają, jakie tryby je napędzają, że z mroku i ciemności wyrzucają cię nagle do pierwszego szeregu, na scenę? Jak to jest, że jednych historia czyni bohaterami, a innych czarnymi owcami? I zastanawiam się... Kim ja jestem? Czarną owcą? Bohaterem? Tym pierwszym chyba. Oto niewidoczne więzy, choć nie aż tak niewidoczne, które łączą mnie z moimi przodkami.

[46](#) *Kafenijo tis Anatolís* – jeden z najbardziej wyszukanych tego typu lokali XIX-wiecznych Aten; istniał od 1855 do ok. 1901 roku, bywalcy czytali tam również prasę zagraniczną.

[47](#) Andreas Koromilás (1811–1858) – drukarz, wydawca i księgarz, rozwinął nowogrecki przemysł typograficzny. Rezydencja rodziny Koromilasów przy placu Konstytucji (Syntagma), ul. Hermesa (Ermú) 1, wzniesiona w 1853 r., zburzona została w r. 1963. Na jej miejscu dzisiaj znajduje się siedziba Ministerstwa Finansów.

[48](#) Ustalenia konferencji przedstawicieli mocarstw, która odbyła się w Paryżu na przełomie 1868 i 1869 r., zobowiązywały Turcję do umożliwienia kreteńskim uchodźcom powstańczym powrotu na wyspę.

[49](#) Trasiwulos Zaimis (1825–1880) – polityk, dwukrotny premier Grecji (1869–1870 i 1871), przewodniczący greckiego Parlamentu. Po wydarzeniach w Dílesi rząd Zaimisa upadł.

[50](#) Epaminondas Deligeorgis (1829–1879) – polityk, sześciokrotny premier Grecji.

[51](#) Ogień, kobieta i morze – Drakos nawiązuje tu do starożytnego powiedzenia: „Morze, ogień i kobieta – to trzy nieszczęścia”, przypisywanego Eurypidesowi.

[52](#) Pełne brzmienie: *Allah belasını versin* (tur.), co oznacza „Oby Allah zesłał na niego nieszczęście”.

[53](#) Fermela (gr. *férmeli*) – bogato zdobiona, wyszywana złotogłowie kamizelka. Wraz z fustanelą – białą, obficie plisowaną spódnicą – stanowi tradycyjny strój ludowy Greków, dzisiaj noszony m.in. przez ewzonów (Gwardię Prezydencką).

25/A10

– Przyjdę któregoś dnia do hotelu, odwiedzę cię w pracy – powiedziałem i zaraz ugryzłem się w język.

– Ba! Zabronione. Surowo kontrolują wchodzących i wychodzących.

Widziała, że się zamyśliłem. Ściągnęła usta. Jej słodki uśmiech.

– Tylko nie mów, że masz jakieś nieczne zamiary! – rzuciła nieoczekiwanie.

Pewnie patrzyłem głupkowato. Pewnie zmarszczyłem czoło. Pionowa krecha nad nosem. Zdumienie. A może... może...

– No, nie bądź taki smętny! – ciągnęła. – Nie wierzę, że jakieś głupie myśli chodzą ci po głowie, że jesteś zazdrosny o moich kolegów z pracy.

A więc o to chodziło...

– Dobra, pomyślimy. Znajdziemy sposób, żebyś mógł przyjść mnie odwiedzić, skoro chcesz – obiecała i puściła do mnie oko.

Teraz uśmiechała się chytrze, zagadkowo. Uśmiech kory, starożytnego posągu.

To i ja będę przebiegły, pomyślałem.

– Mam takie marzenie erotyczne... Pokojówka wchodząca do pokoju z miotełką do kurzu w ręce.

– Fantazji tego rodzaju nie należy zostawiać niezaspokojonych, mój ty kochanku doskonały! – mówiła, gdy przekręcałem klucz w zamku i wchodziłem do kawalerki.

Rzuciłem ją na kanapę, ściągnąłem z niej bluzkę. Żeby nie tracić czasu. Tak, zawsze miała ochotę na seks. Chciała go, bardzo chciała.

Zapamiętałem obietnicę, którą złożyła pół żartem, pół serio. Nie wiem, czy mówiła poważnie, ale pomyślałem, że trzeba jej o tym przypomnieć. Niech minie parę dni. I znowu napomknę o moich erotycznych fantazjach. Miałem wyrzuty sumienia, wahałem się. Bo mogła napytać sobie biedy, a nawet zniszczyć sobie życie. Ale z drugiej strony, na pewno jest jakieś rozwiązanie, zawsze jest jakieś rozwiązanie. „W demokracji nie ma sytuacji bez wyjścia”. Czyż nie powtarzają nam tego w kółko ci dranie, ci oszuści, którzy nam demokrację zniszczyli? DUBY SMALONE.

W każdym razie sprawiła mi niespodziankę, prawdziwą niespodziankę, gdy dwa dni później powiedziała, że znalazła sposób, by mnie wprowadzić do hotelu. Nie mam pojęcia, jak to wykombinowała. Nawet strój boya hotelowego w moim rozmiarze wystraszyła. I co najważniejsze, przepustkę pracownika hotelu.

– Drobiazg! Wiesz, ile tego leży w hotelowych magazynach? Rzucone, niepotrzebne. Nikt się nie przejmuje. Co mają z tym zrobić? Karta należy do faceta, którego zwolnili przed paru miesiącami, do niejakiego Jorgosa Sewastopulosa.

Tak mi powiedziała. Nazwisko, stanowisko, wyblakła fotografia. Nawet był do mnie podobny. Stałem z rozdziawioną gębą. Zaradna, piekielnie zaradna z niej kobieta. Mogłem tylko podziwiać.

– Posłuchaj teraz – ciągnęła. – Trzeba to zrobić szybko i sprawnie. Skorzystamy z wejścia służbowego na tyłach hotelu. Człowiek z ochrony jest nowy, nie zna dawnych pracowników, pokaż mu kartę i niczym się nie przejmuje. Wejdziemy ubrani w stroje służbowe. Najpierw ja, za parę sekund ty. Nie musi wiedzieć, że jesteśmy razem. Przy wejściu wisi kamera, zaraz jak skręcimy w korytarz, nad maszyną do odbijania kart. Najpierw ja odbiję swoją. Ty udawaj, że odbijasz, ale tego nie rób, bo system gotów wykryć błąd. Wjadę na siódme piętro i otworzę jeden z apartamentów. Nie wolno mi wchodzić na wyższe piętra. Są niedostępne. Myślę, że tam rządzą ci z trojki. I tylko oni mają klucz do windy. Ale słyszałam, że drzwi na klatce schodowej są zwykle otwarte. Personel, który ich obsługuje, to zaufani ludzie, pracują od wielu lat. Trojkowicze mają też swoich goryli. A więc zaczekasz pięć minut. Żeby ktoś nie zobaczył, że stoisz beczynnie, wejdź do toalety dla personelu w głębi korytarza. A potem zapukasz do drzwi. Piętnaście minut wystarczy, żeby urzeczywistnić twoje fantazje, nieprawdaż? Potem muszę robić, co do mnie należy.

– No nie... – zacząłem zdumiony. – Jesteś z piekła rodem!

Tyle tylko zdołałem z siebie wydusić i aż gwizdnąłem z zachwytu. Znowu ten uśmiech. Patrzyła na mnie półprzymkniętymi oczyma, ściągając usta, jakby mnie chciała wy badać.

– Masz pewność, że nas nie przyłapią? – dopytywałem.

– O nic się nie martw, kochanku doskonały, wszystko przemyślałam i sprawdziłam. Jeśli nas złapią, pójdziemy do ciupy razem. Masz jakieś inne ekstremalne pragnienia? Na komisariacie, w celi, w więzieniu?

Miała poczucie humoru, często się śmiała. Trudno było popsuć jej nastrój.

– Niech tam, wierzę ci. Tylko żebym na tym nie wyszedł jak Strauss-Kahn...

– Nie podsuwaj mi pomysłów...

Poszliśmy. Już następnego dnia. Rano. O dziesiątej. Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Mundurek boya hotelowego. Karta. Ochroniarz. Kamera

przy wejściu. Pochyliłem lekko głowę, żeby nie kusić licha. Na wszelki wypadek. Potem przyglądałem się wszystkiemu dokoła. U góry ścian, wysoko: rurki miedziane i plastikowe, przewody elektryczne. Oczekałem pięć minut w toalecie. A następnie wezwałem windę. Mniej więcej pół minuty zajęło mi dotarcie na siódme piętro. Białe ściany. Obrazy na korytarzach. Akropol, Plaka, plaże greckich wysp, piaszczyste i kamieniste, typowe wiejskie uliczki, bielone domy – greckie lato. Oświetlenie. Kamery w rogach. Cały czas zapisywałem wszystko w mózgu, liczyłem minuty.

Niepokoilem się. Próbowałem zwalczyć strach. Głęboki wdech. Zatrzymać. Wydech. Samokontrola. Ona była mistrzynią opanowania. Nie wahała się ani chwili. „Jesteś pozbawiona emocji”, mówiłem jej czasem dla żartu. „Uprawiam jogę, ćwiczenia samokontroli. Spróbuj i ty!”, odpowiadała z uśmiechem. Trzymałem się jej wskazówek. Karnie, jak zahipnotyzowany. Pokój 743. Zapukałem. Trzy razy z rzędu, i raz.

Otworzyła. I proszę, apartamencik do naszej dyspozycji. Salon. Telewizor. Duże lustro. Stół. Obrazy na ścianach – wszędzie obrazy. Parkiet. Ciężkie zasłony. Balkon. Po lewej – sypialnia. Po prawej – łazienka. Fotografowałem pamięcią pomieszczenia. Klik... klik... klik... Apartament tych z trojki też tak wygląda?

– Mamy piętnaście minut. Góra... – przypomniała. – A więc, kochanku doskonały – szept, cwaniacki uśmieszek, uniesione brwi – korzystaj z okazji!

Zaczęła rozpinać mi spodnie szybkimi ruchami.

– A jak ktoś wejdzie? Ktoś... – dopytywałem, niepoprawny.

– Nie martw się, wyjechali. Poranny lot. Pokój będzie wolny do południa. Teraz ja tu rządę.

Stała przed lustrem i podciągnęła czarną spódniczkę pokojówki. Nieokreślony uśmiech, chytry, zagadkowy. W ręce trzymała miotełkę do kurzu. Przywarłem do jej ciała. Iskra elektryczna. Była ciepła. Moje podniecenie rosło. Nie mogłem się powstrzymać. Obserwowałem ją w lustrze. Mięśnie jej twarzy napinały się, tężały. Słuchałem jej oddechu, najpierw spokojnego, potem coraz szybszego. Czułem zapach jej pleców, skóry, mleko migdałowe. W lustrze nasze ciała synchronizowały się, kołysały w tym samym rytmie. Później jej oczy zamknęły się i pozostały zamknięte w rozkoszy, do ostatniego krótkiego krzyku, który wydobył się z jej piersi i szybko zgasł. Tak, było cudownie. Niewiarygodnie.

Wciągnąłem spodnie. Pocałowaliśmy się namiętnie. Zaczęła już zmieniać pościel, ręczniki. Zostało mi sześć minut na wyjście.

26/A11

Kiedy miałem trzynaście lat, ledwie wygrzebaliśmy się ze spraw majątkowych i spłaciliśmy długi, trzy lata po śmierci ojca, mama miała romans. Coś przeczuałem, widziałem to w jej zachowaniu. Przestała płakać zamknięta w swoim pokoju. Często się uśmiechała. Znowu zaczęła malować usta, nakładać make-up na policzki, cienie na powieki. Jej twarz odzyskiwała powoli dawny blask. Mama była ładna. Nawet dziś, mając czterdzieści pięć lat, wygląda młodo, pociągająco.

Zrobiła się na bóstwo, wystroiła. Sobota wieczór. Jej ruchy, wyraz twarzy, niepokój, pośpiech, gardłowy głos, miały coś z napięcia przed randką. Zbliżała się dziewiąta. Weszła do mojego pokoju.

– Nie przeszkodzi ci, że zostaniesz sam parę godzin? – spytała.

– Z kim wychodzisz? – rzuciłem bez ogródek.

Ton mojego głosu był surowy, prawie obraźliwy. Widziała złość w moich oczach. Nie spodziewała się tego. Nie, tego się nie spodziewała.

Westchnęła. Skuliła ramiona. Siadła na łóżku i przyglądała mi się zamyślona, zatroskana. Badała mnie. Milczała chwilę. Wyciągnęła rękę i dotknęła mojej dłoni.

– Chciałabym, żebyś mnie zrozumiał... – zaczęła. – Od jakiegoś czasu spotykam się z pewnym panem. Jest dobry i...

– Dość! – krzyknąłem. Z wściekłością wyrwałem dłoń z jej palców. – Niczego więcej nie mów... Niczego więcej!

Oczy zaszyły mi łzami. Zerwałem się i uciekłem. Trzasnąłem drzwiami. Zamknąłem się w toalecie. Płakałem. Nie wiem, jak długo. Siedziałem na sedesie i płakałem.

Wspominałem ojca. Lato. Pojechaliśmy łowić ryby nad rzekę w górach Tróodos. Dotarliśmy na miejsce wcześniej rano, o brzasku. Mrok powoli ustępował, nad górami wyłaniało się piękne niebieskie niebo. Gwiazdy blakły, nikały, a na szczytach zaczynał się rysować kształt sosen. Słysząc było szmer płynącej wody; mgła, zwarta, gęsta wilgoć, unosiła się coraz wyżej ponad krzewinki, cierniste krzaki, mastykowce. Pachniało platanami, sosną, szałwią, dziką miętą, lebiodką, wszystkim naraz. Z pierwszym blaskiem światła cykady zaniosły się diabelskimi trelami. Gdzieś w oddali klaskały słowiki. Sierpówki, rudziki, kruki trzepotały skrzydłami i pohukiwały, śpiewały, krakały niewidoczne wśród gałęzi, w gąszczu krzewów. Rozglądałem się wokół. Z otwartymi ustami, oniemiały.

Zanim na dobre wstał dzień, ojciec wypakował z samochodu wędki, podbierak, torbę z jedzeniem, wędziska. Przy świetle latarki nałożonej na czoło mocował kołowrotki, przeciągał żyłki przez przelotki, przyczepiał błystki. Potem zarzucił plecak na ramiona, mnie dał do niesienia podbierak i jedno z wędzisk. Włożył na głowę słomkowy kapelusz i ruszył naprzód.

– Idziemy, synu – rzekł. – Patrz, gdzie stąpasz. Tu są węże.

Szedłem w ślad za nim, karny jak pies myśliwski, patrząc w dół na grube buty do pieszych wypraw, które miał na nogach. Jakiś krab uciekł przerażony do swojej norki. Wlazłem niechcący w wodę. Zmoczyłem moje dziecięce buciki za kostkę. Nawet skarpetki nasiąkły. Woda była lodowata. Brrr... Zdrętwiałem. Przeszedł mnie dreszcz. Zabrakło mi tchu. Ale zaraz przywykłem, pognałem dalej. Przechodziliśmy przez rzekę. Stąpaliśmy po kawałkach pni, po omszałych kamieniach. Niejeden raz się poślizgnąłem, przewróciłem, wpadłem w wodę. Ojciec podchodził do mnie.

– Uderzyłeś się? – pytał.

– Nie.

Podawał mi rękę, podciągał, pomagał wstać. I szliśmy dalej. Zawsze on przodem, ja z tyłu. W cieniu drzew. Gdy czołgając się prawie, przeszliśmy pod niskimi, gęstymi gałęziami oleandra, ojciec dał znak, żebym się zatrzymał. Palcem wskazującym dotknął ust. Położył ostrożnie plecak na otoczkach. Schował się niemal cały za jedną ze skał. Przed nami rozciągało się duże koliste zagłębienie. Woda lała się do niego z wielką siłą, spadała spieniona. Ojciec ujął wędkę w obie ręce, zwolnił hamulec, zarzucił. Zabezpieczył hamulec i powoli zwijał żyłkę. Złota błystka z haczykiem ukrytym w pomarańczowym pędzelku z nitek wirowała i lśniła w wodzie wyzywająco, zwodniczo. Aż nagle... ryba wzięła, ojciec poczuł opór, żyłka napięła się, wędzisko wygięło. Chwilę później na powierzchni pojawił się pstrąg, rozpaczliwie młócił wodę ogonem, szarpał się, chcąc odzyskać wolność. „Cha, cha!”, wykrzyknął ojciec rozentuzjasmowany jak dziecko. Uniósł rybę wysoko, a potem położył ją na kamieniach. Haczyk tkwił wbity w wargę ryby, która miotała się w śmiertelnym strachu, usiłowała się wyswobodzić, biła ogonem, otwierała i zamykała pysk. Ojciec odwrócił głowę i spojrzał na mnie. Promień słońca przeniknął gąszcz liści rozłożonego nad nami kasztanowca i oświetlił mu twarz. Uśmiechnął się. Był zadowolony, szczęśliwy. Takiego go sobie przypomniałem wtedy w toalecie. Łzy kapały mi z oczu, ogarnął mnie wielki żal, czułem ucisk

w żołądku. Jego promienna twarz. Uśmiech szczęścia. Wędka w ręce. Pstrąg rzucający się na otoczkach.

Usłyszałem pukanie do drzwi. Jedno, drugie. Przerwa. I znowu. Jedno, drugie. Nieśmiało.

– Aleksy, wszystko w porządku? – spytała.

Martwiła się, słyszałem to w jej głosie. Wyszedłem. Z zaczerwienionymi oczyma.

– Dobrze, nie pójdę, skoro tak wolisz – powiedziała zrezygnowana, rozczarowana. Przygarbiła się. Ramiona wisiały bezużyteczne po bokach.

– Rób, jak uważasz – rzuciłem chłodno i ukryłem się w swoim pokoju.

Zadzwoił telefon. Odebrała. Uchyliłem lekko drzwi, żeby słyszeć.

– Nie, dzisiaj jednak nie będę mogła. Wybacz. Nie nalegaj, proszę...

Odłożyła słuchawkę. Ale po chwili telefon dzwonił znowu.

– Nie, bardzo cię proszę. Nie dam rady. Nie, nie przychodź. Nie nalegaj, nie przychodź... Dobrze... – westchnęła, poddała się. – Dobrze, więc... Zostań tam, gdzie jesteś. Schodzę za pięć minut.

Jej kroki odbijały się echem w korytarzu. Tuk, tuk, stukały obcasy. Zatrzymały się pod moimi drzwiami. Ostentacyjnie zasunąłem zasuwkę. Nie chciałem, żeby weszła. Nasłuchiwałem. Jej oddechu – tam, na zewnątrz. Cisza. Minęło dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści sekund.

– Wychodzę. Zaraz wrócę... I... Nie otwieraj nikomu – powiedziała w końcu.

Wyszła, słyszałem, jak drzwi się otwierają, zamykają, jak przekręca klucz w zamku.

Znowu ogarnął mnie żal. Rozpłakałem się. Ojciec, promień słońca na twarzy, uśmiech, rzucający się pstrąg z haczykiem w pysku. Poszedłem i wygrzebałem z pawlacza broń Drakosa, tę, którą ojciec wyniósł z piekła wojny. To była nić łącząca mnie z innym światem. „Pewnego dnia, gdy nam pozwolą, pojedziemy zobaczyć grób Drakosa w naszej wiosce, w Świętym Epiktecie. Jeśli ten grób jeszcze istnieje, jeśli krzyż nadal na nim stoi”, przypomniałem sobie jego słowa.

Niesłusznie byłem okrutny wobec mamy. Wiedziałem o tym. A jeszcze okrutniej zachowałem się pewnego popołudnia, gdy przyszli do nas do domu razem. Chciała, żebym go poznał – też pomysł! – że niby wtedy mógłbym zmienić zdanie. Minął chyba tydzień od tamtego wieczoru, gdy się spotkali. Kilka następnych dni byłem naburmuszony. Ledwie mówiłem jej „dzień dobry” i „dobranoc”. Poza tym nic. Wojna psychologiczna.

Z czasem gniew zelżał, ustąpił. Sądziła, że pogodziłem się z sytuacją. I że jeśli go poznam, to może go nawet polubię. Myliła się. Wiedziała, że jestem uparty. Jak ojciec. Powinna była wiedzieć.

Siedziałem w salonie i oglądałem telewizję. Nie uprzedziła mnie. Pewnie ze strachu, że się zamknę w pokoju. Albo, co gorsza, że wyjdę i będę się włóczył po ulicach jak łobuziak. Odwróciłem się i patrzyłem na nich, nie wiedząc, co się święci. Byłem zaskoczony. Zmarszczyłem czoło.

– Aleksy, chcę ci przedstawić... – zaczęła prawie szeptem.

Głos wiązał w gardle. Uśmiechała się, ale usta miała zaciśnięte. Była zdenerwowana.

Przerwałem jej natychmiast.

– Nie interesuje mnie! – krzyknąłem i pobiegłem schować się w swoim pokoju.

Chciała mi przeszkodzić, chwyciła mnie za rękę. Spojrzałem jej prosto w twarz z wściekłością. Tak, w moich oczach był gniew. I nienawiść. Przeraziła się. Odchyliła się nieco do tyłu. Radość złąziła z niej powoli jak skóra z węża, aż zniknęła.

– Puść! – warknąłem.

Puściła.

Tak, w moim głosie brzmiała nienawiść. Nie wobec mamy. Wobec tego, który zwalił się nam do domu. Nie chciałem go, nigdy bym go nie zaakceptował, za żadne skarby. Nienawidziłem go, chociaż go nie znałem. Pierwszy raz czułem taką nienawiść. Nie wiedziałem, skąd go wystraszyła – może był kolegą z pracy, z agencji ubezpieczeniowej – i nie chciałem wiedzieć. Niczego nie chciałem wiedzieć o tym człowieku.

Tak, przyznaję. Dziś to rozumiem. I do pewnego stopnia żałuję. Mama miała prawo ułożyć sobie życie. Była przecież młoda, ładna. Potrzebowała mężczyzny u boku. Dlaczego miałyby spędzić resztę życia w samotności, bez towarzysza? Jak długo jeszcze miały ją prześladować wspomnienia, upiory przeszłości?

Nie słyszałem więcej o tym mężczyźnie. Nigdy o nim nie wspomniała. Pewnie wkrótce skończyła się ich przygoda. Nie wiem, czy miała innego kochanka w następnych latach, czy miała sekretne życie. Nigdy nie poruszyliśmy tego tematu. Nawet gdyby miała, nie powiedziałyby mi. Trzymałyby to w tajemnicy. Raz wystarczył. Z nawiązką.

Byłem dzieckiem. Nie mogłem sobie wyobrazić matki w ramionach innego mężczyzny – rzecz nie do pojęcia. Miała męża. Mojego ojca.

Na zawsze. To by była zdrada. I dowód, że mnie odrzuca. Błędnie, ale tak rozumowałem. Sama myśl, że ktoś mógłby ją trzymać za rękę, przytulać, a co najgorsze, spać z nią, budziła we mnie trwogę, nieznośny psychiczny ból.

Kiedy miałem osiem lat, dwa lata przed samobójstwem ojca, w jakąś sobotę, obudziłem się dobrze po północy. Chciałem się napić wody. Przeszedłem przez korytarz i właśnie miałem postawić nogę na pierwszym stopniu, żeby zejść na parter, do kuchni, gdy w nocnej ciszy usłyszałem jej głos. Zmieniony, głęboki, chrypiący. Zatrzymałem się, stałem nieruchomo. Nasłuchiwałem. Głos namiętnej pasji, krótki krzyk, jakby jęk, rozpląnął się w słodczy innych nieokreślonych dźwięków. Wiedziałem, co to takiego. Mogłem sobie wyobrazić. Widziałem i słyszałem cuda, cudenka w zabronionym kanale telewizyjnym któregoś wieczoru, gdy rodzice wyszli na prośzoną kolację.

Nie mogłem się zgodzić, żeby moja matka przeżywała podobne chwile z innym mężczyzną, na samą myśl o czymś takim dostawałem szału. Nie chciałem tego, nie mógłbym tego tolerować, nie mogłem do tego dopuścić – póki cokolwiek ode mnie zależało. W moim dziecięcym, naiwnym przekonaniu powinna być związana tylko z moim ojcem, wierna na wieki. Tak postępują łabędzie. Gdy tracą partnera, nigdy nie szukają innego. I ustniczki francuziki, które są sobie wierne, monogamiczne, nawet gdy rozdzieli je śmierć – tak mi kiedyś powiedział ojciec, który się tyle naczytał w swoich książkach o zachowaniach ryb.

27/A12

Kiedy natknąłem się na zapiski lorda Muncastera o wędkarstwie, ogarnął mnie entuzjazm. Znowu przypomniał mi się ojciec. I nasze wyprawy. Często mi obiecywał: „Wyberzemy się kiedyś razem do Skandynawii na łososie”. Muncaster, daleki krewny Fredericka Vynera, na krótko przed podróżą do Grecji wyjechał na miesiąc z przyjaciółmi łowić ryby właśnie w Skandynawii. Czytam o stosowanej przez niego technice zarzucania wędki, o przynętach, o jeziorach, o nieznośnych komarach. Muncaster opisuje, jaką rybę złowił każdy z towarzyszy: „Nie powiodło mi się. Ani jednego brania przez cały dzień. Henry miał ich parę, złapał trzy łososie. To mój pierwszy całkiem jałowy dzień od czasu, gdy zacząłem wędkować”.

Muncaster był egoistą, okropnym egoistą, jak większość wędkarzy. Nie znosił sukcesów towarzyszy, nie znosił własnych porażek. Naburmuszył się, milczał. Rywalizował z Henrym Gore-Boothem. W ciągu trzech tygodni złowili dwa tysiące czterdzieści pięć i pół funta ryb. Wędkowali przez wiele godzin sześć dni w tygodniu.

Tyle o Muncasterze. I proszę, coś nas łączy: łowienie ryb.

28/C5

Apostolu był obecny przy składaniu zeznań przez wszystkich urzędników trojki. Chciał się dowiedzieć, z kim kontaktowały się ofiary poprzedniego dnia, z kim rozmawiały telefonicznie. Minister finansów był ostatnią osobą, z którą przedstawiciele trojki spotkali się w dniu przed morderstwem. Apostolu poprosił i jego o złożenie zeznań. Minister wziął mu to za złe, wściekał się i złościł. Mówił o braku szacunku. Zwrócił się do przełożonego Apostolu z żalami. A ten poradził inspektorowi, żeby zostawił ministra w spokoju.

Apostolu rozmawiał z dziewczynami z Międzynarodowego Funduszu Walutowego, które wciąż zszokowane straszliwą zbrodnią, szlochały i wycierały nosy w chustki. „Kiedy widziały ich panie po raz ostatni, czego dotyczyła rozmowa, czy otrzymywali jakieś pogróżki, czy zauważyły panie coś niepokojącego w ostatnich dniach?”. Nie potrafiły powiedzieć zbyt wiele. Były tak delikatne, tak wrażliwe. Przełożeni prosili Apostolu, żeby nie nalegał, nie naciskał więcej. Ale inspektor musiał robić, co do niego należy. A przede wszystkim musiał zdążyć z tą robotą, zanim personel trojki opuści kraj. Widział też pozostałych członków zespołu spiętych, odpowiadających monosylabami.

Apostolu skoncentrował uwagę na jednym z trzech szefów, na tym, który pozostał przy życiu. Może z jego pomocą uda się znaleźć rozwiązanie. Gdzie przebywał w chwili morderstwa, dlaczego nie był z pozostałymi? Nie czuł się dobrze, żołądek, zjadł na śniadanie coś, co mu zaszkodziło. Inspektor widział, że drżą mu palce. Był blady jak płótno. Wyślizgnął się z objęć śmierci, nie wiadomo jakim cudem, może faktycznie w ostatniej chwili los, to znaczy żołądek... Okazywał niezadowolenie, że jest indagowany i że inspektor nalega. Niecierpliwił się, chciał się już pakować, miał lot za trzy godziny, chciał uciec jak najdalej „od tego przekłętego kraju”.

29/E3

Teczka „Samobójstwa”, wycinek nr 25

Dreszcz grozy budzi rodzinna tragedia, która wydarzyła się w Kaminia. Matka popełniła samobójstwo, osierociła czteroletnią córeczkę.

Ateny, Kaminia, kwiecień 2013 roku

Masz dopiero cztery latka. Dziewczyneczka. A ile już zdążyłaś przeżyć! Czego się nie naoglądały twoje oczy!

Szczęście, że sąsiedzi usłyszeli płacz dobiegający z tarasu. A potem podnieśli głowy i zobaczyli cię tam, wysoko. Wielkie załzawione źrenice. Potargane włosy. Zakrwawiona koszulka. Ci, co pospieszyli z pomocą, dostrzegli zadrapania na brzuchu. Niektórzy płakali niemo, brali cię w ramiona. Ale to nie to samo. To nie objęcia matki.

W twoim domu znajdują matkę martwą, leżącą na podłodze w kałuży krwi. Obok nóż. Kto wie, ile razy zanurzyła go w swoim ciele, w szoku, ogarnięta szaleństwem.

A ty, śliczna, słodka dziewczyneczko? Ty patrzyłaś i próbowałaś ją powstrzymać, odebrać jej nóż. Czuły głos „Mamusi, mamusi!”, łzy w oczach. Chciałaś zamknąć ją w drobnych ramionkach, powiedzieć, że ją kochasz. Kochasz ją. Dlaczego to robi? Dlaczego chce cię opuścić... Patrzyłaś na ostrze, które się zatapiało w jej ciele, krew tryskała czerwona, czerwona. I łkałaś, „Mamusi, mamusi...”.

A zadrapania na brzuchu? Krew na koszulce? To twoje rozpaczliwe próby wyrwania jej skrwawionego noża. Ale o czym tu mówić...? Co zdołała taka ot, maleńka, słabiuteńka rączka?

Ciii... Nie płacz, nie płacz, dziewczyneczko. Tylko patrzeć, jak tatuś będzie przy tobie.

Już jest w samolocie, w drodze do Grecji. Czego miał tutaj szukać? Pojechał do pracy, za chlebem. Ale niedługo wróci. Weźmie cię w ramiona. Przytuli. Przytuli tak, jak pragniesz. Bez krwi, bez zabójczego noża.

Bacz, żebyś zmieniła ten świat, dziewczyneczko!

30/B5

Sergidis pamięta wyprawę do miejsc, gdzie rozegrała się tragedia. Dawno temu, gdy nie miał jeszcze stałej posady na uniwersytecie, świeżo po powrocie ze Szkocji. Był młody, pełen zapału. I któregoś dnia, z początkiem jesieni, wsiadł do auta i pojechał na wizję lokalną w miejscu zbrodni. Niczym medyk sądowy.

Wszystko za porządkiem. Najpierw Pikiermi, na drodze do Maratonu. Zbójcy, całą hordą, około dwudziestu ośmiu chłopów, zeszli do Ftiotidy w połowie stycznia 1870 roku. W Liwadii i Tebach doszło do potyczek z oddziałami wojska. Stracili aż siedmiu ludzi, część zginęła od kul, innych złapano i osadzono w Chalkidzie. Tropieni i przeganiani z miejsca na miejsce uciekli w góry Megaridy. Z końcem marca dotarli do Chasiá i Ano Liosja, a na początku kwietnia do Pendeli, opodal Pikiermi. Mówi się, że przybyli do Attyki w innym, ambitniejszym celu. Że planowali wprowadzić następcę tronu, małego Konstantyna.

Sergidis podjechał do kamiennego domu, gdzie mieści się Chani tu Skordá, dawniej zajazd, dziś elegancka tawerna. Lordowie zatrzymali się tu w drodze do Maratonu. I zapewne stąd rozeszła się wieść o ich bytności w okolicy.

Miejscowi przyglądali się Sergidisowi badawczo, ze zdziwieniem. Czego tu szuka jakiś obcy? Z aparatem fotograficznym niczym japoński turysta? Tymczasem jego wzrok padł na szyld po drugiej stronie drogi: Sklep mięsny „Takos”. Coś takiego! Sergidis omal nie parsknął śmiechem. Wszedł do środka niepewny. Rzeźnik ubrany był w biały fartuch – niczym pielęgniarz – uwalany krwią, kawałkami tkanek i mikroskopijnymi drobinami mięsa, które zaschły na piersi i rękawach. Miał około czterdziestu pięciu lat, silne ramiona i podkręcone wąsy. Gdy Sergidis przestępował próg sklepu, rzeźnik ciął tasakiem potężny kozi udziec i rozdzielał: mięso – tu, kości i chrząstki – tam. „Owszem, od Takosa Arwanitakisa wzięłem nazwę”, przyznał. „Mój pradziadek zawarł braterstwo krwi z Arwanitakisami. Tutejsi darzą ich szacunkiem”. Basowy głos niósł się głośnym echem po sklepie. Chodził tam i z powrotem za ladą, między zwisającymi hakami, ostrzył nóż o nóż, wycierał wierzchem dłoni pot z czoła. Przy drzwiach znalazło się dwóch, trzech ciekawskich, którzy ukradkiem wsadzali nosy do środka, żeby wywąchać, czego też sobie życzy ten obcy w ich stronach. Sergidis wyciągnął mały dziennikarski dyktafon. Rzeźnik zachichotał, napuszył się jak paw. Z Aten przyjechali, żeby z nim

wywiad zrobić. Strzelał spojrzeniem to na ciekawskich, to na obcego. Oczy mu lśniły. „A jakże, Arwanitakisów nam dzisiaj trzeba na tych w rządzie, łobuzów jednych!”, rzekł, odcinając nożem podobnym do jatagana kawał żeber. Potem uniósł głowę i spytał Sergidisa, w jakiej gazecie będzie jego podobizna – „czy może w telewizji?”.

„Jedź pan do starego Ksindarasa. Jego rodzina z dawien dawna w tych stronach. Za Arwanitakisów już tu byli”, powiedział jeden z ciekawskich, co pchali nosy do środka jak łasice. Pytając i dopytując, Sergidis znalazł dom starego Kosty Ksindarasa. Rodzina owczarzy, dawniejsi tselingasowie, zarządcy wielkich stad, z dziada pradziada. Jego przodkowie byli oficjalnymi dostarczycielami mięsa i mistrzami pieczystego w czasie zabaw na wolnym powietrzu u króla Jerzego. Miał powody do dumy. Jego dziad mieszkał w okolicy w czasach tamtego zajścia, opodal Mostu Lordów. Był krewnym Dawelisa. Któregoś dnia Arwanitakisowie przyszli go ograbić. Zabrali mu srebrny nóż i domagali się dwóch kóz. Ale od słowa do słowa okazało się, że i z nimi jest spokrewniony. Zwrócili mu nóż i dali pieniądze na nowe kozy. „Zasada trzecia: Zbójcy żądają pieniędzy tylko od tych, co je mają”. Sergidis nagrał opowieść Ksindarasa na magnetofon i uwiecznił go na fotografii. Zuch staruszek, strawił życie na pasaniu owiec, w chłodzie i zimnie albo w żarze słońca, na pustkowiach.

Sergidis rozpytywał o stary kamienny Most Lordów w pobliżu osady Wjená, między Pikierni a Rafiną. Nie mógł go znaleźć. Ludzie nie wiedzieli. Aż wreszcie natknął się na Ewangieliję Taglioglu, ówczesną radną w Rafinie. Jej rodzina, Telalisowie, osiedlili się tutaj w międzywojniu. Wszyscy pracowali w miejscowej kopalni węgla brunatnego. Gdy kopalnię zamknięto, pani Ewangielija zaczęła gromadzić górnicze przedmioty i urządziła niewielkie muzeum. A co najważniejsze, zebrała unikatową kolekcję czarno-białych fotografii przedstawiających życie codzienne robotników. „Tak, tu niedaleko jest ten most, przy ulicy Papandreu we Wjenie”, powiedziała. Ziemię pod budowę domu, niedaleko strumienia, kupili od monastynu w Pendeli. W umowie było napisane „okolice Mostu Lordów”. Wskazała, gdzie szukać. Znalazł. Teraz most był pokryty betonem. Kto wie, może to rzeczywiście ten sam most.

Samochód zaczął się buntować. Stary, zardzewiały fiat mirafiori rządził niemiłosiernie i Sergidis myślał ze strachem, że mu się rozkraczy na drodze, że posypie się blacha, odpadną koła, że mu tylko kierownica w rękach zostanie.

Tutaj, na ten most, w późniejszej posiadłości rodziny Skuzesów, dotarły powozy – powozy-karawany – eskortowane przez czterech żandarmów. Z tyłu, dość daleko, podążali piesi. Było pół do piątej po południu. Poniedziałek, 11 kwietnia 1870 roku. Podróżnicy wracali spod kopca Ateńczyków w Maratonie. Pod kopcem stanęli o jedenastej, zjedli posiłek, po czym, beztroscy w swej nieświadomości, jęli szukać perskich śladów aż po brzeg morza. Większość członków wyprawy stanowiły znaczące osobistości: lord Josslyn Muncaster i lady Constance; syn lady Mary Vyner, Frederick – szwagier lorda hrabiego Ripon, bliskiego współpracownika premiera Gladstone’a i syna byłego premiera Anglii; adwokat Edward Lloyd, jego żona Julia oraz ich pięcioletnia córeczka Barbara; sekretarz ambasady brytyjskiej Edward Herbert; sekretarz ambasady włoskiej hrabia Alberto de Boyle i jego włoski służący Roella oraz przewodnik i tłumacz Aléksandros Anemojanis. Wszyscy byli w znakomitych nastrojach, Herbert oglądał kwiaty zebrane pod Maratonem, które trzymał w dłoniach, Frederick Vyner podśpiewywał starą irlandzką piosenkę, ktoś czytał o świetlanej greckiej przeszłości, konie galopowały po wiejskiej drodze. Nagle od strony krzaków usłyszeli strzały i zatrważające polecenie: „Stać!”. Jeden z żandarmów padł martwy, drugi – zraniony – wkrótce wyzionął ducha. Cudzoziemcy zastygli w bezruchu.

Sergidis miał w samochodzie zapiski i materiały. Otworzył dziennik Muncastera i zaczął czytać:

Zbójcy wykonywali groźne gesty, wymachiwali nożami i szablami. Ciągnęli mnie za rękaw i szturchali Constance w ramię. Jeden z woźniców ukrył się pod powozem. Aléksandros drżał cały, biały jak płótno otworzył mi drzwi i poszedł na tył powozu, czekając, aż zbójcy go zastrzelą. Jakiś młody zbir znowu szturchnął Constance i zabrał jej zegarek, medalion oraz kolczyki, omal jej nie udusił, rozrywając łańcuszek, który miała na szyi, i kazał jej wyjść z powozu [...].

Zbójcy posadzili Constance oraz panią Lloyd na koniach. Na trzeciego konia wsiadł Edward Lloyd z małą Barbarą w objęciach, dziecko płakało i darło się wniebogłose. Takos warknął rozdrażniony, żeby je uciszyli, bo jak nie, sam to zrobi „w skuteczny sposób”.

Tak rozpoczęła się pełna trwogi wędrówka jeńców i porywaczy, która trwała dziesięć dni. Zbójcy brali w niewolę bogatych, tylko od nich żądali okupów. Trzecia zasada kodeksu honorowego. Zasada niepodważalna.

Sergidis rozglądał się dookoła, przysłona aparatu fotograficznego Minolta otwierała się i zamykała w nieskończoność, klik, klik, klik... Wyobrażał sobie strach jeńców – opuścili luksusowe europejskie salony, by wpaść w zasadzkę przerażających zbójców na dzikich pustkowiach Grecji. Słyszał rozkaz „Stać!”, widział dymiące lufy wysuwające się zza gałęzi i suchego zielska.

Ewangielija Taglioglu powiedziała mu, że na wzgórzu ponad mostem znajduje się jaskinia, w której rezydował kiedyś jeden z hersztów. Było w niej źródło; pamięta, że w dzieciństwie chodziły tam z siostrą Ewantiją i napełniały manierki zimną wodą. Sergidis łączył informacje. To tam, jak się zdaje, zatrzymali się na krótki postój zbójcy z zakładnikami i tam czekało na nich paru starszych zbirów. Potem wszyscy razem ruszyli szybkim marszem do monasteru w Pendeli.

Sergidis pojechał do Pendeli swoim fiatem, dyszącym ciężko na zakrętach i podjazdach. Porywacze i zakładnicy szli piechotą. Dwóch, trzech zbójców ubezpieczało maszerujących od tyłu, ciągnąc za sobą gałęzie dla zatarcia śladów. Vyner, odwróciwszy na chwilę głowę, widział ich w tumanie pyłu.

O siódmej puścili nas wolno, lady Muncaster i mnie z dwoma żandarmami i Barbarą. Żandarmi nie znali drogi, krążyliśmy więc kilka godzin w górę i w dół wąwozami, tak że konie ledwie powłóczyły nogami. W końcu znaleziono drogę i dotarliśmy do jakiejś wioski, gdzie z radością dostrzegłam powóz, który, jak nam powiedziano, był jednym z naszych powozów. Biedna Barbara płakała i szlochała całą drogę, ale uspokoiła się, gdy wzięłam ją w ramiona i w końcu przespała się na pościeli przygotowanym pobieżnie na przednim siedzeniu powozu. Dotarliśmy do Aten o jedenastej i natychmiast udaliśmy się do pana Erskine’a.

Tak pisała w jednym z listów zaraz po uwolnieniu Julia Lloyd. Już przed ich powrotem Ateny trzęsły się od plotek o uprowadzeniu. Gleissner, służący Muncastera i Vynera, który nie wsiadł do powozów jadących do Maratonu z powodu braku miejsca, pospieszył zaniepokojony do ambasadora brytyjskiego Erskine’a. Ten starał się go uspokoić. Powiedział mu: „Wszyscy Grecy to kłamcy”.

Tymczasem zbójcy i ich ofiary doszli do monasteru w Pendeli, gdzie zostali ugoszczeni przez igumena, po czym udali się w stronę Stamaty i przenocowali w pobliżu Kieramidi. Członkowie bandy byli uszczęśliwieni sukcesem. Bawili się, tańczyli i śpiewali zbójnickie piosenki. Ktoś z Aten

podszepnął im w tajemnicy, że Muncaster to dwunasty z najbogatszych ludzi w Anglii, a także bliski krewny królowej Wiktorii! Bujda, ale zbójcy błogosławili los. Takos już ich wszystkich nazywał królami!

Sergidis czytał w dzienniku lorda Muncastera:

Wtorek, 12 kwietnia

Zbójcy postanowili zażądać amnestii. Christos był wyraźnie za, Takos wyśmiewał tę propozycję. [...] Zażądali, żebym to ja przekazał tę wiadomość. „Jak długo możecie czekać?”, spytałem. „Ile będzie trzeba”, odparł Takos [...].

Zbójcy spędzili dzień na czyszczeniu długiej broni, szabel i noży oraz na czesaniu swoich długich włosów.

Zegnali się często znakiem krzyża i coś mruzcili pod nosem, zwłaszcza Takos, który zdjęwszy fustanelę, oglądał ją dokładnie ze wszystkich stron, wyraźnie zadowolony z wyniku tych oględzin. Nie mogliśmy się oprzeć pokusie i obserwowaliśmy go z zaciekawieniem – a zwłaszcza sposób, w jaki owijał onucami nogi.

Liczyli łupy, monety i wartościowe przedmioty, które nosili na piersi w srebrnych puzderkach zawieszonych u szyi na łańcuszkach. Na puzderkach widniały ryte podobizny świętych, między innymi świętego Jerzego ze smokiem.

[...] Cały dzień siedzieliśmy pod drzewem. Słońce prażyło niemiłosiernie przez długie godziny, na szczęście nie padało. Podawali nam na nożach resztki jedzenia z poprzedniego dnia. Wyobrażaliśmy sobie, że tymi samymi nożami podrzynają gardła swoim ofiarom. Zbójcy łamali kości, długimi ostrzami wydłubywali szpik i go jedli. Sprawiali wrażenie bardzo zadowolonych.

Środa, 13 kwietnia

O dziewiątej rano przyprowadzili dwóch przestraszonych drwali, zrozumiałem, że niedługo wyruszę w drogę [...]. Uścisnęliśmy sobie dłonie z Takosem. Aléksandros ze łzami w oczach prosił, żebym odwiedził jego żonę. Ostatnimi słowami Takosa była prośba, żebym mu przysłał komboloi. Dał mi torbę Constance z jej starymi, długimi butami w środku, [...] obiecał zwrócić pozostałe jej rzeczy, gdy sprawa zostanie załatwiona, i prosił, żebym pozdrowił od niego „lady”.

Następnego dnia zbójcy i zakładnicy, maszerując tajemnymi ścieżkami, dotarli do Oroposu. Podążający ich tropem Sergidis także wyruszył w tamtą stronę. Ale jego samochód co innego miał w planie. Na jednym z zakrętów prowadzącej w górę drogi – stało się. Stary fiat mirafiori wydał z siebie dziwaczny terkot tap, tap, tap i odmówił posłuszeństwa. Znieruchomiał. Z silnika na przodzie auta zaczął wydobywać się dym. I tyle. Koniec wyprawy.

31/C6

Apostolu przeszukuje policyjne archiwum. Dawne sprawy z poćwiartowanymi, pozbawionymi głów ciałami. Czy jest coś, co łączy tę krwawą jatkę ze zbrodnią z 21 kwietnia?

Sprawa Garmaní, 1987: Odcięte kończyny osiemnastolatki znaleziono w pojemnikach na śmieci w Kato Patisji, a głowę przy ulicy Acharnejkiej. Mąż kobiety został skazany na osiemnaście lat więzienia.

Sprawa Sechidisa, 1996: Student prawa poćwiartował ciała członków rodziny.

Sprawa Daglisa, 1996: Morderca rozczłonkował ciała prostytutek.

Sprawa Skiadopulosa, 1999: Dwudziestotrzyletni mężczyzna udusił narzeczoną, uciął jej głowę piłą, po czym głowę wyrzucił.

Sprawa dwudziestopięcioletniej brzemiennej Ukrainki Eleny Satulowej, 2004: Zamordowana przez partnera. Głowę i kończyny mężczyzna wyrzucił do rzeki Aliakmon, a korpus na wysypisko śmieci w gminie Eginiju w województwie Pierija.

Sprawa na Santorini, 2008: Mężczyzna odciął żonie głowę tasakiem i obnosił ją po drogach wyspy. Wcześniej uciął głowę jej psu.

Jednakże wszystkie, wszystkie te sprawy zostały wyjaśnione. Miały jedną wspólną cechę: mordercy cierpieli na zaburzenia osobowości, byli chorzy psychicznie lub działali pod wpływem bardzo silnego napięcia emocjonalnego. Zazdrość, namiętność, nienawiść. Może ta wiedza do czegoś się przyda. Może takiego przestępstwa, jak mord z odcięciem głów z 21 kwietnia, nie mógł popełnić człowiek zdrowy czy zdrowi ludzie. Ponadto zimna krew, z jaką zrealizowano plan, oraz niepozostawienie żadnych śladów wskazują, że sprawcy nie byli pospolitymi przestępcami. A może kryje się za tym wszystkim jeszcze coś innego...

Apostolu przestudiował raporty psychologów i kryminologów na temat odrażających zbrodni podobnej natury. Wyczytał gdzieś, że: „Człowiek w normie psychicznej na widok tryskającej krwi zazwyczaj doznaje szoku i odstępuje od swego zamiaru. Natomiast osobę zaburzoną ogarnia na widok drgawek i płynącej krwi rodzaj upojenia i psychicznej euforii”.

Pytanie, do której z tych grup należą mordercy urzędników trojki. Poszlaki i dane, które miał przed sobą, wskazywały, że przestępstwo zostało popełnione z zimną krwią, bez cienia paniki.

Siedzi przy biurku i próbuje wyobrazić sobie, jak dokonano zbrodni. Rekonstruuje w myślach przebieg zdarzeń. W tym konkretnym przypadku

odcięcie głów nastąpiło po śmierci ofiar, a zatem krew nie wypływała z szyj zbyt gwałtownie, bo serce przestało już pracować i krew zdążyła stężeć.

W internecie znajduje zdjęcia, a nawet filmiki przedstawiające prawdziwe dekapitacje. Szuka elementów, szczegółów, które wprowadziłyby go w atmosferę tej makabry. Widok odcinania głowy żywemu człowiekowi jest wyjątkowo wstrząsający. Krew tryska obficie z tętnic i aorty, z żył szyjnych. Czyta, że kara śmierci przez ścięcie stosowana jest nadal w Arabii Saudyjskiej, w Katarze, Iranie i Jemenie. W krajach muzułmańskich. Każdego roku wykonuje się dziesiątki, setki publicznych egzekucji. Mahomet zalecał podobno ścinanie głów niewiernym. Wspomina o tym także Koran. Kat jednym cięciem oddziela głowę od ciała. Śmierć jest wynikiem niedotlenienia mózgu po przerwaniu dopływu krwi. Utrata świadomości następuje w ciągu kilku sekund, chociaż znane są przypadki, gdy i po tym czasie dostrzegano ruchy gałek ocznych i ust. Uważa się, że zapas tlenu w mózgu starcza na siedem sekund, to wystarczająco dużo czasu, by umierający zdążył spojrzeć dokoła, zobaczyć własne ciało bez głowy i zabrać na tamten świat widok kata trzymającego w ręce miecz, topór lub nóż ociekający jego krwią. Istnieją świadectwa mówiące o tym, że gdy zawołano zdekapitowanego po imieniu, powieki w odciętej głowie drgały, otwierały się, a źrenice zwracały się w stronę, skąd dochodził głos.

Apostolu czyta, że w starożytnej Grecji i Rzymie ścięcie uważano za egzekucję najmniej hańbiącą. W czasach Bizancjum gawieź obnosiła ścięte głowy skazańców, by je publicznie wyszydzić. W Norwegii i Szwecji, należących obecnie do najbardziej cywilizowanych krajów świata, ścięcie stosowano do początków XX wieku, a w Niemczech do roku 1945. W czasach Hitlera naziści ścięli szesnaście tysięcy pięćset osób w Niemczech i Austrii. Byli wśród nich liderzy antyreżimowej organizacji Biała Róża, rodzeństwo Sophie i Hans Scholl. We Francji ostatnie ścięcie głowy odnotowano w 1977 roku! Dekapitacja była szczególnie rozpowszechniona w Chinach i Japonii. Publiczne egzekucje miały budzić strach i wymuszać posłuszeństwo. Apostolu szuka danych historycznych dotyczących współczesnej Grecji. W roku 1826 po nieudanej ucieczce ludności cywilnej i wojska z oblężonego przez Turków Mesolongi Turcy pozbawili głów wielu greckich przywódców i przesłali je w beczkach z solą do Konstantynopola. W tym samym roku Karaiskakis⁵⁴ rozkazał ściąć sturczonych Albańczyków po zwycięskiej dla Greków bitwie pod Arachową. I bliżej naszych czasów: w latach wojny domowej 1946–1949

obnoszono i wystawiano ścięte głowy na widok publiczny w miastach i we wsiach jako zdobycz wojenną.

Apostolu wraca myślą do miejsca zbrodni. Zastanawia się nad wiadomością zostawioną na lustrze. Została skierowana do konkretnych adresatów. Ku przestrodze. Jakieś obciążenie emocjonalne musiało uzbroić ręce morderców, może nienawiść. Wszystko odbyło się zgodnie z przygotowanym planem, który wykonano z niewzruszonym spokojem. Nie jest jednak możliwe, żeby taka potworność, tyle krwi i przemocy nie miało wpływu na psychikę zbrodniarzy, rozmyśla inspektor. Chyba że chodzi o wynaturzone potwory. Lecz niezależnie od opanowania, zabójcy muszą odczuwać teraz silny wewnętrzny niepokój. Niemniej z upływem czasu zaczną odzyskiwać równowagę. Wszystkie te przemyślenia wydały mu się pożyteczne. Sporządził pobieżny portret psychologiczny sprawców. Musi się spieszyć, trzeba jak najszybciej trafić na ich ślad.

Pukanie do drzwi. Komisarz Eftimiju.

– Panie inspektorze, dostaliśmy nową informację. Mężczyzna o rysach twarzy przypominających opublikowany portret pamięciowy siedzi w kafeterii w Patisji. Ma ze sobą plecak. Właściciel lokalu, który go rozpoznał, twierdzi, że mężczyzna dziwnie się zachowuje, jest niespokojny, rozgląda się wkoło, jakby się czegoś bał.

Apostolu zamyka oczy, wzdycha rozczarowany.

– Wyślijcie patrol – mówi chłodno, głosem słabym i bezbarwnym.

[54](#) Georgios Karaiskakis (1782–1827) – jeden z najwybitniejszych dowódców greckiego powstania narodowowyzwoleńczego 1821 r. Początkowo był kleftą.

32/B6

Minęły miesiące, zanim Sergidis wyruszył ponownie śladem zbójckiej bandy. W Oroposie zbójcy zamieszkali w trzech miejscach. Arwanitakisowie u naczelnika Skurtaniotisa, reszta u sekretarza gminy Melisinosa i w jeszcze jednym domu. Sergidis odnajduje domostwo naczelnika. Stary wiejski budynek. Dzisiaj w ruinie, zostały jedynie kamienne ściany, dach już się zapadł. Brzemię czasu uderzyło jak najeźdźca, burzyło i niszczyło z impetem. Z miejsca, w którym stoi, nic nie zakłóca widoku morza.

Zbójcy spędzili w Oroposie sześć dni. Na ścianach przy centralnym placu rozwiesili obwieszczenia z podpisami Takosa i Christosa. Zabronili mieszkańcom opuszczania wioski pod karą śmierci.

Sergidis przechadza się tu i tam. Pusto. Stare budynki zniszczały. Wioska odrodziła się z popiołów. Nowe, głównie letnie domy wyrosły wokół serca dawnej osady. Ale gdziekolwiek spojrzeć, nigdzie żywej duszy. Psy szczekają. Kury gdaczą. Jednak Sergidis jest więcej niż pewien. W oknach, za żaluzjami, ludzie czają się, wyczekują, niejedna para oczu go śledzi. Prawie czuje ich obecność, ich spojrzenia. Puka do drzwi, woła, nikt nie otwiera. Może strach, może trwogę, którą ich przodkowie przeżyli sto pięćdziesiąt lat temu, mają w genach. Tutejsi ludzie nie mówią wiele, nie otwierają się przed obcymi.

Robi na nim wrażenie liczba zrujnowanych kościołów na obrzeżach osady. Ożywa wspomnienie lektury. Jeńcy, zbójcy, wieśniacy, Frank Noel, pułkownik Teagenis, dawniej bojownik o wyzwolenie, obrońca oblężonego Akropolu w 1827 roku. Wszyscy razem, przemieszani, wilki i owce. W maleńkiej mieścinie, będącej świadkiem niewiarygodnej tragedii, która wstrząsnęła całym krajem. Ich duchy wciąż snują się wśród ruin. Widzi, jak Christos Arwanitakis nawiązuje przyjaźń z młodziutkim Frederickiem Vynerelem. Przygląda się im, gdy urządzają zawody w biegach i rzucaniu kamieniem wśród rozbuchanej zieleni tamtej pięknej wiosny. Wśród groszku pachnącego, maków, złotogłowiu, aspalatosu⁵⁵. Tak, widzi ich, jakby przed nim stali. Ta sama pora roku. Kwiecień. Obsypane żółtymi kwiatami krzewy aspalatosu.

Sergidis odnajduje kościółek Zaśnięcia Bogurodzicy. Odwiedzili go pewnego dnia jeńcy i zbójcy. Brama w kamiennym murze zamknięta na cztery spusty. Wspina się, przeskakuje, dostaje się na kościelny

dziedziniec jak złodziej. Popycha drewniane drzwi. Skrzypią. W półmroku czuje zapach woskowych świec i wilgoci. Po wschodniej, pozbawionej dachu stronie budowli dostrzega freski. „Oglądali malowidła, oglądali wyryte imiona i liczby. Chłopak wziął gwóźdź i wydrapał na ścianie »1870, 20 kwietnia«. A potem spojrzał na mnie i roześmiał się jak małe dziecko”, powiedział wtedy Christos Arwanitakis do jednego ze swoich druhów. Sergidis sfotografował malowidła. „Gościnność Abrahama”. O ironio... Gościnność... i rzeź jeńców!

Na pobielonej ścianie i jej łuszczących się fragmentach, na freskach i niżej, na wystających kamieniach, szuka cyfr i liter, które nieświadom swej przyszłości Vyner wyrył tu dzień przed śmiercią w Dílesi. Kolejne daty: 1771, 1773, 1777, 1792, 1844, 1873, 1880. Nie znajduje. Szkoda. Byłby to cenny dokument. Namacalny dowód krótkiej bytności pewnej młodziutkiej duszy w tym miejscu i w tym życiu. Zaprezentowałby to zdjęcie swoim studentom w audytorium. Szkoda. Tak uważa. Jakiś czas później znajdzie tekst Orlandosa⁵⁶ o średniowiecznych zabytkach Oroposu i Sikámino, gdzie wyczyta, że „malowidła ściennie pokryte są licznymi, wyrytymi ostrym narzędziem napisami, które przedstawiają w większości daty śmierci chrześcijan z Oroposu w XVII, XVIII i XIX wieku”. Sergidisowi wydaje się to wręcz niewiarygodne. Bo w gruncie rzeczy Frederick Vyner zapisał – zupełnie nieświadomie i w obecności swojego oprawcy – datę własnej śmierci, cofniętą o jeden dzień, tak samo jak przez wieki robili to dla swoich zmarłych w świątyni Zaśnięcia mieszkańcy Oroposu! Zostawił swoją pieczęć, swój podpis, zatwierdził swój koniec.

Sergidis patrzy zamyślony w dół, ku portowi, ku Skali Oroposu. Tam, w innym kościele, w Niedzielę Palmową zbójcy i jeńcy uczestniczyli razem w liturgii. Pewna kobieta, małżonka obywatela brytyjskiego, podeszła do Takosa i bez cienia strachu przed straszliwym zbójcą prosiła, by uwolnił „to dziecko”, młodego Vynera. Takos spojrzał na nią i rzekł, żeby się nie martwiła. Za parę dni chłopak będzie wolny. Potem poszli do domu Paparigopulosa⁵⁷ wraz z miejscowym wójtem, Ikonomidisem. Przy kawie i przegryzkach, między jednym a drugim kęsem, w czasie rozmowy, Takos poprosił gospodarza o pośrednictwo w rozmowach z ministrem spraw zagranicznych Walaoritisem, żeby jak najszybciej zakończyć całą sprawę.

To tu, do Oroposu, przybył Louis Gleissner, wysłannik Muncastera i rządu angielskiego, żeby odwiedzić jeńców. W raporcie z maja 1870 roku

napisał, że zrobiło na nim wrażenie „to dziecko”, Vyner. „Zwracał się do przywódców bandy po imieniu, »Takos«, »Christos«, podobnie zresztą jak do reszty łotrów. Gdy go powiadomiłem, że powiem zbójcom, by mnie zostawili na jego miejsce jako gwarancję, odmówił. »Nie, nie. Proszę tego nie robić. Nie mogę się na to zgodzić«”. Vyner chciał pokazać Gleissnerowi „wspaniałą widok na Eubeę”.

„Zaprowadził mnie do Christosa, aleśmy go zastali śpiącego. Vyner wyciągnął złoczyńcy pistolet zza pasa i zaczął się naigrawać z jego nieuwagi. A okrutny zbójca tylko uśmiechnął się na ten żarcik. Porywacze mówili o Vynerze »dzieciak«, o Herbercie »ten z długą brodą«, o de Boyle’u »Włoch«, a o Lloydzie »żonaty«”.

Dbali o jeńców jak o małe dzieci, zeznał później jeden ze zbójców.

Dniami i miesiącami rozmyślał Sergidis o „dzieciaku”, jaką się stał igraszką losu. Wspominał kościół Chrystusa Pocieszyciela w Yorkshire. I smutek jego matki. Skąd miał wiedzieć, że ta historia, życie Vynera, trwale naznaczy jego własne życie, sto pięćdziesiąt lat później.

Sergidis znowu spogląda w dół. Morska bryza docierająca aż do tego miejsca chłodzi mu twarz. Patrzy na Skalę. Stamtąd, 21 kwietnia o ósmej rano, angielski okręt wojenny Antelope skierował lufy dział w stronę Oroposu. Zbójcy nadal wyczekiwali propozycji Teagienisa. Erskine chciał im wysłać okręt Cockatrice, który wywiózłby ich na Malte, do Aleksandrii, dokądkolwiek zechcą, byleby uwolnili lordów całych i zdrowych. Tymczasem oddziały specjalne już okrążyły Oropós. Przybyły z Ftiotidy, Chalkidy, z Aten. Pierścieniem coraz ciaśniejszym.

Tsakanikas, zastępca Takosa, zostawił czujki wysoko na wzgórzu, a sam dysząc ciężko, pędził na dół. Gdzie się zatrzymał? Sergidis rozgląda się wkoło, patrzy na wierchy, ścieżki, sosny. „Kapetanie⁵⁸, oficerki nas okrążyli!”, krzyknął. Sergidis niemal słyszy szorstki głos Tsakanikasa. Tak, wyobraża sobie poruszenie wywołane wiadomością zbójcy. Idzie w stronę wzgórza. Wszędzie ruiny. I kościół św. Jerzego z wyblakłymi malowidłami w absydzie świątyni. To zapewne akropol Oroposu. Herbert chciał go odwiedzić, prosił o pozwolenie Takosa.

Rozpoczął się marsz śmiertelnej trwogi. O drugiej po południu Takos zebrał ludzi. Ruszyli. Jeńcy byli bladzi – wedle miejscowych, których mijali po drodze. Wkrótce usłyszą pospieszny oddech śmierci. Być może przeczuwali, co ich czeka. Ostatni akt dramatu. De Boyle, on zwłaszcza, był roztrzęsiony. Nerwy miał napięte do ostatnich granic, bredził. Godzinę

później dotarli do Sikámino i „zatrzymali się w najlepszym domu we wsi, u Tsewelekosa”, jak powiedział Sergidisowi pewien stary wieśniak. „Tańczyli i pili, bawili się hucznie. Podobno zdążyli się nawet skumać z miejscowymi, mieli ochrzcić dziecko”. Był z nimi Kostas Seliamis. Orlandos pisze, że panami na zamku w Sikámino byli w XIV wieku joannici, którzy – o dziwo! – także parali się zbójctwem. Podobnie jak Albańczycy z Oroposu. Ot, miejscowa tradycja.

Sergidis fotografuje dom Tsewelekosa. Pobielony, zamknięty, opuszczony. Dwupiętrowy, bogaty, piękny dom. Solidna budowla bez nadmiernej liczby otworów. Jeńców zamknięto w piwnicy. Jedyne przez maluteniczkie, osłonięte kratą okno mieli kontakt ze światem. Potem ruszyli ku Chalkutsi, powyżej Dílesi i Schimatari, ścigani jak zwierzyna. „Pradziadek ich widział, i zbójców, i lordów, jak szli ścieżką od strony Inófitá” powiedział Sergidisowi stary Tódoros Belianis.

[55](#) *Calicotome villosa*.

[56](#) Anastasios Orlandos (1887–1979) – grecki architekt, archeolog, nauczyciel akademicki. Badacz architektury greckiej. Jego prace stanowiły podwalinę badań sztuki bizantyńskiej w Grecji.

[57](#) Joanis Paparigópulos (1780–1874) – grecki prawnik, lekarz, konsul generalny Rosji w Atenach, właściciel wielkich posiadłości ziemskich w okolicach Oroposu.

[58](#) Kapetanios, kapetán – tytuł przywódcy oddziału zbrojnego za panowania Turków.

33/D6

19 kwietnia 1870

Drogi Muncaster,

Wszystko u nas dobrze. Mamy jedzenie, wodę i tytoń. Na duchu tylko nie najlepiej, bo niepewność doprowadza nas do szaleństwa. Gleissner wyznał mi w zaufaniu, że złożyłeś prośbę o powrót tutaj. W żadnym wypadku tego nie rób. Nie pozwól, żeby rząd zaniechał tej sprawy. Zbójcy się nie ugną. Pchnę parę listów przez następnego posłańca i życzę sobie, żeby pozostały zamknięte. Jeśli coś mi się stanie, wyślij je moim bliskim. Zatelegrafuj do lorda Clarendona, niech domaga się od greckiego rządu naszego uwolnienia. Uczynią to, jeśli się ich dostatecznie przyciśnie. I sam napisz albo prześlij ten list, wyjaśniając, że nie chodzi tu o zwykły czyn zbójcecki, lecz w pewnym sensie polityczny. I że udaliśmy się do Maratonu, polegając na słowie ministra wojskowości. Obawiam się, że zbójcy poprowadzą nas na północ. Jesteśmy ledwo dwie godziny drogi od Beocji. Miejsce jest piękne, ale napięcie nerwowe ogromne. Mam nadzieję, że negocjacje wkrótce się skończą. Ale też wydaje mi się, że Grecy zwlekają. Powiedz mojej matce, że czas mam ograniczony. Tylko parę słów mogę do niej skreślić. I byłbym wdzięczny, gdybyście Ty i lady Muncaster do niej napisali. Módlcie się, by Bóg miał mnie w swojej opiece.

*Szczerze Wam oddany,
F.G. Vyner*

34/A13

Każdego roku spędzaliśmy lato na Eubei – mama i ja. Na wsi, u dziadka i babci. W Prokopi. Ojciec przyjeżdżał na dwa tygodnie sierpnia. Często braliśmy niewielki namiot, wszystkie potrzebne kłamoty i jechaliśmy na biwak.

W niesamowite miejsce. U stóp góry Kandili. Strumyki, platany, sosny dochodzące do samej plaży. Dawniej wszystko to należało do majątku Ahmét Agá Franka Noela, znajomego Arwanitakisów – przez tę znajomość Frank miał później kłopoty z wymiarem sprawiedliwości. Edward Noel⁵⁹, jego ojciec, kupiwszy tę ziemię zaraz po wyzwoleniu, mógł spłacić pożyczki dzięki gęstym lasom Kandili. Już w 1835 roku wycinękę prowadzono w sposób systematyczny i zorganizowany. Drewno transportowano nad morze, do Peleki, i ładowano na statki – było potrzebne do budów w nowej stolicy. W Atenach.

Rozstawialiśmy namiot w gęstym cieniu drzew, w lesie, który odnowił się z biegiem czasu, opodał strumyka. Z otoczków budowaliśmy okrągłe palenisko, zbieraliśmy chrust i rozpalaliśmy ogień. Mama na nim gotowała. Kociołek. Patelnia. Ruszt.

Ojciec wprowadzał mnie w wielkie tajemnice życia. Uczył, jak przygotować wędkę i oprzyrządowanie, jak robić wyszukane węzły, jak przewlekać żyłkę i wyregulować hamulec, w jakiej kolejności mocować ciężarki, agrafki, haczyki. Uczył mnie wszystkich technik wędkowania – ze spławikiem i bez. A także zarzucania najdalej, jak się da. Wczesnym rankiem, jeszcze przed brzaskiem, ustawiał wędki rzędem i rzucał żyłki w morze. Wykorzystywał dziwaczne przynęty. Na potrzeby najprostszej, spławikowej wędki przygotowywał zanętę, mieszając najwymyślniejsze składniki. Zapach nie do zniesienia! Ale po chwili – cud! Ryby napływały pod nasze skały całymi ławicami. Wieczorem wykorzystywał świetliki, dzwoneczki, elektroniczne czujniki brań. I przy każdym sygnale biegł wyciągnąć zdobycz, która złapała się na haczyk. Uczył mnie też o rybach. Dennyh, przybrzeżnych, rybach otwartych wód. O labraksach, doradach, sparysomach, cefalach, morleszach, sargusach. O ich zwyczajach i pożywieniu. I jak po sposobie brania rozpoznać, co za ryba złapała się gdzieś tam, w mrocznej toni.

Tak, ojciec wiele mnie nauczył. Do dziś często wkładam dwie wędki w pokrowiec, mocuję je do motoru i ruszam na trasę Zografu–Rafina.

Godzinami wysiaduję na skałach. Myślę o ojcu i odnoszę wrażenie, że on jest przy mnie, że udziela mi rad. „Mocniejszy zestaw, synu! Grubsza żyłka! Tu będzie potrzebny paternoster, w głębi jest sporo skał, zapłacze się, przerwie. Rzuć dalej. Tak, tam, na jakieś czterdzieści metrów. Nie widzisz wodorostów, piasku?”. Gdy jest sztorm, wiele stopni Beauforta, widzę go na brzegu z wędkami castingowymi. Wygina ciało i z półobrotu – technika dyskobola – zarzuca wędkę z wielką siłą, by duży ciężarek pomknął ponad falami daleko i spadł sto, sto dwadzieścia metrów, albo i więcej, od brzegu. „Zbieraj nadmiar! Teraz trzeba cierpliwości, synu, trzeba czekać”. Często słyszę, jak mi szepcze do ucha, gdy wiatr gwizdże, a morze szumi i pieni się u moich stóp. Nawet teraz czuję na wargach sól, słony smak morza, złudzenie. Widzę go na brzegu, gdy siedzi samotnie na składanym, płóciennym krzeselku, ubrany w zieloną nieprzemakalną pelerynę okrywającą całe ciało. Obok kije wetknięte w piasek, kubek parującej kawy, papieros Rothmans w dłoni. „Trzeba cierpliwości, synu. Trzeba czekać”. Pustkowie, środek zimy, lodowaty wiatr, wodorosty skłębione na skraju plaży, niebo szare, ciężkie, łączy się niepostrzeżenie ze wzburzonym morzem. Taki był mój ojciec, takie było jego życie. Morze i wędkowanie.

W czasie tych paru dni na biwaku żywiliśmy się, rzecz jasna, wyłącznie rybami. Czymże by innym? Ryby w oliwie, smażone, gotowane, pieczone na ruszcie.

Popołudniami, gdy upał zelżał, szliśmy całą trójką w las. Na wycieczkę. Ojciec był wielkim znawcą przyrody. Opowiadał nam o insektach, o owadach brzęczących wokoło. O ważkach, chrząszczach, motylach. W dzieciństwie zbierał je i klasyfikował. Znalazłem później taką kolekcję w drewnianej skrzyni. Zjedzoną przez mole. Mówił o gadach, które pełzały pod naszymi nogami, w zielsku, po pniach drzew. O węzach, jaszczurkach, kameleonach. Znał nazwy roślin, ziół, krzewów, drzew, które napotykaliliśmy po drodze. Rzadka eubejska smagliczka, powojnik, wspaniały heban Sibthorpa, wiesiołek, dzwonki. Potrafił rozróżniać zioła, zrywał gałązki i listki na wieczorną herbatę przy ogniu. Wyjaśniał nam ich lecznicze właściwości. Wiedział, jaki to ptak fruwa w listowiu czy na niebie. Sójka, kruk, kos, rudzik, dudek, pustułka. A gdy o zmroku wracaliśmy do obozowiska, oczarowani cudami, które nas otaczały, woniami lasu, widokami, odgłosami, nawałą informacji ojca, rzucaliśmy się w morze i pluskali radośnie jak małe dzieci. O tej godzinie zmęczone

słońce chyliło się ku bezkresnym wodom. Horyzont powlekał się purpurą i fioletowym różem, żeby wszelkie stworzenie doznało ukojenia, wytchnęło po trudach dnia, po spiekocie lata.

Później, gdy czarne skrzydła zaczynały z wolna prześlizgiwać się ponad nami i nas okrywać, rzucaliśmy gałęzie do ogniska, siadaliśmy blisko płomieni i piekliśmy ryby. Ogień trzaskał, bierwiona skrzypiały, z żaru sypały się iskry. Do wrzącej w imbryku wody wrzucaliśmy zioła i każdy sięgał po swój kubek. Rozpieraliśmy się wygodnie na krzesłach, odprężaliśmy się. Wyobrażałem sobie, że jesteśmy prymitywnymi ludźmi gdzieś nad Amazonką, na równinach Ameryki Północnej, na stepach Syberii. Ojciec był szamanem i snuł niezwykle opowieści: legendy o początkach świata, o jego narodzinach, o ludziach, zwierzętach, drzewach, gwiazdach, które wisały nad naszymi głowami, o księżycu. We wszystko potrafił tchnąć ducha, wszystko nabierało sensu. Czysta magia. Bajka, którą przeżywaliśmy, była tak piękna, że czułem, jak sięgam granic szczęścia, że dalej sięgnąć już nie można. Nie można. Pogrążałem się w marzeniach.

Pewnego wieczora, miałem może z osiem lat, ojciec opowiedział mi o więzach, które dziwnym zrządzeniem losu połączyły przed laty jego rodzinę z Eubeą i angielskimi właścicielami posiadłości Ahmét Agá. Prapradziadek taty, Georgios Drakos musiał opuścić Cypr, po czym w roku 1854 uczestniczył w walkach o wyzwolenie Tesalii. Jego historię przekazywano z pokolenia na pokolenie, ustnie, z ojca na syna. Ojciec opowiadał mi o relacji Drakosa ze sławnym Takosem Arwanitakisem i o ucieczce z grupą towarzyszy po rzezi w Dílesi na drugą stronę granicy, do wciąż zajętej przez Turków Tesalii. Drakos ożenił się później w Elasonie z siostrą Arwanitakisa. A jeszcze później, gdy tureccy żandarmi zabili Takosa i gdy przestraszył się, że teraz jego kolej, zabrał żonę oraz małego synka, niemowlę jeszcze, i przedostali się potajemnie do Grecji, a stamtąd rybacką łodzią na Cypr, do Kierinii. Tata odziedziczył pistolet i jatagan Drakosa – te, które ocalił z ognia wojny. Mówił o nich z dumą. Tą bronią walczył Drakos z Turkami w powstaniu wyzwoleniczym w Tesalii. Wszystko inne, zbrojstwo, rzeź w Dílesi i kto wie jakie jeszcze inne zbrodnie, ojciec zdawał się lekceważyć lub wołał o nich zamilczeć.

Frank Noel – wyjaśniał mi ojciec wtedy przy ognisku, gdy rozkoszowaliśmy się ziołową mieszanką z mięty i szaławii – angielski właściciel posiadłości Ahmét Agá, krewny Anne Isabelli Milbanke,

małżonki lorda Byrona, był kumem Arwanitakisów. Dwaj z braci służyli u niego jako nadzorcy posiadłości. Takos często posyłał Drakosa do Noela z wiadomościami. Pewnego dnia tata też odwiedził tę posiadłość. Z ciekawości. Chciał poznać obecnego właściciela. A potomek Franka okazał się człowiekiem przyjaznym i gościnnym. Ojciec spędził u niego dwie godziny i dowiedział się wielu rzeczy o dawnych tragicznych wydarzeniach. A także o późniejszych staraniach Franka Noela, by oczyścić swe imię. I o jeszcze późniejszych latach, o zasługach Noelów dla Grecji i Cypru, o opiece nad rannymi w wojnie grecko-tureckiej w 1897 i w wojnach bałkańskich, o tym, jak Frank Noel wykorzystywał swoją praktyczną wiedzę medyczną, żeby leczyć wieśniaków. Jego potomek opowiedział ojcu parę zabawnych historyjek o operacjach, które zdarzało się przeprowadzać Frankowi, chociaż nie studiował medycyny. Opowiedział też o ściętych głowach komunistów, które wystawiano na widok publiczny w Ahmét Agá w 1949 roku, podczas wojny domowej, i o szkołach, które zbudowała jego rodzina, a nawet – w przypływie samokrytyki – o błędzie, jakim było zaproszenie do majątku w czasach dyktatury generała Patakosa, jednego z przywódców junty.

Przy ognisku, z rozgrzewającym napitkiem w dłoni, ojciec mówił i mówił bez przerwy. Słuchałem oniemiały, urzeczony. Spokojny niski głos, rytm opowiadania, pauzy. Patrzyłem na płomienie, na cienie, które skrywały jego twarz. On, szaman, wydobyty z głębin prahistorii.

Gdy kładliśmy się nocą w namiocie, we trójkę, w śpiworach, nie zasypiałem od razu, nie chciałem zamknąć powiek. Rzeź w Dílesi ożywała mi przed oczyma z całym jej okrucieństwem. Krzyki, jatagany, pistolety, krew. Na zewnątrz królowały nocne stwory. Świerszcze muzykowały, sowy hukwały, płomykówki lamentowały. Szelesty wśród liści i suchego zielska, łamiące się gałęzie. Tam, poza namiotem, był inny świat, tajemniczy, równoległy. Zalękniony odwracałem głowę i widziałem szarą bryłę ciała mojego ojca, a obok matkę. Strach malał, kurczył się, znikał. Wszystko znów było jak przedtem. Zyskiwało prawdziwy wymiar. Stabilny, solidny. Świat wracał w swoje zwykłe granice. Potwory wycofywały się w niebyt.

Ale pewnego wieczora, w czarnej ciemności bez księżyca, zastała nas przy ognisku, nieosłoniętych i bezbronnych, burza. Siedzieliśmy na krzesłach i widzieliśmy po północnej stronie, w oddali, błyskawice – świetliste linie, podobne do żył na ludzkim ciele, które rozgałęziały się i przecinały nieboskłon. Hen, daleko. Nad nami wisiało niebo czyste,

rozwieżdzone. Było gorąco. Spojrzałem na ojca. Siedział beztroski. Nie niepokoił się. „Może lepiej spakujmy się i uciekajmy”, dał się słyszeć głos matki. Przeżyła niejedną burzę nad Morzem Egejskim. Czyż nie pochodziła z Eubei? Wiedziała. „Nie, to nic takiego. Burza jest daleko. Nic takiego”, powiedział ojciec. Nalegała, dwa, trzy razy. On był uparty. Ale mylił się. Najpierw poczuliśmy wilgoć. Przenikającą do szpiku kości. Potem zerwał się wiatr i zaczął targać liśćmi płatana nad namiotem. Nawałnica rozszalała się z całą mocą. Wściekle. Lampa sztormowa zgasła. Ojciec rzucił się szukać latarki. Nie zdążył. Wiatr rozdmuchiwał iskry z ogniska i rzucał je na zeschnięte zielsko. Las mógł się zapalić. Mocowania puściły, namiot oderwał się od ziemi, po czym utknął zaczepiony o gałęzie i krzewy. Nasze rzeczy fruwały dokoła, wpadały do strumienia. Ziemia, piasek, kamyki smagały nam twarze. Nasze głosy nikły zagłuszone żywiołem, rykiem burzy. Wiatr wył. Tysiącem szeroko otwartych gniewnych ust. A później deszcz, straszny deszcz. Niebiosa rozwarły się, zamieniły w rzekę toczącą z impetem swoje wody. Na szczęście, las nie stanął w płomieniach.

Jedyne, co potrafiłem pojąć z tej apokalipsy, to dwie silne ręce, które chwyciły mnie i uniosły. Oraz to, że zmierzamy w stronę samochodu chłostani wiatrem i deszczem. Na piaszczystej ścieżce zorientowałem się, że ojciec trzyma także matkę. Niósł nas oboje jak Eneasz swojego starego ojca, Anchizesa. Wyprowadził nas bez uszczerbku z piekła. Gdy otworzyliśmy drzwi i wsiadaliśmy do samochodu, burza cichła. Byliśmy uratowani. Tak, byliśmy uratowani. Ojciec nie odzywał się długo. Siedział milcząco i obserwował ulewę na zewnątrz. Krople toczące się po przedniej szybie, wycieraczki szorujące szuru, szuru po szkle. Woda kapała z jego mokrych włosów. A kiedy wreszcie otworzył usta, wyszeptał ledwie parę słów, ledwie parę słów znalazł, nim znowu zamilkł: „Przepraszam, przepraszam. Popełniłem błąd”.

[59](#) Brytyjczyk Edward Noel kupił od osmańskiego paszy liczącą ponad 6 tys. hektarów posiadłość Ahmét Agá (dzisiejsze Prokopi) w 1832 r., gdy Turcy szykowali się do opuszczenia wyspy po trwającej czterysta lat okupacji ziem greckich. Z terenów nabytych za 10 tys. suwerenów (funtów szterlingów) pożyczonych od kuzynki, żony zmarłego niedawno lorda Byrona, Noel pozyskiwał znakomitej jakości drewno oraz magnezyt.

35/A14

Życie z nią oznaczało ekscytującą przygodę. Była kompletnie szalona. Bardziej by się nie dało. Kusila, pobudzała, wydobywała mnie z mojej skorupy. Nie mogłem się oprzeć. Faktem jest, że mi to dogadzało. Ilekroć miała dzień wolny od pracy, przychodziły jej do głowy, zwykle poprzedniego wieczoru, najbardziej zwariowane pomysły. Potrafiła zatelefonować nawet w środku nocy.

Była może druga nad ranem. Spałem w najlepsze. Głos miała lekko schrypnięty:

– Pobudka! Czekam na ciebie za dziesięć minut – powiedziała i rozłączyła się.

Myślałem, że to sen. Odłożyłem słuchawkę, nakryłem się kołdrą. Po pięciu minutach zadzwoniła znowu. Zerwałem się zdumiony.

– Nadal śpisz, kochanku doskonały! Wiedziałaś. Przewróciłeś się na drugi bok, tak? Dalej, zbieraj się i przyjeżdżaj. Szybko!

Była psia pogoda. Narzuciłem kurtkę, wsiadłem na motorower, pojechałem. Lodowaty wiatr smagał mnie po twarzy. Zaspiane oczy wreszcie się otworzyły. Senność prysła. Wszedłem szybko po schodach na trzecie piętro. Coś się stało, myślałem. Coś jej się stało.

Nic się nie stało. Miała gotowy termos z kawą. Czarną, gorzką.

– Jedziemy! – oznajmiła.

Stałem i patrzyłem z otwartymi ustami. Podeszła do drzwi, złapała za klamkę.

– Nie słyszysz, co mówię? Tutaj zostaniesz?

– Dokąd mamy jechać? – zdziwiłem się.

I wtedy usłyszałem coś niewiarygodnego.

– W góry Parnita!

Jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Przejazdźka motorowerem w góry o drugiej nad ranem!

Ogarnął mnie nerwowy śmiech. Czekala, aż minie. Bez śladu urazy. Nie okazując niezadowolenia. Była niesamowita.

– Chryste Panie, Boże jedyny, ty to mówisz poważnie! – rzuciłem.

Pokiwała głową.

– Aha...

Ironiczne potwierdzenie.

– I co będziemy robić w górach Parnita o takiej porze? O trzeciej nad ranem!

– Jedziemy, później ci powiem – wyszeptała mi do ucha głosem namiętym, pełnym obietnic.

– Jesteś kompletnie szurnięta!

– I napalona! – uzupełniła.

– Kompletnie szalona – dodałem.

Pusta droga, lekka mgła, niewielu idiotów takich jak my, mknących ulicami. Potem ciemności, wzniesienia, zakręty, wiatr, pustkowie. Słyszałem jej śpiew za plecami: *Tomaszu, siedzisz w domu? Dalej, jedziemy na Hawaje. A potem: Ach, panie Janie, w zielonej piżamie...* Wyśpiewywała coś od Sasa do Lasa, zupełny miszmasz. Śmiałyśmy się. We mgle, w wilgoci, która okrywała góry, sosny i nas. A później niespodziewanie wyrósł przed nami jakiś samochód. Warczał niemiłosiernie, oślepił nas reflektorami. Światłem żółtym. Oстрыm. Omal nie spadliśmy w przepaść, omal nie rozbiliśmy się na skałach. Cudem wyszliśmy z tego cało. A ona świetnie się bawiła, śmiała się i chichotała rozgorączkowana. Z uciechy, ze strachu, nie wiem. Może z jednego i drugiego naraz.

Dotarliśmy prawie na szczyt, gdy rozkazała:

– Stój!

Przycisnąłem hamulec, silnik ucichł.

– Tutaj! – oświadczyła.

Siedliśmy na kamieniu pod sosną. W zakątku. Znowu zaczęła nucić, niby to głosem Elli Fitzgerald.

Pennies in a stream

Falling leaves of a sycamore

Moonlight in Vermont

Icy finger waves

Ski trails on a mountain side

Snowlight in Vermont.

Ładny miała głos, zmysłowy. A gdy skończyły się słowa, zaczęła naśladować dźwięk trąbki. Tra-ta-ta... Tra-ta-ta... Ta-ta-ta-ra-ra... W dole spały Ateny. Światła migotały w wilgotnym powietrzu, gasły powoli. Partenon, Likabet, Pireus w oddali. A my na odludziu, objęci. Ta-ta-ta... Ta-ra-ra... Zmarzła. Głaskałem, rozcierałem jej ręce. Chłód, gwiazdy, szum

sosnowych igieł na wietrze. Z tyłu, gdzieś daleko, rozległ się stukot kopyt na twardym gruncie. Ciarki mnie przeszły. Przeraziłem się.

– Diabeł z kopytami! – wykrzyknęła i roześmiała się. – Cha, cha, cha! Jeleń jakiś. Nic się nie bój, kochanku doskonały!

Na wszystko miała odpowiedź. Przyłgnęła do mnie niby pąkla do skały. Odgłosy nocy w środku lasu, jej oddech, zapach, a obok gęsty mrok. I wiatr, który niósł do nas szum ptasich skrzydeł, krakania i piski w listowiu. Znowu przypomniały mi się, po tylu latach, wakacje na Eubei. Namiot, las, ognisko, burza, mój biedny ojciec.

– Tego chciałam. To chciałam zobaczyć – powiedziała i wskazała Ateny rozpościerające się w wielkiej niecce. Podniosła do ust plastikowy kubek, wypila łyk kawy.

– Rozumiem – wyszeptalem z westchnieniem.

– Naprawdę myślisz, że jestem szalona, zły wilku?

– Kompletnie – powiedziałem i pochyliłem się. Pocałowałem ją w usta. Smak gorzkiej kawy. Bez cukru. – Czerwony Kapturku... – dodałem.

Zaczęło świtać. Chciała zostać jeszcze trochę. Zobaczyć wschód słońca zalewający jak powódź miejski beton, bloki mieszkalne, góry Attyki, Morze Egejskie.

Następnego dnia po południu znowu naszła ją wena. Chciała, żebyśmy prześledzili cały bieg, od źródła do ujścia, Ilisosu, Iridanosu, Kifisosu i Bóg wie jakich jeszcze zabetonowanych od dawna ateńskich rzek. Obejrzała w telewizji reportaż i się zachwyciła. Chciała, żebyśmy szli ich śladem piechotą. Wzdłuż koryt, tych widocznych i tych podziemnych, żebyśmy pokonywali studzienki i tunele, kanały i betonowe rury, które rozgałęziają się i ciągną dziesiątkami kilometrów pod Atenami. Tajemniczymi Atenami. Od Hymetu, przez Kiesariani po Kaliteę. Żebyśmy zobaczyli i usłyszeli wodę, która jeszcze płynie. Zainspirowało ją w pewien sposób *To* Stephena Kinga, które żyło w podziemnych kanałach i studzienkach. Czytała tę książkę w ostatnich dniach i była poruszona. Groza w największym wymiarze. Postanowiła zaznać podobnej podniety, zmierzyć się ze strachem, aż po kres wytrzymałości, szukając potwora w trzewiach ziemi, w ciemności. Chciała rzucić wyzwanie samej sobie.

Nawysilałem się straszliwie, żeby ją odwieść od tego pomysłu. Byłem zmęczony, nie dawałem rady. Miała do mnie żal. Czułem lodowaty chłód, gdy na mnie patrzyła. Zgodziła się wprawdzie pójść na kawę, ale przez cały czas czytała czasopismo, które znalazła na stoliku, i się dąsała.

– Jak na pogrzebie – powiedziałem.

Uśmiechnęła się i zamiast odpowiedzieć, przeczytała na głos mój horoskop. To była jej zemsta: „Czas nieprzychylny dla spraw uczuciowych. Nie otwieraj się i nie wykonuj niebezpiecznych ruchów. Odłóż na pewien czas decyzje, które mogą wpłynąć na twoją przyszłość”. Kiedy skończyła, zaczęła się śmiać.

– Miej się na baczności, kochanku doskonały! – poradziła.

– Bzdury – skomentowałem. – Wierzysz w horoskopy?

Wbiła we mnie wzrok.

– Kto prowokuje los, ten czasem dostaje po głowie.

– Też tak uważam – odparłem.

– Coo...? – zdziwiła się.

– Ano to... – odrzekłem znacząco.

Pewnego sobotniego wieczoru namówiła mnie na wędkowanie. Nocne. Wyruszyliśmy po południu, o zmierzchu. Salamina naprzeciw, po lewej Psitalia. Zarzuciłem wędki, zamontowałem dzwoneczki na szczytówkach. Co chwila leciałem wybrać jakąś rybkę, która złapała się na haczyk. Labraks, mała dorada, parę prażm. Księżyc snuł się po niebie czerwony jak krew. A potem blady, anemiczny i w końcu biały, nieskazitelny. Jego słabe światło padało na morze i niknęło w czarnych wodach, migocząc i skwiercząc. Naprzeciwko pasmo gór na wyspie, szare. A potem świt. Drzemała. Kryształowa, spokojna, taka piękna, oparta plecami o pień tamaryszku. Z tyłu karminowe morze. Jak jedwab. Jak sztuczne. Słońce wychylało się nieśmiało, wręcz z wahaniem. Wyjąłem komórkę. Błysnął flesz. Obudziła się, znowu nieprzewidywalna, zagadkowa.

– Co ty wyprawiasz?! – wybuchnęła.

Wpadła w histerię. Pierwszy raz ją taką widziałem. Nie chciała, żebym jej zrobił zdjęcie. Wyrwała mi komórkę, skasowała fotkę, z wściekłością naciskając klawisze.

– Uspokój się... Przecież to nie zbrodnia! – rzuciłem rozzłoszczony.

Ale jej gniew był jak nawałnica. Dziki. Potężny.

– Odwieź mnie do domu! – zażądała. – Natychmiast! Teraz!

Zabrałem wędki i pojechaliśmy.

Nigdy mi nie wyjaśniła, dlaczego nie chciała tej fotografii. Bąkała coś półsłówkami. Ktoś, gdzieś, kiedyś, zrobił sobie jakiś żarcik, coś z komórką. Tyle. Zsiadła z motoru. Spojrzała na mnie spod oka, chłodna, szklana. Odwróciła się i zniknęła w bloku.

36/D7

Wieczorami siadam i czytam notatki, listy w dzienniku Muncastera, opis wędrówki zakładników, sprawozdania oficerów wojska i żandarmerii na temat rzezi w Dílesi, raporty Teagienisa z negocjacji, które znalazłem w Centralnym Archiwum Państwowym i w Archiwum Historycznym Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Szukam wzmianek o moim przodku, a zarazem wątków, które wiążą tamte czasy z obecnymi, obrazując nieprzemijającą rolę polityków, ich haniebne praktyki i nadużycia, ale też stałą ingerencję obcych sił. Nie mam złudzeń. Sergidis otworzył mi oczy. Polityka w Grecji ma zbójcki charakter. Koniec, kropka. Czytam tajną notatkę, którą w lipcu 1870 roku grecki minister spraw zagranicznych Walaoritis przekazał Erskine'owi. Z treścią notatki zapoznali się również królowa Wiktoria, angielski premier, szef dyplomacji i Parlament. Walaoritis pisze, że w czasie ostatnich osiemnastu miesięcy zanotowano sto dziewięć poważnych incydentów z udziałem zbójców i około pięćdziesięciu morderstw. Odpowiedzialnością obarcza przywódców politycznych, ich zastępców, ich lokalnych przedstawicieli. Niczego nie owija w bawełnę. Przytacza długą listę, są na niej dziesiątki nazwisk, wyjaśnia ich powiązania ze zbójcami.

Czytam też raport George'a Finlaya, filhellena i historyka osiadłego w Grecji. Według niego w roku 1870 wojsko liczyło 13 865 mężczyzn pobierających żołd. W rzeczywistości było ich dziewięć, dziesięć tysięcy, pozostali figurowali jedynie w papierach – być może już nie żyli. Ale, naturalnie, brali wynagrodzenie! Wiecznie ta sama historia. Jesteś wielka, Hellado! Finlay pisze, że z tych dziewięciu czy dziesięciu tysięcy, około tysiąca żołdaków próżnowało osiem godzin dziennie, przesiadując w kafenijach, w mundurach oczywiście. A czterystu innych było zapewne na usługach rozmaitych polityków. I to oni właśnie, jak można przypuszczać, ścigali zbójców. Wybieram fragmenty z dziennika Muncastera. Jaką rolę odegrał on w całej tej historii? Jakim był człowiekiem?

Czwartek, 7 kwietnia 1870

W hotelu jest pełno Amerykanów. [...] Na ulicach nic godnego zakupu. Brzydkie współczesne miasto z okropnym jedzeniem i okropnymi zapachami. [...] Rozmawiałem z panią Lloyd i Herbertem o zbójcach.

Anemojanis twierdzi, że nie ma żadnych zbójców, inni też mówią, że można jechać, dokąd się chce, bez eskorty.

Środa, 13 kwietnia 1870

Szliśmy wąwozem. Naprzeciwko zobaczyliśmy konia. Potem natrafiliśmy na pola pszenicy, więc musieliśmy biec, bo nic nas nie osłaniało, póki nie dotarliśmy do następnego wąwozu. Na lesistym zboczach rozpaliliśmy ogień i wysuszyliśmy buty oraz ubrania. [...]

Christos nosił zegarek lady Muncaster. [...] Widziałem, jak inny zbójca oglądał dokładnie jej perłowy krzyżyk, a jeszcze inny woreczek z perfumami i jej wysokie buty. Frederick zmienił swoje skarpety na parę jej skarpet. Posililiśmy się nieco i przyglądaliśmy się broni zbójników. [...] Spytaliśmy ich dowódcę, czy wielu ludzi zabił, a on odpowiedział: „Nie, tylko paru żołnierzy”.

Zaczynam wyrabiać sobie zdanie o Muncasterze. Był chyba najbardziej antypatyczny z piątki zakładników. Nie lubił miejscowych, bez różnicy, gdzie się znalazł. Uczył się w Eton, ale na uniwersytet nie poszedł. Służył w wojsku i brał udział w wojnie krymskiej. Nie miał pojęcia o zabytkach i historii Grecji. To była tylko moda, oczarowanie ówczesnych Anglików Wschodem. Orientalizm. Tylko raz wspomina w swoim dzienniku, że czytał jakąś książkę, *Adama Bede* George'a Eliota, czyli... Mary Ann Evans. Był właścicielem dużych ziemskich posiadłości, czas spędzał na podróżach, polowaniu, wędkowaniu, jeździe konnej. Na Akropolu, w roku 1861, próbował ukraść kawał marmuru z Partenonu. Pozazdrościł „sławy” Elginowi. Dostrzegli to strażnicy i zażądali surowo, by zostawił kamień na swoim miejscu. Traktował Grecję jak własny folwark. W tamtych czasach cudzoziemcy rozkradali starożytne pamiątki i wypełniali nimi muzea we własnych krajach. Dobrze im wygarnął Joannis Gienadios w swoich *Zapiskach*⁶⁰, wydanych kilka miesięcy po tragedii w Dílesi. A dzisiaj żądają od nas, pół żartem, pół serio, żebyśmy w ramach rozliczenia długu wyprzedali im to, co nam jeszcze pozostało. Ostatecznie źle się chyba stało, że puścili wolno Muncastera, żeby zabiegał o okup, a nie Fredericka Vynera. Szkoda.

⁶⁰ Joannis Gienadios (1844–1932) – grecki dyplomata, autor publikacji z zakresu archeologii, historii i filologii, mieszkał w Londynie. Tu mowa o pracy *Zapiski na temat ostatnich zbójcekich morderstw w Grecji*.

37/C7

Zapadł zmierzch. Późna pora. Anna wracała ze spotkania w sprawie pracy. Nagle, już w ich dzielnicy, dwie przecznice przed domem, zastygła pośrodku chodnika z głową zwróconą ku parterowi jednej z kamienic. Patrzyła z niemym zdumieniem. Przy oknie stała para ludzi przytulonych do siebie, nieruchomych, skąpanych w świetle lampy. Anna zatrzymała się może dlatego, że miała przed sobą obraz wyjątkowy, przypominający fotografię w japońskim stylu jej męża. Chłonęła go wzrokiem z twarzą markotną, zabarwioną żalem, poruszona wspomnieniem z odległej przeszłości. Mężczyzna patrzył kobiecie w oczy z wysoka – przewyższał ją wzrostem o głowę – coś do niej szeptał, potem pochylił się i pocałował ją w usta. A ona zamknęła powieki wtulona w jego objęcia. Anna poczuła bolesne ukłucie, jakby jakieś cęgi w jej wnętrzu rozwierały się, chwytaly, cięły. Ruszyła przygarbiona w stronę domu.

38/B7

W Wielki Piątek, 21 kwietnia 1870 roku, zbójcy opuścili Sikámino i skierowali się na północ, chcąc dotrzeć jak najbliżej granicy. A potem schronić się w Agrafie⁶¹. Wzięli jako zakładników trzynastu wieśniaków. Dla bezpieczeństwa, jako ludzką tarczę. Podzielili się na dwie grupy. Jedna, z Takosem na czele, ruszyła do Schimatari. Druga, pod wodzą Christosa Arwanitakisa, w stronę Dílesi. Wyznaczyli sobie miejsce spotkania, jak tylko wywiną się z biedy, po tureckiej stronie. Grupa Takosa pokonała wezbrane wody Asoposu, ale wkrótce natknęła się na konny oddział wojska dowodzony przez podporucznika Manusosa. Padł pierwszy strzał, chyba wskutek napięcia i zdenerwowania. Rozgniewał się herszt zbójców. „Naprzód! Ognia!”, rzucił feralny rozkaz, rozglądając się niespokojnie zezowatymi oczyma.

Sergidis i stary Tódoros Belianis idą w dół ku miejscu, gdzie rozegrała się bitwa, między Oroposem a Dílesi. Idą ścieżynkami, kozimi szlakami. Kilkaset metrów. „Tera jest inaczy. Drzewiej las tu był, strumienie, nie dało się przemieść. O tam, między sosnami ich ostrzelali, ze statku”, powiada Tódoros. Magnetofonik zapisuje niski głos, charakterystyczną wymowę starca.

Sergidis wyobraża sobie zgiełk i zamieszanie, rozpacz i przerażenie jeńców. Trzynastu wieśniaków uciekło w zamęcie. Ale obcokrajowcy się bali. Zostali do końca, złączeni niewidzialnymi więzami z oprawcami. Zawierzyli im własną wolę i pragnienia, ich los wplótł się w los zbójców. Owce prowadzone na rzeź. Struchlali, z szeroko otwartymi oczyma, stali na drodze śmierci, która pędziła ku nim, potrząsając kosą.

Zbójcy zabili lordów. Na samym końcu Fredericka Vynera. Siedmiu zbójców, wśród nich Christos Arwanitakis, padło od kul żandarmów i żołnierzy. Siedmiu pojmano, grupie kolejnych siedmiu – pod wodzą Takosa – udało się uciec. Dwa dni później przekroczyli granicę.

Żandarmi obcięli rozbójnikom głowy i ułożyli je jedną obok drugiej, co uwiecznił Ksenofón Watis. Ze zdumieniem rozpoznał głowę Christosa Arwanitakisa, który ledwie przed trzema dniami odwiedził jego zakład. „Zdjęcie chcę, żebyś mi zrobił!”. Część fotografii Watis sprzedał za wyśrubowaną cenę angielskiemu periodykowi „The London Illustrated News”, pozostałe krążyły tu i tam. Zdjęcia dotarły do Clarendona, ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii. A ten wysunął przypuszczenie,

że na zbójcach dokonano egzekucji, aby nie wyjawili prawdy. Niektóre gazety zastanawiały się, czy to rzeczywiście głowy złoczyńców, a nie żołnierzy, których poświęcono, by zamknąć im usta, by rząd mógł triumfować, że zlikwidował zbirów. Gienadios dla odmiany zawarł w swoich *Zapiskach* etnologiczne i fizjonomiczne spostrzeżenia mające wykazać, że zbójcy byli słowiańskiego pochodzenia! W gazecie „Mellon” Sergidis znalazł ogłoszenie, w którym Watis powiadamia, iż ma w swoim posiadaniu fotografie:

- *zamordowanych Herberta i Lloyda w cenie 4 drachm w kraju i 5 za granicą;*
- *trzech ujętych, rannych zbójców wraz z towarzyszącymi im żołnierzami 4 dr. w kraju, 5 dr. za granicą;*
- *tych samych zbójców, pojedynczo, w małym formacie 2 dr., 2,5 za granicą.*

Głowy przewieziono w workach do Aten i wystawiono na widok publiczny na Polu Aresa – żeby lud mógł „opluwać i lżyć obmierzłych złoczyńców” – w tym samym miejscu, gdzie później zostaną zgładzeni ich pojmاني towarzysze. W ciągu paru dni tysiące ateńczyków obejrzało głowy smażące się na słońcu, odrażające i potworne – świadectwo surowej kary dla zbójców, ale także bestialstwa obu stron.

Wcześniej głowy przewieziono do Schimatari, jeszcze zanim dotarły do Skali Oroposu, skąd popłynęły statkiem do Pireusu. „Myła je u źródła wraz z innymi staruszkami moja praprababcia, Konstancyjna, która miała wówczas sto trzy lata. Widziała je także moja babka”, powiada stary Tódoros, sam prawie stulecie, przywołując Sergidisa do rzeczywistości. Wokoło drzewa, niżej, w dali, morze. Nic nie zostało z tamtego pandemonium, ze strzałów, z dymu, tupotu stóp i kurzu, nawoływań, okrzyków bólu. Nic. Została tylko ogłuszająca cisza, nieruchoma, czająca się na pustkowiu.

Tak, przeszukując swoje archiwum, Sergidis przypomina sobie całą wędrówkę: trasę, osoby, wsie, miejsca. Ogląda fotografie. Pikiermi, Pendeli, Oropós, Sikámino, Dílesi. Mapę z wytyczoną marszrutą zbójców i ich ofiar. Zdjęcie w formacie *carte de visite* – wykonał KSENOFON WATIS Z ATEN. A później z teczki wypada zdjęcie kościoła Chrystusa Pocieszyciela w Newby Hall w Yorkshire na północy Anglii. Pojechał tam na krótką wycieczkę w trakcie pisania doktoratu na uniwersytecie w Edynburgu. Zwiedzanie z przewodnikiem pałacu i ogrodów słynnego

Newby Hall. Spacerując po parku w Skelton, natknął się na gotycki kościół. *Christ the Consoler*. Gdy przeczytał napis na marmurowej tablicy przy ołtarzu, zdumiał się i zamyślił. Wtedy właśnie dowiedział się o rzezi w Dílesi. Kościół wzniesiono dla „uczczenia pamięci Fredericka Vynera, zamordowanego przez zbójców w Grecji w 1870 roku”. Miał zaledwie dwadzieścia trzy lata, tyle samo, ile wówczas Sergidis. Lady Mary Vyner dysponowała pieniędzmi zebranymi na okup oraz kwotą odszkodowania, którą otrzymała po zabójstwie syna. Odpowiedzialnym za budowę był słynny wiktoriański architekt William Burges. Prace zakończono w roku 1876. Kościół, wzorowany na średniowiecznych świątyniach francuskich, otoczony jest kamiennym murkiem i wysokimi, ponad stuletnimi bukami. Ich czubki niby krzyżowym sklepieniem wbijają się w niebo. Wiatr szepcze w zielonkawych liściach, ptaki szczebioczą i śpiewają schowane w gałęziach. Rzeczywiście spokojne miejsce na wieczny odpoczynek dla młodego Fredericka. Znajdujący się w kościele napis wyryty gotyckimi literami na polecenie lady Vyner głosi: „Jeden jest Bóg, jeden też pośrednik między Bogiem a ludźmi, Chrystus Jezus, który wydał siebie samego na okup za wszystkich”.

Sergidis zaciekawiony, zmotywowany wnikliwością historyka, zaczął szukać informacji o Fredericku Vynerze. Przystudiował jego tragiczne dzieje, historię rzezi w Dílesi. Odkrył, że jego siostra, lady Henrietta Vyner, dla której stracił głowę Christos Arwanitakis, ufundowała drugi kościół ku czci brata, St. Mary's, którego budowę ukończono w 1878 roku i który także zaprojektował William Burges. Uroczystości pogrzebowe Fredericka celebrowano z udziałem wąskiego grona najbliższych w rodzinnej kaplicy Vynerów w Gautby w hrabstwie Lincolnshire. Sklepy i lokale w pobliskim miasteczku Ripon były tego dnia nieczynne, okiennice domów zamknięte, dzwon katedry bił żałośnie. W pogrzebie uczestniczył Gleissner. Muncaster nie został przyjęty tak, jak się spodziewał. Szedł w kondukcje żałobnym, lecz krewni Fredericka spoglądali na niego z wrogością. Zastanawiali się wręcz, czy zezwolić mu na udział w pogrzebie. Było jasne: niektórzy widzieli w nim czarną owcę. Fredericka pochowano na cmentarzu w Gautby, gdzie spoczywają prawie wszyscy jego przodkowie. „Patrzyłem na napis FGV ze wzmianką, że został zamordowany przez zbójców opodal Aten – wspomina Muncaster – póki nie zniknął nam z oczu, póki grób nie zamknął się nad jednym z moich najukochańszych przyjaciół”.

[61](#) Agrafa – kraina historyczna i masyw górski w centralnej Grecji, stanowiący południowe przedłużenie pasma gór Pindos.

39/A15

Najsilniej zaatakowały gazety „The Wall Street Journal” (1000 publikacji), „Financial Times” (1300 publikacji) i naturalnie niemieckie „Frankfurter Allgemeine Zeitung” oraz „Bild”. Mogłoby ich zabraknąć? Greków, wszystkich bez wyjątku, określano mianem „leni”, „ludzi zdeprawowanych”, „oszustów”, „uchylających się od płacenia podatków”, „niewdzięczników”. Grecję zwano „krajem niegodnym zaufania”, demokrację grecką – „wydmuszką”. Niemiecki „Zeit” rozpisywał się o głośnych greckich oszustwach, utraconej wiarygodności, o przekrętach. I szczełał: „Czemu mamy płacić za Grecję? Sama jest sobie winna! Nie chcemy Grecji pomagać”. „Bild” zastanawiał się, czy Grecja nie powinna sprzedać Akropolu i wysp, żeby spłacić długi, a czasopismo „Der Spiegel” w satyrycznej ilustracji przedstawiło wizerunek monety euro na trumnie przykrytej grecką flagą. W lutym 2010 roku na okładce „Focusa”, wyraźnie adresowanej do Greków, znalazła się Afrodyta z Milos pokazująca środkowy palec. A w maju – z dłonią wyciągniętą w żebraczym geście. W telewizji niemieckiej emitowano programy satyryczne naruszające dobre maniery i wykraczające daleko poza granice jakiegokolwiek poprawności, obrażające grecką kulturę poprzez poniżające porównywanie Grecji z Turcją oraz wzmianki o długotrwałej osmańskiej okupacji.

Ukazało się też wiele artykułów zawierających groźby, publikacji agresywnych, pogardliwych, obraźliwych dla Grecji i Greków, utrzymanych nierzadko w duchu etnocentrycznego bełkotu.

W szczycie kryzysu, w roku 2010, opublikowano 57000 tekstów prasowych na temat Grecji i Greków. W tym 6200 brytyjskich, 5600 niemieckich, 5100 chińskich, 4700 francuskich i 3600 amerykańskich. Istna histeria!

40/C8

Apostolu nie ma osobowości typowego policjanta. Wyjątek od reguły. Zbyt uprzejmy jak na glinę. Sergidis ocenił go właściwie. W przeciwieństwie do bohaterów powieści kryminalnych – wielkich sław, co to raz-dwa rozwiążą każdy problem, niczym matematyk codzienną porcję równań, z metafizyczną bez mała intuicją – Apostolu był przykładem przeciętnego człowieka i przeciętnego policjanta.

Nie miał szóstego zmysłu charyzmatycznego detektywa, nie był ani gwiazdą, ani zatwardziałym kawalerem, nie pił, nie rozwalił do cna rodzinnego życia – przynajmniej na razie. Był natomiast przesadnie pracowity i ponad wszystko stawiał obowiązek. Służbę traktował jak misję, co stanowiło jego wielką zaletę.

Zastępca komendanta zwrócił na niego uwagę już dawno, gdy Apostolu był zwykłym policjantem, a tamten zwykłym inspektorem. Pracowali razem w wydziale interwencji. Apostolu nigdy nie zapomni, jak bardzo wspierał go wówczas Korkódelos we wszystkim i wobec wszystkich. Obaj mieli wiele do stracenia, ale się nie poddali.

Apostolu jeździł wtedy na patrole. Rutyna, nuda. Narkomani, kieszonkowcy, okradzione kioski, włamania do mieszkań. Jechali, dokąd ich wezwano. Młody był jeszcze, dwa, trzy lata po akademii policyjnej.

Pewnej nocy, dobrze po dwunastej, radiowóz przeciął ulicę św. Konstantyna. Apostolu siedział na tylnym siedzeniu. Z przodu starszy sierżant i kierowca. „Skreć tutaj!”, powiedział nagle sierżant i samochód wjechał w ciemny zaułek. Stare, opuszczone, wałące się domy. Ruiny prawie. Padało, mokra jezdnia. Na nawierzchni odbijało się w kałużach anemiczne pomarańczowe światło. Samochód się zatrzymał. Warczał niewyłączony silnik. „Ty zostaniesz, Apostolu!”, rozkazał sierżant. Nie powiedział dlaczego, Apostolu nie pytał. Poprawił się na siedzeniu i patrzył przed siebie, marszcząc brwi. Domyślał się, że coś jest nie tak. Pozostali dwaj wysiedli. Szli przed siebie, słyszał, jak chichoczą, zniknęli w ciemności. Po chwili z ruiny obok wysunął się cień. Bez wątplenia typ nie miał dobrych zamiarów. Trzymał coś, co lśniło w mroku. Pistolet?

W umyśle Apostolu odezwał się alarm. Czuł pulsowanie adrenaliny w całym ciele. Coś było nie tak. Sierżant nic nie powiedział. Tajemna misja? A może zastawiono na nich pułapkę. Może byli w niebezpieczeństwie. Nie zastanawiał się wiele. Przeskoczył na miejsce kierowcy, chwycił kierownicę, ruszył, włączył reflektory. Opony

zapiszczały. Wtedy zrozumiał. Zobaczył ich. Przy pojemnikach na śmieci. Jak w teatrze. Światła skierowane na głównych bohaterów, dobrze widoczne twarze. Taki pomysł reżysera. Sierżant trzymał w dłoniach kopertę, liczył. Podejrzany typ badał zawartość małej paczuszki. Światła radiowozu ich oślepiły. Apostolu zobaczył zdumienie, panikę na twarzach. Typ wycelował pistolet w jego stronę, gotów nacisnąć spust. Apostolu czekał na kulę uderzającą w przednią szybę. Schylił się. Sierżant podniósł rękę, coś krzyknął. Widać było otwierające się i zamykające z furją usta. Nieznajomy opuścił broń, rozejrzał się i czmychnął w ciemność z paczuszką pod pachą. Tak, wtedy Apostolu zrozumiał. Zamarł.

Pozostali dwaj podeszli do niego. Wściekli.

– Co cię napadło? – wrzasnął sierżant.

– Myślałem... myślałem, że... jesteście w niebezpieczeństwie. Facet miał broń i...

– Ty już lepiej nie myśl! Facet jest informatorem policji. Miał nam o czymś powiedzieć. Co sobie wyobrazasz, na zatłoczonej ulicy to się odbywa?

Wsiedli do radiowozu. Przez następne pół godziny krążyli bez celu po ateńskich ulicach. Nie zamienili ani słowa. Dwaj z przodu źli, nabzdyczeni. Raz tylko się do niego odezwali. Zatrzymali się przy kiosku. Głos sierżanta złagodniał.

– Apostolu, polecisz kupić paczkę papierosów? Marlboro Light – wetknął mu w rękę tysiąc drachm. – Ja tymczasem uzupełnię trasę w raporcie.

Nic więcej. Poszedł. Przeklinając w duchu. Co u diabła? Służącego ze mnie robią? Stał przed witryną kiosku, a kątem oka obserwował radiowóz. I zobaczył. Sierżant odliczył plik banknotów i podał kierowcy. Ten włożył je do kieszeni na tyłku. Apostolu nie był głupi. Zrozumiał. Plik banknotów.

Jeszcze raz pojechał z nimi na patrol. Potem przerwali go do innej załogi, do innego radiowozu. Sierżant przyłożył do tego ręki. Apostolu był pewien. Nie miał spokoju. Dręczyła go ta sprawa. Nie powinien siedzieć cicho. Zaczął sprawdzać na tablicy dyżury i skład patroli. Zwracał uwagę na konspiracyjne spojrzenia, urywane rozmowy. Nie trzeba wielkiej filozofii. Wszystko trzymało się kupy. I pewnego wieczoru, gdy nie miał służby, pojechał za nimi własnym samochodem. Znowu skręcili w ten sam zaułek, zatrzymali radiowóz, wysiedli.

Dwa razy, gdy tamci mieli służbę, jechał w to miejsce wcześniej i czekał. Gdzie się ukryć? Rzut oka wokoło. Wskoczył do pojemnika na śmieci, przykrył się kartonami i torbami pełnymi odpadów. Rozwiązanie może nie najsprytniejsze, ale i wybór niewielki. W kieszeni dziennikarski dyktafon. Nikt się nie zjawiał. Ale za trzecim razem, dżdżystym wieczorem, przyjechali. Światło reflektorów uderzyło w pojemnik. Słyszał zbliżające się kroki, rozpoznał głosy. Nacisnął „nagrywanie”. I stało się. Miał ich w ręku. Dostyc kłamstw.

Odczekał pół godziny, dla pewności. Kot hycnął między śmieci w poszukiwaniu jedzenia. Apostolu aż podskoczył ze strachu – kot też się przestraszył i uciekł w popłochu. Wyszedł z pojemnika. Śmierdział. Spleśniałe warzywa, zgniłe jaja. W domu wziął gorący prysznic. Potem nacisnął przycisk i odsłuchał nagranie. Całą noc nie zmrużył oka. Ich głosy brzmiały mu w uszach, w kółko ten sam dialog. Co robić? Wsypać kolegów? Był w rozterce, wahał się między gniewem a innymi racjami. Robił sobie wyrzuty. Przeklinał chwilę, w której postanowił wdać się w tę brudną sprawę. Ale teraz... Teraz nie mógł się wycofać. Nie mógł złamać przysięgi. Raz to zrobisz, to cię potem zeżre ten potwór, wessie, nie ma odwrotu.

Dwa dni bił się z myślami. Przeżywał męczarnie. Iść do przełożonego? Nie znał go dobrze. A jeśli i on jest uwikłany w tę historię? Czuł, jak mu się w brzuchu obraca zwój drutu kolczastego. Aż wreszcie... Przemierza korytarz ciężkim krokiem, niezdecydowany, zalękniony. Bierze głęboki oddech. Puka do drzwi. Ręce mu się trzęsą. Opowiedział wszystko Korkódelosowi. Dał mu do przesłuchania nagraną rozmowę.

Korkódelos odchylił się na oparcie krzesła zaszepiony. Myślał chwilę. Potem wstał, podszedł bliżej. Apostolu się spłoszył. Co on...? Ta dziwna blizna na policzku. Tymczasem Korkódelos wyciągnął rękę, uścisnął dłoń policjanta.

– Gratuluję, Apostolu. Wierzę w to, co usłyszałem, polegamy na twojej rzetelności. Zajmiemy się tym. Nie ma dla nich miejsca w policji greckiej. Stajnię Augiasza trzeba oczyścić. – Milczał chwilę. – Zostaw to mnie. Na razie nic nikomu nie mów. Zbadam sprawę osobiście. I porozmawiamy ponownie.

Gdy otworzył drzwi i wyszedł, poczuł bezbrzeżną pustkę. Kompletna cisza wokoło, świat przestał istnieć, zniknął. Lodowaty chłód. Musiało

minąć parę minut, nim doszedł do siebie. Posiedział trochę przy swoim biurku, skołowany. Potem pojechał na patrol.

Dni mijały i nic się nie działo. I znów zaczął się zastanawiać, czy Korkózelos nie był zamieszany w sprawę, może próbował ją wyciszyć. W końcu wręcz w to uwierzył. Nawet podjął decyzję co do następnych kroków. Pominie hierarchię, stawia się osobiście przed komendantem albo wyśle do niego pismo.

Jednak jego ocena sytuacji okazała się błędna. Tydzień później Korkózelos wezwał go do swojego gabinetu. Zbadał problem. Znalazł nadmiernie wysokie rachunki, leżał przed nim wydruk połączeń telefonicznych. „Miałeś rację, Apostolu!”, rzekł. Sprawa ruszyła z miejsca. Następnego dnia w telewizji wrzało: „Policjanci złamali przysięgę, układ z handlarzami narkotyków”. Policjantów aresztowano. Rolę Apostolu ujawniono. I wtedy... wtedy zaczęły się kłopoty. Oszczerstwa, pogłoski, anonimowe donosy. A to niby spóźnia się na służbę, a to nadużywa władzy. Śmieszne rzeczy. Tego samego doświadczał Korkózelos. Ktoś szepnął coś przełożonym i jeszcze wyolbrzymił, przesadził, nakłamał. Ci dali się nabrać. Wściekli się, niech polecą następne głowy. Wzięli się za badanie oskarżeń, absurdalnych oskarżeń. Wkrótce dowiedziono niezbitcie, że wszystko było ukartowane. Ukartowane w najgorszym stylu.

Mimo to Apostolu nadal przeżywał trudne chwile. Koledzy z wydziału przestali się do niego odzywać. Nawet „dzień dobry” mu nie mówili. Stronili od niego. Parę razy grożono mu, odbierał głucho telefony w środku nocy. Raz telefon obudził Annę. Przestraszyła się. Zaczęła wypytywać, chciała wiedzieć. Powiedział. Przytuliła go. To tylko zawierucha. Minie. „Postąpiłeś słusznie!”, uznała. Korkózelos wspierał go we wszystkim. Apostolu zeznawał w sądzie. Okazało się, że nie chodziło tylko o sierżanta i kierowcę. Byli i inni. Dostali wyroki, poszli siedzieć.

41/D8

Zamykam oczy. Podróżuję w czasie. Znowu ich widzę, wędrujących po pustkowiach. Próbuję odtworzyć ich historię.

Księżyc stał okrągły i jasny nad szczytami, postanowili więc maszerować dalej bez opóźnień i postojów, by jak najszybciej dotrzeć do Oroposu. I naturalnie, przez całą drogę Christos Arwanitakis myślał o lady Henriecie Vyner. Kolejna stracona szansa. Sam się sobie dziwił, jak wpadł w jej niewidoczne sieci. Jakie czary rzuciła na niego ta Angielka? Tak dotkliwego zniewolenia nie odczuł jeszcze nigdy. Nawet wówczas, gdy go żandarmi w jego wiosce ujęli i oćwiczyli, a potem tropili, gdy uciekał ranny.

Ledwo parę słów zamienili z Drakosem po drodze. Każdy był pogrążony w swoich własnych myślach. Milczący i ostrożni, bo może gdzieś zasadzili się na nich żandarmi. I gdy tak szli, Christos Arwanitakis zamknięty w swojej ciszy, we władzy namiętności, tworzył powoli w myślach plan i w zaślepieniu, w naiwności, marzył o innym świecie, innym życiu, całkowicie odmiennym od tego, które znał do tej pory. I postanowił: z nastaniem dnia zacznie od początku. Bez dwóch zdań. Nowy dzień będzie pierwszym dniem jego nowego życia.

W miarę jak zbliżali się do Oroposu, idąc przełęczami, ścieżkami ledwo widocznymi, nieznanymi, Christos nabierał pewności, że postanowienie powzięte. Ostatecznie i nieodwołalnie. Innej drogi nie było. I czuł, że coraz lżejszym krokiem, uskrzydłony zmierza ku swemu zjawiskowemu szczęściu. A co jeśli... Jeśli owa chłodna Angielka, która go nigdy nie widziała i która go pewnie nawet nienawidzi, nie zechce pójść z nim przez to nowe, wymarzone życie? Owszem, i taka myśl przyszła mu do głowy. To zresztą było najbardziej prawdopodobne. Ale nawet gdyby tak było, spróbuje ją przekonać, by zmieniła zdanie. A jeśli nadal nie będzie chciała, ucieknie się do tego, co potrafi najlepiej. Porwie ją – azaliż nie jest zbójcą? – a potem przejdzie przez granicę i zabierze ją do swojej wioski w Agrafie. Tam zamieszkają razem, założą rodzinę, on porzuci zbójectwo. A gdy sprawa przycichnie... wtenczas... Tak, wiedział, że go nienawidzi, że nienawidzi tych dzikich miejsc i ich dzikich mieszkańców, że potrafi żyć tylko w swoim cywilizowanym świecie. Ale to było bez znaczenia dla Christosa Arwanitakisa.

A Drakos? Od chwili, gdy Christos zaczął go wypytywać, tam, w kafenijo Wschodu, o ojczyznę, odnosił niejasne wrażenie, że jakiś robak zakradł się do jego wnętrza i toczy go i draży, wyżera mu wnętrzności. Miał złe przeczucia... ta historia z lordami, próba sił z żandarmerią, wojskiem, państwem całym, z obcymi mocarstwami. Tak, od dawna wracał myślami do ojczyzny. Tęsknił za matką i ojcem, za wioską, za cytrynowymi drzewami, za wodą, co spływa taka chłodna z gór Pendadaktilosu i nawadnia gaje. O tej porze roku, wiosną, pewnie już się rozwinęły cytrynowe kwiaty... I w tym momencie, niesamowicie, doszedł go ich upojny zapach. Wziął wdech głęboki i dusza po brzegi wypełniła się tamtym dalekim rajem. Wyobraził sobie, że znów stoi pomiędzy drzewami swego cytrynowego gaju, oddycha ich wonią i nocną rosą, widzi księżyc, co wschodzi ponad morzem Kierinii, by oświetlić leżący naprzeciw masyw Pendadaktilosu. I... mój Boże, jakby ulatywał, zwiewny, w księżycowej poświacie, ku szczęściu. Strony rodzinne... Pogrążył się w obrazach, wspomnieniach, które zamknięte miał w sobie lat tyle i nagle... nagle, gdy tak szli z Arwanitakisem, poczuł, że go dotyka cień jakiś, chwyta go ręką kościstą, wstrzymuje. Odwrócił się przerażony, ujrzał ją i poblądł. „Synu...” usłyszał szept lekki jak szum wiatru, stanął. Spojrzał ku niej i w świetle księżyca zobaczył twarz matki, starą, pomarszczoną, lecz słodką, nadal taką słodką i zasmuconą, jaką znał i jaką zachował w pamięci od tamtego dnia ostatniego, gdy matka zamknęła go w objęciach, a potem rozwarła ramiona, by pozwolić mu odejść, iść na wygnanie. Widział nawet jej zmarszczki i łzy płynące z oczu, rzeźbiące bruzdy na policzkach. Zamarł. Miał ulotne wrażenie, że ona znów zwraca się do niego, jak dawniej, gdy był małym dzieckiem, jego zdrobniałym imieniem. „Uważaj, Jorgaki, uważaj, moje dziecko...”. Poczował ucisk w gardle. Szloch wydobył się z głębi jego piersi i potoczył w noc, ku wąwozom, wił się jak dym i unosił, unosił wysoko aż do nieba, hen, do księżyca i oplatał go niby mglista poświata. „Mamo...”, wyszeptał zduszonym, łamiącym się głosem.

– Mówiłeś coś?

– Co?

– Mówiłeś coś? – pytał Christos Arwanitakis idący kilka metrów z przodu.

– Nie!

– Zdało mi się, że słyszałem...

– Nie.

– Żwawiej. Zostajesz w tyle. Zmęczonyś?

– Nie.

Gdy się zrównali, powziął już i Drakos swoje postanowienie. Że jeśli wyjdzie cało z tej historii, jeśli mu się uda, to przysięga, przysięga na własną matkę, że wsiądzie pewnego dnia na statek i wróci w rodzinne strony z nadzieją, że jeszcze zostanie przy życiu starych rodziców.

Szli dalej w milczeniu, jeden obok drugiego, dwa cienie, jak zjawy pośród nocy, każdy pogrążony we własnych myślach. Zdecydowani odmienić swój los i swoje życie, każdy z osobna i każdy w sekrecie. Słyszeli jedynie własne kroki, stukot i szuranie po ziemi tsaruchów, szmer osypujących się spod ich nóg kamyków, szelest gałęzi, które odgarniali, przechodząc i, od czasu do czasu, odgłos jelenich racic, odległe wycie oraz dochodzące z zagród na okolicznych zboczach beczenie.

W pobliżu Oroposu zaczęli dostrzegać rozproszone, ukryte po jarach ognie. Wyłowili odgłosy rozmów i rżenie koni. „Żandarmi”, wyszeptał Christos. Weszli w gęstwinę lasu i dalej ciągnęli dzikimi, kamienistymi ścieżkami. Doszli na skraj wsi, gdy rozległo się pianie kogutów. Wtenczas napotkali Liorisa, który stał na straży. Rozpoznali się wzajem. „Miej się na baczności, pełno pagoniarzy dookoła”, powiedział mu Christos.

Rano, gdy nieco odpoczęli, a wioska się rozbudziła, byli już na nogach. Takos szukał brata. I chociaż rozgniewany jego samowolnym postępkim, uścisnął Christosa z braterską miłością, pokazał, że cieszy się, widząc go znów blisko siebie. Wróciła zagubiona owieczka. Brat marnotrawny. Tak, wie o żandarmach, cały wczorajszy dzień obserwowali, jak się kręcą, ale póki mają lordów, niczego się nie obawia. Na razie trzymają się z daleka. Nie zbliżają się. Ma zresztą glejt w rękę. Śmiał się z historii z Krokidasem, zna go. Kiedyś sam był zbójcą, a teraz – oficer żandarmerii, prawa ręka ministra. Nie musiał Christos uciekać, Krokidas to znajomy, nie trzeba się go bać. Pewnie chciał mu coś powiedzieć, może ochronić przed innymi. Nie, nie wywęszyli go. Był tam bezpieczny. Ma Takos silnych przyjaciół, obroniliby go. Posłał mu wiadomość ot tak, bo chciał, żeby szybko wracał i żeby uważał. Sprawa z lordami w każdej chwili może się zakończyć, chciał, żeby i on był na miejscu, gdy dostaną haracz. A listem niech się nie przejmuje. Pchnie go dzisiaj jeszcze przez umyślnego, człowieka zaufanego, jednego z żandarmów Teagienisa.

„A co z tą Angielką?”, zapytał nagle. Christos wahał się chwilę. Takos zobaczył smutek w oczach brata. Dostrzegł w nich jednakże i coś jeszcze,

co go zaniepokoiło. Nie, nie udało się jej spotkać, nawet z daleka nie zdołał jej zobaczyć. Wszystkiemu winien ten „dupek Krokidas”.

Takos roześmiał się i pozwolił bratu odejść. A potem przywołał Tsakanikasa, swego przybocznego. I z posępną twarzą powiedział: „Na krok go nie odstępuj. Coś knuje, nie oszuka mnie. Rozum mu odebrała ta Angielka. Całkiem dla niej oszalał”. Tsakanikas stał się więc cieniem Christosa. I kiedy koło południa poszedł Christos do lordów, do tej ich mizernej celi, i wyprowadził na zewnątrz Vynera, żeby pogadać „na osobności”, obserwował go z ukrycia, uczepiony wysokiego ogrodzenia. Był z nimi też Anemojanis, który pełnił obowiązki tłumacza.

Jakieś pięć minut Christos szeptał coś Vynеровi skrycie, a potem klepnął go przyjacielsko po plecach i odprowadził do komórki w ziemnej piwniczce. Zamknął drzwi na klucz, zostawiając go z resztą trzódki, i odszedł. Wtedy pospieszył Tsakanikas. Diabelski pomiot. Okrutnik. Gwałtem wyciągnął Anemojanisa na zewnątrz i zażądał wyznania tajemnicy, o której szeptali tyle czasu. A gdy tamten odmówił, nie chciał gadać, bo go niby Arwanitakis zaprzysiągł, bo mu „rozkazał milczeć”, Tsakanikas obnażył poźółkłe spiczaste zębiska i zarechotał – jak to tylko sadyści i oprawcy potrafią. Straszyl go, naciskał, aż w końcu wyjął handźar i przyłożył go Anemojanisowi pod żebra, dźgnął lekko, zbliżył swe wybałuszone oczy do twarzy tamtego i zaczął grozić. „Zarżnę cię jak prosię, a potem przewieszę na haku na sośnie i zostawię sępom na pożarcie”, powiedział ochrypłym głosem. Dziki był Tsakanikas, najdzikszy spośród zbójców, gorszy od Arwanitakisów. I szkaradny, odrażający. Oddech mu cuchnął czosnkiem i gorzałką. Kiedy więc zgrzyt zębów Tsakanikasa zabrzmiał mu w uszach, Anemojanis zadrżał, pobladł jak płótno. I pękł.

Wyznał, że po zapadnięciu zmroku Christos zamierzał zabrać potajemnie jego oraz Vynera, i pod osłoną lasu dotrzeć do Aten. Chciał oddać Vynera siostrze.

Takos jakby się w dziką bestię zamienił. Zażądał, by mu przywiedli Christosa. „Tak to? Poza moimi plecami? Ośmieszyles mnie w oczach moich druhów. Pośmiewisko ze mnie robisz od pierwszego dnia, gdyś do nas dołączył tam, w Gardiki. Już wtedy powinienem był cię przegnać, wyprawić na powrót do Agrafy. Zabiję cię, psiamać, własnymi rękami, nie bacząc, żeśmy jednej krwi! Żmiję hoduję na własnej piersi! Nie zdzierzę dłużej tego, co wyprawiasz. Ostatni raz to było. Więcej litości nie będzie.

Utłukę cię własnymi rękoma. Ze mną żeś jest, czy z moimi wrogami? Takiś to mężczyzna, u licha?! Wioska gore, baba włosy trefi. Patrzcie chwata! Honoru nie masz, że się za kiecką Angielki uganiaasz? Dla jakiejś... dla jakiejś... szmaty to wszystko?”.

Rozjuszył się Christos, krew uderzyła mu do głowy na taką obrazę, chciał się rzucić na brata. Takos wyciągnął pistolet, przyłożył mu lufę do czoła, gotów wypalić między oczy. Zastygli na chwilę, mierząc się wzrokiem. Takos zaciskał zęby z wściekłości. Wpadli między nich Tsakanikas i Katarachiás. I jeszcze kilku zaufanych, najbliższych z kompanii, kuzyni i ziomkowie z Agrafy. Wywlekli Christosa na zewnątrz. Odszedł rozsierzony. Klął na czym świat stoi. Słyszeli go wszyscy, co się zgromadzili w pobliżu. Między nimi Drakos. I kiedy Christos ruszył prosto na nich, rozstąpili się, niech sobie idzie.

Odszedł gniewny, mieląc w ustach jeszcze jakieś słowa. „Szmata... słyszał to kto... szmata...”. Wzrok mu płonął, z oczu szły iskry. Widzieli, jak niknie w odblaskach słońca, jak pnie się ku ruinom starej bazyliki św. Jerzego, jak, niczym zjawa, zaszywa się wśród zwalonych ścian świątyni, pomiędzy duchami i widziadłami.

42/E4

Teczka „Samobójstwa”, wycinek nr 17

Niewiarygodna tragedia rodzinna rozegrała się dziś wczesnym popołudniem w Rafinie, gdzie znaleziono martwych dwoje staruszków.

Rafina, 11 listopada 2012 roku

W ostatnich latach borykali się z poważnymi problemami zdrowotnymi. Nieustannie chodzili do przychodni. On skończył dziewięćdziesiąt jeden lat, ona osiemdziesiąt. Nie było łatwo. Tyle razem przeżyli. Tyle pokonali trudów. Ale w pamięci zachowali szczęśliwe chwile, choćby gorycz wystawiała na próbę ich wytrzymałość i ich związek. Czułość, wzajemna troska stały się teraz ich najcenniejszym majątkiem. Dotarli do kresu życia, trapiła ich myśl o śmierci. Nie strach czy smutek, że opuszczą ten świat. Nie. I nie tym się zadręczali, które odejdzie pierwsze, lecz tym, jak sobie poradzi to z nich, które zostanie.

Byli zmęczeni. Martwiło ich – najbardziej – że są ciężarem dla córki. Mieszkała z rodziną piętro niżej. Miała swoje sprawy, swoje kłopoty. Jak długo jeszcze będzie ich obskakiwać? Biegać do szpitala, do apteki, do urzędu skarbowego. Pomagać im finansowo, opiekować się nimi. Powinna iść swoją drogą, dbać o dzieci, rodzinę. Tymczasem ta przeklęta, ciągle obcinana emerytura nie starcza na podstawowe potrzeby. Pracowali całe życie, a państwo traktuje ich teraz jak bezpańskie psy.

Siedzieli obok siebie w milczeniu niby dwa zbolące ptaki na wysokiej gałęzi. Pogrążeni we wspomnieniach słuchali monotonnego tik-tak zegara na ścianie. W rzadkich chwilach, gdy podejmowali rozmowę, mówili o troskach, którymi się gryźli, o przeszywającym bólu w plecach, o tabletkach na ciśnienie, na serce, o wzroku coraz słabszym, coraz słabszym. Ogarniał ich żal, niemy z początku, głos wiązał w gardle, potem wybuchali szlochem.

Tak, mieli wyrzuty sumienia. Ile jeszcze będą przeszkadzać córce? Za długo żyją. Trzeba z tym jakoś skończyć. I podjęli decyzję. To ona wpadła na pomysł. „A broń w piwnicy...”. Stara, przechowywana w komórce, zapomniana od dziesięcioleci. Z czasów, gdy mąż jako młody człowiek polował w lasach rodzinnych stron.

Wahali się, ale z czasem zaczęli przywykać do tej myśli. Decyzja zaś, w miarę jak dni mijały, a problemy rosły, gdy ból stawał się nie do wytrzymania, w miarę jak państwo i trojka nakładały coraz to nowe haracze, decyzja stała się ostateczna i nieodwołalna.

Z początkiem grudnia siedli i napisali list pożegnalny. Prosilili dzieci, by im wybaczyły, prosili o wyrozumiałość dla czynu, który dla nich jest wybawieniem. Tak napisali, przez łzy. Potem wzięli się za kościste ręce. Wspominali dawne życie. Śmiali się. Płakali. Jeszcze raz przejrzyli stare albumy ze zdjęciami. Młodzi w zmieniających się Atenach, trudnych i okrutnych, ale też coraz bardziej ludzkich. Po wojnie domowej. Młoda para w cerkwi. Dzieci w szkole. Pierwsze wnuki.

Wskazówka zegara przesuwiała się dalej i dalej, słyszeli tykanie w zapadającej od czasu do czasu ciszy. I gdy nadeszła pora, powlókł się do komórki, przyniósł broń. Ręce mu drżały. Płakał, mierząc w serce żony. „Nie płacz, naciśnij...”, błagała. „Nie płacz, naciśnij, niech się to wszystko skończy”. Nacisnął spust. Trach! Zobaczył, jak się osuwa bez ducha na oparcie fotela. „Byłe tylko śmierć była szybka, bezbolesna”, mówili sobie. Potem zwrócił lufę ku swojej głowie i znowu wystrzelił. Trach!

43/A16

Opowiem wam o moim planie. Rok o nim myślałem, przez okrągły rok nie dawał mi spokoju. Od momentu, gdy zacząłem zgłębiać dzieje prapradziadka mojego ojca. Zawsze ci sami dranie. Nasi i z importu. Nic się nie zmieniło.

Tak, wtedy narodził się pomysł. Wszystko ułożyło się w sensowną całość, nabrało kształtu i znaczenia. Przeszłość związała się z terażniejszością. Rzeź w Dílesi. Warunki programu naprawczego dla Grecji. Ścięte głowy zbójców na Polu Aresa, dyktat ambasadorów, arogancja trojki, ultimata wielkich mocarstw, Europejczycy, partyjni bonzowie, układziki, zniewagi wobec Greków, wobec zwykłych ludzi. Wszyscy rzucili się na ten nieszczęsny kraj, wilki, szakale, niedźwiedzie, na biedną, ledwie dyszącą Grecję, żeby ją zjeść. A potem przyszła kolej na Cypr. *Haircut*. Restrykcje. Nieuzasadnione i prowokacyjne. Mnożenie kłamstw o brudnych pieniądzach płynących do cypryjskich banków. W tym samym czasie, gdy w raporcie Centralnego Banku Europejskiego banki cypryjskie – przy zastosowaniu najostrzejszych kryteriów dotyczących prania brudnych pieniędzy – dostawały wyższe oceny niż inne banki europejskie, o niemieckich nie wspominając. Celem był transfer rosyjskich pieniędzy z banków cypryjskich do zagranicznych. Przypomniał mi się Sergidis. *Arbeit macht frei*. To nie są puste słowa. 9 listopada 1941 roku Hitler oświadczył: „Tereny, które pracują bezpośrednio na nasze potrzeby, zamieszkuje ponad 250 milionów ludzi”. I nie wątpił, że uda się włączyć do tej pracy także innych.

Najpierw pojawił się niewyraźny zarys. Myśl, która mi się przewinęła przez głowę. Iskra. Żart. Cała ta niesprawiedliwość: nędza, głód, bezrobocie, samobójstwa, bezdomność. Politycy. Unijny program naprawczy. Urzędnicy trojki, Task Force, krążący od ministerstwa do ministerstwa z eleganckimi teczkami, w garniturach, pod krawatami. Żądali, komenderowali, grozili. Przesiadawali na posiedzeniach rządu. Nakazywali. Jak kiedyś Erskine, przed którym nasi służyli na dwóch łapach. Nic, nic się nie zmieniło. Czy nie znajdzie się wśród uciemieżonych nikt taki, myślałem, kto by ich skrócił o głowę? Musi się znaleźć, inaczej być nie może. I w miarę jak mijał czas, pół żartem, pół serio, od pomysłu do pomysłu, niczym ćwiczenie dla mózgu, zaczął wyłaniać się plan. Stał się moją obsesją. A gdyby tak... Jak by można...? Koncepcje. Ewentualne możliwości. Szukałem w internecie. Kim są ci z trojki, którzy w kółko nam

się tu zwalają? Skąd pochodzą? Jakie są ich osobiste losy? Jak przeprowadzić szybką egzekucję? Jak się obcina głowę? Jak potem zatrzeć ślady?

Po wydarzeniach na Cyprze z ubiegłego marca, po *haircut*, nie miałem wyboru. Tak dalej być nie mogło. Muszą dostać nauczkę. Ostrzeżenie. I cudzoziemcy, i nasi. Kara powinna być przykładowa; komunikat jasny i surowy. Wtedy postanowiłem. Dosyć teoretyzowania. Dostyć ćwiczeń na sucho. Czas działać. Nienawiść to połowa zemsty. Druga połowa to czyn. Nienawiść, która wkłada broń w rękę zabójcy, ślepa, bezbrzeżna nienawiść niweczająca wszelką logikę. Ta sama, która popycha terrorystę w Iraku, w Palestynie, Afganistanie, w Moskwie do opasania się materiałami wybuchowymi i odpalenia lontu, która pozwala terrorystyce nie myśleć, że wysyłając na tamten świat Bogu ducha winne ofiary, mężczyzn, dzieci, kobiety, starców, rozerwie na tysiąc kawałków także własne ciało. Potrafiłbym tak?

Narzędzie miałem. Nóż nurkowy. Długie ostrze. *Stainless steel*. Potrzebowałem pistoletu. I dostępu do hotelu.

44/A17

Dobra, nie jestem mordercą pierwszej gildii. Ani słynnym, poszukiwanym terrorystą czy tajnym agentem z układami, z rozbudowaną siatką wsparcia. Nic z tych rzeczy. Chciałem zobaczyć ich z bliska, zanim posunę się dalej. Zobaczyć, jak wyglądają, na ile są zwykłymi ludźmi. Czy jedzą tak jak my? Nie wiem, może to naturalna ludzka ciekawość, która mi nawet pomogła w planowaniu i, w ogóle, ułatwiła zadanie.

Wiedziałem, gdzie ich szukać. Czytałem w prasie, gdzie najczęściej jedzą w środku dnia. Restauracja w wąskiej uliczce opodal placu Konstytucji, przy Ottona. Nie było trudno trafić na ich trop. Wystarczyło wklepać słowa kluczowe do wyszukiwarki.

Przeszedłem się tam. Wizja lokalna. Zobaczyłem szyld nad wejściem. Zajrzałem do środka, przechodząc ulicą. Niby bezwiednie, obojętnie. Dwie, trzy sekundy. Nie więcej. Stoły, białe obrusy, kelnerzy, fotografie w ramach na ścianie. Tyle. I odwróciłem twarz. Ale to przelotne, krótkie spojrzenie wystarczyło, żeby mną wstrząsnąć. Serce zaczęło walić młotem. Bam, bam, bam. Przyspieszone tętno. Nogi jak z ołowiu. Ciężki oddech. Strugi potu na czole. Na dłoniach. Brak tchu. Straciłem panowanie nad sobą. Prawie wpadłem w panikę. Przyspieszyłem, uciekłem.

To nie było łatwe zadanie. Nie, nie było łatwe. Wyobrażam sobie, jak zbladłem. Nie urodziłem się mordercą. Musiałem uporać się z lękami, wahaniem, poczuciem zagrożenia. To one były teraz moimi największymi wrogami. Tkwiły we mnie. Musiałem je pokonać. Ćwiczenia samokontroli. Powolny wdech. Zatrzymać. Wydech. Rozluźnić mięśnie twarzy. Spokój. I najważniejsze: uzbroić się w nienawiść, nabrać mocy. To mi pomoże przezwyciężyć naturalne tchórzostwo. Zwłaszcza to. Może Rubini czegoś mnie nauczy. Joga, medytacje, ćwiczenia oddechowe.

Parę dni później znowu tam poszedłem. Tak, było lepiej. A za trzecim razem jeszcze lepiej. No i... Jak się ubrać? Jak wejść do restauracji? Gdzie usiąść? Co zamówić? Jak jeść? Ile czasu tam zostać? Co powiedzieć kelnerowi, jeśli mnie zagadnie? Muszę mieć gotową jakąś historyjkę. Co mu odpowiedzieć? „Pracuję niedaleko, przy Hermesa, w agencji ubezpieczeniowej”. Wyraz twarzy. Oddychanie. Wolny wdech. Wydech. Są tam porozstawiani ochroniarze, tajni agenci?

Wszedłem do innej restauracji w pobliżu. Przekznica Hermesa. Z książką w ręku dla zmyłki. *Ateny – spacer śladami historii i literatury*. Trzymałem się zasad postępowania, które miałem w głowie. Ćwiczenia w warunkach

rzeczywistych. Próba ogniowa. Nie tak się to nazywa? W rzeczywistym stresie. Zerkalem na klientów przy stołach. Jak się zachowuje zwykły, samotny człowiek w restauracji? Pusty wzrok utkwiony w przeciwległej ścianie, obojętne spojrzenia w stronę kelnerów, innych klientów. Kęsy. Opieszałość. Zero pośpiechu. Ale też bez zbędnego marudzenia, gdy się skończy jedzenie. Wizyta w toalecie. Obowiązkowa. Na początku albo na końcu. Specyficzny sposób komunikowania się z kelnerami. Utarte formułki. Gesty. Uniesienia rąk. Ruchy palców. Wyraz twarzy. Rachunek. Tak, wszystkie te rzeczy.

Wyszedłem. Podmuch wiatru na twarzy. Orzeźwiający. Kręciłem się wokół placu Konstytucji. Spacerowałem dla zabicia czasu. Umówiłem się z Rubini w bistro Muzeum Numizmatycznego, w Pałacyku Schliemanna. Spojrzałem na zegarek. Jeszcze godzina. W ręce książka. Próbowałem wyobrazić sobie Ateny w czasach, gdy po raz pierwszy byli tu Drakos i Arwanitakis. Czyż Drakos nie był moim dalekim krewnym? Brat mojej praprababki. „Hotel Angielski” stał na początku Hermesa. Stamtąd wyruszyli lordowie ze swoją świtą owego feralnego ranka na wycieczkę do Maratonu. W tymże hotelu, w roku 1869, przeparadowało przed Schliemannem – ku jego wielkiej radości – sto pięćdziesiąt atenek, potencjalnych narzeczonych. Naprzeciw hotelu toczyły się walki w czasie wypadków czerwcowych 1863 roku między siłami opozycji, z bandą zbójców herszta Kiriakosa u boku, a stroną rządową. Udałem się w kierunku jedenastowiecznego kościółka Kapnikarea. Obok niego szedł kondukt z trumnami Anglików zamordowanych w Dílesi i przemierzywszy całą Hermesa, dotarł do kościoła anglikańskiego przy Filhellenów. Wszędzie ślady epoki Arwanitakisów. Patrzyłem na nowoczesne sklepy wokoło. Kiedyś znajdował się tu sklep jubilerski Pomonisa, gdzie robił zakupy król Otton. A także sklep z upominkami Rudolfa Mayfartha, dziwacznego Bawarczyka, którego atenci widywali migdalącego się z ładnymi, młodymi Europejkami. Lubił się nimi chwalić w czasie spacerów po centralnych ulicach miasta niczym końmi czystej krwi w dumnym biegu. Nieco dalej mieściły się księgarnie Karla Wilberga oraz Koromilasa, a także sklep papierniczy Pallisa.

Skręciłem w Eola. Gdzieś tutaj, przy ulicy Byssy była dawniej cukiernia Pawlidisa. Wyobraziłem sobie, jak Christos Arwanitakis umawia się w niej z lady Henriettą Vyner. Przeszedłem przez plac św. Ireny i plac Kotziasa zwany dawniej „przy armatach”. Usiadłem opodal na jednej z ławek

i czytałem o straszliwych walkach w czerwcu 1863. Czy Drakos brał w nich udział? A Arwanitakisowie? Tu znajdował się hotel „Pod Koroną”. A obok Bank Narodowy, kryjówka Georgiosa Stawru, ówczesnego sojusznika Szuby.

Wszedłem w ulicę Stadionu. Kto by pomyślał, że do 1857 roku nie można było nią przejść! Spływał tędy z Likabetu strumień, szeroki na trzy metry, który przecinał ulicę Koraisa i dochodził do ulicy Pireusu. Później strumień zasypano i posadzono akacje. Przez jakiś czas ulicę nazywano aleją Akacjową. Tutaj mieściły się znane firmy i budynki, takie jak sklep z akcesoriami jezdzieckimi Karla Dippela, pierwszy w Grecji zakład fotograficzny Filiposa Margaritisa – przy dzisiejszym placu Gorzkich Łez, pierwsza rezydencja króla Ottona w pałacu Kondostawlosa, na którego miejscu powstał później Stary Parlament. Skręciłem w Uniwersytecką. Stajnie Królewskie, dziś – Wojskowa Kasa Zapomogowa. Takie Ateny znał Drakos i, przelotnie, Christos oraz Takos Arwanitakisowie. Spojrzałem na zegarek. Godzina minęła. Rubini na mnie czeka.

Tak, przygotowywałem plan. Przeczytałem dziesiątki kryminałów. Współczesnych. Nesbø, Läckberg, Mankell. Skandynawska literatura kryminalna. Próbowałem wnikać w myśli Harry’ego Hole’a, w umysł policjanta, który ściga morderców. Ktoś taki – czy równie sprawny? – będzie, jak pies myśliwski, tropił moje ślady. Tak, gdzieś tam sobie żyje mój tropiciel. A może wielu? Co zrobić, żeby uniknąć fatalnego błędu, zatrzeć za sobą ślady? Notowałem rzeczy, które, jak mi się wydawało, mogą okazać się pożyteczne. Wiedziałem, że zbrodnia doskonała nie istnieje, ale wiedziałem też, że można zmniejszyć do minimum ryzyko aresztowania. Potrzebne jest także, jasna sprawa, szczęście.

I przyszedł dzień, kiedy wszedłem do restauracji przy Ottona jako klient i czekałem na urzędników trojki. Wziąłem głęboki wdech, przekroczyłem próg. Siadłem przy stoliku w głębi, w rogu, nie bardzo oświetlonym, skąd z łatwością obserwowałem całe wnętrze – a także wejście. Dostałem kartę dań. Zamówiłem. Byłem w strachu. Świadczył o tym mój drżący głos. Wolny wdech. Zatrzymać. Wydech. Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze, powtarzałem w duchu. Nienawiść, bezdomni, bezrobotni, samobójcy. Mój ojciec. Odzyskałem kontrolę nad sobą. Fizjologiczna norma. Czekałem.

Nie pojawili się. Trzy razy tam chodziłem. Trzy razy w środku dnia. Między pierwszą a drugą. Za czwartym razem przyszli. O pierwszej

czterdzieści sześć. Chyba z dziesięć osób. Wejście zapełniło się nagle tymi draniami. Stado szarych, czarnych garniturów i kostiumików. Kruki. Aż się ciemno zrobiło w knajpie. Wyczałem paru napakowanych, którzy przypominali tajniaków. Kelnerzy wiedzieli, co robić. Połączyli stoły, żeby goście mogli usiąść razem. Całą bandą. Zapomnieli o pozostałych klientach, fagasy. Kręcili się jak w ukropie. Koniec leniuchowania. Ceregiele, umizgi, nadszkanie. Tamci postawili teczki na podłodze, między nogami, panowie poluzowali krawaty, panie poskładały szale, rozluźnili się. Rozpoznałem tych trzech. Dobry, zły i brzydki? Jeden obok drugiego. Pępki świata. Panowie nieomylni, niepodważalne autorytety. Uśmiechy pełne szczęścia. Protekcyjność wobec asystentów. Wyglądali na zadowolonych, radosnych. Dobrze im dzisiaj poszło? Obcięli kolejne pensje i emerytury, powyrzucali ludzi z pracy?

Tak, zawrzało we mnie. Moje serce znowu jak młot. Przyspieszone tętno. Wdech. Zatrzymać. Wydech. Samokontrola. Zimna krew. Nienawiść. „Nienawiści nie zwalczysz nienawiścią”. Teraz się wszystko zaczyna. Teraz muszę być czujny. Nie za dużo spojrzeń, dyskretnie. Jak zwykły człowiek, pomyślałem. I znowu fizjologia wróciła do normy.

Zamówili. Proste jedzenie. Pastitsio⁶², sałatki, woda. Tyle uchwyciło moje ucho. Nie mówili wiele. Prawie szeptali. W minutę po ich wejściu do restauracji wkroczyło dwóch typów. Usiedli. Niezbyt blisko nich. Za to bardzo blisko mnie. Ochrona, tajniacy, pomyślałem.

Wtedy, niespodziewanie, pojawił się na ulicy Argiris. Słysząc było warkot jego motocykla, gdy zmniejszał prędkość. Zajrzał szybko do środka. Wysunięty podbródek. Mój widelec zastygł w powietrzu z kawałkiem ziemniaka na czubku. Gębę miałem rozwartą. A on, jakby czegoś szukał, nie wiadomo czego. I zaraz zniknął. Długie włosy związane w kucyk. Czarny podkoszulek *Iron Maiden*, dżinsy, sfatygowane glany. Czy to naprawdę był on? Czy wyobraźnia płata mi figle? Argiris! Od miesięcy go nie widziałem. Czego tu chce? Czego szuka? Dlaczego zajrzał do restauracji? Widział mnie? Może to tylko mój wymysł?

Jeden z trzech wstał. Ruszył w stronę toalety. Odprowadzały go, ewidentnie, spojrzenia tajniaków. A on odwrócił się nagle i popatrzył w moją stronę. Prosto w moją twarz, wręcz prosto w oczy. Przystanął na sekundę, może na dwie. Serce waliło mi mocno. Czas się zatrzymał. I znowu ruszył przed siebie. Czy to było spojrzenie, które ofiara rzuca oprawcy w swojej ostatniej chwili? Nie, nic takiego. Raczej czysto

socjologiczna obserwacja. Ciekawość. Młody Grek jedzący samotnie w głębi restauracji. Skromny obiad. Napój bezalkoholowy. Przerwa w pracy. Biuro albo sklep w pobliżu. Pewnie coś takiego. Zaczepka jakaś była w jego spojrzeniu. Bo co innego? „Czyż nie idzie nam dobrze?”.

Zdążyłem dostrzec siwiznę na skroniach i karku między pofalowanymi ciemnymi włosami, zmarszczki – cecha charakterystyczna energicznego i twardego mężczyzny – na rumianej twarzy, ślad ironii, „ironia to błysk nienawiści”, starannie wygolone policzki, wystające jabłko Adama. Pochyliłem głowę, skupiłem uwagę na dokończeniu jedzenia. Czas na mnie, trzeba iść.

I nagle, nie wiem, co mnie napadło – ciągle mnie coś ostatnio napada. Tak mnie jakoś naszło... Samodyscyplina zawiodła. Zaczekałem, aż ten z trojki wróci na miejsce. Wyciągnąłem komórkę. Wyłączyłem dźwięk. I flesz. Udawałem, że piszę i wysyłam wiadomość. Skierowałem lekko komórkę w ich stronę. Nacisnąłem. I już ich miałem w komórce. Tych trzech i resztę towarzystwa. Trzy planety przyciągające siłą ciężenia swoje naturalne satelity, meteoryty, komety, zlodowaciałe kawałki wszechświata. Wysłałem zdjęcie do komputera. A później – delete.

Zapłaciłem. Wyszedłem. Wydech. Uspokoilem się, odetchnąłem. Udało mi się na nich trafić jeszcze jeden raz. Tyle. Więcej tam nie poszedłem.

[62](#) Pastitsio – tradycyjne danie greckie. Warstwa makaronu „rurki” i warstwa mielonego mięsa pod beszamelem.

45/D9

W niedzielę powiedziałem kapetanom, że chciałbym zobaczyć akropol Oroposu. Zaprowadzili mnie tam i to był bardzo osobliwy widok. Patrzyłem na zbójców tańczących na szczycie jakiś dziki taniec i śpiewających klefetyckie pieśni.

Edward Herbert

46/A18

Poznali się z mamą w 1988. W grudniu. Tuż przed Bożym Narodzeniem. Przyjechał na parę dni do Aten w sprawach służbowych. Akurat wtedy Organizacja Rewolucyjna 17 Listopada⁶³ wydała oświadczenie w sprawie ataku na dwóch sędziów. Ojciec czytał je w samolocie. „Jakie prawo moralne mają ci niegodziwi i występni sędziowie, by skazać, na przykład, pięciu osiemnastolatków na dwa czy trzy lata więzienia za to, że ukradli dwadzieścia drachm, skoro nie ukarali żadnego z Koskotasów⁶⁴ za kradzież miliardów drachm? Jakie prawo moralne pozwala im ukarać i zamknąć w więzieniu na sześć lat kobiety, matki nieletnich dzieci, które pracując jako sprzedawczynie, kradły ubrania nie po to, by je sprzedać, ale po to, by mieć co na siebie włożyć, skoro rządzący dziś członkowie partii PASOK kradną i sprzeniewierzają pieniądze publiczne, natomiast ich poprzednicy a dzisiejsi przywódcy Nowej Demokracji są największymi ze zbójców?”.

Ojciec stawiał wówczas pierwsze kroki jako przedsiębiorca, właściciel firmy z akcesoriami wędkarskimi. Zawarł znaczącą umowę w Atenach. Import żywych przynęt. Robaki. Nereidy, piaskówki, ochotki, sikwiaki. Miał zaopatrywać całą wyspę. Jego sukces zbiegł się z oświadczeniem organizacji „17 Listopada”. Dlatego je zapamiętał. Zapamiętał słowo „zbójców”. Pomyślał wtedy o swoim przodku, Drakosie. Los związał jego rodzinę z jednym z najmroczniejszych wydarzeń na kartach greckiej historii. Słyszałem kiedyś, jak mówił: „Za każdym skandalem w Grecji kryje się jakiś Cypryjczyk. A za skandalem na Cyprze – jakiś Grek”.

Wieczór spędził w towarzystwie znajomych. Z przyjaciółmi, dawnymi kolegami i koleżankami ze szkoły. Studentami ostatniego roku. Była wśród nich mama. Przyszła ze znajomą, zdecydowała się w ostatniej chwili. Ona także studiowała. Ekonomię. Jej rodzice mieszkali na Eubei. Nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, nie taka jak w filmach. Żadne tam romantyczne ani godne zapamiętania przeżycie. Nie świeciło słońce, było całkiem ciemno, nie śpiewały ptaki, tylko pohukiwały sowy. To ojciec się w niej zadurzył. Była ładna. Drobną blondynką o niebieskich, bystrych oczach. Nie okazała mu zainteresowania. Przez cały wieczór zamienili raptem parę słów. Jeśli w ogóle. I parę spojrzeń. Ojciec stawiał. Chciał im zaimponować. „Za sfinalizowaną umowę” – powiedział i uniósł szklanę, zerkając na nią kątem oka. Gdy było już późno, po północy, i wyszli

z tawerny na chłód, na padający śnieg z deszczem, sprawiał wrażenie zbitego z tropu. Niby chciał coś powiedzieć, ale wahał się, wsadził ręce w kieszenie, żeby je ogrzać. Ledwie bąknął krótkie „dobranoc”. I tyle.

Następnego dnia wsiadł w samolot i poleciał na wyspę. Ale wcześniej zdobył numer jej telefonu. Zadzwoił z Cypru. Była zaskoczona. Nie podobał się jej. Tego tylko brakowało, żeby ją teraz nagabywał. Jakiś Cypryjczyk. „Kto ci dał mój telefon?”, spytała urażona. Chłodna. Ledwie parę słów powiedziała. Prawie niegrzecznie.

Nie zniechęcił się. Po paru dniach zadzwonił znowu. Nalegał. Poczł leką zmianę w jej nastawieniu. Może żałowała, że była aż tak szorstka. Nabral śmiałości. I przed Wielkanocą, zanim wyjechała na Eubeę, odważył się przyjechać na weekend do Aten i ją odwiedzić. Bez uprzedzenia. Niespodzianka. Znowu popytał, dowiedział się o adres. Znalazł nazwisko przy domofonie, zadzwonił. Nikt nie odpowiadał. Sterczał na dworze jak kołek. W najdroższym ze swoich ubrań, kupionym specjalnie na tę okazję. Z bukietem w dłoni. Dwadzieścia róż! Tyle, ile miała lat. Amant w dawnym stylu. Czekał godzinami na dokuczliwym chłodzie. Omal się nie przeziębł. Lokatorzy popatrywali na niego ze zdumieniem. A kiedy się wreszcie pojawiła, przeszła obok i zaczęła wkładać klucz do dziurki. Nie poznała go. W końcu jeden jedyny raz go widziała. Do tego wieczorem. „Christina!”. Odwróciła się, spojrzała zdziwiona. Zaskoczona. Powiedziała, żeby wszedł. Żeby sąsiedzi nie widzieli. Żeby nie robić widowiska. „Zimno jest...”. Schlebiał jej, trzeba przyznać. Taka daleka podróż? Tylko z jej powodu? Tyle godzin na dworze? Bukiet robił wrażenie.

Wieczorem wyszli razem. I kolejny raz. Jej obojętność zaczęła ustępować; przestała być taka surowa. Uśmiechała się, gdy żartował. Gdy naiwnie wyznawał jej wielką miłość. Pomału zaczął wydawać się jej sympatyczny. Utrzymywali kontakt. Jak przyjaciele, nie jak kochankowie. Wymienili parę listów. Latem ojciec znowu wyruszył do Aten. Zostawił interes pracownikowi i pojechał. Tuż przed zakończeniem jej sesji egzaminacyjnej. Wtedy zaczęło się naprawdę. Spędzili ze sobą piętnaście dni. I postanowili się zaręczyć. Raz-dwa. Świątowano na Eubei, w Prokopi. Jesienią 1989 roku wzięli ślub na Cyprze. Mama była od trzech miesięcy w ciąży.

Los płata nam figle. Sto dwadzieścia lat wcześniej przodek mojego ojca, ojciec jego pradziadka, noszący to samo nazwisko, przebył podobną drogę. Przywiózł na wyspę narzeczoną z Grecji, siostrę Takosa Arwanitakisa. Nazwisko zmienił w tureckiej Tesalii, po drugiej stronie granicy. Fałszywe

papiery. Zapłacił przyjacielowi agi, dogadali się, załatwili. Drakos stał się Sokardisem, czytaj wspak. Po rzezi w Dílesi bał się, że będzie ścigany. Fałszywe nazwisko i fałszywe dokumenty uratowały go, gdy wrócił na Cypr. Uratowały go także później, w 1878 roku, po przybyciu Anglików na wyspę. Rzeź lordów bardzo ich bolała. A nazwisko „Drakos” figurowało wysoko na liście poszukiwanych – wysłanej też do władz tureckich w Konstantynopolu.

[63](#) Organizacja Rewolucyjna 17 Listopada – lewacka organizacja terrorystyczna działająca w latach 1975–2002. Atakowała przedstawicieli rządu i instytucji publicznych, Greków, ale także obywateli amerykańskich i tureckich. Za jej sprawą zginęło ponad 20 osób. Gromadziła pieniądze na działalność, rabując banki. W 2002 r. jej przywódcy zostali ujęci i skazani.

[64](#) Jorgos Koskotás – wysoki urzędnik Banku Kreteńskiego i późniejszy jego właściciel, przedsiębiorca, oskarżony o przywłaszczenie ponad 33,5 miliarda drachm. Jego rzekome powiązania z partią PASOK, w tym z ówczesnym premierem Andreasem Papandreu, doprowadziły do upadku rządu w 1989 r. Osądzony w 1992 r. i skazany na 25 lat więzienia. Papandreu został oczyszczony z zarzutów przez Sąd Najwyższy w 1992 r. W następnym roku powrócił na stanowisko premiera.

47/A19

W tamtych dniach, ilekroć traciłem ducha, wkładałem kurtkę i, z rękami w kieszeniach, szedłem pospacerować po centrum miasta. Chciałem nasycić się widokiem nieszczęścia, rozbudzić w sobie nienawiść. Wzmocnić siły i determinację, zaczerpnąć odwagi.

Wyruszałem ledwie zapadał zmrok i krążyłem po ulicach Stadionu i Patisyjskiej jak błędny. Widziałem ich, widziałem, jak w ciemności wychodzili z zaułków, dźwigając toboły ze starymi ciuchami i złożone kartony. Mrówki. Bezdomni, wygnańcy z piekieł, sunęli jeden za drugim po chodniku, okupowali kąty, podcienia, progi kamienic i sklepów. Armia tysięcy bezdomnych. Wykluczonych. Nawet za okupacji niemieckiej w Atenach nie było tylu ludzi bez dachu nad głową. Oni także byli ofiarami programu naprawczego. Stracili rodziny, stracili domy, stracili pracę. Mijając mnie, zerkają krzywo. Przerażają mnie mętne białka ich oczu.

„Masz fajkę, kolego?”, dochodzi mnie głos z ciemności. Zatrzymuję się. Oczy przywykają. Skulony na betonie, nakryty poszarpanym kocem. Jest zimno. Uniósł głowę i patrzy. Obok inni, zwinięci w kłębek jak koty. Widzę płomyk, świeca się pali. Twarz szara, szerniała. Zęby żółte, popsute. Nie palę, ale tutaj co chwila ktoś prosi o papierosa. Tego im trzeba. Dlatego zawsze mam przy sobie paczkę na wszelki wypadek. Daję mu papierosa, on dziękuje.

Ulica Stadionu, Omonia – tu jest granica. Dalsze kwartały to inny świat. Stręczyciele, drobni handlarze narkotykami, ćpuny, prostytutki, transwestyci, bezdomni, złoczyńcy. Nieprzytomny wzrok, rozpacz. Oni tu rządzą. W chłodne zimowe noce stawiają w ustronnych zaułkach sklecone własnym przemyśłem piecyki. Smog, chmura sadzy, czarna, złowróźbna, wisi nad miastem; widzisz ją, gdy spojrzysz w niebo. Zapach palonego drewna i plastiku, wilgoć, czasem mgła; cienie, szare figury wyklętych kołyszają się w ciemności. Sceneria beznadziei. Wysypisko ludzkich odpadów, rozbitków i lumpów, pląg i ran społeczeństwa, które ledwie dyszy.

Zdewastowane domy rozsypują się albo stają w płomieniach od biedapiecyków. Spomiędzy zgliszczy i ruin służby miejskie wydobywają czasem zwłoki. Nieznane, bezimienne. Co noc ktoś żegna się z życiem w którymś z zaułków. Nadmierna dawka, cios nożem z powodu papierosa, jednego euro, krzywego spojrzenia. Znajdą ich sztywnych o poranku śmieciarze, odłożą na bok jako odpad niepożądany, a potem ktoś ich spuści

do dołu na Trzecim Cmentarzu. Czasami zabiorą przez pomyłkę żywego i rzucają na pożarcie żelaznej niszczarce. Zużyte kartony i sprzęty, resztki jedzenia, kości i mięśnie, razem, póki nie staną się jednolitą pulpą. Któregoś wieczoru potknąłem się w mroku o leżące ciało. Niewiele brakowało, a byłbym się przewrócił, pokiereszował, zabił. Zawróciłem, przyjrzałem się. W połowie oparty o mur, w połowie na chodniku. Wiek nieokreślony. Oczy zamknięte, wyraz twarzy spokojny, błogi. Usta lekko otwarte, bezzębne. Skóra biała jak płótno. Wróciły obrazy z czasów okupacji. Wielki głód. Zima z przełomu lat 1941 i 1942. Zawołałem, szturchnąłem go butem. Dotarło do mnie. Uciekłem.

Tak tu jest. Idę szybkim krokiem. Patisyjska. Potem Pole Aresa. W kompletnej ciemności. Tu, gdzie ścięli zbójców z bandy Arwanitakisów, czerwcowego poranka 1870 roku. Ciekawe, gdzie były wystawione ich głowy? Rozglądam się. Myślę o Muncasterze próbującym ich rozpoznać. Mży. Naciągam kaptur. Boję się. Ćwiczę, muszę pokonać strach. W krzakach ktoś kaszle. Kroki. Truchleję. Czuję zapach dymu papierosowego. Rozmowy. Wychodzę na Aleksandry, skręcam w Patisyjską. Zataczam koło. Plac Wiktorii, Święty Pantaleon, plac Attycki. Walczę z lękiem. W te okolice dociera największa część legalnych i nielegalnych imigrantów. Języki, barwy, muzyka i zapachy z każdego zakątka planety, pomieszane. Od pogromu w 2011 roku króluje tu poczucie zagrożenia i strach. Pamiętam, jak wieczorem, na Acharnejkiej, zatrzymał mnie radiowóz. Kontrola dokumentów. Zażądali dowodu osobistego.

– Cypryjczyk?

– Tak!

Spytali, co tu robię o tej porze.

– Wszedłem na spacer.

Patrzyli z zaciekawieniem, mierzyli mnie wzrokiem, zaczęli chichotać.

– Ciota jesteś?

Ich śmiech do dziś mam w uszach.

– W porządku.

Pozwolili mi odejść.

„Znam cię, człowieku...”, woła do mnie jakiś bezdomny, gdy przechodzę przez plac Wiktorii. Siedzi na bruku w tłuste plamy, przy trawniku, w rękę ściska butelkę piwa. „Znam cię”, powtarza, unosząc w górę palec. Tak, pamiętam go. Z jadłodajni miejskiej. Róg Sofoklesa i Pireusu. Po południu. Chciałem zobaczyć z bliska tę nędzę... Stałem z boku i patrzyłem. Jakaś

kobieta zawołała: „Stań w kolejce! Jak wszyscy!”. Speszyłem się. Zgłupiałem. Już miałem jej powiedzieć: „Ja nie jestem... ja nie... Przyszedłem tylko...”. Nic nie powiedziałem. Stałem w kolejce. Wziąłem talerz z jedzeniem i usiadłem razem z nimi. Jadłem bez apetytu. W milczeniu. Jak wszyscy. Z głową pochyloną nad talerzem. Od czasu do czasu popatrywałem na nich ukradkiem. Obserwowałem ich twarze. Byli zubożeni, jakby coś więcej niż poważni, niezainteresowani sąsiadami, otoczeniem.

– Nie ty siedziałeś obok mnie w jadłodajni? – pyta.

– Ja.

Prosi o papierosa. Daję mu dwa. Zaczyna gadać. Chce towarzystwa.

– Nie widziałem cię więcej. Nieczęsto przychodzisz?

Jego oddech cuchnie alkoholem.

– Nieczęsto – odpowiadam.

Wszyscy oni są spragnieni rozmowy. Jeszcze dwa lata temu miał budkę z jedzeniem przy Świętej Drodze. Ale któreś nocy go okradli. Włamali się, zabrali grill, generator prądu, lodówkę, toster, talerze, szklanki. Wszystko. Niczego nie zostawili. Nie miał pieniędzy na nowy interes. Nie miał czym płacić za wynajem mieszkania. Wyrzucili go... No i tu wylądował. „A co tam!”. Pytam go o trojkę i naszych rodzimych kanciarzy. Żeby naładować swoją nienawiść jego nienawiścią.

– A co mnie oni wszyscy obchodzą? Kompletnie nic. Dlaczego mam ich nienawidzić? Co ja mam z nimi wspólnego? Teraz przynajmniej nikt mnie nie okradnie – powiada i zaciąga się głęboko.

Przymyka oczy z lubością. Upaja się każdym machem, patrzę, jak otula go chmura dymu.

– Nic nie mam. Tylko siebie. Wolny ptak, przyjacielu.

Uśmiecha się, otwiera ramiona, macha nimi jak skrzydłami, śmieje się. Śmieje się. Głaszcze palcami szczeciniastą brodę. A potem zaczyna psioczyć.

– Gdzie ten naród miał rozum przez tyle lat? Dlaczego ludzie na nich głosowali, dlaczego ich dopuścili do władzy? Dlaczego sami brali w tym udział i dojadali resztki z ich wielkiej uczy? Kolesiostwo, koperty, samowolki, kombinacje, lewe dochody, miganie się od podatków, pożyczki. Nie, przyjacielu. Czas zapłacić rachunek. Ja zapłaciłem i płacę, ale wystarczy. Wystarczy! Ten kraj, bracie, to jeden wielki syf!

Zostawiam go w napadzie gorączkowego chichotu. Ubzdryngolony? Wariat? Jego śmiech ma w sobie coś schizofrenicznego.

Idę przez skwer przy zbiegu Cypryjskiej i Patisyjskiej. Bezdumni rozpalili ogień. Co chwila podsycają go kawałkami drewna z mebli znalezionych przy śmietnikach. W górze tuman, smog otacza domy. Siedzą dokoła, żeby się ogrzać. Nie rozmawiają, wyglądają jak duchy, jak cienie. Nie jak żywi ludzie, tylko jak umarli siedzący rzędem, w milczeniu, w zaświatach. Zerkają na mnie podejrzliwie. Czego tu szukam? Nie jestem swój.

Wyciągam paczkę papierosów, częstuję. Bilet wstępu do ich świata. Kupuję ich przychylność. Wyciągają szerniałe, poranione palce, chwytają fajki. Rozdają monety, ostatnie, jakie mam. Znowu patrzą spod oka. „Proszę... Bierzcie”. Kładę je na czyjejs wyciągniętej dłoni. Metaliczny dźwięk srebrników. „Reszty nie trzeba...”. Zimno. Przykładam dłonie do ust. Dmuchaam w garść, żeby poczuć ciepło. Wydychane powietrze wygląda jak obłok dymu. A oni znowu zamykają się niby ostrygi w swoich skorupach. Niemi, nieufni. Nieprzyjazny wzrok, ściągnięte brwi. Odchodzę. Czuję mrowienie ich spojrzeń na plecach. Dzwonię zębami z zimna. I nagle, między domami, wysoko, w rzadkiej mgle, pojawia się ogromny księżyc. Zastanawiam się: Co tu robi, w tej straconej sprawie, księżyc z filmu *Koyaanisqatsi* i muzyka Philipa Glassa w moich uszach?

48/C9

Wielki Tydzień na Andros, w Ammólochos. Podróż w czasie, powrót do dzieciństwa, do pól, strumieni, gór rodzinnej wioski. Rodzice. Petardy i lambriatis, wielkanocna jagnięcina z pieca opalanego drewnem. Zapachy, tymianek i szałwia, ptasi hałas w gałęziach, woda płynąca po rzecznych kamieniach. Tęskni za tym od dawna, potrzebuje tego. Widzi w snach dziecięce kryjówki, skalne nisze, jaskinie, krzaki. Tam włóczył się i ukrywał godzinami, leżał na plecach z rękoma zamiast poduszki pod głową, żując listki dzikiej mięty, patrząc na wysokie niebo, na otaczający go świat – jak oddycha, jak się zmienia z porami roku, jak rodzi się i umiera, i znowu od początku. Chce odnaleźć wyryte na pniach własną ręką znaki. Serce, imię pewnej dziewczynki, data, jego imię, nazwa drużyny piłkarskiej. Są tam jeszcze? Chce je pokazać dzieciom, chce zabrać chłopców w swoje stare kąty, i sam znowu stać się, choć na krótko, dzieckiem. Chce poczuć smak swojego raj. Swojej baśni.

Od trzech lat nie odwiedzał wioski. Nie było im łatwo. Zaciskali pasa. Podróż na wakacje całą rodziną? Luksus. Zwłaszcza po tym, jak Anna straciła pracę. Ale „jeśli nie teraz, to nigdy”, powiedział żonie któregoś wieczoru, gdy rozmawiali na ten temat i nie mogli się zdecydować. Następnej wiosny starszy syn zdaje maturę, nie ma mowy, żeby wyjechali w ciągu roku szkolnego. Potem będzie studiował, nie wiadomo, do jakiego miasta trafi, koszty wynajmu mieszkania, umeblowania studenckiej kwatery... Wydatki. Albo teraz, albo nigdy.

Ale znów wyszło na opak. Nie mógł wyjechać, nie mógł być nieobecny w pracy. Wykluczone. Miał rzucić robotę w połowie i jechać na wakacje?

Któregoś wieczoru się pokłócili. Anna wpadła w furję. Dąsała się jeszcze następnego dnia. „Tylko o pracy myślisz. Znowu mnie samą zostawisz z dziećmi, żebym odwaliała najgorszą robotę. Całe twoje życie to praca. Sprawy osobiste nie istnieją. Opuściłeś nas. W ogóle cię nie widzimy. O dzieciach nie myślisz? Nie ma cię przy nich, nigdy cię nie było. Mordercy, przestępcy, alfonsi, narkomani, oszuści i ludzie z półświatka. Oni są dla ciebie rodziną. Oni są twoim życiem. To okazja, jedyna okazja, żebyśmy spędzili razem parę dni, z dala od zmartwień i pracy, żebyśmy się do siebie zbliżyli. Bo... Bośmy się oddalili... Jakiś mur wyrósł między nami. Dokąd to prowadzi? Tak dalej być nie może!”.

Wściekała się, krzyczała, płakała, trzasnęła drzwiami, uciekła do sypialni.

Miała rację. Tak, przyznawał jej rację. Ale milczał, wzdychał, spuszczał głowę w poczuciu winy i coraz bardziej zamykał się w sobie. Co miał robić? Czuł się bezradny. Osaczony, był ledwie częścią całej sytuacji. Już wcześniej próbował coś powiedzieć, wyjaśnić, że został wyznaczony do ważnego zadania, że to zaszczyt i wielka odpowiedzialność, że dostał awans, więc poprawi się ich sytuacja finansowa. Czy nie tego chcieli ze względu na dzieci? Poza tym, jak tylko się to skończy, a skończy się niedługo, pojedą we dwoje w podróż za granicę. Sami. Dzieci zostaną u jej rodziców. Może... może się wybiorą do Francji, do Prowansji? Czyż nie marzyła o tym od lat? Do Arles, gdzie mieszkał i malował jej ukochany van Gogh. Lato. Żółte pola zbóż, kukurydzy, słoneczników, stogi siana, słońce i rozgwieżdżone niebo, niebieska poświata w ciemności. Pejzaż zatopiony w barwnych wirach. Magia.

Patrzyła na niego. Gorzki uśmiech. Tyle. Nic nie powiedziała. Odwróciła się i wyszła.

Tak wyglądało jego życie. Zabójstwo tych z trojki, przesłuchania, stare sprawy z rozcłódkowaniem ciał, odcinaniem głów. Wtłoczone między zbrodnie. To nie jest życie normalne, no nie jest.

Pamięta jednak. Wielki Tydzień. Parę lat temu. Wczesne popołudnie. W Ammólochos, na zboczu wzgórza. Ona rozstawiła sztalugi pośrodku małej łąki i malowała przeciwległą kępę cyprysów z wiejską zagrodą w tle. On chwycił czas, ulotne chwile i uwieczniał je w fotograficznym kadrze. Osobliwe skały, płynące chmury i ich cienie, sękate pnie drzew, motyle, ważki. Opodal wodospad grzmiący nad czeluścią. Wokół kwiaty, zawilce, cyklameny, kobierzec niewiarygodnie piękny, biały, niebieski, czerwony, żółty, feeria barw. Boże, to było szczęście. Raj. Słońce pochylało się i przezierało ukosem spomiędzy drzew. Siedział w cieniu cyprysa – co za zapach! – i patrzył z zachwytem na żonę osnutą migotliwym blaskiem. Grzywka zaczesana na bok, uniesiona ręka, w palcach pędzel dotykający kanwy. Pochłonięta bez reszty. W popołudniowym świetle wydawała się złota, otoczona nadnaturalną aurą, jak postać z niezmiernego misterium. Piękna, niebywale piękna. I w tamtej chwili, dokładnie w tej chwili, gdy obserwując ją i podziwiając, uniósł obiektyw, żeby zrobić zdjęcie, odwróciła się i spojrzała na niego. Z ręką zawieszoną w powietrzu. Uśmiechnęła się. Uśmiechem dziecięcym i czystym, a zarazem zmysłowym, zagadkowym. Klik. Nacisnął przycisk. I szczęście zostało

na fotografii. Oprawił ją w ramkę i postawił w domu na swoim biurku. Tak, to było jego szczęście, zamknięte w ramce z fotografią.

Przypomniawszy sobie ten uśmiech, ten obraz, patrząc na drzwi, które za sobą zatrzasnęła, gdy on znowu szykował się do wyjścia, wieczorem. O porze, kiedy wszyscy kończą pracę i wracają do domów, do rodziny, on szedł w przeciwnym kierunku, do biura, żeby znów spędzić noc nad służbowymi papierami, nad hipotezami, zeznaniami, przypadkowymi zatrzymaniami, wyrywkowymi, nic niewnoszącymi informacjami, spekulacjami – aż do rana.

49/B8

Wyszli z Pałacu Muzyki. Koncert barokowy. Vivaldi, Albinoni, Domenico Scarlatti, Bach. Ich twarze jaśniały. Blaskiem, który pochodził z niewiadomego, niewidzialnego źródła, który dobywał się z najgłębszych zakamarków ich jestestwa i był wyrazem wielkiej wewnętrznej radości.

Długo słuchali skrzypiec, wiolonczel i kontrabasów, fagotów i waltorni, klawesynu i fortepianu. Dźwięki niosły się echem w powietrzu, wprawiały w drzenie ciało, wibrowały w nich i wokół nich. Suity, fugi, koncerty. Zawładnął nimi niezwykle spokój, muzyka baroku wsączyła w ich dusze łagodność szlchetnego świata, jakże odmiennego od barbarzyństwa ulicy, samochodów trąbiących i przyspieszających z rykiem w alei Królowej Zofii, ludzi głośnych, rozkrzyczanych. Co za kakofonia! Trzymali się czule za ręce, a błogość w najczystszy akordzie łączyła się z uczuciowym spełnieniem, które krążyło w żyłach, przenikało ich ciała, nerwy, mięśnie, komórki tkanek.

Sergidis myślał: Jeśli nie to jest szczęściem, to co nim jest? Podjął decyzję. Nieodwołalną. Wybrał ten wieczór, by go zapamiętać na resztę życia. Gdy poprosił o radę Dukareliisa, ten zachęcił go do działania, uściskał mu dłoń i, żartobliwie, dał mu swoje „błogosławieństwo”. A jeśli Sergidis zechce, powiedział, stanie przy nim jako drużba. „Katerina to wyjątkowa kobieta, gdzie znajdziesz lepszą? Spójrz w lustro, do licha! Piękna i bestia! Na co czekasz?”, stroił grube żarty i chichotał, obejmując go serdecznie ramionami. W kieszonce marynarki, na sercu, Sergidis schował pierścionek z tytanu z dwoma drogocennymi brylantami – on i ona – zamknięty w małym srebrnym pudełeczku.

Stali na skraju chodnika, czekali na taksówkę. Zamówił stolik. Kolacja na tarasie Muzeum Akropolu. Nie zdradził jej gdzie. Niespodzianka. Wszystko było niespodzianką. I koncert, i kolacja, i oświadczyiny, i pierścionek. Rozświetlony Akropol, dachy domów, a wysoko księżyc w pełni. Tak to sobie wymarzył. O tym myślał przez cały dzień, od samego rana, gdy poszedł kupić pierścionek. Ale czasami sprawy...

Katerina zobaczyła go w przejeżdżającym samochodzie. Takis. Dostrzegł ich kątem oka w ostatniej chwili. Jakby zobaczył dwa duchy na drodze. Zahamował gwałtownie, auto połową wjechało na chodnik, połową zostało na jezdni, krzywo. Katerina zbladła jak płótno. Chwyciła Sergidisa za przegub dłoni.

– Chodźmy stąd, chodźmy...

Nie zrozumiał. Póki tamten nie rzucił się na niego, nie zaczął go szarpać. Wrzeszczał, przeklinał, pieniał się z wściekłości. Paranoja. To nie był ludzki głos, tylko charkot, wycie dzikiej bestii.

Katerina rozplakała się, i szlochając prosiła, żeby przestał, musi wreszcie zrozumieć, między nimi wszystko skończone. Raz na zawsze. Skończone. Niech ją zostawi w spokoju. Wtedy dopiero Sergidis zrozumiał. To ten pozer, dandys, jej były mąż. Przechodnie zatrzymywali się i śledzili zajście w milczeniu. Zaciekawieni oszalałym, rozhisteryzowanym facetem, który wołał: „Dziwko, zostawiasz dziecko samo i latasz, to z jednym, to z drugim, pieprzyć się jak suka na środku drogi!”.

Co mieli myśleć? Ano, zdradza męża, który ją teraz przyłapał na gorącym uczynku.

Sergidis zachował spokój i silnymi, długimi jak wysięgniki ramionami unieruchamiał napastnika. A gdy wściekłość tamtego nieco zelżała, gdy wydawało się, że się uspokaja, odepchnął go i rzucił ostro: „Dosyć tego! Zjeżdżaj! Już wystarczy!”. Tamten jednak próbował rzucić się na Katerinę, łząc ją bez przerwy, „dziwka, szmata, suka”. Wtedy Sergidis nie wytrzymał. Niczym klasyczny zapaśnik powalił napastnika na ziemię, twarzą do dołu, i trzymał za nadgarstki wykręconych do tyłu rąk na betonowych płytach chodnika, niby związane rzeźne zwierzę, któremu zaraz przeciągnie nożem po szyi. Tamten pieniał się, charczał jak prosię.

– Chodź, Romanosie. Chodźmy. Zostaw go, proszę! – usłyszał jej słowa.

W pewnej chwili przeszło mu przez myśl: Nadepnąć na głowę tej żmii, nadepnąć? Ale dał spokój, poluzował uścisk, uwolnił mu rękę. A tamten, po długiej chwili bezradnego wierzgania nogami jak przewrócony na grzbiet karaluch, podniósł się, z zakrwawioną brwią, rozciętą w szarpaninie, przepychankach, czy może przy upadku na chodnik, i dał za wygraną. Ale choć pokonany, jeszcze z daleka udawał zucha. Upokorzony, jeszcze wołał i groził: „Zapłacisz mi za to... Zapłacisz... Już ja cię znam, Sergidis. Nie zostawię tak tego. Jeszcze się policzymy. Ja ci jeszcze pokażę...”. Znikał w ciemności z palcem wycelowanym w Sergidisa.

W podartej marynarce, zacerwieniony, Romanós objął Katerinę. Ukryła twarz na jego piersi. Łzy rozpuściły makijaż, wyryły długie pionowe linie na policzkach. Szarość wokół oczu, niezdrowa, przypominała ciężką ołowianą chmurę, gotową chlusnąć deszczem.

Wszystko, co sobie Sergidis wymarzył na ten wieczór, przepadło definitywnie. Czar prysł. Ucichły suity i fugi, dźwięki skrzypiec, fagotów,

waltorni i fortepianu. Przerwane w połowie zgasły w żalu i chłodzie ich dusz.

Próbował ją przekonać, żeby nie pozwoliła szaleńcowi zepsuć im wieczoru. Na próżno. Chciała wrócić do domu. Sergidis zatrzymał taksówkę. Siedli blisko siebie na tylnym siedzeniu, wciąż trzymał jej rękę w dłoni, wilgotną od zimnego potu, gdy telefonował do restauracji, żeby odwołać rezerwację.

Odprowadził ją do bramy, chciał wejść na górę, ale się nie zgodziła. „Lepiej nie. Nie dzisiaj”. Pocałował ją na dobranoc, i tyle. Tyle zostało z wieczoru, o którym marzył tak długo. W kieszonce na piersi czuł niewielką wypukłość. Pudełeczko z pierścionkiem. A w sercu ukłucie żalu.

50/A20

Jeszcze raz przeglądam wycinki z gazet. Litery blakną, zacierają się. Tani papier, tani tusz. Brudzi ręce. Myślę o nich wszystkich. O każdym po kolei. Samouniwersytet. Za samobójstwem kryje się czyjaś osobista historia, zamknięta w zwięzłym policyjnym doniesieniu, trzy, cztery linijki dla każdego. W nich mieści się ostatni czyn, jakiego dokonali w życiu. Epilog. Wyobrażam sobie mrok w ich duszach. Rozpacz, która nacisnęła spust, związała stryczek, popchnęła ich w nicość. Ich upiory, ich golgotę. Próbuje postawić się na ich miejscu. Dlaczego młody człowiek kładzie kres swemu istnieniu? Dlaczego nie chce dłużej żyć? Wspominam ojca. Gula w gardle zamienia się w łzę, łza w szloch i nienawiść, we wściekłość i chęć zemsty. Zaciskam pięść, uderzam w blat z całej siły. Przeklęci. Wiem, kto ich doprowadził do tej rozpaczki. Wiem. To ci oszuści, ci dranie. Ci, co ukradli ich marzenia. I moje marzenia. Ci, co ich pozbawili nadziei, i mnie pozbawili nadziei. Ci, co na tamtych sprowadzili mrok, a na mnie wściekłość i nienawiść.

Wyobrażam sobie tych biedaków. Chciałbym ich mieć obok siebie, objąć ich i przytulić. Powiedzieć im, że nie warto. Nie warto. Nie powinni byli wszystkiego zostawiać. Chciałbym mieć ojca blisko. Nie powinieneś być, tato, opuścić nas z powodu tych drani. Tak, wyobrażam sobie ich ostatnie chwile. To moje egzekwie, moje wypominki. Hołd. Dług, który muszę spłacić.

Zastępca burmistrza, który marzył o innej Grecji.

Syn przy zmarłej matce, który ze łzami w oczach wspomina mleczną czekoladę z dzieciństwa, tę ze spożywczaka.

Dziewczynka, która patrzyła, jak matka wbija sobie nóż w ciało. „Nie płacz, dziewczyneczko...”.

Para starszków, którzy ruszają w ostatnią, daleką podróż, żeby nie być ciężarem dla dzieci.

Trzydziestolatek, który zamknął w sobie pewnej wiosny cudowny zapach kwiatu cytryny, a później odbezpieczył karabinek i strzelił.

Pięćdziesięciopięciolatek, który rzucił się na tory w metrze.

Kobieta, która skoczyła w wody Przesmyku Korynckiego.

Bezrobotny ojciec małego chłopca, który powiesił się na drzewie oliwnym.

Niezdolny do pracy mężczyzna, który wyzionął ducha na odludnych skałach, bo mu odebrali rentę.

Bezrobotny, który połknął garść lekarstw w kościele w trakcie sobotniej wieczerni.

Emerytowany policjant, który wyskoczył przez okno, bo nie miał pieniędzy na ślub córki.

Mężczyzna, który w centrum Aten pociął na drobne kawałki pięćset tysięcy euro, a potem strzelił sobie w głowę.

Tak, ci i wielu innych z długiej listy, którzy zostawili dzieci, matki, małżonków. Długi szereg pozbawionych nadziei, armia zrozpaczonych, cierpiących.

51/D10

Drakos przywołuje z pamięci tamtą starą historię. Pierwsze dni, kiedy Christos Arwanitakis przybył z Agrafy i pozostał z nimi, ścigany i ranny. Takos przyjął go do swojej bandy. Nie miał wyjścia. Choć prawda jest taka, że chciał widzieć Christosa przy matce i siostrach, dla pomocy i ochrony. I co najważniejsze, poprzysiągł matce, że będzie go trzymać z dala od życia w bezprawiu, z dala od zbójckiej gromady. Christos był jej najmłodszym dzieckiem, nie chciała, by się zmarnował. Miał złamać dane słowo? Ale znów odesłać go do Maratosu? To jakby go w paszczę lwa wepchnął. To pewna śmierć. Szafot.

Musiał ustąpić. Złamał przysięgę i kilka dni później zabrał go ze sobą do Gardiki, w Sperchiadzie. Miał do rozliczenia stare porachunki z gardikańczykami, którzy współpracowali z ich prześladowcami i nieraz stawiali go w trudnej sytuacji.

Wyruszyli zatem zbójcy do Gardiki. Noc przeczekali w ukryciu w okolicznych górach, a nad ranem weszli do szkoły i wzięli zakładników, nauczyciela i dzieci. Ustawili nieszczęsne dziatki gęsiego, kazali iść. Trzymając się za rączki, przebierając nożynami, poszły naprzód jak jagniątka na rzeź. Prowadzili je blisko dwie godziny, na wzgórzu Świętych Teodorów zatrzymali się i rozbili obóz. Takos popytał, dowiedział się, które z rodzin były najbogatsze i wysłał do gardikańczyków wiadomość: „Gardikańczycy, niejedyn raz wydaliście naszych w ręce żandarmów i wielu junaków musiało oddać głowy, dlatego zabraliśmy w niewolę wasze dzieci i jeśli jeszcze raz spodoba wam się nas zdradzić, to sobie jeszcze większej biedy napytacie. Dzieci wasze mamy tu z nami, wyślijcie tyle pieniędzy, ile za każde żądamy, jeśli je chcecie z powrotem. A zróbcie jeno inaczej, to wam wyślemy główki dziątek waszych, potrawkę se przyrzadzicie”.

Tak im zapowiedział Takos. Dwa dni siedzieli i czekali beczynn timer, nim upłynął termin. Ale mało brakowało, a wszystko by diabli wzięli. Bo gdy mijał termin ultimatum, Takos zaskoczony spostrzegł, że Christos gdzieś przepadł, jakby się pod ziemię zapadł. Kilku zbójców wysłał w stronę wsi, a sam z Drakosem i Katarachiasem poszedł w przeciwnym kierunku. Po dziesięciu minutach marszu usłyszał krzyki. W pobliskiej chacie zdybał Christosa ze spuszczoneymi gaciami, wciśniętego pomiędzy uda jakiejś niebogi, która wrywała się z piskiem i błagała, by się ulitował, by jej nie hańbił.

Takos z impetem rzucił się do środka. „A cóżeż ty wyprawiasz, u licha?! Oszalałeś? Zbójcy nie wyczyniają takich niegodziwości!”, krzyczał. Złapał brata za włosy, wyciągnął z chaty i rozwścieczony pchnął na ścieżkę. „Honoru nie masz... Matki nie masz, sióstr nie masz? O nich nie myślisz? Nie nadajesz się ty na zbójcę”. Christos rozglądał się tylko wokół jak zbaraniały. Podciągnął gacie, zabrali go i poszli.

Pozostali wrócili ze wsi strwożeni. O mały włos byliby wpadli na grupę żandarmów, którzy przejeżdżali konno drogą. Zobaczyli ich, zawrócili.

Minęło sporo czasu, zanim ponownie zaufał bratu Takos Arwanitakis. I cały ten czas miał baczenie, by Christos znów nie przyniósł mu wstydu.

Rodzice wysłali okup, przestraszyli się i o niczym nie powiedzieli żandarmom. Ale okup za jedno z dzieci był niepełny. Zbójcy obcięli więc dzieciakowi ucho i taki podarek wysłali rodzicom. „Zasada druga: Zbójcy obcinają nosy i uszy tym, którzy łamią ich warunki i dopuszczają się zdrady”. Dwójkę dzieci zatrzymali, dzieci dziedzica Gardiki. Zabrali je ze sobą. I na granicy z Turcją, Katarachiás, ta nędzna kreatura, zarznął je jak jagnięta. Dla przykładu. „Zasada pierwsza”.

Tak, przypomniał sobie to wszystko Drakos. Przypomniały mu o tym krzyki rozwścieczonego Takosa, który wcale już nie ufał bratu.

52/A21

Następnego roku znowu pojechaliśmy do Kandili. Mama nie chciała. Ojciec nalegał, namówił ją. Będziemy bardziej uważać, powiedział. Burza nad Morzem Egejskim to nie żarty. Dostaliśmy nauczkę. Ojciec sam się przekonał. Teraz wiedział. „Przy pierwszych oznakach zbieramy się i uciekamy”. Ale tym razem zło nadciągnęło z innej strony.

Byliśmy nad brzegiem morza, na skałach, ojciec i ja. Wędkowaliśmy. Metodą spławikową bez kołowrotka. Dwieście metrów od obozowiska. Mama leżała w hamaku, który rozpięliśmy między dwoma drzewami i czytała swoje „wymysły”. *Amerykańską sielankę* Philipa Rotha, jeśli dobrze pamiętam. W pół godziny zapełniliśmy koszyk. Papugoryby, cefale, bopsy. Obfity połów.

– Zostań tutaj – powiedział ojciec – Zaniosę ryby matce, niech je sprawi i przygotuje do smażenia. Zaraz wracam. Uważaj na siebie.

Poszedł. Wrócił za dwadzieścia minut. Nie ten sam człowiek. Czerwony, potargany, wzburzony. Wściekłość na twarzy. Spojrzenie twarde, nieugięte. Płonący wzrok. Zaciśnięte szczęki.

– Idziemy! – krzyknął. – Zbieraj kije!

Chwycił mnie za rękę, pociągnął za sobą. Wróciliśmy do namiotu. Matka siedziała na przewróconym spróchniałym pniu. Jej cienka bluzka była porwana. Trzymała się za głowę, płakała. Od czasu do czasu z jej piersi dobywał się szloch.

– Co się stało, mamó? Co się stało? – dopytywałem.

Nie odpowiadała. Kręciła głową i ocierała łzy wierzchem dłoni.

Ojciec zwinął namiot, złapał nasze rzeczy i pobiegł do samochodu.

– Zostań z matką – rozkazał.

Za każdym razem, gdy wracał, obejmował ją i przytulał.

– Ciii... – powtarzał. – Uspokój się, Christina, uspokój. Już dobrze. Ciii...

Niczego nie rozumiałem. Wszystko działo się tak szybko. Co zaszło w ciągu tej pół godziny, gdy wędkowaliśmy, w ciągu tych dwudziestu minut, gdy ojca nie było?

– Co się stało, tato? Co się stało mamie?

– Nic, synku. Nic – odpowiadał.

To był nasz ostatni biwak. Koniec. Po paru latach umarli dziadkowie w Prokopi. Więcej nie pojechaliśmy na Eubeę. Co zaszło w Kandili, dowiedziałem się dużo później. Wiele lat po śmierci ojca, gdy już

studiowałem i przyjechałem pewnego lata na wakacje do domu. Spytałem matkę. Powiedziała mi.

Ojciec zbliżał się do obozowiska, trzymając siatkę z rybami. Usłyszał krzyk matki, puścił się biegiem. Mama leżała na ziemi, w podartej bluzce. Nieznajomy mężczyzna usiłował zakryć jej usta i ją zgwałcić. Ojciec krzyknął. Mężczyzna odwrócił się zaskoczony, zobaczył go i rzucił się do ucieczki w stronę jaru. Ojciec chwycił nóż wędkarski z torby, w której trzymał narzędzia, nóż z długim ostrzem, ząbkowanym z jednej strony. Ruszył w pogoń i zniknął w lesie. Wrócił po dziesięciu minutach zasapany. Bez noża. Powiedział, że upadł mu gdzieś w krzakach. Że go zgubił. Co się wydarzyło w ciągu tamtych dziesięciu minut, matka nie wiedziała. Powiedział jej tylko, że nieznajomy zniknął. Nie znalazł go. Pewnie ukrył się gdzieś w gęstwinie, w lesie. Przepadł. Mama jednak co innego widziała w oczach ojca. Coś się w nich jeszcze żarzyło, płonęło jak ogień piekielny. Ale były też zimne, zimne jak stal. Przestraszyła się. Coś pękło, coś się odmieniło na zawsze.

Często się zastanawiam, czy tamten rzeczywiście uciekł? Czy ojciec faktycznie zgubił jego ślad w gęstym lesie Franka Noela? A nóż z długim ząbkowanym ostrzem? Naprawdę upadł mu w krzaki?

53/A22

Stałem pod jej domem ze spopielałą twarzą, sparaliżowany. Czułem, jak lodowaty chłód ogarnia moje ciało. Pustka w środku. Próżnia. Skończyło się między nami. Kaput. Płatki kwiatów rozwarły się ku słońcu, a potem zwiędły, wyschły, opadły. „Miłość zgasła, serce ochłodziło”. Z powodu jednej fotografii, jednego głupiego zdjęcia. Nie mogłem się z tym pogodzić. Nie mogłem. Patrzyłem w górę ku jej mieszkaniu. Okno w kuchni było uchylone, zasłony w kratkę powiewały na wietrze. Widziałem kaktusy na parapecie. Skuliłem ramiona. Czego tu jeszcze szukam? Odszedłem. Cały dzień byłem ponury. Chciałem, pragnąłem, żeby zatelefonowała. „Cześć, kochanku doskonały!”. Nie zadzwoniła. Ja dzwoniłem, w kółko, nie odpowiadała. Szukałem jej na Skypie, nie reagowała.

Nie spałem po nocach. Przewracałem się z boku na bok, wiłem się w łóżku jak wąż przecinany na połowy. Ale się narobiło... Byłem zakochany? Czy w moim życiu jest miejsce na takie rzeczy, i to teraz, gdy...? Udręką były następne dwa dni i dwie noce. Raz poddałem się pokusie i ubzdryngoliłem na cacy. Co chwila biegałem opróżnić wnętrzności do klozetu. Nie chciałem jej stracić. Zamykałem oczy i widziałem ją przed sobą. Jej jasną skórę. Uśmiech, zęby błyszczące jak w reklamie Colgate, jej zamknięte oczy w hotelowym lustrze. Nieustannie zastanawiałem się, co robi. Zadręczałem się, próbowałem zgadnąć – co też teraz robi? Siedzi przed telewizorem i z otwartą buzią, przeniesiona w świat fikcji, żyje życiem Ellie z *Ich nocy*. Jest zawiedziona, bo myśli, że Peter ją oszukał, porzucił w motelu. Jest szczęśliwa, gdy Ellie zostawia oniemiałego pana młodego w kościele i w ślubnej sukni ucieka w ramiona Clarka Gable'a. A teraz siedzi na dywanie w kwiecie lotosu, nieruchoma przez długie minuty, oczy zamknięte, oddech ledwie wyczuwalny. Tak, prawie czułem zapach rozgrzebanej pościeli, specyficzny zapach jej ciała – mleko migdałowe. Teraz leży, śpi, trzyma w objęciach brązowego pluszowego misia. Boże, co za męka. Czy tak spędzę resztę swoich dni? Wyobrażając sobie bez przerwy, co porabia Rubini? Nie, to nie do wytrzymania. Nie chcę, żeby się między nami skończyło. Wcześniej nigdy czegoś takiego nie czułem. Moje poprzednie związki były powierzchowne, nic godnego zapamiętania. Nie martwiłem się, gdy przychodził kres. Raczej odczuwałem ulgę. Rozdział zamknięty. Nie oglądałem się za siebie, na tamte *Dziewczyny, które przepraszam*. Te z piosenki. „Szare myszki

na zabój we mnie zakochane / blade jakieś albo tęgawe w okularach / co to raz spojrzysz i odpadasz”.

Teraz sprawy wyglądały inaczej. Chciałem jej, pragnąłem Rubini.

Kiedy któregoś ranka telefon wreszcie zadzwonił, modliłem się w duchu, żeby to była ona. Błagałem, żeby to była ona. Odczekałem parę sekund, niech pobrzmi „piosenka na czekanie”. *This Bitter Earth*. Max Richter i Dinah Washington. Wstrzymałem oddech. Odebrałem. Ona. Jej głos. Bezsenność i zmęczenie zniknęły. Dostałem skrzydeł. „Dzień dobry, Strauss-Kahn! Podejdź do komputera, od godziny wydzwaniam przez Skype’a”, poleciła. I już ją widzę. Nagą, w okienku komputera, niby nowo narodzoną Afrodytę. Dzięki Ci, Boże! Nie gadaliśmy wiele. „Gotów na kolejny numer?” , spytała.

Wyleciałem jak z procy. Jechałem po wariacku, przez czerwone światła, dotarłem w rekordowym czasie. Przyjęła mnie jak gdyby nigdy nic. Kompletnie nic. Jakby nie było tamtej burzy, tamtej hysterii. Jak dziwnie, jak nieprzewidywalnie potrafiła się zachowywać. Może dlatego mi się podobała. Pojechaliśmy motorowerem, wysadziłem ją jedną przecnicę przed hotelem. Żebyśmy nie pojawili się razem. Boy hotelowy i pokojówka. Widziałem, jak mówi coś do ochroniarza, jak się śmieją, pewnie z czegoś zabawnego. Przed kamerą w korytarzu wyjąłem kartę i znowu tylko udałem, że ją przeciągam przez czytnik. Zacząłem odmierzać czas. Czekala w korytarzu. Pokazała mi drzwi. „Tam jest stacja transformatorowa-rozdzielcza, a w podziemiach mamy agregat prądotwórczy, który się uruchamia, gdy jest jakiś problem”, powiedziała szeptem. „Uważaj, kochanku doskonały, żebyś przypadkiem nie zablądził i nie wszedł w te drzwi! Bo jak taki prąd kopnie... tyle woltów... Upieczesz się!”, radziła, śmiejąc się ironicznie. Poprosiła, żebym poczekał jeszcze trochę w toalecie. Mam wejść na górę za pięć minut. Ten sam pokój, apartament 743. I zapukać do drzwi. Zgodnie z ustalonym hasłem.

Czekałem i rozmyślałem: Dlaczego mi to powiedziała? Dlaczego podała mi te szczegóły, te informacje? Dzisiaj o stacji i agregacie, a wcześniej o ważnych osobach, czyli przedstawicielach trojki, o zabezpieczeniach. Czy ona wie? Podejrzewa, co planuję? Ale jakże by...? Takie cuda się nie zdarzają. Nie zdarzają. Wydało mi się niemożliwe, żeby z własnej woli chciała się wplątać w taką historię. Wolne żarty... Byłaby idiotką, prawdziwą idiotką. Przypadek, pomyślałem. Inaczej tego nie wytłumaczysz.

Po pięciu minutach pojechałem na górę. Uruchomiłem stoper w zegarku. Na trzecim piętrze winda stanęła, drzwi się otworzyły. Sprzątaczką. Wepchnęła do środka wózek z kubłem i mopami. Nuciała piosenkę. „Statkiem w rejs cię zabiorę...”. Powiedziałem „dzień dobry”. Odpowiedziała na pozdrowienie.

– Na które pani jedzie? – spytałem.

– Na czwarte.

Nacisnąłem guzik. A ona nagle zaczęła się interesować.

– Nie widziałam pana nigdy.

– Jestem nowy. Podjąłem pracę trzy dni temu.

Odpowiedziałem bardzo naturalnie. Sam się sobie dziwiłem, że tak umiem kłamać. Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Duża rzecz mieć w dzisiejszych czasach pracę – skomentowała.

– O, tak – przyznałem.

– Powodzenia – rzuciła i wysiadła na czwartym, nucąc pod nosem: „Aaa, czemu aż tak mi zależy, czemu kocham cię aż tak...”.

Czterdzieści sekund zajęło mi dotarcie na siódme piętro. Rozejrzałem się. Oczekałem chwilę. Nasłuchiwałem. Nic. Zapukałem lekko, zgodnie z hasłem, do drzwi apartamentu. Trzy razy z rzędu. I czwarty mocniej. Pojawiła się naga ze zmiotką w dłoni. Aż gwizdnąłem z zachwytu. Złapała mnie za rękę i wciągnęła do środka. Tym razem skorzystaliśmy z wielkiego łóża.

– Nieżle im się tu śpi, tym nadzianym – powiedziałem.

– Tylko śpi? – zauważyła. – Sześćset euro za noc ich to kosztuje!

– A co jeszcze? Opowiedz coś szokującego – zachęcałem.

– Zabawowy z pana chłopiec, panie Strauss-Kahn! – powiedziała z naganą w głosie, nawet ciut surowo i pacnęła mnie delikatnie zmiotką w przyrodzenie.

Skuliłem się w obronie przed „ciosem”.

Wieczorem spotkaliśmy się w klubie. Zaczęła opowiadać o swoich marzeniach. O przyszłości. O przeszłości mówić nie chciała. Marzyła o domu nad Morzem Egejskim.

– Z balkonem nad samą wodą, na skałach, na odludziu. Albo dom w górach, wysoko. Z kominkiem w salonie i szklaną ścianą, przez którą patrzyłoby się bez przeszkód, hen, daleko, na doliny, rzeki, wsie. Tutaj niczego już nie ma. Wielka plajta. Beton i asfalt. Piekło. Jak żeśmy do tego doprowadzili? Wszyscy przecież na jednym wózku jedziemy...

Snęła ten monolog rozgoryczona i chmurna. Posępniejsza niż zwykle. Potem zamilkła. Niby patrzyła na mnie, ale spojrzeniem sięgała dalej – byłem przezroczysty, za mną tylko ściana – wyglądała jak nieżywa.

Zatopiłem wzrok w jej oczach.

– Dlaczego powiedziałaś mi dzisiaj o stacji? – spytałem niespodziewanie.

Zatrzepotała powiekami.

– Co?

– Dlaczego powiedziałaś mi dziś o stacji transformatorowej i agregacie w hotelu – spytałem znowu.

– Robiłam za przewodnika.

– Przewodnik zdradzający najwrażliwsze dla bezpieczeństwa hotelu informacje? Nie gadaj... – nalegałem.

– No dobra, chciałam ci zaimponować. Że mianowicie... Że wiem rzeczy, których niełatwo się dowiedzieć. Myślałam, że zrobię na tobie wrażenie. Wczoraj była przerwa w dostawie prądu i podsłuchałam, jak szef mówił przez telefon o agregacie i...

– Aha... – mruknąłem.

Pochyliła się i mnie pocałowała.

– Kocham cię – wyszeptała mi do ucha.

Pierwszy raz usłyszałem od niej „kocham cię”.

54/C10

Anna stoi przy zlewie. Ranek. W rękach trzyma talerz, gąbkę. Woda leci. Czas zastygł. Spojrzenie znieruchomiało. Patrzy przez okno w dół, na ulicę, przechodniów, samochody. Patrzy, ale nie widzi. Ma dość.

To nie jest życie. Dzieci cały dzień w szkole, mąż w pracy. Ciągłe ta praca. „Służba!”. Zło przebrało miarę. Pytanie, czy go widzi pięć minut dziennie. Wychodzi wcześniej, przed świtem, wraca późną nocą. Przeszali być parą. Gdzie jest ich wspólne życie? Nie o takim życiu marzyła. Czuje się samotna, przygnębiona. Tak dalej być nie może. Ostatnio myśli o tym coraz częściej. Może potrzebny mu jakiś szok. Może trzeba nim wstrząsnąć. Może dopiero wtedy uświadomi sobie, jaka jest sytuacja, może wtedy zrozumie. „Skladam pozew o rozwód. Albo coś zmienimy, albo wszystko stracimy⁶⁵”.

Tak mu powie. A dzieci... Zastanawia się, usiłuje podjąć decyzję, ale nic więcej. Niełatwa sprawa. Wzdycha. Tak, niech tylko minie Wielkanoc, niech tylko wróci z Andros. Tak, tym razem to zrobi. Albo coś zmienimy, albo wszystko stracimy.

Bo w końcu zwariuje. Musi znaleźć pracę, wyjść z domu, do ludzi, już przecież zgnuśniała. Cztery ściany. Kuchnia. Jej terytorium, jej życie. Kran otwarty, zlew pełen, woda ścieka na podłogę. Anna przytomnieje. Zakręca kran. Uff, nie jest dobrze.

I w dodatku ten z przeciwka, sąsiad, który jej głowę zawraca. Czego chce? Zobaczył ją przedwczoraj z plastikowymi torbami. Uśmiechnął się.

– Zakupy? – spytał.

– Tak, z bazarku.

Do tamtej chwili nie mieli ze sobą nic wspólnego. Dzień dobry, dobry wieczór. A tu nagle na gadki mu się zbiera. Jakby mu dała do tego prawo. Nie widuje jakoś ostatnio męża, powiada do niej.

– Praca? – dopytuje.

– Tak, praca... praca.

W jej oczach, w tembrze głosu wyczuwa niezadowolenie. Zawsze widzi ją samą. Pewnego ranka zobaczył, że wychodzi z bloku. Zaczaił się. I gdy wróciła, gdy zadzwoniły na korytarzu jej klucze, wyskoczył z mieszkania. Znowu wszczął rozmowę. Wraca z biura pośrednictwa pracy, wyjaśniła. Szuka zatrudnienia.

– Aaa! – on na to.

Była zdyszana. Zmęczyła się? Tak, szła daleko piechotą.

– Niech pani wejdzie na kawę, zapraszam, niech pani wejdzie... – proponuje.

– Nie sądzę, żeby... – zaczęła zakłopotana.

– Ależ proszę... wypijemy kawę, odetchnie pani trochę.

Wahanie. Chwila namysłu. Uśmiechnęła się. Co takiego? Kawa jedynie... Uległa. Kawa. Co w tym złego? Zgoda... na parę minut.

Gdy on parzył kawę, rozglądała się po mieszkaniu. Sympatyczne, proste. Niewiele mebli, telewizor w rogu, plakaty na ścianach, stare greckie kino. Rower, ciężarki do ćwiczeń na dywanie, opodal drzwi balkonowych. Białe zasłonki powiewają na wietrze. Z laptopa leżącego na stole dobiega muzyka. *Nad rzeką Inachos. Dziecko Peloponezu. Godzinę śpi każdej nocy woda.* Piosenki Nikosa Ksidakisa. Przyjemnie, rozluźniła się. Usadowiła się wygodniej na skórzanej kanapie. Z głębi dochodziło pobrzękiwanie filiżanek.

Przypomniała sobie rodzinne strony na Peloponezie. Górzysta Arkadia. Mama była z Morei⁶⁶, ojciec – dziecko uchodźców – z Pontu. Dzieciństwo spędziła w Arkadii. Wioska pod jodłowym lasem. Pamięta, że jak kozica biegała po leśnych ostępach, gdy zbierali z rodzicami zioła, grzyby. Przenieśli się do Aten, poszła do gimnazjum. Ojciec dostał pracę strażnika w Muzeum Narodowym.

– Wspaniała muzyka. Przypomina mi rodzinne strony – powiedziała, gdy wrócił z kawą. – Podróż w czasie, do korzeni, czysta magia.

– Tak – przyznał jej rację. – Muzyka to często podróż w głąb pamięci.

Siadł obok niej. Ich nogi się dotykały. Odsunęła się. Zmarszczki wokół oczu. Nie lubiła takiej poufałości. Nie dała mu prawa. On próbował ciągnąć rozmowę, opowiadać o dźwiękach, o barwach muzyki płynącej z komputera. Nie, nie podobało się jej takie zachowanie, sposób, w jaki na nią patrzył. Rzucała wzrokiem to tu, to tam, zalękniona, schwytana w pułapkę. Niedobrze zrobiła, powinna była odmówić... Jakim on prawem... Przestraszyła się. Wpadła w panikę. Wypiła dwa łyki, spojrzała na zegarek, zerwała się, usprawiedliwiła obowiązkami, musi iść, powiedziała.

– Ależ chwileczkę! Przecież dopiero... – aż usta otworzył ze zdumienia.

Podziękowała bezbarwnie i wyszła.

– Ależ...

Nie słuchała. Już była na klatce.

W następnych dniach znowu to samo. Ilekroć otwierała drzwi mieszkania, on wyskakiwał zza swoich. Jak diabeł z pudełka. I stawał jej przed nosem. Nabrał odwagi. Komplementy, uśmiechy. Aż jej wreszcie wyszeptał: „Kto w miłości strumieniach tonie, ten od miłości drugie życie dostaje...”.

– Słucham? – spytała urażona.

Nie zrozumiała.

– Piosenka tak mówi – wyjaśnił.

Po czym posunął się jeszcze dalej. Gdyby on był jej mężem... „Gdybym miał tak piękną żonę, nie zostawiłbym jej samej...”.

Odwróciła się i odeszła. Zostawiła go zawiedzionego pośrodku korytarza. Jakim on prawem... Zamknęła za sobą drzwi. Przyssał się do niej jak pijawka. Jakby mało miała kłopotów. Tego tylko brakowało, żeby jej piosenki wyśpiewywał. Przypomniła sobie... Kiedyś śpiewał jej także Christos. Kiedyś...

*Anna, jak tyle innych,
Anna, piękna Anna,
Anna o oczach przygasłych,
przewrażliwiona Anna.*

[65](#) Nawiązanie do wypowiedzi lidera partii PASOK Georgiosa Papandreu przed wyborami w 2009 r. przekutej w hasło wyborcze *Η αλλάζουμε ή βουλιάζουμε*.

[66](#) Morea – nazwa Peloponezu używana od średniowiecza do XIX w.

55/A23

Przewracała się na łóżku. Sen nie przychodził. Narzekała, wzdychała. Wyłączyła lampkę nocną, za chwilę znowu ją zapaliła. Usiadła na pościeli. Przetarła oczy. Uff... uff... tortura, narzekała. Było po trzeciej w nocy.

– Może zmiana pogody – powiedziałem.

– Nie wiem... Nie wiem...

– Chcesz, żebym ci opowiedział bajkę? – spytałem dla żartu, biorąc ją w ramiona.

Skinęła głową, „tak”.

W ten oto sposób zacząłem jej opowiadać o *Złym wilku i Czerwonym Kapturku*. Jak to Czerwony Kapturek wyruszył z domu zanieść supę chorej babci, jak wszedł do lasu, jak... jak... jak...

Dziesięć minut ciągnąłem tę bajkę. Odgrywałem wszystkie role, zmieniałem barwę głosu, dodawałem szczegóły od siebie, zaskakujące, dziwaczne zdarzenia, przeżycia, których musiał doświadczyć Czerwony Kapturek i tak dalej, bla, bla, bla. Aż dotarłem do końca. Myśliwy zastrzelił wilka, babcia wyskoczyła z szafy, Czerwony Kapturek pokraśniał z radości i padł jej w objęcia... A potem żyli długo i szczęśliwie.

Sen zmorzył ją chyba w trakcie opowiadania. Stał się cud, zdała się na moje ramiona. Czułem, jak jej pierś wznosi się i opada, słyszałem jej ledwie wyczuwalny oddech. W ten oto sposób stałem się bajazetem. Ilekroć spędzaliśmy wieczór razem, nalegała, żebym jej opowiedział bajkę. Wyczerpaliśmy cały repertuar. *O wilku i trzech świnkach*, *O wilku i siedmiu koźlątkach*, *Królowna Śnieżka i siedmiu krasnoludków*. Upierała się, że nikt nie udaje wilka równie dobrze jak ja. Byłem najlepszym złym wilkiem. *Ever!* Rubini uspokajała się. Zasypiała błogo. Znalazła lekarstwo. Byłem jej środkiem nasennym.

56/E5

Teczka „Samobójstwa”, wycinek numer 21

Z kulą w sercu postanowił zakończyć życie trzydziestoletni mężczyzna...

Ambelókambos, 1 marca 2013 roku

Dwa dni krążył z karabinkiem w ręce po ścieżkach i polach, między sadami, wzdłuż strumieni, póki nie trafił do odległego gaju z drzewami pomarańczowymi i cytrynowymi.

Miał trzydzieści lat. Jak długo jeszcze będą go utrzymywać rodzice? Pracy nie mógł znaleźć. Był wszędzie, pukał do różnych drzwi. Wszyscy rozkładali ręce.

Chodził i myślał, siadał pod drzewami i myślał. Męka. Dlaczego nie jest ptakiem, jak te, co fruwać w listowiu, tu, naprzeciwko, albo swobodnie przecinają niebieskie przestworza? Czuł się niepotrzebny. Ile można się kryć przed przyjaciółmi? Ile usprawiedliwień wymyślić? Ile razy będzie się budził i zasypiał bez wiary, że jakoś sobie to życie ułoży? Męczyło go siedzenie w domu, w tej budzie przy starej stacji kolejowej. I ten upadek, ta pustka na dworcu. Dawniej miejsce tętniło życiem, ruch, mnóstwo ludzi. Stąd wyruszało się w podróż ku czemuś lepszemu, ku nadziei. Teraz martwota. Tory zarosły zielskiem. Budynek się wali, tynk odpada, drewniane okna i drzwi butwieją.

Czego mu szukać na tym smutnym świecie? Ma trzydzieści lat. Kiedy ułoży sobie życie?

Westchnął. Usiadł w sadzie, wśród pni pomarańczy i cytryn, żeby odpocząć. Jak pięknie pachną cytrusowe kwiaty, teraz wiosną! Rozglądał się dokoła, wdychał ich aromat. Próbował odepchnąć dręczące myśli. Myślał, myślał, myślał. Potem spojrzał na karabinek ojca leżący obok. Był taki zimny. Dotknął metalu koniuszkami palców. Przeszedł go dreszcz. Chciał odejść z poczuciem ulotnego szczęścia, z płucami pełnymi tej cudownej woni. Przyłożył lufę do serca. Nacisnął spust.

Dwa dni rodzina szukała go na wszelkie sposoby. Chcieli mu powiedzieć, że znalazła się praca w nadmorskiej restauracji. Niech idzie i pogada z właścicielem. W ustronnym gaju zaroilo się od policjantów. Potem przyjechał lekarz sądowy z Patras.

57/C11

Apostolu wiedział, że nie mogą się oprzeć na takiej informacji. Nie pasowała do obrazu, który miał w głowie. Skoro morderca wykonał swój plan ze starannością i opanowaniem, nie zostawiając żadnego śladu, nie jest aż tak nieprzezornym dyletantem, żeby siedzieć w kafeterii, okazując zdenerwowanie i niepokój. Kusiłby los. Facet z kafeterii to jakiś biedak zatrudniony na dniówkę. Pewnie stracił pracę. Kolejny kandydat do armii bezrobotnych. Usiadł na chwilę, żeby przy kawie zebrać myśli, uspokoić się, zanim pójdzie do domu i ogłosi rodzinie i dzieciom to, czego się spodziewał od dawna, „kronika zapowiedzianej śmierci”. Przeraził się, zmartwiał, gdy zjawiły się radiowozy, policjanci z wycelowanymi w niego pistoletami. Nie zdążył nawet ust otworzyć. Skuli go, zawieźli na komendę. Kompletne fiasko. Wypuścili człowieka po dwóch godzinach.

Ale po południu Apostolu dostał inną, istotną tym razem wiadomość. Dwa tygodnie przed zabójstwem delegatów trojki pistolet Glock 17 zmienił właściciela. Informator nie potrafił powiedzieć nic o nabywcy. Ale pośrednikiem był pewien Rumun, niejaki Daniel Vladimirescu, człowiek z półświatka, z wytatuowanym na ramieniu chińskim smokiem. Vladimirescu należał do jednej z grup rumuńskiej mafii działającej na terenie Attyki. Zatrzymany w przeszłości za rozprowadzanie narkotyków, dostał wyrok, odbył karę, trzy lata więzienia, po czym deportowano go do Rumunii. Teraz znów się pokazał. Apostolu rozesłał podwładnych, żeby z fotografią w dłoni szukali Rumuna wszędzie: plac Kotziasa, Omonia, ulica św. Konstantyna, plac Attycki, plac Wiktorii, Święty Pantaleon. Obława. Teraz przynajmniej szukał konkretnego człowieka, prawdziwego, z krwi i kości. Kazał zbadać, czy Vladimirescu ma telefon komórkowy zarejestrowany na swoje nazwisko. Jeśli tak, mogli go zlokalizować dzięki karcie SIM. Czy ten człowiek zaprowadzi ich do mordercy? W każdym razie miał z nim najpewniej jakiś kontakt.

Apostolu wiedział, że glock 17 nie zmienił właściciela bez powodu, to nie był przypadek. Fakt ten musiał mieć związek z zabójstwami. Domniemywał, że organizacje nielegalne, terrorystyczne, przeciwne establishmentowi, skrajnie lewicowe czy skrajnie prawicowe nie uciekałyby się w sposób tak nieprzemyślany i jawny do pomocy obcokrajowców, nielegalnych imigrantów, do półświatka, a zwłaszcza notorycznych przestępców. Zbyt wielkie ryzyko. Chodziło więc zapewne o pojedynczą osobę, która nie miała innej możliwości. Ale i za to głowy by nie dał.

Apostolu nie tracił czasu. Niezależnie od polowania w Attyce i reszcie kraju – bo Vladimirescu ukrywał się zapewne gdzieś w Grecji – wysłał wiadomość do Interpolu z fotografią i wszystkimi danymi. Postanowił też powiadomić zastępcę komendanta, Korkodzelosa, a potem, o co proszono, Narodową Służbę Wywiadu.

Nareszcie pojawiło się w mroku jakieś światełko, tak jak w ciemni pomału wyłania się na papierze fotograficznym czyjaś twarz, jakiś przedmiot czy pejzaż, realnie istniejący, prawdziwy.

58/A24

Umówiliśmy się w klubie przy Eola. Spóźniłem się piętnaście minut. Ruch, korki, demonstracja w centrum. Gdy wreszcie dotarłem, była wściekła. Krzyczała. Zdrowo się namęczyłem, żeby ją udobruchać. „Daj już spokój, daj spokój...”, przemawiałem, zerkając na ludzi dookoła. „W końcu to nie przestępstwo”. Cały wieczór była spięta, słowa z niej nie wydobyłem.

Dwa dni później mieliśmy się spotkać w Tezejonie. Tym razem przyszedłem wcześniej. Człowiek uczy się na błędach. Czekałem pół godziny, czekałem godzinę. Zadzwoiłem, nie odpowiadała. Kelnerzy zaczęli dziwnie na mnie patrzeć, wciąż podchodzili i pytali, co zamawiam. Złakłem się, czy jej się coś nie stało. Wypiłem piwo na chybcika i wyszedłem. Odebrała telefon po dwóch godzinach.

– Co tam, kochanku doskonały, co się dzieje? – usłyszałem jej niewzruszony głos.

Wypadło jej coś nagle, nie mogła... A ja, głupi...

W ramach zadośćuczynienia zaprosiła mnie na następny dzień do siebie na „romantyczną kolację albo i coś więcej”.

– Mam nadzieję, że garnek ci nie wybuchnie – powiedziałem, ale nie załapała.

Będzie czekać o ósmej.

Poszedłem o ósmej. Z winem i bukietem róż, idiota! Dzwoniłem parę razy. Martwa cisza. Kiedy rozczarowany postanowiłem odejść i szukałem kosza, żeby wyrzucić, ze złości, i kwiaty, i butelkę, otworzyła drzwi.

– Co się stało? – spytała zaspana, dopiero co obudzona.

Tarła oczy dłońmi. Zastanawiałem się, czy się ze mnie nabija, przyglądałem się jej badawczo, zdenerwowany. Zapomniała. Zapomniała o kolacji!

– Ach, Boże, przysłałam wykończona z roboty, sen mnie zmorzył... To co robimy...?

Objęła mnie i pocałowała. Ciepło, zimno. Moja wściekłość uleciała. Ziewała bez przerwy.

– To co robimy? – dopytywała.

– Chodźmy do knajpki na rogu – zaproponowałem.

– Nie, nie... – upierała się. – Zrobię coś naprędce do zjedzenia. Carbonara. Może być?

– Może być – przystałem.

Powąchała róże, włożyła je do wazonu. Faktem jest, że nie pachniały. Róże ze szklarni, z chłodni. Uśmiechnęła się.

– Piękne – stwierdziła bezbarwnie.

Potem postawiła garnek na ogniu, zaczęła kroić bekon, ser, pietruszkę. Wtedy zadzwoniła komórka. Pobiegnęła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Wróciła po dwóch minutach z pobladłą twarzą. Został tylko cień uśmiechu.

– Dobrze się czujesz? – spytałem.

– Tak... Tak... Chodź, carbonara czeka.

Otwierałem wino ze zmrożonym sercem. Co to był za telefon? Dlaczego się schowała w sypialni, jakaś tajemnica? Co przede mną ukrywa? Nalałem do szklanek. Zaczęła trzeć ser na posypkę. Była roztargniona, gdzie indziej błądziła myślami. W pewnej chwili spostrzegłem, że się wspina na palce i wygląda z niepokojem przez kuchenne okno, ponad kaktusami stojącymi na parapecie, że patrzy w dół, na chodnik. To mi dało do myślenia. Spojrzałem i ja ukradkiem w ciemny zaułek między drzewkami gorzkiej pomarańczy, na chodnik naprzeciwko. Niczego nie dostrzegłem. Nikogo nie było. Tylko wilgotna, rzadka mgła opadała i obejmowała jak imadło domy i bloki bezbarwne i zimne, nic więcej.

Nie miała apetytu. Ledwie skubnęła makaronu. Ledwie dwa łyki wina wypiała. Wykręcała się bólem głowy, to przez popołudniową drzemkę, przez miesiączkę, nie czuła się dobrze. I tak dalej, głodne kawałki. Nie pozwoliła mi zostać na resztę wieczoru. „Nic się nie martw, będzie dobrze. Czerwony Kapturek jest dzisiaj zmęczony, zły wilku!”.

59/E6

Teczka „Samobójstwa”, wycinek numer 20

Pięćdziesięciopięcioletni mężczyzna położył kres swemu życiu...

Ateny, 1 marca 2013 roku

Szedł do wejścia. A tu naprzeciw bezańskie psisko. Przystanął niezdecydowany, speszony. Zwierzę patrzyło na niego smutnymi wilgotnymi oczyma, zagradzało mu drogę. Ominął psa, zszedł po schodach. Na stacji wmieszał się w tłum. Jeden z wielu. Chodził tam i z powrotem, tam i z powrotem, nerwowo, niespokojnie. Niektórzy popatrywali na niego z zaciekawieniem, większości był obojętny. Nieogolony, niewyspany, oczy podkrążone, zmęczone. Kawałek pogniecionej koszuli wystawał niechlujnie ze spodni.

Mógł mieć koło sześćdziesiątki. Podszedł na skraj peronu, zerkał gorączkowo na tory, na ekrany z reklamami, na elektroniczne tablice z rozkładem jazdy pociągów. Trzy minuty, jeszcze trzy minuty. Wskazówka ściennego zegara. Mroczny tunel. Ambelokipi – Lotnisko Ateńskie.

Tak, był niespokojny. Do jego uszu docierały szept, rozmowy, odgłosy tłumu. Ktoś go zagadnął, nie chciał słuchać. Wszystko wydawało się takie odległe.

Wartownik z ochrony metra stał na przeciwległym peronie. Nienaganny uniform, czarna kamizelka, wilgotne, przyczesane gładko włosy, przylizane. Niewzruszony spoglądał na prawo i lewo, oparty plecami o ciemnoczerwoną kolumnę, znudzony. Ręce skrzyżowane na piersi. Ludzka rzeka napływała bez końca ruchomymi schodami, pod światłem neonowej rzeźby *Procesja* Stephena Antonakosa.

Jeszcze dwie minuty. Odetchnął głęboko. Wokół lodowaty chłód. Spocił się, otarł czoło. Tłum gęstniał. Ktoś go potrącił, popchnął, chcąc przejść. Stracił na chwilę równowagę, ale zaraz ją odzyskał. Sztuczne światło odbijało się w marmurze podłogi. Patrzył pod stopy. Widział swoją sylwetkę, nieokreślony, mętny cień.

Jeszcze minuta. Westchnął znowu. Wtedy dostrzegł faceta z ochrony, który przyglądał mu się bacznie z przeciwka. Wręcz wbijał w niego zimny wzrok. Ręce wzdłuż tułowia. Dzielili ich pustka. Parę metrów. Cztery, pięć, sześć. Co sobie myślał? Że to kolejny zropanzony, kolejny bezrobotny,

emeryt, któremu obcięto świadczenia, zrujnowany drobny przedsiębiorca, bezdomny? Wartownik podszedł na brzeg peronu, patrzył badawczo. A potem ruszył szybko w stronę schodów. Mężczyzna z drugiego peronu wykazywał podejrzane cechy. Ochrona metra miała wytyczne. Żeby uważać. Dziesięć osób popełnia rocznie samobójstwo w ateńskim metrze, ale usiłowań są dziesiątki.

Jeszcze trzydzieści sekund. Nie więcej. Zdaży. Wygląda na przerażonego. Pot spływa strumieniami. Słyszy zbliżający się pociąg, czuje drżenie ziemi pod podszwami. W tunelu, na zakręcie po lewej, widać światło. Krok do przodu. Nagle – dotyk na nodze. Jeszcze jeden. Spogląda. Bezdomny pies z brązową, brudną sierścią. Ociera się o jego łydkę, liże go. „Jak się tu znalazłeś, na dole, przyjacielu?”, szepcze. Pies unosi łeb, ich spojrzenia się spotykają. Obaj mają tak samo smutny wzrok. Wyciąga rękę, głaszcze psa po pysku. Błady, nikły uśmiech pojawia się w kąciku ust. Z tyłu ktoś woła. Nadjeżdża pociąg, słysząc zgrzyt hamulców, mężczyzna spada na tory.

60/C12

Apostolu snuł kiedyś plany o jeszcze jednym, ambitniejszym, albumie. Przemyślał nad nim po wystawie i po podpisaniu umowy z wydawnictwem. Umowy, której w końcu nie zrealizowano. Nie wiedział, jak urzeczywistnić swój zamysł. Ale nikt mu nie bronił marzyć. I podróżować. Z leicą. Zawsze z leicą w dłoni.

Rozpisał plan w notatniku. Gruby papier, czarny pisak. I stale go uzupełniał. Dodawał miejsca i dziwaczne zjawiska na całym świecie. Zamierzał przedstawić pomysł dużemu wydawnictwu zagranicznemu. Taschenowi, powiedzmy. Wyśle im szczegółowy projekt oraz album z fotografiami zrobionymi w Grecji. Znalazł adres, zapisał: Hohenzollernring 53 D-50672, Köln. Nigdy nic nie wiadomo... Chociaż to nieprawdopodobne, utopijne. On u Taschena! Ale nic nie straci, jeśli spróbuje, więc czemu nie?

Już się widział na górach lodowych i pustkowiach Doliny Wrighta na Antarkydzie, gdzie nie padało od dwóch milionów lat. Albo w helikopterze nad Wielką Błękitną Dziurą w Belize i nad Okiem Afryki na Saharze, które ma średnicę prawie pięćdziesięciu kilometrów. Albo wędrującego po wyspie Sokotra w Jemenie, na której rosną niewystępujące gdzie indziej, dziwaczne rośliny: drzewo *Dracaena cinnabari*, które „krwawi”, gdy się je ścina, i krzew, adenium opasłe zwane też różą pustyni, z pniem w kształcie butelki. I nad wyschniętym jeziorem Racetrack w Dolinie Śmierci w Kalifornii, gdzie w niewyjaśniony sposób przemieszczają się po paręset metrów, jak żywe, dolomity – „wędrujące kamienie”, zostawiając nawet po sobie ślady. Widział się w Piekielnym Kanionie, na Wieży Diabła, w Kanionie Antylopy z wyrafinowanymi formacjami z piaskowca nieustannie zmieniającymi barwy w ciągu dnia – czerwień, brąz, róż, fiolet, i w skamieniałym lesie w Arizonie. Wszystko to w Stanach Zjednoczonych. Wyobrażał sobie, że jedzie do Norwegii fotografować niewytłumaczalne białe światła, które pojawiają się nie wiedzieć czemu nad doliną Hessdalen. Albo że pływa stateczkiem między niesamowitymi wyspami archipelagu Palau i po jeziorze z milionami złotych meduz. A później, w Kanadzie, podziwia alkaliczne jezioro Spotted Lake, na którego dnie – gdy latem wysycha – widać wielkie kolorowe plamy obecnych tu w dużym stężeniu pierwiastków śladowych. I że odwiedza Groblę Olbrzyma, czterdzieści tysięcy bazaltowych kolumn o sześciokątnym przekroju, w Irlandii Północnej. Poleciałby też

helikopterem nad samotną górę Roraima o stromych, pionowych ścianach wysokich na czterysta metrów i o jedynej w swoim rodzaju faunie i florze, na granicy Brazylii, Gujany i Wenezueli. Pływałby statkiem po Zatoce Meksykańskiej, żeby zobaczyć „czerwone zakwity” będące efektem masowego rozwoju mikroskopijnych glonów. Chciał dotrzeć w okolice przylądka Horn, do strefy najgwałtowniejszych prądów i wiatrów na świecie, do ryczących czterdziestek, wyjących pięćdziesiątek i bezludnych sześćdziesiątek. I na świętą górę taoistów Sanqing w Chinach, z której widok zapiera dech w piersiach. I nad jezioro Nikaragua z czterystoma wysepkami, w którym żyją słodkowodne rekiny i włoścniki. No i, rzecz jasna, na półwysep Kamczatka w Rosji, gdzie panują skrajne warunki atmosferyczne, gdzie jest wyjątkowa, dzika przyroda i dziesiątki wulkanów.

O tym wszystkim marzył Apostolu, gdy był zmęczony, gdy mu brakowało nadziei, chociaż wiedział, że te odległe i niezwykle miejsca nie są dla takich jak on, zwykłych śmiertelników. Ale, tak, nikt mu nie zabroni marzyć.

61/D11

Takos Arwanitakis nakazał swoim przybocznym, by mieli oko na jego brata. Plan Christosa wziął w łeb. Cały dzień trzymał się na uboczu, siedział w ruinach kościoła św. Jerzego zapatrzony w pieniaące się w dole, w Skali, porcie Oroposu, morze. Chmurny, nerwy jak tłący się lont. Na czole, w miejscu, gdzie dotknęła go lufa pistoletu Takosa, wciąż jeszcze czuł chłód metalu. Rzucił kamyki na drogę i rozmyślał, rozmyślał... Odtwarzał w pamięci całe swoje życie.

Opowieści ojca, który ich odumarł, gdy byli jeszcze dziećmi. Słyszał, jak mówi o ojczystych stronach, o Pramandzie w Epirze i o szczycie Strungula w masywie Tzumerka. O tym, jak podczas wielkiego powstania pojawił się w ich stronach sam Karaiskakis, i jak ojciec przyłączył się do jego powstańczego oddziału. O tym, jak weszli do wioski Turcy Churszyda Paszy i ją spalili. I jak pewnego dnia, w środku lata, zabrał bliskich i udali się do Agrafy. Tam urodzili się i tam wychowali Christos i jego rodzeństwo, wygnańcy i uchodźcy, którzy osiedli w Maratosie, ojczyźnie słynnego zbrojnika Katsandonisa⁶⁷. Ziemi przodków w Pramandzie nie zobaczył nigdy. Jego ojczystą ziemią stały się góry Agrafy.

Jako małe dziecko wciskał się pomiędzy starców, którzy, przesiadując w głębokim cieniu platanów, snuli opowieści o wyczynach Katsandonisa. Słuchał delikatnego szemrania wody w rzece tuż obok, wdychał miłą woń platana i opadających pożółkłych liści, wirujących niepewnie chwilę w powietrzu, a potem znikających w rzeczonym nurcie. Z otwartymi ustami chłonał opowieści o walkach Katsandonisa z Alim Paszą⁶⁸, z tureckimi poborcami haraczy, spahisami⁶⁹, derwenagami⁷⁰, o tym jak Katsandonis zabił Weligiekasa⁷¹, jak został zdradzony i pojmany, o jego tragicznej śmierci. Słuchał ludowych pieśni na cześć Katsandonisa, które starcy nucili zawodzącymi głosami:

*Ach, czarna ty jaskółko ma, co w tamte zmierzasz strony,
kleftom i Katsandonisowi na skrzydłach nieś ukłony⁷².*

Albo:

*Żegnajcie szczyty stromych gór i wy, chłodne krynice,
Kryjówko kleftów, bywaj mi, w Agrafach i Dzumerkach.*

Jeśli spotkacie żonę mą, syna gdzie zobaczycie,

Powiedzcie, że chwycili mnie podstępem, wzięli zdradę⁷³.

Pierś wzbierała mu wzruszeniem, policzki płonęły i czuł, że gdzieś w pobliżu wciąż się ukrywa legendarny Katsandonis. Wszędzie dokoła były jego ślady, duch jego, i w oparach mgły snującej się po okolicznych górach, i w lasach, i w strumieniach. Kiedy samotnie wypasał na pustkowiach stado, nieraz zdawało mu się, że tuż obok, gdzieś niedaleko, w chmurze mgieł, które go otaczały, czuwa jego bohater. Odwracał wtedy głowę, spoglądał w prawo, w lewo, spodziewając się, że go ujrzy. W fustaneli, w tsaruchach i kołpaku, ze złotymi pistoletami i srebrnymi jataganami za pasem. A kiedy brat, Takos, poszedł na rozbój, wyczekiwał, że i jego przywoła do siebie, tak jak Katsandonis przywołał swoich braci, Kostasa Lepeniotisa i Jorgosa Chasiotisa, i nawet uczynił ich kapetanami. Błagał Takosa, padł przed nim na kolana, lecz ten odmówił. Odmawiał uparcie, nie chciał o tym słyszeć. Nie rozumiał nalegań Christosa. Przypominał mu, że jest dzieckiem najmłodszym, ostatnim. Ma zostać w domu, chronić matkę i siostry. Mają i innych braci, ripostował Christos, oni niech je zabiorą do siebie. Tak, wyrastał w przekonaniu, że zbójowanie jest synonimem junactwa. Czyż nie słyszał, jak matki w Agrafie chlubią się synami zbójcami, jak ludzie ich podziwiają i nazywają kleftami, a ich morderców zwą pogardliwie „niewdzięcznikami”? Marzeniem każdego biedaka, każdego uciśnionego było wejść w szeregi zbójców, wyposażyć siostry i siostrzenice, zapisać się w ludzkiej pamięci odważnymi czynami.

Tam w Maratosie, w wiosce Katsandonisa, godzinami włóczył się Christos jego śladem i marzył o podobnym życiu. Zachodził do kościoła Świętych Archaniołów, gdzie Katsandonis ochrzczony został przez swojego dziadka, kleftę Wasiliosa Diplasa, i z upodobaniem wdrapywał się na siedzisko stasydionu⁷⁴, na miejsce, które, jak mawiali mieszkańcy wioski, zajmował w czasie liturgii jego bohater.

Znowu widzi Mátaros pomiędzy szczytami Koftry, Prosiliakosa, Piramidy, Muskosa, Ambary i Uranosa. Strome urwiska, zbocza, żleby i lasy. Pomędzy nimi rozpościerały się ich letnie hale, z których jesienią sprowadzali kozy na zimowy wypas. Przed oczami ma znowu rzekę Miresiotis, z jej lodowatą wodą, wodospadami i wodnymi młynami. Często wspinał się na Grzbiet Welisa, żeby zobaczyć miejsce, gdzie Katsandonis odebrał Weligiekasowi życie, potem szedł dalej do „Zagród Makrijanisa”,

tam, gdzie urządził swoje tselingato ojciec Katsandonisa, Janis Makrijanis, Karakaczanin, zarządca wszystkich okolicznych stad.

Tak, wszystko to sobie przypomina, jakżeby inaczej... Wzdycha. Wciąż słyszy beczenie stada, stukot racic o kamienie, pobrzękiwanie dzwoneczków niosące się gdzieś z tyłu za nim, ponad wąwozami.

Pochyla głowę, wspomina tamten dzień, gdy do ich zagrody przybył oddział żandarmerii. Jesień. Deszcze, przed pierwszymi śniegami. Braci nie było, rozproszeni, u innych służyli, przy cudzych stadach. Był sam jeden, z matką i siostrami. Zobaczył ich w dole ścieżki, jak pieli się konno pod górę, do ich chaty. W kolumnie, jeden za drugim. Końskie kopyta zapadały się w błocie. Uciekać? A matka i siostry? Nie mógł ich zostawić samych. Poza tym, co miał na sumieniu? Nic. Krzywdy nikomu nie wyrządził.

Byli okrutni, dzicy. Pojmali go natychmiast, bez gadania. Powiesili za nogi, głową w dół, wędzili dymem palonego siana, sypali tytoniowym proszkiem w oczy. Potem ledwo żywego związali u stóp płatana, skrępowali ręce z nogami i chłostali po twarzy witkami niepokalanka. Nie jego pierwszego. Brata, Apostolosa, też oćwiczyli kiedyś żandarmi okrutnie. Tak, że przez sześć miesięcy nie był zdolny pilnować stada. Wypytywali natarczywie o Takosa. A tamten nic. Pary z gęby nie puścił. I oto teraz znowu ich tu przyniosło, diabelskie nasienie. Nie dadzą im spokoju. Matka i siostry podniosły wrzask, błagały, by go zostawili, bo go utrupią na amen, a to jeszcze dziecko, rzucały się go osłonić, żandarmi je odpychali. „Precz... Precz stąd!”. Paru innych tymczasem złapało kozę. Zarznąli ją, obdarli ze skóry, nadziali na rożen i zawiesili nad ogniem.

Odczekali chwilę, żeby złapał oddech. Podszedł dowódca, rotmistrz. „Gadaj, bydlaku. Mam ja sposoby, żebyś z siebie wypluł, gdzie się Takos ukrywa. Gadaj, bo pożałujesz dnia, w którym na świat przyszedłeś”, wysyczał mu prosto w twarz.

Skóra Christosa Arwanitakisa była opuchnięta. Otworzył oczy, zebrał w ustach flegmę i krew i z całą siłą, jaka mu pozostała, plunął rotmistrzowi w twarz. „Ty zaprzedańcu z pagonami!”, krzyknął. „Takoś cię żywcem ze skóry obedrze”.

Bestia wstąpiła w rotmistrza. „Przeklniesz chwilę, gdy na świat przyszedłeś, bydlaku! Nie wydasz go ty, to siostry go wydadzą. Ciemno się robi, a chcę, żebyś widział. Pęknieś do rana, nie masz wyjścia. A jak nie, to zrobimy inaczej... Mam i co do nich niezłe plany”, i tu wymownie

dotknął przyrodzenia. Żandarmi zarechotali. Rotmistrz rozkazał, by go znowu obili.

Jedli i parskali śmiechem. Niektórzy zaczepiali siostry. Słyszał ich sprośne odzywki. Widział, jak jeden wyciąga łapy ku najmłodszej i jak zapłakana matka kijem próbuje go przegnać. Christos chciał wstać, żyły mu nabrzmiały, usiłował rozerwać więzy, ale nie dawał rady, był całkowicie wyczerpany, nie, nie dawał rady, osunął się pod drzewo. Wydobył z siebie okrzyk, który poniósł się echem daleko, po zboczach, po wąwozach, aż ucichł. A wtedy Christos zastygł bez ruchu. Ogarnęła go rozpacz, wybuchnął płaczem. O, Boże! Jak bardzo ich nienawidził, tych pagoniarzy!

A później, w ciemności, kiedy żandarmi jedli i pili, zaśmiewając się w głos, poczuł delikatny dotyk dłoni, nóż przeciął sznury, uwolnił go z pęt. „Uciekaj... uciekaj”, usłyszał głos siostry. I przez moment gotów był rzucić się do ucieczki. Ale pohamował się. Nie mógł ich przecież zostawić samych i uciec. Jakim byłby mężczyzną, jakim opiekunem...? Nakłonił je, by też uciekały. Związały rzeczy w tobołek i wymknęły się z chaty od tyłu, rozsunawszy żerdzie i poszycie ze słomy, sitowia i gałęzi. Ruszyły w góry, tam, gdzie skierował je Christos, do jaskini w Selosie. I chociaż prosiły, by uciekał z nimi, odmówił, „dołączę do was później”, uspokoił je. Krew wrzała w nim jeszcze z wściekłości.

Nie chodziło mu o katusze zadane przez żandarmów. Nie, nie o to chodziło. Ale o zniewagę sióstr. Ta zniewaga żądała zapłaty. Prócz tego był jeszcze Takos. Jak mu spojrzy w oczy? Musiał wypełnić obowiązek. Musiał dokonać zemsty. Poszedł do obory, sięgnął do skrytki, wydobył legendarną króciwą ojca. Pamiątka z czasów powstania, którą zachował, a nuż będzie potrzebna. Ruszył w kierunku żandarmów. Bez wahania strzelił do pierwszego, który mu się nawinał po drodze. Odszedł był na stronę, stał pod krzewem chruściny i odlewał się z ulgą, gdy posłyszał kroki, chrzęst gałęzi za plecami. Odwrócił głowę i ujrzał Christosa w cieniu. Przeraził się. Wybałuszył ślepią, osłupiał. Christos uniósł pistolet, błysnęło ogniem w ciemności. Trafił prosto w serce, tamten padł bez czucia. Strzał zabrzmiał jak grzmot w środku nocy. Poniósł się echem po wąwozach. Christos rzucił się do ucieczki. Słyszał za sobą krzyki żandarmów, którzy puścili się za nim w pogoń, tupot kroków, a potem odgłosy strzałów oddawanych w jego kierunku. Poczuł, jak cierpnie mu lewe ramię, krew barwiła rozdartą koszulę.

Zeskoczył do suchego koryta potoku. Z łatwością się wymknie, był jak zwierz we własnym mateczniku. Zniknął w lesie. Poszedł dzikimi ścieżkami, skrył się w skalnej niszy. Nabrał sił i o świcie ruszył w drogę do Weluchi. Wiedział, że tam ukrywa się Takos ze swoją bandą. Maszerował dwa dni, po drodze zaszedł do znajomych pasterzy, tselingasów, ludzi Takosa. Ugościli go, opatrzyli i namawiali, żeby został u nich, póki rana się nie zagoi. Ale uparty był, chciał iść dalej. Dali mu wskazówki, gdzie znajdzie brata, wyruszył. Pod koszulą wciąż miał króciwą ojca. Ona była teraz całym jego dobytkiem. Ciekawe, ilu Turkom odebrała życie ta broń w czasach powstania...? Czuł się jak jego bohater, ścigany kleft Katsandonis. Żandarmi na niego polowali. Jeśli go złapią – szafot. Nie miał wyjścia, musiał i on iść na rozbój. To, o czym marzył od tak dawna, a czego Takos mu odmawiał, stawało się rzeczywistością. Innej drogi nie było.

Pokonując żleb za żlebem, między górskimi szczytami, odnalazł strumień, o którym mówili pasterze. Szedł z jego biegiem, wzdłuż wody spienionej, rozbijającej się o kamienie. Suche, jesienne liście szeleściły pod tsaruchami. Pachniało pleśnią i wilgocią. Leśne wonie. Jakaś wrona zakrakęła w ciszy i odleciała daleko. Nagle usłyszał groźny okrzyk. „Stać!”. To Joanis Fermanis, Tzitzilonis. Znał Christosa, kilka razy zachodził z Takosem do ich letnich zagród. Ale Christosa w tak opłakanym stanie Tzitzilonis nie był w mocy rozpoznać. Wysunął groźnie strzelbę. „Coś za jeden? Gadaj! Ktoś ty?”. Natrudził się Christos, nim go zdołał przekonać, że to on, brat Takosa, że to nie pułapka. Nie, nie wie dzie za sobą żandarmów. Słaniał się na nogach. Kompletnie wyczerpany, blady jak kreda. Ramię znowu krwawiło, plamiąc czerwienią koszulę. Na twarzy nadal widniały pręgi po razach żandarmów. Takiego go zaprowadził Tzitzilonis do Takosa. Ledwie żywego. I od tamtej pory Christos pozostał z bratem.

W następnych dniach Takos osobiście odnalazł matkę i siostry w jaskini Selosu. Ukryły się w głębi, w ciemnościach, przerażone. Zabrał je i zaprowadził do zagrody Mitrosa Malamulisa w Tebach. Byli braćmi krwi i serdecznymi przyjaciółmi. Ufał mu.

[67](#) Andonis Katsandonis (1775–1808) – grecki kleft, który włąwił się swymi czynami w latach poprzedzających powstanie 1821 r. Działał w okolicy Agrafy i na terenie Etolokarnanii.

[68](#) Ali Pasza z Tepeleny (1744?–1822) – osmański możnowładca, lennik sułtana. Niezależny władca Epiru.

[69](#) Spahis – lennik niewielkich posiadłości ziemskich w Turcji osmańskiej, obowiązany do służby wojskowej. Do 1826 r. spahisi stanowili nieregularną jazdę turecką.

[70](#) Derwenaga – w Turcji osmańskiej dowódca oddziału zbrojnych, strzegących dróg i górskich przełęczy.

[71](#) Weligiekas (?–1806) – derwenaga albańskiego pochodzenia, słynący z męstwa, ale i okrucieństwa, sługa Alego Paszy z Tepeleny.

[72](#) Przekład Beata Żółkiewicz-Siakantaris.

[73](#) Przekład Małgorzata Borowska, w: *Arcydziela literatury nowogreckiej*, t. 2: *Gminna pieśń Greków*, Warszawa 2004.

[74](#) Stasydiony – rodzaj wysokich krzeseł w greckim kościele prawosławnym ustawianych wzdłuż ścian świątyni. Dzięki podnoszonej klapce siedzenia i podwyższonemu oparciu dla łokci ułatwiają stanie w czasie liturgii.

62/A25

Glock 17. Leżał przede mną rozłożony, każda część osobno, na stole. Tłumik, lufa z komorą naboju, magazynek, zamek, sprężyna z żerdzią, język spustowy. Naboje 9x19 Parabellum. Samopowtarzalny. Czarny. Szkielet wykonany z lekkiego polimeru.

Czy taki drobiazg może zabić? Czy będę zdolny nacisnąć spust? Mogę być mordercą? Ja? Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej tchórzyłem. Wahałem się. A potem znów nabierałem odwagi. Nienawiść. Tego potrzebowałem. Wystarczyło pomyśleć o biedocie i jej niedoli. O ojcu. I o tamtych – nosiłem ich obraz w głowie. Ludzie tacy jak oni zniszczyli moje szczęście. I nienawiść znowu we mnie wzbierała.

Wyszukałem w internecie opis. Donośność pięćdziesiąt metrów, masa sześćset dwadzieścia pięć gramów, trzystopniowy system zabezpieczeń. Skonstruowany w Austrii w 1982 roku przez Glock GmbH. Sprzedano pięć milionów sztuk. W Ameryce stał się hitem, bo trudno go namierzyć wykrywaczami metalu.

Później złożyłem go i znowu wziąłem do ręki. Lekki. Przeszedł mnie dreszcz – całe ciało, każdy nerw, kości kręgosłupa. Odbezpieczyłem. Palec wskazujący dotknął cyngla. Dong, dong. Jeszcze raz. Nie huczy, nie ogłusza. Dong! Dźwięk matowy, słaby, metaliczny. Łatwizna. Przyglądałem się mu zaaferowany.

Znowu pomyślałem o ojcu. Trzyma pistolet. Unosi go prawą, drżącą ręką, przykładając do skroni... Ciarki mnie przeszły. A teraz... Pistolet w moich rękach. Glock 17. Nie wiem, jaką bronią zabił się ojciec. Jakie to ma znaczenie?

„Tysiąc euro, jak mówiliśmy”, warknął facet w jednej z przecznic św. Konstancy, za stertą śmieci. Twarz miał spaloną słońcem, pobrużdżoną jak drewno odarte z polityry. Cudzoziemiec. O niezbyt ciemnej skórze. Nie pytałem. Miał trochę kłopotu z greckim. Nawinął mi się trzy dni temu. Wiedziałem, że w tamtej okolicy złoczyńcy wszelkiego sortu, handlarze narkotykami krążą wokół przechodniów i ćpunów jak sępy nad padliną. Rozglądałem się. Musiałem wyglądać na zagubionego. Upał. Słońce prażyło. Jak w szczycie lata. To on się do mnie przyczepił. Czułem, że się zbliża, widziałem jego skurczony cień. Usłyszałem chrapliwy szept: „Chcesz ziela, brachu?”. Odwróciłem się, spojrzałem na niego. Palik. Wałeczek popiołu sterczał u czubka papierosa i rósł, rósł... Wreszcie spadł na trotuar, rozsypał się, rozproszył. Palce zabarwione na żółto od nikotyny.

Koszulka z krótkim rękawem. Czerwona. Gruby, złoty łańcuch na szyi. Na ramieniu tatuaż. Wijący się smok. Urobor – z ogonem w pysku. Zobaczyłem jego oczy. Okolone zmarszczkami. Zaczerwienione, groźne, naczynka krwionośne poszerzone. Z piekła rodem. Cztery, pięć sekund. Cisza. Sześć. Mierzyliśmy się wzrokiem. Rozejrzałem się. Siedem.

Pochyliłem się do przodu. I też szeptem powiedziałem:

– Chcę pistolet. Znajdziesz?

Zatkało go. Patrzył na mnie ze zmarszczoną brwią. Zbity z tropu. Znowu podniósł papierosa do ust, zaciągnął się głęboko. Głowa mu się obracała jak peryskop. Czujny był. Wydmuchał dym, westchnął. Śmiech. Przeszywający, sztuczny. Położył mi rękę na ramieniu. Smród. Potu, papierosów, niemycia. Miałem ochotę zatkać nos.

– Pistolet, brachu, kosztuje.

– Ile?

Myślał chwilę. Kolejny mach. Żeby zyskać na czasie. Wydmuchał dym do góry.

– Tysiąc!

– Osiemset – powiedziałem przybity. Próbowałem się targować.

Prychnął.

– Ile mówię. Ani bez jedno euro.

– Osiemset – powtórzyłem.

Widziałem, że traci cierpliwość. Trzęsły mu się ręce. Pokręcił głową.

– Ryzyko, więc ni ma – rzekł poważnie, poirytowany, wręcz zagniewany.

Pocił się. Maniakalnie tarł dłońią o dłoń. W tył zwrot, wysunął prawą nogę, zamierzał odejść. Pękłem.

– Zgoda. Do tego pięćdziesiąt naboí. I tłumik.

Odwrócił się. Znowu zarechotał. Jakby z głębokiej jamy, z podziemi dobywał głos. Rzucił peta na chodnik i gniótł go zajadle czubkiem zniszczonego buta. Przestał się śmiać.

– Komuś źle – rzekł. – Wielka nienawiść, brachu.

Utkwił we mnie wzrok. Piekło. Zbliżył twarz do mojego ucha. I znowu fetor, pot, ocet miałem w nozdrzach.

– Słuchaj, koleś... Dobrze ci ja życzę, nie próbuj mnie zrobić. Bo jaja urwę i do ust zatkam!

Omiótł wzrokiem przechodniów, bezdomnych, narkomanów przemykających jak cienie.

– Nie martw się – powiedziałem.

– Jesteś tu za trzy dni o ta pora. Z kasą. Spadaj teraz... – rzekł.
Odwrócił się i odszedł, nie patrząc za siebie.

Wróciłem po trzech dniach. Siedział na stopniach opuszczonego domu, neoklasycystycznego. Drewniane drzwi były zamknięte na kłódkę z grubym, zardzewiałym łańcuchem. Nad jego głową wisiał balkon mogący zarwać się w każdej chwili. Tynk odpadał, szczyrzyły się otwory pęknięć. Wyglądał na niespokojnego. Znowu głowa jak peryskop.

– Jestem! – rzuciłem.

Przyjrzał mi się dokładnie. Zmrużył powieki. Zaśmiał się ochryple. Potem długo kaszłał. Wreszcie przestał. Charknął flegmą z głębi gardła, splunął.

– Chodź!

Poszedłem za nim. W wąski zaułek. Jakiś narkoman, żółty na twarzy, skóra i kości, stał przy stercie śmieci. W poplamionym, podartym ubraniu. Mój puścił do niego oko. Wyjął pięć euro, podał je chudzielcowi i gestem nakazał, żeby sobie poszedł. Patrzyłem, jak tamten oddala się wolnym krokiem, jak się zatacza, przygarbiony, i zatrzymuje na rogu. Obejrzał banknot. Z jednej i z drugiej strony. Dwóch innych pojawiło się przy nim, wyciągali szyje w naszym kierunku. Patrzyli mętным wzrokiem.

Typ w złotym łańcuchu wyciągnął ze śmieci niebieską plastikową torbę.

– Tysiąc, jak mówił – burknął.

Otworzyłem torbę. Glock 17. Z pewnym trudem go odbezpieczyłem. Pociągnąłem zamek ku tyłowi, naciskając jednocześnie zatrzask. Coś tam pamiętałem z wojska. Pistolet wydawał się w porządku. Tłumik. Przeliczyłem pobieżnie naboje. Czterdzieści. Spochmurniałem.

– Pięćdziesiąt miało być – zaprotestowałem.

– Tyle ja znalazł – rzekł chłodno. – Nie chcesz... Zabieram z powrotem.

Podąłem mu plik banknotów. Trzymałem je na czarną godzinę, połowa oszczędności z ubiegłego lata i Bożego Narodzenia. Z pracy w domach towarowych. W supermarketach. Harówa. Oczy mu zapłonęły. Splunął w palce. Przeliczył. Pięć banknotów po sto, dziesięć po pięćdziesiąt.

– Zjeżdżaj! – warknął.

Oddaliłem się szybko, słuchając, jak kaszle i kaszle.

Wsadziłem plastikową torbę do plecaka. Plecak zarzuciłem na ramiona i ruszyłem przed siebie. Rozglądałem się niespokojny. Zerknąłem za siebie. Ominąłem narkomanów. Wszedłem na plac Zgody. W ulicę Patisyjską. Inny świat, świat imigrantów. Wsiadłem na motorower, który zostawiłem

w podcieniach na chodniku. Przekręciłem kluczyk w stacyjce. Motor zawarczał. Dodałem gazu. I już mnie nie było.

63/B9

Sergidis dotarł na uczelnię rano. Gmach Wydziału Filozoficznego wciąż jeszcze okalały policyjne taśmy. Radiowozy parkowały krzywo na chodniku, a policjanci nadal przeszukiwali budynek, zakątki, gabinety, sale wykładowe. Przesłuchiwali nauczycieli akademickich, urzędników i studentów. Dziekan krążył tu i tam z oficerem policji. Niecierpliwił się. „Musimy przecież pracować!”.

Do toalety, gdzie znaleziono martwe ciało młodej kobiety, nie wolno było wchodzić. Podobnie jak do znajdujących się w pobliżu pomieszczeń. Dwaj policjanci w rękawiczkach i maskach, z pędzelkami, szukali śladów, zbierali każdy włos. Ktoś zawiadomił Sergidisa, że dzisiaj także nie będzie mógł korzystać ze swojego gabinetu, który mieścił się w wydzielonej, zamkniętej strefie.

O przerażającym zabójstwie dowiedział się wczoraj rano pod wejściem na wydział. Jego gabinet oddalony był o dwa kroki od miejsca zbrodni. Złożył zeznania policji. Powiedział to, co wiedział. Czyli nic. Co robił w gabinecie do czasu, gdy z niego wyszedł? Pracował nad książką, którą właśnie pisze. Nie, nie zauważył niczego nadzwyczajnego. Do toalety poszedł tuż po ósmej, oddać mocz. Niczego nie słyszał, nikogo nie widział – poza studentami, którzy wychodzili po wykładzie z audytorium i szli do domu. Zajęcia kończą się o ósmej, chyba że któryś z kolegów... „A zatem zbrodni dokonano z pewnością po ósmej, bo tuż po ósmej, jak mówiłem, poszedłem do toalety i wszystko było w porządku”. Opuścił budynek po dziewiątej, udał się do domu, poćwiczył krótko na bieżni, póki się nie spocił, potem kąpiel, jogurt i... spać. Tyle. Nic więcej. Zwykle zeznanie, policyjna rutyna.

Sergidis załatwił sobie w sekretariacie klucz do gabinetu Dukarelisa, który przebywał za granicą – wykład o *Prahistorycznej archeologii Małych Cyklad* na uniwersytecie w Genewie – żeby mieć własny kąt przez te dni, nie poniewierać się raz tu, raz gdzie indziej. I właśnie w gabinecie Dukarelisa był tuż przed jedenastą. Zamierzał wyjść na zajęcia ze studentami, już się schylał po teczkę, gdy dwaj policjanci zapukali do drzwi i prawie natychmiast, nie czekając na pozwolenie, wtargnęli do środka. Wysocy, dobrze zbudowani, potężni.

– Pan Sergidis? – spytali bez ceregieli.

– Tak.

– Mamy nakaz prokuratora. Jest pan aresztowany. Za zamordowanie tej młodej kobiety.

– Ależ... Chwileczkę, to jakaś pomyłka... Nie można... nie możecie... chwileczkę... – jękał bezradnie. Na tyle tylko było go stać, „chwileczkę”.

Policjanci niczego więcej nie wyjaśniali, nie dodali ani słowa. Robili swoje. A ich robota polegała na wykonaniu poleceń prokuratora. Popchnęli go brutalnie, aż przywarł twarzą do ściany, przeszukali i skuli kajdankami. Wszystko stało się tak szybko, tak niespodziewanie. Trwało ledwie parę sekund.

Sergidis oniemiał, uległ. To jakiś senny koszmar – zdołał wymyślić jego zmacony umysł. Trzeba się obudzić. Tymczasem poddał się rozkazom. Bezradny i bierny, niezdolny oponować, w absolutnym władaniu prawa i sprawiedliwości. Ręce miał unieruchomione za plecami, policjanci nieśli go prawie, jeden z prawej, drugi z lewej strony.

Wlekli go korytarzami, pod drzwiami gabinetów, a potem szybko w dół po schodach, niczym cudactwo wodzone ku uciezce gawiedzi po cyrkowej arenie. Przebrnęli przez tłum studentów, profesorów i urzędników, którzy stali i patrzyli zdumieni, rozstępując się niczym wody Morza Czerwonego, niektórzy w szoku i przerażeniu, z wytrzeszczonymi oczami, osłaniali dłonią otwarte usta. Wlepiali wzrok w Sergidisa oddalającego się w żelaznych okowach jak najgorszy przestępca. Dotarłszy do radiowozu, policjanci wepchnęli zatrzymanego do środka i odjechali.

Nie, to nie był Sergidis, którego znali. Ten, który przemknął obok nich, wyglądał jak zjawą, zahipnotyzowany, zagubiony, z pustym wzrokiem. To nie Romanós Sergidis, człowiek o niezachwianej pewności siebie, panujący bez reszty nad swoim życiem i losem, przeszedł między nimi. Nie jego widzieli. Tylko maskę jakąś. Istotę słabą, bladą, skurczoną, uwięzioną we własnej, sztywnej skórze.

64/C13

Od paru dni nie zamienili słowa. Żyli w napięciu. Zło przebrało miarę. Anna miała dość – tak powiedziała – zmęczyło ją drugie miejsce, wiecznie drugie miejsce. Drwiła ze „służby”. Nie pierwszy raz. Apostolu podnosił głos. No bo jakże to? Potem żałował, więc milkł. Chciał się do niej zbliżyć, ale sam nigdy nie robił pierwszego kroku. Zawsze czekał na Annę. Był egoistą? Był. Ale też pragnął dawnej harmonii między nimi, jej bliskości. Chciał, żeby wtuliła się w jego ramiona, bo wtedy mógłby okazać jej czułość. Nie spodziewał się skruchy czy pokory. Nie. Po prostu, gdy zbliżała się do niego, świat jaśniał. A on sam był radosny, szczęśliwy. Faktem jest, że Anna oczekiwała od niego większej spontaniczności. On jednak skrywał myśli i uczucia. Wylewność, otwartość nie wchodziły w grę, wszystko musiał przemyśleć. Zawsze był taki. Ale kochał ją przecież. Często mu wyrzucała, że prawdziwe uczucia zdradzają tylko jego fotografie, że to one są zwierciadłem jego duszy. I że ciągle odnosi wrażenie, jakby miała przed sobą maskę, zimną i bez wyrazu.

Taki był Apostolu. Od dziecka. Jakby się bał kontaktów z ludźmi. Powściągliwy, zamknięty charakter. Chciał przechodzić niezauważony, nigdy się nie wychylał. Małomówny, nie umiał nawiązać rozmowy, wciąż szukał słów – jak się ma odezwać, co powiedzieć? Myśli mu się mieszały, zawęzły. Dlatego godzinami potrafił trwać w milczeniu, zamknięty w sobie.

Apostolu patrzy na przeciwległą ścianę, ale nie ją widzi. Poznał Annę na studenckiej potańcówce na wydziale prawa. Znajoma znajomych. Była obiektywnie ładna, ale on uważał, że coś znacznie więcej. Przez pijackie różowe okulary widział wokół jej inteligentnej buzi aureole i nieziemskie blaski. Słyszał fanfary i niebiańskie pienia, szum anielskich skrzydeł.

Stał i patrzył, jak tańczy, jak wiruje na parkiecie. Kręciło mu się w głowie. Niczym w *Łowcy jeleni*. *You're just too good to be true / I can't take my eyes off you*. Trzymał w dłoni szklaneczkę whisky, zataczał nią małe kręgi, słuchał stukotu lodowych kostek, unosił szklanekę do ust, pił łyk za łykiem. Nie śmiał z nią porozmawiać ani zaprosić jej do tańca. Tak, był nieśmiały. Miłość spadła na niego niespodziewanie, jakby dostał przez łeb. Niech to szlag, faktycznie, ten ból pod czerepem, walenie młotem po czaszce, nie nawykł do whisky.

Cały wieczór wymyślał i złorzeczył w duchu samemu sobie. Dlaczego się nie ruszy, nie chwyci jej za ręce, nie zatańczy? Cóż bardziej naturalnego?

Miał ochotę cisnąć szklanką o ziemię, do diabła z nią, niech się rozbije na tysiąc kawałków, i... podejść do dziewczyny. Ale nie śmiał. Zawsze był taki. Tamtego wieczoru stracił pierwszą okazję.

Znowu wyszli gdzieś razem, całą paczką. Zamienili dwa słowa, dwa spojrzenia. Tylko tyle. Trzeba było całego roku, by uznał, że nie może się dłużej dręczyć. Podjął decyzję. Powtarzał na próbę słowa, które chciał jej powiedzieć.

Odważył się w czasie całodniowej wycieczki na Hydrę pod koniec wiosny. Wspinali się po schodach ponad miasteczko, żeby popatrzeć z wysoka na domy, na morze w oddali, na Peloponez. Gdy spoglądali w górę, odnosili wrażenie, że nic nie ważą, że znikną w niebie bezcieleśni. Anna została w tyle, ostatnia. Miał okazję. Umyślnie zwolnił kroku. Teraz albo nigdy. Serce mu waliło. Dokładnie to pamięta. Po tylu latach.

– Zmęczona? – zagadnął.

Uśmiechnęła się.

– Trochę.

I wtedy, pod wiosennym niebem, zatrzymał się, przystanął, wyciągnął dłoń, żeby jej pomóc. Małeńka rączka w jego garści, jak wróbel drżący w uwięzieniu. I nieporadnie, ale wprost powiedział:

– Wiesz... Wiesz, Anno... Bardzo mi się podobasz... Ja już... Ja od roku... Nie wiem, czy to czułaś... Ale... Jestem w tobie zakochany.

Tak oto Apostolu przeszedł samego siebie.

Anna zamarła. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Pochyliła głowę, milczała. Jej ręka wysunęła się z jego dłoni. Zostawiając po sobie pustkę. Otchłań. On przerwał ciszę.

– Chciałem... Chciałem, żebyś o tym wiedziała.

Uśmiechnęła się znowu. Odzyskała panowanie nad sobą. Próbował ją wyczuć. Czy jest nadzieja?

– Nie wiem, co powiedzieć...

Tyle zdołała wybąkać.

– Anno... – wyszeptał.

Jego słowa zawisły w powietrzu. Ktoś zawołał, żeby się pospieszyli. Pozostali byli już prawie na szczycie.

Pokonawszy potwora, Apostolu nabrał odwagi. Skoro pierwszy krok ma za sobą, zrobi i następne. Dość dziecinady. Wiedział, gdzie jej szukać w Atenach, znał numer telefonu. Prawił czułe słówka, rzucał żarciki, sam nie mógł uwierzyć, jak się zmienił. A ona? Śmiała się zakłopotana,

wykręcała się, próbowała zmieniać temat. Ale miał wrażenie, że go nie odrzuca, nie zamyka przed nim drzwi, jego zainteresowanie chyba jej schlebowało. Tyle że nic więcej. Przypuszczał atak za atakiem, codziennie, prosił, żeby poszli gdzieś razem „w najbliższym czasie”.

Był tłusty czwartek i sesja egzaminacyjna. Usłyszał zaskoczony na drugim końcu linii, jak proponuje z westchnieniem, żeby spotkali się za dwie, trzy godziny. „Może dzisiaj po południu?”. Mógłby? Blisko jej domu, w kawiarni, przy Fokiona Negrisa. A więc w końcu złamała się, ustąpiła, twierdza została zdobyta.

Apostolu skakał ze szczęścia pod sufit. Nareszcie randka! Na Fokiona Negrisa minął grupkę przebierańców, rozkrzyczanych, hałaśliwych. Śpiewali, rzucali serpentyny. Było pochmurno, zamiast błyskawic – sztuczne ognie, zamiast grzmotów – petardy. Terkotki i kapiszony. Siedziała na krześle naprzeciwko niego. Patrzył jej w oczy i nie mógł się nasycić. A ona jakby się wstydziła. Znowu zaczął jej prawić komplementy i żartować. Jak miał nie być szczęśliwy? Anna słuchała. I uśmiechała się zmieszana. A on, głupiec, niczego nie rozumiał. Póki jasno nie powiedziała. Ze spuszczonego wzrokiem. Nie była gotowa na związek, niedobry moment, spotykała się z kimś dłużej czas, ale ostatnio wszystko się skończyło, jeszcze się z tym nie uporała. „Chciałabym, żebyś zrozumiał... Nie nalegaj”.

Twarz mu spochmurniała, zastygła, cios, szczęście przerwane w połowie, niedokończony koncert, smyczek zsunął się ze strun, palce uderzyły głucho w klawisze i znieruchomiały. Nagle. Na zewnątrz lunął deszcz. Rozumie. Chciała powiedzieć mu to odpowiednio wcześniej, żeby się nie dręczył, niech idzie swoją drogą. Rozumie.

Wyszli z kawiarni. Nie miał parasola.

– Dam ci swoją parasolkę – zaproponowała.

– Nie, nie trzeba... dziękuję – odparł, patrząc obojętnie na żywioł.

Przebierańcy biegli, szukając schronienia.

– To cześć! – powiedziała i wyciągnęła do niego rękę.

Popatrzył na nią. Mrok w jego spojrzeniu. Ujął jej dłoń. Jaka maleńka... I zimna. Ledwie jej dotknął.

– Cześć...

Nie obejrzał się za siebie. Oczy zaszyły łzami, świat mu się zawalił. Słyszał wręcz łoskot gruzu. Strugi deszczu smagały go po twarzy, przemókł kompletnie, ociekał wodą. Wsiadł do trolejbusu, przykleił nos do szyby.

Wyglądał przez okno, ale niczego nie widział. Tylko krople spływające po szkłe, cała reszta była mętna, niewyraźna, wyblakła, zieleń, czerwień, żółć rozmyte jak w obrazach Jorgosa Buzianisa.

Minął kolejny rok. Zapomniał o niej. Nie byli przecież w związku, to i nie było tragedii. Po powrocie z wakacji na Andros poszedł na lekcje fotografowania. Tam ją znowu zobaczył. Niespodziewanie. Na zajęciach w Greckim Stowarzyszeniu Fotograficznym.

– Cześć! – usłyszał.

Odwrócił się. Siedziała tuż za nim. Warkoczyki oplecione wokół głowy. Aureola. Był zaskoczony. Uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział uśmiechem. Widywali się w każdy czwartek po południu. Siedzieli obok siebie. Tak stał się cud. „Tak stał się cud”, śpiewał jej pewnego dnia na Santorini, wiosną, gdy ustawiał trójnog na szorstkim wulkanicznym gruncie i przygotowywał aparat, gdy zamykał w kadrze intensywną zieleń winnic ciągnących się aż po skraj przepaści. Wyżej niebo, niżej morze. „Tak stał się cud, pamiętasz?”.

*Bryzą powiało,
rozbłysły światła,
statek zagwizdał,
nadchodzi noc.*

*Lasami dziewiczymi
samotna wędrujesz,
surowy blask miłujesz
odbity w bieli ścian.*

*W lawie serca twego
saksofony wiosny,
rozpuściłaś włosy,
lato przyszło już.*

Tak stał się cud... Tak stał się cud... Tak stał się cud... [75](#).

[75](#) Przekład Beata Żółkiewicz-Siakantaris.

65/A26

Motorower ledwo ciągnął na wzniesieniu. Miałem go od trzech lat. Z drugiej ręki. Aprilia Tuono 50 litrów, rok 2001, automat. Zdążył się wysłużyć, stary grat. Czasami płała mi psikusy. Nie ciągnie, idzie jak wół. Albo zapiera się z oślim uporem, nie chce ruszyć z miejsca. I święty Boże nie pomoże. Powinienem go oddać do warsztatu. Najwyższy czas.

Przejechałem przez Pikiermi. Most Lordów. Droga z Maratonu do Aten, tam, gdzie zaczęli się Arwanitakisowie, czekając na powóz. „Stać!”. Jakbym słyszał szorstki głos zbójców. Jakbym ich widział wyłaniających się z krzaków, zza drzew, ze strzelbami. Szkaradni, w brudnych fustanelach. Poczochrane, pokryte pyłem włosy.

Zatrzymałem się w cieniu sosny. Wyjąłem dziennik lorda Muncastera i zacząłem czytać. Poniedziałek, 11 kwietnia, 1870 roku:

Byli ubrani w tradycyjne greckie stroje. Wszyscy straszliwie brudni. Każdy miał kariofili – turecką strzelbę z ozdobną kolbą, oraz dwa, trzy noże i rodzaj szabli. Gdy minął strach przed żołnierzami, stali się bardziej cywilizowani. Zaczęliśmy przyglądać się im uważnie. W większości byli brzydki i wyglądali na groźnych zabijaków. Jeden z hersztów, odrażający, miał zęza, drugi, o przyjemniejszej aparycji, bardziej przypominał istotę ludzką.

Jakbym widział lordów trupiobladych, na wpół żywych, z krwią zastygłą w żyłach. Pokonali trasę od monasteru w Pendeli do Stamaty i nocą zatrzymali się na odpoczynek opodal Kieramidi. Niedawno gościł ich igumen. Później miał przez to kłopoty. Poszedł siedzieć za udzielenie schronienia zbójcom. Przywódcy zbójceckich band często zostawiali jedną dziesiątą łupu w kościołach i klasztorach – stara, wielowiekowa tradycja feudalizmu. Podjechałem do monasteru i zatrzymałem się, żeby rzucić okiem. Patrzyłem na otaczające go mury, na imponującą bramę, póki nie napotkałem utkwionego we mnie wzroku jakiegoś mnicha, który obserwował mnie przez szparę. Zamarłem. Dałem gazu, uciekłem.

Zatrzymałem motor trochę dalej, za zakrętem. Znowu wyjąłem zapiski Muncastera:

[...] dali nam rozkaz: „Naprzód!”. Szliśmy wąwozami, to w górę, to w dół, po skałach, po stromiznach, między krzewami dębu skalnego, aż do nocy. Co pewien czas dostawaliśmy wodę i czarny chleb i odrobinę z resztek

naszego tytoniu. W końcu dotarliśmy do kościółka na szczycie wzgórza, gdzie zbójcy zatrzymali się i weszli do środka, żeby zostawić pieniądze. Żegnali się bez ustanku, budząc w nas obrzydzenie.

[...] Po jakimś kwadransie, gdy nikczemnicy wypełnili swe religijne powinności, poszliśmy dalej, w dół, z boczem wzgórza. Wspięliśmy się na kolejną górkę, gdzie w czasie dwugodzinnego postoju próbowaliśmy zasnąć. Zbójcy oddalili się, a następnie wrócili z trzema żywymi owieczkami. Położyłem się, oparłem głowę na ramieniu Freda, który okryty „kapą”, peleryną jednego ze zbójców, zdawał się spać głęboko. Herbert i Lloyd dawali lekcję angielskiego paru rzezimieszkom.

[...] Zatrzymaliśmy się koło północy. Rozpalili ognisko. Sprawili jagnięta i nanizali je na długą żerdź. Kazali nam usiąść kręgiem wokół ognia. Uznaliśmy, że lepiej przystać na to po dobroci. Gdy tylko, wedle ich rozumienia, mięso się upiekło, zaoferowali nam podroby. [...] Po dwóch godzinach ruszyliśmy dalej.

Wczoraj przejechałem pozostałą część trasy. Stamata, Oropós, Sikámino, Dílesi. Po tych stronach wędrował też Drakos, mój przodek. I oto ja tu jestem – z arcyhersztami. Wyżyłowałem Aprilię do niemożliwości. Obejrzałem całą okolicę, aż po wybrzeże morza. Gdzieś tam ludzie Arwanitakisów, ścigani przez żandarmów i wojsko, zarżnęli bez litości lordów. Cały czas myślałem o Vynerze. Miał zaledwie dwadzieścia trzy lata. Jak ja. Obejrzałem ruiny domów, w których jeńcy spędzali swoje ostatnie dni. I kościół Zaśnięcia Bogurodzicy, który odwiedzili w asyście Christosa Arwanitakisa. Tam zapisał swoje imię oraz datę Frederick Vyner.

Cały czas miałem w kieszeni kurtki glocka 17. Czasami zaciskałem na nim palce. Chciałem być pewien. Jakbym w to nie wierzył. Broń w mojej dłoni! Był jakiś patrol, tam, w górach? „Chłopak na motorowerze na pustkowiu? Podpalacz? Narkotyki?”. Kontrola dokumentów. Przeszukanie. Pistolet. Jak się usprawiedliwię? Kajdanki. Komisariat.

Dotarłem do jaskini Dawelisa, dawnej kryjówki zbójców. Kręcili się tu kiedyś także Arwanitakisowie. Starzy znajomi Dawelisa, z czasów gdy współpracowali z hersztem Kalambalikisem. Patrzyłem na rzadko rosnące drzewa, na skały. Miałem wrażenie, że zaraz ich zobaczę, że mnie podglądają z ukrycia. Schowałem motor w krzakach. Niebo było ciężkie od chmur. Dwie, trzy krople spadły mi na twarz. Odszedłem czterysta, pięćset metrów. Wyjąłem kolorową kserokopię przyklejoną do tekturki. Jeszcze raz

popatrzyłem na fotografię. Wielka trójka wśród swoich pracowników. Arogancki wygląd. Poluzowane krawaty. Uśmiezek na ustach. Miałem dwa gwoździe; przybiłem tekturę do pnia sosny. Przeszedłem się dookoła. Nie widziałem, nie słyszałem nic podejrzanego. Wróciłem. Stałem dwadzieścia kroków od drzewa. Chwyciłem glocka 17. Odbezpieczyłem. Trzymałem go obiema rękami. Równowaga. Stabilność. Wycelowałem. Wstrzymałem oddech. Cel przybliżył się, powiększony. I wtem... Wtem zobaczyłem tych trzech żywych, idących w moją stronę. Arogancja. Drwina. Nacisnąłem spust. Raz. Pięć sekund przerwy. Ptak zatrzepotał w krzakach, odleciał daleko. Nasłuchiwałem chwilę. Nic, nikogo. Wycelowałem znowu. Dwa. Trzy. Tamci szli nadal. Zbliżali się. Za chwilę poczuje ich oddech. Słyszałem bicie swojego serca, bicie ich serc. Opuściłem ręce, blady jak ściana. Pistolet dotknął uda. Zniknęli. Byłem sam na pustkowiu. Ale zdawało się, że wracają. Otaczali mnie. Otaczali... Deszcz się wzmagął, siekł po skórze. Zimny, lodowaty przywrócił mnie do rzeczywistości, byłem na polanie. Pachniało wilgotną ziemią, żywicą, grzybami, ziołami. I znów zobaczyłem przed sobą sosnę z celem. Podszedłem. Jedna kula sięgnęła skrajem tektury, tuż obok pnia, przedziurawiła kobiecy kostium. Druga utkwiała w piersi jednego z trzech, tego w środku. Trzecia poleciała daleko w las. Wróciłem na odległość dwudziestu kroków. Powtarzałem procedurę jeszcze dwanaście razy. Stabilność. Wstrzymanie oddechu. Cel. Pal. W większości trafiałem bez pudła. Można powiedzieć, że oswoiłem się z bronią. Deszcz tymczasem zaczął padać wielkimi kroplami, garbował mi skórę. Zerwałem resztki kserokopii z pnia, zebrałem łuski. Policzyłem. Jednej brakowało. Nie mogłem jej znaleźć. Pewnie utkwiała gdzieś w zielsku, między sosnowymi igłami, w ziemi. Deszcz zamienił się w burzę. Zdjąłem kurtkę i okryłem nią motor. Potem pobiegłem do jaskini Dawelisa, „Jaskini nieskazitelnych”, żeby przeczekać nawałnicę. Jaskinia wydawała się ogromna. Zmieściłaby całą armię zbójców. Sterczące białe skały. Zrujnowana kapliczka wyglądała w półcieniu jak nawiedzana przez duchy. Może zbójcy zbudowali ją dla odkupienia swoich dusz.

Tymczasem burza rozszalała się na dobre. Psy ujadały, wyły wilki. Błyskawice rozświetlały wnętrze jaskini. Pioruny waliły w ściany. Na skale, u góry, pojawił się na moment odcisk dłoni. Z głębi, z ciemności, doszedł mnie dźwięk spadających z sufitu kropli pac, pac, pac. Poczułem ciężar pistoletu w kieszeni. Nieokreślony lęk, niepewność, mrok. Zaczęłem

rozmyślać. Plan. Wejście do hotelu. Zabójstwo. Odcięcie głów. Byłem niespokojny. Zęby mi dzwoniły. Drżałem lekko, zmarzłem, jakbym miał dreszcze. Czułem prąd przeszywający kręgosłup. Aż wreszcie myśli zboczyły z toru, zmieniły kierunek. Rubini. Jej twarz, jej uśmiech. To były punkty stałe w moim rozchwianym jak ruchome piaski świecie. Wrócił spokój.

Na zewnątrz zmierzchało. Zapadała noc. Deszcz ustał. Pobiegłem do aprilii. I znowu to samo, psikusy. Przekręciłem kluczyk w stacyjce. Raz, drugi, trzeci. Przeklinałem los. Może zamokła. Czwarty, piąty, szósty. Za nic nie chciałem spędzić nocy na tym pustkowiu. „Stać!”. Zbladłem. Struchlałem. Rozejrzałem się. To tylko wyobraźnia. Nikogo nie było. I kiedy wreszcie ten rzech odpalił, wskoczyłem, dałem gazu. Przekłeta maszyna stękała złowieszczo, bałem się, że nie dojadę do Aten. Wydostałem się z mglistej wilgoci zmarznięty na kość. Na szosie, nieco niżej, na zakręcie, zobaczyłem samochód. Mężczyzna i kobieta. Para bez ślubu, pomyślałem.

66/A27

Chciałem się o nich czegoś dowiedzieć. Nic trudnego, wiadomo. Może wrodzona ciekawość każe oprawcy poznać ofiarę jak najlepiej. Drapieżniki na sawannie też obserwują z ukrycia przyszlą zdobycz, zanim rzucają się na nią z zjadłością. Tak, chciałem się czegoś dowiedzieć.

Śledziłem ich harmonogram zajęć, poznawałem przyzwyczajenia, słabości, „tajemnice”. To naprawdę nic trudnego. Chociaż starali się funkcjonować w sposób ściśle tajny i tak wszystko wychodziło na jaw. Czytałem gazety, szukałem w internecie. Założyłem teczkę, do której wkładałem wycinki i całe publikacje na ich temat. Niejednego się dowiedziałem. Do ostatnich dni ten pan, wielki i możny, główny decydent, mózg operacji, poruszał się po centrum miasta – w sprawach służbowych i innych – w otoczeniu zaufanych ludzi, ochrony osobistej. Gdy czuł się niezręcznie pod czyimś niedyskretnym, ciekawskim spojrzeniem, dawał znak gorylom i ci brali sprawę w swoje ręce.

Na przykład biedy napisał sobie przez niego Rubi, bezpański pies z okolic Syntagmy. Gdy się pojawili jak sępy, maszerując groźnie całą zgrają, herszci i pierwsze zuchy na przedzie, z tyłu reszta służalców i pochlebców, w stronę Ministerstwa Finansów na bardzo ważne spotkanie, zaczął na nich wściekle ujadać. Psa zaraz schwytano i odesłano do miejskiego schroniska. Uwolniono Rubiego dopiero po protestach ludzi, którzy się nim opiekowali.

Tak, wiele wiedziałem. O stu czerwonych różach, które zamówił wielki i możny w kwiaciarni w Kifisji dla nieznanej adresatki. O trzydziestu jeden taksówkach wynajętych za kwotę trzydziestu pięciu euro każda w celu przewiezienia całej hordy do tawerny w Rogdiá koło Iraklionu. O śniadaniach w restauracji hotelowej, zawsze w asyście ochrony. Jajka, bekon, kawa, sok pomarańczowy i „Financial Times” w dłoni. Dowiedziałem się też o ich słynnym skąpstwie – nigdy nie zostawiali kelnerom napiwku. I o codziennych wizytach w hotelowym barze na ostatnim piętrze dla relaksu i pięknego widoku – po męczącym dniu bogatym w dokonania: kolejne redukcje etatów, kolejne cięcia pensji i emerytur, nowe podatki.

Czytałem o ich codziennych zwyczajach, poznałem dobowy program zajęć. Wiedziałem, czy są głowami rodziny, czy mają dzieci, i czy mimo to zażywają szczęścia w objęciach czułych młódek. Wiedziałem, jaki jest numer apartamentu za sześćset euro z górą za noc, na jedenastym piętrze hotelu. Oraz że windę, tam wysoko, w ich kryjówce, kwaterze hersztów,

pozostawiono do ich wyłącznej dyspozycji. Tylko oni mieli do niej klucz. Nawet ich upodobania żywieniowe studiowałem z lubością. Gdy zostawali w południe w swoich apartamentach, zamawiali półmisek bananów, pomarańczy, gruszek i kiwi oraz czerwone wino i... pasteli. Wieczorem, jeśli jedli kolację w hotelowej restauracji na parterze, gustowali w dobrze wysmażonych bryzolah. Gazety publikowały czasem zdjęcia – niezbyt wyraźne, robione zapewne komórką i z dużej odległości – przedstawiające hersztów w prywatnych chwilach. Wielki i możny na bieżni w hotelowej siłowni, wielki i możny wyciera chusteczką krople potu, które spadły na konsolę, wielki i możny sporządza na komputerze raport dzienny dla swoich zwierzchników, arcyhersztów, wierzycieli naszego kraju. I tak dalej, i tak dalej.

Gazety opublikowały też niezapomnianą, niewiarygodną wymianę zdań tego pana z naszym ministrem finansów, który uniósł się w przyпіlywie gniewu i rozpacz, gdy spotkanie zdawało się prowadzić donikąd i gdy żądano od niego rzeczy niesłychanych i absurdalnych. Pewnego razu banda wielkiego zażądała wystawienia pod młotek wysp greckich! A nawet – słuchajcie, ludzie! – wyludnienia wysp o liczbie mieszkańców mniejszej niż sto pięćdziesiąt osób, bo „obciążają budżet”! To ledwie dwa z licznych incydentów tego rodzaju. Bo ci panowie przy każdym spotkaniu z ministrami naszego rządu dyktowali, niczym prokonsulowie w rzymskich prowincjach, środki zaradcze, programy „konsolidacji fiskalnej”. Bezcześnie domagali się uczestniczenia w posiedzeniach rządu, podobnie jak Erskine w czasach uprowadzenia lordów. Żeby nadzorować i kontrolować, narzucać swoją wolę biednej, ledwie dyszącej Grecji. I naturalnie biedna Grecja ulegała. Bez walki.

67/B10

Dwa lata po rozwodzie kolega z pracy, z archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zaczął ją uwodzić. Nie chciała się wiązać. Nikomu nie ufała. Ogarnęło ją przerażenie. Komplementy, uporczywe propozycje, żeby się spotkali wieczorem. Odetchnąć jej nie dał. Cała w nerwach, rozdarta, speszona, próbowała się wykręcać. Dziecko niby chore. Musi wziąć robotę do domu. Któregoś dnia w południe znowu to samo. Naciskał, przerwę sobie zrobią, bistro w Muzeum Numizmatycznym tak blisko, dwa kroki stąd. Przekąszą coś. „Przecież cię nie zjem!”, zapewniał z uśmiechem. Nie jest ludożercą. Poszła. Usiedli przy stoliku w cieniu drzew. I po co jej to było? Cały czas kręciła się na krześle, rozglądała się z niepokojem. I jak na złość, stało się. Zobaczyła zjawę naprzeciwko, w kącie.

Siedział przy ustronnym stoliku i wpatrywał się w nich nieruchomym wzrokiem. Palił, otaczała go chmura dymu. Katerina zaczęła dygotać. Zapamiętała jego słowa z czasów, gdy się rozwodzili: „Nie dam ci spokoju, będę twoim cieniem”. I jest, śledzi ich, zimny, bezduszny cień. Wstała. Poprosiła kolegę, by natychmiast wyszli – bez wyjaśnienia. Co miał robić? Podniósł się zakłopotany, rozczarowany, zły. Wyjął portfel, zapłacił, wyszli. Nie naprzykrzał się więcej. Zniknęły miłe uśmiechy, skończyły się komplementy, ustały propozycje. Z początku nawet jej w biurze dąsy pokazywał. Aż tak... Ale skąd Takis się dowiedział, że będzie ten jeden jedyne raz z mężczyzną, z kolegą z pracy, w bistrze Muzeum Numizmatycznego? Szpiegował ją? Nasłał kogoś, by ją śledził? Bała się. Zwyczajnie się go bała. Do wszystkiego był zdolny. Spędziła z nim tyle lat, a wcale go nie знаła. Wielki znak zapytania. Zagadka. Tak, uważała, że jest zdolny do wszystkiego.

Poświęciła się dziecku, uczepliła się dziecka, niczego więcej od życia nie chciała. Gdy od czasu do czasu Takis przychodził zabrać małego, w sobotę lub niedzielę, rozmawiała z nim – a właściwie odpowiadała monosylabami – przez półotwarte czy raczej ledwie uchylone drzwi. Raz albo dwa, już po rozwodzie, próbował się z nią dogadać. Chciał, żeby znowu byli razem, bo nie jest już taki jak dawniej, zmienił się. Niech się zejda, chociażby dla dziecka. „Nie widzisz, że cierpi? Dlaczego nie moglibyśmy...”.

Nie chciała. Odmawiała stanowczo. „Nie!”. Sucho i krótko. Chłodno i ostro. A gdy pewnego dnia, rozdrażniony, usiłował wejść do mieszkania, „pogadajmy jak ludzie”, podniosła krzyk, straszyla policję. Sąsiedzi wyszli

na klatkę. „Co się dzieje...?”. Nie miał wyboru. Zabrał dziecko i poszedł urażony.

Matka ją łajała: „Sama zostaniesz? Młoda jesteś, szkoda by było, znajdź sobie kogoś, ułóż sobie życie. Zrób to dla Petrosa. Chłopak potrzebuje ojca”.

A potem, po dwóch, trzech latach, pojawił się w jej życiu Sergidis. Przychodził do archiwum, szukał czegoś. Rzeź w Dílesi stała się pretekstem ich znajomości. Z początku spojrzenia, parę słów, zwykłe, niewiele znaczące uprzejmości. Potem przeszli na „ty”, zaczęli gadać o tym i owym, były nieśmiałe pytania i zdawkowe odpowiedzi dotyczące życia osobistego. W końcu zostali parą. Zrobiła na niej wrażenie jego energia, zdecydowanie, zrównoważona osobowość. Pociągał ją, hipnotyzował. Nie potrafiła mu odmawiać. Nie powiedziałaaby o nim „urodziwy”, ale był czarujący. Miał w sobie coś z wyższych sfer, z arystokracji. Oddała się w jego ręce. Romanós od pierwszej chwili akceptował Petrosa, Katerina obserwowała, jak się z nim bawi i jak sam staje się dzieckiem. Petros nigdy nie bawił się w taki sposób z własnym ojcem. I znowu zaczęła marzyć. Czemu nie? Wszystko wydawało się jak ze snu. Znowu żyła bajką. Póki nie nadszedł tamten wieczór przed Pałacem Muzyki. Jej ufność w nowe życie, takie, na jakie miała nadzieję, zachwiała się. Nie da im spokoju ten łajdak Takis, nie da im spokoju.

Następnego dnia podjęła stosowne środki ostrożności.

68/A28

Kryzys. Całe popołudnie. Tchórzyłem. Panikowałem. „Co ty wyprawiasz, chcesz sobie nieodwracalnie zrujnować życie, grób sobie kopiesz?”, upominał jakiś głos. Skąd się brał? Moje drugie „ja” mnie dręczyło, siało wątpliwości? „Dlaczego szukasz kozła ofiarnego? Dlaczego patrzysz tak jednostronnie? Spraw sobie okulary. Tylko trojka i bankierzy? Tylko politycy są winni? A my wszyscy? Co robiliśmy tyle czasu? Sprzeciwialiśmy się? Nie. Braliśmy w tym udział. Tak samo jesteśmy winni. Wiedzieliśmy, ale nie reagowaliśmy”. W uszach brzmiały mi słowa bezdomnego koleżki. „Gdzie ten naród miał rozum przez tyle lat? Dlaczego ludzie na nich głosowali, dlaczego ich dopuścili do władzy? Dlaczego sami brali w tym udział i dojadali resztki z ich wielkiej uczyty? Kolesiostwo, koperty, samowolki, kombinacje, lewe dochody, miganie się od podatków, pożyczki. Nie, przyjacielu. Czas zapłacić rachunek. Ja zapłaciłem i płacę, ale wystarczy. Wystarczy! Ten kraj, bracie, to jeden wielki syf!”. Wszystkie te słowa krążyły mi po głowie, zadreślałem się, wahałem. Zostałem wystawiony na próbę. To, w co niezachwianie wierzyłem, zawisło w próżni. A jeśli faktycznie? A jeśli to tylko część prawdy albo jedna z wielu prawd? „Nie pomyślisz o swojej biednej matce?”.

Znowu wyszedłem na ulice. Jakbym stąpał po mackach wielkiej ośmiornicy, uśpionego potwora. Strach. Chciałem odetchnąć, dusiłem się. Chciałem wzniecić w sobie nienawiść. Opasać się materiałami wybuchowymi jak terrorysta. W chwilach, gdy traciłem ducha, ona, nienawiść, była moim jedynym lekarstwem. Nie, nie tak się sprawy mają. Nie można wrzucać do jednego worka polityków, bankierów, trojki i zwykłych ludzi. Spacer wokół Omonii, placu Zgody, pomagał mi odzyskać panowanie nad sobą; tam był inny świat.

W ciemnych zaułkach znowu widziałem wykluczonych. Bezdomnych, którzy ciągnęli ku pustym, wałącym się budynkom na nocleg. Miałem ich przed sobą, prawie martwych, niemych, z głęboko zapadłymi oczami. Widziałem tych, co przeszukują pojemniki na śmieci i tych, co wyciągają ręce nad ogień rozpalony w beczce, by się ogrzać. Płomienie oświetlały ich twarze. Zmęczone, ponure. Istne piekło.

Widziałem prostytutki krążące tam i z powrotem chwiejnym krokiem, z oczami szklistymi od heroiny. Widziałem, jak otwierają bezzębne usta i oferują usługi za dziesięć euro „w kącie przy śmietniku”. Widziałem alfonsów opartych nieopodal o ścianę, z papierosem w ustach, czujnych.

„Czego ten gość szuka?”. Tutaj oni rządzą. Widziałem sztylety błyskające w ciemności. Bezdomni, ćpuny, nielegalni imigranci, transwestyci, obywatele osobliwego królestwa. Tak, widziałem narkomanów, którzy leżąc na progach domów, wbijają sobie igłę strzykawki w rękę. I drobnych handlarzy narkotyków kręcących się nerwowo, mierzących mnie wzrokiem z chodnika naprzeciw. Czasami przemykał pospiesznie jakiś wytwornis, niczym ptak, co się oderwał od stada i teraz je dogania. Widziałem transwestytów w kolorowych strojach. Kołysanie biodrami, stuk, stuk, wysokie obcasy. Szerokie, mocno umalowane wargi. Sztuczny, cienki głosik. „Mogę być... i chłopcem” – z radością, euforią, prawie dziecinną naiwnością, a jednocześnie z beznadzieją w oczach. Gdzieś w zaułku, wysoko, ponad zewnętrznymi schodami, maleńkie, sekretne pokoiki. Czerwone, anemiczne światło, ledwie słyszalne pojękiwania i monotonne trzeszczenie sprężyn. Kwaśny pot, zjełczałe żądze.

Dalej pustkowie. Koty hasające po śmieciach, wystawiające pazury, walczące ze sobą. I znowu inny świat. Okolice kościoła św. Konstantego, plac Attycki, Święty Pantaleon. Zaczynają się mnożyć tablice z obcojęzycznymi napisami. Inni włodarze. Inne prawa, inne zasady. I znowu ludzie na ulicach, siedzą na ławkach w parczku, na placykach. Afgańczycy, Pakistańczycy, Irakijczycy, Somalijczycy. Azjatycka, afrykańska część miasta. Zawahałem się, przystanąłem. I jednak ruszyłem dalej.

W pewnym miejscu, przy torach kolejowych, natknąłem się na coś niespotykanego. Dziesiątki imigrantów klęczały na chodniku w półmroku. Modlili się bezgłośnie. Białe galabije fosforyzowały w ciemności. Przeszedłem na drugą stronę. Nieopodal, w kiepsko oświetlonej suterenie pełnej cudzoziemców, hodża recytował, zapewne, surę Koranu. A później... *La ilaacha ilaalaach...* Siedział na dywanie z rozwartymi, uniesionymi ku górze ramionami, kołysał górną częścią tułowia i w uniesieniu zawodził monotonie: *La ilaaha ilaalaah... la ilaaha ilaalaah...* Tak, rozpoznawałem te słowa. Słyszałem je często w Nikozji z minaretów w okupowanej części miasta. *La ilaaha ilaalaah...* wołał muezin, a jego słowa wzbijały się i zakrywały niebo jak czarne ptaki.

Byłem w strefie wojny. Ruszyłem szparko, chcąc się stamtąd co prędzej wydostać. Modlitwa cichła za moimi plecami. *La ilaaha ilaalaah... La ilaaha ilaalaah...* Sklepy i lokale z tabliczkami w najdziwniejszych językach. Fryzjerzy, spożywczeni, jadłodajnie – wszystko jeszcze otwarte.

Zapachy. Czosnek i przyprawy. Muzyka. Afrykańskie, arabskie, wschodnie zawodzące pieśni. Obcokrajowcy popatrywali na mnie krzywo. Nie byłem mile widziany. Czuję wrogość w powietrzu. Zrobiłem w tył zwrot, oddaliłem się.

Gazety ciągle donoszą o incydentach. Sytuacja wymknęła się spod kontroli po zabójstwie Manolisa Kandarisa przez dwóch Afgańczyków, w maju 2011 roku, niedaleko Omonii, w chwili, gdy szykował się zawieźć żonę na porodówkę. Pogrom imigrantów w centrum miasta. Bijatyki, walki na noże, zabójstwa, niszczenie sklepów, domów. Noc kryształowa.

Większość ataków następuje wieczorem. Agresorzy – wśród nich także kobiety – noszą ciemne ubrania, mają zakryte twarze, trzymają kije bejsbolowe i prowadzą na smyczach wielkie złe psy, których cienie, wydłużone, z rozdwojonymi jęzorami, kołyszają się złowroźnie w ciemności. Bojówki czarnych koszul atakują winnych i niewinnych. Gdy się wycofują po akcji, zostawiają po sobie pobitych i ciężko rannych, zniszczone lokale, sklepy i domy. Mieszkańcy jednej z takich dzielnic przewieźli któregoś wieczoru do szpitala nagiego Afrykanina, którego podrzuciono im pod drzwi, pobitego i pokąsanego przez psy. Bojówkarze są tymi samymi ludźmi, którzy wysłali żonie Manolisa Kandarisa na porodówkę bukiet kwiatów i telegram z kondolencjami. Rodzina Kandarisa odesłała je i oświadczyła publicznie, że dopuszczono się nadużycia, sprofanowano pamięć o zamordowanym.

Czytam raport Human Rights Watch w internecie. O napadach na ciężarne, o wściekłych atakach na młode kobiety z małymi dziećmi. Somalijki, Afganki.

Zamykam komputer... Typy w czerni nienawidzą nie tych, co trzeba. Dlaczego nie obróć się przeciw wierzycielom, skorumpowanym politykom? Co im zawiniły te słabe, bezbronne istoty? Przypomina mi się coś, co kiedyś czytałem: „Rasizm to wielka nienawiść z błahego powodu”. Jedno tylko każe mi chylić przed nimi czoło. Ich nienawiść. Bezbrzeżna, niekontrolowana nienawiść. Taka nienawiść zdolna jest uzbroić rękę zemsty.

69/C14

Odprawa dobiegła końca. Apostolu już wcześniej rano wydał polecenia swoim ludziom. Aspirant Dimitrios Maglaras zostanie na dyżurze w komendzie, żeby w razie czego od razu dał mu znać. Podkomisarz Mitros Trombonas niech odpyta potomków Aleksisa Chormowasa i Tzitzilonisa. Komisarz Ektorudis – potomków Katarachiasa i Liorisa. Mieszkają w północnej Grecji. Niech jedzie i wraca, ma dwa dni. Sierżant Lukas Kakarapis i szeregowy Wasilis Argiros – potomków Sutsosa⁷⁶ i Teagienisa. On sam uda się do krewnych Arwanitakisów i Franka Noela w Ahmét Agá.

Sprawdzą wszystkich, których znaleźli w archiwach Urzędu Stanu Cywilnego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Apostolu nie wie, czy dzięki temu coś się wyjaśni. Ale przecież sam zabójca powiązał zbrodnię z rzezią w Dílesi. Nie ma rady, trzeba pójść tym tropem.

⁷⁶ Skarlatos Sutsos (1806–1887) – polityk, generał, w czasie wydarzeń w Dílesi minister wojskowości. Obciążany przez opozycję odpowiedzialnością za rzeź. Uważano, że przywileje, jakimi cieszyli się zbrojcy, były zapłatą za ochronę ogromnych włości, jakie Sutsos posiadał w Attyce.

70/D12

[...]

Pyt.: Czy byłeś z Takosem Arwanitakisem po potyczce w Dílesi?

Odp.: Tak, krótko byłem z jego bandą, jakeśmy uciekali przed pościgiem.

Pyt.: Co Takos wam powiedział?

Odp.: Dwie godziny drogi od Dílesi stanęliśmy na odpoczynek i coby się rozejrzeć z góry, czy żandarmi jeszcze nas ścigają. Dimos Patzaouras, Ilijas Statakis i Gudís Skaniuris zebrali się wokół niego, bo to byli jego kuzyni z Agrafy i oni byli mu najbliżsi. Rozmawiali. Wyznał im z płaczem, że wina nie jest jego, ino tego, który pisał do niego z Chalkidy, aby się upierał przy amnestii.

Pyt.: Zdarzyło ci się słyszeć, czy ktoś ważny, i kto, albo ktoś inny, podsunął Arwanitakisom pomysł o amnestii?

Odp.: Nie umiem powiedzieć. Mieli nadzieję, takem słyszał, że się ludzie burzyć będą albo że sprawy znowu się odwrócą i dostaniemy amnestię.

Pyt.: A ty dlaczego nie zostałeś dłużej z bandą Takosa?

Odp.: Baczenie dawałem, by skórę ocalić. I później, kiedyśmy ruszyli dalej, zostałem w tyle, ostatni, ukryłem się w jarze. Jużem nie mógł tak dłużej. Żałowałem krwi przelanej daremnie. Chciałem porzucić życie w dziczy. Przed potyczką i tragedią wielu z nas chciało jeńców uwolnić, okup podzielić i ruszyć do Turcji. Ale nie dało rady. Uparły się Arwanitakis. Do wioski, do swoich mnie ciągnęło, zobaczyć chciałem rodzeństwo i rodziców. Na drodze do Wilii dopadli mnie żandarmi i pojмали.

Pyt.: Dokąd, uważasz, kieruje się Takos Arwanitakis i gdzie może się już znajdować?

Odp.: Do Agrafy zamiarował iść. Nie wiem, gdzie może być teraz, czy przeszedł już do Turcji.

Pyt.: Mówiłeś wcześniej, że chciałeś uwolnić pojmanyh, ale Takos nie chciał.

Odp.: Tak. Większość moich kamratów radziła Takosowi, by brał co się da i o amnestii nie myślał. Ale on twardo nastawał, przeciwiał się, ani słuchać nie chciał. To nie interesowało Arwanitakisów, obaj z Christosem mieli dużo grosiwa zebranego w trzosach.

Pyt.: A dlaczego nie obstawaliście przy swoim?

Odp.: Jeden z nas poszedł któregoś dnia do niego, w Oroposie, i mu to powtórzył. Nie pamiętam kto. I jeno biedy sobie napisał. Takos sklął go i zwyzywał od łachmytów, „od tylu lat jestem kleftą i nikt mi się nigdy nie

przeciwił, a ty mi się przeciwiać będziesz?”. I noża dobył, gotów go zarznąć. Chciał się go pozbyć, straszył go. Arwanitakisy rządziły twardą ręką. Mieli przy boku, w bandzie, swoich ludzi, zaufanych, Dimosa Patzaurasa, Ilijasa, Drakosa, Tsakanikasa i Katarachiasa. Z nami się nie liczyli. Oni dostawali z zagród mleko, ser i bochny chleba, a my tylko mąkę mieli do pieczenia w popiele. Chłód i głód my cierpieli.

[...]

Niniejsze zeznanie, odczytane przesłuchiwanemu Periklisowi Liorisowi wyraźnie i głośno, podpisane zostaje zgodnie z prawem. I jako że przesłuchiwany oświadczył, iż nie jest piśmienny, w świetle prawa stanowi akt przesłuchania.

<i>kpt. zand.</i>	<i>sędzia</i>	<i>sekretarz</i>
.....

71/A29

Niedziela, 21 kwietnia 2013 roku. Koniec żartów. Zostawiłem aprilię dwie przecznice dalej. Wszedłem wejściem dla personelu, z tyłu budynku, z plecakiem na ramionach. Pracownik ochrony trwał na posterunku. „Dzień dobry!”. Uśmiechnąłem się. Pozdrowił mnie. Nieświadom niczego. Zacisnąłem powieki i poszedłem dalej. Tym razem przeciągnąłem kartę przez automat. Manewr mylący, pomyślałem. Poszedłem w stronę toalet. Zamknąłem na chwilę oczy. Głęboki wdech. Zatrzymać. Wydech.

Nadeszła pora. Byłem gotowy. Czy byłem? Czy nienawidziłem wystarczająco, żeby pokonać lęki i wahania? Czy nienawiść pozwoli mojej ręce dokonać zemsty? Tamten głos znowu robił swoje. „Co ty wyrabiasz?”. Serce waliło mi młotem. Jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Nałożyłem gumowe rękawiczki. Wszedłem do windy. Zatrzymałem się na siódmym piętrze. Miałem wrażenie, że ledwo drzwi się otworzą, wpadnę na Rubini. Ubrana w strój pokojówki, zmiotka z piór w dłoni, powita mnie ze zdumieniem na twarzy, a później pożądlwym spojrzeniem zaprosi do pokoju, żebyśmy zaliczyli jeszcze jedną erotyczną fantazję. „Chodź, chodź kochanku doskonały, chodź, zły wilku...”. Zacząłem wchodzić po schodach. Na jednym z podestów wyciągnąłem z plecaka glocka 17 z tłumikiem i wsunąłem go do kieszeni. Potem wyjąłem srebrną tacę, umieściłem na niej owoce, pasteli, wino.

Na ostatnim piętrze postawiłem tacę na schodach. Wziąłem parę głębokich oddechów. Koniec zabawy. „Co ty wyrabiasz?”. Nacisnąłem klamkę. I proszę, los mi sprzyjał. Drzwi były otwarte. Wtedy głośno zatupałem nogami. „Ręce na ścianę!”. Krzyknąłem „ach...” i zacząłem jęczeć. Że się niby poślizgnąłem i upadłem. Facet z ochrony pochylił się nade mną. „Co jest? Co się stało?”, spytał. „Chyba skreśliłem kostkę...”. „Nie wolno tutaj wchodzić! Kto cię przysłał? Nie mam...”. Wyciągnąłem pistolet, wycelowałem. Widziałem zaskoczenie w jego wytrzeszczonych oczach. Strach głęboko w źrenicach. Sięgnął po służbową broń. Nie zdążył. Nacisnąłem spust. Zgiął się, runął na schody. Łoskot upadającego ciała. Płynąca krew. Oczy szeroko otwarte z wyrazem strachu i zdumienia ostatnią chwilą. Łuska podskakująca na schodach między jego nogami. Podniosłem ją, schowałem do plecaka. Zamknąłem oczy na dwie sekundy. Zatrzymałem powietrze w płucach. Wydech. Początek zrobiony. Nie ma odwrotu. Cisza nie z tego świata. Śmierć. Muszę działać szybko, z nadzieją,

że jeszcze przez jakiś czas nikt nie będzie przechodził schodami ani korytarzem na jedenastym piętrze.

Zostawiłem plecak przy zwłokach. Wsunąłem do kieszeni spodni nóż oraz dwie plastikowe torby. W drugiej kieszeni miałem pistolet i złożoną kartkę A4 z wiadomością. Położyłem tacę na dłoni. Głęboki wdech. Zatrzymać. Wydech. Wszedłem w korytarz.

Czułem na sobie czujne oko kamer po rogach; patrzyło na mnie, rejestrowało każdy ruch. Czułem elektroniczne spojrzenie wędrujące po mojej skórze. Ciarki mnie przeszły. Wdech. Zatrzymać. Wydech. Pociłem się, pot spływał strugami, słony, żłobił mi skórę. Zapukałem do drzwi. „Who is it?”, usłyszałem stłumiony głos. Słaby, szorstki, prawie urażony. Znowu poczułem śledzące mnie spojrzenie – przez wizjer w drewnianych drzwiach. Uniosłem wyżej tacę, owoce, wino, pasteli. Z uśmiechem na ustach. „An offer from the hotel manager, sir!”, zapiałem. Minęło parę sekund. Zastanawiali się. Wyczuwałem ich wahanie. Znowu wstrzymałem oddech. Otwórz... otwórz... otwórz..., błagałem w duchu. A potem usłyszałem, jak klucz obraca się w zamku, jak ustępują metalowe bolce. Drzwi się otwarły. Znowu się uśmiechnąłem. To był on, jego wysokość we własnej osobie, główny decydent, mózg numer jeden, człowiek, który kierował polityką dyscypliny fiskalnej. Wielki i możny! Usta miał zaciśnięte, ani ironii, ani arogancji. Na wargach, w oczach, na czole wypisane miał teraz nieufność i strach. I zdziwienie. Poznał mnie? „Gdzieś już się chyba widzieliśmy...”.

Utkwił wzrok w wyciągniętym pistolecie. Palce mu drżały, krok, dwa, trzy do tyłu, upuścił brelok z kluczami. Obok niego stał człowiek z ochrony, wysoki blondyn. Sięgnął ręką po broń przewieszoną z lewej strony skórzanej kamizelki. Zanim zdążył zareagować, strzeliłem mu w pierś, w czoło. Zwalił się do tyłu. „Och... och...”, jęknął. Głuche, słabe „och!”. Zamknąłem drzwi kopnięciem. Teraz mierzyłem w wodza, w arcyherszta. Stał z otwartymi ustami. Skamieniały. Błady. Ledwie żywy. Postawiłem tacę na stole. Wszystko trwało trzy, cztery, może pięć sekund. Nie więcej. „Jesus Christ... don't... don't...”, usłyszałem nagle. Spojrzałem w głąb. W fotelu siedział kolejny z ich paczki. Rozpoznałem go. Wiadomości telewizyjne, gazety, fotografia z mojego telefonu. Trzymał czarny notes Moleskine Folio Professional i czytał jakiś dokument. Zerwał się na nogi, rzucił notes. Spoglądał to na trupa, to na mnie. Krew mu odpłynęła z twarzy. Wielki skorzystał z okazji i chwycił komórkę, próbował się z kimś

połączyć. Strzeliłem. Dwie kule. Szybko. W czoło, w pierś. Były już dwa trupy. „Please... please don't...”. Nie zdążył powiedzieć nic więcej ten trzeci. Podszedłem parę kroków, blisko niego. Trzy kulki utkwiły w tułowi. Wdech! Zaczekać! Wydech! Kopnąłem daleko komórkę, która znalazła się u moich stóp. Czterej. Tyłu, ilu lordów w Díles. Chciałem trzech. Tych trzech. Musiałem odetchnąć. Uchyliłem lekko drzwi balkonowe, wystawiłem głowę. Zdążyłem jedynie zobaczyć Akropol zatopiony w ostrym świetle kwietniowego poranka. Zastona zaczęła falować na wietrze. Nałożyłem na buty plastikowe torby i je zawiązałem. Zebrałem łuski, siedem, schowałem do kieszeni.

Zaciągnąłem ochroniarza do sypialni, zostawiłem ciało na dywanie. Potem wziąłem w ręce nóż nurkowy. Ostrze długości dwudziestu trzech centymetrów, nierdzewne. Z jednej strony ząbki na żyłki i sznury. Zacząłem ciąć szybko od karku ku przodowi, bo tak leżały zwłoki, a potem, odwróciwszy je na wznak, przednią część szyi. Działąłem jak w obłądnie. I tylko zadawałem sobie pytanie, tnąc mięśnie, kości, nerwy, gdy puste łuski podzwaniały w kieszeni, zadawałem sobie pytanie, czy to się dzieje naprawdę. Krew bryzgała, ochlapywała wszystko dokoła, ciekła, płynęła po podłodze. Barwiła mi ubranie i twarz. Staczałem się w otchłań zamroczenia, gorączkowego podniecenia. Po kwadransie skończyłem. Chwyciłem odcięte głowy za włosy, umieściłem je obok telewizora. Spojrzałem w lustro. Nie siebie zobaczyłem. Tylko potwora. Moją zezwierzęconą duszę. Na twarzy zastygłe przerażenie. Z przekrwionych oczu sypały się iskry. Skóra w plamach z zasychającej krwi. Oto ja. Potwór z najkoszmarniejszych snów. Demon. Powłokłem się do toalety. Wyjąłem korek z umywalki. Ochlapałem twarz wodą, zmyłem krew, wytarłem się białym ręcznikiem, rzuciłem go na podłogę. Uważałem, żeby nie zostawić włosów, popatrzyłem na ręcznik, zebrałem włosy jeden po drugim i wsunąłem do kieszeni razem z nożem, który umyłem, przesuając po nim palcami. Do drugiej kieszeni wsadziłem pistolet i łuski. Na lustrze w pokoju przykleiłem wiadomość.

Znowu wracało. Zamroczenie. Rozgorączkowanie. Ktoś bez ustanku walił mnie młotem po głowie, czułem krew wrzącą, buzującą w skroniach. Pot nie przestawał płynąć. Byłem jak sito. Potrafiłem wywąchać i rozpoznać wszystko, co się wraz z nim wydzielalo: mocznik, amoniak, miedź, mangan, sole, kreatyna, potas, sól. Pustka w środku. Balon bez powietrza. Spojrzałem ostatni raz na apartament. To ja? Ja dokonałem tej rzezi?

Zdjąłem plastikowe torby z butów, zacisnąłem je w garści. Powolutku otworzyłem drzwi. Wyszedłem na korytarz. Cisza. Ruszyłem w stronę schodów. Muszę zachować spokój. Nie budzić podejrzeń. Stąpałem, zataczając się prawie. Zbierało mi się na wymioty. Podniosłem rękę do ust. Muszę wytrzymać. Z trudem dałem krok nad ciałem ochroniarza. Znalazłem plecak. Szybko wyjąłem służbowy strój na zmianę. Pochyliłem się i zwymiotowałem do jednej z plastikowych toreb. Raz i drugi. Oczy wychodziły mi z orbit. Włożyłem do plecaka broń, zakrwawiony uniform, nóż i torbę z wymiocinami. Byle jak. Pospiesznie ubrałem się w czyste rzeczy. Zarzuciłem plecak na ramiona. Zszedłem po schodach na parter. Wszędzie cisza i spokój. Skierowałem się do wyjścia dla personelu. „Już pan wychodzi, panie... Sewastópulos?”. Facet z ochrony zapamiętał moje nazwisko. „Tak”, odpowiedziałem, „źle się czuję. Chyba jestem chory”. Naprawdę byłem chory. Wyglądałem na chorego. Blady, wręcz żółty jak cytryna na twarzy. „Zdrowia życzę”. Na jego ustach wykwitł dziwny uśmiezek, zagadkowy, krzywy z jednej strony jak po udarze. Podziękowałem i poszedłem. Znalazłem motor, wsiałem i odjechałem.

72/E7

Teczka „Samobójstwa”, wycinek numer 19

Kres swemu życiu postanowiła położyć dwudziestopięcioletnia kobieta pochodząca z Kalamaty.

Przesmyk Koryncki, 13 stycznia 2013 roku

Wysiadła z autobusu dalekobieżnego. Siedziała w dworcowej kafeterii. Pół godziny? Godzinę? Jeden z kelnerów powiedział policji, że wydała mu się blada. Jakby uszło z niej życie. Obracała w ręku plastikowy kubek z kawą i patrzyła w dal, zagubiona w jakimś niewidzialnym świetle.

A potem wstała i poszła powoli w stronę mostu. Sprawiała wrażenie przestraszonej. Drobną sylwetką w ciemnym ubraniu. Stała chwilę na moście. Parę minut patrzyła w otchłań i jakby się wahała, ociągała. Pusty wzrok. Obok przejeżdżały samochody, słyszała, jak deski uderzają o metalowe szyny, trzeszczą. Zimny wiatr wiejący od morza targał jej włosy. Po prawej i lewej pionowe, lite ściany kanału zanurzały się w zielonkawej wodzie. Ile może być metrów do dna? Siedemdziesiąt? Osiemdziesiąt? Ile sekund trzeba, żeby się znaleźć na dole? Pięć, sześć? Przyspieszenie ziemskie, droga. Tak, pamięta ze szkoły. Tyle lat minęło, a pamięta. Czasy, gdy miała jeszcze prawo marzyć. I marzyła, każdego dnia marzyła. Uśmiechnęła się do jasnego wspomnienia, lecz uśmiech zgasł, ledwie rozbłysnął.

Potem wspięła się na barierkę. Przeciągnął klakson samochodu, głos kierowcy. W dole czeluść morza. Tak bardzo lubiła morze, jego słoną woń. Uwielbiała je. Ojciec prowadził ją, małą dziewczynkę, na plażę, a ona wślizgiwała się powolutku do wody i stawała się lekka, lekka jak puch. Wstrzymała oddech, ostatni raz objęła wzrokiem kanał sięgający, hen, do Zatoki Korynckiej, gdzie łączyły się ziemia, niebo i morze. Zamknęła oczy, marzyła o wolności. Zawisła na chwilę w powietrzu, a potem pochyliła ciało w przód i powierzyła je pustce. Ramiona rozwarły się niczym skrzydła. Frunęła. Cisza, tylko gwizd wiatru w uszach. Nic więcej. Frunęła, tak, frunęła i czuła się lekka jak piórko, jak puch. Ruch przyspieszony, spadanie swobodne. Uśmiechnęła się. Potem rozległ się głuchy łoskot, ciało uderzyło o powierzchnię wody, zanurzyło się w mroczną toń. Miała dopiero dwadzieścia pięć lat.

73/B11

Pokój skromny, prawie pusty. Stół, dwa krzesła. Nic więcej. Białe ściany przypominają „białe cele”. Zamknął oczy, próbował wyobrazić sobie, że jest gdzie indziej, że to nie rzeczywistość, tylko chwilowa ułuda. Koszmarny sen, zaraz się obudzi... Ale... Wciąż to samo i to samo krąży mu po głowie. Aresztowanie na uniwersytecie, publiczne napiętnowanie – tak to odczuł – gdy policjanci ciągnęli go korytarzami, po schodach, do radiowozu. Nie, nie może od tego uciec, nie śni. Jego świat skurczył się nagle, ot, cztery kroki, nie więcej. Ilekroć otwierał oczy, zawsze widział przed sobą policjanta. Koszmarną zjawę.

– Zaraz przyjdzie komisarz Eftimiju – poinformował go funkcjonariusz.

– Eftimiju?

– Tak. Zna go pan?

– Poznaliśmy się... – odpowiedział Sergidis, przypominając sobie ranek w gabinecie Apostolu i swój „wykład” o rzezi w Dilei.

Tym razem Eftimiju nie uścisnął mu ręki.

– No i znowu się spotykamy, panie Sergidis. W zupełnie innych okolicznościach, ma się rozumieć.

Czy w jego głosie brzmiała ironia? Tak mu się wydało.

Sergidis już miał zaprotestować przeciw aresztowaniu, lecz zmienił zdanie. Jaki to ma sens? Co to da? Czy wtedy okażą mu więcej szacunku?

Za sekundę rozbrzmiało pukanie do drzwi. Przyszedł adwokat Sergidisa, Andreas Papadópulos. Chudy mężczyzna w średnim wieku, z długim nosem i ruchliwym jabłkiem Adama, w kruczoczarnym garniturze. Eftimiju zostawił ich na chwilę samych, po czym znowu wszedł do pokoju. Po aresztowaniu pozwolono Sergidisowi zatelefonować wyłącznie do adwokata. Do nikogo innego. A tak bardzo chciał zadzwonić do rodziców, powiedzieć, żeby się nie niepokoiili. I do Kateriny. Potrzebował jej.

Sergidis poprosił o wodę, w ustach mu zaschło, paliło go w gardle. Ale woda, którą przyniesiono w plastikowym kubku była ciepła, nie zaspokoila pragnienia.

– A zatem, zdradzi nam pan wreszcie, panie komisarzu, dlaczego mój klient się tu znalazł? – spytał Papadópulos nerwowo, zaczepnie.

Eftimiju nie zwrócił na niego większej uwagi. Zwrócił się do Sergidisa.

– Pan tego nie wie, panie Sergidis? Policjanci poinformowali pana w trakcie aresztowania, jeśli się nie mylę.

– Tak... Za zabicie studentki... Ale...

– Nie tylko.

Sergidis wyglądał na zaskoczzonego. Zdziwienie w oczach, ściągnięte brwi, drętwota w ciele. Co jeszcze? Spojrzeli po sobie z adwokatem.

– Co pan ma na myśli? – spytał adwokat.

– Zabójstwa z 21 kwietnia. Przedstawicielei trojki.

Sergidis wytrzeszczył oczy, poczuł prąd przeszywający go od góry do dołu, zimny jak stal, ostry jak brzytwa, przenikający mięśnie, nerwy, żyły, paraliżujący ciało. Twarz nabrała barwy śmierci, coś między bielą a fioletem. Błede policzki, bładę dłonie, cały jak widmo, biały.

– Żartuje pan, naturalnie... To jakaś... Jakaś pomyłka... – wydukał.

– Nie, panie Sergidis. Nie żartuję, niestety. Nieszety dla pana. Ale o tym porozmawia z panem zastępcą komendanta, nadinspektor Nikólaos Korkódzelos.

Zastępcą komendanta... Korkódzelos...

Przypomniał sobie jego ponure wejście do gabinetu Apostolu. Nie minęło ani pięć minut, gdy wkroczył triumfalnie. Nikólaos Korkódzelos. Blizna. Nieprzystępny, srogi i chmurny. Kreatura. Taki sam jak poprzednim razem.

– Witam ponownie, panie Sergidis! – warknął i położył na stole brązowe służbowe teczki z dokumentami.

Sergidis milczał.

– Rozumiem, że komisarz wyjaśnił, dlaczego pan jest tutaj – ciągnął, zerkając na Eftimiju.

Przez cały ten czas w Sergidisie narastał gniew.

– Tak, powiedział. Ale z pewnością zaszła jakaś pomyłka. Nie inaczej... I to publiczne napiętnowanie na uniwersytecie... Kiedy się ta cała historia skończy... Kiedy się skończy... Nie popuszczę, nie zostawię tak tej sprawy!

Zaczął po cichu, spokojnie, ale powoli podnosił głos, wrzała w nim złość.

Korkódzelos przyspilił go wzrokiem. Sergidis dostrzegł w jego oczach znajomą ironię, ale i radość z cudzego nieszczęścia, której nie było przy ich pierwszym spotkaniu.

– Panie Sergidis, nie zrozumiał pan dobrze. Odnoszę wrażenie, że nie pojmuje pan swojej sytuacji. Fakt, że jest pan tutaj, oznacza, że mamy dostateczną liczbę poszlak... czy raczej dowodów pańskiej winy.

– I jakież one są, te dowody, panie komendancie? – zapragnął dowiedzieć się Papadópułos.

– Dobrze więc...

Korkódzelos poprawił się w krześle. Rozpoczął bitwę.

– Panie Sergidis, jako ostatni opuścił pan budynek Wydziału Filozoficznego owego wieczoru, gdy zamordowano młodą kobietę. Obok zwłok znaleziono zapalniczkę z odciskami pańskich palców... A także ślady pańskich butów, numer czterdzieści dwa, dookoła ofiary. Upewniliśmy się, że były to pańskie buty, beżowe lak... – Korkódzelos pochylił się, spojrzął na stopy Sergidisa. – Widzę, że ma je pan na nogach – stwierdził.

– I to są, pana zdaniem, wystarczające dowody?! – wykrzyknął Sergidis.

– Naturalnie, że nie. Nie pozwolił mi pan dokończyć – ciągnął tamten z diabolicznym uśmieszkiem. – Mamy zeznanie, zgodnie z którym parę tygodni przed morderstwem molestował pan ofiarę!

Sergidis nie wierzył własnym uszom. Wstał.

– Brednie! Kłamstwa! Bezwstydne kłamstwa!

Oczy mu się zaszklily, z ust tryskała ślina, był wściekły.

Korkódzelos trwał nieporuszony.

– Proszę usiąść, panie Sergidis – rzekł.

Otworzył teczkę, wyjął dwie fotografie i rzucił mu je przed oczy. Sergidis wziął fotografie do rąk. Tak, widział ją kiedyś. Przyszła do niego do gabinetu. Nie potrafił sobie przypomnieć kiedy. Pytała... chciała, zdaje się, napisać jakąś pracę. Co prawda nie pamiętał jej z sali wykładowej. Raczej nie widział jej nigdy więcej. Normalna rzecz. Wielu studentów i studentek pojawia się tylko na egzaminie. A potem znika aż do końca semestru. Tyle. Nic więcej. Taka była ich „znajomość”.

– Pamiętam... Przyszła na chwilę w sprawie jakiejś pracy. Nie widziałem jej ani przedtem, ani potem.

– Była w pańskim gabinecie dziesięć minut. Co się stało w czasie tych dziesięciu minut?

– Nic się nie stało. W każdym razie nie molestowałem jej!

– Nie atakował jej pan, nie dotykał, nie macał piersi, nie składał nieprzyzwoitych propozycji?

– Żąda pan ode mnie dowodu, że nie jestem wielbłądem, panie komendancie.

– Mamy jej zeznania – powiedział Korkódzelos, potrząsając mu groźnie przed nosem jak mieczem Damoklesa plikiem kartek, które także wyciągnął

z brązowych teczek. – Niestety nie mogliśmy podjąć działań wcześniej, zanim została zamordowana. Gdyby tak się stało, zdążylibyśmy pana...

Papadópulos poderwał się z miejsca. Ze zwinnością, o którą trudno by go było posądzić.

– Czy mam panu przypomnieć, panie komendancie, że lekceważy pan podstawową zasadę prawa i konstytucji? Człowiek jest niewinny, dopóki wina nie zostanie mu udowodniona. Pan zwłaszcza powinien być w tej kwestii bardzo ostrożny!

– Słusznie, ma pan rację, panie Papadópulos – podrwiwał. – Dziękuję, że mi pan przypomniał.

Sprawiał wrażenie, jakby upajał się swoją rolą.

I ciągnął dalej zadowolony z siebie. Tak się wydawało Sergidisowi.

– A zatem tamtego dnia dziewczyna odrzuciła pańskie zaloty, odepchnęła pana definitywnie. Pan zaś odprawił ją niegrzecznie, grożąc, że nie zaliczy pańskiego przedmiotu. Potem uprzedziła pana, że złoży skargę o molestowanie seksualne.

– Kłamstwo! Wszystko kłamstwo – protestował Sergidis.

– Niemniej... Niemniej wszystko to jest napisane w zeznaniu. W pańskim domu, w pańskiej szafie, znaleźliśmy koszulę, którą miał pan na sobie w dniu zabójstwa, wieczorem, po wyjściu z uczelni. Na koszuli, na piersi, jest czerwona plama. Mała, ale może mieć decydujące znaczenie. Przypuszczamy, że to krew ofiary. Na dniach dostaniemy wyniki badań DNA – rzekł Korkódzelos.

Sergidis znowu wytrzeszczył oczy. Przełknął ślinę. Czuł drapanie w gardle. Co jeszcze usłyszysz?

– Tym jednakże, co najbardziej interesuje służby śledcze – ciągnął zastępca Komendanta Głównego Policji Greckiej – jest zabójstwo przedstawicieli trojki. Rządy innych państw naciskają premiera, a premier nas. No i proszę, z pewnym opóźnieniem, lecz ostatecznie dotarliśmy do pana.

Papadópulos znowu poderwał się z miejsca. Jabłko Adama jeszcze bardziej uwypukliło się na jego szyi, gula rosła, unosiła się i opadała, zmieniała kształt w zależności od nastroju właściciela. Zaprotestował ponownie. Zażądał wyjaśnienia, dlaczego nadinspektor, strażnik prawa i sprawiedliwości, z uporem gwałci wspomnianą już podstawową zasadę. Korkódzelos nie udzielił mu odpowiedzi.

Sergidis tymczasem zastanawiał się, czego jeszcze ma się spodziewać. Jak mógł się tak wplątać? Kto go wplątał? Był blady jak płótno. Czyja niewidzialna ręka pociąga za sznurki? Jak, u diabła, zdołali wmanewrować go w taki sposób?

– Zaczniemy od początku, panie Sergidis. Przed trzema laty wygłosił pan płomienne... kazanie do studentów. W sali wykładowej. A na tablicy przypiął pan te oto fotografie.

Zastępca komendanta ponownie sięgnął do teczek, wyjął zdjęcia i położył je przed Sergidisem. Ofiary banku Marfin. Przedstawiciele trojki po lewej. Przywódcy partii politycznych po prawej. Sergidis nie wierzył własnym oczom. Odchylił się, oparł o krzesło, wyczerpany. A więc od tamtej pory mieli go na celowniku. Od tamtej pory go śledzą.

– Może nam pan powiedzieć, dlaczego przypiął pan na tablicy te fotografie?

Sergidis westchnął. Potarł oczy opuszkami palców.

– Zginęła trójka niewinnych ludzi, czwórka, jeśli liczyć płód. Zostali zamordowani! Tematem mojego wykładu jest fenomen zbójstwa w dziewiętnastowiecznej Grecji oraz jego związki z polityką, z politykami tamtego okresu, z finansjerą i z interesami obcych państw. Niewiele się zmieniło od tamtej pory. Nie sądzi pan?

W jego głosie brzmiało zmęczenie, rezygnacja. Sergidis zdawał się podnosić ręce w geście poddania. Mówił, ale na nikogo nie patrzył, jego wzrok był martwy, nieobecny. Miał przed sobą zjawy. Po chwili jednak zwrócił się wprost do Korkodzelosa. W jego oczach roziskrzył się jakby ostatni, nikły blask. Coś mu się przypomniało.

– Zdaje się... Zdaje się, że w całej tej historii i pan jest obecny, panie komendancie – rzekł.

Korkódzelos uniósł głowę, spojrział na niego jakoś dziwnie, krzywo, rzecz by, z politowaniem. Osiągnął swój cel. Miał Sergidisa w ręku. Miękkiego jak ciasto. Mógł z nim zrobić, co chciał.

– Jeśli się nie mylę... jest pan potomkiem dziewiętnastowiecznego herszta zbójckiego, Korkodzelosa... Objętego amnestią w roku 1844 na mocy edyktu królewskiego, w rok po powstaniu w 1843 roku, czyż nie tak?

Korkódzelos wydawał się zaskoczony. Myślał chwilę. Potem zamrugał powiekami, odzyskał równowagę.

– To tylko połowa prawdy, panie Sergidis. Druga połowa jest taka, że Korkózelos wstąpił do żandarmerii, po czym deptał po piętach zbrojcom bez litości i awansował na wyższe stopnie. I jeśli chce pan wiedzieć, stało się to tradycją w naszej rodzinie. Służymy prawu i porządkowi publicznemu. Bezkompromisowo i bezwarunkowo.

– Wiem, panie komendancie, wiem... Neofita, człowiek, który odstępuje od jednej wiary i przyjmuje nową, staje się fanatykiem nad fanatykami. Ale...

– Ale nie to jest tematem naszej rozmowy – przerwał mu Korkózelos i podał ciało do przodu tak, że prawie dotykał twarzy Sergidisa. – Tematem naszej rozmowy jest pan. I ci – położył palec na fotografii urzędników trojki – którzy zostali zabici. Czy już od tamtej pory przemyślał pan nad tym morderstwem?

Sergidis pokręcił głową.

– Nie, nie... Nie mam nic wspólnego ani z morderstwem tych ludzi, ani z morderstwem dziewczyny.

– Czy opuszczał pan w ostatnich latach uczelnię? Miał pan urlop naukowy?

– Tak... W 2010 roku, sześć miesięcy.

– I co pan wtedy robił?

– Byłem w Londynie, pracowałem w archiwum tamtejszego ministerstwa spraw zagranicznych nad książką, którą przygotowuję.

– Jakim tematem pan się zajmował?

– Zbrojactwem w XIX-wiecznej Grecji i raportami brytyjskich ambasadorów.

– Żeby nie marudzić zbyt długo, sam panu powiem, jaki to był temat...

Sergidis uniósł głowę i patrzył na niego.

– Możliwe rody mające wpływ na politykę w XIX wieku, zbrojactwo i brutalne ataki na cudzoziemców w Grecji. Tym się pan zajmował. Znaleźliśmy rękopisy w pańskim gabinecie.

– To tylko część ogólniejszego tematu. Jeden z rozdziałów, tak.

– Brutalne ataki na cudzoziemców... Powiedzmy na dzisiejszą trojkę. Zamierzał pan mordować także... greckich polityków?

Blizna na policzku rozciągnęła się jak guma, wyolbrzymiała, nadając twarzy przerażający wygląd.

Papadópulos wyciągnął długą szyję z grdyką, gotów zaprotestować kolejny raz.

Korkózelos podniósł rękę. Uprzedził go. Z jego oczu sypały się iskry.

– Wiem, wiem, panie mecenasie... Niech pana siedzi! – I znowu zwrócił się do Sergidisa. – Gdzie pan mieszkał w Londynie przez te sześć miesięcy?

– Z pewnością pan wie. Po co pytać?

– Dlaczego brat wyjechał z Grecji?

– To także pan wie!

– Odświeżę panu pamięć. Został aresztowany za udział w rozruchach w centrum Aten, za niszczenie cudzego mienia. Siedział rok. A później pojechał do Anglii.

– Pojechał na studia. Wiem o tym wszystkim. Jaki to ma związek ze mną?

– Macie burzliwą przeszłość jako rodzina. Pan też jest anarchista, panie Sergidis?

– Chce pan mnie jeszcze o coś spytać, panie komendancie?

– My zadajemy pytania, pan odpowiada. Tylko odpowiada... Słucham zatem.

– Nie, nie jestem anarchista!

– Dobrze pan wie, kiedy zamordowano tych z trojki. Pisał pan o tym w swoim artykule. Zabójstwa dokonano tuż przed południem 21 kwietnia. Gdzie pan był wtedy?

Sergidis uśmiechnął się lekko.

– A więc o to chodzi. To jest pański dowód. Czekałem na tę chwilę. Cokolwiek odpowiem i tak mi pan nie uwierzy, jestem pewien. Ja jednak powiem prawdę, a pan będzie zobowiązany ją zaprotokołować. A zatem, szef naszego instytutu wyznaczył mnie i poprosił, żebym odebrał z lotniska, a następnie zawiózł do hotelu profesora Rosberga z uniwersytetu w Göteborgu. Niech go pan zapyta. Zwykle postępujemy w ten sposób, gdy przyjmujemy gości. Profesor Rosberg miał następnego dnia wykład na wydziale filozoficznym.

– Tak, w wypełnionym po brzegi audytorium. A pan siedział w pierwszym rzędzie! Do którego hotelu pan go zawiózł?

– Też pan wie. Do hotelu, w którym dokonano zabójstwa.

– Samolot wylądował o dziewiątej czterdzieści pięć. O której dotarliście do hotelu?

– Nie pamiętam, ale wydaje mi się, że taksówka dotarła do hotelu o... dziesiątej czterdzieści pięć, jeśli dobrze liczę i...

– Dojechaliście koło jedenastej i usiedliście w hotelowej kawiarni.

– Tak sobie życzył profesor Rosberg. Chciał się napić kawy i zaprosił mnie do towarzystwa.

– A kiedy stamtąd wyszliście?

– Chyba około jedenastej trzydzieści.

– Dokładnie. Nie zdążył pan nawet dopić kawy, tylko wyszedł w pośpiechu. Dlaczego?

Sergidis świetnie to pamięta. Poszedł do toalety. I tam, na chwilę przed powrotem do stolika, zadzwoniła jego komórka. Ojciec. Matka źle się poczuła. Zawiózł ją do szpitala. Serce. Arytmia. Zadyszka. Obejrzał ją lekarz. Zrobiono badania. Elektrokardiogram. Musiał natychmiast tam iść. Przeprosił profesora Rosberga i prawie wybiegł na zewnątrz podenerwowany. Popędził do szpitala. Miał blisko, dosłownie dwa kroki.

– Pańska matka... Po południu czuła się już dobrze, nieprawdaż?

– Tak, ostatecznie nie było to nic poważnego. Niech pan spyta w szpitalu. Ale...

– Na jak długo zostawił pan profesora samego, zanim udał się pan do szpitala?

– Hm... Dziesięć minut?

– Prawie dwadzieścia. Wystarczająco dużo czasu, żeby dostać się na jedenaste piętro i podciąć gardła tym z trojki, nie sądzi pan?

– Bardzo pana proszę! – wykrzyknął Sergidis.

Ale zastępca Komendanta Policji Greckiej nie zwrócił na to uwagi. Ciągnął tym samym podniesionym tonem.

– Co najmniej tuzin osób widziało, że opuszczał pan hotel wzburzony.

– Powiedziałem już, że moja matka... – próbował oponować Sergidis.

Korkódzelos przerwał mu:

– Gdzie trupy... tam i pan. Jak sęp. Za dużo już chyba mówimy o tych zbiegach okoliczności, nie uważa pan? Zarówno urzędnicy trojki, jak i dziewczyna zostali zamordowani w ten sam sposób, tą samą bronią. Pistolet, zapewne Glock 17, oraz nóż z długim ostrzem ząbkowanym po jednej stronie, jak te używane do nurkowania – rzekł, i zanim zaczął kontynuować, pochylił się nad stół, oparł na nim obie ręce i patrzył Sergidisowi prosto w oczy.

Jeszcze nigdy nie byli tak blisko siebie.

– Żeby już skończyć, im szybciej przekażesz nam narzędzia zbrodni i przyznasz się do winy, tym lepiej dla ciebie, Sergidis! – Korkódzelos zaśmiał się głośno, szyderczo.

Pierwszy raz zwrócił się do niego per „ty”. Zmienił się nie do poznania, był straszny, diaboliczny. Gwałtowny. Nadużywał władzy, zerował na kompletnej bezsilności zatrzymanego. Ale było coś jeszcze. Mówił w sposób, w jaki policjant zwraca się do człowieka skończonego, winnego ponad wszelką wątpliwość, do zbrodniarza.

– Bardzo pana proszę! Po raz kolejny! Nie wiem, jaka jest pańska rola, ale wiem na pewno, że jestem niewinny... Niewinny! Niech pan to wreszcie pojmie. Jakkolwiek będziecie się starać, żeby mnie obciążyć, znajdę sposób, by się oczyścić. Sprawiedliwość nie może być aż tak ślepa! – zawołał Sergidis, uderzając ręką w stół, czerwony ze złości.

Korkódelos wstał. Westchnął.

– Dobrze – rzekł. – Zobaczymy.

Wyszedł z ironią uczepioną do kącika ust.

Sergidis został sam z adwokatem. Papadópułos poprosił o czas do następnego dnia, chciał przejrzeć akta. Przyjdzie jutro, to pogadają. Wstępnie mógł powiedzieć, że sytuacja nie wygląda dobrze. Naturalnie, fakty przytoczone przez zastępcę komendanta nie oznaczają automatycznie wyroku. Trzeba to jednak udowodnić. Jeśli natomiast... Jeśli... rzeczywiście jest sprawcą, to... to... jego zdaniem powinien co prędzej się przyznać i prosić sąd o wyrozumiałość. Przyznanie się do winy, dotychczasowe przykładowe życie, czysta kartoteka mogą zapewnić łagodniejszy wymiar kary. „Niech pan to przemyśli”.

– Jestem niewinny! – wybuchnął Sergidis. – Nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy! Próbują mnie obciążyć zbrodniami dokonanymi przez innych. Jeśli pan mi nie wierzy, proszę to otwarcie powiedzieć. Teraz. Żebym wiedział, na czym stoję.

Był wściekły. Adwokat nieco spasował. Uniósł ręce do góry. Poddał się.

– Wierzę panu, wierzę panu... I zrobię, co w mojej mocy.

Później, sam w celi, Sergidis pogrążył się w bezbrzeżnej rozpacz. Jakaś niewidzialna ręka od dawna majstrowała przy tej sprawie, fabrykowała fakty, fałszywe dowody, a teraz on tkwi tutaj całkowicie unieszkodliwiony. Godny pożałowania, przyparty do muru, bezsilny, schwytany w pułapkę. Martwy od dawna, truchło cuchnące trupimi jadami. Niczego nie był świadom. Za jego plecami toczyła się gra, a on nie miał o niczym pojęcia. Kopali mu grób, a on, naiwny, patrzył w górę, w niebo, w gwiazdy, i wpadł do dołu. Jak mógł być takim głupcem? Matka umrze, nie wytrzyma tego. A Katerina? Ledwie parę dni temu miał jej dać pierścionek, poprosić, by za

niego wyszła. Po incydencie z byłym mężem odłożył to na później. Ale teraz? Teraz...

Kto kryje się za tą sprawą? Ten drań Korkódzelos? Czy tylko wykonuje rozkazy? Eftimiju, Apostolu? Właśnie, gdzie jest Apostolu? A może... Może go zrobił szef Instytutu Historii, łajdak jeden, który go wysłał po Rosberga i kazał zawieźć profesora do hotelu akurat w dniu poczwórnej zbrodni? Karanikolas, eks Kateriny? Nadal brzmiały mu w uszach jego groźby. „Zapłacisz mi za to... Zapłacisz... Już ja cię znam, Sergidis. Nie zostawię tak tego. Jeszcze się policzymy. Ja ci jeszcze pokażę...”. A może wszyscy oni maczali palce w tej intrydze?

74/A30

Siedziałem na balkonie na plastikowym krzeselku. W jednej ręce frappé, w drugiej *To*. Ona mi poleciła. Nalegała: „Przeczytaj!”. Czekałem podniecony, gdzie indziej błądziłem myślami. Co mi tam teraz potwory i jakieś bzdury. Powiedziała, że będzie koło szóstej. „Przygotuj się na... maraton”, dodała, rozbudzając moją wyobraźnię. Zobaczyłem z daleka, jak skręca z za rogu i idzie w stronę mojego bloku. Ukłucie w piersi. Miała na sobie obcisłą czarną sukienkę. Elegancka postać, prosta sylwetka, znajomy chód, niepowtarzalny jak odciski palców, wyjątkowy. Śledziłem jej ruchy niczym kamera filmowa. Daleki plan, bliski plan. Zoom. Ruch. Zwolnione tempo. Nie wytrzymałem. Wstałem, odstawiłem frappé, odłożyłem książkę, zamierzałem wejść do mieszkania, żeby otworzyć drzwi. I wtedy... Z budynku naprzeciw, tam, gdzie ulica schodzi w dół, wyskoczył zwałisty młodzian, wielki jak góra, brodaty. „Won, kundlu!”, ryknął i poczęstował kopniakiem psa. Maleńkiego. Psiak jak puszysta kulka potoczył się i spadł z chodnika na jezdnię. „Won!”, wrzeszczał tamten. Zwierzę zaskowyczało z bólu, spuściło łebek, skuliło się na metalowej kratce kanalizacyjnej. Młodzian odwrócił się. Już miał wejść do środka i zamknąć za sobą drzwi, gdy pies zebrał siły i, kulejąc, ruszył wiernie za swoim panem. Ten odwrócił się i z wściekłością kopnął psa w mordę, chcąc go odesłać do wszystkich diabłów. „Gdzie... kundlu?”. Pies, zakrwawiony, znieruchomiał na asfalcie.

Rubini widziała tę scenę. Puściła się biegiem. Wszystko stało się bardzo szybko. Gość nie zdążył się nawet połapać, co go czeka. Rubini się nie zawahała, nigdy się nie wahała. Zamachnęła się, powaliła osiłka na ziemię jak słomkę. Tak jej kazała dusza. Podniosła krzyk, wymyślała mu rozsierdzona, nie przebierając w słowach, wezwie policję, niech go zgarną. Facet był zaskoczony, zbaraniał, zamarł. Słowa nie wykrztusił.

Zbiegłem na dół. Gdy dotarłem na miejsce, już go nie było. Rubini trzymała psa na rękach i go głaskała. Czarna sukienka zabarwiła się szkarłatem. Pies krwawił, ale żył. Patrzył na nas wielkimi wilgotnymi oczyma pełnymi zdziwienia. „Jedziemy... Jedziemy. Przyrowadź motor”, prosiła Rubini. W jej głosie śmiertelny niepokój. Na rzęsach zastygłe łzy. „Dokąd mamy jechać?”. „Do weterynarza. Do weterynarza koło mnie. Dwie przecznice stąd”. Pojechaliśmy. Tuliła psa w objęciach.

Weterynarz robił, co mógł. Obmył go. Zastrzyki, lekarstwa. Co tylko mógł. Wydawało się, że pies dochodzi do siebie. Wzięła go do domu.

Położyła na starym zakiecie w łazience. Wmusiła w niego odrobinę mleka. Nie chciał jeść. W końcu nie dał rady, wyzionął ducha. Zadzwoiła do mnie w środku nocy, szlochając rozpaczliwie. Nie była w stanie mówić. Pojechałem. Całą noc hołubiłem ją i tuliłem. „Uspokój się... Uspokój się, Czerwony Kapturku”.

75/C15

Znowu noc w pracy. Skóra wokół oczu obrzmiała, szerniała od niewyspania. Jeszcze raz ogląda w komputerze film nakręcony przez wydział kryminalny. Który raz? Dziesiąty, piętnasty? Apartament w hotelu, krew, zwłoki, odcięte głowy. Śmierć. Zamknięte, spuchnięte oczy, otwarte usta. Horror. Zatrzymuje obraz. Zbliżenie na twarz. Przypomina sobie fotografię z odciętymi głowami zbójców – tę, którą dostał od Sergidisa. Szuka w szufladzie biurka. Gdzieś tu ją wsadził. Jest. Porównuje zdjęcia. Wyraz twarzy tych z trojki wydaje się spokojniejszy. Niewidzialne nici łączą te głowy, tych ludzi, ich losy. Przypomina sobie fragment opowiadania Papadiamandisa *Wielkanoc Janisa*, który przeczytał im Sergidis. Wyciąga tekst z teczki.

Twarz miał nedorzecznie pogodną i uśmiechniętą. W chwili gdy ostrzeliwali ich żołnierze, ten rumeliocki junak chował się w gęstych zaroślach i za skałami, dlatego może, że ta jego kryjówka wydawała mu się całkiem bezpieczna; któż zresztą wie, co sobie wtedy myślał albo co tak ważnego zobaczył, albo też co tak zabawnego usłyszał od któregoś z najbliższych towarzyszy, że roześmiał się, tak jak tylko ludzie się śmieją. W tym samym momencie, znienacka, dosięgła go kula. Właśnie w gardło go trafiła i położyła na miejscu.

Po dwóch dniach przewieziono zabitych, w liczbie pięciu czy sześciu, do Aten. Wszyscy ci budzący grozę ciekawscy mogli wówczas ujrzeć na twarzy owego chłopca wyryty zastygły śmiech. Nie zdążył przecież szczęśliwy ten człowiek poczuć gorzkiego smaku pocisku, śmierć przyszła doń tajemnicza, słodka, na długo przed bólem⁷⁷.

Wczoraj zaszedł do Muzeum Kryminologicznego. Odwiedził je już kiedyś jako młody chłopak, student akademii policyjnej. Obejrzał drewnianą gilotynę, ukośne ostrze, sznury, pleciony koszyk. Znalazł w gablocie głowę zbójcy. Przystanął i przyglądał się jej długo. Jakby czekał, że mu coś podpowie. Wyraz bólu, który przywarł na zawsze do ust, do twarzy. Czy to głowa Christosa Arwanitakisa? Otwarte usta, spuchnięte powieki, kasztanowe włosy. Wyobrażał go sobie żywego. Musiał być urodziwy, przystojny. Chciał zobaczyć też inne głowy, zwłaszcza tę młodocianego zbójcy, z uśmiechem na ustach. „Nie, nie mamy głów związanych z tamtą sprawą. Tylko ta jedna. Jeśli kiedyś mieliśmy, to pewnie uległy

zniszczeniu”, poinformował pracownik muzeum. Ożyły kwietniowe dni 1870 roku. Trasa od pojmania do rzezi. Apostolu przeniósł się w dawne czasy. Wędrował: dawne Ateny, Pikiermi, Pendeli, Oropós, Sikámino, Dílesi. Słyszał odgłosy. Niewyraźne, nieokreślone, huki wystrzałów i okrzyki bólu zagubione w niepamięci.

Pracownik muzeum powtórzył ze dwa albo i trzy razy: „Panie inspektorze, panie inspektorze!”. Apostolu ocknął się, obudził z letargu. Zobaczył przed sobą twarz pracownika, wrócił do rzeczywistości. Ten tymczasem mówił, że przeszukał magazyn i znalazł pudło, które może inspektora zainteresować. Zdmuchnął kurz, przetaił pudło ścierką. Apostolu zobaczył jatagan, pistolet. Morderczą broń, która odebrała życie wielu ludziom. Dotknął palcami lufy pistoletu, ostrza jatagana. Czy to broń Arwanitakisa?

Tak, poszedł wczoraj do muzeum. Przeróżające historie, i podobne, identyczne. Mroczna natura ludzka się nie zmienia. Obraz przed jego oczyma ożywa znowu. Kamera najeżdża na łazienkę. Przedmioty na umywalce, rzucony zakrwawiony ręcznik. Później na pokój. Nierozczłonkowane zwłoki ochroniarza. Wiadomość, którą morderca zostawił na lustrze. Kartka A4, trochę pognieciona. Morderca złożył ją na pół i jeszcze raz na pół, widać zagniecenia. Znowu powiększenie, zatrzymanie obrazu. Jaka gra tu się toczy? Czy ktoś się z nimi bawi? Po raz kolejny czyta zaszyfrowany tekst. Nie znajduje rozwiązania. *Aste dua u...* Odchyła się na oparcie krzesła. Służby specjalne greckiej policji, fachowcy od oświadczeń terrorystów, od podobnie zagadkowych tekstów, nadal się nad tym biedzą. Wzdycha rozczarowany. Sherlock Holmes wypstrykał się z pomysłów.

Pukanie do drzwi. „Proszę!”. Drzwi się otwierają. Szeregowy Wasilis Argiros, który ma teraz służbę, informuje go, że zatelefonował pewien obywatel i powiedział, że w dniu poprzedzającym zabójstwo jakieś towarzystwo siedzące w kafeterii w Faleronie dyskutowało pół żartem, pół serio o możliwości zamordowania przedstawicieli trojki. Prześcigali się w okrucieństwie. Pociąć ich na kawałki, przemieścić na miazgę, głowy im poucinać i temu podobne. Setny albo i dwusetny obywatel chwycił za słuchawkę, aby przekazać informację policji. Funkcjonariusze gnali wszędzie. Próżny trud. Setki straconych godzin, błędne tropy, płonne nadzieje. Zawracanie głowy. Wczoraj zatrzymano mężczyznę terroryzującego mieszkańców w środku nocy. Wybierał na chybił trafił

numery z książki telefonicznej, dzwonił i groził. „Głowę ci utnę, jak tym z trojki... Na kawałki posiekam...”. Schwytali go na gorącym uczynku, gdy telefonował czarną nocą, budząc kolejnego Bogu ducha winnego człowieka. O trzeciej nad ranem. Zasadzili się. Wydzwaniał zawsze z tej samej budki. Niezrównoważony, psychiczny. I co z takim zrobić?

Inni rozpoznawali mordercę na podstawie portretu pamięciowego. Ilu? Pięćdziesięciu? Sześćdziesięciu? Ktoś znalazł w śmietniku pistolet i nóż w plastikowej torbie. Pistolet był atrapą, dziecięcą zabawką na kapiszony. Nóż okazał się obcinaczem do paznokci!

Apostolu kręci głową. Patrzy na policjanta zasepiony. „Dobra”, mówi, „Wyślij radiowóz, niech ten człowiek złoży zeznania. Pojedźcie rano do kafeterii w Faleronie i go znajdźcie”.

[ZZ](#) Przekład Małgorzata Borowska.

76/A31

Tak, coś w nim pękło. Tamtego lata pod górą Kandili coś mu odmieniło duszę. Stał się innym człowiekiem. Wyrzucał sobie, że nie był blisko, że nie ochronił matki. Czasami twarz mu mroczniała, okrywał ją jakiś cień, żłobił na niej bruzdy i znikał. Niepojęty i podstępny. Zagadkowy. Zostawiał po sobie smutek i chłodną twardość w spojrzeniu. Widziałem, wyczuwałem to coś, co zżerało go powoli od środka i ściągało chmury nad ich związek. Tkliwe gesty były rzadsze, pieśczęty sporadyczne. Niełatwo okazywali uczucia. Czasem zapadała między nimi lodowata cisza, wyrastał mur nie do pokonania. Nie to, że się o siebie nawzajem nie troszczyli. I nie to, że ich miłość wygasała. Ojciec wciąż uwielbiał mamę. To wiedziałem. Ona kochała go zwyczajnie, powściągliwiej. Ale zniknęły bez śladu młodzieńcze uniesienia, erotyczne rozpalenie, które na początku ich znajomości ściągało ojca z Cypru do Aten. Które kazało mu wyczekiwać godzinami pod jej domem, marznąć z bukietem róż w dłoni.

W następnym roku zaczęła się historia z giełdą. Inwestycje ojca, potajemne pożyczki. A później katastrofa.

Niemniej przez te dwa, trzy lata często wyprawialiśmy się w różne miejsca. Czasem sami z ojcem, na ryby, czasem razem z mamą. Potrzebował tego. Chciał odetchnąć, wyciszyć się. Zapominał wówczas o troskach. Jakby dręczyło go jakieś złe przecucie, jakby przeczuwał burzę, która już się zbiera, nadciąga nieubłagane. Jakby chciał przeżyć te chwile mocno, całą duszą, nasycić się nimi, zostawić nam w schedzie wspomnienia. I wtedy znów stawał się ojcem i mężem, jakiego znaleźmy i kochaliśmy. A ja zachowałem głęboko w pamięci jego uśmiech skąpany w promieniach słońca, gdzieś pod gęstym listowiem i gałęziami, nad rzeką, gdy pstrąg trzepał się na otoczkach.

I tamto niesamowite zdarzenie, gdy wracaliśmy pewnej nocy całą trójką z gór Tróodos po całodziennej wycieczce. Wyruszyliśmy bladym świtem. Ojciec tak chciał, nalegał. Chciał, żebyśmy wykorzystali rzeński chłód poranka i cały dzień, od świtu do zachodu słońca. Wędrowaliśmy po górach i wąwozach, przez stare weneckie mosty, po wytyczonych przez służby leśne szlakach, które czasami okazywały się bardzo trudne do przebycia. Widzieliśmy opuszczone osady, leśniczówki, ustronne kapliczki, stare młyny wodne. Dzikie miejsca. Pokonywaliśmy rzeki. Natykaliśmy się na wodospady, stada muflonów, na zające, spotkaliśmy lisa, który przyglądał się nam z ciekawością zza krzaka jeżyn. Zgubiliśmy się.

Odnaleźliśmy drogę. Zbieraliśmy lebiodkę, dziki wawrzyn, górką miętę. Ojciec miał bzika na tym punkcie. Znosił nam, co się dało, zależnie od pory roku: wiosną dzikie truskawki, owoce pistacji terpentynowej, kapary, jesienią rydze i szałwię, dzikie jabłka, owoce dzikiej róży i chruściny jagodnej.

Wykończeni zatrzymaliśmy się w pierwszej napotkanej tawernie, w dolinie obok strumienia. Zanim wstaliśmy od stołu, zaczęło się ściemniać. W lesie mrok zapada szybko.

Szum silnika, wolna jazda, monotonia żółtych świateł na niekończących się zakrętach i znaczna wysokość usypiały nas. Powieki opadały. Oczy mi się kleiły, zamykały... W tej mordędze, gdy kołysałem się na siedzeniu, jawił mi się co pewien czas niby wyblakłe wspomnienie, obraz mamy leżącej na boku, przypiętej pasami. Odchyliła fotel obok kierowcy, spała. Nie dała rady czuwać. W końcu, znużony, zasnąłem i ja.

Nie wiem, ile czasu minęło. Hamulce zapiszczały na asfalcie. Ojciec zatrzymał samochód na skraju drogi. Światła zgasły. Mama zerwała się przestraszona.

– Dlaczego się zatrzymałeś? – spytała.

– Patrzcie! – powiedział ojciec, wskazując wyrastające przed nami wzgórze.

I wtedy je zobaczyliśmy. Setki, tysiące mikroskopijnych latarek, migoczących gwiazdek, które wirowały nad zboczem. Wysiedliśmy. Przecieraliśmy oczy, by się ocknąć na dobre. Staliśmy i obserwowaliśmy ten cud ze zdumieniem. Mama zmarzła. Ojciec otoczył ją ramieniem, głaskał po plecach, przytulał, okazując wyjątkową tkliwość. Jeszcze jeden cud. Pochylił się i ją pocałował. Była to jedna z niewielu czułych chwil między nimi, których byłem świadkiem w ostatnich dwóch, trzech latach. Potem drugą ręką przyciągnął mnie do siebie i przytulił.

– Co to za lampeczki, tato?

Roześmiał się.

– To nie lampeczki, tylko świetliki – rzekł.

A ponieważ nie rozumiałem słowa „świetliki”, zaczął wyjaśniać. Że świetliki fosforyzują dzięki chemicznej substancji, którą mają na brzuskach. Celem jest zwrócenie na siebie uwagi osobników odmiennej płci, te zaś, w odpowiedzi także wysyłają sygnały świetlne. Niektóre samice wabią samca, by go zjeść. Kanibalizm! Świecą także po to, żeby przyciągnąć ofiarę albo odstraszyć drapieżniki, które na nie czyhają.

Słuchałem, co mówił wśród pustkowie i absolutnej ciszy. Pod przepięknym niebem z rysującymi się wyraźnie gwiazdozbiorami. Patrząc na świetliki fruwające w ciemności nad zboczem, między sosnami. Zamknąłem oczy. Wydawało mi się, że słyszę szum ich przezroczystych skrzydeł, delikatne brzęczenie, gdy tańczą blisko siebie, zanim połączą się w pary, pchane odwiecznym instynktem. Chciałem zatrzymać ten obraz w pamięci. Na zawsze. To było szczęście. Tak, szczęście.

77/D13

Christos obserwował idącego obok Fredericka Vynera, drobnego młodzieńca z ledwo sypiącym się wąsem. W jego wyglądzie i spojrzeniu było jeszcze coś dziecinnego. Miał wstydliwą naturę – nieśmiały do lordów, przestraszony i pobladły przed zbójcami.

Arystokratyczne wychowanie widoczne było w postawie i w manierach. Nawet do nieokrzesanych zbójców odnosił się z wyjątkową uprzejmością. Kilka godzin marszu, a już się zmęczył. Co chwilę wyciągał jedwabną chusteczkę i ocierał pot spływający z czoła. Był wykończony, jak i pozostali zakładnicy, nienawykli do pieszej wędrówki w gorącym słońcu śródziemnomorskiego kwietnia, po górskich wertepach, gdzie pełno kamieni i ciernistych krzewów.

W pierwszych godzinach marszu Christos trzymał pistolet, tamtą starą króciwą ojca, wycelowany w Vynera, gotów strzelić z byle powodu. Ale obserwując go tyle czasu, zrozumiał, że nie musi obawiać się młodego angielskiego arystokraty. Opuścił więc broń. A potem wetknął ją za pas.

W monastyrze w Pendeli zbójcy weszli do kościoła, pokłonili się ikonom, poszeptali z igumenem, po czym ruszyli w dalszą drogę. Żandarmi na pewno już ich ścigają. Trzeba się spieszyć. Minęli Stamatę i postanowili ukryć się w pobliżu Kieramidi. Tam czuli się bezpieczni. Pozwolili zakładnikom rozłożyć się pośród drzew, a ci padli na ziemię skonani. Około północy zbójcy upiekli nad ogniem jagnięta. Rzucali jeńcom szydercze spojrzenia i chichotali. Przywołali ich i na nożach podali im kawałki mięsa pomazane miodem.

W drodze do Oroposu Christos Arwanitakis zamienił z Vynerem co najwyżej kilka zdań. Jednak nawiązała się między nimi nić duchowego porozumienia. Arwanitakis podziwiał zachodni strój Vynera. Szare spodnie, angielski kaszmir, koszula, kamizelka i lekka marynarka, odpowiednie na wycieczki za miasto. I czarne półbuty. „Chcesz się zamienić?”, ze śmiechem rzucił po grecku Christos. Tamten nie zrozumiał. Wskazał więc zbójca palcem na ubranie, dotknął ramienia Vynera. Zjawił się Anemojanis, zaczął tłumaczyć. Vyner uśmiechnął się powściągliwie, a potem zdjął marynarkę i buty, gotów całkiem się rozebrać. Myślał, że to rozkaz, miał nie usłuchać? Zbójcy byli dzicy, mógł się zachować inaczej?

Zaśmiewając się w głos Arwanitakis powstrzymał chłopca. Niech zatrzyma ubranie, cha, cha, cha, on tylko żartował. Niepotrzebne mu jego rzeczy. „Ja w zachodnim przebraniu, wyobrażasz to sobie?”, spytał

stojącego obok Drakosa i znów odwrócił się do Vynera. Ujrzał niepewny uśmiech skierowany w obłoki. Zapytał, czy ma rodziców, rodzeństwo w Anglii. I tamten się rozgadał. Opowiedział o ojcu, lordzie Henrym Vynarze, którego wcześniej utracił, o matce, braciach i siostrze. Sześcioro rodzeństwa w sumie. I o drugiej siostrze, która odeszła nagle w 1864, precudnej urody, prawdziwa piękność. Mieli jej fotografię w salonie, w Yorkshire. Umilkł na chwilę, oczy mu zwilgotniały. Z entuzjazmem i nostalgią mówił o domu i majątku w Yorkshire, o wiejskim krajobrazie, o zielonych łąkach.

Christos słuchał Vynera – Anemojanis tłumaczył – i wyobrażał sobie jego daleką ojczyznę, ziemie Północy, tamtejszy chłód, ciężką zimę i mrok. A potem sam zaczął opowiadać. O tym, że jego przodkowie pochodzą z Epiru, z Pramandy, i o tym, jak w czasie powstania opuścili te ziemie i osiedli w Agrafie. Tam się wychował. Pomiedzy szczytami Koftry, Ambary i Uranosa, na ich zboczach, w wąwozach rzeki Miresiotis. Mówił o Katsandonisie, swoim bohaterze. Potem o swojej rodzinie. O ojcu, który walczył w powstaniu i przez sześć lat bił się w różnych miejscach Grecji, o bliznach na jego ciele, pozostałych po walkach wręcz i od tureckich kul. Był w ogniu walki, niejedno przeżył i wycierpiał, lecz ocalał, by marnie i przedwcześnie skończyć, gdy pewnego wieczora złodzieje kóz wdarli się do ich koszary. Opowiadał o matce i rodzeństwie. O przygodach przez lata u boku Takosa. A gdy tak mówił o swoim życiu, przywołując wspomnienia dalekich ojczystych stron, zdał sobie nagle sprawę, jak wiele łączy go z Vynarem, z tym dobrze ułożonym chłopcem z zimnej i mrocznej Północy. Ojcowie nie żyją, u każdego sześcioro rodzeństwa. Obaj najmłodszy w rodzinie. I czy on, Christos, też nie był zakładnikiem? Jeńcem nieubłaganego losu z dala od ojczystych stron, w które nie mógł powrócić? Tak, to niebywałe. Drakos obok słuchał i ze zdumieniem obserwował, jak Christos niespodziewanie się przeobraża, jak opowiada z pasją, usta mu się nie zamykają, i to spojrzenie... Nie było już dzikości na twarzy Christosa. Zniknęła. Jakby przestała się dręczyć jego dusza. Głos miał słodki, spokojny. Przez wszystkie te lata ani razu nie widział Drakos równie łagodnego Christosa.

Arwanitakis zapytał następnie Vynera, dlaczego przyjechał do Grecji, co go tu sprowadziło z tak daleka. Odpowiedź chłopaka całkiem go rozbroiła: jest wielbicielem jego ojczyzny, starożytnej Hellady, przyjechał nacieszyć się słynnym attyckim światłem, słyszał tak wiele i chciał zobaczyć to,

o czym uczył się w Anglii – Akropol, Maraton i wiele innych zabytków. Christos się zdziwił. Taka daleka podróż, żeby oglądać... ruiny?! Nie mógł tego pojąć.

Vyner pochylił głowę, wahał się chwilę, po czym zaczął mówić. Urywając słowa i lekko sepleniąc, pośród stłumionych uderzeń serca i drżenia duszy wyznał, że tam daleko, w ojczyźnie, pozostawił dziewczynę, która na niego czeka. Mary L'Estrange, siostrę lady Constance Muncaster. Wraz z narzeczoną i Muncasterami podróżowali do Brukseli i Antwerpii, zanim skierowali się na południe, do Italii i Grecji, upojeni i nasyceni tym, co już przeżyli. Wspaniale spędzili tamte tygodnie. Wycieczki, tańce, festyny, koncerty. Najszczęśliwsze dni w jego życiu. Potem narzeczona wróciła do Irlandii. On i Muncasterowie z Gleissnerem, ich służącym, kontynuowali podróż. Niemcy, Austria, Italia, Korfu. Pireus 7 kwietnia.

I tak, powoli, Christos zdobył zaufanie Vynera. Chłopak podzielił się z nim swą najskrytszą tajemnicą. Bładość i strach zniknęły z jego twarzy. Wiedział, czuł, że wśród tych nieokrzesanych ludzi o szpetnych gębach ma przyjaciela, na którym może się wesprzeć. Christos zaś rozkoszował się jego towarzystwem, jego szlachetnym wyglądem i łagodnymi manierami. Raz czy dwa, mimo sprzeciwów Takosa, „Po co ty się zadajesz z jeńcami?”, spacerowali razem po uliczkach Oroposu i po okolicznych polach, pośród krzewów niepokalanka, skalnych dębów i klonów, morw i zrujnowanych świątyń. Christos obserwował Vynera, gdy ten rysował na papierze zbójców. A potem oglądał i podziwiał te rysunki. W ruinach kościoła św. Jerzego Vyner usiadł i wpatrywał się w otaczające go piękno: groszek pachnący, stokrotki, czerwone maki...

– Jest pięknie tu, Grecja piękna – skomentował łamaną greczyzną, a Christos przytaknął głową.

– A gdybyś widział moje ojczyste strony, ziemie Agrafy... – rzekł.

– Zabierz mnie tam, żebym zobaczył – poprosił tamten, a Anemojanis przetłumaczył.

– Kto wie, może pójdziemy tam pewnego dnia... Ale i ty pokażesz mi swoją Anglię! – zażartował Christos.

Vyner roześmiał się i obiecał.

Zamilkli. Vyner oparł się plecami o ścianę dawnego prezbiterium, wyjął z kieszeni niedużą książkę i zaczął czytać. Gdy skończył, Christos chciał wiedzieć, co też to on czytał z tak dużą uwagą.

– To poezja – odrzekł Vyner. – Byron. Słyszałeś o Byronie?

Christos pokręcił głową. Nie.

– Największy angielski poeta. Przybył do Grecji w czasie powstania, by pomóc Grekom w odzyskaniu niepodległości. I umarł w Mesolongi w 1824. Umarł za Grecję – wyjaśnił chłopak.

Christos skrzywił się. „Pff...”, prychnął ze zdumieniem i wzgardą.

– No nie, wy Anglicy jesteście całkiem szurnięci. Jedziecie tak daleko od domu, żeby oglądać ruiny i kamienie, i żeby umierać za obcych – powiedział, wziął do ręki książkę i spojrzał na tekst.

Zdały mu się dziwne te angielskie litery. Abrakadabra. Vyner zaczął deklamować. *Córkę Aten*. Głos mu drżał, jakby za chwilę miał się rozpłakać. Niepojęta wrażliwość. Być może *Córką Aten*, była w jego oczach, w głębi duszy, Mary L' Estrange, jego narzeczona.

*Maid of Athens, ere we part,
Give, oh, give back my heart!
Or, since that has left my breast,
Keep it now, and take the rest!
Hear my vow before I go,
Ζωή μου, σας αγαπώ.*

Christos szeroko otworzył usta i słuchał angielskich słów poematu, które zdały mu się egzotycznymi dźwiękami, podobnymi poszeptom wiatru, łopotowi ptasich skrzydeł, uderzeniom spienionej fali rozbijającej się o brzeg morza. Tak czuł. Zrozumiał jedynie grecki wers: *Ζωή μου, σας αγαπώ!*⁷⁸.

Anemojanis robił co mógł, by wiersz tłumaczyć – „Słodka córko Aten...” – lecz z trudem dawał radę. Wiele zagubiło się w metaforach i dosłownościach. Christos zrozumiał tylko, że wiersz odnosi się do jakiejś córki Aten. Vyner opowiedział mu o Terezie Makrí, małej dziewczynce wówczas, gdy pokochał ją Byron, w odległym 1809 roku, w czasie swojej pierwszej wizyty w Atenach. Później poślubiła angielskiego oficera, Jamesa Blacka. Vyner powiedział Christosowi, że ona wciąż mieszka w Atenach, w domu przy ulicy św. Tekli, w dzielnicy Psirí. Był tam i ją widział. Starsza pani. Szlachetna twarz, arystokratka. Opowiadała mu o lordzie Byronie takim, jakiego pamiętała niby sen z dziecięcych lat.

Vyner przeczytał mu jeszcze kilka lirycznych wierszy Byrona. Arwanitakis kręcił głową ze wzgardą. Powiedział, że „nie jest w stanie zrozumieć poetów”. „Tak gorliwie piszą o górach, lasach, rzekach, obrazują

przyrodę, o której w gruncie rzeczy nie mają pojęcia. Co wy wiecie? Mieszkacie w miastach, pośród ulic, placów i budynków. To my żyjemy blisko dzieł Boga, blisko skał, dolin, wąwozów, lasów”.

Vyner zachwycił się myślą Christosa Arwanitakisa. Po czym zapytał go niespodzianie, czy przez te wszystkie lata nie pomyślał kiedy o porzuceniu zbójckiego życia, o powrocie do ludzi, do cywilizacji. Christos znów się zadumał.

– Tak, chciałbym tego. Ale powiem ci coś i przemyśl to sobie. Ilu jest w społeczeństwie takich, co krzywdzą innych, pozbawiają ich chleba? A jednak są szanowani, podziwiani. Czemu? Czy są cnotliwi? Czy w społeczeństwie nie ma zbójców? Zbójcy-handlarze, zbójcy-lichwiarze, zbójcy-bankierzy, obłudni zbójcy-politycy. A Chrystus na krzyżu komu, uważasz, winy wybaczył? Zbójcy, a nie celnikowi czy faryzeuszowi.

I tak nastrój przysł. Christos Arwanitakis zmienił temat. Zapytał Vynera, czy tęskni za ojczyzną, za matką. Ten schylił głowę, potem odbiegł wzrokiem gdzieś w bok, w dal, zatracił się w obłokach, w morzu.

– Napisz list do matki. Ja go wyślę – zachęcił go Christos i wstał na znak, że powinni wracać, owieczka do swojej zagrody, wilk na czaty.

Vyner ucieszył się, pełen entuzjazmu natychmiast zaczął pisać na kartce... że ma się dobrze i dobrze go traktują... że Christos Arwanitakis jest dobrym człowiekiem... że, że, że... I dał list Christosowi, żeby go wysłał matce.

Następnego dnia zmierzyli się w biegach. Vyner wyprzedził Arwanitakisa o pięć kroków. Christos wyzwał go, by zmierzyli się jeszcze w rzucaniu kamieniem. A jeśli uda mu się zwyciężyć i tym razem, puści go wolno, obiecał mu nieoczekiwanie. Vyner spojrzał na niego nieufnie. Spuścił wzrok, smutek pojawił się w jego oczach. Drwił z niego? Christos powtórzył obietnicę i chłopak zrozumiał, że mówi prawdę. Dał z siebie wszystko. Ujął w ręce kamień, podniósł go z trudem. Nogi się pod nim uginały. Mało brakowało, a byłby się przewrócił. Sine, nabrzmiące żyły wystąpiły mu na twarz. Jeszcze chwila i pękną. W końcu rzucił. Na trzy kroki. Christos chwycił kamień, uniósł go niczym kawałek pumeksu, rzucił na sześć kroków. Zaśmiał się donośnie. Vyner spojrzał na niego ze smutkiem. Arwanitakis podszedł, klepnął chłopca po plecach. „Nie martw się. Cierpliwości. Za kilka dni będziesz wolny”, rzekł. Usiedli obok siebie,

plecami wspierając się o ścianę świątyni Zaśnięcia Bogurodzicy. I wybuchnęli śmiechem jak małe dzieci.

A kiedy Christos był w Atenach, tamte dwa dni, twarz Vynera znów spochmurniała, przywiędła. Pograżył się w rozpacz. Jego ostatni list do Muncastera był pesymistyczny, bardziej pesymistyczny niż wszystkie poprzednie. Nie wiedział, co się stało z przyjacielem. Pytał Tsakanikasa, który pilnował zakładników, ale ten, gburowaty z natury, warknął coś jak dzika bestia, obnażył przegniłe kły, Anemojanis niczego nie zrozumiał.

Kiedy Christos wrócił i powiedział mu o swoim planie, ucieszył się, serce mu zabiło radośniej, na twarz powróciły kolory, przestał się bać, nabrał otuchy. Niecierpliwił się. I był całkowicie pewien, że, jak powiedział Christos Arwanitakis, gdy tylko zacznie zmierzchać, będzie wolny, a kilka godzin później znów zobaczy się z matką w Atenach. Stamtąd wyjedzie do Irlandii, do Mary L' Etrange, i wyznaczą datę ślubu.

[78](#) Życie me, kocham Cię! (gr.).

78/A32

Przebrałem się w toalecie kafeterii na Pangrati. Włożyłem dżinsowe spodnie, długą bluzę i lekką kurtkę. Były schowane w bagażniku pod siodełkiem aprilii. Wrzuciłem do plecaka mundurek boya hotelowego. A potem pojechałem prosto do Iliúpolis. Sprowadziłem motorower do piwnicy domu w budowie, szkieletu właściwie. Zlokalizowałem go poprzedniego dnia, szukając dogodnego miejsca, gdzie mógłbym się pozbyć motoru. Jeszcze raz wodą i papierem toaletowym wyczyściłem pistolet oraz nóż. Włożyłem glocka 17, łuski i nóż do kieszeni kurtki razem ze złożoną tablicą rejestracyjną aprilii. W kącie miałem ukryty kanister z benzyną i zapałki. Obląłem motor, zapaliłem zapałkę, rzuciłem. Gruchot stanął w płomieniach. Wrzuciłem do ognia plecak. Czarna sadza, zapach spalonego oleju i kauczuku. Wyszedłem na ulicę i złapałem taksówkę. Po chwili radiowozy pędziły jak szalone po ulicach Aten. Wyły syreny. Policjanci obstawili najważniejsze skrzyżowania i budynki publiczne. Wszędzie blokady. Helikoptery. „Co jest? Co się znowu stało?“, zastanawiał się taksówkarz. „A kto ich tam wie. Pewnie jakaś demonstracja, pewnie się naporzają”, udawałem głupiego. Znowu zbierało mi się na wymioty, poціłem się. Włączył radio, próbował znaleźć wiadomości. Nic z tego. Muzyka, piłka nożna, jakaś sprzeczka w eterze, jakaś dyskusja o rocznicy 21 kwietnia 1967 roku, pucz czarnych pułkowników, kraj sparaliżowany, zniewolony, ruch oporu, historyczna odezwa do narodu studenckiej rozgłośni *Tu Politechnika!* za demokracją, przeciw reżimowi... Mruknął coś. Rzucił mięsem przez zęby. Dał spokój. Poirytowany nacisnął guzik, radio ucichło.

Wysiadłem kilometr od nowej kawalerki. Zataczałem się, idąc piechotą ten kawałek, kręciło mi się w głowie. Udręka. Wynająłem mieszkanie przed trzema dniami. Od miesiący stało puste. Pólsuterena. Niski czynsz. Okazja. Tylko na trzy miesiące, powiedziałem stareńkiej właścicielce, niziutkiej, o miłej twarzy. Po egzaminach wracam do domu na wieś. W uszach miała białe aparaty. Niedosłyszała. Musiałem powtarzać. Po dwa, trzy razy. Podnosić głos. Zapłaciłem za wynajem. Przekonałem ją, że umowa jest zbędna. Co z nią zrobi? Chce płacić podatek? Przyglądała mi się badawczo. Od tygodnia się nie goliłem. Od dawna nie byłem u fryzjera. Długie włosy związane w kucyk.

- Kim pan jest z zawodu? – spytała.
- Jestem studentem – odpowiedziałem.

Nastawiła ucho.

– Studentem! – krzyknąłem. – Mówiłem, że się wyprowadzę po egzaminach.

Utkwiła wzrok w podłodze. Myślała chwilę. Zgodziła się. Nie miała nic do stracenia. Wybrałem z banku ostatnie pieniądze, prawie wszystkie. Zapłaciłem. Kolejne perypetie, zanim się dogadaliśmy. Przeniosłem niewiele rzeczy. Chciałem być z dala od dawnego mieszkania. Tu nikt mnie nie znał. Nie miałem telefonu stacjonarnego. W tej mysiej dziurze spędzę następne dni i noce.

No i jestem! Niewiarygodne, że się udało. Że się wydostałem z hotelu, że uciekłem. Cud. Stałem ledwie żywy pośrodku pokoju. Pustka, cisza ścinająca krew w żyłach, tylko jakieś szmery w środku i na zewnątrz. Wszystko to słyszałem pierwszy raz: pomrukiwanie lodówki, ciekący kran, szum samochodów dochodzący z oddali.

Napełniłem wannę gorącą wodą, zdjąłem ubranie, wskoczyłem, zamierzałem się moczyć godzinami. Zamknąłem oczy dla odprężenia. Chciałem marzyć. Wyspa na krańcu świata, plaża, palmy kokosowe, i ja leżący na piasku... Ale znowu zacząłem przeżywać. Wszystko. Od rana, od początku. Strój boya hotelowego, plecak, taca, ochroniarz, ci z trojki w apartamencie, naciskanie spustu, odcinanie głów. I znów wymioty, rewolucja w żołądku. Obrazy rzucały się na mnie jak wściekłe psy, pomieszane, chaotyczne, wciąż na nowo wystawiały mnie na tortury. Pocięte ciała. Zapach żywego mięsa. Krew. Kręciło mi się w głowie, zamęt, oszołomienie. Uporczywe, jeszcze silniejsze. Zwymiotowałem do wanny, chwilowa ulga. Wyciągnąłem korek i patrzyłem, jak żółtawa masa utrzymująca się na powierzchni wody znika w syfonie. Widok wiru ponownie rozbijał moje wnętrzości. Żołądek pluł żółcią, samą żółcią tym razem. Umyłem wannę, wziąłem szybki prysznic, zimny, lodowaty, wrzuciłem na siebie, co było pod ręką i usiadłem na fotelu w saloniku, podtrzymując głowę rękami. Kompletny spokój. Otoczony półmrokiem rozplakałem się. Szlochałem, łkałem, łzy płynęły gwałtownie jak strumień z przerwanej tamy na wezbranej rzece. I wtedy wydało mi się, że znów jestem człowiekiem. Zbawienny płacz. Nienawiść zniknęła magicznym sposobem. Tak, nie myślałem już o moich ofiarach z nienawiścią, lecz z żalem, a nawet ze współczuciem. Nie wystarczyła mi śmierć? Musiałem im obciąć głowy? Ale co się stało, to się nie odstanie. Nic się nie zmieni. Dostrzegłem odbicie twarzy w małym lustrze nad umywalką. Nie mojej

twarży, to powracająca pamięć patrzyła na mnie smutno, z lekkim uśmiechem na ustach. Czułem się zmęczony, zmęczony i bezsilny.

Zasnąłem w fotelu. Ocknąłem się wieczorem. Przez chwilę wydawało mi się, że tamte zdarzenia to tylko zły, przerażający sen. Pragnąłem, by tak było. Glock 17, łuski i nóż nurkowy w szufladzie szafy niweczyły moje pobożne życzenia. Nie zostawiały miejsca na wątpliwość. Muszę żyć z koszmarami na jawie.

I muszę się pozbyć ostatnich dowodów winy. Może wtedy zaznam spokoju. Miałem skrytą nadzieję, że wtedy jakoś się od tego wszystkiego oderwę, że będę normalnie żyć, że ocaleję. Może nawet uda mi się uciec na dobre, zniknąć. Myślałem o Rubini. O matce. Dlaczego nie? Zawinałem w papier, w stare gazety, jeszcze raz i jeszcze raz, pistolet, tłumik, łuski, nóż, tablicę rejestracyjną aprilii, wsadziłem pakunek do plastikowej torby. Już sięgałem do klamki u drzwi, gdy usłyszałem kroki na schodach. Brama otworzyła się i zamknęła. Wróciłem na miejsce. Odczekałem chwilę, zmieniłem zdanie. Zatrzymam nóż. Był mi potrzebny do wędkowania, do skrobania ryb, do ich sprawiania, do przyszpilenia głowy mureny, która czasami nadziewa się nieproszona na haczyk. Był i inny powód, dla którego postanowiłem go zatrzymać. Siedziałem i patrzyłem na niego zadumany, dotykałem ostrza. Przypomnił mi się stary jatagan Drakosa. Chciałbym go mieć przy sobie w tej mysiej norze, dodałby mi psychicznej siły. Bo była mi potrzebna. Umyłem nóż starannie nad wanną. Idealnie czysty, bez śladu tkanek i krwi, lśnił jak nowy. Schowałem go w głębi szafy. Stałem przy drzwiach i nasłuchiwałem parę sekund. A potem wziąłem całą resztę i wyrzuciłem do pojemnika na śmieci w sąsiedztwie. Czuwałem do świtu, aż wreszcie usłyszałem warkot śmieciarki i rozmowy obsługujących ją robotników. Żółty sygnalizator u góry pojazdu obracał się i obracał. Przez szczelinę żaluzji widziałem, jak smog rozprasza się w wilgoci, jak mgła spowija domy, bloki, całe miasto. Pojemnik został opróżniony, śmieciarka odjechała. Wróciła cisza. Za dwie, trzy godziny śmieci znajdą się na wysypisku.

79/A33

Czy mogę tak siedzieć, zamknięty w czterech ścianach, całe życie? Nie, nie mogę. Powinienem przecież wyjaśnić matce i Rubini, dlaczego zniknąłem na trzy dni. One i moja nienawiść to przeciwległe bieguny. One dają mi równowagę. Upewniają mnie, że jestem człowiekiem. Że jeszcze jestem człowiekiem, a nie bestią. Idę... W dzokejce na głowie. Idę... Jestem człowiekiem. Z zaułków i wąskich uliczek wychodzę na szeroką aleję. Lepkie chodniki, papierzyska, śmieci, które wiatr ciągnie po asfalcie. Znajduję budkę telefoniczną, wchodzę do środka.

Komórki nie mam. Ukryłem ją w telewizorze w starym mieszkaniu. Wyobrażam sobie, że tajne służby znają sposoby, żeby człowieka przydybać. Tyle się nasłuchiwałem i naczytałem. Satelity, współczesne urządzenia namierzające mogą wyznaczyć twoje współrzędne, gdziekolwiek się znajdziesz. Komórka jest niebezpieczna. Dzwonię parę razy do Rubini. „Abonent, z którym próbujesz się połączyć, jest niedostępny. Spróbuj ponownie później. Abonent, z którym próbujesz się połączyć, jest niedostępny. Spróbuj ponownie później...”.

Mama słyszy mój głos i oddycha z ulgą. „Chwała Bogu!”. A potem mnie łaja. „Gdzie się podziewałeś, moje dziecko?”. Od trzech dni mnie szuka. Dlaczego nie odpowiadam? Znajduję banalne usprawiedliwienie. Komórkę zgubiłem, stacjonarny nie działa. Muszę zawiadomić operatora. Niby to. „A nie ma budek telefonicznych? Tuż obok, na skwerku, jest przecież budka. Dwa kroki. Dlaczego stamtąd nie zadzwoniłeś? Już nawet pomyślałam... Byłam gotowa kupić bilet i przylecieć jak najprędzej do Aten...”, powiada. Gryzę się w język. Przylecieć do Aten! Tego mi tylko brakuje. Dopiero by się działało! „Takie to trudne?”, pyta. Przyznaję jej rację, ale nie miałem czasu, uczelnia, sama wie, ostatni rok, nauka. Wymówki... W końcu współczuję jej, więc kłamię jak najęty. Ale jeszcze bardziej współczuję jej tego, co nadejdzie. Burzy. Aresztowanie, przesłuchania, publikacje. Morderca to, morderca tamto. Nie zniesie tego. Nie zniesie... To ją dobije, zniszczy jej do cna to życie pełne goryczy i nieszczęść. Śmierć ojca, katastrofa finansowa. Ja, który jej przeszkodziłem w ułożeniu sobie spraw osobistych. I znowu ja... Nie ma co, przyłożyłem i ja ręki do jej marnego losu.

– Jesteś tam...? Aleksy, jesteś tam?

Głos matki przywraca mnie do rzeczywistości.

– Jestem – odpowiadam pospiesznie.

– A co tam u was słycać? Uspokoilo się trochę?
– Co się miało uspokoić? – udaję głupiego. – Normalka. Ludzie głodują, cierpią, nie mają roboty, popełniają samobójstwa...
– Mówię o tych z trojki – wyjaśnia.
– A co z nimi?
– Na jakim ty świecie żyjesz, moje dziecko? Zamordowali ich, głowy im poucinali. Straszne rzeczy się dzieją w tych Atenach. Nic nie wiesz?
– A, o to ci chodzi... Wiesz co, ostatnio jakoś nie śledzę wiadomości. Mówiłem ci, że się uczę. Ale chyba zaczyna się uspokajać. Wszystko wraca do normy.
– Poważnie? My tu co innego słyszymy i widzimy. Jest okazja, to się wszyscy rzucili na Grecję... Nie wiem, do czego to dojdzie.
– No tak...
Nie mam nic innego do powiedzenia.
– Kto to mógł zrobić...? Morderstwa mam na myśli. Co się mówi, co ludzie mówią? – dopytuje.
– A skąd ja mam wiedzieć, mamó! Jacyś terroryści pewno.
– Złapią ich. Jakże by inaczej... Prędzej czy później ich złapią.
– Daj spokój, mamó. Wszystko jest ustawione.
– Co znaczy ustawione?
– No, ustawione... tak się mówi. Żeby ludzi zdezorientować. Chleba i igrzysk. Żeby zapomnieli o bezrobociu, o podatkach, cięciach pensji i samobójstwach. Żeby się poczuli winni.
– Nie wiem, co powiedzieć, moje dziecko...
– Dobra. Muszę kończyć. Kolejka stoi pod budką – kłamię jak z nut.
– Aleksi, uważaj na siebie. Kocham cię!
Ma smutny głos. W jej słowach brzmi niepokój. Nie wiem dlaczego. Przeczucie, matczyne instynkt?
– Ja też cię kocham, mamó. Na razie.
– Napraw ten telefon... Bardzo cię proszę!
– Dobra. Na razie... Cześć, pa.
Wyłączam się. Mam w sobie pustkę, która mnie zżera jak nowotwór. Otchłań. Rana, która nigdy się nie zagoi. Ile goryczy jeszcze w nią wsącze, ile trucizny?
Na skrzyżowaniu, naprzeciwko, między drzewkami gorzkich pomarańczy – jak pięknie pachną w kwietniu! – stoi dwóch policjantów. Obok służbowego motocykla, wyprostowani, z bronią w ręku. W pełnej

gotowości. Truchleję. Głęboki wdech. Zatrzymać. Wydech. Biorę w kiosku poranną gazetę, składam ją, wsuwam pod pachę. Płacę. Odnoszę wrażenie, że sprzedawca dziwnie na mnie patrzy. Inni zresztą też. Przechodnie, kierowcy w samochodach, ludzie w oknach, na balkonach. Mają na twarzach chłód, przerażenie. I nieufność w spojrzeniu. Tylko mi się zdaje? Dokoła głucho milczenie. Nawet ulice ucichły.

Kupuję coś z grilla na rogu, porcja na dwa dni. Spieszę się. Muszę szybko dotrzeć do kawalerki. Uspokoić się. Odetchnąć. Przyspieszam kroku, spuszczam wzrok, nie patrzę na przechodniów. Przed blokiem słyszę nagle dźwięk dzwonka dryń, dryń... metaliczne dryń, dryń! Podskakuję jak oparzony. Rower. Zbliża się do mnie, ślizga po chodniku. Dryń, dryń... dryń, dryń, robię mu miejsce. Przejeżdża obok, czuję ruch powietrza. Nieco dalej staje, zaczyna krążyć po chodniku, tam i z powrotem. Chłopak jest szczęśliwy, uśmiechnięty – widać to szczęście na pogodnej twarzy. Rower błyszczy w wiosennym słońcu. Niebo niebieskie. Dwa białe obłoki przepływają spiesznie i znikają. Stoję i gapię się na wyrostka przez chwilę, zadumany. Nie wiem, co przyciąga moją uwagę. Tęsknota za szczęściem, które dla mnie minęło bezpowrotnie, gdy byłem w jego wieku? Szczęście, które widzę na jego twarzy, nowiutki rower błyszczący w słońcu? Wspomnienie odległe, ulotne, upajam się nim parę sekund. A gdy blaknie, gdy gaśnie w mroku innych wspomnień, zostawia mi w ustach cierpki smak tego, co mogłem przeżyć, lecz nie przeżyłem...

Dopiero się obudziłem. Poleguję jeszcze. Ziewam. Przecieram oczy wierzchem dłoni. Przymykam powieki przed słabymi promieniami słońca, które wdzierają się jakimś cudem przez szpary zamkniętych okiennic. Siadam na dzieciennym łóżku, trzymając na kolanach puchową poduszkę. Odwracam głowę w stronę drzwi i... widzę go. Nowiutki rower, pochylony w prawo, oparty na stopce. BMX Freestyle Haro FST. Letni poranek, moje siódme urodziny. Okrzyk zdumienia, entuzjazmu, radości. Podchodzę, zaczynam go oglądać, głaskać. Pedaly, kierownica, dzwonek dryń, dryń, dryń, niesamowite skórzane siodełko, hamulce, koła ze srebrnymi szprychami. Coś cudownego. Czuję na sobie cień. W półotwartych drzwiach dostrzegam ojca, który przygląda mi się po kryjomu z uśmiechem olśniewającym jak blask roweru. „Wszystkiego najlepszego!”, woła. „Wszystkiego najlepszego, kochanie!”, przyłącza się stojąca za nim mama. Wchodzi do pokoju, otwiera okiennice, słońce wdziera się z rozmachem

do wnętrza i wszystko jaśniej, zmienia barwy i kształty. Oczy bolą przez chwilę, ale szybko przywykają.

Tego dnia ojciec nie wyszedł do sklepu wcześniej rano. Zwlekał, czekał, aż się obudzę. Włożyłem szybko krótkie spodenki i wyszliśmy na podwórze naszego nowego domu. Domu marzeń mojego ojca. Na wzgórzu, z ogromnym ogrodem. Wprowadziliśmy się przed rokiem. Zacząłem robić kółka, dzwonić metalowym dzwonkiem. Dryń, dryń... dryń, dryń. Rower lśnił. Szczęście tryskało z mojej twarzy. Dryń, dryń...

A potem przypomniałem sobie tamto południe, jesienią, po szkole. Złapałem rower, wsiałem, pojechałem. Z wysoka dochodził głos wędrownych ptaków. Żurawie. Żołny. Zadarłem głowę, żeby na nie popatrzeć. Przednim kołem zaczepiłem o rynsztok. Spadłem. Uderzyłem się. Z kolana ciekła krew, dużymi kroplami, płyty chodnika zabarwiły się na czerwono. Bolało. Chciało mi się płakać. Kolano szczypało. Oczy zaszyły łzami. Zobaczyłem mamę zbiegającą po schodach. „Uderzyłeś się? Uderzyłeś...?”, wołała. Trzymałem się. Nie płakałem. Nie chciałem, żeby mnie widziała płaczącego. Ze strachu, że zamknie rower w piwnicy. „Nie, nie, nic takiego”, kłamałem. „Zadrapanie, z wierzchu tylko”. Mama zobaczyła ciekącą krew, zranione kolano, napięcie wypisane na czole. Moje oczy nie kłamały. Uniosła dłonie do twarzy, na sekundę zamknęła powieki. Wzięła mnie za rękę, zaciągnęła do domu i posadziła na krześle. Oczyściła ranę wilgotnym ręcznikiem. Posypała wacik terramycyną i położyła go na kolanie. „Auuu!”, wrzasnąłem. Rana żółkła. Piekła. Potem mama pochyliła się i przykleiła plaster. Jej włosy dotykały mojej twarzy. Pachniały lawendą. Zawsze mi się podobał zapach jej włosów. Zerkałem po kryjomu na jej twarz. W kącikach oczu zobaczyłem łzy – lśniące brylanty, w których odbijało się światło – gotowe oderwać się i potoczyć po policzku, zatopić cały świat. Pociągnęła nosem. Sięgnęła ręką do mojego policzka i pogładziła mnie delikatnie, czule. Uśmiechnąłem się. „Nie bój się... Nie bój się, mamol”, prosiłem. Pochyliła się, dotknęła ustami mojego czoła. „Chodź!”. Wsadziła mnie do samochodu i zawiozła na oddział pierwszej pomocy do szpitala. Założyli mi pięć szwów.

Rower poszedł w odstawkę po samobójstwie ojca. Rdzewiał z tyłu domu, oparty o ścianę, przy murku. Na deszczu, na słońcu, w kurzu. Nie mogłem. Już sam jego widok był przykry. Czulem psychiczny ból. Nie dawałem rady. Niemniej tamte doznania, radość ojca, zranione kolano, łzy matki, jej wargi na moim czole, ręka na moim policzku, zostały na zawsze w mojej

duszy. Szczęście z dzieciństwa, które trwało ledwie parę lat, do tamtego wieczoru, gdy ojciec wystrzelił własny mózg w powietrze.

80/B12

Drzwi się otworzyły, wszedł Apostolu. Sergidis siedział na łóżku oparty plecami o ścianę. Ciało miał sztywne, zdrewniałe jak u trupa. Uniósł głowę i patrzył zaskoczony. Coś się zmieniło w spojrzeniu inspektora. Zdawał się przemęczony, smutny, coś takiego. Ale wciąż taki sam. Łagodny, delikatny, uprzejmy Apostolu. Może bardziej powściągliwy, ale wciąż ten sam człowiek.

– Nie oczekiwał mnie pan...

Sergidis poprawił się na swoim miejscu. Rozłożył ramiona, uniósł podbródek, zmarszczył usta zrezygnowany.

– Spodziewałem się, że i pan przyjdzie. Pan przecież prowadzi sprawę poczwórnego morderstwa, a więc, w jakiejś chwili... musi i pan wejść na scenę, odegrać swoją rolę.

Apostolu uśmiechnął się blado. Powiedział, że był przez dwa dni na Andros w osobistych sprawach, nagły powód. Nie wyjaśnił jaki, Sergidis nie pytał.

– Dwa dni, a tyle się wydarzyło, i tak zupełnie zmieniło. Pańskie aresztowanie to grom z jasnego nieba, panie Sergidis.

Na ustach Sergidisa wyrył się gorzki grymas.

– Nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy, o które jestem oskarżany. Żadnej. Jestem niewinny – powiedział słabym głosem. – Zmęczyło mnie już powtarzanie tego samego.

– Chcę w to wierzyć. I oby dowiedziono pańskiej niewinności. Ale czuję się w obowiązku powiedzieć panu, że cały wczorajszy wieczór czytałem dokumenty z pańskiej teczki... Zgromadzone tam informacje są wyjątkowo obciążające. Pogrążają pana.

– Nie oczekiwałem, że usłyszę coś innego. W końcu komendant Korkózelos, pański przełożony, dał mi jasno do zrozumienia... Jaśniej nie można. Jest przekonany, że to ja zamordowałem kobietę oraz dopuściłem się wielokrotnego zabójstwa w hotelu... Ja jednakże jestem niewinny. To jakiś spisek. Nie wiem już, co myśleć. Wydaje się, że i policja uczestniczy w tej... farsie. Najgorsze, że ostatecznie sam uwierzę we własną winę. Uwierzę, że jestem mordercą – powiedział Sergidis.

Zamilkł nagle, zastanawiał się chwilę i zaczął znowu.

– Macie jakąś szczególną umiejętność... Gdy udęczony Winston Smith spytał urzędnika dochodzeniowego, czy istnieje Wielki Brat – „Czy istnieje tak, jak ja istnieję?” – tamten kompletnie go zaskoczył, mówiąc: „Ty nie

istniejesz!”. Wie pan... *Rok 1984*. Niech pan przeczyta. George Orwell. Bardzo pouczająca lektura, panie inspektorze. Mam nadzieję, że w jakimś momencie wszystko się wyjaśni. Także rola Korkodzelosa w tej...

Apostolu przerwał mu gwałtownie. Nie pozwolił mówić dalej. Uniósł ręce do góry gestem nakazującym milczenie.

– Nadinspektor Korkódzelos jest zastępcą Komendanta Głównego Policji Greckiej, więc bardzo bym prosił... Na wszelki wypadek...

Apostolu opuścił ramiona. Westchnął i ciągnął dalej:

– Prawdę mówiąc, tak, niektóre rzeczy wydają się dziwne w tej sprawie. Ale jeśli jest pan niewinny, to... Niepodobna, żeby...

Sergidis uniósł głowę, spojrzał na inspektora. Iskra nadziei rozbłysła w jego oczach. „Nktóre rzeczy wydają się dziwne”. Przynajmniej Apostolu w coś wątpi, coś kwestionuje. Może jeszcze raz, dokładniej, zbada sprawę. Może on jest człowiekiem, w którym należy pokładać nadzieję. Ale czy będzie mógł? Czy to zrobi?

– Tak czy owak, jeśli będzie pan czegoś potrzebował, jestem niedaleko, w moim gabinecie. Proszę zawołać wartownika. On mnie powiadomi.

Pogadali. Ledwie pięć minut. Sergidis otworzył usta, żeby wyjąkać „dziękuję”, ale nie dobył z siebie ani sylaby. Słowa więzły w krtani, nie chciały iść dalej. Gubiły się, przepadały w psychicznej nawałnicy. Apostolu wyszedł. Tam, gdzie stał, została pustka, cień, mętny zarys, poświata.

Ale po pół godzinie przyszedł znowu. A zza jego pleców wyłoniła się matka Sergidisa. Apostolu odnosił się do niej serdecznie, delikatnie, taktownie.

– Proszę, niech pani wejdzie – powiedział i wprowadził ją do środka.

Zostawił ich samych, matka rzuciła się synowi w ramiona. Ciałem staruszki wstrząsał szloch, spazmatyczny płacz.

– Od dwóch dni tam jestem, synku, tam, na zewnątrz, ale nie pozwolili mi wejść. Dopiero ten pan mnie wpuścił. To dobry człowiek – mówiła, łkając.

Wytarła nos papierową chusteczką.

– Uspokój się, mamu, uspokój.

Przewyższał ją prawie o dwie głowy. Patrzyła mu w oczy.

– Te straszne rzeczy, o których piszą w gazetach... Wszystkie te...

– Nie wierz w to, mamu. To wszystko kłamstwa, spreparowane kłamstwa. Jestem niewinny. Niczego nie zrobiłem.

– To chciałam usłyszeć, moje dziecko. Wiedziałam. Ty nie skrzywdziłyś muchy. Nie może być... nie może...

Posadził ją na krześle. Złożyła chusteczkę na dwoje i znowu wytarła nos. Ukląkł obok, przytulił ją.

– Nie wyglądasz dobrze, moje dziecko. Torturowali cię? – spytała.

Uśmiechnął się.

– Nie, mamó. Bądź spokojna. Jestem zmęczony, i tyle. To jakiś senny koszmar, minie. Jakżeby inaczej? Prawdy nie da się ukryć, sprawiedliwość nie jest ślepa. Minie.

– Siedzimy zamknięci w domu. Nie mamy odwagi nosa wytknąć. Nie wychodzimy na ulicę. Ojciec zrezygnował nawet z kafenijo. Tkwi w fotelu i pali, nic tylko pali, bez przerwy. Milczy. Nie wytrzymamy tego, moje dziecko.

– Cierpliwości, mamó. Cierpliwości... Wszystko się wkrótce skończy. Jakżeby inaczej? Skończy się.

Trwali tak dziesięć minut. Ona w jego objęciach, skurczona, zapłakana i on starający się ją pocieszyć. Później znowu wszedł Apostolu.

– Przykro mi, ale musi pani już iść. I tak naruszam zasady. Zwykle nie pozwala się...

Sergidis dał dwa kroki do przodu. Oczy miał wilgotne, zaczerwienione.

– Dziękuję, bardzo dziękuję, panie inspektorze. Naprawdę bardzo dziękuję. Jest pan człowiekiem honoru. Może nawet nie pasuje pan do tych... – wybąkał i wyciągnął rękę.

Jego głos drżał lekko, postawa i słowa zdradzały głęboką wdzięczność, którą odczuwał wobec człowieka, będącego światłem wyłaniającym się z mroku.

Apostolu jakby zwlekał, jakby się wahał. Ale w końcu rozluźnił ramiona i, tak, uścisnął dłoń Sergidisa. Pokręcił głową zamyślony, zmartwiony.

– I ja mam matkę, daleko, na Andros, w Ammólochos. Cierpi, biedaczka. Chciałbym być blisko niej, wziąć ją w ramiona, tak jak pan teraz swoją matkę. Powiedzmy, że patrząc na pana, jestem bliżej niej. Przed dwoma dniami straciliśmy ojca. Dlatego byłem nieobecny... – głos mu się załamał.

– Ogromnie mi przykro. Nie wiedziałem. Wyrazy współczucia. I bardzo panu dziękuję. Bardzo dziękuję. Mam nadzieję, że nie będzie pan miał z naszego powodu kłopotów.

Apostolu znowu pokręcił głową. Odprowadził matkę Sergidisa na dół, na parter, aż do wyjścia z komendy. Tam czekał na nią mąż. Podziękowali inspektorowi. Potem on zniknął w czeluściach gmachu, a oni wyszli na jasne światło poranka.

81/C16

Popchnął szklane drzwi. Nad głową rozległ się dźwięk dzwonka. Zatrzymał się przy gablotach z aparatami fotograficznymi, nowymi i używanymi, pamiątkami, kolekcjonerskimi cackami, obiektywami, trójnogami. Z głębi wynurzył się starszy mężczyzna. Chudy, szpakowaty. Szary garnitur.

– Telefonowałem przed półgodziną – wyjaśnił Apostolu.

Położył przed sobą torbę z leicą, z obiektywami i akcesoriami.

Starszy pan oglądał je bez słowa, badał jak lekarz, który uciska śledzionę, zagląda w podrażnione gardło, stetoskopem wsłuchuje się w bicie serca, w rytm oddechu. Zajęło mu to pięć minut.

– Jest w bardzo dobrym, w idealnym stanie – orzekł.

– Ile... Ile, mówi pan... że może dać? – Apostolu zadał kluczowe pytanie, zagryzł wargi.

Tamten przyglądał mu się kilka sekund. Nieruchomy, milczący. Oddychał w ogóle?

– Siedem tysięcy – powiedział wreszcie.

– Ależ kupiłem ją ledwie cztery lata temu! Za dwadzieścia pięć tysięcy. Nie jest jeszcze zużyta. Widzi pan przecież. Całkiem nowa. Sam pan powiedział, że w idealnym stanie. No i...

Starszy pan znowu na niego spojrział. Mundur, znicz, gwiazdki.

– Nie jest chyba... kradziona? – spytał.

Apostolu stał przed nim zmieszany, z głupkowatym grymasem na ustach. Sklepikarz roześmiał się.

– Żartuję, panie inspektorze. Ale różne rzeczy się zdarzają. Pan to wie najlepiej.

O, tak, on to wie najlepiej.

– Mam świadectwo, dowód zakupu. Nie... – powiedział i podał mu dokumenty.

Starszy pan rzucił na nie okiem, pokręcił głową.

– Dam panu osiem, panie Apostolu. Ale nie więcej. Rozumie pan... Teraz nie czasy na...

Osiem tysięcy! Za leicę. Za marzenie jego życia.

– Dziękuję – odparł. – Zas... Jeszcze się zastanowię.

Zamknął torbę i wyszedł – dzwonek znowu zadzwonił mu nad głową. Był bardzo rozczarowany.

Następnego dnia poszedł do przedstawicielstwa firmy. Dawali dwanaście. Pięćdziesiąt procent wartości. Zawsze to coś. Dzięki tym pieniądzom

mógłby spłacić resztę pożyczki, kupić inny, niezły aparat i zabrać Annę w podróż. W podróż do Arles. Im także powiedział: „Zastanowię się”.

82/D14

Dziwne to plemię ci greccy zbójcy. Arwanitakis przysłał mi prezent. Drogocenny nóż wysadzany kamieniami i jeszcze jeden osobliwy klejnot z paciorkami, który nazywają komboloi⁷⁹. Napisał, że chce spotkać się ze mną w Kifisji, chce mnie poznać.

Pojechałam do Kifisji, ale zbójca się nie pojawił. „Arwanitakis nie przychodzi, gdy na niego czekają”, powiedział mi miejscowy pasterz. „Sam cię znajdzie, gdy zechce”. Wróciłam do hotelu. Patrzyłam na góry rozpościerające się naprzeciwko. I patrząc na nie, zasnęłam.

Lady Mary Vyner

⁷⁹ Komboloi – sznur koralików nieco przypominający różaniec, ale nie mający religijnego czy obrzędowego znaczenia. Służy do zajęcia rąk, do odprężenia. Jego użycie jest w Grecji tradycyjnie męskim przywilejem. Dawniej rodzaj posiadanego komboloi wskazywał też na pozycję społeczną.

83/A34

Jesteś niewiadomą „x”, której wszyscy szukają. Równanie matematyczne do rozwiązania. Musisz czekać. Prawie słyszysz szuranie ołówka po papierze. Ktoś próbuje uporać się z zadaniem. Przerwa. Główkuje. I znowu ołówek w robocie.

Dziwnie mi czytać w gazetach o zagadce, za którą sam się kryję. Ja, niewiadoma „x”. Na pierwszej stronie gazeta publikuje – mój rzekomo – portret pamięciowy. Tak mnie opisał strażnik przy głównym wejściu, gdzie, jak powiada, widział sprawcę wychodzącego w stanie silnego wzburzenia. Może nawet pijanego. Policjanci sporządzili portret. Jestem dość pełny na twarzy, policzki lekko pyzate, ogolona głowa, „czaszka łysa jak dynia”, szarzielone oczy, gruby nos i mięsiste usta, z pewnością po czterdziestce. Artykuł na pierwszej stronie donosi, że policja nie radzi sobie ze sprawą. Morderca, mordercy nie zostawili żadnych śladów. Swój plan wykonali bardzo starannie. Dziwnym zbiegiem okoliczności lub wskutek sabotażu – sprawa jest badana – w krytycznych chwilach nie działały kamery, nic się nie nagrało. Śnieg na ekranach. Szarość. Czerń. Poziome linie. Odpowiedzialne służby hotelowe przyznają, że ostatnio, to jest w ostatnim miesiącu, w systemie pojawiły się problemy natury technicznej i firma, która system instalowała, stara się je rozwiązać. Analiza balistyczna wykazała, że zabójstw dokonano pistoletem małego kalibru, podobnego to tych, jakimi posługiwały się w przeszłości greckie organizacje terrorystyczne. Był to prawdopodobnie glock 17. Wydaje się, że użyto go wcześniej w przestępstwie rabunkowym. W artykule dodano, że źródła policyjne nie wykluczają, iż w następnych dniach terroryści wydadzą oświadczenie. Ponadto policja, choć z umiarkowanym optymizmem, liczy na to, że dzięki współpracy obywateli uda się zatrzymać kluczową postać, prawdopodobnego sprawcę zabójstw. Człowieka, którego podobiznę zamieszczono.

Wszystko to wydało mi się śmieszne. Policja okazuje się kompletnie nieskuteczna. Nie wie, na czym stoi. Tkwi w mroku. Czy można trafić na mój ślad, ślad jakiegokolwiek mordercy, za sprawą takich głupot? Amatorszczyzna w całej krasie. Chyba że...

Chyba że informacje rozpowszechniane są celowo, informacje fałszywe, adresowane do konkretnego odbiorcy. Do mnie mianowicie.

Ten sam artykuł informuje o „jednomyślnym ataku opozycji na obóz rządzący”. Przytacza stwierdzenia mówiące o „nieudolnych i pobieżnych,

celowych lub wynikających z niemocy działaniach rządu, który nie dysponuje dostatecznymi środkami, by chronić potencjalne ofiary...”. Rzuca się też podejrzenia dotyczące powiązań terroryzmu z „państwem w państwie” lub ugrupowaniami lewicowymi wspieranymi przez rząd koalicyjny.

W sąsiednim tekście przytaczane są pogróżki pod adresem Grecji, którymi szermują nasi – zawsze skorzy do „solidarności” – partnerzy oraz trojka. Straszą mianowicie, że pozwolą Grecji stoczyć się w otchłań niekontrolowanego bankructwa, że nie zatwierdzą wypłaty kolejnej transzy, jeśli winni nie zostaną ujęci i postawieni przed wymiarem sprawiedliwości. Pograżać ekonomicznie i zniszczyć, oto ich niezawodna broń. Dawniej zajmowali zbrojnie Pireus, żeby nauczyć Grecję rozsądku i dopiąć swego. 1854–57, 1916–17. Teraz stosują bardziej cywilizowaną taktykę. Świat idzie naprzód, mamy postęp. Proste. Liczne zespoły komitetów technicznych Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Europejskiego Banku Centralnego i Komisji Europejskiej w pośpiechu opuściły Grecję i wróciły do swoich siedzib. Strach, ale też odwet, szantaż wobec kraju, który pogrąża się w chaosie.

Są też obszernie relacje z publikacji w prasie zagranicznej, z dziesiątek, setek reportaży i artykułów o najważniejszym obecnie wydarzeniu międzynarodowym. Publikacje zioną arogancją. I lekceważeniem dla Grecji. Dużo z nich zawiera pomówienia bliskie oszczerstwu. Dość dużo – groźby i treści skrajnie agresywne. Zaledwie niektóre zawierają trzeźwe sądy i przedstawiają fakty we właściwych wymiarach. Jakby ktoś czytał *Der Stürmer* Juliusa Streichera. Chętnych do podsycania nienawiści jest wielu. A opinia publiczna zawsze gotowa. Wystarczy byle komenda, byle sygnał.

Składam gazetę. Czuję ucisk w żołądku. Bestie znowu spuszczone z uwięzi. Wilki, psy, szakale, niedźwiedzie. I to ja jestem powodem tego zła. Ale czy przed tą zbrodnią nie było tak samo? Nie szukali pretekstu? „Witajcie nam wielmożni panowie. Kozły i mały”.

84/D15

W opinii europejskich gazet „Grecja okryła wstydem cywilizację”. Prasa europejska wystąpiła przeciwko państwu, przeciwko narodowi greckiemu jako całości. Nie przeciwko zbójcom. Z gazet angielskich tylko „Daily Mail” i „The Economist” trzymały się z dala od tej krucjaty.

„The Times” każdego dnia sugerował nowe sankcje, które należałoby nałożyć na Grecję, na przykład oddanie kraju pod zarząd zachodniego gubernatora lub specjalnie powołanej rady. Pisano, że Grecja jest „gniazdem zbójców i piratów, krajem pół Słowian, pół Greków, pół dzikusów. Każdy Grek jest oszustem i malwersantem. Jedyne prawo obowiązujące w Grecji, to prawo grabieży. Jedyne król, którego Grecy uznają, to śmierć. Grecja powinna zostać surowo ukarana, zniszczona przez wojska indyjskie, oddana pod rządy brytyjskiego gubernatora, powinna być zwrócona Turcji, powinna przapaść, zniknąć”.

W kolejnym wydaniu gazeta ponowiła atak: „Grecja wyczerpała cierpliwość Europy. Nikt nie będzie słuchał adwokatów narodu, którego duch skażony jest bezkarnymi zbrodniami. W roku 1854 Ateny zajęte zostały przez siły francuskie i brytyjskie, i podobna interwencja byłaby usprawiedliwiona także teraz. Wydaliśmy dziewięć milionów na misję w Abisynii⁸⁰, którą zajęliśmy z mniej ważnego powodu. Konflikt z Grecją nie nastarczy trudności. Wystarczy kilka pułków pod zdolnym dowództwem – na wzór naszych wojsk w Indiach czy wojsk francuskich w Algierii – i w kilka miesięcy drogi w Attyce staną się równie bezpieczne, jak drogi w Anglii”.

„Daily News” stwierdziła: „Rząd grecki nie jest szczery w swoich usiłowaniach poskromienia zbójstwa”.

Dziennik „The Daily Telegraph” utrzymywał, że: „Eksperyment z królestwem greckim poniósł całkowitą klęskę. Grecy nie posunęli się ani o krok naprzód od czasu bitwy pod Nawarino. Przywódcy współczesnej Grecji są zręczni w retoryce i inteligentni, ale jak się okazuje, nie starcza im umiejętności, by zapewnić narodowi godność czy królestwu stabilność”.

„The Standard” z 26 sierpnia 1870 roku był jeszcze bardziej surowy: „Nie z łotrami z gór musimy się zmierzyć, ale z tak zwanym rządem Grecji. Problem grecki dał wiele do myślenia cywilizowanym państwom Europy. Ich obowiązkiem jest położyć kres – i to uderzając w samo serce – barbarzyńskiemu, niecywilizowanemu, niemoralnemu i godnemu

pożałowania ustrojowi, tym rządowi pełnym hipokryzji”. I dalej: „Jeśli greckie rządy parlamentarne nie są w stanie sprawdzić się w debacie parlamentarnej, to niech przybiorą formę zbójstwa”. Oraz: „Ta ich bałamutna niby-niezależność”. A nawet: „Od czterdziestu lat gorzko nas rozczarowuje niepodległe pokolenie zbędkarconych Greków”.

Jedna z gazet żądała „okupacji Aten i twierdz Grecji”. Autorzy artykułów radzili rządowi angielskiemu „narzucać żądania głosem armat, jeśli zajdzie potrzeba”, czy też domagali się, by „rząd zbójców, oszuści i ich przyjaciele z Aten” przekazani zostali Anglii, „gdzie potraktuje się ich jak należy”.

„The Morning Post” 26 kwietnia 1870 roku pisał o kraju, którego „ustrojem politycznym jest anarchia, a wiodącym przemysłem rozbój”. Dwa dni później, 28 kwietnia, znowu wytoczył działa: „Czas położyć kres tej sytuacji. Grecja nie może dłużej hańbić Europy tak, jak to robi od czterdziestu lat. Nie powinno się jej na to pozwolić. Ów owoc szczodrej życzliwości chrześcijańskich mocarstw nie przestał być zakałą polityki europejskiej, której zawdzięcza swoje istnienie jako nacja. Grecja jest niewdzięczna, zbankrutowana i niegodna. Wszyscy myślący ludzie zdali już sobie sprawę, jak bezwartościowi są Grecy i Grecja. Faktem jest, że królestwo Grecji okazało się porażką, a nawet czymś więcej niż porażką, prawdziwym utrapieniem dla Europy”. Gazeta pisała o okupacji kraju, która byłaby „nie tylko słuszna, ale i konieczna”. A 5 maja, kopiując „Timesa”: „Od czasu uzyskania niepodległości Grecja jest gniazdem zbójców i piratów”. „The Advertiser” zaś, ciągnąc dalej ten korowód, podkreślał: „Każdy szuler, który nie jest Żydem, jest Grekiem, a każdy Grek uważany jest za złodzieja i oszusta”.

„The Globe” z 27 kwietnia 1870 roku posunął się jeszcze dalej: „Jednym z zagadnień do rozpatrzenia jest to, jak długo istnieć będzie jeszcze królestwo Grecji. Falę oburzenia kierować należy raczej przeciw rządowi Grecji, a nie przeciw zbójcom”.

„The Observer” 1 maja 1870 kontynuował atak: „Zdemaskujmy tych degeneratów. Niech wybrzmi głos Europy: »Strzeżcie się tego kraju mataczy, tej meliny morderców«”.

„The Pall Mall Gazette” 3 maja 1870 przekroczyła wszelkie granice: „Nieustanne źródło problemów i utrapień we Wschodniej Europie, ośrodek pozbawionej skrupułów propagandy politycznej i nieustająca przeszkoda w cywilizowaniu Wschodu. Nie dość że sama jest barbarzyńska, powoduje barbarzyństwo u innych. Społeczeństwo jest niezorganizowane,

a cudzoziemców morduje się jak w Murzuku lub w Chiwie, bo ci pół Słowianie, pół Grecy, pół barbarzyńcy zajmują się przyszłym imperium panhelleńskim, zamiast rzeczywistą Grecją”. Gazeta zebrała i opublikowała na swoich łamach wszystkie negatywne treści, jakie pojawiały się na temat Grecji na przestrzeni ostatniego wieku. Radziła też czytelnikom: „Uderzcie w ich dumę i portfel. Nałóżcie na Grecję przykładową karę za ten skandaliczny, barbarzyński czyn”. A 24 maja zażądała, ni mniej, ni więcej, tylko egzekucji Teagienisa!

„The Tomahawk” ogłosił, że Grecja: „Geograficznie jest częścią Turcji, moralnie – przedłużeniem piekła, społecznie – zaułkiem placu Soho”.

I inne określenia:

ojczyzna złoczyńców

jaskinia morderców

prawdziwe brzemię Europy

plaga Wschodu

polityczny rzezimieszek

plemię bękartów

kolonia karna

czas zdyscyplinować ten półdziki naród

Grecja jawnie już udowodniła, że nie zasługuje na autonomię.

I tak dalej, i tak dalej...

Napastliwe publikacje rozbudziły antygreckie nastroje. Histeria. Ambasador Grecji w Londynie, Petros Wrailas-Armenis, był zaniepokojony. Grożono mu pozbawieniem życia. Greckie gazety pisały, że jest „uwięziony” w ambasadzie i że nieznani sprawcy powybijali szyby w oknach. Greccy kupcy w Londynie i w Manchesterze bali się pokazywać publicznie, nie pojawiali się nawet na giełdzie papierów wartościowych. Niewielu było chętnych, by Grecji bronić – poza paroma Grekami, jak Joanis Gienadios, którego zwolniono z pracy w domu handlowym braci Rallisów⁸¹ z powodu artykułu jego autorstwa opublikowanego w „Daily News”, oraz kilkoma cudzoziemcami. W „Timesie”, wiodącym prym w krucjacie przeciwko Grecji, zaplątało się między tymi zniewagami i przejaskrawieniami osobiste świadectwo pewnego Anglika, podpisanego pseudonimem St. Albans. Bronił on zwłaszcza Anemojanisa, oskarżonego o współpracę ze zbójcami, jednak uniewinnionego: „Trzy razy

odwiedzałem Ateny. I jestem przekonany o jego niewinności i uczciwości. Nie bądźmy aż tak surowi wobec greckiego rządu”.

Edmond About, autor powieści *Król gór*, w poprzednich latach ostro krytykowany przez Greków za to, o czym pisał w swojej książce, wyraził dezaprobatę dla tonu, jaki angielskie gazety przyjęły wobec Grecji. Jego tekst opublikowano w „Le Soir” i przedrukowano w „The Times”. Píše on: „»The Morning Post«, zalecając czasową okupację Aten, proponuje misję bardziej niebezpieczną niż ta w Abisynii, jeśli wziąć pod uwagę relacje między królem Greków a carem”. Następnie twierdzi, że Jerzy nie ponosi odpowiedzialności za zbrodnię zbójców i chwala króla za zaoferowanie zbójcom siebie samego jako zakładnika. „Odpowiedzialność”, dodaje, „cięży na greckich ministrach, którzy odmówili udzielenia amnestii i zaatakowali zbójców w trakcie negocjacji”.

Również amerykański ambasador Tuckerman pisał 11 maja 1870 roku: „Greckiego zbójcy nie można zaliczać do tej samej kategorii, co zbójców z południa Italii czy z Sycylii, Hiszpanii albo Węgier. Bardziej niebezpieczna jest samotna podróż po Irlandii lub po równinach Arizony czy choćby nocny spacer po przedmieściach Londynu, aniżeli pobyt w królestwie Grecji”. Tuckerman wyjaśniał, że odpowiedzialność leży głównie po stronie Turcji, która zezwala, by zbójckie bandy bez przeszkód przekraczały jej granice. To samo twierdził Gienadios, a chcąc wykazać, iż zbójstwo nie jest wyłącznie fenomenem greckim, odniósł się szeroko do tego tematu w Hiszpanii, na Węgrzech, w Dalmacji, Teksasie, Australii, Neapolu i Kalabrii. A nawet w Anglii. Załączył angielską publikację z konkretną datą, która donosiła: „Zamordowano wczoraj naczelnika stacji kolejowej, bo zwolnił portiera. Oraz pewnego handlarza, bo podniósł ceny masła i jajek. Pewien sędzia zaś został zastrzelony, ponieważ w ramach wykonywania swoich obowiązków nakazał uwięzić drobnego oszusta”. Gienadios ostro gromił angielską politykę, a szczególnie angielską prasę, która „uśmierciła moralnie cały naród”.

[80](#) Misja brytyjskiego korpusu wojskowego przeciwko cesarzowi Etiopii Teodorowi II, który pojmał i przetrzymywał jako zakładników obywateli angielskich, badaczy, misjonarzy, a nawet angielskiego konsula. Korpus brytyjski przybył z Indii wraz z silną flotą w 1868 r. W Afryce Anglicy zbudowali port, drogi i linię kolei żelaznych, w celu przemieszczenia się na Wyżynę Etiopską i dokonania ataku (przyp. autora).

[81](#) Dom handlowy braci Rallisów, „Ralli Bros”, był jednym z ważniejszych w owym czasie handlowych przedsięwzięć w Europie. Przedsiębiorstwo założone w Smyrnie w 1800 r. prowadzone było przez pięciu braci pochodzących z egejskiej wyspy Chios.

85/C17

Wrócili z pustymi rękami. Apostolu spotkał się z Arwanitakisami i rodziną Noelów. Wszyscy byli wyjątkowymi ludźmi, uprzejmi, szanowani. Opowiedzieli mu o przodkach. Dziwili się, gdy pytał, gdzie przebywali tego a tego dnia, o tej i o tej godzinie. Byli zaskoczeni. Uśmiechali się z zakłopotaniem. „Uważa nas pan za podejrzanych, panie inspektorze?”. Apostolu czuł się niezręcznie. Ale musiał zadać takie pytanie. Miał niewdzięczną pracę. Nie, jeszcze nie mają podejrzanego.

Dodatkowo Apostolu wysłał aspiranta Dimitrisa Maglarasa, żeby pogadał z Takisem Karanikolasem – po telefonie Sergidisa, który opowiedział mu o wieczornej napaści i groźbach pod Pałacem Muzyki. Ale Karanikolas miał alibi. W dniu i o godzinie poczwórnego zabójstwa urzędników trojki był w biurze. Potwierdzili to jego koledzy z pracy. A wieczorem, gdy zabito dziewczynę na uniwersytecie, był z synem w galerii handlowej The Athens Mall w Marusi. „Jest rozwiedziony”. „Tak, wiem”, rzekł Apostolu.

Jeśli chodzi o Chormowasa – jego potomkini odmówiła rozmowy. Zatrzasnęła im drzwi przed nosem. I zza drzwi krzyczała: „Dajcie mu spokój, niech jego dusza wreszcie odpocznie. Minęło sto pięćdziesiąt lat! O co wam jeszcze chodzi? Zapłacił za to życiem. Dajcie mu wreszcie spokój”.

Z pozostałymi także nic nie wyszło. Zero... Tzitzilonis, Lioris, Katarachiás, Sutsos, Teagienis, Arwanitakisowie, Noel to niektórzy z pierwszoplanowych bohaterów wydarzeń z Dílesi. Ich potomkowie byli chętni do rozmowy, dorzucali to i owo do dawnej historii. Pokazywali pamiątki będące w ich posiadaniu, przedmioty należące do przodków. Ale w sprawie obecnych wydarzeń – nic. Nie, nie mają kontaktu z potomkami innych zbójców, niczego nadzwyczajnego nie zauważyli, niczego nie słyszeli.

Ci ludzie nie mieli ze sprawą nic wspólnego. Dali im spokój. Apostolu musiał skierować poszukiwania w inną stronę.

86/A35

Wieczorem znowu wyszedłem. Jeszcze raz spróbowałem dodzwonić się do Rubini. Pchała mnie ku niej jakaś niepohamowana siła. Nie widziałem jej od paru dni. Tęskniłem. Pragnąłem jej, potrzebowałem. Miałem nadzieję, że odpowie, że będzie tam wreszcie, na drugim końcu linii. „Hej, gdzie się podziewałeś, kochanku doskonały?”. Niestety... „Abonent, z którym próbujesz się połączyć, jest niedostępny. Spróbuj ponownie później”. Znowu to samo... Zakląłem. Traciłem cierpliwość. Wtedy przyszło mi do głowy... A jeśli ona wszystko zrozumiała po zabójstwie? Nie jest głupia. Przeciwnie. Jest bardzo bystra. Niechcący pomogła mi zrealizować plan. Stała się współwinowajczynią, chociaż działała nieświadomie. Wprowadzała mnie do hotelu z lipnym dokumentem, przebranego za boya hotelowego, udzieliła mi istotnych informacji na temat zabezpieczeń, zaprowadziła mnie aż na siódme piętro. Pewnie się przeraziła. Doniosła na mnie? Aresztowali ją? Ukrywa się gdzieś przestraszona? Powlokłem się do swojej nory skołowany.

Następnego dnia obudziłem się wczesnym rankiem. Już miałem przekroczyć próg, a tu... Masz ci los, truchło wsadza nos. Powiedziałem „dzień dobry”. I po co? Nastawiła uszu, nie dosłyszała. „Dzień dobry!”, wrzasnąłem. Głupie „dzień dobry”, a kłopot niebotyczny. Tego mi tylko brakowało. Wyszedłem, zostawiając ją zdziwioną. Wstąpiłem do pierwszego lepszego fryzjera, obciąłem włosy, ogoliłem się jak należy, upodobiłem do człowieka. A potem ruszyłem do Rubini. Wiedziałem, że o tej porze nie wyszła jeszcze do pracy. Podjechałem taksówką pod sam dom. Bez żadnych środków ostrożności, tylko dzokejka na głowie. Poszedłem na całość. Rozejrzałem się. Zaraz mnie zwiną, zaraz mnie zwiną, myślałem. Czekałem, kiedy się na mnie rzucą organy porządku publicznego, kiedy mi staną na drodze radiowozy. Ale nic. Zadzwoniłem. Jeszcze raz i jeszcze raz. Natarczywie. W domofonie odezwał się ochryply głos. Najpierw myślałem, że to ona.

– Rubini? To ja, Aleksis...

– Jaki Aleksis? – zdumiał się głos.

Zrozumiałem, że to jednak nie ona, nie, nie ona. Pomyślałem: koleżanka albo matka przyjechała z Arty.

– Z Rubini chciałem rozmawiać. Jeśli można...

– Nie ma tu żadnej Rubini. Pomylił się pan.

Niemożliwe. Zatkąło mnie. W tym mieszkaniu spędziłem najlepsze wieczory w moim życiu. Nadal mam w głowie jego wygląd. Mały hol, żółta kanapa przed telewizorem, obrazy na ścianach – młodzian całuje dziewczynę, w tle jezioro; Audrey Hepburn w *Śniadaniu u Tiffany'ego*. Sypialnia z karminowymi zasłonami, łóżko z pościelą w kwiatki, pluszowy miś, komoda w starym stylu, wszędzie świece zapachowe. Mała, ciasna kuchnia ze składanym stolikiem i dwoma plastikowymi krzesłami, kaktusy na parapecie. Wszystko pamiętam. Spojrzałem na domofon, na nazwiska lokatorów, czy nie popełniłem błędu. „Eftichija Pawłopulu”. To nie ona! Nazwiska Rubini nie było. Żarty sobie ze mnie stroją, pomyślałem. Zaczekałem chwilę, aż się pojawiła jakaś staruszka wracająca z bazaru z wypełnionym po brzegi wózkiem na zakupy, który skrzypiał niemiłosiernie, raniąc mi uszy. Pomogłem jej wciągnąć wózek po schodkach i wejść do windy. Tysiące błogosławieństw. I narzekañ. Na artretyzm, na nogi, na astmę. Kiwałem głową współczująco. Słyszałem, jak biadolila jeszcze w windzie, która wiozła ją w górę powoli, piętro po piętrze. Poszedłem schodami, na trzecie. W ciemnych korytarzach rozchodził się zapach czosnku, cebuli, oleju. Po omacku szukałem kontaktu, żeby zapalić światło. Zapukałem do drzwi.

Otworzyła mi... Eftichija Pawłopulu.

– Pan do kogo? – spytała.

– Do Rubini.

– Masz ci los. Powiedziałam panu. Tutaj nie mieszka żadna Rubini.

Faktycznie. Zajrzałem dyskretnie przez półotwarte drzwi. Mieszkanie wydawało się inne. Inne kolory ścian, inne meble. Co to wszystko znaczy? Zwariowałem? Nie inaczej.

Kupiłem gazetę, usiadłem na placyku opodal, żeby wypić kawę i się uspokoić. To samo, co zawsze. Nowe groźby pod adresem Grecji, obraźliwe publikacje w zagranicznej prasie, nieudolność rządu.

Czekałem dla zabicia czasu. Zaryzykuję. Zadzwonię do hotelu. Poszukam jej w pracy. Tak zrobię, trudna rada. Rozejrzałem się po stolikach. Paru staruszków, wieloletni emeryci. Milczący. Mrugali powiekami, mlaskali.

I wtedy...

I wtedy zahamował gwałtownie jakiś motor. Zatrzymał się. Na jezdni obok. Starcy odwrócili głowy z obojętnością.

– Co słyhać, kolego? – usłyszałem.

Przeraziłem się. Duch z przeszłości. Argiris! Podniósł ciemne okulary na czoło, puścił do mnie oko.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Jak najlepszym – odpowiedziałem spłoszony.

Chciał zsiąść, wypić ze mną kawę. Przeprosiłem go, spieszę się, jestem umówiony tu niedaleko. W sprawie pracy. zaproponował, że mnie podwiezie. Odmówiłem. To ledwie dwa kroki.

– Nieźle ci poszło, spryciarzu! – rzucił nagle i znowu puścił do mnie oko.

Nasunął okulary na oczy. Uruchomił motor. I zanim ruszył, „Pogadamy kiedy indziej”, obiecał.

O czym pogadamy?

Byłem poruszony. Co to wszystko znaczy? Dlaczego za każdym razem pojawia się tam, gdzie ja? Śledzi mnie? I w restauracji, i teraz tutaj, na ustronnym placu, w sąsiedztwie domu Rubini. Dlaczego puszcza do mnie oko? Co miał na myśli, mówiąc: „Nieźle ci poszło, spryciarzu”? Wiedział naturalnie o pomysle, który narodził się w mojej głowie w kwestii trojki. Ale wtedy to była czysta teoria, concept, coś ze sfery fantastyki. „Trojka nam pasuje... Ruch anarchistyczny rośnie w siłę. Olbrzymieje”, przypominałem sobie ich słowa. A teraz co? Mój los jest w jego rękach. Będzie mówił? Jeśli to zrobi, nic mnie nie uratuje. Mam przechłapanie.

Zapłaciłem za kawę i poszedłem. Oddalałem się. Znowu czułem na sobie spojrzenia, jak punktowe światła na scenie teatru, słyszałem podążające za mną kroki. Czy istnieli też inni aktorzy i statyści w tej historii? To tylko moja wyobraźnia. Nikt nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. Długo szwendałem się po wąskich uliczkach w okolicy. I dobrze mi to zrobiło. Odzyskałem równowagę. Zatrzymałem się przed budką telefoniczną. Wsadziłem rękę do kieszeni i wyjąłem karteczkę. Z telefonem do hotelu.

Poprosiłem Rubini T. „Jest pokojówką”, uszczegółowiłem. Czekałem chwilę. „Przykro mi, proszę pana. Nie pracuje u nas osoba o nazwisku Rubini T.”. Nalegałem. Wiem, że pracowała co najmniej do zeszłego tygodnia. „Zapewne pan się pomylił”. Niech zapyta jeszcze raz! Czekałem. I znów ten sam głos. „Proszę posłuchać”, ostro, jakby w zdenerwowaniu, „tak, jak mówiliśmy. W naszym hotelu nie pracuje Rubini T.”.

Trzask odkładanej słuchawki. Rubini T. nie istniała. Zniknęła. Zapadła się pod ziemię. Skręciła za róg i się zdematerializowała.

87/E8

Teczka „Samobójstwa”, wycinek numer 15

Tragicznie zakończył życie trzydziestoletni budowlaniec z Koryntu, osierocił małego syna.

Korynt, 11 października 2012 roku

Rano usiedli we trójkę do śniadania. Jak zwykle. On pił kawę. Gorzką. Nic więcej. Powiedziała mu, że odprowadzi dziecko do przedszkola, a potem zajdzie na chwilę do matki.

– A ty? Co będziesz robił? – spytała.

Jakby się zdumiał. Wyglądał na zagubionego, nieobecnego, roztargnionego.

– Eeee...

– Co będziesz robił? Pójdziesz szukać pracy? – spytała znowu.

– Eeee... Pójdę. Codziennie chodzę. Od budowy do budowy. Jest robota, nie ma roboty.

O bezsenność nie pytała. Całą noc wiercił się na posłaniu. Nie odpoczął. Wyczuwała jego niepokój.

Od miesięcy nie przynosi pieniędzy. Robota na budowach skończyła się jak nożem uciął. Komu teraz potrzebny specjalista od farb olejnych...? Ale i ją zwolnili przed trzema miesiącami. Wiele lat pracowała w supermarkecie. I od tamtej pory nic. Nic. Żyli dzięki pomocy jego matki i babki. Z pożyczek. Pieniądze szły jak woda, długi rosły.

Kobieta ubrała dziecko w kurtkę. Otworzyła drzwi, szykowali się do wyjścia. Podszedł do nich. Uścisnął pięcioletniego syna. Pocałował go w policzek. Dziecko skuliło się, niby poczuło ból, niby je ukłuł zarost ojca, „Auuu!”, zawołało. Taka ich zabawa. „Uważaj na siebie, synku”, powiedział.

Dziecko uśmiechnęło się. „Kocham cię, tato!”, rzuciło rozradowane i przeszło przez próg.

– Dobrze się czujesz?

– Co?

– Pytam, czy dobrze się czujesz – powtórzyła.

– Tak, tak, dobrze – odpowiedział.

Wiedziała, widziała, że nie czuje się dobrze. Przymknęła powieki, patrzyła podejrzliwie. Zaczerwienione oczy, nieogolona twarz.

Gdy zamknęła drzwi, wyszedł na balkon. Zapalił papierosa i patrzył z wysoka, jak idą chodnikiem. Mały z tornistrem na plecach. Matka trzymała go za rękę. Prawie czuł w swojej dłoni tę małą rączkę, małe paluszki, dotyk delikatnej skóry. Widział, jak nikną za rogiem. Zapłakał, zaniósł się niepowstrzymanym szlochem.

Wczoraj miał wypadek samochodowy. Auto zholowała policja. Nie miał stu dwudziestu euro na opłatę. Wrócił piechotą. Zaszedł do matki. „Nic mi się nie udaje, mamo!”. Tym razem nie poprosił o pożyczkę, sama zaproponowała, ale nie przyjął.

Patrzył na gaj oliwny naprzeciwko. Na zachmurzone niebo. Grzmot. Wyrzucił niedopałek na ulicę. Wszedł do mieszkania i wyciągnął z kontaktu długi kabel telewizyjny. Na ulicy pozdrowił go sąsiad. Coś tam w odpowiedzi bąknął przez zęby, po cichu, nie spojrzawszy nawet. Zbliżył się do drucianego ogrodzenia, przeskoczył, wszedł do gaju. Zatrzymał się pod wysoką oliwką.

Pogłaskał szary, sękaty pień. I zaczął wspinać się szybko, szybko. Zniknął w listowiu. Potem przywiązał kabel do grubej gałęzi, zarzucił pętlę na szyję. Skoczył. Ciało huśtało się w prawo i w lewo. Zobaczył go sąsiad, podniósł krzyk. Zbiegli się ludzie. Zdjęli go, oddychał jeszcze. Na ulicy pojawiła się żona. Zostawiła dziecko w przedszkolu i wróciła prosto do domu, nie poszła do matki. Coś czuła. Zobaczyła ludzką gromadę, zrozumiała. Krzyknęła, puściła się pędem. Upadła, chciała go objąć. Odciągnęli ją. Kiedy przyjechała karetka, żył jeszcze. Umarł, nim dojechali do szpitala.

88/B13

Mecenas Papadópulos, as nauk prawniczych, przyszedł ponownie po południu. Czarny garnitur, wielki nos, długa chuda szyja, wystająca grdyka. Sergidis niewiele miał wspólnego z adwokatami. Nigdy ich nie potrzebował. Ale wszystko ma swój pierwszy raz. Pamiętał jego nazwisko, widywał je często w gazetach. Zabójstwa, przestępstwa gospodarcze, głośne sprawy. We wszystkim miał człowiek doświadczenie. A więc, gdy na komendzie powiedzieli, żeby powiadomił swojego adwokata czy w ogóle jakiegoś adwokata, jako pierwsze przyszło mu do głowy nazwisko Papadópulos. Andreas Papadópulos.

I oto znów ma go przed sobą. Zaszuszony, tyczkowaty, wyciąga głowę do przodu jak orzeł, pochyla się, żeby lepiej słyszeć klienta. Podobny do grabarza z komiksów dla dzieci. Lucky Luke. Chude palce, skóra i kości, oparł o stół splecione niczym wiklina w koszyku. Raz po raz przypominał sobie o teczce – chciał ją mieć na oku – zerkał więc w dół, gdzie tkwiła między jego wyciągniętymi nogami. Uff, jeszcze jest. Sergidis zastanawiał się, czy dobrze zrobił, że zaufał temu człowiekowi. Czy tonącemu warto ucześć się kogoś takiego? Czy ktoś taki potrafi uniewinnić niewinnego?

Przez cały dzień Sergidis bił się z myślami. Ma tylko siedzieć i narzekać? Ostatecznie, sam też mógłby coś zrobić. Był to winien i sobie, i swoim bliskim. Trzeba szukać początku splątanych nitek. Kto i dlaczego zastawił na niego pułapkę? Wyteżył pamięć i zaczął rozsupływać węzeł. Przypominał sobie ostatnie wydarzenia, osoby, które odgrywały w jego życiu jakąś rolę, i te, których droga jedynie skrzyżowała się z jego drogą. Jeszcze raz od początku i jeszcze raz. Dziewczyna, która przyszła do jego gabinetu. Czemu, u diabła, oskarżyła go o molestowanie seksualne? Czego od niego chciała? Była nasłana? Przez kogo? Nawet jej nie dotknął.

Łamał sobie głowę, by wydobyć z pamięci coś więcej... coś więcej... I wtedy wspomnienie wychynęło niespodziewanie jakby z mroku – przeniósł się myślą do tamtego dnia na uczelni. Do dnia, gdy zapukał do jego drzwi młody człowiek, daleki potomek zbójcy. Cypryjczyk. Rzeź w Dílesi... Zaszifrowana informacja na lustrze w hotelu. Tak, on mógł dobrze znać fakty, mógł zostawić taką wiadomość. Był osobiście zainteresowany. Sam to powiedział. Może więc... Może tędy droga... Nie znał, nie pamiętał jego nazwiska. Musi je odnaleźć. Ale dlaczego on? Są i inni potomkowie zbójców, zarówno tych, którym udało się uciec, jak

i tych, których ścięto na Polu Aresa. Czy zabójca jest jednym z nich? Czy obudziły się upiory przeszłości?

A może to ktoś z miejscowych? Z Pikiermi, z Sikámino, z Oroposu – ze stron, gdzie działała horda Arwanitakisów, gdzie zbójcy mieli współpracowników, kumów, braci krwi, szpiegów takich, jak Seliamis. Istniały jeszcze powiązania, odległe, lecz wciąż żywe. Pamięta, z jakim entuzjazmem opowiadali mu o zbójceckich hersztach. Przypomniał sobie rzeźnika, który uhonorował Takosa. Sklep rzeźniczy „Takos”. Wszyscy w okolicy dobrze znali tamtą historię. Prawie wszyscy byli wściekli na polityków prowadzących kraj – widać, także wtedy – na skraj przepaści. Dziś na pewno podobnie odnoszą się do trojki. W końcu kryzys trwa nieustannie. Tyle, że go nie dostrzegamy. Kryzys to my, myślał Sergidis. Kryzys to my. Od czegoś trzeba zacząć.

W jego duszy zadrgał płomyk nadziei. Zrobił początek. Nie będzie dłużej siedział beczynn timer, opłakując swój los, przynajmniej będzie miał na co czekać. Poczł, że jego ciało ożywa. Na nowo. Życiodajne soki zaczynały powoli krążyć. Miał wrażenie, że jego głowa oczyszcza się z mazutu. Słowa Apostolu, „niektóre rzeczy wydają się dziwne w tej sprawie”, stały się zaczynem, ziarnem, które budzi się w ziemi i zaczyna kiełkować. Tych słów mógł się chwycić jak ktoś, kto w czasie swobodnego spadania wymachuje rękami i nogami w beznadziejnych poszukiwaniach czegoś stabilnego. Te słowa były deską ratunkową na wzburzonym morzu.

Dlatego Sergidis poprosił adwokata, wręcz od niego zażądał, żeby natychmiast skontaktował się z Kateriną i Dukarelisem. Mecenas nie był zachwycony, ledwie dostrzegalny grymas niezadowolenia pojawił się na jego ustach, a następnie powędrował w górę, obejmując oczy i czoło. Usiłował narzekać, że „już późno, biuro zamyka się o tej porze...”.

Sergidis się zdenerwował. „Gramy o moje życie, panie mecenasie. Proszę o dziesięć minut. Nie zamierzam pozbawić pana wolnego wieczoru. I to bez wynagrodzenia...”.

Podyktował mu numer telefonu Kateriny. Numeru Dukarelisa nie pamiętał, ale ona go ma, więc mu poda. Przede wszystkim niech jej przekazuje, że ją kocha, bardzo kocha, niech nie wątpi, że jest niewinny, ktoś go wplątał w tę historię, nie wie kto i nie wie dlaczego. „Tak jej proszę powiedzieć. Proszę niczego nie pominąć”. W normalnej sytuacji poprosiłby, żeby poszła do jego mieszkania, ma klucz, i odnalazła w szufladzie biurka teczkę z materiałami o rzezi w Dílesi. Taki jest napis na etykiecie: Rzeź

w Dílesi. W teczce znajduje się lista członków bandy Arwanitakisa. Ale policja już pewnie splądrowała i zaplombowała mieszkanie. Listę może też znaleźć w Archiwum Historycznym Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Stamtąd ją przecież wydobył. Niech spisze nazwiska osób, które przeglądały w ostatnich latach dokumenty związane z Dílesi. To samo niech robi w Centralnym Archiwum Państwowym. Szefową jest tam przyjaciółka Kateriny, koleżanka ze studiów, z uniwerku, więc nie odmówi.

– Niech Katerina przekaze to wszystko panu, a pan mnie. Jeśli chodzi o Dukarelisa, jemu także proszę powiedzieć, by w imię naszej prawdziwej i głębokiej przyjaźni nie wątpił w moją niewinność. I niech go pan poprosi, żeby dostarczył listy nazwisk moich studentów z lat 2009–2010. Znajdzie je w sekretariacie. Proszę to zrobić jak najprędzej. Może zdołamy wreszcie wyjaśnić tę sprawę.

Po wyjściu adwokata Sergidis długo siedział na krześle nieruchomy, zamroczony. Nagle światło lampy nad jego głową zamigotało. Ocknął się i, dziwna rzecz, przypomniał sobie coś, co czytał przed laty o skazanych na śmierć. Podobno, gdy kaci w niektórych amerykańskich stanach unosili przełącznik uruchamiający krzesło elektryczne, światło w okolicy przez chwilę mrugało. Wyobraził sobie, jak w pobliskich domach ludzie przechylają głowy, zamierają na chwilę, przerywają jedzenie, odkładają trzymane w ręce pióro czy książkę. A co jeszcze dziwniejsze, przypomniał sobie ciekawostki na temat ostatniej woli skazańców. Jeden poprosił o dobrze wysmażony bryzol, pierś i skrzydełka kurczaka, dwa burgery z dużą ilością frytek i krążkami cebuli, parę litrów napojów orzeźwiających, mleko, kawę i mrożoną herbatę. A inny zażyczył sobie przed egzekucją tylko jednej oliwki!

89/A36

Wiele razy doprowadzała mnie do ostateczności. Ale co miałem robić? Poddawałem się. Staralem się ukryć irytację. Rubini była naprawdę wyjątkowa. I może przez tę jej wyjątkowość tak mnie wciągnął ten związek. Przy niej każdy dzień był inny. Nigdy się nie nudziłem. Nieustanna karuzela, ze skrajności w skrajność. Zaraz zrozumiecie dlaczego.

Zdarzyło się parę razy, gdy byłem u niej w domu, że postanawiała nagle: Pora na... jogę, na odczynianie stresu. Joga, mówiła, jest niezbędna dla zdrowia ciała i ducha. Szła do swojego pokoju, zapalała zapachowe świece, dziesiątki aromatycznych świeczek porozstawianych gdzie się da – na podłodze, na komódce, na etażerze, na parapecie okna. Nastawiała cichutko CD „medytacyjne”, wiecie, dzwoneczki, delikatne metaliczne dźwięki, odgłosy nie z tego świata. Siadała na dywanie w pozycji kwiatu lotosu. Rozluźnione mięśnie kręgosłupa, spokojny oddech, ręce oparte na zgiętych kolanach, wewnętrzna strona dłoni skierowana ku górze. Trwała tak nieruchoma, kamienna. Ani powieka jej nie drgnęła. Oczy zamknięte, była w innym świecie. A ja? A ja w kącie, zanurzony w fotelu, musiałem siedzieć cicho, żeby nie zakłócić jej nirwany. Patrzyłem na nią godzinami i zastanawiałem się w skrajnej rozpacz, kiedy wreszcie skończy, kiedy powróci do świata żywych.

Pewnego wieczoru, porządnie wpieniony, wstałem i, stąpając na palcach, zmyłem się cicho jak kot, żeby nie zauważyła. Miałem dość. Kiedy indziej znów, chyba przez aromaty i dziwaczne kadzidelka z Tybetu, Bóg jeden wie, skąd je wytrzasnęła, zacząłem kichać jak najęty. Aaa psik, aaa psik... Otworzyła oczy i spojrzała na mnie surowo. Mimo to kichanie nie przeszło. Skrzywiła się, przeszkadzałem jej. „No i do czego to prowadzi?”. Uwolniłem, stwierdziła, negatywne energie. „Do czego to prowadzi?”. Wstałem rozczarowany i sobie poszedłem. Znowu.

Ale szczytem wszystkiego było oglądanie filmów. Rubini miała hopla na punkcie kina, dawnego amerykańskiego, klasycznych romansów, musicali. *Śniadanie u Tiffany’ego*, *Deszczowa piosenka*, *Ich noc*, *Casablanka*. Siedziała na kanapie przed telewizorem, w rękę trzymała miseczkę z lodami truskawkowymi, zawsze truskawkowymi, albo kubek z jakąś dziwną herbatą, chińską, rosyjską, z naparem z kozłka lekarskiego, ostropestu plamistego, nagietka, przytulii czepnej, dziurawca, sam nie wiem, jakie tam jeszcze zielska wrzucała. Widok był przedni, urzekający.

Zmienność wyrazu jej twarzy, huśtawka uczuć, niezliczone przeobrażenia psychicznie – wyczerpujące i zbawienne zarazem. Obserwowałem ją kątem oka, zachwyciłem się, nie mogłem się napatrzeć. Jej nastrój zmieniał się wraz z rozwojem akcji na ekranie. Najwyżej stawiała *Śniadanie u Tiffany'ego*. Boże mój, ile razy ona to obejrzała? Pięćdziesiąt, sto? A wydawało się, że każdy raz jest pierwszy. Co najmniej dwukrotnie obejrzelśmy ten film razem. Jeśli można to tak nazwać. Bo ja nie śledziłem akcji na ekranie. Ja śledziłem inne arcywidowisko.

Ten jej smutek, gdy Audrey Hepburn śpiewa *Moon River*, i te szeroko otwarte usta, gdy bohaterka demoluje pokój na wieść o śmierci Freda. Ten uśmieszek, gdy Hepburn robi na drutach i słucha w radiu „portugalskiego bez nauczyciela”. I salwa serdecznego śmiechu, gdy tamta przygotowuje kurczaka w sosie dla George'a Pepparda i szybkowar wybucha. A na koniec – szloch. Łzy płyną strumieniem, więc je wyciera papierową chusteczką, smarka, wydmuchuje nos. Audrey Hepburn właśnie wyrzuciła kota na deszcz, zdenerwowany George Peppard mówi jej bez ogródek, że jest rozpieszczona, a ona ze łzami w oczach pali papierosa w taksówce, płacze niemo, boleść na twarzy, po czym biegnie szukać kota w ulewie. Wreszcie razem znajdują zwierzaka mokruteńskiego, patrzą sobie głęboko w oczy i – namiętny pocałunek. Co za ulga! Happy end. Smutek znika, czas na katharsis. Prawdziwy cud!

Potem, gdy ukazują się końcowe napisy, Rubini odwraca się i mnie dostrzega. Zaskoczona! Nie jestem George'em Peppardem, więc cały czas byłem niewidoczny, nie istniałem. Pochyliła się i mnie całuje: „To ty tu jesteś, kochanku doskonały?”.

90/C18

Apostolu pędzi do Pireusu. W mundurze, prosto z biura. Byle tylko zdążyć. Trzeci dzień Wielkanocy. Z początku pomyślał, że wyśle taksówkę, ale zmienił zdanie. Nie należy przesadzać. Dzieci są zachwycone. Zwłaszcza mały. Dobrze im zrobiła ta podróż, choć tyle narzekali. Wielkanocne obwarzanki, babcine furtalia, tradycyjne odpalanie petard w Steniés. Dziadek każdego dnia zabierał ich samochodem do Chory, do stolicy. Stary wenecki zamek, stare zamożne domy przy ulicy Embirikosa, muzea i ich ulubiony plac Kairisa z platanem, kawiarenkami i cukierniami słynącymi z ciastek migdałowych. Wcale im się nie przykrzyło na wyspie. Uniknęli też wycieczek w odludne strony z ojcem. Nie znosili ich, nudzili się nimi. Byli dziećmi miasta. Spędzili czas bardzo miło.

Ona milczy. Wydaje się spokojna i wypoczęta. „Ty też miło spędziłaś czas?”, spytał. „Miło”, odpowiedziała w chwili, gdy samochód przed nimi przyspieszył niebezpiecznie i z piskiem opon skręcił w boczną uliczkę. Odwiedziła Muzeum Gulandrisa. Po raz kolejny obejrzała stałą wystawę. „Pamiętasz?” Michalis Tombros, Janis Gaitis, Jorgos Zogolópulos...

Zabrała ze sobą sztalugi. Poszła na tamto zbocze, do dolinki z kwiatami i cyprysami. Ale... „Szkoda, wiejska zagroda, pamiętasz?”. Zawaliła się. Zostały ruiny. Wcześniej tego nie zauważyła, ale teraz, gdy była tam drugi raz, spostrzegła, że na polach dokoła było mnóstwo storczyków. Apostolu kiwa głową. Poszły obie, z teściową. Chłopcy byli z dziadkiem w Chorze. Ona malowała, a matka robiła bukiety z kwiatów, ozdobiła nimi dom. Zbierała dziki pochrzyn, zioła. Zrobiła z nich tartę. Zostawili mu kawałek. Matka pamięta, jak bardzo ją lubił w dzieciństwie.

Uśmiechnął się. Jak się mają rodzice, jak ich znalazła?

– Dobrze, w porządku.

Ojciec trochę narzeka – znowu – że ból w piersiach nie ustaje.

– A ty?

– Samotność, wiesz zresztą. Mówiłem ci przez telefon. Wielki Piątek u Eftimiju. U twoich rodziców Wielka Sobota i pierwszy dzień świąt.

Zamilkł, zamyślił się. Tak, Wielki Tydzień spędził w towarzystwie swojej samotności. Sam ze swoimi zwidami. Na dodatek w pracy pojawili się zagraniczni agenci. Wzięli pod lupę wszystkie szczegóły i fakty. Codziennie plątali mu się pod nogami. Utrapienie. Komendant Główny ich przysłał. Na żądanie Narodowej Służby Wywiadu i premiera. Amerykanie, Anglicy, Niemcy. Goci, Wizygoci, Ostrogoci. Mają pomagać w śledztwie.

Jego własne dochodzenie nie przynosi rezultatów. Bagno. Ślepy zaułek. Ani kroku naprzód. A sytuacja w Atenach z każdym dniem coraz trudniejsza. Nie zajmuje się przecież tylko sprawą trojki. Zabójstwa, zaginięcia, uprowadzenia, co dzień ataki na nielegalnych imigrantów ekonomicznych w centralnych dzielnicach miasta. Zło przekracza wszelkie granice. Organizacje monitorujące przestrzeganie praw człowieka ujawniają poczynania skrajnej prawicy, brutalne zachowania wobec imigrantów. Kolejna zmora. Zagranica ciśnie rząd, a rząd policję. I bujaj się teraz. Ameryki nie odkryli, policja o wszystkim wie. Tyle że ręce ma związane. I nie na tym koniec, są jeszcze samobójstwa. Liczba zamachów na własne życie rośnie z każdym dniem. Epidemia. Drastyczne sankcje popychają ludzi do nieobliczalnych zachowań. Skoro tracą pracę, domy, firmy... Nie, nie spędził czasu przyjemnie. Bo niby jak? Tydzień męczący jak inne. Wykańczający psychicznie.

Rano w Wielki Piątek, gdy dzwony rozdzwoniły się na „zdjęcie z krzyża”, odwiedził go niespodziewanie Komendant Główny Policji Greckiej. Nie jest zadowolony, powiedział, z postępu sprawy. Czegoś więcej się po nim spodziewał. Premier i minister są zawiedzeni. Nimi wszystkimi. Coś trzeba zrobić i to szybko. Bo inaczej...

Bo inaczej... Apostolu wie, co znaczy „bo inaczej...”. Bo inaczej polecą głowy. Przypomniała mu się egzekucja zbójców na Polu Aresa, ot, takie skojarzenie. Teraz jego kolej.

Świętował w samotności, w niepokoju, w stresie. To nie były święta. To było piekło na ziemi. Przez cały czas czuł na gardle dotyk zimnego ostrza. Coś przerażającego.

Rozmyślał nad tym wszystkim, był roztargniony, nieuważny na drodze. Jechał szybko, nie przekraczał dozwolonej prędkości, ale jechał szybko. Omal nie potracił skutera, który skręcił mu gwałtownie przed nosem. Nie jego wina, ale powinien uważać, mieć oczy dookoła głowy. Anna zerknęła na niego zdziwiona. Zawsze prowadził ostrożnie. Obie ręce na kierownicy, umiarkowana prędkość. Widziała niepokój, napięcie na jego twarzy, i zrozumiała.

– Zacznę na nowo szukać pracy. Od jutra – powiedziała. – Nie mogę dłużej siedzieć w domu. Niedługo przestaną mi wypłacać zasiłek dla bezrobotnych. A przecież są potrzeby.

Skinął głową aprobująco. Dobrze jej to zrobi.

Raz po raz spoglądał na nią kątem oka. Coś ją gryzło, miała to wypisane na twarzy. Smutek, niepokój i jeszcze coś, coś nieokreślonego. Nie pytał. Wydawało mu się, że wie, ale nie chciał dolewać oliwy do ognia. Ona tymczasem pogrążyła się w myślach. Musi coś zrobić, musi coś zrobić.

Apostolu funkcjonował jak dawniej. Codzienna rutyna. Życie osobiste wtłoczone w chwile wolne od służby. Ale po paru dniach stanął przed palącym dylematem: obowiązek czy sprawy osobiste, rodzinne? Co wybrać? Bo po paru dniach spadło na nich nieszczęście, które, jak to się zwykle zdarza, przychodzi w najmniej właściwym, wręcz w najgorszym momencie, wystawia na próbę wytrzymałość i opanowanie, relacje i związki, a czasem godzi w najstabilniejsze, pozornie nienaruszalne pryncypia przypisane osobowości i psychice człowieka.

Był piątek, gdy odebrał telefon od matki. Właśnie wychodził na odprawę. A tu świat się wali! Matka roztrzęsiona, zapłakana. Po śniadaniu, które zjedli razem przy stole, ojciec wyszedł na dwór, a potem wspiął się na drewnianą drabinę, żeby poprawić dwie dachówki, które popękały i dach przeciekał. „Przeklęta drabina”. Mówiła mu, żeby nie wchodził, przecież mu mówiła. Jakby przeczuła. Na czwartym stopniu noga się powinęła, spadł na ziemię. Usłyszała tylko suchy trzask łamanych kości, wił się z bólu, miednicę miał w kawałkach. Sąsiad zawiózł go szybko do centrum medycznego. No i jest tam teraz. Ale chcą go przewieźć do szpitala na Siros. Nie wie, co robić. Była pogubiona. Jej szloch. Jej łamiący się głos. Te chwile ciszy. Ten jej oddech. Pociąganie nosem.

Długo brzmiała mu w uszach ta rozmowa. Pomyślał, że rzuci wszystko i pojedzie. Zwyczajnie rzuci. Dość już tych obowiązków ponad ludzkie siły, służby, która nie daje żyć, zadbać o własne sprawy, sprawy bliskich. Wystarczy. Są rzeczy mające w życiu pierwszeństwo. Bezdyskusyjne. Twoi bliscy w najtrudniejszych dla nich chwilach. Usiadł na krześle przy biurku, pochylił głowę, tarł twarz dłońmi. Ojciec. Cierpi samotnie na szpitalnym łóżku.

W poprzednie Boże Narodzenie rodzice przyjechali do Aten na parę dni. Wykorzystał okazję, zawiózł ojca do szpitala. Na badania, na konsultację u zaprzyjaźnionego lekarza. Starszy pan skarżył się na kłucie w piersiach. Nie był jeszcze wiekowy; koło siedemdziesiątki. Badania nie wykazały niczego niepokojącego. Apostolu wciąż go widzi, jak siedzi, czeka na korytarzu. On stał i obserwował ojca ukradkiem, gdy ten kierował wzrok w inną stronę. Zestarzał się. Stracił parę kilogramów. Policzki zapadnięte,

wystające kości pokryte cienką skórą. Wyprostowane ramiona zwisały jak wiotkie pędy. Lekko poblady, lecz z szeroko otwartymi oczyma, od dziecka patrzył szeroko otwartymi oczyma na otaczający go świat. Wydawał się niespokojny, zmartwiony z nieznanego powodu, a zarazem bezradny, słaby, uległy swojemu losowi. No i to jego zachowanie przez wszystkie dni. Jak ryba wyciągnięta z wody, jak istota z innego świata, obca w dżungli Aten, oderwana od rodzinnej wsi. Tu, w labiryncie szpitalnych korytarzy, rozglądał się zdezorientowany, zagubiony. Dookoła choroby, duchota, zapach chloroformu, środków odkażających.

– Co się dzieje, tato? – spytał Apostolu.

Ojciec uniósł raptownie głowę, zaskoczony. Syn uśmiechnął się.

– Daj spokój, nie ma się czym martwić. Będzie dobrze. To tylko rutynowe badania.

A potem zobaczył go w gabinecie, siedzącego bez koszuli, posłusznego poleceniom lekarza. Skóra i kości, płytki oddech.

Co robić? Tak, rzuci wszystko, ucieknie, pojedzie do ojca. Ale z upływem sekund i minut, gdy poruszenie, lęk, szok zaczęły ustępować niby mgła osłaniająca pejzaż, uświadamiał sobie coraz dobitniej, że tego nie robi. Nie robi. Poczucie obowiązku, służba, niewidzialne łańcuchy, którymi był przykuty do chorobliwej sumienności, zwyciężały powoli w jego duszy z miłością do ojca. Obietnica dana komendantowi zyskała przewagę.

Zatelefonował do Anny, powiadomił ją, prosił, ledwie krztusząc słowa, prosił, żeby co prędzej jechała na Andros, na Siros, dokądkolwiek przewiozą ojca na leczenie. Bo matka nie da sobie rady. I, dziwna rzecz, Anna nie rozgniewała się tym razem. Była jedynie zdumiona, że i w takiej chwili, gdy ojciec jest bezsilny i cierpiący, on wybiera obowiązek, a raczej to, co w swoim wyobrażeniu za obowiązek uważa. Anna uświadomiła sobie w całej pełni, jak bardzo, jak niezdrowo uzależniony był od służby. Wiedziała, że ogromnie kochał rodziców. Żal jej się go zrobiło. Westchnęła poruszona, okazała zrozumienie.

– Bardzo cię proszę, Anno... – wyszeptał na koniec, przybity, z poczuciem winy.

Głos mu drżał, rwał się. Anna widziała prawie jego bladą twarz, załamane oczy, wyrzuty sumienia wyrzyte na czole. Obiecała, że zaraz poszuka biletu, pojedzie jak najprędzej. Dzieci zostaną u rodziców, niech się nie martwi.

– Dziękuję ci – powiedział wykończony – Dziękuję...

91/D16

Dzisiaj przywołałem syna lady i rzekłem mu, byśmy się ścigali. Roześmiał się i na to przystał. Ścigaliśmy się i on był lepszy. Potem rzekłem mu, byśmy się zmierzyli w kamieniu. Zmierzyliśmy się i ja byłem lepszy. Po południu lordowie poprosili, bym ich zaprowadził do miejscowego kościoła, który jest obok naszych chat. Zaprowadziłem ich pod sam kościół. Lordowie poszli oglądać, a ja stałem na zewnątrz. Obeszli wszystko dookoła. Obaczyli maki i pachnący groszek. Obaczyli pola naprzeciwko, po czym stanęli przed ikonami wymalowanymi na ścianie kościoła. Oglądali malowidła, oglądali wyryte tam imiona i liczby. Chłopak wziął gwóźdź i wydrapał na ścianie „1870, 20 kwietnia”. A potem spojrzął na mnie i roześmiał się jak małe dziecko.

Christos Arwanitakis

92/A37

Siedzę zamknięty w czterech ścianach. Uwięziony. Pólsuterena cuchnie zgnilizną, wilgocią. Zaduch. Loch. Moja cela, mój grób. Życie dociera do mnie przez szpary i szczeliny okiennic. Zatrzymany i osadzony jestem. Całe moje jestestwo. Rozdarty między dwoma stanami. Człowiek, który zagubił się nocą. Myśli, lęki, samotność, upiory – iluzje czy rzeczywistość? Obrazy wdzierające się do mojego umysłu, horror, krew, trzask cyngła, odgłos wystrzałów, ciała leżące bez ducha z wytrzeszczonymi oczami, odcinanie głów. Zniknięcie Rubini, zagadka, pożądanie i tęsknota, Argiris, mój dręczyciel, który po cwaniacku, prawie sadystycznie, puszcza do mnie oko. „Nieźle ci poszło, spryciarzu!”. Coś tu, w środku, śmierdzi, coś gnije. Ja gniję. Rozkładam się, a świat idzie dalej swoją drogą, jak gdyby nigdy nic. Blok nade mną nadal oddycha pełnią ogromnych płuc. Czuję puls betonu i żelastwa w jego zimnym, martwym sercu, wiszącym nad moją głową. Gdzieś tam moja starowina przegląda się w lustrze, maca zmarszczki, wyjmuje aparat słuchowy, szykuje się do drzemki. Jakaś dziewczyna czesze długie, proste włosy. Gospodyni nakrywa stół do obiadu. Emeryt wkłada pastylkę do ust drżącą ręką, dziecko pisze ołówkiem w zeszyście.

Szkoda, że nie mam aprilii. Spakowałbym składane wędki, przynętę, zanęty, skrzynkę z akcesoriami i pojechał nad morze. Teraz, gdy robi się cieplej, tęsknię za morską bryzą. Tęsknię za bezkresem morza, słonym zapachem, za warstewką soli, która osiadłszy na skórze, wgryza się w nią powoli. Za spienionymi falami bijącymi o skały, za kroplami pryskającymi na twarz. Uciekłbym od tego, co mnie prześladowuje i gnębi. Oderwałbym się, zapomniał choć na trochę.

Od wielu dni próbuję nie spać, mieć oczy otwarte. Bo za każdym razem, gdy je zamykam, zaczynają mnie dręczyć koszmary. Ale czy jest lepiej, gdy czuwam? Słyszę nieistniejące hałasy i szum skrzydeł, odwracam się gwałtownie w prawo, w lewo, spłoszony. Wydaje mi się, że widzę cienie. Pełzają po ścianach jak stawonogi.

No i ci z trojki. Nie potrafię odróżnić żywych od umarłych. Ich szepty i głosy mieszają się z szumem wiatru, zgiełkiem dochodzącym z ulicy, dźwięki w dźwiękach, obrazy w obrazach.

Czasami zrywam się ze snu z krzykiem. Wczoraj też mi się śnili. Siedziałem w biurze. Jakiś urzędnik podsuwał mi dokumenty do podpisu. Nagle drzwi upadły z hukiem na podłogę z desek. Wzbił się tuman kurzu.

Przeraziłem się. Zacząłem kasłać. Weszło trzech typów w garniturach i krawatach, z teczkami, w ciemnych okularach. Stanęli nade mną. „Pamiętasz nas?”, spytali i zdjęli okulary, pewnie żebym ich lepiej widział, łatwiej sobie przypomnieli. Ironię mieli w oczach, arogancję w postawie. „Ironia to błysk nienawiści”. Zrozumiałem. Dziwna sprawa, głowy były na swoich miejscach. Zbliżyłem się, dotknąłem palcami ich szyj. Skóra szorstka, pokryta łuskami jak u gadów. Tak, była szrama, wyczuwalna dotykiem. Wróciłem na swoje miejsce zawiedziony. „Mnie głowy nie obciąłeś”, powiedział jeden z trzech. „Znalazłem ich w apartamencie, gdy ciebie już nie było, i poprzyklejałem im głowy gumą arabską. Tylko że się pomyliłem. Nie ta głowa nie do tego ciała. Ale jakie to ma znaczenie? Mózg się liczy. Che, che... Nie uważasz?”, spytał, rechocząc.

Oblał mnie zimny pot. I spływał, spływał, spływał. Zmoczył mi ubranie, dywan, podłogę z desek, zalał biuro. Wtenczas weszła sekretarka, spanikowana, rwała włosy z głowy. „Panie ministrze, krany się popsują. Niech pan nas ratuje, niech pan nas ratuje!”. A zatem byłem ministrem i miałem przed sobą przedstawicieli trojki. Teraz siedzieli wygodnie na kanapie, wyciągnięte giry oparli na krzesłach. Palili wielgachne cygara. Przed nimi stały szklanki z whisky. Zaczęli mi dyktować, jakie cięcia wynagrodzeń i emerytur, jakie nowe podatki mam wprowadzić, ile osób zwolnić. Cyfry, liczby, procenty, sto tysięcy, czterdzieści tysięcy, trzydzieści procent, dwadzieścia procent. Liczby, procenty... Mówili spokojnie, głosem mocnym i stanowczym. A ja pociłem się i pociłem. Pochyliłem głowę. I dopiero wtedy spostrzegłem, że mam na sobie mundur boya hotelowego. Ja, minister finansów. Mina mi zrzędała. Włożyłem rękę do kieszeni, namacałem glocka 17. Wycelowałem w nich. Z diabolicznym uśmiechem. Wymienili spojrzenia. I wybuchnęli śmiechem. Nacisnąłem spust; z lufy poleciała woda. Ochlapał ich strumień, mokre włosy przywarły do czaszek. Glock 17 był pistoletem na wodę! „Boy hotelowy... boy... znowu do nas strzela... znowu...”, wyłowiłem słowa tłumione chichotem. A gdy wreszcie śmiech ucichł, gapili się na mnie. Szklanymi oczyma. Zaczęli histerycznie krzyczeć i wymachiwać rękami.

Obudziłem się. Gdzie byłem? W gabinecie ministra-boya hotelowego? W swoim pokoju? Sen jeszcze trwał? Leżałem na plecach, patrząc w sufit na smugi światła, które wślizgiwały się z głuchym szmerem przez szpary w okiennicach. Sztuczne światło, dochodzące z miejskiej latarni na ulicy, zniekształcone, mętne. Zapragnąłem zamienić się w zewłok, byt bez myśli,

mózgu, serca, krwi krążącej w żyłach i bez nerwów, żebym niczego nie
czuł, w wór siana, w kukłę bez duszy rzuconą w ką. Tego pragnąłem.

93/A38

Poszedłem do niego któregoś ranka przed wykładem w audytorium. Zapukałem do drzwi. „Proszę!”, zawołał basowym głosem. Wszedłem. Siedział z nogą założoną na nogę, w rogu, w skórzanym fotelu. Pod stojącą lampą ze złotymi ornamentami z czasów Grecji starożytnej na abażurze. Lśniła ogolona na łyso głowa. Na nosie miał okulary, coś notował, coś poprawiał. Pewnie jakąś studencką pracę. Obłok białego dymu wznosił się aż pod sufit. W cynowej popielniczce na małym drewnianym stoliku palił się papieros. Mijały minuty, dwie, trzy, ani nie sięgał po papierosa, ani nie patrzył na mnie. To jeden z nielicznych, związanych z nim obrazów, które wryły mi się w pamięć. Jak biało-czarna fotografia z minionej epoki.

– Proszę usiąść – rzekł wreszcie i odłożywszy ostatnią kartkę, zamknął głośno teczkę z plikiem papierów. – Słucham.

Wyraziłem chęć napisania pewnej pracy.

– Interesuje mnie – powiedziałem – rzeź w Dílesi.

Zdjął okulary. Miał je na sznurku, pozwolił im opaść na pierś. Spojrzał na mnie badawczo.

– A co w szczególności pana interesuje? – spytał zmienionym, jak mi się wydawało, głosem.

Zaskoczył mnie.

– To znaczy? Chciałbym napisać pracę.

Papieros przestał dymić, zgasł nietknięty. W popielniczce został mały, szary, martwy robaczek.

– Temat jest bardzo szeroki, dobry na przewód doktorski. Zawiera wiele wątków... Musi pan wybrać coś konkretniejszego.

Zrozumiałem. Pokiwałem głową.

– Chciałbym się zająć samą hordą zbójceją, jej składem, jej funkcjonowaniem. I zbójcami. Jak zaczynali, jakie było ich życie, jaką mieli przeszłość. Charakterami tych ludzi, krótko mówiąc.

– Dobrze... Bibliografia jest w sylabusie do przedmiotu. Ograniczona naturalnie, ale coś pan znajdzie...

– Wolałbym szukać w archiwach, w oryginalnych źródłach. Bibliografię znam. I nawet... wszystko już przeczytałem...

Zmienił nogi, spojrzał z zaciekawieniem. Jakoś dziwnie. Ze zmarszczoną brwią.

– Wobec tego niech pan zacznie od Centralnego Archiwum Państwowego.

– A potem?

– Potem... potem Archiwum Historyczne Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz archiwum Finlaya w Brytyjskiej Szkole Archeologicznej w Atenach oraz... Wszystkie one są wymienione w pomocach. Ma je pan czy nie?

– Mam.

– A więc na samym końcu znajdzie pan bibliografię, podstawowe źródła archiwalne. Ale taki ogrom pracy... – zrobił krótką przerwę, jakby się nad czymś zastanawiał, spuścił wzrok. – Posłuchaj, młodzieńcze, poszukiwania w archiwach nie służą tak prostym opracowaniom jak twoje – rzekł, przechodząc nagle na „ty”. – Nie zdążyłbyś do końca semestru. To mozolne zajęcie. Ale rób, jak uważasz. Niech ci to zajmie tyle czasu, ile potrzebujesz. Jestem do dyspozycji.

– Wie pan... – zacząłem z wahaniem. Nie byłem pewien, czy mam mu to powiedzieć. – Wie pan, jestem tym osobiście zainteresowany. Jeden ze zbójców był moim przodkiem.

Widziałem, jak przymyka oczy, na czole wyryła się pionowa krecha. Przesunął się na skraj fotela, przybliżył się do mojego krzesła. Najwyraźniej trafiłem w czuły punkt. Już miał otworzyć usta, gdy ktoś zapukał do drzwi. Weszła sekretarka Instytutu Historii. Spojrzała na mnie, spojrzała na profesora.

– Panie profesorze, rektor pana prosi. Chciałby porozmawiać, zanim rozpocznie pan wykład. Mówi, że to pilne. Chyba chodzi o pański urlop naukowy. Trzeba podpisać jakieś dokumenty.

– Naturalnie – rzekł.

Wstał i ruszył w stronę drzwi. Wstałem i ja.

– Jeszcze o tym pogadamy, młodzieńcze, z pewnością pogadamy. Ciekawi mnie pańska historia. Ten zbójca... Niech pan zajdzie któregoś dnia, żebyśmy mogli porozmawiać spokojnie.

Znowu przeszedł na „pan”.

94/E9

Teczka „Samobójstwa”, wycinek numer 16

Policja zajęła się identyfikacją ludzkiego szkieletu znalezionej wczoraj wieczorem w Siátista.

Siátista, Kozani, 21 listopada 2012 roku

Wyszedł z domu wcześniej rano. Wsiadł do autobusu. Gdy czekał w kolejce w zakładzie ubezpieczeń społecznych w Siátista, dręczyły go czarne myśli. Jak sobie dadzą radę? Elektryczność, podatki. Przestał już nawet chodzić do kafenijo. Jedna kawa dziennie to dwadzieścia euro miesięcznie. Napisał na kartce i policzył, siedemdziesiąt eurocentów razy trzydzieści. Nie było go stać. Kafenijo odpada. Siedział w domu. Oszczędności wielu lat zdążyły już wyparować. Dzieci mają potrzeby. Szczęście, że dostaje niewielką rentę. Kiepsko, ale miesiąc da się przeżyć. W nerwach, ale się da. Kawałek chleba, skromne jedzenie, idzie wytrzymać. Mają też ogródek, kurnik. Chwała Bogu.

Jeszcze jedna osoba i jego kolej. Zmęczył się. Znowu boli go krzyż. Powinien usiąść. Czy nie mówili wczoraj w wiadomościach, że trojka planuje wystawić pod młotek sto tysięcy domów? Gdzie się ci ludzie podzieją, rodziny z małymi dziećmi? A co gorsza...

Podchodzi do okienka. Urzędniczka prosi o dowód osobisty. Kręci głową. Świat mu zawirował w oczach. Nie dostanie renty, cofnięto ją!

– To chyba jakaś pomyłka... pomyłka jakaś zaszła... – wyjąkał.

– Przykro mi – powiedziała kobieta. – Wszystkie renty poddano weryfikacji. Niektóre cofnięto, innym zmniejszono wymiar...

Mężczyzna nalegał.

– Ale... Ja już nie mogę pracować. Pracowałem na budowach. Pięć lat temu spadłem z rusztowania. Doznałem urazu. Mam trwałe inwalidztwo. Nie mogę...

– Przykro mi, nic na to nie poradzę. Niech pan złoży podanie o ponowne rozpatrzenie sprawy i...

Nie słuchał. Wszystko wokół zamarło. Samotność. Chłód. Mrok. Spuścił głowę. Wyszedł pochylony, garbaty. Oczy zaszyły mu łzami. Krzyż bolał, szedł z trudem. Usiadł na ławce w parczku, żeby dojść do siebie. Ale z upływem czasu było coraz gorzej. Jak iść do domu z pustymi rękami?

Nastało południe, gdy zdecydował się zatelefonować. „Nie wrócę. Nic wam po mnie”. Wyłączył się.

Ruszył na piechotę. Wędrował długo, nim ledwie żywy dotarł do gór Askios, wznoszących się ponad wioską. Ból nie do wytrzymania. Powłókł się na skały, usiadł, płakał. Daleko w dole rozciągała się równina, wioska, domy. Gdzieś tam są jego bliscy. Będą czekać daremnie. Nie może być inaczej. Wyciągnął pasek ze spodni, przywiązał do skały, nałożył pętlę na szyję. „Nic wam po mnie” wyszeptał ostatni raz i osunął się w pustkę.

Jego ciało trzy miesiące wisiało u skały, smagane wiatrem i deszczem, prażone słońcem, niczym ciało Prometeusza. Dostrzegł je hen, wysoko, już w stanie zaawansowanego rozkładu, pewien pasterz, cudzoziemiec. Policjanci i strażacy po przybyciu w to niedostępne miejsce znaleźli telefon komórkowy, portfel i kapelusz, który miał na głowie tamtego dnia w Siátista.

95/B14

Papadópulos przyszedł w południe i przyniósł wszystko, o co prosił Sergidis. Był kompletnie mokry, jakby go zanurzyli w chrzcielnicy. Deszcz złapał go przy Aleksandry, prawie pod komendą. Racja, mieszkanie jest zaplombowane, policja na pewno je przeszukała. Nie, nie będzie siadał. Spieszy się. Cały dzień, od rana, siedział w sądzie. Musi wrócić do kancelarii, ma spotkanie z klientem. Musi się przebrać, bo się przeziębi.

Sergidis podązał wzrokiem za Papadopulosem, który szedł ku drzwiom, kłapiąc przemoczonymi butami, a potem skręcił w korytarz i znikł. Zostawił po sobie ślady podeszew na podłodze. Tyczkowate ciało chwiało się przy każdym kroku, nogi bez mała drżały. Gdyby tam, w środku, zawiał wiatr, porwałby go i rzucił na podłogę jak źdźbło trawy. Taki był chudy, wysuszony, prawie bezcielesny, pozbawiony ciężaru; skóra i kości. Ale tam, w środku, nigdy nie wiało, powietrze stało nieruchome, nieświeże, duszne.

Gdy Papadópulos zniknął, Sergidis wziął się za czytanie papierów, które mu przysłano. Zanim nie złączą mu znowu przeszkadzać śledczy.

Na pierwszej stronie pakietu od Dukarelisa znalazł napisane odręcznie słowa: „Nie wątp w moją lojalność. Wierzę Ci. Ledwie wczoraj wróciłem z Genewy. Ismina powiadomiła mnie o całej historii. Próbowałem uzyskać zgodę na widzenie z Tobą, ale okazało się to niemożliwe. Życzę, żeby sprawa wkrótce się wyjaśniła. Jestem z Tobą, przyjacielu”.

Tak, nabrał otuchy. Ważne było dla niego, że poza tym gmachem jest ktoś, kto mu wierzy. Chciał, żeby i Katerina napisała dwa słowa. Potrzebował jej. Potrzebował jej miłości, jej opinii. Chciał mieć tutaj, w tym piekle, napisany jej ręką list, napisane przez nią litery, słowa. Choćby „Przesyłam, co znalazłam”. Choćby coś tak lakonicznego. Nic więcej. Byle miał coś od niej, zamknięte razem z nim w tym koszmarze na jawie. Jej okrągłe, staranne pismo o niepowtarzalnym charakterze. Dotykałby literę po literze, dotykałby słów jak niewidomy znaków Braille’a. A one ożywałyby i tańczyły przed nim i wokół niego, muzyką byłby szelest opuszków przesuwających się po papierze. Powtarzałyby w myślach, w duszy, te chwile stające się głoskami i słowami jak coś wyjątkowego i drogiego. Ciszą, szeptem, pełnym głosem. Miałyby się czego uchwycić. Ale... Dlaczego nie napisała? Słowa chociażby, pojedynczego słowa. Co to kosztuje? Wyparła się go teraz, gdy tak bardzo jej potrzebował. Nim kur zapieje...

Westchnął. Miał przed sobą listę zbójców, którym po rzezi udało się zbiec z Takosem Arwanitakisem. A także tych, którzy zginęli w Dílesi oraz tych, których pojmano, a następnie ścięto. Żywił nadzieję, że uda mu się powiązać nazwisko zbójcy z nazwiskiem studenta. Jeśli będzie miał szczęście. Przejrzał listę studentów, skreślił wszystkie nazwiska żeńskie. Pozostałych nie było wiele. W salach wykładowych Wydziału Filozoficznego mężczyźni stanowią nieliczną mniejszość. Jeden na pięć, sześć osób? Mniej więcej. Sprawdził nazwiska ponownie, żadne nie pasowało. Szukał i szukał, póki nie poczuł, że bołą go oczy. Zaczerwienione, opuchnięte, podrażnione, prawie łzawiły. Zostawił czytanie. Zmęczył się. Późnym popołudniem znowu od początku. Patrzył i tał oczy. Już miał dać spokój – niczego nie znajdzie, daremny trud, najlepiej wyrzucić papierzyska do śmieci – gdy jego wzrok zatrzymał się przy nazwisku Sokardís. Aleksis. Drugi semestr, 2010 rok. Pasowało. Tak, niewykluczone. Sokardís. Anagram słowa Drakos z typową końcówką. Nazwisko „Drakos” figurowało na liście poszukiwanych zbójców. Jeśli to ten, którego szuka, z jakiegoś powodu zmienił nazwisko. On sam albo jego potomek, najpewniej by ująć prześladowcom. Państwo greckie próbowało wówczas na wszelkie sposoby zlokalizować i postawić przed wymiarem sprawiedliwości zbójców-uciekierów. Erskine wysłał ich listę do władz tureckich, do Konstantynopola. Przekazano stosowne rozkazy do Trikali, Larisy, Janiny. Turcy wystawili pięciuset żołnierzy do tropienia zbójów. Tak, Jorgos Drakos. Odetchnął. Teraz rozumie. Popełnił błąd w pierwszej ocenie, w rozszyfrowaniu pisemnej wiadomości mordercy. Jorgakis to nie król, Jorgakis to Drakos. Potomek działał w jego w imieniu. Takie było przesłanie. „Jorgakisa dzieło!”. Dawni zbójcy znowu brali prawo w swoje ręce, wstali z martwych, znów wzięli się do roboty. Sergidis rzucił okiem na listy Centralnego Archiwum Państwowego i archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych z nazwiskami tych, którzy przeglądali dokumenty związane z rzezią w Dílesi w ciągu ostatnich lat. Czytał nazwiska przesłane przez Katerinę. Było wśród nich i jego nazwisko, i nazwiska kolegów akademików. Ale było i to: Sokardís Aleksis. Kwiecień, maj 2010. Zgadza się. Jest na obu listach. Zakreślił nazwisko kółkiem. Sokardís Aleksis.

Oparł plecy o ścianę. Chciał zapalić, bardzo chciał papierosa. Ciepło betonu rozeszło się po całym ciele, czuł jego mrowienie. A jednocześnie poczuł dreszcz przenikający sploty nerwów. Zamyślił się. Sokardís Aleksis.

Co teraz? Czy możliwe, by jedno nazwisko, to nazwisko, stało się kluczem do rozwiązania szarady, do ujawnienia spisku, żeby stanowiło dowód na spreparowanie zarzutów? Od wczoraj był w stanie dziwnego pobudzenia, oczekiwania na coś istotnego, przełomowego, co prowadziłyby do jego uwolnienia i ostatecznego uniewinnienia. Teraz jednak, teraz jakby wszystko straciło znaczenie; z duszy odpłynęła nadzieja, w mózgu zaległa szara mgła, powrócił żal i beznadziejna rozpacz. Nazwisko, nic więcej, nazwisko chłopaka. Czy to ono miało być biletem do wolności? Czego mógł się spodziewać po jednym nazwisku? Oblał go pot. Wokół czarna noc. Gdzieś na zewnątrz ktoś wbijał gwoździe do jego trumny. A on tutaj czeka, aż go spowiją w całun. Czy jego los był nieunikniony?

Zamknął oczy. Próbował przypomnieć sobie twarz młodzieńca. Grzeczny chłopak. Widzi go – jak staje w drzwiach, a potem czeka cierpliwie, aż pozwoli mu usiąść. Ciemne, proste, krótkie włosy. Oczy dość jasne – zielone? Nie był pewien. Twarz zasłaniały jakieś cienie. Próbował przypomnieć sobie ich rozmowę. Chciał pisać o rzezi w Dílesi. Szukać dokumentów w archiwach. Jeden ze zbójców był jego przodkiem. Wyglądał na zdecydowanego. Wiedział, czego chce. Praca pisemna. Praca, której nie złożył.

96/C19

Apostolu pojechał do Kiesariani z aspirantem Maglarasem. Znalazł adres. Stara, biała kamienica górująca nad pokrytymi dachówką domami przesiedleńców. Brama była otwarta. Winda skrzypiała i rzęziła. Wytrzymają stalowe liny?

– Idę już... Idę!

Za drewnianymi drzwiami rozległo się szuranie. Otworzyła matka Sergidisa. Widok mundurów zaskoczył ją, wręcz przestraszył. Jeden krok w tył. Drugi.

– Dzień dobry! – powiedział Apostolu. – Pamięta mnie pani?

Skinęła głową. Tak, pamięta. Uprzejmy policjant, który pozwolił jej zobaczyć się z synem.

– Nie chciałem pani dłużej męczyć tamtego ranka na komendzie. Wolałem sam przyjść, porozmawiać z panią tu, w domu.

– Proszę wejść...

Mieszkanie pachniało zupą z pora i ciepłym chlebem. W głębi Apostolu dojrzał seniora zrywającego się ze zdumieniem z fotela. „Policja w moim domu! Tego mi przyszło dożyć...”. Wskazali im miejsce na kanapie. Niech usiądą. Nie, dziękują za poczęstunek. Nie zostaną długo. Ot, chwila rozmowy. Patrzyli dokoła na tapety, na drewniane meble, niepotrzebne bibeloty, przedmioty ze szkła na stoliczkach po kątach, na sznurkowe różańce z wielkimi żółtymi koralikami, na ikony, drewniane i srebrne, przywiezione z podróży do świętych miejsc. Cały dom był jednym wielkim wspomnieniem.

Chrząknięcie.

– A zatem... – w głosie Apostolu brzmiał rozkaz.

Zaczęli rozmawiać. Maglaras siedział jak niemowa. Przełożony grał pierwsze skrzypce.

– Bardzo pana proszę, panie inspektorze. Mój syn jest niewinny. Wypuście go. Bardzo proszę...

Starsza pani zaczęła płakać. Wyjęła papierową chusteczkę, ocierała łzy. Później ucichła. Ojciec Sergidisa palił w milczeniu. Obserwował ich. W środku cały dygotał. Ale ani słowa.

– Niestety, nie ode mnie to zależy, łaskawa pani. Robimy, co w naszej mocy, żeby dojść prawdy. Jeśli rzeczywiście jest niewinny, może być pani... Może być pani przekonana, że sprawa się wyjaśni – podkreślił Apostolu.

Wierzył w to? Nie był pewien. Ojciec Sergidisa, który do tej pory dusił złość w sobie, wybuchnął. Wstał. Podniósł palec wskazujący, podniósł głos.

– Ta sprawa jest ukartowana. Pan... Pan... Policja to ukartowała. Robicie kozła ofiarnego z niewinnego człowieka, obciążacie go zbrodniami innych!

Był roztrzęsiony.

Starsza pani prosiła, żeby się uspokoił, żeby usiadł.

– Panowie nie są niczemu winni, wykonują jedynie swoją pracę. Nie mogę już... nie mogę... – i znowu zaczęła płakać.

Zaległa krępująca cisza. Senior wyszedł do kuchni, wrócił ze szklanką wody, dał żonie pić. Policjanci zwrócili uwagę na czułość, z jaką się do siebie odnosili. Jak pogłaskał chudą niby wyschłą gałązka migdałowca dłoń kobiety, gdy brała szklankę. Jak na nią patrzył. W takich chwilach... W takich chwilach Apostolu pragnie, by ziemia się otworzyła i go pochłonęła. Po co im szarpie nerwy, po co dręczy tych starych ludzi? Dlaczego nie da im spokoju? Ano, obowiązek, służba. Czy może postąpić inaczej?

Minęło trochę czasu. Nastroje opadły. Apostolu zaczął zadawać pytania. Jego głos był ciepły, ludzki. Starszankowie odpowiadali, w każdym razie powiedzieli to, co wiedzieli. „Romanós nie miał wrogów, z nikim nie był poróżniony. Jak to możliwe... W głowie się nie mieści...”. Nie, nie zauważyli niczego dziwnego, nie słyszeli, nic nie mówił o tych z trojki ani o tej kobiecie. Wyglądali na zaskoczonych, gdy w rozmowie padło nazwisko Kateriny Kosmá. Nie znali jej. Pierwszy raz o niej słyszą. Syn nie wspominał o związku. Trzymał to w tajemnicy? Dowiadujemy się od policji? Później matka Sergidisa, ni stąd, ni zowąd, mimo dramatycznych okoliczności, zaczęła się uśmiechać. Maglaras zerknął na Apostolu znacząco, ściągnął usta.

Pamięta... Wydawało się, że straciła kontakt z rzeczywistością, że marzy... albo śni zły sen. Pograżyła się w swoim świecie. Jakby wokół nie było nikogo i niczego. Pozwolili jej mówić, wysłuchali delirycznego monologu. Potrzebowała tego. Nie przerywali jej.

– Pamiętam... Chłopcy bawili się przy huśtawkach i zjeżdżalni. Na skwerze. Siedziałam na ławce i ich pilnowałam. Nagle zniknęli mi z oczu. Zająłem się na chwilę spisywaniem zakupów na kartce... Ile mogło mi zająć zapisanie pięciu rzeczy na krzyż? Podniosłam głowę, a ich nie ma. Wpadłam w panikę. Tyle się słyszało o porwaniach dzieci, więc... więc... Byłam przerażona. Myślałam, że zwariuję. Zaczęłam wołać. Nie było ich na

skwerku. Ani na drzewach. Ani na pobliskich ulicach! Biegałam jak szalona. Aż ich zobaczyłam... Boże jedyny, gdy ich zobaczyłam, krzyknęłam wniebogłosy, zaczęłam się okładać kułakami po piersiach w rozpacz, puściłam się pędem. „Nie ruszaj się! Zostań tam, gdzie jesteś! Nie ruszaj się!”. Romanós się jąkał. Był przestraszony. „Mówiłem mu, maaamo... Aaale... Aaale mnie nie słuuchał!”, powtarzał. Bawili się, bawili, opowiadał, aż tamten walnął go zniecka i czmychnął. Szybki był, kto by go dogonił. Cały Andonis, zawsze taki sam. Psotny i lekkomyślny. Nie do okiełznania. Nicpoń. Chwili spokojnie nie usiedział. Nikogo nie słuchał. Tak, wlażł na samą górę. Na pokryty dachówką dach walącego się domu przesiedleńców opodał skweru. Patrzył na mnie spod oka i uśmiechał się, łobuziak. Ironicznie, chytrze. Zamarłam. Boże mój, spadnie, połamię się, zabije! myślałam. „Nie ruszaj się, nie ruszaj!”, powtarzałam. Romanós zaczął płakać. „On się zaaabije...!”, szlochał. Rozejrzałam się. Chciałam lecieć po pomoc. A ten łobuziak, widząc, w jakim jestem stanie, jak wrzeszczę poczochna, jeszcze bardziej się popisowywał. Zaczął spacerować po krawędzi dachu. W pewnej chwili zachwiał się, omal nie stracił równowagi, omal nie spadł. Z pięciu albo i sześciu metrów! Krzyknęłam znowu. Nie zdążymy, nie zdążymy..., mruczałam do siebie.

Starsza pani umilkła na chwilę. Płakała cicho. Otarła łzy i ciągnęła dalej:

– Tak... I wtedy... Wtedy Romanós podbiegł, chwycił się rynny i zaczął się wspinać. Tak samo wszedł tam pewnie i Andonis. Jak mu się to udało? Czterech latek jeszcze nie miał. „Nie, nie...”, zdążyłam wykrztusić do Romanosa, ale on już był na górze. Złapał brata, tamten przywarł do jego pleców, objął go za szyję. I zaczęli schodzić jak małpy. Romanós sapał, a tamten swoje, uśmiechał się cwaniacko. Tylko że... w połowie drogi rynna nie wytrzymała... Nie wytrzymała... Pękła... Rozpadła się... Runęli obaj na ziemię. Blacha, pył, kawałki tynku i oni dwaj, wszystko pomieszane. Zabili się! Zabili! krzyczałam, biegnąc co tchu. A Andonis, smarkacz jeden, podniósł się i poleciał przed siebie ze złośliwym uśmiechem na ustach. Wiedział, że go lanie czeka. A Romanós... Romanós jęczał. Widziałam krew ciekącą z głowy, złamał nogę. Koniec, pomyślałam, straciłam dziecko. Byłam zrozpaczona. Na szczęście wyszedł z tego cało. Przybiegł sąsiad, wsadził go do samochodu i zawiózł do szpitala. Ty byłeś w pracy, na budowie, pamiętasz? – zwróciła się do małżonka. Kiwała smutno głową. – Cały miesiąc miał nogę w gipsie. Ale taki był Romanós. Zawsze biegł bratu na ratunek. Nawet gdy tamten

wdawał się w kłótnie i bójkę, rzucał się, żeby go wesprzeć i nieraz sam porządnie oberwał. Nawet wtedy... gdy Andonis zszedł na złą drogę... Z kim on się nie zadawał, na Eksarchię chodził, z bezbożnikami, anarchistami. A kiedy indziej...

Znowu zwróciła się do męża:

– Pamiętasz, jak nam przyprowadził tego starca, żebraka, żeby zjadł razem z nami przy stole?

– Uuuu, co ci się też przypomina, biedaczko? Było, minęło... – odpowiedział, oczy zaszklily się wilgocią.

– Wraciał w południe ze szkoły. Zobaczył tu, koło nas, żebraka, więc go zabrał i...

Apostolu dał znak Maglarasowi. Czas na nich. Podnieśli się z miejsc. Zostawili staruszków zbolących, milczących. Sergidis senior odprowadził policjantów do drzwi. Skinął głową na „dziękuję” inspektora. Apostolu ujął wyciągniętą do niego dłoń. Twardą, silną jak na ten wiek, sękatą.

Wrócili do komendy. Wkrótce potem Apostolu posłał Maglarasa na Zografu, żeby przepytał lokatorów w domu Sergidisa. Czy ktoś nie widział, nie słyszał czegoś podejrzanego. A sam udał się do Kateriny Kosmá, dawniej Karanikola. Może ona będzie wiedziała coś więcej.

97/D17

18 kwietnia 1870

Ateny to ładne miasto, szczególnie teraz, wiosną. Nie ma dużego ruchu. Jest natomiast otwarta przestrzeń. I ogromny plac z eleganckimi, dostojnymi rezydencjami. Wskazano mi jakieś góry w oddali i powiedziano: „Za tymi górami trzymają twojego syna”. Patrzyłam na nie przez całe popołudnie. Wydawało mi się, że chcą powiedzieć mi coś, czego nie mogłam usłyszeć. W przyszłym tygodniu Frederick kończy dwadzieścia trzy lata...

Lady Mary Vyner

98/A39

Kilka dni po wielkiej demonstracji w Atenach – i po śmierci trojga urzędników banku Marfin – Sergidis wszedł do sali wykładowej podminowany. Bez uśmiechu, nieogolony, z zaczerwienionymi oczyma. Postawił teczkę na katedrze, otworzył ją. Taśmą klejącą przytwierdził do tablicy wycięte z gazet powiększone fotografie ofiar. W kompletnej ciszy, która panowała w audytorium, słyszeliśmy odgłos jego nerwowych ruchów, szelest energicznie rozwijanego i urywanego skocza. Gdy skończył, ofiary uśmiechały się do nas beztrosko. Młoda kobieta w ciąży uśmiechała się najradośniej.

Sergidis stał chwilę pod fotografiami, rozglądał się po sali. Na ogolonej głowie odcinały się nabrzmiałe żyły. Na poważnej twarzy miał smutek i gniew.

Wstrzymaliśmy oddech. Czekaliśmy na wybuch, na burzę, czuliśmy, że się zbliża. I nadeszła. Błyskawice, grzmoty, pioruny. Zszedł z podium katedry, podszedł bliżej nas. Jego oczy sypały iskrami, usta zionęły ogniem. Tym razem zaczął odwrotnie. Od końca. Prawie wykrzyczał: „Zbójcy opuścili góry i zeszli do miast!”. Rozdał nam kserokopie tekstu i przeczytał tytułem wprowadzenia słowa herszta zbójckiego Mitsosa Lafazanisa z książki *Trzydzieści sześć dni uwięzienia i wspólnego życia ze zbójcami* autorstwa polityka Sotirisa Sotiropulosa. W roku 1866 Lafazanis i jego banda przetrzymywali przez trzydzieści sześć dni posła Trifuliasa, a następnie premiera Sotiropulosa. Sotirópulos oddał cały swój majątek, żeby wykupić się z niewoli. Właśnie do niego zwraca się Lafazanis słowami: „Czymże są nasze zbrodnie [...] wobec waszych? Niechby i każdy z nas zranił lub zabił człowieka bezdusznego, który nas ścigał i prześladował bezprawnie, wy jednakże, wy wywołaliście powstanie, zrzuciliście z tronu króla, uśmierciliście mrowie ludzi, sprowadziliście nieszczęście na niejedną rodzinę i obciążyliście naród długami tak wielkimi, że nigdy nie uda się ich spłacić. Uważacie się jednak za dobrych gospodarzy i cieszycie się wszelkimi dobrami, a nas tropiliście jak zwierzęta, oddziały gończe jadły nasze owce, niszczyły nasze domy, odzierały z czci siostry nasze, aż żeśmy się w zbójców przedzierzgnąć i w górach schronić musieli. Żeby szafotu uniknąć, żeby zginąć jak mężczyźni. Może nam powiesz, czemu nie ściga się obłudnych polityków? Azali są objęci amnestią? Prowincja zaznała wiele złego od wszechwładnych wielmożów, jednak nikt ich nie nęka, wielu jest nawet

posłami, a więzienia i szafot są tylko dla biednych i maluczkich. Dlatego my, póki życia starczy, będziemy was, polityków, prześladować”.

Nikommu Sergidis nie przepuścił, wszyscy dostali za swoje. Politycy, partie polityczne – wszystkie partie, „gniazda żmij”, jak je nazywał – bankierzy, gospodarcze tuzy, trojka. Krętacze. Szmaty. Dranie. Wszyscy, którzy ciemiężą Grecję. Sala wykładowa była jego azylem, jego królestwem. Tu był władcą niekwestionowanym, „królem gór”. I posunął się daleko. Dwie godziny płomiennej mowy, którą rozpoczął od smutku, by przez irytację i wściekły gniew dojść na koniec do rozwiązania i oczyszczenia jak w starożytnej tragedii. Nieprzerwana filipika przeciw wszystkim. Nienawiść. Nienawiść wobec tych, co toczą tkankę kraju jak robaki.

Mówił o Dimitriosie Wulgarisie, zwanym Szubą albo „mocarzem powstania”, albo panem *aste dua u* – po arwanicku⁸², a po naszymu „ja tak chcę”. O jego współpracy z hersztem Kiriakosem, o rozruchach czerwcowych 1863 roku, o jego partyjnym koledze Georgiosie Stawru, dyrektorze pierwszego w wolnej Grecji Banku Narodowego i jego niejasnej roli w walkach i w ucieczce herszta zbójców. Kiriakos, wyobraźcie sobie, dostał później od Wulgarisa honorową emeryturę jako rzekomy patriota. Wypłacano mu ją nawet po rzezi w Dílesi. Mówił o Skarlatosie Sutsosie i jego zażyłości ze zbójcami w czasach, gdy był ministrem wojskowości, gdy kraj funkcjonował pod butem Erskine’a. We włościach Sutsosa opodal Tatoi zbójcy często znajdowali schronienie. A zbój Spanós był wręcz jego protegowanym. Sutsos obiecał amnestię rozbójnikom z Akarnanii i gdy został ministrem, jako człowiek dotrzymujący słowa, spełnił przyrzeczenie. Żandarmi Koraseas i Pulos, którzy „zaniedbywali” swoje obowiązki i pozwalali Arwanitakisom działać bez przeszkód w Megarze, zostali nagrodzeni przeniesieniem do Attyki. Sutsosa nazywano powszechnie „komendantem zbójców”. Jego postęпки były tajemnicą poliszynelem, dlatego 23 kwietnia na pogrzebie żandarma Wasilakosa, ludzie krzykali: „Precz z Sutsosem!”. Zbójca Kiriakos Kapasis także dostał za swoje usługi emeryturę – od Kumundurosa, któremu pomógł dojść do władzy. Sergidis wspominał też o uprowadzeniu posła Filona w roku 1870 oraz o ataku na dom posła Wudurisa z udziałem sławnych band zbójceckich. Był przekonany, że kryli się za tym polityczni przeciwnicy ofiar. Powiedział wiele, obudził i inne upiory przeszłości. Przypomniał o wyborach w roku 1869, na krótko przed rzezią w Dílesi. Większość ówczesnych publikacji

w lokalnych gazetach donosiła o obecności zbójców, o groźbach i przemocy, których się dopuszczali, by wesprzeć swoich mocodawców.

Mówił o nieustannych amnestiach udzielanych zbójcom przez polityków – w roku 1843 i 1844, w latach 1848–1851, w roku 1854 – podczas wojny krymskiej – w ramach irredenty, dążeń narodowowyzwoleńczych. Sergidis przywołał powieści: *Tanos Wlekas*, *Król gór*, *Szalony pustelnik*. A potem wrócił do naszych czasów – do nadużyć, tajnych rachunków bankowych, nielegalnych zarobków, immunitetów, z których korzystają posłowie i ministrowie, do przedawniania wykroczeń i przestępstw.

Wygłaszając tę mowę, Sergidis pocił się z przejęcia, ale też od teatralnych gestów; w zamszowej marynarce był kompletnie mokry. Pot pryskał wokoło, zraszał podłogę i studenckie krzesła.

Zachęcał, żebyśmy szukali w internecie. „Sprawdźcie, skąd się wywodzą politycy z pierwszej linii, jakie są ich korzenie. Zróbcie to! Kim są? Kim są ci szarlatani? Powiem wam. Kryją się za każdym faktem historycznym. Kodzambaszowie – lokalni możnowładcy za tureckiej niewoli, obszarnicy, dziewiętnastowieczni partyjniacy obrastający w dobra, powiększający majątki, ryzykanci i awanturnicy, raz u boku jednego politycznego przywódcy, raz u boku innego, to po stronie jednego mocarstwa, to po stronie drugiego: Anglii, Francji, Rosji. Podejrzane są role odegrane przez nich w czasie „wyprawy małaazjatyckiej”, wojny grecko-tureckiej w 1919 roku. Bez skrupułów żerowali na patriotyzmie dla własnej korzyści, ku chwale ojczyzny – na scenie, przeciw ojczyźnie – za kulisami, bo ich prawdziwą ojczyzną zawsze były pieniądze. Raz zwolennicy demokracji, kiedy indziej znów, w międzywojniu – dyktatury; z największą łatwością zmieniali przynależność: od stronników Wenizelosa do stronników króla; za okupacji niemieckiej – kolaboranci, handlarze na czarnym rynku albo, w najlepszym razie, „neutralni”, trzymający się z boku. Zastraszanie, fałszerstwa, kolesiostwo, łapówkarstwo i tak dalej, i tak dalej. To oni tworzą historię współczesnej Grecji, oni się za nią kryją. Słyszeliście, by kiedykolwiek odnosili się do honoru, uczciwości, godności? Pewnie nigdy. Dlaczego? Dlatego, że słowa są jak zwierciadło. Kto je ma na ustach, ten staje twarzą w twarz z ich prawdziwym, najgłębszym znaczeniem, słowa kontrolują nasze sumienia. Poszukajcie informacji na ich temat, otwórzcie wreszcie oczy!”.

Przypomni ł nam o nieudolno ci polityk w, zapewne niejednokrotnie zamierzonej, o zdarzeniach zwykle ma o znanych i pozornie niewiele znaczących, kt re jednak sprowadzały na kraj kłopoty, o ca kowitym podporządkowaniu si  bezczelnym prowokacjom i groźbom zagranicy.

Do takich zdarze  należała sprawa Pacifico w kwietniu 1849 roku, gdy ateński motłoch, rozgniewany obowiązującym w tymże roku zakazem spalenia kukły Judasza w okresie wielkanocnym, spalił meble Davida Pacifico, obywatela brytyjskiego z Malty, Żyda z pochodzenia, konsula Portugalii i Gibraltaru, ryzykanta i kombinatora. Wielka Brytania zażądała odszkodowania w wysoko ci 888 736, 57 drachm. Tak, i pi ćdziesięciu siedmiu setnych! Po czasie uznano oficjalnie, że warto ć szk d nie przekroczyła 3500 drachm. Tymczasem jednak Wielka Brytania wróciła do tematu konfiskaty ziemi historyka Finlaya, na kt rej powstały Ogrody Kr lewskie, zwane dzi s Ogrodem Narodowym, i skorzystała z okazji, by ponownie zażądać wysp Elafonisi oraz Sapienza jako należących rzekomo do Zjednoczonych Kraj w Wysp Jońskich. „Sprzedajcie wyspy. Czy nie to samo m wi  nam dzisiaj?”. A w roku 1850 wysłała swoj  pirack  flotę, kt ra zablokowała Pireus i Korynt, wyspę Siros oraz Patras.

Sergidis odgrzebał sprawę Suliesa z 1863 roku zwi zaną z brutalnym potraktowaniem przez greckich żołnierzy Anny Engelberg, Francuzki austriackiego pochodzenia, tancerki w cyrku Suliesa, i wspomni ł o zawierających groźby notach dyplomatycznych ze strony Francji i Wielkiej Brytanii. Francuski okr t wojenny wpłyn ł w wczas do Pireusu z żądaniem odszkodowania.

Następnie, pomin wszy rzeź w D lesi, przeszedł do wydarze  w Lawrio w 1873 roku, to jest do przejęcia działającej tam firmy francusko-włoskiej przez Kopalnie Metali Lawrion Andreasa Singrosa. Nawiasem m wi c, tenże Singr s kupił dwa lata p źniej, a pi ć lat po rzezi w D lesi, ogromne posiadło ci ziemskie w Oroposie i Sik mino od Joanisa Paparigopulosa. Szum towarzyszący wspomnianemu przejęciu sprawił, że cena akcji podskoczyła z dwustu do trzystu dziesięciu, a potem do trzystu sze ćdziesięciu drachm. Politycy bowiem, kł c c si  mi dzy sob , wyrażaj c sprzeczne opinie i grubo przesadzone twierdzenia, że dzi ki kopalinom – dzisiejsza ropa naftowa czy gaz ziemny – moźna by spłacić nawet wielokrotno ć dłuǒw Grecji, pobudzali wyobraźnia ludzi o nadzwyczajnych zyskach. Rolę giełdy ateńskiej odgrywało w owym czasie kafenijo Pi kna Grecja. Kafenijo! Jeste  wielka, Hellado! Od samego

rana ściągały tam setki ludzi pragnących inwestować. Tam wchodzono w konszachty i uprawiano „wielką” politykę. Biedni i bogaci spieszyli kupować akcje, omamieni wizją bogactwa, które kryło się rzekomo w kopalniach rud w Lawrio. Jedni sprzedawali ziemię, inni brali pożyczki, aż w końcu, jako że po wzroście zawsze przychodzi spadek, tysiące ludzi potraciło majątki. Podobnie stało się za sprawą spekulantów na giełdzie ateńskiej w roku 1999.

Dalej Sergidis przeszedł do incydentu z angielskim chargé d'affaires, Nicolsonem. 4 czerwca 1885 roku pewien żandarm przepędził go w niegrzeczny sposób z Likabetu, ponieważ przechodzenie tamtędy było zabronione. Gdy Nicolson wyjawiał mu swoją tożsamość, tamten go uderzył. Tak przynajmniej utrzymywał angielski dyplomata. Poszkodowany wystarał się o surową karę dla funkcjonariusza, którą poniosła zresztą cała żandarmeria: stawiawszy się w zwartym szyku na placu Konstytucji, z całą pompą, oficjalnie prosiła o wybaczenie Koronę Brytyjską. Upokorzenia, upokorzenia, upokorzenia. Nic się nie zmieniło w tym kraju.

Na koniec Sergidis wspomniał o bankructwie państwa w 1893 roku, które to bankructwo, po sromotnej klęsce w wojnie z Turcją w roku 1897, doprowadziło do powołania, jakże bolesnego, międzynarodowego nadzoru nad finansami Grecji. Przedstawił fakty ukazujące podobieństwa z programami naprawczymi dla obecnego kryzysu, rolę światłych ekspertów naszych i obcych, wieczne niepowodzenia nękające nasz kraj. Zwrócił uwagę na skoordynowane działania ówczesnych wierzycieli – Anglików, Francuzów, Niemców – skierowane przeciw Grecji oraz na metody, jakimi szkalowano Grecję. Za zgranymi atakami kryli się greccy wielcy kapitaliści, tacy jak Andonios Wlastos, dyrygent tego chóru, oraz jego szef, bankier Andreas Singrós. Rząd ostatecznie podwinął ogon i wyznaczył bankierów, Stefana Streighta – dyrektora Banku Narodowego, oraz Singrosa do przeprowadzenia negocjacji z wierzycielami. „Czy to coś państwu przypomina?”. Tak oto bankierzy, nasi i zagraniczni, wynegocjowali, uzgodnili między sobą, co i w jaki sposób zagarną dla siebie. Kraj uległ szantażom, poddał się nadzorowi Międzynarodowej Komisji Finansowej i został ograbiony. „Trojka... przepraszam, Międzynarodowa Komisja Finansowa” składała się z przedstawicieli sześciu wielkich mocarstw. Kraj utracił na ich rzecz nie tylko znaczące zyski ekonomiczne, ale i suwerenność. Obcy przejęli monopol na sól, ropę naftową, zapałki, gry w karty, bibułki papierosowe, szmergiel naksyjski,

opłaty skarbowe, podatek od konsumpcji tytoniu i opłaty celne. Międzynarodowa Komisja Finansowa nadzorowała służby publiczne odpowiedzialne za ściąganie podatków i w jej gestii leżało zwalnianie, wyznaczanie, przenoszenie i awansowanie urzędników tych służb. Osiągnąwszy to wszystko, nadzorcy udzielili Grecji pożyczki na dwa i pół procent. „Czy to coś państwu przypomina?”

Tu Sergidis zrobił krótką pauzę, by podjąć temat z jeszcze większą werwą.

„Chcecie więcej? Kto skrycie wspiera, kto podsycy terroryzm od upadku dyktatury czarnych pułkowników w roku 1974 po dziś dzień? Uruchomcie szare komórki. Partyjne tuzy od skrajnej lewicy po skrajną prawicę i obce służby wywiadowcze. Spójrzmy po kolei. Wúlgaris i Sutsos to dzisiejsi partyjni przywódcy X i Y”. Wymienił ich nazwiska i przykleił ich fotografie obok fotografii ofiar manifestacji. „Georgios Stawru, Antonios Wlastos i Andreas Singrós, którzy byli skądinąd hojnymi dobroczyńcami, fundatorami obiektów publicznych, to dzisiaj ten i ten bankier, ten i ten rekin finansowy”. Wymienił nazwiska. „Międzynarodowa Komisja Finansowa to naturalnie dzisiejsza trojka i jej przedstawiciele”. Wymienił nazwiska. I powiesił fotografie. „Dzisiejsi Pacifico i Nicolson to wszyscy ci dranie w garniturach i krawatach, zbójcka gromada, którzy ściągają do nas jak na letnisko, nakładają haracze i mnożą żądania. To oni odpowiadają za śmierć tych niewinnych ludzi”, ciągnął, wskazując fotografie ofiar z banku Marfin. „Oni odpowiadają za bezdomność, nędzę i głód. Oni są prawdziwymi zbójcami, hersztami i arcyhersztami, którzy sięgają do kieszeni ludu i okradają go bez cienia wstydu. Dziewiętnastowieczni zbójcy mieli przynajmniej kodeks moralny, kodeks zachowania. Ich słowo się liczyło. Chronili sieroty i panny na wydaniu. Mieli zasady. Ci nie mają zasad. Ani żadnej świętości. Ani skrupułów.

Chcą zrobić z Grecji obóz taniej siły roboczej, *Lager*, nawet bez minimalnego wynagrodzenia. *Arbeit macht frei!* Praca czyni wolnym. Taki był napis nad wejściem do Auschwitz, najbardziej nieludzkiego obozu zagłady w dziejach człowieczeństwa. I nie mają żadnych moralnych hamulców. W październiku 1943 roku Himmler zakończył swoje przemówienie o konieczności eksterminacji Żydów słowami: »Możemy powiedzieć, że wypełniliśmy to niezwykle trudne zadanie z miłości do naszego narodu. Nie wyrządzając przy tym szkody naszemu wnętrzu, naszej duszy i charakterowi«. A esesman Robert Juhrs oświadczył

w zeznaniach po zakończeniu wojny, że wykonując egzekucje własną bronią, także na kobietach i dzieciach, zabijał z litości. »Zawsze mierzyłem w głowę, by umarli natychmiast. Z całą pewnością mogę stwierdzić, że nikt nie cierpiał«. Dzisiaj broń jest niepotrzebna. Znalezione skuteczniejsze metody. A więc przejrzyjcie na oczy!».

Tak zakończył żarliwą mowę Sergidis. W sali zaległa cisza, ale mieliśmy wrażenie, że jego głos grzmi nadal, że od jego wibracji drżą szyby, brzęczą ściany. Czyjś długopis upadł na podłogę, ktoś zaciągnął suwak torby. Ten spektakl, to dramatyczne przedstawienie, ta bezlitosna kanonada Sergidisa były ponad nasze siły. Poraziły nas. Niektórzy całkiem się rozkleili. Widziałem dwie dziewczyny, które zakryły twarz dłońmi i płakały.

Sergidis odwrócił się do nas plecami, chwycił teczkę i zamierzał wyjść. Gdy już otwierał drzwi, kątem oka dostrzegł rękę wyciągającą się nieśmiało do góry.

– Proszę, słucham panią! – pozwolił jej mówić.

– Panie profesorze, dlaczego pan to mówi tylko nam? Dlaczego nie powie pan tego publicznie, wszystkim ludziom? Powinien pan to powiedzieć wszystkim.

Sergidis zamrugał powiekami. Jakby dochodził do siebie, jakby wracał na ziemię z innego świata, jakby się budził ze złego snu. Napięte mięśnie rozluźniły się. Opuścił ramiona. Patrzył na nią przez chwilę. Uśmiechnął się. Na jego twarzy nie było już gniewu.

– Ma pani rację – odpowiedział. – Ma pani rację. Może i tak zrobię.

[82](#) Arwanicy – nieliczna (50–150 tys.) grupa ludności dwujęzycznej, poza greckim posługującej się dialektem języka albańskiego (toskijskiego); wyznawcy prawosławia. Nieidentyfikujący się obecnie z Albanią. Ich przodkowie przybyli na tereny greckie w późnym średniowieczu.

99/C20

Aspirant D. Maglaras zobaczył tłum zgromadzony przed wejściem do urzędu miasta. Robotnicy zmierzający wczesnym rankiem do pracy, którzy przystanęli, żeby popatrzeć i posłuchać. Obiboki. Żebracy. Narkomani. Gawiedź wszelkiej maści. Wierzyć się nie chce, że ludzie lgną do nieszczęścia jak ćmy do światła. Maglaras westchnął zniechęcony. Podszedł do nieboraka, który skręcał się z bólu na płytach chodnika. Za nim kroczył szeregowy Wasilis Argiros. Gdzieś przy placu Zgody wyła rozpaczliwie syrena ambulansu. Pewnie zaraz tu dotrze. „Karetka już jedzie. Cierpliwości”, powiedział do zranionego nożem mężczyzny ochroniarz z urzędu miasta, pochylając się nad nim.

„Proszę się odsunąć!”, wołał gniewnie Maglaras do zgromadzonych. „Odsunąć się!”. Gwałtowne, teatralne gesty, skośne zmarszczki przy oczach. Jakby chciał powiedzieć: „Ja tu rządzę!”, jakby chciał wyraźnie podkreślić swoją władzę, „Ja tu rządzę!”. Rozciągnął wokół rannego pomarańczową policyjną taśmę, wyznaczył sobie przestrzeń życiową, tak jak zwierzęta w dżungli znaczą zapachem i wydzielinami terytorium swego niekwestionowanego władania. Rozejrzał się w poszukiwaniu dowodów. Wyjął notes. Zapisał coś. Leżący znowu zaczął jęczeć. Wokoło kałuża krwi płynącej z otwartej rany. Aspirant odwrócił się i spojrzał na niego. „Co tu zaszło? Co się stało, chłopie?”, spytał, chyląc ku niemu swoją jaszczurczą głowę. Tamten zabełkotał. Niezrozumiale, sylaby bez sensu. „Że co? Co powiedział?”, zastanawiał się Maglaras, zerkając na Argirosa i na ochroniarza z urzędu. Nie wiedzieli. Wydęli usta.

Zabrzmiał czyjś głos. Aspirant przebiegł tłum spojrzeniem. „Co?”. Ktoś odkrzyknął głośnie. Że był blisko. O dziesięć euro poszło. Jeden wyjął nóż, ugodził drugiego i uciekł w stronę Eola. Ale Maglaras nie zwracał na niego uwagi. Utkwił wzrok w postaci wyróżniającej się z tłumem. Wspiął się na palce, żeby lepiej widzieć, i patrzył uważnie. Do twarzy pamięć ma dobrą. A teraz jakby widział przed sobą fotografię poszukiwanego Vladimirescu. „Niech to...”, wymamrotał. Nie słuchał zeznań naocznego świadka. Kto by się przejmował nożownikami. Co tam, jednego łobuza mniej. Ruszył, nie tracąc czasu. Vladimirescu zrozumiał, zgłupiał. Wykrzywił usta. Maglaras zbliżył się do niego na odległość pięciu metrów. Wyciągnął pistolet. Ludzie zaczęli krzyczeć. Jedni się pochylali, większość pierzchała w panice, chcąc ratować skórę. Vladimirescu puścił się biegiem. Na jego ramieniu aspirant dostrzegł smoka pożerającego własny ogon.

To on, bez cienia wątpliwości. „Zostań tutaj”, rozkazał Argirosowi. „To Vladimirescu!”.

Vladimirescu biegł ulicą Ateny, skręcił w Kratinosa. Maglaras za nim. „Stać... Policja! Stać... Policja!”, wołał, lecz poszukiwany rwał do przodu, ani myślał się zatrzymać. Policjant wciąż mierzył do niego z pistoletu, ociągał się jednak ze strzałem. Chodnikiem szli ludzie, jezdnią jechały samochody. W wolnej ręce trzymał komórkę i rozmawiał z Apostolu. Prosił o posiłki. Podał pozycję. Vladimirescu z ulicy Klejstenesa skręcił w Iktinosa, w Sokratesa, a potem w stronę Panagisa Tsaldarisa. Maglaras zasapał się. Tracił siły. Nie był już młodzikiem. Skończył pięćdziesiątkę, wiek robi swoje. Ale biegł dalej, nie odpuści tak łatwo. Był uparty. Miał uciekającego w zasięgu wzroku. Dzieliło ich trzydzieści, czterdzieści metrów. Niemniej z każdą sekundą odległość się powiększała. Vladimirescu co pewien czas odwracał głowę i zerkał na niego. Maglaras widział wielkie wytrzeszczone oczy. Wkrótce ozwały się rozszalałe syreny radiowozów.

Zgubił go gdzieś przy Anaksagorasa. Oparł się o ścianę budynku i zaczął kasłać. Zgiął się w pół. Walczył o haust tlenu. Nie dawał rady. Gdy wreszcie udało mu się złapać oddech, zaczął rozpytywać przechodniów, głównie cudzoziemców, ciemnoskórych, czy widzieli biegnącego. W czerwonej koszulce z krótkim rękawem, z czarnymi włosami i smokiem na ramieniu. „Nie...”, nikogo nie widzieli. Vladimirescu zniknął. Gdzie on się, u diabła, podział? Aspirant zaklął. Jak szewc. Zadzwoił do Apostolu. Niech przyśle ludzi, niech obstawią Anaksagorasa. Gdzieś tam się zaszył. Wkrótce nadjechały radiowozy. Policjanci rozbiegli się po okolicznych ulicach. Niczym psy myśliwskie usiłowali wytropić uciekiniera. Ale Vladimirescu nigdzie nie było.

100/A40

Nie złożyłem tamtej pracy. Ani nie poszedłem na egzamin do Sergidisa. Czym innym byłem zajęty. Badanie źródeł archiwalnych, które mi podał, przeciągało się. Miał rację. To temat na pracę podyplomową, na doktorat. Próbowałem złapać go w gabinecie ze dwa, trzy razy i się wytłumaczyć. Nigdy go nie było. Potem miał urlop naukowy, wyjechał. Badać archiwa w związku z książką, którą zamierzał napisać. Coś takiego dała mi do zrozumienia sekretarka w Instytucie Historii.

Później widziałem go parę razy wchodzącego po schodach na uczelni. Ale nie odważyłem się podejść i z nim porozmawiać. Minęło już tyle czasu. Widziałem go też kiedyś w restauracji w Tezejonie, wtedy gdy przemyślałem nad swoim planem. W drodze na spotkanie z Rubini. Przy Monastiraki. Dotarłem na miejsce wcześniej i postanowiłem trochę pospacerować. Dobrze mi zrobi, myślałem. Oczyszczę umysł, wyrzucę z głowy toksyczne myśli. I zobaczyłem go w restauracji, za szybą, z kobietą, która siedziała naprzeciw niego. Robiła wrażenie. On pił wino, podnosił kieliszek do ust. Ona pochyliła się ku niemu, wyciągnęła rękę i zaczęła gładzić jego dłoń. Zdawało mi się, że już ją gdzieś widziałem. Cały wieczór łamałem sobie głowę. Nie pierwszy zresztą raz. Zdarzało się, że jakaś piosenka, czyjaś twarz, przyczepiała się do mnie, a ja zadreślałem się potem godzinami, chcąc sobie przypomnieć.

– O czym myślisz? Jesteś dziś roztargniony, kochanku doskonały – powiedziała Rubini.

I wtedy nagle mi się przypomniało. Tak, to kobieta z Archiwum Historycznego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. To ona położyła przede mną teczkę z materiałami o rzezi w Dílesi. To ona.

– O niczym – odpowiedziałem. – O pewnej twarzy, którą niedawno widziałem i próbuję sobie przypomnieć, skąd ją znam.

– Kobieta czy mężczyzna?

– Że co?

– Kobieta czy mężczyzna?

– Kobieta.

Rubini wtuliła się we mnie.

– Nie wiem, co zrobić, żebyś sobie przypomniął. Ale wiem, co zrobić, żebyś o niej zapomniał, kochanku doskonały – wyszeptała podstępnie.

– Mianowicie? – spytałem, kusząc los.

– Zawieziesz mnie staruszką aprilią pod dom. Zaczekasz pięć minut, po czym wejdiesz na górę i zadzwonisz do mojego apartamentu, numer 303. I kto wie... Może będzie czekała na ciebie jakaś pokojówka... – powiedziała z właściwą sobie lubieżnością, kokieteryjnie.

– Zgoda – odparłem pospiesznie.

Pojechaliśmy.

Tak, wtedy ostatni raz widziałem Sergidisa. Spokojnego, uśmiechniętego, w romantycznym nastroju. Innego niż ten, którego znałem.

W tydzień po zabójstwie przedstawiciele trojki natknąłem się na jego artykuł w jednej z porannych gazet. Tytuł idealnie pasował do temperamentu autora, wiernie odpowiadał jego wizerunkowi i postawie w sali wykładowej. *Polityka/cy, zbójstwo i terroryzm.*

A niżej: *Herszcie Jagulasie, zbójcy opuścili góry i zeszli do miast.*

Płomienny tekst na całą szpalnę. Rozszyfrowywał w nim notatkę, którą zostawiłem na lustrze w hotelu. Wyjaśniał jej znaczenie. Treść notatki gazeta opublikowała poprzedniego dnia, pisząc przy okazji o rozmaitych przypuszczeniach, informacjach policji. Że to niby albańscy przestępcy – bo albańskie wyrażenie; albo organizacja skrajnie prawicowa, zapewne Złoty Świt – stąd data 21 kwietnia. Albo oburzeni na Georgiosa Papandreu. Policja badała, czy w ostatnim okresie zdarzały się groźby pod adresem byłego premiera. Sergidis dowodził mylności tych przypuszczeń. Nazywał je „bzdurami”. Bodaj każde słowo przywodziło mi na pamięć jego głos i wygląd, teatralne gesty, wyreżyserowane pozy. Jakbym go widział na wykładzie, gdy daje swoje przedstawienie.

Wyjaśniał, że data dokonania mordu, 21 kwietnia 2013, odpowiadała – zgodnie z kalendarzem gregoriańskim – dacie rzezi w Dílesi sprzed stu czterdziestu trzech lat, to jest Wielkiemu Czwartkowi 21 kwietnia 1870 roku. Utrzymywał, że był to świadomy wybór, za czym przemawiają niezbitnie takie elementy, jak: słowa z tekstu poetyckiego Embirikosa odnoszące się do pojmania i zabicia lordów: „»Stać!« Co strach wielki siało w duszach podróżników” (przytoczył cały długachny fragment), cztery morderstwa – czterech lordów zabili zbójcy – oraz odcięcie głów. Odcinanie głów, pisał dalej, było praktyką często stosowaną zarówno przez rozbójników, jak i przez oddziały, które ich ścigały. W przypadku rzezi w Dílesi żandarmi obcięli głowy zbójcom i wystawili je na widok publiczny na Polu Aresa. A później, po procesie, schwytani zbójcy zostali ścięci publicznie w tymże miejscu na starej gilotynie króla Ottona. Podobnie

mordercy przedstawiciele trojki ustawili głowy ofiar na widocznym miejscu niczym trofea. Wzmianka o „pierwszej zasadzie” to nawiązanie do pierwszego prawa zbójckiego: „Ścigać i likwidować swoich prześladowców”. W tym przypadku nie chodzi o zemstę osobistą. Przedstawiciele trojki z pewnością nie prześladowali żadnego konkretnego człowieka czy konkretnych ludzi, lecz wszystkich bez wyjątku, cały naród.

Wyjaśniał znaczenie arwanickiego wyrażenia *aste dua u*, które przypisuje się Wulgarisowi i które znaczy „ja tak chcę”. Pisał o Wulgarisie, o Szubie, który wywołał wypadki czerwcowe w 1863 roku, oraz wskazał, że wyrażenie „klefci zrobili swoje w górach i zeszli do miast” pochodziło od herszta Jagulasa i miało zwrócić uwagę na zмовę polityków z finansjerą, na samowolę, nadużycia i złodziejstwo, które doprowadziły kraj do obecnego stanu, do upadku, do dotkliwych warunków unijnej pomocy, a zdaniem niektórych wręcz do „obcej okupacji”. Podpis „Jorgakisa dzieło!” nie odnosi się naturalnie do imienia mordercy, ani do Georgiosa Papandreu, lecz do króla Jerzego I⁸³.

Bo Jorgakisem nazywał króla pogardliwie zbójca nad zbójcami Takos Arwanitakis. Podobne widomości, bileciki, zbójcy zwykli byli wysyłać do swoich ofiar. Chociaż całą resztę Sergidis rozszyfrował prawidłowo – z wyjątkiem czterech zabójstw, bo liczba ta była zupełnie przypadkowa – tu jednak był w błędzie. Skąd miał znać moją rodzinną historię? Jorgakis to mój przodek Drakos. Tym zdrobnieniem nazywała go matka. Tak się do niego zwracała, gdy wyjeżdżał – uciekał – z Kierinii do Grecji. Tak samo nazywała też mojego ojca jego matka. Jorgakis. Skąd miał wiedzieć, że to była pośmiertna zemsta mojego ojca.

Następnie Sergidis przedstawił pokrótce główne fakty z rzezi w Dílesi, skupiając się na roli greckich polityków i ich powiązań ze zbójcami oraz na haniebnym zachowaniu Erskine’a. Wyjaśniał, że Erskine działał na szkodę Grecji, ówczesnego rządu, premiera i ministrów, dokładnie tak jak dzisiaj przedstawiciele trojki.

Ale nie na tym koniec. Pisał o sprawie Pacifico, Suliesa i Nicolsona, o nieustannym upokarzaniu naszego kraju. A także o pojmaniu francuskiego oficera Biernaux przez bandę Dawelisa w 1855 roku, w czasach okupacji angielsko-francuskiej. Jego zdaniem był to jedyny akt oporu w tamtym okresie, nawet jeśli zbójcy żądali okupu za jego uwolnienie. I to w chwili, gdy politycy bez gadania poddali kraj obcym. Odniósł się do wydarzeń w Lawrio w 1873 roku i do Międzynarodowej Komisji Finansowej

powołanej w 1897 roku, by przejść wreszcie do współczesnych polityków i bankierów (wymienił ich z nazwiska, jednakże gazeta dała w tym miejscu gwiazdkę, a w odnośniku napisała, że nazwiska zostały usunięte ze zrozumiałych względów), i opisać zwięźle ich mroczną rolę w tragedii, będącej dziś udziałem narodu greckiego. Powiązał bankowców greckich i cypryjskich – nazwał ich „naczyniami połączonymi”, bo prowadzili działalność w obu krajach (chcivość nie zna granic, także geograficznych), wobec czego ekonomiczna zapaść Grecji pociągnęła za sobą zapaść Cypru, a upadek giełdy ateńskiej w 1999 roku stał się przyczyną upadku giełdy cypryjskiej – z panami Stawru, Wlastosem i Singrosem. Jeśli chodzi o polityków, imputował im układy z terroryzmem – od upadku dyktatury w 1974 roku po dziś dzień – i charakteryzował ich słowami: krętacze, służalcy, kolaboranci ulegający szantażom i warunkom stawianym przez trojkę bez próby walki, choćby dla zachowania twarzy. Pisał o partiach i fanatycznych partyjniakach, gniazdach os i żmij, o towarzystwach wzajemnej adoracji, klikach-tselingatach, o kumoterstwie, okupach i łupach, o tych, co przyjmują w darze rzeczy pochodzące z rabunku, o hersztach, arcyhersztach i ich pierwszych zuchach. A także o kodeksie moralnym, o „prawach” i honorze, które mieli zbójcy z gór w przeciwieństwie do współczesnych wilków w owczej skórze, zbójców z miast.

Na koniec Sergidis zacytował fragment tekstu anonimowego Anglika, tekstu opublikowanego 23 kwietnia 1870 roku w londyńskim „Timesie”. Na krótko przed pojmaniem lordów w Pikiermi zbójcy zaatakowali grupę angielskich turystów i zabrali im portfele, zegarki oraz pierścionki. Erskine stawał na głowie, a minister wojskowości Skarlatos Sutsos aż dostał zadyszki, spiesząc mu z pomocą. Poruszył niebo i ziemię. Odnalazł rabusiów i przekazał zagrabione mienie Erskine’owi. Erskine znał ojca jednego ze zbójców i wezwał czcigodnego starca w fustaneli – niech się potrudzi i stawi przed nim natychmiast. Co miał począć starowina, stawiał się, po czym plasnawszy w dłonie, rzekł smutno: „Czyżem mu, Ekscelencjo, nie radził po wielekroć, żeby się od polityki trzymał z dala?”. Ten sam anonimowy autor artykułu powiada dalej: „Pokazano mi dwóch cieszących się złą sławą zbójów na ulicach Aten. Spytałem przyjaciela, dlaczego ich nie ujmą i nie powieszają co prędzej. »Zbójców wieszać?«, wykrzyknął tamten. »Najpierw trzeba by się połowy parlamentu pozbyć«”.

Tak, Sergidis przypuścił atak frontalny. Tym razem opuścił katedrę i salę wykładową. Swój azyl. Wyszedł ze skorupy. Wichrzyciel. Król był nagi.

[83](#) Greckie imię króla brzmiało Georgios. Potoczna forma tego imienia to „Jorgos”, zdrobnienie zaś „Jorgakis”.

101/E10

Teczka „Samobójstwa”, wycinek numer 14

Bezrobotny z Agrinio podjął próbę samobójczą w kościele w czasie sobotniej wieczerni.

Agrinio, 27 października 2012 roku

Sobotnia wieczernia. Dzień Świętego Demetriusza. Psalmista czyta Psalm 104. „Mrok sprowadzasz i noc nastaje, w niej krąży wszelki zwierz leśny”. Kapłan znajduje się w prezbiterium, za ikonostasem. Pachnie olibanum. Słychać dzwoneczki kadzielnicy. Dym unosi się wysoko. Kilkoro starszych ludzi siedzi w stasydionach. Patrzą znużeni, senni, na Pantokratora w kopule, na ikonę Matki Boskiej z Dzieciątkiem na kolanach. Na niewzruszony Boski porządek.

W tejże chwili do kościoła wbiega mężczyzna, krzycząc wniebogłosy. Psalm urwany w połowie, głos psalmisty cichnie. „Lwiątko ryczą za...” tyle zdążył wypowiedzieć psała, nim zastygł, nim spojrzał przez grube soczewki okularów na mężczyznę. Rozpoznaje go. Często przychodzi do parafialnej jadłodajni. Umilkły dzwonki kadzidła. Kapłan ukazuje się w Świętych Wrotach, zdumiony. Staruszkowie nieruchomieją z przerażenia, uczipieni kurczowo stasydionów.

Mężczyzna trzyma w ręce papier, macha nim wte i wewte. Woła, że to zawiadomienie z urzędu skarbowego, że minął termin spłaty długu. Płacze. Poszedł wczoraj w południe do urzędu, lecz nie chcieli z nim gadać. Powiadomili go pisemnie: Za roczne opóźnienie w spłacie dostanie karę w wysokości dwudziestu procent zadłużenia. Za dwuletnie – trzydzieści procent plus odsetki. Jak sobie poradzi? Bezrobotny, z trójką dzieci. Co robić...? Jest w rozpacz.

Grozi, że targnie się na swoje życie. Staruszkowie i psalmista truchleją. Kapłan daje dwa kroki do przodu. „Uspokój się, synu. Znajdzie się rozwiązanie”, mówi, próbując go ułagodzić. Tamten wciąż krzyczy i płacze. Odchodzi od zmysłów. „Uspokój się, synu”.

A potem, zdesperowany, wsuwa rękę do kieszeni, wyjmując garść pigułek. Nim mu zdążą przeszkodzić, wkłada je do ust i łyka. „Nie chcę dłużej żyć”, szepcze, osuwa się na ziemię.

Ktoś powiadamia policję, przyjeżdża pogotowie, biorą go do szpitala.
Na szczęście zdążyli. Wieczernia trwa nadal.

Psalmista recytuje: „Lwiątko ryczą za łupem, domagają się żeru od Boga.
Gdy słońce wzejdzie, wracają i kładą się w swych legowiskach”.

102/D18

Wysłannicy rządu krążyli nieustannie tam i z powrotem. A wyjścia nie znajdowano. Sprawa się pogmatwała. Takos upierał się przy amnestii i okupie. Trzydzieści dwa tysiące funtów angielskich. Ani grosza mniej. Chciał dostać pieniądze i popłynąć na Maltę angielskim statkiem Cockatrice, jakkolwiek drwił początkowo z tych propozycji i śmiejąc się w głos, nazywał je „baśniami Szeherezady”. A potem, gdy szum wokół sprawy ucichnie, dzięki pomocy kumów wróciłby amnestionowany i wyszedł między ludzi, porzuciłby góry i lasy. Zmęczyły go lata spędzone na odludziu. Dosyć miał ciągłego przeganiania z miejsca na miejsce. Tego bycia wszędzie i nigdzie. Spania na twardej gołej ziemi. Amnestii chciał również dla swoich druhów pojmanych w minionych miesiącach, którzy gnili w więzieniach. Nie mógł ich przecież porzucić. Jakim byłby kapetanem? Okup i to, co zdołał zebrać przez lata, wystarczy, by „przejsć na emeryturę”, urządzić się gdzieś i żyć wygodnie przez resztę swoich dni. Przenieśliby się z jego Despo, z Elasony do Aten. Bo dlaczegoż by nie do Aten, pomiędzy ludzi? Wiedliby szczęśliwy żywot. Czego miał się obawiać? Czyżby ci obłudni politycy tam, w Atenach, mniej mieli na sumieniu? A bo to jacy święci? Poza tym miał między nimi przyjaciół. Wsparliby go. Pamięta Ateny w 1863, w czasie zamieszek. Eleganckie budynki, ulice, kafenija, place, mężczyźni towarzyszący spacerującym damom. Tak, podobało mu się.

Teagienis próbował zagrać mu na ambicji. „Pomyślcie o kraju. Naskoczą na nas wszystkie siły, świat cały”. „Tym gorzej dla was. Na waszą głowę naskoczą”, odpowiadał cynicznie Takos i żądał amnestii. „Kończmy już”. Teagienis był nieugięty. „Rząd nie wyda amnestii. Zabrania tego konstytucja!”, powtarzał Takosowi. A Takos tracił cierpliwość. „A kto niby tworzy konstytucję?”. „Naród!”, odpowiadał Teagienis. „To niech naród zmieni konstytucję! Kto buduje, może i burzyć. Bo inaczej zarżnę całą czwórkę jak barany!”, krzyczał Takos. „Król się nie zgodzi. Na własne uszy słyszałem. Jest zdecydowany”, obstawał przy swoim Teagienis. „Żeby uzyskać amnestię, najpierw musicie być skazani przez sąd”. „To niech przyjdzie tutaj, do nas, sędzia i niech nas skaże, a król niech nas ułaskawi”, odparował Takos. „Nie uczyni tego!”, Teagienis był kategoryczny. A kiedy Takos pogardliwie nazwał króla „Jorgakisem”, Teagienis zirytował się. Zerwał negocjacje i odjechał. Twardy był. „Nie pójdzie im ze mną tak łatwo”, mówił sobie w myślach, nie zważając, że miał w tej bandzie kuma.

W młodości uczestniczył w oblężeniu Akropolu, prawa ręka generała Richarda Churcha, i był zaangażowany w negocjacje o poddanie miasta. Wiele doświadczył i widział wiele. Hartował się w powstańczym żywiole, ogniem i mieczem. A teraz tutaj, co? Garstka zbójców miałaby go przechytrzyć? A cóż to on? Chorągiewka na wietrze? Ale i Takos znał dobrze tych żołdaków. W 1867 wziął udział w spotkaniu, które zwołał Kumunduros ze zbójcami, z powodu powstania na Krecie. Tak, walczył, był nawet lekko ranny. I przez pewien czas służył jako przewodnik oddziałów żandarmerii.

Erskine i Muncaster wyprawiali posłańców z zaopatrzeniem – żywność, kapy⁸⁴ – i z listami. To służącego de Boyle’a, Roellę, to znów służącego Herberta, Dionisiosa, albo służącego Vynera, Niemca Gleissnera. „Jest szansa na posłańca? Jeśli tak, prześlij mi Biblię!”, napisał do Muncastera w Wielką Środę 20 kwietnia Vynera. Dzień przed rzezią. Gleissner mówił, że strzeżono ich surowo, ale mogli się myć, mieli wiadro, byli uczesani i zadbani, czyści.

Takos, niby jaki władca udzielny, rozsyłał na prawo i lewo bileciki – przez pasterza Kostę Seliamisa, swego łącznika z ministrem Sutsossem. Do ambasadorów mocarstw, do rządu, do pewnego ateńskiego adwokata, z pytaniem o amnestię. Wszędzie. Polecenia i wiadomości, których nie nadążał spisywać jego sekretarz, niejaki Tomás. I sam otrzymał dwa ważne listy. Jeden od swojego kuma, który pisał, żeby nalegał na amnestię. Zaimis prędzej czy później będzie musiał wyświadczyć mu tę przysługę. „Bo co innego może zrobić?”.

Napisał też do Takosa ambasador Anglii. Ręczył za życie zbójców. Rząd grecki go usłucha. „Nie będzie trudności z zapłatą”, informował, „ale nie powinniście nalegać na amnestię, której rząd nie ma prawa udzielić. Rozmawiałem z ministrami, rozmawiałem i z królem. Nie musisz się niczego obawiać, nikt cię nie tknie, byle życie zakładników było bezpieczne”.

Erskine powiadamiał Takosa, że dyrektor Banku Narodowego ma okup przygotowany, dziesięć tysięcy złotych angielskich funtów złożone w dwóch skrzyniach. Powiadamiał go również, że wysyła do niego Franka Noela, swojego człowieka, zaufanego, właściciela majątku Ahmét Agá na Eubei, powinowatego lorda Byrona. On będzie negocjował z ramienia ambasady, żeby sytuację rozwiązać. Równoległe rozmowy, bez udziału rządu. Takos dobrze znał Noela. Dwóch jego braci pracowało w majątku

Noela jako nadzorcy. Byli nawet kumami. Jednemu Noel świadkował, drugiemu podawał do chrztu dziecko. Na krótko przed pojmaniem zakładników, podczas przyjęcia, które wydał Erskine, Frank Noel wprowadził w osłupienie współbiesiadników. „Nie ma lepszych ludzi od nich”, powiedział o zbójcach. Tak, dostał już nauczkę w 1855 roku, gdy Kokowinas ze swoją hordą pojawił się w Ahmét Agá. Zbójcecki herszt walczył o wyzwolenie Tesalii, obowiązek patriotyczny spełnił, uznał więc, że czas wrócić do zbójckiego życia i odebrać zapłatę za... wykonane dzieło. Pięć godzin ich więzili – Franka Noela, wówczas dziecko jeszcze, jego ojca Edwarda i siostrę Irene. Na ich oczach zarżnęli jednego wieśniaka, rozbili głowę drugiemu i wrzącą oliwą torturowali trzeciego. Żądali, by im ujawnić, gdzie ukryte są skarby. Ograbili ich doszczętnie, zniszczyli wszystko i poszli sobie. „Po co pracować i trudzić się w tym kraju, który chyba sam Bóg przeklął?”, napisał później do Finlaya Noel senior. Szesnastoletnia Irene nie wytrzymała szoku psychicznego. Leczyła się w szpitalu w Pireusie, pochowana została w Atenach na cmentarzu protestanckim. Frank nigdy nie zapomniał strasznych twarzy zbójców, gdy tańcowali i z zaciekawieniem przyglądali się swoim zdziczałym gębom w lustrach domu. Zrozumiał, że trzeba być w dobrych stosunkach ze zbójcami. Bo inaczej...

Erskine ufał Noelowi. I ten przybył do Oroposu zgodnie ze wskazówkami, które od Erskine'a otrzymał. Takos zorganizował mu nocleg. Noel spędził tam jedną deszczową noc. Lało jak z cebra. Przywiózł ze sobą kuma, brata Takosa, Jorgisa. Arwanitakisowie ucieszyli się. Od dawna się nie widzieli. Pogadali z Noelem, pojawiła się nadzieja. Takos odzyskał werwę i był zdecydowany doprowadzić sprawę do końca. Przemieścił swoją bandę i zakładników do Sikámino, mimo ostrzeżeń Teagienisa. Rozgościł się u naczelnika, Tsewelekosa, w domu dwupiętrowym, z kamienia. I czekał na powrót Teagienisa. Wiedział, że łatwo zdania nie zmieni – Teagienis był zbyt uparty, by się poddać. Ale choćby i nie chciał, siłą go do Takosa wysłał jego mocodawcy. Nie mogło być inaczej. Tak Takos uważał.

84 Kapa – ludowe grube i ciepłe okrycie wierzchnie, rodzaj peleryny, z wełny owczej lub koziej, noszone głównie przez pasterzy.

103/A41

Tęsknię do niej z każdym dniem coraz bardziej. Potrzebuję jej. Zastanawiam się, jak mogła zniknąć tak nagle. Z drugiej strony jestem na nią wściekły. Bo co to wszystko znaczy? Dlaczego mnie opuściła? Czy nigdy mnie nie kochała? Czy to, co przeżyliśmy razem, było kłamstwem? Fałszywe były jej pocałunki, uczucia? Co z pieszczotami, dotykami, erotycznymi zbliżeniami? Ot, zniknęły? Ja wciąż nimi żyję. Zapisywały się warstwa po warstwie w pamięci mojej skóry. Słojami czasu naznaczyły się w mojej duszy. Byłaby aż tak okrutna? Lecz czy mam prawo zarzucić jej hipokryzję? Czy mogę mieć jej za złe, że mnie zostawiła? Ja, który wykorzystałem ją obłudnie i wplątałem w historię z trojką? Jestem draniem. Oto kim jestem. Draniem. Zniszczyłem najpiękniejsze doznania ostatnich lat.

Wiele pytań mnie dręczy. Pytań, na które nie umiem znaleźć odpowiedzi. Dlaczego wyprowadziła się ze swojego mieszkania? Dlaczego mi powiedzieli, że nigdy nie pracowała w tym przeklętym hotelu? Co to za gra? Kto się kryje za tą historią? A może zmowa? Pułapka zastawiona na mnie przez policję? Zatrzymali ją? Może z powodu, którego nie znam, została uprowadzona i zatarto jej ślady? Czy Rubini jest w niebezpieczeństwie? Niczego nie rozumiem. Niczego. Czarna rozpacz.

A może jednak oszalałem? Może Rubini w ogóle nie istniała. Może była wytworem mojej wyobraźni. Światłem, które rozbłysło i zgasło, światłem, którego rozpaczliwie szuka w czas sztormu rozhuśtany statek, by dotrzeć do brzegu? Tym tylko? Ułudą, igraszką umysłu? Czymś, czego bardzo chciałem, czego pragnąłem doświadczyć, lecz w rzeczywistości nigdy nie doświadczyłem? Czy nieprawdą jest to, co przeżyliśmy razem? Potajemne randki w hotelu i nasze fantazje, tamta noc w górach Parnity, aż do świtu, *Moonlight in Vermont*, wieczory przed telewizorem, ćwiczenia jogi? I to jej nieprzewidywalne, dziwaczne zachowanie – nocne wędkowanie i histeria z powodu zdjęcia, tamta niby-kolacja u niej w domu? Czy ostatecznie wszystko to było jednym wielkim kłamstwem? A ona zjawą? Czy kobieta, którą kochałem była tylko duchem, a ja nic o niej nie wiedziałem, nie znałem nawet jej imienia?

Niczego już nie jestem pewien. Chyba... Chyba że znajdę jakiś dowód, dowód na to, że Rubini istnieje. Że nie jest tworem mojego umysłu, że nie jestem stuknięty. Zastanawiam się... Czy mógłbym odzyskać skasowaną fotografię w komórce? Wschód słońca. Ona w półśnie, taka spokojna, taka

piękna, oparta plecami o pień jakiejś słonorośli. Z tyłu karminowe morze. Jak jedwab. Jak sztuczne. A za nami słońce wychylające się nieśmiało, z wahaniem.

Mógłbym? Jest jakiś sposób na odzyskanie fotografii? Nie wiedziałem. Wieczorem pojechałem do dawnego mieszkania. Niebezpieczny krok, ale ta historia z Rubini... Zresztą tyle czasu żyłem w zagrożeniu. Ciekawość. Strach przed szaleństwem. Zacząłem się gubić. Musiałem się dowiedzieć. Musiałem. Pojechałem. Wiało diabelnie. Gałęzie drzew łopotały jak sztandary. Markizy nad sklepami furczały wściekle. Znowu się bałem, że zastawią na mnie pułapkę. Że wpadnę na któregoś z sąsiadów, któregoś z lokatorów. Nie chciałem pytać, rozmów. Na szczęście nikogo nie spotkałem. Spodziewałem się, że zastanę mieszkanie przewrócone do góry nogami, przeszukane. Otworzyłem drzwi.

Było tak, jak gdybym nigdy stamtąd nie wychodził. Rozkręciłem telewizor, wyjąłem komórkę. Włożyłem baterię. Podłączyłem telefon do ładowarki, wetknąłem wtyczkę do gniazdka. Uruchomiłem. Odszukałem pliki ze zdjęciami. Zacząłem przeglądać. Niczego nie znalazłem. Próżny trud. Potem pomyślałem o połączeniach. Znalazłem. Wychodzące, przychodzące. 69... Znajomy numer. Rubini!

Wychodzące:

20.04, 20.00, czas trwania 17.04

16.04, 10.59, czas trwania 13.45

16.04, 12.06, czas trwania 05.03

13.04...10/04...8/04...5/04...3/04...

Przychodzące:

15.04, 18.00, czas trwania 02.05

9.04, 11.00, czas trwania 00.30

5.04, 02.03, czas trwania 00.20

5.04, 02.14, czas trwania 00.15

A więc były połączenia. Także te w środku nocy, kiedy chciała jechać w góry Parnita. Wszystkie są w mojej komórce.

Był jej numer telefonu, zapisany. A więc istniała i ona. Nie wiedziałem, jak zareagować. Cieszyć się? Cieszyć się, że nie zwariowałem? Usiadłem na łóżku i myślałem, trzymając głowę w rękach. Co robić? Mogłem jeszcze cokolwiek zrobić? Mogę ją znaleźć? Mój wzrok padł na biurko. Plastikowy

brelok. Wziąłem go do ręki, odwróciłem. Patrzyłem zaskoczony. Uśmiechnąłem się. Już gdzieś taki widziałem. Leżał na parkiecie między zwłokami tych z trojki. Miał na sobie logo hotelu wydrukowane metodą sitodruku. Oto dowód. Rubini musiała zostawić go przez zapomnienie w czasie którejś z wizyt u mnie.

Wyłączyłem komórkę, schowałem ją w telewizorze. Brelok zabrałem. Nie byłem szalony. Nie, nie byłem szalony. Teraz miałem przynajmniej pewność.

Ale gdy dotarłem do półsutereny, do mojej kryjówki, i otworzyłem szafę, by schować brelok głęboko, razem z pozostałymi „pamiątkami”, oczy omal nie wyszły mi z orbit. Nóż nurkowy, ten, którym odciąłem głowy trójkowiczom, zniknął. Wyparował! Cofnąłem się. Dwa, trzy kroki. Spojrzałem dokoła zdeorientowany. Nikogo. A jednak ktoś tu był pod moją nieobecność. Czuję to. Wyczuwałem czyjś niewidzialny cień, ślad, zapach, aurę, które po sobie zostawił. Co to za chore pogrywki? Co tu się, u diabła, działo? Byłem pogubiony, przestraszony. Przerażony. W głowie mi się kręciło. Wir. Zamęt. Usiadłem ciężko w fotelu. W końcu, skoro wiedzą, kim jestem, gdzie przebywam, co zrobiłem, niech przyjdą i mnie wezmą. Niech to się wreszcie skończy!

104/B15

ŚWIATŁO W TUNELU W SPRAWIE PRZEDSTAWICIELI TROJKI?

Znany pracownik akademicki podejrzany o zabójstwo młodej kobiety

Martwe ciało młodej kobiety, prawdopodobnie studentki, w wieku około dwudziestu dwóch lat, znaleziono wczoraj wczesnym rankiem w toalecie Instytutu Historii na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Ateńskiego. Zwłoki leżące w kałuży krwi zobaczyła sprzątaczką. Ofiara została zabita strzałem w pierś. Zgodnie z ustaleniami lekarza sądowego, który przybył na miejsce zbrodni i dokonał autopsji, zgon nastąpił natychmiast. Strzał oddano najprawdopodobniej z pistoletu, z bezpośredniej bliskości. Z nieznanego powodu morderca przeciął ofierze nożem żyły szyjne.

Odrażającej zbrodni dokonano między godziną dwudziestą a dwudziestą pierwszą poprzedniego wieczora. Jak dotychczas nie ustalono tożsamości ofiary ani motywów, którymi kierował się morderca. Kobieta była drobnej budowy, miała metr siedemdziesiąt wzrostu i krótkie czarne włosy. Na posadzce znaleziono skórkową torebkę z portfelem. Policja wyklucza motyw kradzieży.

W związku z potworną zbrodnią zatrzymano znanego pracownika akademickiego Romanosa Sergidisa, profesora historii. Podejrzany jako ostatni wyszedł wieczorem w dniu zabójstwa z gmachu uczelni, to jest około dwudziestej pierwszej trzydzieści. Zgodnie z zeznaniami zebranymi przez organa śledcze Sergidis wychodził z budynku wzburzony. Na miejscu zbrodni znaleziono zapalniczkę stanowiącą własność podejrzanego, na której znajdują się odciski jego palców. W jego domu znaleziono koszulę, którą miał na sobie wieczorem w dniu zabójstwa. Na koszuli policjanci zlokalizowali małą plamę krwi, jak się przypuszcza, krwi ofiary.

Policja nie odnalazła jeszcze narzędzi zbrodni, podejrzewa natomiast, że zabójstwo ma związek ze śmiercią przedstawicieli trojki w ubiegłym miesiącu w hotelu [...]. Z przeprowadzonej analizy balistycznej wynika, że w obu przypadkach użyto tego samego pistoletu Glock 17. Wydaje się także, że użyto tego samego noża, którym zabójca przecinał szyje urzędników trojki.

Morderstwo wstrząsnęło społecznością akademicką. Rektor Uniwersytetu Ateńskiego, poruszony do głębi, wyraził ubolewanie z powodu odrażającej zbrodni.

105/A42

Dusiłem się. Traciłem oddech. Łaknąłem tlenu, odrobiny tlenu. Usta miałem otwarte, oczy wychodziły mi z orbit. Ludzie szli, mijali mnie, popychali. Nic nie widziałem, czułem prąd przesywający moje ciało i spływający po mnie lodowaty pot, byłem jak ślepiec zagubiony w tłumie.

Poranne gazety zwisały ze stojaków w kiosku. Zabójstwo na uniwersytecie na pierwszych stronach. Fotografia Sergidisa. Opis młodej, niezidentyfikowanej kobiety z krótkimi czarnymi włosami, wzrost metr siedemdziesiąt. Ledwie żywy kupiłem dwa dzienniki i wróciłem, skryłem się w swojej norze.

A więc tak się to skończyło, Rubini. Tak skończyliśmy, najdroższa. Aż do tego doszło. Przeczytałem gazety. Łzy ciekły mi po policzkach, pozwoliłem im płynąć, kapać. Ścisnęło mnie w żołądku. Wymiociny podchodziły mi do gardła. Taki ma koniec ta historia? Tak przerażający? Nie było wątpliwości, zamordowana kobieta to Rubini. Wiek, wzrost, krótkie czarne włosy. Ona. Wiedziałem, że ja jestem winien jej śmierci. Gdybym nie wciągnął jej w tę sprawę...

A Sergidis? Czy możliwe, żeby on ją zabił? Nie, nie dawałem temu wiary. Chęć się go pozbyć, bo jest niewygodny, więc niech zajmie moje miejsce. Jak nic obciążą go także zabójstwem tych z trojki. Ale Rubini, co Rubini była winna? Nie mogłem pojąć. Może to wiadomość dla mnie: „I ciebie to czeka...”.

Mieli mnie w garści, bez wątplenia. Wiedzieli wszystko. Nawet gdzie mnie szukać.

Rozważyłem wszystko od początku. Kolejny raz. Od chwili, gdy zaczął powstawać mój plan. Manifestacja, Argiris i jego przyjaciele, znajomość z Rubini nawiązana w Ogrodzie Narodowym, podjęcie przez nią pracy w hotelu, nasze randki w apartamencie, jej wskazówki i informacje o hotelowych zabezpieczeniach, wściekłość z powodu fotografii na plaży, facet od glocka 17, kamery, które nie zarejestrowały mojej obecności, rysopis poszukiwanego mordercy, dziwny, krzywy uśmiezek ochroniarza, tajemnicze zniknięcie Rubini, zatarcie wszelkich śladów jej istnienia, zniknięcie noża z szafy. Czy podcięto jej żyły moim nożem? Nie mogłem tego pojąć, nie chciałem o tym myśleć. Opadłem na fotel.

Jaki był związek między tym wszystkim? Dopasowywałem klocki, układałem puzzle. Mógł istnieć jakiś związek? Co za płatanina! Jakieś szaleństwo. Jakaś brednia. Wtedy nagle... Wtedy nagle okazało się, że ta

niespójność ma sens. Rzuciłem się szukać starej gazety, w której pierwszy raz przeczytałem o poczwórnym morderstwie. Znalazłem ją pogniecioną w kącie za kanapą. Boże jedyny! Powinienem był zauważyć. Portret pamięciowy! Portret podany do publicznej wiadomości był portretem Sergidisa! Już wtedy to mieli ustawione. Ale Sergidis jest niewinny. Niewinny człowiek, który popełnił błąd, występując przeciw establishmentowi. I brudnej robocie polityków. Sergidis pokazał gorzką, brutalną prawdę. Niewygodną. Należało go usunąć.

A Rubini? Jaką rolę odgrywała Rubini? Teraz wydawało się jasne. Znałem odpowiedź. Posłużyła się mną, wykorzystwała mnie. Na zlecenie, nie wiem, jakichś mrocznych, tajemnych sił. W końcu to ona mnie zaczepiła. Nie, to nie ja ją wykorzystałem. Nasłano ją na mnie. Odegrała przedstawienie. Dlatego tak łatwo wprowadziła mnie do hotelu, zaopatrzyła w przepustkę, przekazywała informacje i wściekła się na tamto zdjęcie. I to jej nierówne, nieprzewidywalne zachowanie, te nieoczekiwane zmiany nastroju. Teraz wydawało mi się, że wiem. Mgła rozpraszała się z wolna, mogłem dostrzec, co się pod nią kryło. Maski opadły, zerwano zasłonę.

Ktoś wiedział o moim planie. Kto? Argiris? Nikt inny nie przychodził mi do głowy. Tak, wykorzystali mnie. Pomagali mi, popychali do zrealizowania planu. Niewidzialne siły pokazały mi drogę do morderstwa. Otwierały przede mną drzwi. Byłem pionkiem. Byłem kompletnie nieświadomy i naiwny. Działiałem w myśl czyichś pragnień, jak w hipnozie, pod wpływem rozkazów, które docierały, nie wiem jakim cudem, do mojej podświadomości. Kontrolowali mnie zdalnie za pomocą pilota. Robot, marionetka.

Z jakiegoś powodu było im to wygodne. Chcieli mieć martwych tych z trojki. Nie wiem, co za potwór stał za tym, ale na pewno blisko mu do szatana. Bestia bez skrupułów. A ja bezsilny. Schwytany w jego sieć. Facet na straty, użyć i się pozbyć. Aktualnie w odwodzie, as w rękawie, gotowy do dalszych działań.

Czułem ich obecność tu, w środku, w mojej mysiej dziurze. Dowodem był nóż, który zniknął z szafy, pewnie ten sam, którym poderznięli gardło Rubini. Mój nóż. Otworzyłem szafę jeszcze raz. Nóż leżał na swoim miejscu! Obok glocka 17, obok pistoletu, który przed paroma dniami wyrzuciłem do pojemnika na śmieci!

106/C21

Korkózelos drapie się po policzku. Przed nim popielniczka wypełniona po brzegi zgniecionymi niedopałkami. Wokół resztki popiołu. Widać, że ma problem. Oczy mętne, czerwone. Bierze zapalniczkę, zapala kolejnego papierosa. Zaciąga się głęboko, wydmuchuje dym jakby z westchnieniem. Apostolu obserwuje go ze swojego fotela. Myśli sobie, że zastępca komendanta narusza przepisy dotyczące palenia. Ma ochotę się uśmiechnąć. Ale wypada zachować powagę. Ściąga brwi. Co mu zostaje? Ma go upomnieć? „Panie komendancie, narusza pan przepisy dotyczące palenia”. To by było śmieszne. Dym go dusi, jest gorąco. Na czoło występuje pot. Wilgotne pachy moczą koszulę. Wyciąga rękę, żeby otworzyć okno, które jest tuż obok.

– Nie otwieraj! – warczy Korkózelos.

Rozkaz. Blizna na policzku napina się. Apostolu wie, skąd się wzięła. Któregoś dnia, przy dobrym nastroju Korkózelos wyjaśnił mu, że nie, to nie powód do odznaczenia, nie na służbie. Jako małe dziecko nadział się na ogrodzenie, zawisł na nim jak mucha na lepie. Metalowy drut przeciął skórę niby kartkę papieru, przebił się przez nią i mięśnie, aż do dziąsła.

Apostolu czeka. Po co został wezwany? Czekają. Korkózelos wciąż drapie się po policzku, wydmuchuje dym. A gdy wreszcie zaczyna mówić, Apostolu nie wierzy własnym uszom. Monolog zastępcy komendanta jest wyznaniem, które zwala inspektora z nóg.

– Posłuchaj... Mam spory kłopot... i... mówię ci to w całkowitym zaufaniu. Wszystko, co usłyszysz, masz zachować dla siebie. Nikt nie może się o niczym dowiedzieć.

Korkózelos ścisza głos. Rozgląda się. Wszystko zamknięte. Cztery ściany i oni dwaj.

– Wiem, że mogę ci zaufać, że mogę na tobie polegać.

Apostolu potakuje głową. Jest zaniepokojony. Co usłyszysz?

– Sergidis nie jest człowiekiem, którego szukamy.

Bomba. I pauza. Korkózelos milknie. Obserwuje bacznie Apostolu. Jakie wrażenie zrobiły na nim te słowa? Apostolu krzywi usta. Wytrzeszcza oczy. Rozkłada ręce, pozwala im opaść na oparcie fotela, nie pojmuje.

– Nie wierzę w jego winę. Chociaż go naciskałem, obchodziłem się z nim ostro, byłem napastliwy... Ale nie, to nie on. Po tylu latach służby, po tysiącach winnych i niewinnych, którzy się przede mną przewinęli, potrafię odróżnić ziarno od plew. Sergidis nie jest winny. A poza tym...

Korkódelos znowu ścisza głos. Znowu zaciąga się papierosem.

– Poza tym, to bardzo dziwna sprawa. Mordercy nie zostawili żadnych śladów. Nawet w najdoskonalszej zbrodni... coś zostaje. I te kamery w hotelu... Hm... Musimy wierzyć, że... A zresztą... Nikt niczego nie widział. Słowo daję, nie zastanawia cię to?

Apostolu kiwa głową.

– Tak, też się nad tym głowię. Od wielu dni. I nie tylko to. Dokądkolwiek się zwrócimy, wszędzie ściana, mur... Żadnych drzwi, żadnego klucza. Nie widać rozwiązania. Tkwimy w martwym punkcie. Wie pan zresztą. Zastanawiałem się wielokrotnie. Bo coś... coś innego tu się dzieje, coś nietypowego. Nie wiem... Ale cieszę się, że mamy te same odczucia. Tylko co zrobimy, jeśli...

– Sergidis jest niewinny, więc trzeba poruszyć niebo i ziemię... Dotrzeć do rzeczywistych sprawców. Nie chcę go mieć na sumieniu. Posłuchaj, Apostolu... powiem ci bez ogródek. Ktoś sobie z nami nieźle pogrywa, sypie nam piaskiem w oczy. W inną stronę trzeba skierować uwagę. Ktoś tę sprawę ukartował. Wpadliśmy w pułapkę, Apostolu, zastawioną przez siły, o których by ci się nie śniło...

Kolejna pauza. Przełożony znów czeka na reakcję inspektora. Ten siedzi zamyślony. Pierwszy raz widzi Korkódelosa w takim stanie. Jakby majaczył, mówi niejasno, zacina się.

– Jeśli moje podejrzenia są zasadne, to... – Korkódelos pochyla się do przodu, jego słowa są ledwie słyszalne. – To nawet Komendant Główny jest... – opiera plecy z powrotem o krzesło. – Wtedy biada nam wszystkim. Znam cię od lat. Ja naciskałem, żeby ci dali tę sprawę. Nie wiedziałem wówczas, co się za tym kryje. Musimy się zmierzyć z bardzo, bardzo mrocznymi siłami i... Posłuchaj, Apostolu, mój przodek faktycznie był hersztem zbójców. Sergidis mi o tym przypomniał. Ale potem zaciągnął się do żandarmerii i nigdy nie złamał przysięgi. Służba w policji stała się tradycją w naszej rodzinie. Przechodziła z ojca na syna. I wszyscy pełnili ją uczciwie. Oddawali się jej bez reszty. Nie splugawię swojego nazwiska. Za żadną cenę, choćbym miał głowę zapłacić.

– Przeraza mnie pan, panie komendancie! Co za... Jakie mroczne siły? I co Komendant Główny...?

– Lepiej, żebyś nie wiedział. Przynajmniej na razie. To nie jest miejsce... – przerywa mu Korkódelos. – Problem w tym, co mamy zrobić dalej...

Wydmuchuje dym. Kończy jeszcze jednego papierosa. Wciska go między niedopałki, zostawia w popielniczce.

– Wybierz dwóch najbardziej zaufanych ludzi – ciągnie. – Najbardziej zaufanych. Wyjaśnij im, że muszą działać w ścisłej tajemnicy. Niech zaczną wszystko od początku. Niech na co innego zwracają uwagę. Nie na Sergidisa. Od tej chwili Sergidis dla nas nie istnieje. Rozumiesz? I naturalnie, nie mogą wiedzieć o naszej rozmowie. Nikt nie może wiedzieć, nawet Komendant Główny. A zwłaszcza wywiad. Wyrażam się jasno?

– Całkowicie!

Apostolu kiwa głową.

– Mam ci do powiedzenia znacznie więcej, ale nie tutaj. Pogadamy gdzie indziej, w odosobnionym miejscu, gdzie nikt nie...

Korkódzelos znowu ścisza głos. Wyciąga złożoną kartkę.

– Tu są wskazówki – mówi.

107/E11

Teczka „Samobójstwa”, wycinek numer 12

Władze usiłują rozwiązać zagadkę samobójstwa pięćdziesięcioletniego potomka rodziny armatorów.

Ateny, 18 sierpnia 2012 roku

Mieszkał samotnie w apartamencie w centrum Aten. Nie miał nikogo bliskiego. W półtora roku stracił rodziców i brata. Przyjaciele go opuścili.

Najpierw był żal, melancholia. Potem depresja i rozpacz. Rozpacz pomieszana z gniewem na tych, co odeszli. Sąsiad mieszkający obok zeznał policji, że gdy pewnego ranka nawiązali rozmowę, sprawiał wrażenie rozczarowanego, czuł się zdradzony. „Nie zostawię nikomu złamanego grosza!”, oświadczył.

Przesiadywał w fotelu w salonie z głową wspartą na dłoni. Godzinami. Czarne myśli. Żadnego światła. Zwarty mrok. Smoła.

A przecież życie miał dobre. Umiał i lubił się bawić. Prawdziwy bon viveur. Obracał się wśród ludzi sławnych i bogatych. Bywał w świecie. Potomek rodziny armatorów, zapalony zbieracz dzieł sztuki. W przeszłości właściciel galerii z antykami w śródmieściu Aten.

Ale... Ale! Codzienność go przytłaczała, przygniatała jak płyta nagrobna. Okna zawsze szczelnie zamknięte, izolacja nie dopuszczała zgiełku miasta. Drzwi antywłamaniowe, pancerne. Kamery, alarm. W ostatnim okresie prawie w ogóle nie wychodził z domu. Jedynie na początku miesiąca sąsiedzi widywali go, gdy – zawsze nienagannie ubrany – schodził nogą za nogą po schodach, zatroskany, przekraczał próg bramy, wychodził na ulicę. Wracał z kieszeniami pełnymi banknotów. Z dochodami za wynajem nieruchomości w Atenach i na Sporadach. Wyjmował banknoty i wkładał je beznamiętnie do tekturowych pudeł. Nie odczuwał radości. We wnętrzu miał dziurę, pustkę. W końcu zaczął nienawidzić pieniędzy, gardzić nimi.

„To nie jest życie... To nie życie...”, powtarzał sobie. Aż uwierzył w to całkowicie. To nie było życie. I pewnego dnia, gdy siedział w fotelu ponury i nieszczęśliwy, gdy myśli znów zaczęły wynurzać się z głębi mrocznej duszy i napierać, i go szarpać, poczuł się bezsilny, pokonany. Poddał się. Nie mógł znieść tego dłużej. Nie mógł.

Rozpacz przekraczała granice wytrzymałości. Zalewała mu duszę, czuł prawie jej mrowienie na skórze. Tonął jak wilgotna kartka papieru, która najpierw namaka i utrzymuje się chwilę na powierzchni wody, a potem idzie na dno. Pogrążał się w niebycie.

Wstał, włączył do kontaktu niszczarkę do papieru, przysunął pudła z banknotami. Pięćsetki, setki, pięćdziesiątki, dwudziestki. Euro, dolary amerykańskie, funty brytyjskie. Mieszkanie wypełniło się cieniutkimi paskami banknotów wartości pięciuset tysięcy euro. Potem wyjął dwudziestodwukalibrowy pistolet, przystawił lufę do czoła i strzelił.

Znalazła go policja wezwana przez sąsiadów. Dziesięć dni leżał na podłodze, był w stanie zaawansowanego rozkładu. Odór nie do wytrzymania... Przez wszystkie te dni nikt go nie szukał. Dotrzymał słowa: „Nie zostawię nikomu złamanego grosza!”.

108/A43

Wczoraj znowu zerwałem się z krzykiem ze snu. Zlany potem. Zaszło mi w ustach. Czuję w nich słony, metaliczny smak. Nie mogłem oddychać, dusiłem się. Usiadłem na posłaniu. Wokół ciemność. Mój ciężki oddech. Słyszałem jego głos, a potem go zobaczyłem. Tęskniłem za nim. Od tylu lat nie odwiedzał mnie w snach. Jego postać blakła powoli. Ale tak, widziałem go. Spalona słońcem twarz, duże oczy, proste czarne włosy.

Wróciłem do domu – przypomniał mi – z zakrwawionym nosem, z raną na łokciu. Kolega, w pierwszej klasie podstawówki, ten grubas, Kostis, znowu mnie dopadł. Bił, kopał. Byłem łatwą ofiarą. Słaby, drobny, chudy jak tyczka. Przeżywał mnie Piegusem. Bo rzeczywiście miałem piegi na twarzy, na nosie, na policzkach. A on nienawidził piegów. Przyczepił się do mnie, wyładowywał na mnie złość. Nie pierwszy raz. Dlatego wróciłem do domu pobity, posiniaczony. „Nie oddawaj, nie musisz i ty być bandziorem”, mówił ojciec. Znał tatę tego chłopca. Niewiele wart, łachudra, zachodził czasem do sklepu ojca po drobiazgi wędkarskie. „Kto wie, czego to dziecko w domu doznaje”, mówił ojciec. „Staraj się go unikać, a jak się zbliża, biegnij do nauczyciela”, radził. Wciąż jeszcze hołdował naiwnej, romantycznej szlachetności. Był przeciwny każdemu rodzajowi przemocy. Dość się jej naoglądał w dzieciństwie. Wystarczy.

Ale chociaż unikałem Kostisa, chociaż uciekałem, a byłem od niego szybszy, zawsze znalazł sposób, żeby mnie przydybać i stłuc. Mama prezentowała postawę bardziej zdecydowaną i bezkompromisową. „Dobrze jest być szlachetnym i uprzejmym, ale nie pozwolę, żeby mi dziecko zabił”, rzuciła ojcu. Poszła do szkoły i narobiła rabanu. Powiedziała nauczycielom, żeby okiełznali łobuziaka. Uspokoił się. Na parę dni. Potem znowu się zaczęło. I było jeszcze gorzej. Podnosił pięść, „To dla ciebie, Piegusie”, wołał. Śmiał się sadystycznie, patrząc mi prosto w oczy, i zadawał ciosy.

Ojciec, ze spuszczoną głową, pokonany, zmienił zdanie, zmienił nastawienie. Nastąpił zwrot. Odłożył na bok szlachetność. Podjął decyzję. Kupił worek i rękawice bokserskie. Musiał mnie chronić przed brutalnością, przygotować do życia. Tak powiedział. Byłem bardzo drobny, delikatny. Mama patrzyła na nas krzywo, sprzeciwiała się, nie zgadzała, to nie jest metoda, tak z jednej skrajności w drugą. Ojciec nie słuchał. Pokazał mi ciosy proste, crossy, sierpowe, ciosy z dołu. „Mocno... Mocniej, chłopcze!”, zachęcał niczym trener. W końcu namówił mnie do oglądania meczów bokserskich w telewizji. Obejrzeliśmy razem jego

ulubiony film *Rocky*. I prawdą jest, że dostałem bzika na punkcie boksu. Do tego stopnia, że przez parę lat chodziłem na treningi w ośrodku sportowym w naszej dzielnicy. Byłem dobry. Chciałem zostać mistrzem! Po samobójstwie ojca zrezygnowałem, odpuściłem. Nie mogłem dłużej.

Ojcowskie lekcje i rady zrobiły swoje. Gdy Kostis znów mnie zaczepił, zaskoczyłem go. Walnąłem w gruby brzuch, aż się zgiął we dwoje. „A masz, wielorybie!”, zawołałem podniecony. Rozwścieczył się i następnym razem przyprowadził ze sobą całą bandę, całą szkolną łobuzerię. Gonili mnie, podstawili mi nogę, przewrócili na beton boiska i stłukli na kwaśne jabłko. „Na drugi raz nie zaczynaj, śledziu!”.

Nauczyciel wezwał do szkoły tego łachudrę, jego ojca, i polecił zdyscyplinować synka. Tamten zaczął się stawiać. „Sprowokowali chłopaka”, stwierdził i poszedł, pyskując i grożąc. Żeby się nie ośmielili podnieść ręki na jego dziecko! Któregoś dnia ojciec zauważył Kostisa przy szkolnym płocie. Podszedł, złapał go za ucho. „Jak jeszcze raz zaczepisz Aleksisa, uszy ci poobrywam, łobuzie! Zrozumiałeś?”, krzyknął. Kostis się przestraszył, zaskowyczał jak pies, oczy zasłyły mu łzami, uciekł gdzie pieprz rośnie. A ojciec ujął moją rękę, zamknął ją w swojej i ruszyliśmy dalej. Jego dłoń była całym moim światem. W tamtej chwili czułem się nieustraszony i niepokonany. Kostis więcej mnie nie zaczepiał. Skończyło się. Ledwie mnie zobaczył, skręcał w bok. I tyle.

„Jak jeszcze raz zaczepisz Aleksisa, uszy ci poobrywam, łobuzie! Zrozumiałeś?”. Usłyszałem jego głos we śnie i zerwałem się zlany potem. Do kogo mówił? Do tamtego grubego chłopaka po tylu latach?

Tak, coraz częściej słyszę ostatnio jego głos. I we śnie, i na jawie. Rady dotyczące wędkarstwa. „Zagnieć dobrze zanętę...”, „Zwolnij hamulec”, „Teraz... teraz ją przyszpil”, „Mocno... Mocniej, chłopcze!”.

Miałem wrażenie, że jeśli odwrócę głowę, zobaczę go obok siebie. W samochodzie, na skałach, gdy łowił spławikówką, nad rzeką, gdy się do mnie uśmiechał, stojącego przy kasie w swoim sklepie i opowiadającego anegdotki.

109/B16

Wlepiał wzrok w Apostolu, ale duchem był daleko, w innej przestrzeni, w innym wymiarze, uwięziony w meandrach swoich myśli. Dotarło do niego, co przed chwilą usłyszał?

Tak, potrzebował trochę czasu, ale zrozumiał. Dotarło do niego, że niełatwo wyplącze się z tej historii. Że w gruncie rzeczy wyplątanie się jest niemożliwe. Po raz kolejny przekonał się, że niewidzialne moce, mroczne, wszechpotężne, sprzysięgły się przeciw niemu. Unieszkodliwiły go, związały w kij. Tkwił w pułapce jak mysz. Na dobre.

Nazwisko Aleksisa Sokardisa nie figurowało w żadnym z elektronicznych systemów. Ani w Centralnym Archiwum Państwowym, ani w Archiwum Historycznym Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Nigdzie. Widmo. Był pewien, że choćby nawet szukał, nie znajdzie go już także w spisach uniwersyteckich.

– Może pan go wymyślił, panie Sergidis? – spytał Apostolu.

– Nie, nie wymyśliłem go, panie inspektorze. Całkowicie ufam osobie, która podała mi te informacje. Ma bezpośredni dostęp do archiwów. Zapewni pana o tym.

Apostolu patrzył na niego zamyślony. Ma mu wierzyć?

– Niewidzialna ręka usunęła nazwisko Sokardisa. A to o czymś świadczy, panie inspektorze. O tym, mianowicie, że ktoś chce mnie obciążyć cudzymi zbrodniami. Proszę mi wierzyć. Jestem niewinny.

– Nawet jeśli wierzę... Niech pan mi powie, dlaczego to się stało? Dlaczego jakaś niewidzialna ręka, jak pan powiada, usunęła nazwisko z archiwów? Jaki ma w tym interes? Jakie ma motywy?

– Student jest kluczem do sprawy. Dlatego. Jest wątkiem, od którego powinniście zacząć. Chcą się mnie pozbyć. Wystąpiłem przeciw establishmentowi, jego politycznym i ekonomicznym interesom. Oto motyw. Ja wiem, że jestem niewinny, a pan ma obowiązek ujawnić spisek. Oczyszczyć z zarzutów człowieka niewinnego. Ale... Obawiam się... że i sama policja jest uwikłana w tę sprawę.

Apostolu zostawił w areszcie rozbitka, strzęp tego Sergidisa, którego znał – choć niezbyt dobrze, bo widział go wcześniej raptem dwa razy. Długo się zastanawiał. Czy w tym, co utrzymuje Sergidis, tkwi jakaś część prawdy? Jaka część? Zachodził w głowę... Aleksis Sokardis... Coś w tym chyba jest. Coś innego, niż się wydaje. Policjanci szukali w Centralnym Archiwum Państwowym oraz w Archiwum Historycznym

Ministerstwa Spraw Zagranicznych i niczego nie znaleźli. Ale Sergidis nalega. Pokazał mu nazwisko zakreślone kółkiem w spisach, które miał w ręku. Dziwna sprawa. Trzeba poprosić o informację policję cypryjską.

110/D19

Dzisiaj późnym wieczorem przyszły wieści z Aten. Wszystko stało się tak, jak przewidywałam i niczego nie można już zmienić. Nic nie może zawrócić czasu. Wszystko wydarzyło się za tamtymi surowymi, dzikimi górami. Zabili ich, całą czwórkę. Mojego syna zamordowali na końcu. Zrobił to własnoręcznie Christos Arwanitakis. Ten, który rzucał razem z nim kamieniem. Potem żołnierze i jego zabili i zawiesili jego głowę, razem z głowami innych zbójców, przed kafenijo we wsi. Brat jego zdołał jednak zbiec. Po starciu zniknął w ciemnościach i więcej go nie widzieli.

Patrzę na zdjęcie Fredericka i jedynie o tym myślę, że miał zaledwie dwadzieścia trzy lata, zaledwie dwadzieścia trzy lata.

Lady Mary Vyner

111/D20

Sprawy przybrały zły obrót. I Takos to zrozumiał. Zastawili na niego pułapkę. Było już za późno, kiedy w Wielki Czwartek, 21 kwietnia, w południe, Tsakanikas przeciągłym okrzykiem – „kapetanie!” – oznajmił napaść żandarmów, którzy otoczyli wieś – „idą na nas” – i zasiał panikę. Takos zamarł. A potem krew się w nim zagotowała. W furii skrzyknął ludzi, wziął trzynastu zakładników z Sikámino, zebrał jeńców i wyruszyli. Uprzednio Takos posłał był Anemojanisa, żeby odnalazł Teagienisa i pokazał mu list Erskine’a z obietnicą, że ich nie tkną. W przeciwnym wypadku, niech mu to powie, zarżnie zakładników jak barany, jeśli Teagienis spróbuje go okpić. Anemojanis odnalazł Teagienisa. Ale wygląda na to, że nie usłuchał jego poleceń, nie wrócił i nie przekazał zbójcom, by zostali w Sikámino, nie ruszali się stamtąd. Tak uratował się Aléksandros Anemojanis. Zbójcy podzielili się na dwie grupy i obierając różne drogi, skierowali się na północ, by dotrzeć jak najbliżej Beocji i granicy. W tym krytycznym momencie, w obliczu zagrożenia, Takos postanowił na nowo zawierzyć bratu. Nie miał wyboru. Koniec pokuty. Mianował go dowódcą drugiej grupy. Niebezpieczeństwo znów ich pojednało. Po południu, podążając między sosnami, natknęli się na konny oddział żołnierzy. Skonsternowani i zaskoczeni żandarmi pierwsi oddali strzał. „Naprzód! Ognia!”, rozkazał w odpowiedzi Takos swoim ludziom. I walka rozgorzała. Nie było odwrotu.

Tam, w Dílesi, doszli do kresu drogi. Antelope, angielski statek, który kotwiczył w Skali, porcie Oroposu, zaczął walić z dział. Banda Takosa była otoczona, a on musiał przestrzegać prawa zbójców. Teraz toczyła się gra o ich głowy i wiarygodność, o wagę zbójckiego słowa. Wydał rozkaz, zabito zakładników. Katarachiás ruszył ku sekretarzowi angielskiej ambasady, Herbertowi, temu „z długą brodą”. Herbert bezradnie uniósł rękę. Dwa ciosy wbiły się w ciało głęboko, do kości, kolejne trzy spadły na głowę, trzy kule trafiły w kręgosłup. Był kuzynem lorda Carnarvona, który przez dwa lata sprawował urząd ministra kolonii w rządzie Disraelego. Korzeniami rodzowymi powiązany był, w dalekim pokoleniu, z Williamem Szekspirem, jak też i ze współczesną mu Florence Nightingale. Do sekretarza ambasady włoskiej, hrabiego de Boyle’a, wystrzelono dwukrotnie z bliska. Takos z paroma towarzyszami zniknął bez śladu, błyskawicznie przemieszczając się z Dílesi do Dragomesti, w ciemnościach i deszczu.

Grupa Christosa Arwanitakisa nie miała tyle szczęścia. Zbójcy padali jeden po drugim. Żołnierze i żandarmi gonili ich zaciekle, strzelali bezlitośnie. Christos czuł się bezsilny, nie był w stanie ochronić druhów. Zrozumiał, że jego plany obracają się wniwecz, ostatecznie i nieodwołalnie. Lepsze życie, o którym marzył, okazało się utopią. Marzenie zgasło. Rozumiał, że nie zobaczy więcej Henrietty. Niczego już nie mógł oczekiwać. Patrzył wokół i widział krew, wszędzie tylko krew i śmierć, słyszał rozpaczliwe jęki, widział swoich ludzi bez ducha na ziemi. I bestia na powrót wstąpiła w jego duszę. Trupy i huk wystrzałów. Świst kul dookoła. Dym. Wrzask. Tętent i rzenie koni. Tumany kurzu. Umysł Christosa pomroczył, furia uzbroiła mu ręce.

Najpierw ciął prawnika Lloyda jataganem, potem do niego strzelił. Następnie zwrócił się ku Vynerowi. W jednej ręce trzymał jeszcze ociekające krwią ostrze, w drugiej pistolet ojca. Jego widok był przerażający. Twarz okryta prochem i umazana krwią Lloyda. Usta zrazu rozdziawione. Wtem zacisnął mocno zęby. Wytrzeszczone i rozbiegane oczy błyszczały nieopisanym szaleństwem. Nie, to nie był człowiek. To była bestia.

Vyner zmarł. Stał przerażony przed Arwanitakisem. Pojął, że przyszła jego kolej. Potem ukląkł. Wykonał ruch, jakby chciał podnieść ręce do piersi, może by błagać o życie. Ale rozmyślił się, dał za wygraną. Poddał się losowi. Demon, który stał nad nim, nie był Christosem Arwanitakisem. Nie był człowiekiem, który zaledwie wczoraj obiecywał mu wolność. Nie był tym, który tak tęsknie opowiadał o rodzinnej ziemi, tak czule pragnął znów zobaczyć matkę. Nie tym, z którym tyle dni wspólnie żartowali, śmiali się. Nie, to nie był on.

Chłopak nie próbował się bronić ani uciekać. Klęczał, czekając na miecz kata, który spadnie na jego delikatną szyję, rozetnie go na dwie części, oddzieli głowę od reszty ciała. Spojrzał na Christosa raz jeszcze, i nagle, bezwiednie i niewytłumaczalnie, w strachu i pomieszaniu, całkowicie świadom, że teraz, teraz nadchodzi koniec, deklamować począł pełnym głosem poemat Byrona, *Córkę Aten*. Jak modlitwę. Słowami tymi, niby zaklęciami, daremnie próbował ułagodzić bestię. Myślał może o narzeczonej, o Mary L'Estrange, czekającej w Anglii, o miłości dopiero co rozkwitłej, która już musi obumrzeć, której płatki opadły, uległy rozproszeniu. Christos zamrugał oczami, przymknął na moment powieki. Nagle wszystko wokół niego znikło. Słuchał Vynera, angielskich strof lorda

Byrona, i jakby był gdzie indziej, w innym świecie, odległym. Uniósł powieki...

*Maid of Athens, ere we part,
Give, oh, give back my heart!
Or, since that has left my breast...*

Do tego miejsca doszedł Vyner i głos zgasł w huku wystrzału. Nić życia została przerwana. Christos wycelował prosto w pierś, śmierć była natychmiastowa. Oczy Fredericka, szeroko otwarte, patrzyły w niebo, w ostatnie światło. Pytanie „dlaczego?” zawisło na jego zakrwawionych wargach. Ale był spokojny. Później widział go Gleissner, leżącego z de Boyle'em w jednej trumnie, na podwórzu pewnego wieśniaka w Dílesi. Wyglądał, jakby spał. Gleissner pocałował go w czoło, zapłakany. Zamknął mu powieki. „Miał spokojny wyraz twarzy”, napisze w sprawozdaniu dla rządu angielskiego. W ubraniu Vynera znajdą później listy Muncastera. I odeślą je lordowi do Anglii – pogniecione i umazane krwią martwego przyjaciela. Gleissner po wielekroć jeszcze wyjmować będzie swój mały notatnik, by czytać pisemne instrukcje, które wydał w Oroposie Frederick, żeby mu uszyć w Atenach garnitur. Palce będą mu drżały. W sercu bolesny ucisk.

Potem rozległa się salwa i Christos runął obok Vynera. Jakby się jakaś zapadnia otwarła i ciężkie łańcuchy brutalnie i szybko wciągnęły go w ciemność. Żandarm, który pierwszy dotarł na miejsce rzezi, odciął hersztowi głowę. Pozostali poszli jego śladem. Unurzani we krwi, w szale odrąbali głowy zbrojcom. Za nimi pędził zadyszany Ksenofón Watis, trzymając w rękach drewniany aparat z wielkim miechem. Ujrawszy obraz straszliwej masakry, ciała oddzielone od głów, porzucone w kałużach krwi, omal nie zemdlął z przerażenia i strachu. Jeden z żandarmów w szale chwycił za włosy głowę Tsakanikasa i uniósł ją wysoko. Zbroczony krwią żądał, by go uwiecznić z tym trofeum. A gdy fotograf się wzbraniał, żandarm sięgnął po pistolet i wycelował wprost w niego. „Sprzątnę cię, bubku!”, krzyknął. Co miał począć Watis? Zrobił zdjęcie. A potem odwrócił wzrok, ukląkł, zgiął się w pół... i zwymiotował.

112/D21

Kiedy będę umierał, chcę przyjąć komunię, bo wiele mam przewin, co mnie po nocach dręczą. Gdy byłem dzieckiem, ukradłem monety z kościelnej skarbonki. Pop mnie przeklął i od tamtej pory Bóg się ode mnie odwrócił.

Możemy i zbóje, ale tyle krwi przelać tośmy nie chcieli. Inni nam w głowach namęcili. Mówili, że jak długo trzymamy lordów, rząd będzie się nas bał i robi, co zechcemy.

Teraz wszystko przepadło. Koniec z lordami. Koniec i z moimi druhami. Odcięli im głowy, mojemu bratu Christosowi też, i je powiesili na hakach jak ubitą zwierzynę. A potem wystawili na Polu Aresa w Atenach i chodzili ludzie i je oglądali z uciechą. Przeklęta zła godzina i złe rady. Przeklęty zły los.

Takos Arwanitakis

113/A44

Przeszukałem cały pokój. Ukryte kamery, pluskwy. Nic. Ale co z tego? myślałem. I tak mają mnie w ręku. Bo kimże jestem? Mrówką między słońcami. Przeszło mi przez myśl, żeby uciec. Zamelinować się gdzieś. W Kandili? W kryjówkach dzieciństwa? Wrócić na Cypr? Zniknąć, uciec przed wszystkimi i wszystkim, bezimienny wśród bezimiennych? Zacząć żyć innym życiem, skrojonym na moją miarę? Wiedziałem, że to nic nie da, nie zostawią mnie w spokoju. Ktokolwiek to był, kimkolwiek oni byli – nie miałem szans. Nawet glock 17, który wyrzuciłem do śmietnika, znaleźli i mi podrzucili.

Już się szykowałem do wyjścia, gdy zadzwonił dzwonek. Podskoczyłem ze strachu. Przyszli? Co teraz? Co teraz będzie...? Stałem nieruchomy, wstrzymując oddech, nasłuchiwałem. Dzwonek dzwonił uparcie... Metaliczny dźwięk brzęczał mi w mózgu. Co robić? Niech będzie, co ma być. Podszedłem do drzwi. Zamknąłem oczy. Otworzyłem. Staruszka gospodyni. Weszła, prawie wtargnęła z impetem, nieproszona. Stała w holu. „Zapomniałam powiedzieć... żeby pan dobrze zamykał bramę. Na klucz. Bo różne rzeczy się dzieją... Sam pan rozumie...”.

Tak, rozumiem. Wsunęła głowę do przodu, odsłonięta pomarszczona szyja, wytrzeszczone oczy, rozglądała się podejrzliwie. Stałem przed nią, niziutka była, malutka, zasłoniłem jej widok. „Będę pamiętał”, powiedziałem. Patrzyła na mnie pytająco. „Będę dobrze zamykał!”, ryknąłem. Wciskała palcem biały aparat w głąb ucha. Pokiwała głową, zrozumiała. „Muszę wyjść”, powiedziałem. Znowu zdziwienie. „Muszę wyyyjść...”. Przestraszyła się. Odwróciła się, przeszła przez próg i zniknęła w labiryncie sieni.

Wziąłem komputer i poszedłem. Dotarłem do placu św. Tomasza. Tam była kafeteria z darmowym dostępem do sieci. Wiedziałem, że ledwie uruchomię pocztę elektroniczną, natychmiast mnie zlokalizują. Ale nic mnie już nie obchodziło. Jakie to miało znaczenie?

Od tygodni nie zaglądałem do poczty. Fakt faktem, nie znalazłem niczego ważnego. Parę wiadomości od przyjaciół z Cypru, reklamy, oferty, „Gratulacje, wygrał pan milion dolarów”, powiadomienia z Facebooka, bezsensowne ogłoszenia, gruszki na wierzbie, śmieci. Przeleciałem raz jeszcze spis nieprzeczytanych wiadomości, wszedłem w spamy. Między reklamami i ofertami, spostrzegłem dwie wiadomości od tego samego nadawcy. Od brelock@hotmail.com. Zrozumiałem: brelok! Nie zostawiła

go w moim mieszkaniu przez zapomnienie. Zostawiła go celowo. Założyła konto o takiej nazwie, a po @ dała hot (hotel) mail. To były wiadomości z zaświatów, od Rubini!

Pierwsza z 24 kwietnia, trzy dni po zabójstwie tych z trojki, druga świeższa, z dnia poprzedzającego morderstwo nieznannej młodej kobiety na uniwersytecie. Otworzyłem pierwszą. Link do YouTube. Kliknąłem. Na ekranie ukazała się Ella Fitzgerald i zaczęła śpiewać:

*Don't worry 'bout me
I'll get along
Forget about me
Be happy, my love
Let's say that our little show is over
And so the story ends*

Kontrabas i trąbka naprzemiennie przyćmiewały pełen czułości, atlasowy głos Elli. Żal, gorycz. Zrozumiałem. Wszystko jasne. Przypomniałem sobie tamtą noc w górach, *Moonlight in Vermont*, jej twarz, jej uśmiech. Nie chciałem słuchać dalej. Zapisałem wideoklip i otworzyłem następną wiadomość. Znowu link do YouTube. Tym razem Audrey Hepburn.

*Moon river, wider than a mile
I'm crossing you in style some day
Oh, dream maker, you heart breaker
Wherever you're goin', I'm goin' your way*

Zapisałem i wyszedłem. To była ostatnia wiadomość przed... przed tym, co się wydarzyło na uniwersytecie. Teraz wiedziałem, że to, co wspólnie przeżyliśmy, nie było złudzeniem. Było prawdziwe i ważne. Nawet jeśli rozkwitało wśród obopólnej hipokryzji. Ale już za późno. Nasze drogi rozeszły się na zawsze. Ostatecznie i nieodwołalnie. Zacząłem nucić ze smutkiem:

*Pennies in a stream
Falling leaves, a sycamore...*

114/E12

Teczka „Samobójstwa”, wycinek numer 4

Wyskoczył z trzeciego piętra kamienicy, w której mieszkał, tuż przed siódmą wieczorem...

Chaniá, 25 czerwca 2012 roku

Inaczej sobie ten dzień wyobrażał. Ślub córki. Kto to słyszał, żeby zżerał go smutek w najszcześniejszych dla niej chwilach, gdy rozkłada skrzydła, gotowa wzbić się w przestworza? Co z niego za ojciec?

Tak się czuł w ostatnich miesiącach. Bezużyteczny. Siedział na krześle i obserwował je z daleka. Chciały, żeby na weselu wszystko wypadło idealnie. Najbardziej chciała tego jego żona. Kto nie chce, żeby wszystko wypadło idealnie na ślubie dziecka? Nie to, że i on się nie starał. Starał się, na ile mógł. Cokolwiek robił, robił z sercem.

Ale... To „ale” zawsze przychodzi w najmniej odpowiednim momencie, prześladowuje nas, nęka. Jak diabeł, co wyczekuje, by nogę podstawić, zamieszać, przeszkodzić. Wydatki na wesele były ogromne. Chociaż się wystrzegali rozrzutności. Żona i córka martwiły się trochę, że trzeba będzie zrezygnować ze zbytku, ograniczyć się do tego, co najpotrzebniejsze, ale on uspokajał, że sobie poradzą, da Bóg, znajdą jakiś sposób. Jego serce i dusza wiedziały jaki. Trzymał to w tajemnicy. Patrzył na córkę podekscytowaną, szczęśliwą, i co niby miał jej powiedzieć „powściągnij zapędy, nie stać nas na wszystko”? Nie.

Dni mijały, trzeba było dać zaliczkę fotografowi i w kwiaciarni, w cukierni i w restauracji. Skąd wziąć pieniądze?

Z odprawy emerytalnej opłacili dziecku studia. Reszta poszła na podatkowe haracze. Na co wystarczy groszowa emerytura? Poszedł do banku, poprosił o małą pożyczkę. Odmówili. Pukał do drzwi przyjaciół. Albo to byli w lepszej sytuacji? Nie mieli. Postanowił sprzedać trochę ziemi, którą miał na wsi, spadek po świętej pamięci ojcu. Myślał, że kiedyś tam wróci, zbuduje niewielki dom, spędzi ostatnie lata w rodzinnych stronach, ale widać nie było mu pisane. Tylko kto tę ziemię kupi? I za ile? Śmieszne mu się wydało. Kto ma pieniądze w dzisiejszych czasach? Komu ich zbywa? I co by z tą ziemią zrobił? Pole na pustkowiu... Ale choćby

i parę groszy dostał, spłaciłby część należności. Dał ogłoszenie do gazety. Telefon nie zadzwonił ani razu.

Potem pomyślał o ubezpieczeniu na życie. I w miarę jak mijał czas, a pieniędzy na ślub nie było, myślał o tym coraz częściej. Czytał warunki umowy, i te duże, i te drobnitkie litery, i miał wrażenie, że znalazł rozwiązanie. Poszedł do prawnika. Wypytał go, w zaufaniu. Co się stanie, jeśli... A ten dał mu do zrozumienia, że raczej... w porządku.

Siedział zamyślony i zastanawiał się nad planem, obserwując żonę i córkę, gdy przygotowywały zaproszenia i migdały w cukrze dla gości weselnych, gdy wydzwaniały tu i tam.

Tak, inaczej sobie wyobrażał ten dzień. Rozmarzył się. Prowadzi pannę młodą przez kościół, całą w bieli, anioła, i oddaje ją panu młodemu. A potem stoi i patrzy z dumą, jaka jest piękna, jaka szczęśliwa. A potem, przy stole, zanuci parę przyśpiewek i będzie tańczył, będzie tańczył i śpiewał całą duszą, całym sercem.

Podjął decyzję. Wszystko wyważył w duchu. Ból, którego będzie przyczyną, i nadzieję, którą da dzieciom na dalsze życie. Z jego zguby wyrośnie przynajmniej nadzieja. Wierzył w to. Ze łzami w oczach pisał emerytowany policjant list pożegnalny. Wszystko im wytłumaczył. Prosił, żeby mu wybaczyli i okazali zrozumienie, bo to, co zrobił, zrobił z miłości. Prosił, żeby nie rezygnowali z wesela i przygotowań. Zabawa niech będzie taka, jak zaplanowano, niech się radują każdą chwilą. Miłość do córki, pisał, jest niewyczerpana, bezbrzeżna. Niech się nie martwi. Będzie się cieszył razem z nią, stanie w kątku, będzie na nią patrzył i rósł z dumy. Na koniec prosił, żeby poszli do takiego a takiego prawnika, on wszystko im wytłumaczy. Z ubezpieczenia uregulują koszty ślubu i jeszcze im coś zostanie na dobry początek.

Potem rzucił się z trzeciego piętra bloku na ruchliwą ulicę w Chaniá. Przechodnie podnieśli krzyk.

115/A45

Wracałem z pobliskiego kina okutany w nieprzemakalną kurtkę, z rękami w kieszeniach. Na ulicach żywego ducha. Przed oczami miałem jeszcze obrazy z *Aleksandra Wielkiego* Angelopulosa⁸⁵. Herszt w ozdobnym hełmie, odziany jak Kolokotronis, siedzi na rumaku, jego zuchy i jeńcy – lordowie – w tyle. Głos herszta dyktuje władzom żądania. A potem strzały i rzeź.

Nagle... poczułem, że ktoś mnie śledzi. Jakiś cień. Zobaczyłem, że skręca za róg i zatrzymuje się za zdewastowanym kioskiem. Ciarki mnie przeszły. Wydało mi się, że to herszt na koniu. Przyspieszyłem kroku. Cień za mną. Biegłem co tchu. A gdzieś z tyłu łowczy, mój prześladowca. Zdobyć miałem być ja. Rozglądałem się. Zaszczuty. Osaczony. Stary but rzucony na chodniku, pusta puszka po konserwie, poplamione tłuszczem gazety, gnijąca sałata, skórki melona, plastikowe torby. Wywrócony pojemnik na śmieci. Ktoś go musiał porządnie kopnąć. Przeskoczyłem przeszkodę. Pozamykane drzwi, ciemne wystawy, gdzieniegdzie neony. Nazwy firm. Pustka. Ciemność.

Zobaczyłem otwarty lokal w piwnicy naprzeciw. Niewiele myśląc, ruszyłem w jego stronę. Ledwie przekroczyłem próg, uderzył mnie odór stęchłego powietrza. Śmierdziało piwem, potem, niemytymi ciałami, haszem. Wszystkim po trochu. Speluna.

Skrzywiłem się, ale nie miałem wyboru. Usiadłem przy barze. Zamówiłem tanią whisky, Johnny Walker Red, z lodem. Gorycz. Rozejrzałem się. W drugim końcu sali siedzieli dwaj faceci. Przy stole pośrodku – kobieta i mężczyzna. Wypiłem pierwszy łyk i poczułem aurę jej obecności. Podeszła do mnie. Usiadła na stołku obok, próbowała zagadać. Normalka. „Sam?”, „Tak, sam”. Prawie zaczęła ocierać się o mnie jak kot. Nie chciałem. Uniosłem rękę, potrzebowałem spokoju. Spojrzała na mnie koso, skrzywiła się. Nie odwróciwszy nawet głowy, wypiłem whisky jednym haustem, zapłaciłem, wyszedłem. Cień zniknął. Zbójcy Angelopulosa też.

⁸⁵ *Aleksander Wielki* (gr. *Megaléksandros*) – film jednego z najznakomitszych greckich reżyserów Teodorosa Angelopulosa z 1980 r. nawiązuje do „rzezi w Dílesi”, akcja toczy się jednak na przełomie XIX i XX w.

116/B17

Późnym popołudniem Papadópulos wpadł złożyć pełnomocnictwo. Popołudniowe wizyty stały się codziennym zwyczajem. Jak drzemka w środku dnia albo wieczorny spacer. Obciążał nimi zresztą rachunek Sergidisa. A liczył sobie słono. Tak, Katerina skontaktowała się z nim. Była poruszona. Przyszedł do niej policjant i zażyczył sobie informacji dotyczących Aleksisa Sokardisa. Ale gdy zaczęła szukać w systemie, ze zdumieniem stwierdziła, że nie może niczego znaleźć. Nazwiska nie było. Zadzwoiła do koleżanki z Centralnego Archiwum Państwowego. To samo. Coś dziwnego się działo.

Sergidis zdał sobie sprawę, że na niewiele może liczyć. Teraz wszystko jasne. Krople zimnego potu spłynęły mu po plecach, po kręgosłupie. Przeszedł go dreszcz. Musi się z tym pogodzić. Wokół niego i w nim zapanowała kompletna cisza, spokój. Chrup... chrup... słyszał bez mała tego robaka, czuł leciutkie, delikatne jak pieszczota, ukłucia w tkankach. Zmartwiał. Jakby zniecka ucichł wszelki gwar na ruchliwym placu. Lodowaty chłód. Tak, lodowaty chłód zalał mu duszę. I przypomniał sobie dzień sprzed lat, gdy spacerował po Pierwszym Cmentarzu Ateńskim. Dziwne żarty stroi sobie czasami umysł...

Wtedy też tak było. Kompletna cisza. Przechadzał się między grobami, rzędami drzew, trzymając w dłoni minoltę i szukając grobu Lloyda. Julia Lloyd pragnęła być pochowana w Atenach. Edward Lloyd pracował w Greckich Kolejach Żelaznych. Sergidis zastanawiał się, czy jego grób jeszcze istnieje. Ciała Herberta i Lloyda dotarły do Pireusu na okręcie wojennym Afroessa wczesnym rankiem 23 kwietnia, w Wielką Sobotę. Trumny okryte angielskimi flagami przewieziono pociągiem do Aten. Angielscy marynarze i żołnierze nieśli je na ramionach przez Hermesa i plac Konstytucji na ulicę Filhellenów, gdzie stały przez pewien czas w kościele anglikańskim pod wezwaniem św. Pawła.

Pogrzeb rozpoczął się o czwartej po południu w obecności, między innymi, rodziny królewskiej, arcybiskupa Aten i Świętego Synodu, rady ministrów w pełnym składzie i korpusu dyplomatycznego. Członkowie rodziny królewskiej byli poruszeni. Do tego stopnia, że wieczorem nie pojawili się na uroczystej liturgii Zmartwychwstania Pańskiego w katedrze. Pierwszy raz. I jedyny. W liście do metropolity Teofila, król Jerzy „głęboko wstrząśnięty ze wszech miar przejmującym pogrzebem”, w którym uczestniczył po południu, prosił o zwolnienie z uczestnictwa w świętej

liturgii w katedrze, pragnął bowiem pozostać z królową w kaplicy pałacowej. Uroczystości pogrzebowe celebrował wielebny Hill. Korespondent „The Standard” napisze parę dni później: „Ludzi przepęłniał smutek i wstyd. Tysiące osób zgromadziły się przed kościołem. Wszyscy bardzo przejęci. Kobiety płakały, a w tłumie panowała taka cisza, jaką aż trudno sobie wyobrazić”. Złożono ich do grobów na cmentarzu protestanckim. Jednakże następnego dnia dotarł telegram od rodziny Herberta. Proszono o przesłanie zwłok do Londynu. Tam chcieli je pochować. Erskine wydał polecenie, by ciało odkopać, zabalsamować, włożyć do trumny, przetransportować na Antelope i wyekspediować do Anglii. Przesyłka do Somerset. Kilka miesięcy przed śmiercią Herbert spotkał się przypadkiem na ulicy z amerykańskim ambasadorem Tuckermanem. Wracał, jak powiedział ambasadorowi, z cmentarza protestanckiego, położonego opodal rzeki Ilisós, i był bardzo przygnębiony. Po czym dodał słowa dziwne i prorocze, że poprosi Erskine’a, żeby „go wysłał do domu”. Ciało de Boyle’a wyprawiono już do Italii. Ciała Herberta i Vynera przeniesiono na Malcie na parowiec Delta, który w niedzielę 14 maja dotarł do Southampton. Flagi na wszystkich statkach opuszczono do połowy masztu. Miasto okryło się żałobą. Sklepy i lokale przy ulicach, przez które szedł kondukt żałobny, były zamknięte, kobiety i mężczyźni ubrani na czarno. Następnego ranka w opactwie westminsterskim dziekan Arthur Stanley odprawił krótkie nabożeństwo. Parę lat wcześniej Stanley odwiedził Pendeli. Jego przewodnikiem był Aléksandros Anemojanis.

Sergidis, jak w wirtualnej rzeczywistości, doświadczał bezruchu, wiecznego pokoju odpoczywających pod grobowymi płytami. Dotarł do cmentarza protestanckiego w południowej części Pierwszego Cmentarza Ateńskiego. Wszędzie marmury, pomniki i migotliwy blask, który oślepił go w słońcu poranka. Uniósł prawą dłoń do czoła, osłonił oczy. W czasie poszukiwań natknął się na grób Irene Noel, samotny i zapomniany w jakimś kątku. Obejrzał imponujący grobowiec Finlaya. Miejsca pochówku Lloyda nie mógł odnaleźć. Urzędnik w biurze Cmentarza zajrzał do ksiąg i spisów: „Proszę: Edward Lloyd, rząd C”. Znalazł.

„Urodzony 11 stycznia 1832. Zamordowany przez zbójców w Dílesi 21 kwietnia 1870” informował napis na płycie. A dalej: „Z głębokości wołam do Ciebie, Panie, o Panie, słuchaj głosu mego! Ty udzielasz przebaczenia. Psalm 129”. Żłobione litery pokryte czarnymi znamionami

czasu i wilgoci, liszajami porostów, były trudne do odczytania. Biały marmur, prosty grób otoczony żelaznym ogrodzeniem, kaganek wyryty na krzyżu.

Sergidis przysiadł, by odetchnąć chwilę na ławeczce naprzeciw, między cyprysami, i patrzył. Dotknął niechcący jakiejś nagrobnej płyty. Była gorąca, parzyła, cofnął rękę. Ciepło rozeszło się po ciele. Przypomniał sobie słowa liturgii za zmarłych. „W miejscu łąk zielonych, w miejscu ochłody”. Co za przeciwieństwo! Był wykończony, zlany potem. Wyjął chustkę, otarł czoło i kark. A potem, jak na życzenie, zawiął lekki wiatr, rozległ się brzęk toczącej się pustej puszeki, gdzieś z tyłu, w alejce, zaszumiały cyprysy. Orzeźwienie. Kos gwizdał beztrąsko, cykady zdzierały gardła. Patrzył na kamienny mur, na szczyby czasu, na purchle wydęte wilgocią, na pomniki nagrobne, ściśnięte jeden obok drugiego. Tyle mogił, tylu umarłych. Taka daremność. Zielsko wyrastające i więdnące między grobami. Doczesne życie, nicość wobec ogromu wiekuistej śmierci.

I wtedy pomyślał o Fredericku Vynerze. O jego samotnym pomniku w Yorkshire, o gotyckiej świątyni Chrystusa Pocieszyciela ze wspaniałymi witrażami, którą ufundowała lady Vyner ku pamięci syna w cichym zakątku Newby Hall. Ci tutaj leżą jeden nad drugim, zagubieni i zapomniani w podziemnym labiryncie. Któregoś dnia i jego, Sergidisa, tu pochowają. Nie wymiga się. Włożą głęboko, uwiężą, puszczą w niepamięć. Robaki już zaczęły toczyć jego ciało.

Tymczasem jakaś czarna dziura, wir czasu, wciągnął go jeszcze głębiej, wessał, strawił. I wypluł w rzeczywistość, okrytego szlamem, sokami trawiennymi, wysuszonego i pomarszczonego, tu, do aresztu. Rozejrzył się. Cella nie była wiele większa od grobu. Jego grobu.

117/A46

„Chodź... Chodź, kochanku doskonały. Połóż się”, powiedziała, klepiąc żółtą kanapę otwartą dłonią, jakbym był psem, który zaraz przyleci.

Znowu chciała, żebyśmy odgrywali role. Nie, nie pokojówki i boya hotelowego. Inne. Patrzyłem na nią zaciekawiony. „Ale...”, zacząłem.

Nie dopuszczała sprzeciwu. Sprawiała, że położyłem się na kanapie. Podsunęła mi poduszkę pod kark. „Odpręż się... Odpręż...”. Siadła obok. Przyjęła pozę doświadczonej psychoterapeutki. Gdyby miała okulary, włożyłaby je na nos. Ja byłem pacjentem. „Zamknij oczy”, powiedziała. Rozkazała. I zaczęła zadawać pytania. Skąd przychodzę i dokąd zmierzam. Nalegała, żebym odpowiadał, wymagała absolutnej powagi. Karciała mnie, przywodziła do porządku, dawała odpór mojemu narzekaniu, krzywiła się z niesmakiem na moje żarty.

„Nie chcesz się chyba dowiedzieć, kim byłem w poprzednim życiu?”, powiedziałem dla zgrywy i otworzyłem oczy. Popatrzyła surowo. Zmusiła mnie, żebym znowu pogrążył się w ciemności.

Spytała o dzieciństwo. Zacząłem opowiadać o swoim życiu, o szkole, jak cierpiałem przez grubasa Kostisa, o wędkowaniu z ojcem nad rzeką, o moim pierwszym i ostatnim rowerze. Pytała o mamę, o ojca.

Zawahałem się. Wiedziała, że ojciec zmarł, gdy byłem mały. Choroba, powiedziałem jej kiedyś. Nic więcej. I na tym stanęło. Ale teraz... Teraz nalegała. Wypytywała, naciskała. Odkryłem przed nią prawdę o samobójstwie. Opowiedziałem o dniu, gdy znaleźliśmy go z mamą w gabinecie z dziurą w głowie. Opisałem całą scenę. Kolejny raz przeżyłem tamte przerażające chwile i trudne, pełne udręki następne lata. Gula w gardle. Łamiącym się głosem wyjaśniałem, dlaczego tak bardzo nienawidzę winnych śmierci ojca – bo dla mnie oni byli winni – finansistów, bankierów i ich chciwości; nieudolnych polityków, którzy przyczynili się do tej tragedii; tych z trojki.

Zacząłem płakać. Płaczem oczyszczającym. Od dawna tak nie płakałem. Czuję, jak toksyny, wszystkie trujące substancje, które przez lata gromadziły się w moim ciele i mózgu, wyciekają jedna po drugiej i nikną, czuję, jak napięcie i skrywana gorycz wydobywają się z głębin mojego jestestwa na powierzchnię.

Podniosła mnie z kanapy, objęła, przytuliła. Głaskała po włosach. A ja poczułem, jak jej ciepło ogarnia mnie całego, słyszałem bicie jej serca puk... puk... puk. Poczułem jej łzę na policzku. Otworzyłem oczy

i spojrzałem na Rubini. Płakała bezgłośnie i głaskała mnie, jakbym był jej zwierzątkiem. „Wybacz mi... Wybacz... Nie wiedziałam”, szeptała.

Wtedy widziałem ją ostatni raz.

118/C22

Apostolu czyta ostatnie strony notatek, które sporządził z materiałów Sergidisa o rzezi w Dílesi. Ma nadzieję, że coś tam znajdzie. Niewidzialną nić, która połączy „wtedy” z dziś. Wie, że obecne wydarzenia są następstwem innych wydarzeń, których podmuch dociera do naszych czasów, których ślady są wciąż widoczne i w nas, i wokół nas.

Po zabójstwie lordów dominowało odczucie, że Anglia zaatakuje Grecję zbrojnie i zajmie stolicę. Albo podejmie działania wspólnie z innymi mocarstwami. Kanclerz Austrii groził zamknięciem ambasady w Atenach. I obiecywał Anglii współpracę „we wszystkich sankcjach wobec Aten”. Francuski ambasador w Londynie La Valette zapewniał szefa angielskiej dyplomacji Clarendona, że „rząd cesarza postąpi tak, jak Anglia sobie życzy i kiedy sobie zażyczy”. Stany Zjednoczone zachowywały stanowisko „neutralne”, toczyły bowiem z Wielką Brytanią spór o odszkodowania za ataki brytyjskiego okrętu wojennego Alabama na amerykańskie okręty wojenne. Jedynie Rosja opowiedziała się otwarcie po stronie Grecji i zagroziła, że nie pozostanie obojętna w przypadku inwazji. Król Jerzy zarzekał się, że opuści kraj, gdzie „niczego nie można zdziałać”. Napisał list do zięcia, księcia Walii, list przepraszący i do pewnego stopnia poddańczy, w którym wyraził ubolewanie i skruchę. Dodał, że opozycja dopuściła się „puczu”, aby zdyskredytować rząd w oczach ludu. W Izbie Gmin sir Henry Bulwer – przy szerokim poparciu dla swoich poglądów – oświadczył co następuje: „Rząd niezdolny zaspokoić podstawowych potrzeb cywilizowanego państwa trzeba zastąpić rządem, który będzie potrafił temu sprostać, a jasne jest, że Grecja potrzebuje dogłębnej zmiany, by się odrodzić. Jasne także jest, że status mocarstw-gwarantów daje tym mocarstwom szczególny przywilej ingerencji. Kraj, którego król zasiada na tronie za sprawą trzech mocarstw, i którego istnienie zależy od gwarancji tychże mocarstw, nie może być postrzegany jako całkowicie niezależny. Wzywamy zatem rząd brytyjski, by porozumiał się z naszymi sojusznikami w sprawie powołania zadowolającego rządu w Grecji”. Angielscy politycy zarzucali greckim kolegom, że wysługują się zbójcami i dzielą się z nimi po równo łupami.

W końcu, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, latem tegoż 1870 roku wybuchła w Europie wojna francusko-pruska, zapomniano więc o wydarzeniach w Grecji.

Przez cały okres uwięzienia lordów uwięziona była także sama Grecja. Prym wiodła Anglia, a ambasador Erskine odegrał rolę nikczemną. Kontrolował wszystko. Na podstawie wskazówek z resortu spraw zagranicznych swojego kraju domagał się kategorycznie, nie stroniąc od szantażu, uczestnictwa w posiedzeniach rady ministrów. I grecki rząd naturalnie ulegał. Erskine uczestniczył więc wraz z ambasadorem Italii de Minervą we wszystkich posiedzeniach rady ministrów od 11 do 27 maja 1870 roku. Czasami nawet dwukrotnie w ciągu dnia. Dyskusje miały dramatyczny przebieg. Cudzoziemscy dyplomaci, skorzy do sprzeczek, dyktowali rządowi, co ma robić i w bezczelny sposób wyklócali się z greckimi ministrami, żądając uparcie, zwłaszcza w pierwszych dniach, amnestii dla zbójców. Erskine zażądał ponadto, i to z powodzeniem, by zezwolono jemu osobiście – nowemu Sherlockowi Holmesowi – oraz jego asystentowi z ambasady, niejakiemu Watsonowi, na śledzenie całego procesu dochodzeniowego. Później, wskutek tajnego porozumienia zawartego z pogwałceniem konstytucji, przybyli w tym samym celu z Konstantynopola: zastępca konsula Wielkiej Brytanii w Lewancie Charles Cookson oraz jego asystent Edward Allen. Obaj panowie rozgościli się w Atenach na dłużej niż trzeba i robili, co im się żywnie podobało. Wszędzie ich było pełno – i po jednej, i po drugiej stronie granicy. Już po wszystkim prasa angielska surowo krytykowała ambasadora Erskine'a, przerzucając na niego odpowiedzialność za pokierowanie sprawą. Erskine doznał załamania nerwowego. I nigdy się z niego nie podniósł. Królowa Wiktorja wielokrotnie domagała się, by go zastąpić kim innym. W Atenach uznawano go za wariata, osobisty lekarz zalecał mu odpoczynek. Stan zdrowia Erskine'a uległ pogorszeniu w kwietniu następnego roku, po pogrzebie włoskiego ambasadora de Minervy. Poprosił wówczas o urlop wypoczynkowy, lecz odpowiedź na jego depeszę nigdy nie nadeszła. Nie czekając długo, wyjechał na parę tygodni do Włoch. Potem dostał przeniesienie. Na placówkę do Szwecji i Norwegii. Daleko.

21 kwietnia brytyjski minister spraw zagranicznych Clarendon wezwał do siebie ambasadora Grecji. Był wściekły. „W końcu się uspokoił. Ale nigdy nie widziałem go w takim stanie”, pisał później ambasador Petros Wrailas-Armenis. W następnych dniach grecki dyplomata przekazał brytyjskiemu ministrowi list kondolencyjny, w którym król i rząd wyrażali swój smutek i żal. Napisano w nim: „Grecja będzie długo opłakiwała to tragiczne wydarzenie, które uważa za wielką narodową katastrofę”.

23 kwietnia podał się do dymisji „kum”, minister wojskowości, Skarlatos Sutsos. Zastąpił go Smolenski⁸⁶. Prasa i opozycja jednym głosem oskarżały Sutsosa o wspieranie zbójców. Zbójcy twierdzili w zeznaniach, że chronił ich także szef jednego z departamentów Ministerstwa Sprawiedliwości, dobry znajomy Takosa Arwanitakisa. Za granicą krążyła plotka, którą naturalnie opublikowano, że Sutsos, „król numer dwa”, wyzwał na pojedynek i ranił jednego z oskarżycieli, a zarazem swego politycznego przeciwnika Panosa Koroneosa. Wiele lat przed wydarzeniami w Dílesi, w roku 1858, banda Kalambalikisa ukrywała się w Tatoi, nieopodal posiadłości Sutsosa. Ze swojej kryjówki zbójcy zobaczyli go wyjeżdżającego na polowanie. Ktoś poddał myśl, by go pojmać. Ale przywódca natychmiast powstrzymał te zapędy. „Sutsos”, rzekł, „to król numer dwa i czasami załatwia nam amnestię”.

Apostolu kręci głową. Widzi podobieństwa z teraźniejszością. To wszystko, o czym głośno mówi Sergidis. Nic się nie zmieniło w tym kraju. Nic. Polityczne pojedynki, ataki personalne, kruszenie kopii w obronie własnych interesów – zwykli ludzie niech sobie radzą sami. Nadużycia i brudne pieniądze, polityka jako środek do zdobycia majątku, żaden z polityków nigdy nie postawił weta wielkim i możliwym, nie powiedział „nie”, choćby raz. Sergidis ma rację.

W niedzielę 24 kwietnia lord Muncaster poszedł na Pole Aresa zobaczyć głowy zbójców. Tłum rozstał się, dając mu drogę, a on rozpoznał niektórych z porywaczy.

27 kwietnia sir Alexander Milne, admirał floty brytyjskiej na Malcie, rozkazał eskadrze marynarki wojennej udającej się do Pireusu „w przyjaznych zamiarach” kontynuować podróż aż na Kretę.

28 kwietnia i 20 maja obradowała Izba Gmin.

30 kwietnia okręt wojenny Royal Oak dostał rozkaz wpłynięcia do Zatoki Salamińskiej. „Na wypadek, gdyby potrzebna była pomoc”, napisał Clarendon do Erskine’a.

Tego samego dnia aresztowano Parteniosa Wrettosa, igumena monasteru w Pendeli.

2 maja w parlamencie brytyjskim dyskutowano na temat wydarzeń w Grecji. W gazetach wrzało. Gladstone’owi udało się powstrzymać zapalczywość zwolenników wojny.

7 maja zebrał się brytyjski gabinet.

9 maja przybył do Grecji z Konstantynopola sir Henry Eliot, ambasador Wielkiej Brytanii w Imperium Osmańskim. W czasie spotkania z Eliotem król Jerzy dał wyraz niemożności pozostania na tronie bez pomocy „zaprzyjaźnionych rządów”. Obarczał winą Wulgarisa i Kumundurosa i prosił mocarstwa o poparcie jego wysiłków na rzecz zmiany konstytucji. Eliot spotkał się także z przywódcami opozycji. Oburzył go cynizm i egoizm, z jakimi Kumunduros i Wulgaris traktowali rzeź w Dílesi, uważając, że Bóg zesłał ją w celu pozbycia się premiera Zaimisa.

W sobotę 9 maja w budynku liceum Warwakisa, w okolicy zwanej wówczas Pitarádika, nieopodal Pola Aresa, rozpoczął się proces zbójców ujętych w Dílesi. Obecni byli ambasadorowie wszystkich wielkich mocarstw: Anglii, Włoch, Francji, Rosji i Stanów Zjednoczonych. Przesłuchano blisko pięciuset świadków, w tym około stu rolników i hodowców. Zbójcy Konstandinos Monachós, Aleksios Chormowitis, Nasios Katsonis, Spanós i Fotios Ikonomu zostali skazani na śmierć.

22 maja gazeta „Eon” napisała, że „poseł z Megaridy K. Maleas oraz jego brat, wójt, zostali ujęci i uwięzieni za współudział w rabunkach oraz za konszachty z Arwanitakisami. Ich politycznym mocodawcą był Kumunduros. 28 marca 1870 roku poprosili Arwanitakisów o wsparcie w trakcie wyborów”.

23 maja i 11 lipca obradowała Izba Lordów. Lord Stratford wyłuszczył stanowisko Anglii: albo flota angielska będzie stacjonowała przez pięć do dziesięciu lat w Pireusie, jeden z angielskich ministrów będzie uczestniczył w pracach rządu greckiego oraz wprowadzone zostaną surowe środki militarne dla zwalczania zbójstwa, albo Anglia wycofa się z gwarancji i zrezygnuje z ponoszenia jakiegokolwiek odpowiedzialności za Grecję.

8 czerwca o siódmej rano, w blasku gorącego attyckiego słońca, na Polu Aresa ścięto zbójców na gilotynie, którą Bawarczycy sprowadzili do Grecji w 1832 roku wraz z królem Ottonem i... cywilizacją. Skazańcom nie pozwolono odwołać się od wyroku. Zbójca Periklís Lioris, który podjął współpracę z władzami, ocalił głowę. Pewna francuska pisarka zainteresowała się osobiście jednym ze zbójców, „urodziwym młodzieńcem z jasnokasztanowymi włosami, który nie wydawał się tak przerażający jak inni”. Utrzymał on, że przystał do bandy Arwanitakisów zaledwie siedemnaście dni przed uprowadzeniem lordów. Już wczesnym rankiem zgromadziły się tłumy ludzi pragnących obejrzeć publiczną egzekucję. Byli

też obecni ambasadorowie i pracownicy zagranicznych misji dyplomatycznych. Dwaj kaci zawczasu sprawdzili drewnianą gilotynę i ją wypróbowali. Odczytano wyroki sądu. Konstandinos Monachós, znalazłszy się na platformie egzekucyjnej, zwrócił się do katów z prośbą, by go nie męczyli. A potem spojrział na tłum i zawołał: „Wybaczcie mi, wybaczcie, niech mi Bóg wybaczy!”. Zgromadzeni wyszydzili te słowa krzykami i gestami. Kat rozwiązał i puścił swobodnie sznur. Dał się słyszeć dźwięk spadającego ostrza, głowa oddzieliła się od ciała i wpadła do plecionego kosza. Na ostrzu odznaczyły się dwie pionowe czerwone krechy – w miejscach zetknięcia z arteriami szyjnymi. Podobnie rzecz się miała z pozostałymi skazańcami, oni także prosili o wybaczenie. Obecny przy egzekucjach był – któżby inny? – Ksenofón Watis ze swoim miechem.

6 lipca upadł rząd Zaimisa.

19 lipca wybuchła wojna francusko-pruska. Europa wstrzymała oddech. Jej uwagę zajęły sprawy inne niż greckie.

W sierpniu władze tureckie ujęły zbójcę Kapsalisa, a 14 listopada Karawidasa. Obaj zostali przekazani Grecji i straceni na szafocie.

W sierpniu lord Muncaster został przyjęty w zamku Windsor. Królowa Wiktorja śledziła rozwój wypadków po rzezi i, wedle zapisków z jej prywatnego dziennika, była niezwykle zasmucona, ale też nieusatysfakcjonowana dochodzeniem prowadzonym przez władze greckie. W jednej z publicznych wypowiedzi wspomniała, że nie ustanie w wysiłkach, by zapewnić powodzenie śledztwa i mówiła o „rządach bezprawia i zepsucia, z którymi od tak długiego czasu boryka się półwysep grecki”. Grecka społeczność w Londynie zebrała i przekazała wdowie po Lloydzie trzy tysiące funtów. Król Jerzy ofiarował jej tysiąc funtów z osobistych środków. W ślad za nim poszedł rząd grecki, asygnując kwotę dziesięciu tysięcy funtów.

Po rzezi wprowadzono surowe sankcje. W ciągu trzech miesięcy zgładzono pięćdziesięciu zbójców. Wielu innych znalazło schronienie na terenach tureckich.

21 września Frank Noel został oskarżony o współudział w uprowadzeniu jeńców. Zamknięto go tymczasowo w więzieniu w Chalkidzie. 28 stycznia 1871 roku został uniewinniony przez sąd.

Rzeź w Dílesi zajmowała uwagę opinii publicznej przez wiele miesięcy, a w kwietniu 1871 roku odbył się proces tselingasów, zarządców wielkich stad, których oskarżono o współpracę z Arwanitakisami i skazano.

Przesłuchano ich sześćdziesięciu. Kostas Seliamis został skazany na dożywocie. Przeciw niemu zeznawali Gleissner i Dionisios Dragonas, służący de Boyle'a, który widział oskarżonego wśród zbójców w Oroposie, jak rajcował z Takosem. Widział go też następnego dnia w Atenach z paroma innymi zabijakami. Dragonas był wtedy z Gleissnerem, pojechali po zaopatrzenie dla jeńców. „Świece i rum, tytoń i papier, takie rzeczy, kawa”. Spotkali Seliamisa „opodal hotelu »Wschód«, przy jednej z głównych ulic miasta”, uzupełnił Gleissner. Seliamis wymienił uścisk dłoni z Dionisiosem, pozostali także. Seliamis zaproponował, żeby wypili po szklaneczce wina. „Poszliśmy do pierwszego z brzegu lokalu – mówił Gleissner – i wypiliśmy z nimi po szklaneczce wina, po czym wyszliśmy, zostawiając ich w tamtym miejscu. Dionisios powiedział mi: »Nie oglądaj się... Zauważyłeś tego w białej chustce na głowie?« Tak, odpowiedziałem. A on: »Był ze zbójcami wczoraj o dziewiątej«. Zdziwiłem się: »Naprawdę? I tak sobie tu oni wszyscy chodzą jak zwyczajni obywatele?« Mieli noże i tradycyjne stroje greckie. A on powiedział: »To szpiegzy. Czy należą do bandy, czy są szpiegami zatrudnionymi przez zbójców, na jedno wychodzi. Wielu jest takich w Atenach«”. Tak, to był Seliamis. Kawał drania. Jak wykazano w śledztwie, przebywał w Pikierni w dniu pojmania jeńców. Widział całe zajście. Udawał, że pasie swoje stado. Jego brat był znanym rozbójnikiem. Zeszłego roku uprowadził pewnego kupca. Seliamis miał więc, jak się zdaje, doświadczenie. Jorgis Janu Arwanitakis dostał pięć lat więzienia. Innym jedenastu wołoskim pasterzom zasądono lżejsze kary.

Za Takosa, który nie stawiał się na wezwania sądu od 1857 roku, wyznaczono nagrodę. Jej wysokość sięgnęła dwudziestu tysięcy drachm. Minister spraw zagranicznych Walaoritis zapewniał Erskine'a, że zgodnie z wiedzą rządu Takos ukrywa się w jaskini w Megarze. Erskine z kolei informował Muncastera listownie o swoich zasadnych podejrzeniach, że to Noel ukrywa Takosa i pozostałych uciekinierów oraz że Takos był ranny i ranę opatrywał mu „ktoś, czyje nazwisko znam”. Natomiast 7 lipca twierdził z przekonaniem, że Takos „przebywa na Eubei”. Na wyspę wysłano grupę żołnierzy i ochotników do wytropienia bandy.

[86](#) Konstandinos Smolenski (1843–1915) – uznany za bohatera narodowego za zasługi w wojnie grecko-tureckiej w 1897 r. Dwukrotnie minister wojskowości. Syn Leonidasa, polskiego filhellena o greckich korzeniach, który przybył z Polski do Grecji w 1825 r. i uczestniczył w walkach narodowowyzwoleńczych. Także dwukrotny minister wojskowości.

119/B18

Straciła grunt pod nogami. Siedziała w domu i płakała. Nie wiedziała, w co wierzyć. Fakty z gazet wydawały się nie do podważenia. Serce jednak podpowiadało co innego. Niemożliwe, żeby ten człowiek zrobił to, co mu zarzucają. Niemożliwe. Jakże by mógł? Chyba że świat stanął na głowie. Gdy skontaktował się z nią Papadópułos, adwokat, przekazała dane, o które prosił Sergidis. Nic więcej.

Była bardzo rozczarowana. Jej życie to katastrofa. Kompletna katastrofa. Nie wiedziała, co robić. Była załamana. Ale gdy odkryła, że nazwisko Aleksisa Sokardisa zniknęło z systemu ministerstwa, a także z systemu w Centralnym Archiwum Państwowym nabrała pewności. Działo się coś bardzo dziwnego. Miał rację Romanós. Wrobili go.

Rzeź w Dílesi stała się także ich historią. Połączyła ich na początku znajomości i naznaczyła na resztę życia. Teraz, po stu czterdziestu trzech latach. Tak, była absolutnie przekonana, że chodzi o spisek. I na nowo skontaktowała się z Papadopulosem. Chciała odwiedzić Romanosa. Jak najszybciej. „To dozwolone?”.

120/D22

Śledzę ich losy. Co stało się z bohaterami tej historii? Z kim utożsamiam się moje życie? Ze zbrojcami? I z którymi? Z tymi, którzy zostali zabici i ścięci po rzezi? Czy z tymi, którym udało się zbiec? Albo może z tymi wszystkimi, którzy w tej tragicznej historii stracili swoich bliskich i potem przez całe życie prześladowały ich tamte wspomnienia? Czy mnie uda się dotrzeć do mojej wyspy, tak jak kiedyś udało się to mojemu przodkowi, Drakosowi?

A więc tak: Takos, wraz z kilkoma towarzyszami, w dwa dni po rzezi zdołał przejść przez granicę. Osiedlił się w Elasonie. Wrócił do spokojnego życia. Znowu miał duże stado, znowu wypasał kozy i owce, i stworzył dom ze swoją ukochaną, z Despo. Trzy lata później padł podobno od tureckiej kuli z powodu jakiegoś... nieporozumienia. Inni twierdzą, że został zabity przez greckiego żołnierza w czasie próby przejścia do Grecji w okolicach Lamii.

Myślę o Barbarze Lloyd, która tak wcześnie utraciła ojca. Tragiczne. Miała pięć lat. Przeżyła makabrę w czasie pierwszych godzin po pojmaniu. Widziała przerażające, dzikie twarze zbrojców. Czy ten koszmar prześladował ją w snach? Tak jak mnie po samobójstwie ojca? Czy przyjechała jeszcze kiedyś do Aten, żeby odnaleźć grób ojca? Złożyć bukiet kwiatów na białej płycie nagrobnej? Jak wzrastało to dziecko? Z jak wielkim bólem w sercu? Czy zachowała medalion, który podarowali jej Muncasterowie? Jednego jestem pewien: do końca życia czuła na piersi bijące serce ojca, który siedząc na koniu, przytulał ją mocno do siebie i próbował uspokoić.

A lady Vyner, która straciła syna, Fredericka? Nigdy się z tego nie otrząsnęła. Całe życie była pogrążona w żałobie. Najpierw utraciła męża, potem córkę. I wreszcie to najmłodsze dziecko, które tak bardzo kochała. Jej oczko w głowie. Nigdy nie przestała nosić czerni. Wszystkie pozostałe lata swego żywota poświęciła świątyni Chrystusa Pocieszyciela. Umarła w roku 1892, w wieku osiemdziesięciu trzech lat. Po pogrzebie Fredericka w Gautby przyjął u siebie Muncastera. Rozmawiali o chłopcu, usiłowała przeczytać mu ostatni list syna, ten pisany na kilka godzin przed śmiercią. „Przemierzam teraz dolinę śmierci, prosząc o wybaczenie”. Tak proroczo napisał Frederick. Wspomnił też o swojej miłości do Mary i wyraził życzenie, by wyszła za męża. Wydawał się pewien, że nie ujdzie z życiem. Przeczucia czy jakieś znaki z ostatnich chwil napełniły go takim

pesymizmem? „Biedna lady Mary czytała z wielkim trudem i nie wszystko słyszałem przez jej płacz. Ktoś pozostawiony na pastwę tak okrutnego losu nie mógł napisać bardziej wzruszającego listu”, zanotował Muncaster w swoim dzienniku. „Ze smutkiem patrzyłem na zdruzgotaną matkę. Dała mi Biblię Freda, tę, którą mu wysłaliśmy i której ostatecznie nie otrzymał, żebym ją przekazał Mary”. W tamtych ostatnich godzinach Frederick napisał też raz jeszcze do Muncastera. „Jestem przygotowany na śmierć”, pisał i prosił, by powiadomić jego rodzinę o następujących życzeniach: Po pierwsze, by nie sprzedawać jego koni, gdy już się zestarzeją i przyjdzie ich czas, tylko je zastrzelić. I dalej, „pieska mego daję matce i pragnę, jeśli to możliwe, byś zabrał moje ciało i pochował je w Anglii, bo skoro nienawidzę tego miejsca już teraz, gdy jestem żywy, to nie do zniesienia byłoby spoczywać tutaj po śmierci”. Na koniec życzył Muncasterom długiego i szczęśliwego życia!

A Mary L'Estrange? Była załamana. Miała zaledwie dwadzieścia lat i była wdową, chociaż nie wyszła za mąż. Po powrocie do Anglii lord Muncaster zastał ją wychudzoną i bladą. Na początku lady Mary Vyner wysłała do niej kilka listów. Potem przestała pisać. Mary L'Estrange wspominała dni spędzone z Frederickiem w Brukseli i w Antwerpii. Tańce, koncerty, wycieczki. Często miała łzy w oczach. Uwięziony Frederick pisał także do brata. Przeczując swój rychły koniec, prosił go o przekazanie Mary pięciuset funtów w prezencie ślubnym, gdy – i jeśli – będzie wychodziła za mąż. Lord Muncaster znalazł w końcu męża dla siostry swojej żony. W roku 1875 Mary L'Estrange wyszła za Charlesa Gore'a, dwudziestego hrabiego Erroll. Ich wnuk, lord Josslyn (imię Muncastera) Erroll, został zamordowany – co za dziwny zbieg okoliczności – również za granicą, daleko od Anglii, w Kenii, w 1941 roku. Może i w tym wypadku rolę odegrał pech przynoszony przez Muncastera?

A sam Muncaster? Śmierć młodego Vynera napiętnowała jego życie na zawsze. Krążyły słuchy, pochodzące podobno i od Julii Lloyd („Pani Lloyd rozpowszechnia o mnie plotki. Twierdzi, że w najtrudniejszych chwilach nie wsparli jej nawet rodacy”), pisano w gazetach, mówili też w swoich zeznaniach sami zbrojcy, że to on, Muncaster, był tym, który poddał myśl o amnestii, zanim go zwolniono pod warunkiem, że zbierze okup i wróci. A ponieważ nie wrócił, oskarżono go, że opuścił w biedzie towarzyszy. Do końca życia będzie pamiętał niczym senny koszmar świt tamtego Wielkiego Piątku, 22 kwietnia 1870 roku. „O piątej rano zbudziło

mnie pukanie do drzwi. Otworzyłem i ujrzałem Erskine'a przypominającego ducha. Z jego wyglądu wywnioskowałem natychmiast, że stało się coś strasznego", odnotowuje w dzienniku. Potem chodził do więzienia i rozmawiał z aresztowanymi zbrojcami. Chciał wiedzieć, jak to się stało. Poznać szczegóły o przyjacielu. „Poszedłem tam i znalazłem zbrojcę Aleksiosa [Chormowitisa]. Trzymał się za głowę. »Dlaczego mnie męczysz? Zostaw mnie w spokoju. Wiesz, że mi ją utną«, mówił”.

W swoim dzienniku Muncaster wspominał Fredericka jeszcze po wielu latach. Rok po tamtych wydarzeniach (13 kwietnia 1871), pisał o dniu, w którym zbrojcy puścili go wolno: „Mija rok, jak zegnałem drogiego Freda i innych, nie podejrzewając, że na zawsze. Zostawiłem go przy ognisku, na lesistym brzegu jakiejś rzeki, otoczonego zbrojcami”. W 1877 ufundował witraż w kościele anglikańskim przy ulicy Filhellenów. Od wschodniej strony, za ołtarzem. Cztery postaci z Pisma Świętego symbolizują czterech jego towarzyszy zamordowanych w Dilesi. Święty Szczepan wyciągający przed siebie dłonie, Paweł Apostoł z mieczem, Andrzej Apostoł z krzyżem w kształcie litery „X” i święty Wawrzyniec z żelazną kratą. Wszystkich ich spotkała męczeńska śmierć. Przez ukamienowanie, ścięcie, ukrzyżowanie, w płomieniach ognia. Napis na witrażu nawiązuje do tych, którzy wiele wycierpieli w ziemskim życiu i do nagrody obiecanej przez Chrystusa w Królestwie Niebieskim. Podobny wotywny witraż, przedstawiający tym razem aniołów, ufundował również w kościele św. Michała w Muncaster Castle. Małżeństwo Muncasterów przeprowadziło zbiórkę pieniędzy dla wdów i jedenastu sierot po dwójce żandarmów, którzy towarzyszyli im w drodze do Maratonu i których zbrojcy zabili. Wysłali im kilkadziesiąt funtów i zapewnili mały roczny dochód w wysokości dziesięciu funtów. Trzem córkom Erskine'a podarowali po medalionie na pamiątkę wspólnych przeżyć w Atenach. Dali też jakiś klejnot Gleissnerowi „na pamiątkę jego oddania”. Muncaster był w posiadaniu niektórych rysunków – szkiców, które Vyner wykonał uwięziony w Oroposie: pop w kamiławce⁸⁷ i riasie⁸⁸ siedzący na krześle, siedmiu zbrojców w fustanelach, którzy albo stoją, wspierając się na karabinach, albo z jataganami w ręku siedzą na krzesłach lub na ziemi. A na górze napis: „Nasi przyjaciele”. Cóż za tragiczna ironia! Posiadał również odręcznie spisana przez Vynera listę imion wszystkich zbrojców oraz miejsc ich pochodzenia. W sierpniu, po tragicznych przejściach w Grecji, spędził na zaproszenie królowej dwa dni na zamku w Windsorze. Podarował królowej kopię swoich notatek oraz fotografię

przedstawiającą głowy zbójców. Poprosiła, by pod każdą z głów napisał imię zbójcy. Ale jedynie tę Christosa Arwanitakisa był w stanie rozpoznać. „Królowa wydawała się niezadowolona z powodu mojej niewiedzy”, wspomina Muncaster.

Anemojanis nie znajdował już angielskich klientów. Za bezcen wyprzedawał meble, nie miał żadnych środków utrzymania. Jego rolę w tej historii uważano za podejrzaną. Muncaster był przekonany, że tłumacz współpracował ze zbójcami; Takos zwracał się do niego z poufałością. Jednakże został uniewinniony od oskarżeń. Wyszły natomiast na jaw i inne sprawy: w roku 1863 towarzyszył w Pendeli angielskim oficerom, którzy przybyli z Kerkiry – ich także zbójcy uprowadzili i zażądali okupu. Ale i wcześniej, w 1855, podczas brytyjsko-francuskiej okupacji Pireusu, mówiono, że spiskował ze zbójcami w zamachu na życie angielskiego komisarza, sir Edwarda Stricklanda.

Frank Noel na rok przed wydarzeniami w Dílesi wmieszał się w lokalne wybory, wspierając braci Aweroff, zwolenników Zaimisa, co wywołało wrogie nastawienie innych możliwych sąsiadów z wyspy, a szczególnie Wudurisa, Kriezotisa i Tombazisa. Wuduris najął zbójczą bandę i sprowadził ją na wyspę na czas wyborów. Najpierw w Limni ucztowali z wójtem. A potem wysłali do Noela list z pogrózkami. Po wydarzeniach w Dílesi wrogowie Noela pouczyli wielu fałszywych świadków, jak mają przeciwko niemu zeznawać. Po uniewinnieniu wyjechał do Anglii i długo nie wracał. Joanis Gienadios, przyjaciel Noela z czasów poprzedzających tamte wydarzenia, wypowiedział się przeciwko niemu w liście do angielskiej prasy. 2 grudnia 1870 roku udał się do domu Noelów w Hampstead, żeby się pogodzić, ale nie został przyjęty. Frank Noel wrócił do Grecji w roku 1872. Następnego roku, choć nie mieszał się już do wyborów, dokonano próby zamachu na jego życie. Jednakże stara wrogość poszła w niepamięć i wkrótce zawiązała się nowa przyjaźń między nim a Tombazisem i Wudurisem.

A co z matką Christosa Arwanitakisa? I Takosa? Przecież i ona była matką. Czy widziała w gazetach fotografię ściętej głowy syna? Co za okropność! Czy opłakiwała swoje dzieci? Czy postawiła jakiś nagrobek? Miał do tego prawo Christos Arwanitakis? Dano mu po śmierci prawo do tego, by spoczął nareszcie w pokoju? Ciała przestępców żandarmi wrzucali zazwyczaj do zwykłego dołu. Ani popa, ani krzyża, ani trumny – nic. Wyobrażam sobie tę matkę, jak siedzi na uboczu i rozpacza. Ciężkie

życie. Ciężko duszy. I jak zapala swoim dzieciom świeczkę. Jak ociera chusteczką łzy. Tyle goryczy na stare lata... Myśli o Christosie, swoim najmłodszym dziecku. Jakby to było wczoraj, gdy tuliła go jeszcze w ramionach... Gładzi jego kasztanowe włosy, delikatne policzki, a on uśmiecha się figlarnie, mruga oczkami i nagle, psotny łobuziak, wyrywa się z objęć i ucieka, „złap mnie... złap mnie...” woła do niej wdzięcznym głosem. Tak, wychowywała Christosa z nadzwyczajną czułością. W miłości do niego znajdowała pociechę po zabójstwie męża. Dlatego kazała Takosowi przysiąc na prochy świętej pamięci ojca, że nie weźmie Christosa ze sobą, że mały nigdy nie zostanie zbrojcem. Bała się, że któregoś dnia jej go zmarnują. A tu wszystko potoczyło się inaczej...

I wyobrażam sobie moją matkę, kiedy dotrą do niej wieści o mnie. Będzie zdruzgotana.

[87](#) Kamiławka – okrągłe nakrycie głowy duchownych prawosławnych, noszone wraz z riasą.

[88](#) Riasa – rodzaj sutanny z szerokimi rękawami, noszonej na co dzień przez duchownych prawosławnych.

121/C23

Apostolu polecił sekretarce pilnować, żeby mu nikt nie przeszkadzał. Przekręcił klucz w zamku, podszedł do biurka. Opadł na krzesło i zaczął bezgłośnie płakać. Pozwolił łzom toczyć się po policzkach. Rzece łez. Nie pamiętał, kiedy płakał ostatnio, chyba w dzieciństwie, bardzo dawno temu. Szlochał i szlochał, a gdy wreszcie skończył, została w nim bezbrzeżna pustka, próżnia, jego dusza była zimna, obojętna, wydrenowana. Nie istniał ani czas, ani miejsce, ani żaden dźwięk, nic, jakby go coś więziło w nicości, jakby go spowijała mgła, gęsta, nie do pokonania. Nic.

Nie minęło dziesięć minut, gdy zatelefonowała Anna. Zapłakana. Ojciec nie wytrzymał. W szpitalu na Siros dostał zawału. Ból, uciążliwości ostatnich dni pogorszyły stan zdrowia. Lekarze niewiele mogli zrobić. Ojciec zawsze patrzył na świat szeroko otwartymi oczyma. Żył najlepiej jak umiał, skromnie i uczciwie, a przede wszystkim tak, żeby nikogo nie skrzywdzić. Urodził się w czasach wojny, okupacji, ruchu oporu. Śmierć zbierała wówczas obfite żniwo. Gdy matka cierpiała bóle porodowe, gdy położna już się nad nim pochylała, Niemcy bombardowali rezydencje armatorskiej rodziny Embirikosów, a wybuchy niosły się głuchym echem aż do Ammólochos. W takiej chwili, 23 września 1943 roku, rozległ się jego pierwszy krzyk. Przyszedł na świat z oczami szeroko otwartymi i teraz te oczy, te szeroko otwarte oczy, zamknęły się na zawsze.

Apostolu siedział przy biurku w szarej, lodowatej samotności. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Co z niego za człowiek, co za syn? Zamiast być blisko ojca w takiej chwili, został w pracy. Czy chciałby, żeby i jego dzieci postąpiły podobnie w jego ostatniej godzinie, gdy przyjdzie opuścić ten marny świat i rozpocząć wielką podróż śmierci? Nie potrafił sobie wybaczyć. Wyobrażał sobie ojca w łóżku, w surowej szpitalnej sali. Wystarczyłyby mu dotyk ręki, ręki syna, wystarczyłoby mu poczuć jej ciepło, poczuć miłość rozlewającą się po ciele, przenikającą do żył, płynącą do serca. Tak, wystarczyłyby pewnie proste gesty, by odchodził, czując, że ma dziecko przy sobie w tej dramatycznej chwili.

Apostolu odczekał trochę, doszedł do siebie. Wyszedł z gabinetu, w toalecie opłukał twarz wodą, obmył oczy, żeby się uspokoić, żeby skóra odzyskała naturalny kolor. Zapukał do drzwi zastępcy komendanta. I bez ogródek złożył rezygnację, niech tę sprawę przejmie ktoś inny. Wystarczy. Już wystarczy. Wiedział, co to oznacza. Komendant Główny wyraził się

jasno. Tą decyzją sam siebie wykluczył z Policji Greckiej. Zastępca komendanta zmarszczył brwi, zmarkotniał, patrzył na niego poważnie parę sekund w milczeniu, po czym spytał o powód. Gdy zabrzmiał łamiący się głos Apostolu, zdanie, które wyjąkał, słowa obwieszczające nieuchronny, nieodwracalny koniec, śmierć, Korkódzelos wstał, wyciągnął rękę i złożył mu kondolencje. Na jego twarzy pojawił się smutek, blizna na policzku skurczyła się, prawie zniknęła. „Ja też straciłem ojca przed paru laty, więc dobrze to rozumiem”, rzekł. Apostolu pokiwał głową, czekał. Korkódzelos westchnął i zauważył, że decyzje podejmowane w chwilach silnego zdenerwowania są zwykle najgorsze. Po czym dodał, że nie przyjmuje rezygnacji. Zresztą Komendant Główny i tak by się nie zgodził. Trzeba wykonać zadanie do końca, jakikolwiek on będzie. Przypomniał mu słowa komendanta. Że w razie niepowodzenia, polecą wszystkie głowy. Dał mu dwa dni wolnego, niech jedzie na pogrzeb ojca na Andros, a potem wraca. Zastąpi go tymczasowo komisarz Eftimiju, bo dobrze zna sprawę, on sam też będzie miał baczenie.

Wczesnym rankiem Apostolu wypłynął z Rafiny na Andros i po dwóch godzinach z okładem był w Chorze. Złapał taksówkę, pojechał do Ammólochos. Wysiadł i stał przed domem z walizką w ręce, zagubiony, niezdecydowany – co miał robić? Z oddali dochodziło krakanie. Matka zobaczyła taksówkę i pospieszyła do drzwi. Cień człowieka w czerni. Rzuciła mu się w objęcia, skryła się w jego ramionach. Apostolu przypominał wielkiego ptaka, który osłania skrzydłami pisklę. Ucałowała go. Czuł słony smak jej łez, a na piersi bicie starczego, słabego serca, puk, puk... puk, puk... Jej ciałem wstrząsał szloch. Gdy zobaczył ojca leżącego w trumnie na stole w salonie, nieruchomego, wychudzonego, nie wytrzymał. Znów się rozpłakał, przykląkł obok trumny jak do modlitwy i trwał kilka minut, trzymając zimną rękę ojca, rękę, którą powinien był trzymać w swojej dłoni poprzedniego dnia.

Zdumiewające. Ileż to razy spotykali się przy tym stole na wspólny posiłek! Pamięta jeszcze z dzieciństwa. Jedli, śpiewali, tańczyli wokół niego. Jakiż dziwny ten stół. Zaledwie przedwczoraj rodzice siedli przy nim do śniadania, tuż przed tym, jak ojciec wspiął się na drabinę i spadł. Życie i śmierć – razem. Po kątach siedziały ubrane na czarno staruszki, milczące i srogie. Przyszły czuwać nocą przy zmarłym, niby harpie gotowe schwytać duszę, gdy się oddzieli od ciała, i uciec.

Pochowali go w południe. Apostolu i trzech mieszkańcy wsi wzięli trumnę na ramiona i nieśli ją całą drogę. Z kościoła na cmentarz. Jako ostatni pocałował zmarłego, ostatni rzucił garść ziemi do dołu.

Zatrzymał się w Ammólochos na jeszcze jeden dzień. I cały czas namawiał matkę, żeby pojechała z nimi do Aten, zamieszkała u nich, bo co tu będzie robiła zupełnie sama. Była nieugięta, nie chciała odrywać się od korzeni. Zostanie, żeby choć świeczkę zapalić na grobie ojca.

Gdy Apostolu wrócił do Aten, i do pracy, zaskoczył go nieoczekiwany rozwój wypadków. Sergidis został aresztowany za zabójstwo młodej kobiety na uniwersytecie, ale także za mord na przedstawicielach trojki.

122/C24

Wskazówki były jasne. Za wsią Malakasa skręci w lewo na Awlonas. Po dwóch kilometrach znajdzie domek letni po lewej stronie, przy drodze, pod lasem sosnowym. Dom jest biały, dwukondygnacyjny. Z ogrodem od frontu. Metalowa brama będzie otwarta. Samochód służbowy – nie, komórka służbowa – nie. Ubranie cywilne.

Dochodziła północ. Drogi puste, ciemno. Z przeciwka jedzie samochód. Oślepia go. Jego własne światła odbijają się w zielonych drogowskazach. Ciekawe. Kierunek „Markópulo, Oropós, Sikámino”. Tam, gdzie działali Arwanitakisowie. Tam, gdzie rozegrał się ostatni akt dramatu. Odruchowo sięga ręką do wewnętrznej kieszeni marynarki. Dotyka zimnego służbowego pistoletu. Nigdy nic nie wiadomo. Patrzy przed siebie. Pole widzenia zawęża się. Wzrok utkwiony w przestrzeni na wprost. W nieokreślonym punkcie. Nie chodzi o miejsce. Tylko o czas. Inne sprawy. Ojciec. Sprzeniewierzenie, wyrzuty sumienia... Dlaczego...? Dlaczego zostawił go samego? Anna, dzieci. Jego życie toczy się na czterech kołach po asfalcie. Widoczność zero. Musi jakoś to życie uporządkować. Musi... Tak, już postanowił. Jutro sprzeda leicę. Weźmie pieniądze, kupi skromniejszy aparat. Starczy na bilety do Francji. Jak tylko się skończy ta przekłeta historia z trojką, weźmie miesiąc urlopu. Wyjedzie na dziesięć dni na wieś, do Ammólochos, spędzi czas z matką, w rodzinnym domu, powróci do dzieciństwa. Matka jest załamana. Kto wie, co przyniesie jutro? Kolejne dziesięć dni – podróż do Arles z Anną. Śladami jej ukochanego van Gogha. Jest jej to winien. Tak, w ten sposób przywróci ład. Postanowione. Dostyc tego. Zacznie wszystko od nowa. Tak robi. W końcu, co ma wartość w tym życiu?

Zwalnia. Gdzieś tu, to gdzieś tu. Jest biały dom z ogrodem, jak w notatce Korkodzelosa. Metalowa brama otwarta. Zatrzymuje się na skraju drogi. Widzi nikłe światło sączące się z okna na parterze. Waha się. Na pewno tu? Skręca, wjeżdża na posesję. Gasi silnik. Wysiada. Słyszy, że brama się zamyka. Zaniepokojone świerszcze zaczynają grać w ciemności. W głębi ogrodu, między drzewami, skrzy się słaby płomyk. Zapalony papieros? Patrzy w mrok. Nie, może mu się tylko zdawało. Kamyki chrzęszczą pod butami. W oddali słychać ujadanie psa. Opodał widzi samochód Korkodzelosa. Skoda octavia. A dalej, jeszcze jeden, nieznajomy, czarne bmw. A więc nie jest sam, ma towarzystwo. Podchodząc do drzwi, czuje

zapach dymu papierosowego. Rozgląda się, ma wrażenie, że ktoś go obserwuje.

Puka do drzwi. Raz, dwa, trzy razy. Kroki, drzwi się otwierają. Światło elektryczne bucha na zewnątrz, prosto w twarz, oślepia go.

Apostolu wytrzeszcza oczy.

– Wejź, Apostolu...

– Panie... – ledwie może coś bąknąć na widok człowieka numer trzy w rządowej hierarchii.

123/A 47

Czekasz, mogą przyjść w każdej chwili. Bo przyjdą, inaczej być nie może. Niekończące się samotne godziny w czterech ścianach. Jak w lochu. Jakby cię pochowali żywego. Przeraza cię każde skrzyknięcie, każdy powiew wiatru omiatający okno, każdy krok na chodniku, na zewnątrz, przy wejściu do bloku.

I cienie. Te, które nocą ześlizgują się skrycie z żaluzji, ze świetlika. Pełzną po ścianach, po kątach, kołyszają się, raz się kurczą, raz powiększają. A potem nieruchomieją i patrzą na ciebie złośliwie, cieszą się z twojego nieszczęścia. Dostrzegasz ich kontury: korpus, kończyny, głowa. Tak, widzisz ich. Nieznajomych, na których czekasz.

Jak długo jeszcze to wytrzymam?

Wsunąłem do kieszeni glocka 17. Wziąłem komputer i poleciałem do dawnego mieszkania. Przyłączyłem kabel internetu. Przekręciłem klucz w zamku, zabarykadowałem drzwi kanapą.

Znalazłem w sieci adresy mailowe największych mass mediów w kraju. Potem załączyłem plik. Wszystko w nim jest. Wszystko. Świadczenie spisane w pierwszej osobie. Mój dziennik. Pismaki są spragnione szczegółów. Psychologowie znajdą pożywkę dla psychoanalizy. A policjanci wszystkie informacje, których im brakuje. Koniec. Zagadka przestaje być zagadką. Karty na stół.

Wybrałem numer telefonu jednej z opozycyjnych gazet. „Dla zapewnienia obsługi najwyższej jakości rozmowa będzie nagrywana. Proszę czekać”. Poprosiłem z naczelnym. Powiedziałem, że chodzi o coś bardzo ważnego i pilnego. Dotyczy zabójstwa przedstawicieli trojki. Połączyli mnie.

– Przed chwilą wysłałem do pana mail. Znajdzie pan w załączniku wielostronicowy tekst. Opisane są w nim wszystkie fakty związane z zabójstwem przedstawicieli trojki oraz prawda o morderstwie studentki na uniwersytecie. Nazywam się...

Na zewnątrz rozległ się odgłos kroków. Ciężkich. Buciory, glany. Coś takiego.

– Halo! Słucham! – woła naczelnym.

– Dobierają się do drzwi. Już tu są. Słyszę ich.

„Otwierać... Otwierać...”. Wał coraz silniej. Kopia w drzwi.

– Proszę posłuchać, nie mam już czasu. Chcą mnie zlikwidować. Znajdzie pan, co trzeba, w pliku.

W ciągu paru sekund zobaczyłem w myślach wszystko. Ojciec, pstrąg trzepoczący się na otoczkach, uśmiech ojca, moja dłoń zamknięta w jego dłoni, tam, przy szkolnym płocie, biwaki w Kandili, rower, mama płacząca pod drzwiami mojego pokoju, świetliki, Rubini, ci z trojki, mord, odcinanie głów. Wszystko. A później znowu ojciec, dźwięk wystrzału tamtego popołudnia, części mózgu na biurku. Nienawiść. Nienawiść!

Teraz czuję się zbędny na tym świecie. Przyszedł czas, żebym i ja zniknął ze sceny.

– Proszę posłuchać, musicie mi uwierzyć... – ciągnę. – Wiem, że nasza rozmowa jest nagrywana. I dlatego...

Trzymam pistolet w ręce. Odbezpieczam. Szykuję się, by go przystawić do skroni. Umysł wypełnia się obrazami. Mama, Rubini, ojciec.

I wtedy rozlega się sygnał wiadomości przychodzącej na komputer. E-mail. Wytrzeszczam oczy: brelock@hotmail.com. Otwieram. To ona? *Pennies in a stream*. To ona, czy znowu ktoś w coś ze mną pogrywa? Klikam dwukrotnie na Skype'a, dzwonię do niej. Boże! Pokazuje się w okienku. Cała i zdrowa. Żywa! „No cześć, kochanku doskonały!”.

Drzwi ustępują, kanapa się odsuwa. Krzyki.

Ξródła

About Edmond, *Le Roi des montagnes* [Król gór], Paris 1857 (χρησιμοποιήθηκε η έκδοση του Γαλαξία, Ο βασιλεύς των ορέων, μετάφραση Α.Φ., Αθήνα 1968).

Άννινος Μπάμπης [Aninos Bambis], *Αι Αθήναι του 1850, Εντυπώσεις δυο Γάλλων περιηγητών* [Ateny w roku 1850. Wrażenia dwóch francuskich podróżników], Εκάτη, Αθήνα 2006.

Αωνύμου [Anonim], *Η στρατιωτική ζωή εν Ελλάδι, χειρόγραφον Έλληνας υπαξιωματικού* [Życie żołnierskie w Grecji, zapiski greckiego podoficera], Βράιλα 1870, χρησιμοποιήθηκε η έκδοση του Περίπλου, Αθήνα 2000.

Βασιλόπουλος Χρίστος [Wasilópulos Christos], *Η μηχανή του χρόνου, «Η Σφαγή στο Δήλεσι»* [program Machina czasu, „Rzeź w Dílesi”], EPT [Telewizja ERT] 2012.

Βουρνάς Τάσος [Wurnás Tasos], συγκέντρωση υλικού Μαρία Σαμολαδά [przygotowanie materiałów Mariá Samoladá], *Τα φοβερά ντοκουμέντα. Η Σφαγή στο Δήλεσι, Αγγλοκρατία και Ληστοκρατία* [Niesamowite dokumenty. Rzeź w Dílesi. Anglokracja i zbójcokracja], Φυτράκη, Αθήνα 1980.

Γερμανός Φρέντυ [Germanos Fredi], Εκπομπή Πρώτη σελίδα, «Η Σφαγή στο Δήλεσι» [program Pierwsza strona, „Rzeź w Dílesi”], EPT1 [Telewizja ERT1] 1981.

Γιοχάλας Θανάσης [Jochalas Tanasis], Καφετζάκη Τόνια [Kafetzaki Tonia], *Αθήνα – Ιχνηλατώντας την πόλη με οδηγό την Ιστορία και τη λογοτεχνία* [Ateny – spacer śladami historii i literatury], Βιβλιοπωλείον της Εστίας, Αθήνα 2013.

Καλλιγιάς Παύλος [Kalligás Pawlos], Θάνος Βλέκας [Tanos Wlekas], περ. Πανδώρα, Οκτ.1855–Φεβρ. 1856 και 1890 ως αυτοτελές βιβλίο, Αθήνα [χρησιμοποιήθηκε η έκδοση του Πελεκάνου, Αθήνα 2005].

Καραγάτση Μ. [Karagatsis M.], *Οι λησται στα πρόθυρα των Αθηνών* [Zbójcy u bram Aten], Βιβλιοπωλείον της Εστίας, Αθήνα 2010.

Κολιόπουλος Ιωάννης Σ. [Kaliópuolos Joanis S.], *Η ληστεία στην Ελλάδα (19ος αι.). Περί λύχνων αφάς*, [Zbójstwo w Grecji (XIX w.). O porze zmiierzchu], Επίκεντρο, Θεσσαλονίκη 2005.

Ροΐδης Εμμανουήλ [Roidis Emanuil], «Περίπατοι εις τας Αθήνας Β΄» [Przechadzki po Atenach II], Εμμανουήλ Ροΐδης, *Κείμενα για την Αθήνα των Ολυμπιακών Αγώνων του 1896*, [Teksty o Atenach z czasów Igrzysk Olimpijskich 1896 r.] σελ. 46–48 [Πρώτη δημ. εφ. Εστία, 2/6/1896].

Ρούσσου Γεωργίου [Rúsos Georgios], *Νεώτερη Ιστορία του Ελληνικού Έθνους 1826–1974* [Historia narodu greckiego 1826–1974], τ. Δ΄, σελ. 321–360, εκδ. Ελληνική Μορφωτική Εστία, 1975.

Gennadios Joannes, *Notes on the Recent Murders by Brigands in Greece*, Cartwright, London 1870.

Jenkins Romilly, *The Dilessi Murders*, Longmans, Plymouth 1961.

Noel-Baker Barbo, *Μια νήσος στην Ελλάδα, Οι Noel-Baker στην Εύβοια* [Wyspa w Grecji. Noel-Bakerowie na Eubei], μετάφραση Αλέξη Ταμπουρά και Ευγενίας Μίγδου, Οι Εκδόσεις των Φίλων, Αθήνα 2003.

Stevens Crosby, *Ransom and Murder in Greece, Lord Muncaster’s Journal 1870*, Lutterworth Press, Cambridge 1989.

Δελτίο Χριστιανικής Αρχαιολογικής Εταιρείας [„Biuletyn Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Archeologicznego”], 4 [1927], περίοδος Β΄, σελ. 25–45, Αθήνα 1928.

Podziękowania

Na początek winien jestem podziękowania wydawcy za to, że w tych trudnych czasach nadal udziela mi gościny pod swoim wydawniczym dachem. W szczególności dziękuję Angeli Sotiriju za celne uwagi do pierwszej wersji książki. Jej sugestie znacząco poprawiły tekst. Dziękuję Ewdoksji Binopulu, która po raz kolejny znakomicie zredagowała moją książkę. Jak bardzo potrzebna jest pisarzowi „druga para oczu”, aby uniknąć błędów i niezręczności! Dziękuję wszystkim pozostałym pracownikom wydawnictwa Psychogiós za profesjonalizm, życzliwą aprobatę i wspinałą oprawę plastyczną książki.

Pragnę wyrazić podziękowania ojcu Malcolmowi Brantsow z kościoła anglikańskiego przy ulicy Filhellenów, który był uprzejmy oprowadzić mnie pewnego ranka po świątyni. Dziękuję pani Ewangielii Taglioglou, która opowiedziała mi o tym, co mieszkańcy Wjeny w Rafinie nazywają Mostem Lordów oraz za wiele innych pożytecznych informacji. A także młodemu pracownikowi Pierwszego Cmentarza Ateńskiego (nie zachowałem niestety w pamięci jego nazwiska), który przejął inicjatywę, gdy ja, rozczarowany, byłem już gotów rezygnować, i zlokalizował grób Edwarda Lloyda w protestanckiej części cmentarza. Dziękuję także doktorowi Sawasowi Psarelisowi za cenne sugestie. Podziękowania winien jestem również Dimitrisowi Karakisowi, bez którego nieocenionej pomocy nie mógłbym podążać śladami Arwanitakisów oraz ich jeńców w czasie dwudniowego wypadu do Pikiermi, monasteru w Pendeli, Stamaty, Oroposu i Sikámino.

Słowniczek nazw – Ateny

ULICE		
ulica	οδός	odós [wymowa]
Acharnejska	Αχαρνών	Acharnón
Akominatosa	Ακομινάτου	Akominatu
Anaksagorasa	Αναξαγόρα	Anaksagora
Ateny	Αθηνάς	Atinás
Atinaidy	Αθηναΐδος	Atinaídos
Byssy	Βύσσης	Wisis
Eola	Αιόλου	Eolu
Eurypidesa	Ευριπίδου	Ewripidu
Fabviera	Φαβιέρου	Fawieru
Filhellenów	Φιλελλήνων	Filellínon
Fokiona Negrisa	Φωκίωνος Νέγρη	Fokíonos Negri
Hermesa	Ερμού	Ermú
Hypatii	Υπατίας	Ípatijas
Hyperejdesa	Υπερείδου	Íperidu
Iktinosa	Ικτίνου	Iktinu
Katedralna	Μητροπόλεως	Mitropóleos
Klejstenesa	Κλεισθένους	Klisténus
Koraisa	Κοραή	Koraí
Kratinosa	Κρατίνου	Kratinu
Marny	Μάρνη	Marni
Meyera	Μάγερ	Majer
Menandra	Μενάνδρου	Menandru
Otona	Όθωνος	Otonos
Parlamentu	Βουλής	Wulís
Patisyjska	Πατησίων	Patisijon
Pireusu	Πειραιώς	Pireós
Platei	Πλαταιών	Plateón
Pulcherii	Πουλχερίας	Pulchierijas
Sekierisa	Σέκερη	Sékieri
Sofoklesa	Σοφοκλέους	Sofokléus
Sokratesa	Σωκράτους	Sokratus
Stadionu	Σταδίου	Stadiju
Stumarisa	Στουρνάρη	Sturnari
św. Konstantego	Αγίου Κωνσταντίνου	Agiju Konstandinu
św. Tekli	Αγίας Θέκλας	Agijas Teklas
Tsaldarisa (Panagisa Tsaldarisa)	Παναγή Τσαλδάρη	Panagí Tsaldari
Uniwersytecka	Πανεπιστημίου	Panepistimiju
ALEJE		
aleja	λεωφόρος	leoforos [wymowa]
Aleksandry	Αλεξάνδρας	Aleksandras
Króla Konstantyna	Βασιλέως Κωνσταντίνου	Wasileos Konstandinu
Królowej Zofii	Βασιλίσσης Σοφίας	Wasilisis Sofijas
Michalakopulosa	Μιχαλακοπούλου	Michalakopulu

PLACE		
plac	πλατεία	platija [wymowa]
Attycki	Αττικής	Attikís
Gorzkich Łez	Κλαυθμώνος	Klaftmonos
Konstytucji (Syntagma)	Συντάγματος	Sindágmatos
Kotziasa	Κοτζιά	Kotziá
św. Ireny	Αγίας Ειρήνης	Agijas Irinis
św. Tomasza	Αγίου Θωμά	Agiju Tomá
Watis	Βάθης	Watis
Wiktorii	Βικτωρίας	Wiktorijas
Zgody	Ομονοίας	Omonijas
DZIELNICE I ICH CZĘŚCI		
Eksarchia	Εξάρχεια	[okolice placu o tej samej nazwie]
Faleron	Φάληρο	Fáliro
Ilisja	Ιλίσια	
Iliúpolis	Ηλιούπολης	
Kipseli	Κυψέλη	
Metaksurgijo	Μεταξουργείο	
Omonia	Ομόνοια	[plac Zgody i jego okolice]
Pangrati	Παγκράτι	
Patisja	Πατήσια	
Psirí	Ψυρρή	
św. Pantaleon	Άγιος Παντελεήμονας	Agios Pandeléjmonas [okolice placu z kościołem pod tym wezwaniem]
Tezejon	Θησείο	Tisijo
Zografu	Ζωγράφου	
WZGÓRZA		
Likabet	Λυκαβηττός	Likawitós
Strefi	Στρέφη	
INNE		
Pałac Muzyki	Μέγαρο Μουσικής	Mégaro Musikís
Skwer przy Cypryjskiej i Patisyjskiej	Πάρκο Κύπρου και Πατησίων	Parko Kipru kie Patisijon
Pole Aresa	Πεδίον του Άρεως	Pedijon tu 'Areos

Podziękowania

Kończąc pracę nad przekładem drugiej książki cypryjskiego pisarza Emiliosa Solomou, pragnę podziękować wszystkim tym, którzy pomogli mi zmierzyć się z wymagającymi tekstami obu utworów: trafiającej właśnie do rąk czytelników *Nienawiści* oraz wydanego przed trzema laty *Dziennika zdrady*. Znaczne grono osób poświęciło swój czas, by wesprzeć mnie w staraniach o jak najrzetelniejszy kształt obu przekładów.

Na początek dziękuję Androulli Gacucie, mojej pierwszej nauczycielce języka nowogreckiego, za wytrwałą asystę we wszystkich moich translatorskich poczynaniach oraz jej mężowi Włodzimierzowi – z podziwem dla jego dogłębnej znajomości starożytnego świata.

Profesor Małgorzacie Borowskiej wdzięczna jestem za niezmienną życzliwość i gotowość do dzielenia się wiedzą o grece we wszystkich jej odmianach, a także za liczne cenne rady.

Konsultacji specjalistycznych udzielali mi: prof. Ewdoksia Papuci-Władyka oraz dr Małgorzata Siennicka – z zakresu archeologii, dr hab. Irena Argiro Tsermegas – z zakresu geologii i geografii, Tomasz Kozłowski – z zakresu botaniki i zoologii, a także znawca prawosławia dr Konrad Kuczara. Prosiłam o wskazówki ekspertów w takich dziedzinach, jak osteoarcheologia, kryminologia, stomatologia, literatura japońska, język albański, a nawet produkcja farb drukarskich! Wszystkich nazwisk nie zdołam wymienić, lecz wszystkim najserdeczniej dziękuję.

Panu Krzysztofowi Jaworskiemu chcę podziękować gorąco za wyczerpujące informacje na temat wędkarstwa.

Magdzie Konikowskiej, mojej niedościgłej przewodniczce po poprawnej polszczyźnie, dziękuję za cierpliwość.

Beacie Żółkiewicz-Siakantaris, z wielkim uznaniem dla jej dociekliwości i rzetelności, dziękuję za harmonijną współpracę.

Na koniec – choć to od Was wszystko się zaczyna, drogie Wydawnictwo! – „Książkowym Klimatom” składam wyrazy uznania za realizowany z niesłabnącym entuzjazmem pomysł prezentowania polskim czytelnikom współczesnej prozy greckiej. Tomkowi Zaródowi, redaktor naczelnej Kamie Buchalskiej oraz reszcie Zespołu dziękuję za serdeczność i profesjonalizm.

Ewa T. Szyler

ewa t. szyler



Tłumaczka z języków angielskiego i nowogreckiego, dziennikarka, publicystka. Absolwentka Politechniki Warszawskiej i Uniwersytetu Warszawskiego. Przeżyła na polski ponad trzydzieści ksiązek beletrystycznych i popularnonaukowych. Z nowogreckiego tłumaczyła między innymi utwory Nikosa Kazantzakisa, Kostasa Tachtsisa, Mimisa Androulakisa. Jej dorobek obejmuje też teksty polskie do ponad dwustu filmów dokumentalnych oraz fabularnych. Wieleletnia członkini i prezeska Towarzystwa Przyjaciół Grecji. Stypendystka Fundacji im. Aleksandra S. Onassis w Atenach. Mieszka w Warszawie.

Dziennikarka, publicystka, tłumaczka. Absolwentka Fakultetu Filologii Słowiańskich Uniwersytetu Sofijskiego im. św. Klemensa z Ochrydy. Publikuje także po grecku. Na łamach greckich pism literackich prezentuje też przekłady fragmentów polskiej literatury. Od kilku lat popularyzuje w Grecji dzieło Janusza Korczaka; w 2017 r. w jej przekładzie i opracowaniu ukazało się pierwsze greckie wydanie „Prawa dziecka do szacunku”. Konsultantka programu stypendialnego dla młodych tłumaczy literatury nowogreckiej, realizowanego w Fundacji Petrosa Charisa pod egidą Akademii Ateńskiej. Mieszka w Atenach.

beata zółkiewicz- siakantaris



Fot. Maria Bujakiewicz

Tytuł oryginału greckiego: *To μίσος είναι η μισή εκδίκηση*

Z języka greckiego przełożyły: Ewa T. Szyler i Beata Żółkiewicz-Siakantaris (wątek „D”)

Redakcja: Elżbieta Regulska-Chlebowska

Korekta: Ewa Żuk, Małgorzata Wiśniowska-Deluga

Projekt okładki: Magdalena Kocińska | O!Studio

Konwersja: Wioletta Kowalska | Violet Design

© Psychogios Publications S.A.

© for the Polish translation by Ewa T. Szyler, Warszawa 2018

© for the Polish translation of chapters „D” by Beata Żółkiewicz-Siakantaris, Warszawa 2018

© for the Polish edition by Książkowe Klimaty

Książkę wydrukowano na papierze Ecco book 75 Cream vol. 2.0 70g/m² dostarczonym przez Antalis Poland.

ISBN 978-83-65595-91-1 (wersja ePUB)

ISBN 978-83-65595-92-8 (wersja Mobi)



Ten projekt został zrealizowany przy wsparciu finansowym Komisji Europejskiej.

Projekt lub publikacja odzwierciedlają jedynie stanowisko ich autora i Komisja Europejska nie ponosi odpowiedzialności za umieszczoną w nich zawartość merytoryczną.

Tłumaczenie zostało przygotowane dzięki finansowemu wsparciu Ministerstwa Edukacji i Kultury Cypru.

The translation was kindly supported by the Ministry of Education and Culture of Cyprus.



Książkowe Klimaty

www.ksiazkoveklimaty.pl

Redakcja:

ul. Mydlana 1, 51-502 Wrocław

redakcja@ksiazkoveklimaty.pl

Promocja: promocja@ksiazkoveklimaty.pl

Sprzedaż: sprzedaz@ksiazkoveklimaty.pl

W serii **Greckie Klimaty** dotychczas ukazały się:

- ❖ Amanda Michalopoulou, *Dlaczego zabiłam moją najlepszą przyjaciółkę*, przeł. Alicja Kotecka
- ❖ Nikos Dimou, *Nieszczęście bycia Grekiem*, przeł. Przemysław Kordos
- ❖ Léna Pappá, *Bez daty. Kartki z dziennika*, przeł. Ewa T. Szyler
- ❖ Kostas Akrivos, *Pandemonium*, przeł. Michał Bzinkowski
- ❖ Nikos Panagiotopoulos, *Dzieci Kaina*, przeł. Katarzyna Rowińska
- ❖ Alicja Kordos, *Z dziećmi w Atenach. Subiektywny przewodnik rodzinny*
- ❖ Alexis Panselinos, *Tajemnicze inskrypcje*, przeł. Alicja Biaduń
- ❖ Emilios Solomou, *Dziennik zdrady*, przeł. Ewa T. Szyler
- ❖ Tomasz Zaród, *Zorba 50 lat później*
- ❖ Yiannis Kalpouzos, *Imaret. W cieniu zegara*, przeł. Ares Chadzinikolau
- ❖ Kostas Hatziantoniou, *Agrigento*, przeł. Karolina Berezowska
- ❖ Andreas Staikos, *Niebezpieczne związki kulinarne*, przeł. Ewa T. Szyler
- ❖ Lena Kitsopoulou, *Nietoperze. Aqua velva*, przeł. Alicja Biaduń
- ❖ Pandelis Prevelakis, *Kronika pewnego miasta*, przeł. Janusz Strasburger
- ❖ Maira Papathanasopoulou, *Judasz całował wspaniale*, przeł. Ewa T. Szyler
- ❖ Makis Tsitas, *Bóg mi świadkiem*, przeł. Michał Bzinkowski

SIEJEMY FERMENT LITERACKI!



W Serii z winnicą każdej z książek przyporządkowany jest jeden z podstawowych kolorów wina – biały, różowy lub czerwony, tak by zasugerować charakter lektury, zaintrygować miłośników wina i skłonić książkożerców do wejścia w świat enologii.

Dziewięć książek, trzy kolory – mamy nadzieję, że mnóstwo rozmów i inspiracji!

Jakie wino najbardziej pasuje do tej powieści? Czekamy na odpowiedzi! Opisy, zdjęcia, historie. Najciekawsze nagrodzimy ☺ promocja@ksiazkoveklimaty.pl, temat: Seria z winnicą

W Serii z winnicą ukążą się (w 2018 i 2019):

- ❖ Makis Tsitas, *Bóg mi świadkiem*, przeł. Michał Bzinkowski
- ❖ Pierre Mejlak, *Co pozwala powiedzieć noc*, przeł. Krzysztof Szczurek
- ❖ Emilios Solomou, *Nienawiść to połowa zemsty*, przeł. Ewa T. Szyler i Beata Żółkiewicz-Siakantaris
- ❖ Radka Denemarková, *Kobold*, przeł. Katarzyna Dudzic-Grabińska i Olga Czernikow
- ❖ Max Blecher, *Rozświetlona jama. Dziennik sanatoryjny*, przeł. Joanna Kornaś-Warwas
- ❖ Peter Pišt'anek, *Rivers of Babylon*, przeł. Olga Stawińska
- ❖ Antonis Georgiou, *Album opowiadań*, przeł. Przemysław Kordos
- ❖ Edina Szvoren, *Nie ma i niech nie będzie*, przeł. Anna Butrym
- ❖ Miljenko Jergović, *Bębny nocy. Studium*, przeł. Magdalena Petryńska



Odkryj sekret...

WIELKICH GRECKICH **WAKACJI**

*Nasza Grecja ma 20 twarzy,
a każda z nich to odrębna kraina.
To światy będące źródłem
europejskiej kultury i skarbnicą
niezwykłych historii. Zacznij
je odkrywać z Grecosem podczas
wycieczek objazdowych „Grecja
po mojemu” i „Ateny po mojemu”.
Będziemy twoim przewodnikiem
po naszej Grecji!*

Sprawdź ofertę na GRECOS.PL

Table of Contents

1/A1
2/D1
3/D2
4/A2
5/B1
6/C1
7/A3
8/A4
9/B2
10/C2
11/E1
12/A5
13/A6
14/B3
15/A7
16/A8
17/C3
18/D3
19/D4
20/E2
21/A9
22/B4
23/C4
24/D5
25/A10
26/A11
27/A12
28/C5
29/E3
30/B5
31/C6
32/B6
33/D6

34/A13
35/A14
36/D7
37/C7
38/B7
39/A15
40/C8
41/D8
42/E4
43/A16
44/A17
45/D9
46/A18
47/A19
48/C9
49/B8
50/A20
51/D10
52/A21
53/A22
54/C10
55/A23
56/E5
57/C11
58/A24
59/E6
60/C12
61/D11
62/A25
63/B9
64/C13
65/A26
66/A27
67/B10
68/A28
69/C14
70/D12

71/A29
72/E7
73/B11
74/A30
75/C15
76/A31
77/D13
78/A32
79/A33
80/B12
81/C16
82/D14
83/A34
84/D15
85/C17
86/A35
87/E8
88/B13
89/A36
90/C18
91/D16
92/A37
93/A38
94/E9
95/B14
96/C19
97/D17
98/A39
99/C20
100/A40
101/E10
102/D18
103/A41
104/B15
105/A42
106/C21
107/E11

108/A43

109/B16

110/D19

111/D20

112/D21

113/A44

114/E12

115/A45

116/B17

117/A46

118/C22

119/B18

120/D22

121/C23

122/C24

123/A 47

Źródła

Podziękowania

Słowniczek nazw – Ateny

Podziękowania